

TEKA
WILENSKA

5.



1. 1.

TEKA

WILEŃSKA

WYDAWANA

PRZEZ

JANA ZE ŚLIWINA.

NUMER PIĄTY.

WILNO.

W Drukarni A. Marciniowskiego.

1858.

7-[02]26/92



06285

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 29 Kwietnia 1858 roku.

Cenzor Paweł Kukolnik.

NOTATKI DZIWAKA,

POWIERZONE SOBIE

OGŁOSIŁ

WACŁAW P.

ROZBITEK № 1.

MARZYCIEL-MATEMATYK

(*Ciąg dalszy*).

DZIENNIK KAROLA.

Wilno 20 czerwca, 184...

Są uczucia, którym zaciasno w ludzkiej piersi; wola nad nimi zapanować niemoże, a chociaż rozpromieniają nieraz całe nasze jestestwo, jeżelibyśmy je chcieli ukryć w sobie i z niemi się pieścić, stają się one ciężarem, domagają się gwałtownie wylania na zewnątrz, czy to w poufnej serdecznej spowiedzi przed bratem z ducha, który nas pojmie, zrozumie i razem z nami będzie bujał w uroczych przestworach rojeń zaludnionych przez rozigraną wyobraźnię, czy też spowiedzi przed samym sobą.

Dopókim był malém chłopięciem, i wszystkie myśli ześrodkowywały się w chwili bieżącej; nigdy tęsknota nie nawiedzała mych piersi, byłem swobodny, jako wiatr w polu, spokojny i nietroskliwy o siebie, bo wiedziałem że inni

TEKA N. V.

myślą za mnie, inni o moim losie stanowią, a ja powinienem tylko pracą usilną wspierać zamiary starszych. Dziś—gdy pierwszy raz mi powiedziano publicznie, że jestem już człowiekiem, że muszę sam myśleć o sobie,—przeszłość niepewna, przerażająca stanęła mi przed oczy ze swą zagadkową fizyonomiją sfinxa niepojętego; myśli wolne od hamulca rozpiechły się swawolnie — niemogę zdać sobie sprawy z uczuć, które mi pierś przepelniają;—a jednak pojmuję to dobrze, że teraz właśnie powinienem trzymać się na wodzy, zdawać sobie sprawę z każdego swego postępu, każdy zamiar pierwiej dobrze rozważyć, niż w czyn zamienić.

Dla tego więc postanawiam od dziś, zapisywać wszystkie najtajniejsze myśli i zachcenia chociażby kiedy przyszło żarumienić się przed sobą samym: — przecież mych wyznań nikt czytać niebędzie, moich świętości niesponiewiera obojętny wzrok ciekawości;—a może kiedy za lat wiele przebiegając te karty, na których każda chwila życia wypisana, wrócę wspomnieniem w lata młodziencze—i będę z tych kart czerpał otuchę w strapieniu; one mię skrzepią na walkę z życiem i przeciwnościami.

Noc spokojna—przy otwartém oknie mojej stancyjki na poddaszu, siedzę rozmarzony rozkosznie, zmęczony wypadkami dnia dzisiejszego; przede mną wieżycy Ś-to Jańska wyskoczyła wysoko w górę i osrebrzona promieniem xiężycy, ostremi konturnami zarysowywa swe kształty na ciemnym lazurze; jój dumne czoło, górując po nad całym miastem swą wyniosłością i szronem przeżytych wieków, hardo się nadstawia chmurom przelotnym; a u stóp jój szemrzące źródło—to leż krynica, leż wylewanych za tém co minęło od lat dawnych; a cichy szmer odbijający się o ściany otaczającego domóstwa i po krawędziach wieżycy wdziera-

jący się aż do niebieskich stropów—to poufna skarga, serdeczne wyznanie, które gwar dzienny swym interesowanym zgiełkiem zagłusza, i nikt zrozumieć niemoże, i nikt posłyszeć niechce wyszemranych przypowieści z dalekiej przeszłości... a wiele widziała wieżycy. Wartoby jój posłuchać i wziąć do serca jój słowa. Lecz nasze serca martwe, wyobraźnia ołowiem przystroila skrzydła i lęka się uchylić zasłony, co dolę praojców zakrywa, by ztamtąd nieurósł groźny wyrzut, żeśmy niesprostali swym obowiązkom, że spuścizna poświęcenia i miłości zaciężka na nasze barki. I po cóż nam karłom w pieluchach, których cały cel życia, to byt materyalny i trochę rozgłosu chociażby szalbiersko zdobytego, stawać oko w oko z przeszłością? Oglądam się dokoła, patrzę na swoich rówieśników i wewnątrz własnej zaglądam piersi, i szukam zapału tych wzniosłych uniesień, które młodzienczość stanowią, i pytam: czy my żyjemy, czy tylko jesteśmy?

Wczoraj zebraliśmy się w kilkunastu, my, dzieci jutra, przed którymi zda się cały świat stoi otworem. A była to ważna chwila w naszym życiu, bo to było wiliją dnia, w którym mieli nas pasować na ludzi, rozdając publicznie patenta w radzie nauczycielskiej, i pobłogosławić na drogę życia ręką, co kierowała nasze dziecinne kroki, rodzicielskiem współczuciem, które myśl naszą przez lat tyle budziło i pierwsze ziarna poczucia obowiązku wszczepiło w nasze serca. Dziwne to było nasze zebranie! Jedni z nieogłędnością dziecięcia jak ptaszę co się z klatki wyrывa niechcieli badać jutra: bo i cóż to ich obchodziło? chwila obecna dla nich wystarczała. Inni z jakąś bojaźnią patrzali w przyszłość: bo przeczuwali wiele zawodów w życiu, przeciwności wzrastały w olbrzymie kształty w ich wyobraźni, i nieprzyzwyczajeni do samodzielności, żalowali

tych pasków, na których ich prowadzono, chociaż do tego się nieprzyznawali. Szukałem pośród swoich oddźwięku dla myśli, co mi mózg paliła, piersi rozsadzała,—i gdy już pierwsze upojenia, utyskiwania i skargi przeminęły, gdy każdy wylał w słowach to co mu ciążyło, takem do nich przemówił: „Jutro idziemy w świat. Nasze wstąpienie w szranki życiowe niepowinno się odbyć pod godłem sobkowstwa i dbania tylko o siebie; my jesteśmy przedstawicielami jednej chwili życia, i za tę chwilę zmarnowaną Bogu odpowiedzieć będzie potrzeba. Kto dzisiaj myśli o sobie, o swoich celach i o swoim tylko losie, ten niema prawa do życia.”

— No, to ja będę żyć bezprawnie!—odezwał się jeden z koleżków, dziecię zamożnych rodziców,—ja tak siebie serdecznie kocham, że bez względu na wszystkie teorye nigdy o tém zapomnieć niemogę. Widzisz mój Karolu, ty zawsze mówisz pięknie i gotowem cię słuchać kto wie jak długo, kiedym niegłodny; ale chciéj zważyć, że dla orła powietrze, dla ryby woda; tyś marzyciel, tobie ten stary professor Jan swojemi lakonicznemi maxymami głowę przewrócił, to tobie się i zdaje, że Bóg do wielkich rzeczy ciebie powołał. A ja to co innego, ja sobie jestem urwis i wcale sobie głowy niekłopotę, co tam i jak będzie.

— I dobrze robi Ignas: po co to sobie głowę zaprzętać?—przerwał drugi.—Wszakże pamiętasz co nam zawsze bedel dowodził, kiedy który z nas tłómacząc się powiedział, że myślał tak albo owak: „Hm! wacan myślisz bardzo źle, bardzo źle! młody człowiek niepowinien myśleć, ale słuchać; to swawola, mości dobrodzieju, to nieposłuszeństwo; a od czegoż są naczelnicy?” I mówiąc to młody chłopak poprawiał kołnierzyki, nadymał się i chodził po pokoju, naśladując z niesłychaną zręcznością i dokładnością całą komiczną postawę naszego bedela.

Śmiech homeryczny rozwiązał tę ważną kwestyę. Śmiałem się i ja wraz, z innymi; ale jakoś mi boleśno było na duszy: oni powiadają, że ja marzyciel — i dla czegoż? przecież kocham ich jak braci — to rzeczywistość; pojmuję to życie praktycznie, może praktyczniej niż inni, bom nieraz musiał bez wielu się rzeczy obywać i dla kupienia xązki wyrzec się kilku obiadów. Ja miałbym przecież prawo, samowolną pięścią kołatać do podwoi łaski, koleją domagając się o byt dla siebie;—ale nie: ja do tych gonitw o rubla należeć niebędę — czuję wewnątrz mój piersi zapal nieudany,—poświęcenie dla mnie niebędzie straszném, nierozpieściły mię zbytki, nieskrępowwały ducha nawyknięcia... Dzięki ci, professorze Janie! tyś mi wskazał cel życia, a taki święty, niepokalany przez sobkowstwo ani przez słabość ludzką!

— Wszystko to bardzo pięknie,—powiedział Ignas;—ale ja trzymam się zasady: „w wątłem ciele słaba dusza”, chociaż nasz kapelan trochę się krzywi na tę maxymę—ale cóż począć! myśmny słabi. A zatem przez wzgląd na nasze ciało wnioskuje, aby się napić herbatki.

— Zgoda! zgoda!—zawołali wszyscy,—ale jakże to będzie?

— *Juncis viribus*, mości panowie, ot co! może nie polacie?

— Ach mój Boże, i wszystko napróżno! Niesłyszysz, mój potomku (choć nie w prostéj linii) Cyceronów i całej kohorty gadułów w togach, niepoprawisz mnie dwójki, jadę bez patentu do mamy, będę musiał opowiadać bajeczne historye o prześladowaniach, niesprawiedliwościach — mama ze łzami będzie mnie słuchać i, rozumie się, uwierzy, że to zazdrość skrzywdziła jój jedynaka.

— Mój Ignacy,—przerwałem mu—matka cię kocha, a ty ją oszukujesz.

— Oho, mój Katonie! właśnie dla tego, że mię kocha, muszę ją oszukać: lepiej niech sobie myśli, że m skrzywdzony, niż że m nie dobrego. Ale do rzeczy, mości panowie! Najprzód* ja, jako człowiek najpraktyczniejszy, mam herbatę i cukier w kieszeni. Jasiak dostanie samowara i szklanek u gospodyni, bo przecież on gospodarz i może się zdobyć na poświęcenie, wysłuchać przy okazji litanię narzekania na złe czasy, na dwóch złych mężów, których pochowała i t. d. Ale tego jeszcze mało! trzeba jeszcze zrobić inwentarz naszych finansów, a jako kto może niech ku pocziwój sprawie dopomoże— może cytacya niedokładna ale w porę. Ja składam na ołtarz dobra publicznego gr. Pol. 7; więcej niemogę bo niemam.

Jaś poszedł po samowar i szklanki, my zaczęliśmy najsumienniejsze poszukiwanie po naszych kieszeniach, i przy Bożej pomocy jakoś wkrótce przyzwoita kupka miedziaków znalazła się na stole.

— Powiadają: szanuj grosz, grosz cię uszanuje,—ciągnął dalej Ignas,—piękna teoria, ale chciałbym wiedzieć, jak te grosze zebrane na stole uszanują nasz 'apetyt, kiedy swojej pracy do nich nieprzyłożymy? Macie ustęp z ekonomii o kapitale i pracy—widzicie, że nauka i w życiu ma pewne zastosowanie. *Qua causa*, mospanowie, na głosy: kogo wysyłamy w ważnej missyi zakupienia bułek? bo do wszystkiego potrzeba specjalnej kwalifikacyi, jak powiada professor fizyki.

— Karola posyłać niemożna,—zawołał Józef silnie zbudowany, pulchny, z wyrazem powszedniości na twarzy,—bo zobaczycie, że idąc koło kościoła połowę rozda żebrakom.

— No i ciebie niebardzo można posyłać,—przerwał Ignas,—bo ty w drodze wprawdzie nienakarmisz łaknącego, ty się w tkliwość niebawisz, ale trzy czwarte obrócisz na

pożytek twojej indywidualności: ja głosuję za Franciszkiem; czyż my go darmo starym nazywamy? Najprzód, wiek jego i systematyczność broni go od wszelkiego roztargnienia,—powtóre: znacie przecież jego praktyczność, on kupując libkę papieru, przejrzy każdy arkusz, czy niema skazy.

— Głosujemy za Franciszkiem — Franciszek nasz deputowany! — zawołaliśmy jednogłośnie.—Franciszek Drawdzik był jednym z najlepszych uczniów w naszej klasie; nie dał mu Bóg swietnych zdolności, ale bieda wyrobiła w nim charakter i wolę. Kiedyśmy pustowali, on ucząc dziaćwę czytać, korepetując kolegom z niższych klas, przepisując kajeta, zarabiał na swoje utrzymanie—i nigdy niemogliśmy się wydziwić jak mu na wszystko starczyło czasu; umiał sobie wszystkiego odmawiać pod względem wygod życia, byle tylko zapewnić sobie środki do nauki,—i tak robiąc spekulacye na swoim apetycie, w przeciągu dwóch lat ostatnich pobytu w gimnazyum, zebrał sobie w cale niezłą biblioteczkę z kilkudziesięciu ale wybornych dzieł złożoną. Często wiedząc że niema za co kupić obiadu, zamożniejsi koledzy zapraszali go do siebie. Franciszek przychodził, ale niedotknął okruszki chleba, i kiedy mu wyrzucano, że zbyt jest dumnym i niechce przyjąć bratniej pomocy, zwykle odpowiadał: — dumny; niewolę jestem od tego grzechu; ale toby mię poniżało gdybym się wyparł swojej zasady. Człowiek do tego tylko ma prawo co zapracuje: waszego obiadu niebędę jadł, bo niezapracowałem nań. Zresztą wywzajemnić się niemogę, ja wam obiadu niekupię, musiałbym zaciągać dług bez potrzeby i bez zamiaru wypłacenia go. To szalbierstwo, a ja jestem pocziwy człowiek. Zjadłem dziś szklankę mleka i to wystarcza. Przecież mogłem mieć obiad bo jeszcze onegdaj miałem 20 złt., ale znalazłem u bukonisty fizy-

kę Pouillet'a, wołałem ją kupić i przez miesiąc brać mleczną kurację. I cóż mi to szkodzi? przecież widzicie, żem zdrow i wesół.—

Ta codzienna walka o potrzeby życia, wyrobiła w nim poszanowanie grosza, jako środka: nim co wydał, długo się namyslał,—i jak choremu koledze zawsze przybiegał z chęcią, z pomocą, tak zdrowemu i mogącemu pracować nigdy niepożyczył pieniędzy, a nawet niepomógł w pracy umysłowej, dowodząc, że każdy winien sam sobie radzić. Ta rachunkowość z początku zrażała nas i odstręczała od Drawdzika, unikaliśmy go nawet przez rok blisko; ale później jedna okoliczność pokazała nam, że to zacne serce i że tylko jakaś kontradykcyja w moralnej naturze ducha, z warunków życia wylęła, była powodem takiej oziębłości i przezornego egoizmu. Było to jakoś jesienią. Przez miesiąc blisko niewidzieliśmy Drawdzika ani na lekcjach, ani u kolegów; powoli zaczęło nas niepokoić; ja w imieniu kolegów poszedłem dowiedzieć się, co się z nim dzieje. Mieszkał on wtenczas na Popowszczyźnie w małym domeczku, który podczas zimy stał zwykle pustkowiem, i dla tego za kilkanaście złt. komornego mógł mieć swój kątek.—Znalazłem go w domu; trochę się zakłopotał gdy mnie zobaczył: była to szlachetna skromność człowieka, co się ukrywa ze swojemi dobrymi uczynkami. Od miesiąca pielęgnował on chorego wyrobnika, którego znalazł leżącego na drodze. Niemiał on dla niego żadnych obowiązków, bo go nieznał; ale był to człowiek chory, co nie mógł pracować, miał przeto prawo do jego pomocy: zabrał go do siebie, przywołał lekarza, pielęgnował jak brata, poświęcił cały zapasik grosza tak mozolnie zbierany, a gdy choroba się przeciągała, powoli surducik poszedł na zastaw, i połowa książek się sprzedała. Ze łzami uwiel-

bienia rzuciłem się mu na szyję; w imieniu wszystkich kolegów przepraszałem go za naszą niesprawiedliwość; wyznałem mu szczerze, że my sądząc z pozorów uznaliśmy go za egoistę. On się uśmiechnął boleśnie i powiedział: „Bolało mię to, ale niemogłem się poniżyć do tłumaczenia; wybyście mnie niezrozumieli, a ja komedyi zgrywać niemogę.”

Na drugi dzień całęm gronem przyszliśmy wynagrodzić naszą pomyłkę. Uzbierała się mała składka, chory wyzdrowiał, a Drawdzik ani na jotę niezmienił swego postępowania; ale myśmy szanowali jego dziwaczne nieraz maxymy, bośmy się przekonali, że one z zacnej płynęły duszy.

Mniej jak w kwadrans Jaś przyszedł ze szklankami i samowarem, Franciszek wrócił z bułkami, a Ignas jako promotor postawił stół na środku pokoju, zamiast serwetki rozesał kilka arkuszy Kuryera Wileńskiego i zaczął ustawiać szklanki.

— No, Jasiu, niepopisałeś się: nas jest czternastu a szklanek tylko 7; ale trzeba się ratować jak można, musim się podzielić na dwie partye, na gości i gospodarzy. Najprzód nakarmim i napoim hultajów: bo ci zwykle cudzym kosztem żyją.

— A ty, Ignasiu, do jakiej partyi będziesz należeć?—zapytał Franciszek.

— Ja, jak to wam musi być wiadomo, mam niezaprzeczone prawo do hultajstwa; bo mama wyprawuje mię do szkół mówiła: „Niemęcz siebie, mój Ignalku szanuj zdrowie, boś ty jeden u mnie jak słońce na niebie.” To też szanowałem moje zdrowieczko, wyglądam zda się nieźle, i umiem właśnie tyle ile potrzeba jednukowi, co dostanie wioskę po rodzicach.

Znałem Ignasia zupełnie z innej strony; wiedziałem, że chociaż niebardzo się przykładał do nauk, ale wiele czytał, i pomimo swój lekkomyślności pozornej, wyrobił w sobie dość wytrawny sąd o ludziach i o swoich obowiązkach: dla tego bolał mnie jego cynizm w przechwalaniu się ze swemi wadami, i lekceważenie w słowach nawet tego co szanował najbardziej.

— Mój Ignasiu,— powiedziałem mu— niesłusznie siebie oskarżasz. Prawda, żeś mniej od nas ślęczył nad książkami, aleś się więcej wpatrzył w życie,— i w każdej sprawie, która nas obchodziła, któż nam doradził? Ignas! kto z kłopotu wypłatał? Ignas! kto się podzielił ostatkiem z potrzebującym? Ignas! kto Antosiowi napisał ćwiczenie, za które tamten wziął piątkę, a sam niepodał żadnego? Ignas! i zawsze Ignas!

— O dla Boga! powstrzymaj swój zapęd Karolu!— zawołał Ignas,— czy niemyślisz odprawiać na moję cześć litanii? toż bałwochwalstwo. Jak rozbujasz swoją wyobraźnię, mój Karolu, to gotoweś poczytać mi za największą zasługę, że nie nieumiem, że będę żyjącym obrazem nędzy moralnej, i każdy ojciec i matka pokazując na mnie będą mówić do swojego syna: „ucz się chłopcze, żeby niebyć takim nie dobrego jak ten Ignas.”

— A dajcie już pokój téj nauce!— przerwał Antos— czy już niema o czém porządniejszém rozmawiać? Że Karol, że Drawdzik się uczą, to ich rzecz, oni będą z tego chleb jedli, ale nam to na co? jeszcze nam chleba wystarczy.

— Masz najzupełniejszą rację, mój Antosiu,— przerwał Ignas,— tém zdobyłeś sobie przywilej do pierwszej szklanki herbaty: bo kiedy my hultaim przypadkiem, ty hultaisz z zasady.

— Żartuj sobie zdrów!— przerwał Antos—a ja sobie wra-

cam do domu i zaczynam gospodarzyć, i ręczę, że bez waszych mądrości, będę miał więcej od was wszystkich pieniędzy—a jak mi trzeba będzie co zrobić, to kupię sobie jakiego hołysza, co za mnie będzie pracował, aja mu zapłacę.

Obrażał nas wszystkich podobny sposób zapatrywania się na rzeczy; aleśmy się wszyscy przyzwyczaili nieprzywiązywać wielkiej wagi do tego co Antos mówi. Jeden tylko Drawdzik, który go instynktowie nie lubił, zbłądził, postąpił parę kroków do łóżka, na którym leżał rozwalony Antos, i głosem tłumionym powiedział:

— Powoli, powoli, mości Krezusie, z kupowaniem hołyszów! Nas tu więcej hołyszów niż pasożytów takich jak ty; ale jeszcze bodaj żaden z nas niebył do sprzedania; niekupiłeś nawet odrobiny przychylności i poszanowania jakie się ma dla kolegi,— i dla tego ci radzę, niewywołuj wilka z lasu, bo mógłbym ci tak gorzką prawdę powiedzieć, że odpadłaby cię ochota, chęłpienia się z grosza, kto wie jak nabytego.

Antos był synem dorobkowicza. Ojciec jego najprzód ekonom, dalej pisarz prowentowy, później komisarz, dorobił się znacznej fortuny, może niezupełnie wedle prawdy i sumienia. Kupił majątek w dyferencyach, od razu rozpoczął kilka procesów z biedniejszymi sąsiadami; a że miał pieniądze, słuszość znalazła się na jego stronie i zaokrąglił sobie w ten sposób bardzo piękną fortunę. Z początku okoliczni obywatele patrzyli nań z ukosa; ale powoli, powoli, oswoili się widzieć go w swoim gronie. Smaczne obiady dokonały reszty. Przymówka zatem Drawdzika tak była jawna, że nawet Antos ją zrozumiał, chociaż niegrzeszył domyslnością. Zerwał się z łóżka, czerwony jak upiór, i podskakując do Franciszka, zawołał:

— Cóż to sobie ty myślisz, że ja pozwolę byle komu

w kaszę dmuchać? Przymówki! patrzaj go, — jeszcze on, mnie będzie robić przymówki!

Ściągnięte rysy Drawdzika kazały się nam lękać, że może z tego być awantura; i kto wie jakby się ta sprzeczka skończyła, żeby Ignas nie wpadł między zwaśnionych, wolając:

— Dosyć téj gawędy, czas do roboty. Jak przyjedziemy do ciebie, Antosiu, to nam twój Hryćko nastawi samowar i będziesz nas wielce fetował; a teraz, ponieważ niemamy Hryćki, zrzuć pychę z serca, bierz dzbanek i ruszaj po wodę.

— Jak to? ja po wodę? — zapytał Antos, patrząc ze zdziwieniem na Ignasia.

— A tak, po wodę: bo wiesz przecię, że bez wody samowara nastawić niemożna.

Antosowi ten komis widać bardzo się niepodobał, ale że się lękał trochę Ignasia, odezwał się nieśmiało, patrząc mu w oczy:

— Możeby kto inny?

— Patrzenie, jaki wyborny nasz splenderek! — zawołał Ignas odwracając się do kolegów — Kto inny! — czemuż nie? Niech inni pracują, ja będę spożywał. Zastosujesz tę zasadę, jesteśmy przekonani, jak pojedziesz gospodarzyć; ale tymczasem życzymy panu szczęśliwej podróży. Tylko uważnie i oględnie z tym dzbankiem: ucho trochę niepewne.

Antos wyszedł mrucząc pod nosem; a wszyscyśmy dziękowali Ignasiowi, że tak w porę umiał upokorzyć niewczesny wyskok Antosia, który w naszym serdecznym koleżeńskim kółku, był jakby żyjącą przestrogą: że te szkolne przyjaźnie, tę równość braterską, zetknięcie się ze światem rozproszy jak mgły poranne, że miejsce miłości i poświęcenia zajmie w naszym sercu interes i sobkowstwo, że

uszanowanie zasługi i pracy zastąpi albo schlebianie niewolnicze tym co silniejsi, albo li też zerwanie z towarzystwem i zamknięcie się w sobie samym. — Smutna wojaczka z upiorami przesądów i zastarzałych nawyknień, kiedyż ona przestanie pochłaniać co najpiękniejsze zdolności i składać na ołtarz Baalowi szlachetne uniesienia dusz młodzieńczych, lzy rozpaczki bezsilnej, umysły stargane zwątpieniem? W naszym kółku z kilkunastu młodych chłopaków złożonem, których nauka i koleżeństwo powinnyby zwrócić ku jednemu celowi, tyle się różnorodnych zebrało żywiołów, — a cóż będzie później? co będzie w życiu?

Przy herbacie gawędka szła jakoś zwawiej, każdy się spowiadał ze swych rojeń, ze swych projektów na przyszłość; a najniedorzeczniejsze nawet plany poparte nieudanym zapalem i potęgą młodzieńczej wiary w swe siły, nabierały u nas praw obywatelstwa.

Kilka słów, płynących z serca, pewno potrafiły obudzić szczery zapal, chęć poświęcenia. Każdy zabaczał o sobie, o swoich widokach i celach, całą istotą zlewał się z myślą ogólną, okiem roziskrzonem wiarą w przyszłość i nadzieją, gonił uroczym fantazmą młodzieńczej wyobraźni.... wniosła to była chwila ogólnego uwiedzenia.

Czy się ona powtórzy? czy się wyrzeje niezatartym piętnem na sercach naszych? Tak wzniosłych postanowień, wywołanych przez podniesiony stan ducha, ani czas, ani ludzie, ani przeciwności zagładzić niebyły w stanie.

Czy owe wzniosłe zamiary, poświęcenia pełne, rozpierzchną się jako mgły poranne, gdy słońce realizmu, wejdzie na naszym horyzoncie, — czy dochowają nieskalaną dzieviczą szatę młodzieńczego ducha i ochronią przez lat wie-

le serca nasze od zajazdów egoizmu, zwątpienia i obojętności, co z śmiercią graniczy? któż zgadnie, kto to przepowiedzieć potrafi?

O! moi drodzy koledzy, z którymi się tyle lat wolnych od trosk i niedoli przeżyło, dzieląc się myślą każdą, płacząc jednymi łzami, ciesząc się wspólną radością — czy was kiedy zobaczę? czy pozwoli los zawistny spotkać się nam kiedy znowu wśród życia kolei, i tak jak dawniej tylko w doświadczenie bogatym, przez czyszciec próby zahartowanym, iść z życiem w zapasy, pierś przy piersi, ręka w rękę, mieć jedne drogi i wspólne cele?

Niestraszy nas nieszczęście, bośmy w wiarę bogaci — niech ono nas dotknie — lecz dla tego tylko, byśmy przez cierpienie uszlachetnieni, stali się pożytecznymi pracownikami w winnicy Pańskiej.

A jeżeli któremu z nas sędzono dla ziemskich celów podeptać swoje świętości, dla utorowania sobie drogi popchnąć bliźniego w przepaść, uchylić szlachetne czoło przed nieprawością, dla tego tylko że silniejsza, lub nagiąć wolne sumienie do frymarku sobą i swoimi, to lepiej niech o takim pamięć zaginie — i niedozwól nam Boże spotykać go w życiu, by jego upadek naszych wspomnień nieobrażał, a jego poniżenie niestaneło przed nami, jak widmo szyderstwa z zapalów młodzieńczego ducha — i nieposłużyło za żyjący przykład, dla tych, coby w imie egoizmu pragnęli stygmatem szaleństwa, napiętnować każdą myśl z serca niezarażonego sobkowstwem płynącą, każdy zamiar co się wyłamał ze spowijaków kupczenia, zysku lub wzdychania do dobrego bytu dla siebie, każdą chwilę uniesienia i zapалу, w których człowiek zabacza o sobie — a żyje tylko dla idei. Często bardzo zastanawiałem się nad tem, czemu by przypisać tę łatwość, z jaką w naszym wie-

ku przechodzimy od jednego usposobienia do drugiego? na mocy jakich praw, jakich wpływów zewnętrznych, rozwija się w późniejszym wieku inercya ducha? a chociaż mi pan Jan starał się wytłómaczyć, że właśnie ta inercya jest hartem charakteru, niezmiennością opinii, siłą woli, ja jakoś nigdy dobrze tego pojąć nie mogłem. Ale wiedziałem z doświadczenia, że gdzie się zbierze kilkunastu młodzieży, tam łyż od śmiechu, najpoważniejsze postanowienia i zamiary od pustoty, jedna tylko chwila przedziela: — to też i z nami wczoraj zupełnie było tak samo. Po chwili skryształizowania młodzieńczego zapалу, gwoli jednej myśli wzniosłej, która winna była być zasadą naszego postępowania wciąż przez wszystkie godziny życia, — nie pamiętam już na czyj wniosek, uprzątnęli naprędce w pokoju, mnie dali skrzypce w ręce, wsadzili na komodę i kazali rznać od ucha; Drawdzik wtórował na grzebieniu, inny z kolegów takt wybijał w miednicę, a reszta kompanii dalej do tańca. Ktoby ze strony patrzył na te niesforne skoki, na oczy roziskrzzone nieudanym weselem, twarze rozpromienione swawolą, ten mógłby nas wziąć wszystkich za wyzwolenców od Bonifratrów albo hołdowników Bachusa, — a jednak tak nie było. Podniętą zabawy był nadmiar życia, który się musiał jakkolwiek przejawiać na zewnątrz. A chociaż patrząc na nas niełacnoby nas uznano za nieodrodne dzieci Terpschory; toć w ruchach tyle było dziarskości, na twarzy takie wesele szczere, serdeczne jaśniało, iż wieluby się znalazło, coby nam tej godzinki swawoli pozazdrościć mogli. Biedni co się nigdy niezapominają!...

— Basta! — zawołał Drawdzik rzucając grzebień, gdy u mnie już się wszystkie struny na skrzypcach porwały, a reszta kolegów zmęczona ledwo się trzymała na nogach.

Ignas leżąc na łóżku, głosem przerywanym od zmę-

czenia zawołał: — Hola frygi! — cóż to nieznacie waszych obowiązków? dalej w solennym porządku wedle zasługi, oddać cześć kapeli!

I za przykładem Ignasia, wszyscy skoczyli do nas, pochwycili na ręce i poczęli wyrzucać w górę każdego z kolei. Chwała Bogu, że mi się udało skrzypce położyć w bezpiecznym miejscu.

— Grajek zmachał się od grania.... powiedział Ignas ocierając pot z czoła rękawem, — jak tam dalej? podpowiedzcie chłopcy, bo nie pamiętam.

— Dalej stoi napisano: że wszyscy się rozeszli do domu, — powiedział Drawdzik i wziął poważnie czapkę.

— To chyba nieczytałeś przypisku — rzekł Ignas, — bo tam jest napisano: że wyszli na ulicę, ale nie do domu. Ja głosuję za przypiskiem, — czy zgoda panowie?

— Zgoda! zgoda! — zawołali wszyscy.

I w jednej chwili już byliśmy na dole i parami sunęliśmy się bez celu, głośno gawędząc i nócąc.

Już było późno; na ulicach niespotykaliśmy nikogo; miasto zmęczone dziennym trudem spoczywało. Dziwne wrażenie robią puste ulice ludnego miasta wśród nocy. Gdzie spojrzysz, w oknach ciemno, cisza dokoła, i echo stąpania odbite wielokrotnie, jak wśród katakumb głucho się rozlega, dochodzi do ucha, by złowieszcza przestroga za połamaniem praw natury i lekceważeniem cudzego spokoju. Błądząc tak bez celu, nie chcący znaleźć się na Ostrobramskiej ulicy. Mimo woli posunęliśmy się dalej; wszyscy przyklekli, głowy się pochylili w kornej modlitwie, a tam przed obrazem, jak gwiazdka nadziei, świeciła lampa, migocząc, a wśród nocnej ciszy wyrrywające się z naszych piersi westchnienia zlewały się w hymn błagalny o błogosławieństwo na drogę życia. Podniosłem wzrok, w pa-

trzyłem się w obraz, i zdawało mi się, że z mroków nocnych, wyjrzała twarz Boga-Rodzicy, otoczona jasnością, i dłonie złożone na piersiach, wyciągnęła zda się po nad naszymi głowami, a wiatr przelotny zdawał się szeptać do ucha: „Ja ukochałam Wilno, bo gród ten od wieków dań z miłości i z modłów serdecznych mi płaci; wyście dzieci tego grodu, Ja czuwać będę nad wami; ale ducha niegasicie, szanujecie zapal święty w piersiach złożony, a gdy po latach wielu wrócicie do rodzinnego miasta, każdy kamień co wieki pamięta, będzie miał prawo was zapytać: coście zrobili ze spuścizną łez, pracy i poświęcenia, przez ojców nam przekazaną? I złożę w waszych piersiach miłość niewygasłą dla tego grodu, z którego się na świat rozchodzicie; ona was ochroni od podszeptów pychy i chęci wznieślenia się, zniej wykujecie zbroję, która waszą pierś zakryje od pocisków, namów obcych i ludzkiej przemocy. Ufajcie tylko, w modlitwie czerpajcie siły; a gdy was gdzie daleko od swoich pokusy otoczą, a wasza pierś zabłądzi się egoizmem, — szukajcie obrony przed moim ołtarzem, ulatujcie wspomnieniem w lata minione: świętość chwili obecnej będzie dla was najlepszym puklerzem.”

I znowu było cicho, lampa wciąż migotała, a w duszach naszych był spokój. Powstałszy w milczeniu i ze spuszczonej głowami, z piersią przepełnioną miłością, z załzawioną źrenicą przeszliśmy aż na plac katedralny. Tu Drawdzik nas zatrzymał; twarz jego była zaogniona silnym wzruszeniem, oko łzawe, głos tłumiony gwałtownym uczuciem.

Mysmy go otoczyli, a on tak do nas mówił:

— Bracia, wspólna modlitwa, to wielki ślub Bogu: tam przed obrazem Matki Boskiej ochrzcziliśmy naszego ducha miłością, modlitwą i poświęceniem; tu w obec tych wieko-



06295

wych pamiątek życia praojców, które nas otaczają, podajmy sobie dłonie i wykonajmy wielki ślub stania się godnymi obowiązków jakie przeszłość na nas wkłada. Praca i prawda niech będą naszym godłem; wspomnienia naszą podniętą; spełnienie obowiązku jedyną naszą nagrodą.

Gdy to mówił, twarz jego strojna w zapal i natchnienie, silną wiarą rozpromieniona, była piękna tym rodzajem męskiej piękności, której nieznajdziesz w Greckich posągach. Wyciągnął do nas rękę i 14 rąk związało się w jeden węzeł, i czternaście par oczu ławych a iskrzących zapalem wzniosło się ku Niebu, jakby biorąc Pana Zastępów za świadka tego postanowienia, co młodzieńcze zaludniło piersi. Drawdzik mówił dalej:

— Patrzenie, oto świątynia Pańska; wzniosła się na gruzach pogaństwa, i przez wieki przechodząc i przeistaczając swe kształty, gromadziła w swych murach swoich wyznawców. Wiara ją wzniosła, wiara ją strzegła; chowajmyż w piersiach wiarę! Widzicie te góry na szczycie góry Zamkowej, siła je wzniosła a czas zniweczył, dziś pleśń je przykrywa i wiekowe gmachy w ruinach, gdy trzy drewniane proste krzyże na sąsiedniej górze stoją jeszcze. Dźwigajmy swój krzyż z radością: bo tylko przez krzyż do nieśmiertelności droga. A tam, jeszcze dalej, na prawo, spostrzegacie płowy odsyp góry Bekiesza; przelotne wiatry zdmuchnęły nawet i ślady pomnika, jednostce wzniesionego: taka kolej, takie prawo konieczności. Pracujmy nie dla rozgłosu, ale dla prawdy: pomniki runą, ale owoce pracy sumiennej przetrwają przez wieki.

— Przez wieki! — powtórzyło czternaście piersi. „Przez wieki!” wtórzyło echo odbite od ścian świątyni i od gór krawędzi, i z tamtąd przedzierając się po ramionach krzyżów wyżej i wyżej jeszcze raz odbiło się w chmurze przelotnej

i zleciało na dół — „Przez wieki,” jak błogosławieństwo na nasze głowy.

O moja matko, matko jedyna! Czemuż ciebie nie było w owej chwili, kiedyś się mogła pochlubić swoim synem! a tak mi było potrzeba twojej piersi, na którejbym mógł uspokoić moję rozmarzoną głowę i spłakać się dowoli łzami radości.

Każdy z kolegów miał swoich blizkich, którzy jego tryumf dzielili; ja tylko jeden napróżno toczyłem wzrokiem do koła, przeglądając świetne grono zebranych gości na akt publiczny: tam nie było nikogo na czyjby widok serce zadrgało w piersiach. Boże mój, Boże! czemuż się to dzieje, że trudniej podolać wielkiej radości, niż boleści gwałtownej? Pierwsza pierś nam rozwidnia, cały świat wydaje się nam pięknym, pod jej wpływem kochamy wszystkich ludzi jak braci, i radziłyśmy z nimi się dzielić tym nieprzebranym, według naszego mniemania, skarbem radości, i dzielimy się z silną wiarą, że ten podział nas niezuboży na szczęście; radziłyśmy pełnemi garściami rozrzucać między bliźnich uciechę, widzieć dokoła siebie tylko uśmiechające się twarze: bo szczęście, to spuścizna młodości; a młodość niebaczy na jutro, właśnie dla tego, że przed nią tyle dni jutrzejszych zostało. Boleść kryje się od świata, w cichości nocy bezsennie trawionych spożywa życia zasoby, godziny zmienia w lata, olbrzymim krokiem posuwa nas do końca; a chociaż sił ducha niezniweczy, ale jeszcze hartu mu nada i wzmocni, wolę przerobi, niedoświadczonego chłopaka zamieni w męża, toć w zamian za dni próby każe zapłacić ciężką daniną ze zdruzgotanych rojeń uroczych snów i marzeń młodocianych, nadziei promiennych, postawi nas nad świeżo usypaną mogiłą, w któ-

rój własnymi rękami zagrzebaliliśmy wiarę w szczęście osobiste, a zamiast pomnika postawiliśmy na niej chłodne uczucie obowiązku, który ma być przewodnikiem w dalszych życia kolejach...

Dziś należy do mnie, jam dziś szczęśliwy, bom osiągnął celu. Pocóż się strachać o jutro, pocóż wywoływać widmo zgryzoty, której i tak dość jeszcze przyjdzie doznać w życiu?

Po ukończeniu uroczystego aktu z Drawdzikiem dostaliśmy najwyższe nagrody. Pobiegłem pochwalić się i podzielić swoją radością z professorem Janem. Przez cały czas mego pobytu w Wilnie on mi zastępował rodziców, wspierał radą a niekiedy i kieszonią, chociaż sam nienazbyt był w środku bogaty. Wiązała go z moim ojcem przyjaźń od ławki szkolnej, w imię więc tej przyjaźni poruczono mi jego bacznej opiece. Był to człowiek najzaczniejszy w świecie; ale trzeba go było zrozumieć, trzeba było umieć odkryć i dopatrzeć pod szorstką, nawet trochę rubaszną postać duszę wzniosłą, zapалу pełną, której ani czas, ani okoliczności zużyć niemogły. Pomimo siwego włosu przechował jak świętość, młodzieńczość ducha; w chwilach serdecznego wylania skoro go roze-grzało współczucie słuchającego, widziałem w nim inszego człowieka niż zwykle: jego twarz promieniała natchnieniem, rysy niepiękne i trochę ospa zeszpecone odbijając wewnętrzny nastrój ducha, uszlachetnione zapalem, jaśniały jakimś mistycznym nieodgadnionym powabem.

Niezależność osobista była główną ideją, do której dążył przez całe życie; dla niej zaniechał świetnego może losu i rozgłosnego stanowiska w nauce: porzucając kate-

drę profesora uniwersytetu osiadł w Wilnie i utrzymywał się z lekcji prywatnych; a wszystkie wolne chwile poświęcał muzyce, która się w końcu stała jedynym łącznym jego żywiołem i zapełniała całą próżnię jaką mogło zrobić w sercu tkliwem i do przywiązania skłonnem życie samotne zdaleka od ludzi, chociaż wśród ludnego miasta. Dla tego by sobie niekrępować, potrafił ograniczyć swe potrzeby tylko niezbędną koniecznością. Ileż to razy powtarzał mi, pragnąc przelać swe zasady w moje młodziane serce, „Mało potrzeb—wiele swobody; przyzwyczajenia—to łańcuchy na niezależność ducha. Kochaj ludzi, ale postaw siebie tak, żebyś niczego od nich niepotrzebował. Dawaj wiele—bierz mało. Wdzięczność, to naj-srozsze pęta na swobodę. Lakoniczne te formułki zaklepały w siebie całą niemal historię życia, tego kochanego mizantropa,—co kochając ludzi, o ile mógł ich unikał, dla tego jedynie, by stosunki z nimi niepostawiły go w zależności od czyjegós kaprysu. Mieszkał na poddaszu, w małym pokoiku, którego całe umeblowanie stanowiły łóżko, szafa z książkami, stół do pisania, pulpit i polka na nóry. Przy stole stało jedyne krzeselko plecione, a w jednym kącie koło pieca prosty stołek drewniany z miską i dzbankiem do wody, kij, parasol i na kilku éwiekach zawieszzone płaszcz, futro i trochę innego odzienia. W innym kącie stał samowar i króbką z węglami, a obok niego dwie szklanki, imbryczek i mieszek. Przy pulpicie leżało na ziemi pudełko ze skrzypcami. Trudno było wchodzić do jego mieszkania, ale za to z jego okna był widok czarujący. Sposób jego życia był następujący: wstawał o piątą i narzuciwszy na siebie płaszcz ruszał z dzbankiem po wodę, zachodził po drodze do piekarni, kupował bułkę, wracał, sam stawiał sobie samowar, po herbacie

grał zwykle kilka godzin;—poźniej wychodził na lekye co mu zabierało także kilka godzin czasu;— za powrotem do domu czytał, robił wypisy, a wieczorem albo ja przychodziłem na gawędkę, albo znowu grał, bo czytać niemógł. Obiadował rzadko, nie przez oszczędność, ale dla tego że to go kosztowało,—i kiedym mu zarzucał, że to może zdrowiu zaszkodzić: zwykle mnie odpowiadał: „Ależ mój Karolu, jaż niemogę być niewolnikiem traktyernika; u niego obiad gotów o pierwszej a ja mogę chcieć jeść o dwónastej; stolować się starym, to kupować niewolę; organizm skłonny do przyzwyczajenia; regularność jest matką przyzwyczajenia; złamanie nabytego przyzwyczajenia okupuje się chorobą.”

Jednym tchem wbiegłem na trzecie piętro z patentem w rękę, z radością w sercu. Przy drzwiach zatrzymałem się, by oddech odchwycić i posłyszałem rzewne tony elegii Ernsta, które się z pod jego smyczka wylewały jako bolesna skarga kochającego, a zranionego serca, które przeszło przez świat szeroki samotne, i nigdzie niespotkało bratniego społeczenia. Uchyliłem drzwi pocichu zatrzymałem się przy progu, i w niemém zachwyceniu przysłuchiwałem się grze pr. Jana, który stał pośrodku pokoju sposagowany prawie, ze łzawém okiem; i skrzypce i grający stanowiły jedną całość. Ten kawał drzewa musiał pojąć niemą boleść swojego pana, i dla tego stróny jego z taką prawdą się wypowiadały. I słuchałbym go długo, śledząc myślą wszystkie przejścia uczucia we wzniosłe, a rzewności pełne tony, żeby znienacka pr. Jan nieurwał w pół taktu z pewném niezadowoleniem na twarzy, jakby się żałując na instrument, że zeń niemożna wydobyć tonu harmizującego z jego wewnętrznym nastrojem. Wtedy rzuciłem się mu na szyję ze łzami w oczach, starałem się

moim uściskiem ukoić boleść, którą zrozumiałem kochającym sercem: zapomniałem i o patencie nawet i o świetnych rojeniach; gra jego uniosła mnie daleko w te niedostępne krainy ducha, których nigdy niedojrzy oko zamroczone egoizmem, albo też przyćmione materjalizmu powłoka.

— Karolu pamiętaj,—mówił mi jakby odpowiadając na myśl moję,—że sztuka to przeczysta dziewica; skoro szaty twojego ducha piejaśnieją śnieżną białością, nieważ się do niej zbliżyć: prawdziwe uczucie tylko z szlachetnego łona wypłynąć może—i zaczął chodzić po pokoju wielkimi krokami jakby się starając uspokoić; ja mu podałem patent.

— Co to jest?—zapytał mnie jakby budząc się z uśpienia.

— To patent, otrzymałem go przed chwilą, do kogoż miałem się udać, aby podzielić moję radość? tyś mi drugim ojcem, wesprzyj mnie radą i pobłogosław na drogę życia. Z gorączkową prawie niecierpliwością pr. Jan rozwinął patent, i zaczął się weń wczytywać, mrucząc pod nosem:

— Pocziwe serce.... brak hartu; dziecięca wrażliwość.... czas i niedola najlepsze lekarstwo.... Skoro skończył, położył patent na stole, wpatrywał się przez kilka minut w twarz moję jakby chcąc wysledzić wszystkie najskrytsze myśli, a poźniej zapytał:

— Przyjacielu! cóż myślisz?

Ja co czekałem pochwały i zachęty, trochę byłem zrażony tém niby obojętném zapytaniem, i dla tego dość ozięble odpowiedział:

— Świat szeroki, może się i dla mnie na nim znajdzie miejsce; będę się uczyć, będę pracować, a może kiedyś dobiję się szacunku u ludzi i mniéj więcéj korzystnego stanowiska na świecie.

Słowa moje przykre zrobiły na pr. Janie wrażenie.

— To nieprawda, przyjacielu! nie taki cel twojej pracy: czyżby ci dziecinne wawrzyny tak zawróciły już głowę? Bracie, strzeż się pychy; skoro ta namiętność włoży pęta na twojego ducha, on musi skarlec: niewola to matka błędów. Idź w świat, bo taka dola; ty masz obowiązki rodzinne, które ciebie wiążą, będziesz musiał być wyrobnikiem całe życie, by młodszemu rodzeństwu rękę pomocy podać. Czyż ci jeszcze mało tej jednej niewoli? i jeszcze pragniesz przykuć siebie do taczki samolubstwa? Nie, to być niemoże. Karolu! cóż, milczysz? odpowiadaj mi przecie!.....

Rzeczywista nieudana boleść, co się na twarzy zanętego starca wybiła, poruszyła mnie do głębi. Podszedłem doń z wyrazem skruchy na twarzy, jak grzesznik, co się do winy przyznaje; ścisnąłem go za rękę z temi słowy:

— Daruj, professorze Janie! to był wyskok chorobliwy obrażonej miłości własnej. O! nietakie mię cele wiodą w ten świat; ja kocham ludzi jak braci, ich dobro publiczne mojem jedynem marzeniem, a w każdym, by najlichszem położeniu na świecie, czuję to mocno, można być pożytecznym.

— Ale niezawsze szczęśliwym,—dorzucił pr. Jan z tklivością przyciskając mnie do piersi, a jednak, Bóg widzi,— że pragnąłbym dla cię innego losu. Konieczność, smutne prawo. Broń swęj niezależności, moje drogie dziecię, ograniczaj swe potrzeby, by się niestać ich niewolnikiem. Niesłuchaj podszeptów miłości własnej, to zdrażliwy doradca: on chęć blasku i wyniesienia się przybierze w szaty poświęcenia, tak, że twe młodociane serce niewiedząc o

tém prawie uderzy czołem uwielbiając samego siebie. A to najstraszniejsze pogaństwo.

— Niełękaj się, professorze Janie: za tarczę mi będą służyć twoje rady, a za nauczkę w strapieniu sztuka do której przybytku tajemniczego, dzięki twęj łasce, wstęp otrzymałem.

— Mówisz dobrze; postępuj tak jak mówisz. Kiedy się rozdzielamy, niezapominaj o starym przyjacielu. Spisałem dla ciebie kilka uwag; przyjaźń i doświadczenie je dyktowały.

Mówiąc to podał mi kilka arkuszy zapisanych starannie.

— Skrzypce, na których grałeś, weź z sobą: one ci nie raz przypomną starego przyjaciela; a oprócz tego—dodał staruszek z widocznem zakłopotaniem—ty się niebędziesz na mnie gniewał, Karolu...bo ja mam do tego prawo, przecież sam nazywałeś mię drugim ojcem....

I mówiąc to podszedł do stołu wyjął nowiutki pugilares i podał mi z błagającym spójrzeniem.

— O nie, pr. Janie, tego niewezmę! ja miałbym Cię odzierać, ciebie mój drogi ojcze, coś musiał sobie odmawiać najkonieczniejszych potrzeb, by ten mały zapasik uzbierać nie! nigdy! To toż samo, co głodnemu odebrać kawałek chleba. Ten grosz, co bym przyjął od Ciebie, wołałby o pomstę do Boga, onby mi szczęścia nieprzyniosł.

— O pomstę może wołać tylko grosz podle nabyty. Pycha i jeszcze raz pycha. Twoi rodzice mniej mają bo więcej mają potrzeb. Z resztą, Karolu, ty musisz przyjąć: te pieniądze nienależą do mnie, to dług który u twego ojca zaciągnąłem przed laty.

I staruszek się odwrócił, lękając się gdybym niewyczytał na jego twarzy, że może pierwszy raz w życiu musiał skłamać.

Zamiast odpowiedzi, rzuciłem się mu na szyję. Przycisnął mnie do piersi, a dwie łzy gorące spadły mi na skronie. Święte łzy, wyście namaściły me czoło zostawując na niém ślady, które niepozwołą, by to swobodne młodzieńcze czoło uchyliło się przed podłością, dla tego tylko że mocna.

— Pisuj do mnie, Karolu; pisuj o wszystkiem, co ci na myśl przyjdzie, ja cię potrafię zrozumieć. A teraz chodźmy w góry, za ogrodem botanicznym pożegnać miasto. Jutro wyjeżdżasz i Bóg wie kiedy wrócisz.

To mówiąc włożył kapelusz, wziął parasol w rękę i posunął się do drzwi, mrucząc pod nosem:

— Świeże powietrze, tak, tak, przyjacielu... najlepsze lekarstwo... trzeba się leczyć; gwar zewnętrzny uspakaja jęk duszy. Chodźmy do ogrodu, tam będzie ludno.

Wyszedł na ulicę i zdążył w stronę botanicznego ogrodu.

W ogrodzie było ludno, mnóstwo strojnych dam spacerowało po wielkiej alei. Ja pierwszy raz miałem na sobie cywilne odzienie: zdawało mi się, że wszyscy patrzą na mnie, że wszyscy mnie winszują, iż jestem człowiekiem.

Tuż przy wrotach spotkaliśmy Drawdzika; przyłączył się do nas i szliśmy dalej razem. Dziwacznym kontrastem była postać pr. Jana wśród tego strojnego świata: jego sztywna długa postać w zapięty pod szyję szafirowy długi surdut ubrana, czerwony parasol w ręku, krok poważnie komiczny, kapelusz odwiecznej formy, wypłowiały, ale wygładzony,—zwracały na siebie oczy wszystkich przechodzących. On wcale tego nie uważał szedł wyprostowany aż do ławeczki pod topolami, naprzeciw oranżeryi. Tu się zatrzymał, zdjął kapelusz z niewysłowioną bo-

leścią na twarzy. Na ławeczce nie było nikogo; zapytaliśmy więc zdziwieni:

— Professorze? komu się kłaniasz,

— Wspomnieniu i miejscu!—powiedział z uroczystością.— Na tej ławeczce on zwykle lubił przesiadywać, z rodzicielską troskliwością przypatrywał się każdemu wrastającemu drzewku, to było jego jedyną pociechą, było potrzebą życia. Kilka lat temu zdarzył się czyn okropny: z rozkazu jakiegoś chłystka dwóch służalców wyrzuciło za drzwi biednego starca. Już więcej jego noga tu niepostała. Nienadługo przeżył tę krzywdę bez miary. Ale chodźmy w góry; mnie tu duszno: ci Murzyni ducha zarazili powietrze swym oddechem.—To mówiąc posunął bocianim krokiem przez mostek.

Na pierwszym skřęćie dróżki wiodącej na góry spostrzegłem siedzącą marsowatą postać kapitana Napoloniasty Dzielnowskiego. Był on najbliższym sąsiadem mojego ojca, a wieloletnia przyjaźń łączyła nasze domy. Zdziwiła mnie niepomalu obecność p. Dzielnowskiego w ogrodzie, bo wiedziałem że był wielkim domatorem i nie lubił miasta. A jeszcze bardziej mnie uderzyła siedząca obok jasnowłosa dziewczynka z wyrazem jakiejś tęsknej zadumy na twarzy, siedziała ze spuszczoną główką i kresliła parasolikiem jakieś hieroglify na piasku.

— P. kapitan mnie niepozna?—rzekłem podchodząc bliżej i zdejmując czapkę. Ona podniosła główkę i dwoje dużych błękitnych oczu wpatrzyło się we mnie z zaciekawieniem.— O jakże ona była piękną w tej chwili!

— Patrz, Maryniu, to Romualdek Cichowski—odezwał się kapitan kręcąc wąsa.—Jakżeś mi wyrosł chłopce i pola-

dniał; — toż się staruszkowie ucieszą! No a jakże tam nauki, mój chłopcze?

— Już skończyłem, dostałem rangę i medal złoty. — Nigdybym tego niepowiedział; ale ona mnie słuchała, próżność moja była do darowania.

— A niechże cię uścisknę, mój chłopcze! — zawołał kapitan łącząc uczynek z obietnicą.

— No, a kiedyż wracasz do domu?

— Jutro wyjeżdżam, — odpowiedziałem i jakoś śmielej spojrziałem w oczy Maryni; ona z kolei spuściła swoje i z lekka się zarumieniła.

— Szkoda, niemożemy jechać razem, mnie te przekłete interesa dni ze cztery zatrzymają. Ale się zobaczymy mój chłopcze, przecież niezapomniałeś drogi do Chwałówki. Muszę cię wziąć do swojej szkoły, bo to przy waszej Łacinie wy i na koniu musicie siedzieć po Łacinie, nie wiecie pewno jak i pałasz wziąć do ręki; a jakby ci przyszło pociągnąć za cyngiel to możebyś zbladł jak chusta, co chłopcze? No! ale to się da naprawić: miesiąc czasu a będzie z ciebie człowiek, nie jakiś tam papinek. Z mojej Maryni to zuch dziewczka, mój chłopcze, sadi przez płoty że to ha! No, nierumień się mój aniolku, — ddał zwracając się do córki i głaszcząc ją z tklivością pod brodę, — przecież jesteś córką legijonisty.

Córka widocznie była zakłopotaną rekomendacją ojca, i pragnąc zwrócić na inny przedmiot rozmowę, zapytała się podnosząc oczy nieśmiało:

— P. Karol niezapomni nas odwiedzić?

Czułem, że mi wypada coś odpowiedzieć; ale ona patrzyła na mnie, język mi się splątał, zabelkotałem coś niezrozumiale, pożegnałem zanego kapitana i pobiegłem

w góry lękając się obejrzeć, w ślad za professorem. Na próżno mi pr. Jan dowodził:

— Karolu unikaj téj kobiety! zanadto piękną i zanadto pocziwą ma fizionomiję: może ci na wstępie do życia, życie zagrabić.

Jéj w pół uśmiechnięta twarzyczka stała mi ciągle przed oczami, jéj spójrzenie głębokie myśli mi plątało; i zapomniałem o wszystkiém nawet o swoim patencie.

M Y Ś L I

Z LEOPOLDA SCHEFERA,

PRZEZ

CZŁOPA Z POWIATU MARYAMPOLSKIEGO.

I.

Kto głos natury słyszał w całości,
Kto pojął walkę wszystkich żywiołów,
I poczuł siebie częścią boskości,—
Temu Natura chórem aniołów!
Pod moją oknem płacze dziecina—
A tam w gaiku pieje ptaszyna.
Opodał znowu dąb stary mszeje—
Pod nim krzewina kwieciem bieleje.
W izbie zmarłego brzmi śpiew pogrzebny,—
A przed nią ciągnie orszak swadziebny.
Tuż stoi trumna nawpół przemknięta,
W niej drogie dla mnie mieszczą się zwłoki—
Przy nich dziecina podziwem zdjęta...
A tam wysoko ciągną obłoki,
I niepytają co świat wyprawia?
Jak się on smuci? jak się zabawia?
Gdy duch wszechpiękna w duszy zagości,
Jak się uczucie w sercu układa!
I moja *istność* wszystkiem zawłada:
Nieznam ni smutku, ani radości—
Zdała od trosk i od boleści,
Wszystko przyjmuję co *życie* mieści.

II.

Jakież to walki stoczyć wypada,
Żeby uzyskać imię *człowieka*!
A dusza będzie tym walkom rada,
Gdy od nich wola twa nieucieka.
Przeto *człowiekiem* miej *wolę* zostać—
Tylko *człowiekiem*, a *niczém więcéj*!..
Tedy przed losem zdołasz się ostać,
I świat ukochasz jak najgoręcéj...
I wesoł będziesz na tym padole,
Bo szczęście siadło tobie na czole.
Tedy spokojnie umrzesz w młodości,
Jak pączek róży z krzaka uszczknięty.
Tedy radośnie zamrzesz w starości,
Jak dąb wyniosły a wiekiem zgięty.
Tedy się smutek w tobie niezbudzi,
Jeśli niepamięć zyskasz u ludzi:
Bo na tym świecie człęk prędko znika,
Choć nieśmiertelną jest jego dusza.
A gdy los braci ciebie przenika,
I iza bliźniego do głębi wzrusza—
To zapłacz rzewnie, płaczem miłości:
Bo temu trzeba tutaj wychylić
Kielich goryczy, czarę żałości,
Kto się od *cierpień* niechce uchylić
I ma przed sobą szczęście Ludzkości.
Jak często w *życiu* walczyć wypada!..
A dusza będzie tym walkom rada:
Bo po nich wielka godność cię czeka—
Godność jedyna— imię *człowieka*!

III.

Mniemasz, że człowiek tu poniżony?
Że jego władzy ciasne granice?
Bo tu na małą zestaną ziemię,
Kiedy tam za nim świat niezmierzony!..

—Czyś nie wszechświatem ze swoją *wiedzą*?
 Czuciem zgromadzasz cały świat w serce;
 A siły, myśli co dziejów śledzą,
 Czas zdobywają!..

Tylko bluźnierce

Wydają rozpacz nad ludzką nędzą.
 Człowiek co pojął dostojność Męża,
 Co stał się takim, jakim być trzeba,
 Wszystkie swe siły w bożkość natęża,
 A precz odpycha płonne marzenia—
 Tylko rozszerza Królestwo Nieba
 I wykonywa dzieło tworzenia.

IV.

Dla swego dobra przeszłość roztrząsaj,
 I na nikogo tu się nie dąsaj,
 Jeśli pomarli krewni i mili—
 Zuikli ze świata jakby nieżyli...
 O Panie! czyliż i mnie to czeka?
 Więc jako proszek życie człowieka!..
 —Czy kwiat napróżno ziemię okrywa?
 Niebo bez celu obrót odbywa?
Człowiek, co dzisiaj w grobie spoczywa,
 Napróżno zwiedzał tę świętą ziemię?
 Napróżno dźwigał *przeznaczeń* brzemień?
 Teraz go niemasz — więc nigdy nieżył?
 Wszak *jesteś*—*byłeś*—*będziesz* w przyszłości!..
 Ty się związałeś węzłem jedności
 I z tym co umarł i z niezrodzonym.
 Tys od zmarłego niebył wzgardzonym:
Żyłes dla niego w przyszłości — w niebie;
 On ścieżkę dobra przetał dla ciebie —
 On teraz tobie służy w przeszłości,
 Jak ty dziś służysz dla potomności.

TUKAJ.

CZĘŚĆ TRZECIA (*).

PRZEZ

A. B. ODYŃCA.

Tukaj przeżył lat czterdzieście,
 Zdrowia, złota nie żałował,
 Hulał, szalał— aż nareście
 Przesycił się i zmordował.
 Kochanki się postarzały,
 Młode młodszych obierały.
 Mógł odmłodnieć— po cóż zwlekać?
 Z przyjaciół— miał ich nie mało—
 Trzech się tylko pozostało,
 Którymby się dał posiekać—
 Ma się rozumieć, po probie.

Rzekł więc naprzód najstarszemu:
 »Przyjacielu! ufam tobie.
 Nie pytaj na co, i czemu?
 Lecz weź ten stój, pójdz do zdroju,
 I cokolwiek będzie w stoju,
 Proszę, byś do wody wrzucił.»—
 Przyrzekł, poszedł, nie powrócił.—
 Tukaj się mocno zasmucił.

(*) Ośmielając się kończyć balladę Adama Mickiewicza, winienem oświadczyć, iż czynię to za wyraźną wolą jego (Przyp. Autora w r. 1829).

Szczęściem że przyjaciel drugi
Stanął gotów do posługi.

Wrócił—lecz dziwem przejęty:
»Tukaju! to dyamenty!
Co za kaprys lub powody,
Taki skarb rzucać do wody?«—
—»Będziemy dość mieli oba,
Weźmiesz, ile się podoba.«—
—»Mniejsza o to! Powiedz raczej,
Co to? na co? co się znaczy?
Nikomu nie powiem o tém.«—
—»Jeszcze nie czas—potém, potém.
Masz stój drugi, wrzuc do zdroju,
Ale nie patrz co jest w stoju!«—
Wziął stój—ale nic nie mówi,
Patrzy w oczy Tukajowi.
»Idź, idź! resztę czas wyświeci.«—
On odszedł milcząc ponuro,
Alie ledwie znikł za górą,
Z za góry czarny kruk leci.
»Cóż? Tukaju! wracam suchy.
Cha, cha! lecz nie trać otuchy.
Idzie twój przyjaciel trzeci.«—

Tukaj się uderzył w skronie,
Z rozpaczą załamał dłonie,
I wzrokiem tocząc po niebie,
Kląt ludzi, djabłów, i siebie.—
»Tukaju! co się to znaczy?
Wyjaw mi powód rozpacz:
Jeśli osłodzić nie zdoła,
Przyjaźń twój smutek podzieli!«—
—»Ha przyjaźń!—Tukaj zawoła—
»Wszak wiesz, miałem przyjacieli,
Gdzież są po najpięrszej probie?—
Lecz znana mi dusza twoja.

Mów, mogęż zaufać tobie?«—
—»Doświadczy, to odpowiedź moja.«—

Wziął stój—skarb do wody wrzucił.
Wziął drugi—kruk nie powrócił.
On wraca.— Skoro go zoczył,
Tukaj na spotkanie skoczył.
Już są blisko, już wzajemnie
Wyciągają uścisk tkliwy—
Tukaj szepnął coś tajemnie,
Skinął— i wtém, dziw nad dziwy!
Wilk, lew, tygrys, smok straszliwy,
Z dymem w paszczy, z ogniem w oku,
Na Tukaja wypadł z boku.
»Ratuj bracie!—Tukaj krzyknął.
On zapomniał że bezbronny,
Skoczył śmiało—zapęd płonny!
Zwierz jak wypadł tak i zniknął.
Głos tylko z śmiechem zmieszany
Zabrzmiął: »Winszuję wygranej!
Ale jeszcze, jeszcze proba.«—

Ci się uścisnęli oba.
Tukaj już się nie nie trwożył,
Odkrył sekret, rzecz wyłożył;
Dał przepisy, dał przestrogi,
Jak ściąć głowę, siekać nogi;
Lecz nadewszystko powtórzył:
Jak pocięte skleić członki,
Jakie zioła i korzonki
Rwać na nowiu lub pod pełnią,
Po ile brać szczypt i łożów;
To skończywszy, był zupełnie
Do operacyi gotów.

Jednak żal mu się zrobiło.
Stońce pięknie zachodziło,

Xiężyc wznosił się od wschodu.—

Tukaj poszedł do ogrodu.

Kwiaty kwitły na około,

Wonny wietrzyk chłodził czoło,

Słowik śpiewał gdzieś wesoło.—

Tukaj stanął po nad strugą,

Myślał, patrzył, długo, długo—

Wtém łzą błysnął wzrok ponury,

Oczy, ręce, wzniosł do góry:

»Niebo! słońce! bądźcie zdrowe!«—

Wtém przyjaciel ściął mu głowę.

(1829 r. w Wejmarze.)

T U K A J.

CZĘŚĆ CZWARTA.

Drugi miesiąc na młodziku,

Już cała cięła budowa

Uklejona— tylko głowa

Leży pod szkłem na stoliku,

Lecz i tę głowę z kolei

Przyjaciel dziś już przyklei,

I pełen wiary, nadziei,

Z miłością marzy o chwili,

Kiedy się Tukaj ocuci,

Jak mu na szyję się rzuci!

Co będą czuli, mówili,

Jak się kochali, jak żyli!

Światu się staną przykładem,

Jak nowy Orest z Pyladem.

I w tém rozkosznym marzeniu,

Wzruszeniu i uniesieniu,

Ani postrzega, jak burza

Cały horyzont zachmurza.

Aż jednym razem nad domem

Wichrem, ulewą i gromem

Rykła— i trzęsie ścianami.

A w téjże chwili przed drzwiami

Głos jakiś błaga o wnijscie.—

Nie w porę, gość rzeczywście

Gorzój Tatara;— lecz juźcie

Niepodobieństwo nie wpuścić!

(Albowiem rzecz się, jak wiecie,

Dzieje w Litewskim powiecie,

A żaden bardziej być ludzki

Nie może, jak Nowogródzki.)

Gość więc wszedł.— Postać i mina

Nie okazują Litwina.

Lecz kto? zagadka nie lada!

Bo chociaż po polsku gada,

Znać po nim że cudzoziemiec.

Lecz kto? Włoch, Francuz, czy Niemiec?

Każdego zda się po trocha,—

Oczy ogniste jak Włocha;

Ruch, uśmiech, podróżna bluza,

Przypominają Francuza;

A ledwo usta otworzył,

Zda się że Niemiec Faust ożył,

Tak się z nich raptem połała

Mądrość— jak owa nawąła

Z chmur po nad domem.—

On burzę

Wziąwszy za assumpt— od progu,

Jak zaczął, to o naturze,

To o człowieku i Bogu,

Prawić— a tak patetycznie,

Tak mądrze, filozoficznie,

Że czy to urok wymowy,

Czy figiel sztuki Faustowej,

Dość, że gospodarz osłupiał,
I tak czy zmadrzał, czy zgłupiał,
Że chociaż dobrze słów jego
Ani ogarnął, ni zmierzył,
Od razu zaczął od tego,
Że im na oślep uwierzył.
I sam, w *jajości* swej środkiem,
Nagle, jak kureczkę w zarodku,
Poczuł straszliwą ochotę
Zbadać wszech rzeczy istotę.

Więc choć mu zawsze w pamięci
Tukaj, i nad nim robota—
Już go nie miłość k'niej nęci,
Tylko ciekawość nim miota,
Czém może stać się, gdy stanie,
Że martwy z martwych powstanie?—

Ale jak zadać pytanie?—
Wię on i dobrze pamięta
Tukaja *pacta conventa*,
Że zdradzić przed kim bądź sekret,
To znaczy wydać nań dekret
Nie tylko śmierci— lecz piekła.—

A więc ubocznym sposobem
Zagadł— co mądrość dociekła
O życiu dusz po za grobem?
I czy są siły, co mogą,
Naprzykład— ot wskrzesić kogo?

Gościowi radość na lica
Wybłysła, jak błyskawica,
I tając uśmiech w pół drwiący,
Co się z ust wymknął niechęcący,
Nuż *ex cathedra, ab ovo*,
Rozprawiać na dane tema.
Naprzód o Bogu:— »Bóg—słowo.
I jest— i razem go niema.

Niema na ziemi ni w Niebie,
Ale jest w mędrców rozumie.
Bez nichby nie był— bo siebie
Sam bez nich pojąć nie umie.—
Wbrew więc dawnych Teozofów,
Dopiero ludzie poznają,
Że nie Pan Bóg Filozofów,
Ale go oni stwarzają «—

Gospodarz strasznie się zdziwił,
Wytrzeszczył oczy, twarz skrzywił,
I jak mógł nastawił uszy.—
A gość tak dalej o duszy
Ciągnął rozprawę swą: »Dusza,
Jako jest Boga obrazem,
Tak też jest, i nie jest razem.
Jest to wiatr, co światem rusza.
A jak rusza światem całym,
Tak rusza i każdym ciałem.
A jak to ciało sprochnieje,
Wiatr wiatrem— jak wiał, tak wieje,
I drugie ciała kołysze.
Z bytu jego w każdym ciele,
Zostaje tylko tak wiele,
Ile kto w księgach zapisze.
O kim zaś raczą w swęj głowie
Pamiętać Filozofowie,
Ten dopiero rzeczywiście
Żyje w Bogu wiekuiście,—
Co gmin ślepy niebem zowie.«—

Gospodarz w ciągu tej mowy,
Jak oczadzony, z początku
Czuł tylko kręcenie głowy;
Ale przy dalszym jej wątku,
(Jak zwykle w oczadzie bywa),

Poczuł nudzenie i ekliwość.
Już już na wybuch go zrywa—
Lecz się uzbroidł w cierpliwość,
Ściął zęby, i znów w milczeniu
Słucha.— A gość o wskrzeszeniu
Tak zaczął: »Chcieć wskrzeszać ciało,
Formę człowieka, lub ludu,
Głupcom się tylko ubrdało.
Rzecz zresztą nie warta trudu!
Bo forma ciał nie określi
Absolutu życia myśli.

»Ale podźwigać tułowy
Ludów, narodów, lub stanów,
Gnijące w śmierci *mystowej*;
Im nowe nasadzić głowy;
Do głów tych, jak pustych dzbanów,
Lać wyskok mądrości nowej—
Ów nektar, którego dzielność
Bogów ma czynić z bałwanów,
Nicości dać nieśmiertelność!—
To dział tych wielkich, tych dzielnych,
Tych Boskich i nieśmiertelnych
Mistrzów z nad Sprei i Pregli,
Co po nad ziemią się zbiegli,
Jak mglistych komet *jajości*,
J twardo-mocni nauką
Jak w bitki wzajem się tłuką
Na firmamencie mądrości!

»Lecz biada, biada mu, ktoby
Mając dokonać tej próby,
Szedł torem ślepej natury!
W czyichby ręką ta nowa,
Wsadzić mająca się głowa,
Była tej samej struktury,
Lub w takim samym została
Stosunku do reszty ciała,

Jak ta, co dziś ją człek dźwiga—
Istną makówkę łodyga,
Rodzącą tylko nasienia
Uśpienia lub upojenia.

»Zi pierwszy przeto warunek,
I *sine qua non*— potrzeba,
Stargać jej z sercem stosunek,
I wzrok osłonić od nieba:
By ciągły ruch serca rzutu
Nie trącał w niej *Absolutu*,
A on wyższego od siebie
Nie upatrywał na Niebie.

»Wtenczas to ludzieby przyszli
Do swoich przeznaczeń szczytu,
Do swęj mądrości zenitu,
Do życia w myśli, dla myśli—
Co dziś lśni jeszcze w iskierce,
Ale świat słońcem okraśi,
Gdy całkiem podepce serce,
A wiarę całkiem wygasi.«—

Tu już uczniowi się zdało,
Że mistrz drwi z niego wyrażnie,
Krwia Polską serce zawrzało—
I jako Autor *Przedburzy*,
Nie mogąc wytrzymać dłużej,
Jak fuknie: »Ach ty! ty błaźnie!
»Ty szoldro! taki, owaki!
»Albożem to ja żak jaki,
»Że mi śmiesz świecić te baki?...

»Widzę, że alboś sam szatan,
»Albo być musisz z nim zbratan,
»Gdy wiesz zajęcie dziś moje.—
»Lecz ja się djabła nie boję!
»Nie dam się zwiesić, i nie zgrzeszę.
»Przyjaciela kocham szczerze,

»W nieśmiertelność duszy wierzę,
»Przez Boga z martwych go wskreszę.«—

—»Cha, cha, cha!—gość parsknął śmiechem:

»Nie każdy grzech zda się grzechem.

»Tyś nieodrodny w swym rodzie,

»Mądry—lecz zawsze po szkodzie.

»Gdybyś był czynił wytrwale,

»Co teraz krzyczysz w zapale,

»A w czas mu głowę przyłożył,

»Tukajby może i ożył!

»Lecz teraz—czas już prz minął.«—

Rzekł— świsnął, chychnął, i zginął.

A wtém— O! Jezus Maryja!

Północ dwunastą wybija.

Tukaj miał wstać o północy!—

Przyjaciół skoczył jak z procy—

Alić, u progu alkowy,

O zgrozo! Tukaj bez głowy

Stoi, a w ręku swą głowę

Grozi jak kulą działową.

Cisnął— i nagle po domu

Rozległ się jakby trzask gromu.

W całym powiecie słyszano

Ów nocny łoskot— a rano

Ze wszech stron zbiegła się zgraja

Na gruzy zamku Tukaja,

Próżno chcąc zbadać przyczynę

Czemu tak runął w ruinę,

Co jako wielka mogiła,

Tajnę tej nocy pokryła.—

Lecz koło góry Żarnowój

Lud dotąd widzi co nocy

Dwa cienie—jeden bez głowy,

Goni— a drugi jak z procy

Ucieka. A ten, co goni,

Własną snąć głowę ma w dłoni,

I za ściągany tą głową,

Raz wraz, jak kulą działową,

Ciska— a skoro odbita

Odskoczy— on znów ją chwyta,

By wnet znów cisnąć na nowo.—

To ów przyjaciel z Tukajem

Tak pokutują nawzajem.

I póty będą, aż póki,

Wnuki ich, albo prawnuki,

Świadomi smutnych przykładów

Dziadów swych, albo pradziadów,

A świadki kary nad niemi—

Nie oduczą się powoli:

Jedni hołdować swęj woli,

A chcieć żyć tylko dla ziemi;

Drudzy nakłaniać wnet ucha

Na słowa cudzego ducha,

Choćby był w zмовie ze złemi.

1857 r.

KWESTARZ STAROZAKONNY,

(*Postać żyjąca w Wilnie*),

PRZEZ

WINCENTEGO KOROTYŃSKIEGO.

Des gueux chantons la louange...
Que de gueux hommes de bien!
Il faut qu'enfin l'esprit venge
L'honnête homme qui n'a rien.
Béranger.

Codzien go widzą już lat ze trzydzieści,—
Znają twarz jego z wyrazem boleści,
I kształtną postać, co w tęg się już zgina,
I długą brodę, co siwieć poczyna;
Znają kapotę, co Bóg wie lat wiele
Cudem przyrosła trzyma się na ciele;
Znają po bruku niepewne stąpanie
Nogą pół bosą, gdzie rana na ranie...
Chodzi i zbiera— lecz nie sobie plony,
Choć Żyd od uczuć zdawien odsądzony.

Codzien go widzą na ulicach miasta:
Po najciaśniejszych zakątkach się szasta,
Idąc potrząsa blaszaną skarboną,
Ażeby do niej półgrosza wrzuciono.
Ku jasnym panom zbliżyć się nieważy,—
Wzywa biedaków do wsparcia nędzarzy,
Błaga wzgardzonych braci w Abrahamie:

I każdy grosz swój na połowę łamie,
Nikt nie odpycha blaszanej skarbony,
Choć Żyd od uczuć zdawien odsądzony.

Codzien go widzą gdzie ciemne poddasza,—
Wsparcie od biednych biedniejszym roznasza:
Tam, gdzie obłożnie boleje kaleka,
Gdzie drobna dziatwa pożywienia czeka,
Gdzie wdowa rękę wyciągnąć się sroma,
Gdzie głodne dziewczę ma schłonać sodoma,
Gdzie ani z wieści nieznają wesela,—
Po kilka groszy każdemu rozdziela,
Z niecierpliwością odpycha pokłony,
Choć Żyd od uczuć zdawien odsądzony.

Codzien go widzą gdy wieczór szarzeje:
Odbywszy drogi kwestarskiej koleje,
Dybie do kurnej klatki wyrobnika:
Tam drąg u miecha kowalom pomyka,
Lub z powroznikiem wypręda paździerze,
Lub do kapara w olejni się bierze,—
I cały wieczór pot leje obficie
Dla kilku groszy na własne przeżycie.
Nieśmie brać sobie z biedaczęj skarbony,
Choć Żyd od uczuć zdawien odsądzony.

Codzien go widzą północni wędrowce:
Siedzi w gospodzie przy cienkiej łójówce,
Zjada garść bobu i Bibliję czyta;
Na lica troska wychodzi ukryta,
I w smutnych myślach zatopiony siedzi,
Znosząc obelgi pijanej gawiedzi.
Niby nieczuły co serca dotyka,
Płacąc za wzgardę wzgardą niewolnika,
Wzdycha przed śmiercią do praojców strony,
Choć Żyd od uczuć zdawien odsądzony.

Codzień go widzą— i zna go wśród wielu
 Biedna, zelżona dziatwa Izraela!
 Gdy jego dusza ku ojcom pośpieszy,
 Kto ma nieść zwłoki? będzie waśń u rzeszy;
 Nędznych i możnych, starców i młodzieży,
 Na okopisko pół miasta wybieży;
 Sypiąc na zwłoki ziemię z Chanaanu,
 Będę w modlitwie polecać go Panu;
 Ozwą się w tłumie żałościwe tony,
 Choć Żyd od uczuć zdawien odsądzony.

Wilno

20 kwietnia 1858 r.

STARY ZAMEK.

LEGENDA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Pulvis et umbra...

STEFANII Z SZULKOWSKICH I MARYI Z RULIKOWSKICH

KRASZEWSKIM.

LUCYJANOWI I KAJETANOWI KOCHANYM BRACIOM MOIM,

na pamiątkę zjazdu w Romanowie,

Przywiązany brat.

J. I. K.

Romanów Podlaski.

l. 20 maja 1856 r.

Wiele nam jeszcze braknie w dziejach kraju i rodzin niezapisanych nigdzie podań i legend, kwiatów wyrosłych na mogilach, które zwiędły zerwane ręką obojętną lub zaschły w śmiecie rzucone. Suchy szkielet życia, nie nieznaczące daty, szczeble drabiny — nazwiska puste jak dziurawe orzechy, ułamki twardsze, których czas strawić niemógł, pochowano skrzętnie, ponumerowano i rozklasyfikowano; ale to co stanowiło fizyonomiję, co było krwią i rumieniem się życiem, zginęło może na wieki.— Jak to dziś wyglądają bijografijskie najznakomitszych ludzi

naszych, do czego dziś podobne ich postacie dobyte z grobu?—do odkopanych nieboszczyków, z których par-gaminowej skóry i rozsypanych kostek, śmierć tylko czytamy i nieuniknioną znikomość.

Urzędowa, publiczna część żywota, zapisana gdzieś skrętnie, pozwala oznaczyć, ile kto przebył na świecie godzin, w jakiej obracał się sferze — ale jakże mało tych po którychby jeden rys dobitny, żywy, znaczący pozostał i dozwalał odgadnąć, pokochać lub zdziwić się człowiekowi? A tak to prędko zapomina się, zaciera wszystko, że w trzecim pokoleniu o dziadach już nie wiedzą wnuki, i odgadywać ich muszą. Czasem istnym przypadkiem, uchowa się coś i skryje w sobie iskierkę ducha, nasionko życia, ale jak tego jest mało!

Przerzucasz karty dziejów, wysuwają się przed oczy postacie, po których tylko rozgłos imienia pozostał—radbyś wywołać je i pobratać się z niemi, ale cień się wymyka i szkielet sterczy suchy, którego usta skostniałe nie już wymówić niemogą.

I chodzisz po tej wielkiej ruinie, po cmentarzu zarosłym, szukając, do kogobys przemówił, ktoby się odezwał choć głosem upiora? nadepczesz nieme kości i prochy—szczęśliwy jeśli choć kropla życia, jedna łza, jedno westchnienie, jednego coś niedomarłego przemówi do ciebie zrozumialszym językiem.

Napróżno człowiek sili się na wyrwanie przeszłości zapomnieniu wiekuistemu, któremu jest przeznaczoną,—ta walka z naturą pochłaniającą wczoraj i na ruinie jego dającą nieustannie nowemu jutru wykwitać,—jest bezowocowym bojem.

Czyn zaledwie dopełniony już się w chwili przekształca zamiera i rozprasza w jakiejś cząsteczce.... woń du-

cha ulatuje z niego w mgnieniu oka... to znowu olbrzymieje jak widmo, wykrzywia się, paczy, i własnością spadkobierców staje się nie takim jakim był w istocie, ale przykrojony do ich miary, do pojęcia i serca.. Gdzie się nie mieści bohater, historia go obcina nielitościwie... Historia jest tylko wiekuistym tłem, na którym nowe pokolenia malują swe własne wizerunki, chrzcząc je imieniem naddziadów. W jej ramach z kolei, każdy wiek upostaciowuje siebie, szukając wrzekomo prawdy, a znajdując dowody swęj słabości.

Każde stulecie inaczej sobie swą przeszłość tłumaczy, inaczej ją wskrzesza, inny strój daje nieśmiertelnym ofiarom, innych nawet na bohaterów wybiera, z kolei podnosząc i spychając co było wielkiem i małym,—w końcu ze sprzeczności tysiąca składa się wielka, a smutna ruina.

Nadaremne usiłowanie nasze: nieśmiertelnym będąc gdzieindziej, tu wszystko umierać musi, ludzie i myśli, budowy i czyny...

Wnijdźmy na stare zameczysko wojewodzińskie, w którym już warczą kołowrotki fabryczne, gdzie niedawno słano kobierce na przyjęcie królów, strzelano na wiwat xiążętom, do sali portretów z powybijanemi oczyma, do grobów pod kościołem, i — pytajmy, co to byli za mężowie?

Imiona ich i nazwiska nie nam niepowiedzą,—a kości niespokojnych magnatów tak śpią spokojnie w swych trumnach cynowych, jak najpokorniejszego zakonnika! Hamlet, zapytujący czaszki na cmentarzu o przeszłość jej dzieje, jest typem badaczów przeszłości. Każdy z nich sam pyta i sam sobie odpowiadać musi. Duch uleciał a prochy milezą,—i z tych tysiąca wieków ubiegłych, pozostał napis mogilny w dwóch słowach:

»Pulvis et umbra!«

Jest coś przerażającego w tém milczeniu śmierci, w téj martwości trupów, którym żadne zakłęcie ust nierozwiąże,— w tém prawie zapomnieniu, które ciąży nad światem.

W sto lat dzieje umarłych mieszają się jak ich kości, czyny jednych przyznają drugim, imiona mieniają, wypadki łączą, a na karb głośniejszych ludzi składają wszystko co gdzie jeszcze lata po świecie niedomarłego.

I tak, my niewiemy o przeszłości; przyszłość nie o nas wiedzieć niebędzie — zamiast życia naszego, stworzą nam później jakieś inne do smaku tym, co w niém szperać zechcą,— badacz następny wywróci ten budynek z kart, inny go znowu wyrestauruje, aż się materiały w próch zetrą, i garść tego prochu a słowa martwe pozostaną ze wszystkiego—potém szczypta popiołu... potém i to wiatry rozniosą...

Historya z kolei, rejestr suchy lub romans niezabawny, argument i temat, zapożyczając życia u tych co ją wykładają, podsykana tchem najróżniejszych piersi, przystrajana w łachmanki różnobarwne, zszywane jak pstra suknia arlekina—pogrzebioną w końcu zostanie, jak ten nieszczęśliwy trup Sicińskiego, co wynalazł „*Liberum veto*”, co to go dzieci włóczyły po ulicach, ogryzały kozy głodne, a dziś w niedostatku trumny do szafy zamknięto... *ad perpetuam memoriam*.....

Smutne te myśli przychodziły mi do głowy obchodząc stare zameczysko, którego dawni właściciele z imieniem swém razem pogrzebani leżeli w grobach niedalekiego kościółka.

Imie to, niedawno jeszcze bardzo głośnie i piękne, dziś już z ostatnią tarczą na pogrzebie roztrzaskane zostało i znikło. Potomek jego ostatni, zmarł gdzieś dale-

ko od kraju na obczyźnie, na dobrowolném wygnaniu, niewiem nawet czy wzdychając po kęsku ziemi, nad którym panowała jego rodzina, tak dawniej potężna i dumna, tak już dziś zapomniana.

Z całego tego długiego szeregu pokoleń, których życie pełne było barwy i ognia, pozostały kilkadziesiąt imion na drzewie genealogiczném, zawieszonych ręką niebardzo pilnego historyografa, wśród dat, które dzieci starszemi często czynią od ojców—kilkanaście trumien w grobowcach i puste zameczysko, w którym Żyd gospodaruje, fabrykuje sukno i sławi opiekę Jehowy nad wybranym Izraelem.

Przejeżdżając przez miasteczko u stóp góry, na której stał zamek położone, niemogłem się powstrzymać, żeby tych ruin niezwidzieć... dziś do dzieł dobroczynnych, do których obowiązany jest chrześcijanin, liczy się poszanowanie pamiątek,— tak mało ludzi cześć im oddaje, a tylu je niszczy! Zdaleka gmach miał fizyonomiję niezmiernie malowniczą i dopraszał się ołówka... tysiące wspomnień poczepianych jak zielony bluszcz na jego murach ożywiały go jeszcze... W widłach rzeki i mniejszego wpadającego w nią strumienia, na gliniastym obrywie, w wysokim cyplu odciętym od lądu fossą dziś zupełnie wyschlą, czerniały mury starego zamku pokryte jeszcze dachami, z lasem kominów i niekształtnych szczytów, z bramą majestatyczną u mostu dziś zastąpionego lichą grobelką, z kościółkiem wreszcie zamkowym, z którego zdjęty krzyż opowiadał, że tam już Bóg niemieszkał, tylko pustka i zniszczenie.

Ze ściśnioném sercem poszedłem powoli ku ruinie, pytając każdej garstki ziemi o dawne jej dzieje; ale mi one odpowiadały badyłami, piołunem, zeschłą trawą, koła-

cemi osty tylko... Dla ziemi niebyło tu nigdy człowieka; wiedziała tylko o dzieciach rodzonych, o roślinach, co rok umierających, by odżyć znowu co roku.

Staw ze zgęstłą i pleśniami pokrytą wodą, w pół zarosły trzciną, na pół brakiem odpływu zmieniony w błoto, już sam był małym obrazem tego, w co dziś obrócił się zamek. Roślinność bujna od brzegów idąc parla się coraz dalej, wypijała wody i pokrywała większą część czystej niegdyś tafli, w której odbijały się mury zamkowe. Po nad kałużą tą krążyły stada komarów, wrzeszczały armije żab sprzymierzonych, jak gdyby szturmem pustkę brać chciały. Gdzie niegdzie z tej gęszczy błota, liści, stworzeń i brudnej wody, dobywał się stary, gruby pał dębowy, trup dawnego mostu,—i kupa cegieł, resztki jakiejś obwalonej arkady. Ale to wszystko trawiły już mechy i pleśnie, wyzerała woda, jadło nawet powietrze... Na miejsce mostu który niegdyś wspaniał był musiał, dla wygody ostatnich właścicieli wysypano grobelkę—wyborny rys do porównania dwóch epok. Grobelka ta pozioma, licha, w pół z chróstu, na pół z ziemi i gnoju, z mierzwy i gruzów, krzywa, powybijana, dziur pełna, chowała się w tataraki i trzciny: tak jej samej wstyd było, że ją tam położono,—kręciła się, wywijała, żeby oczów uniknąć.

Wpośrodku jej zbudował dowiecipny jakiś ekonom karykaturę mostka z poręczami krzywymi, na cienkich kilku palikach, z osinowych mostnic, krzywo, garbato, niepocześnie, ale do grobli stosownie,—jedno warte było drugiego.

Minawszy mostek, wśród gęstszych pałów i gruzów droga podnosiła się nieco ku górze, ale niewiele była wesejszą od grobelki. Doły na niej ktoś powymoszczał chróstem i cegłą, które pływały w nigdy niewysychających kałużach; koła powybiły wszędzie koleje, zawadzając to o

gliniasty obryw szczątków rozkopanego wału, to o jakości murów podziemnych sterczące sklepienia do żywego powydzierane.

W samej bramie z obu stron rozdartej, jakby dla nowych pokoleń była zawązka, ściany nosiły ślady przejazdu wozów i bryk: pooszarpowane i zamazane błotem, wielkie owe wrota z herbami dziedziców na czole stały zupełną pustką, choć to był gmach dosyć obszerny mieszczący w sobie dawniej pokoje na górze dla komendanta straży zamkowej, a w dole kordegardę dla nadwornej milicyi. Na obwachcie stoi dziś krowa Żydowska w zagrodzie z desek i kijów zbitę; a mierzwy pod samo okno w kupę zgarnięte, dowodziły, że nie od dziś rozmyślało to bydło nad marnościami kordegard ludzkich.

W bramie o wrotach ani mowy; pozostałe nawet od nich ogromne żelazne haki, w dole chciwy żelaza spekulant jakiś wyciosał, wielkie dziury porobiwszy z niemałym wysileniem, bo mu się cegła i wapno jak mogły niedawały;—szczęściem do wyższych niedosięgnął i te jeszcze groźnie nad głową sterczały.

Szeroki dziedziniec na pół wydeptany i wyjeżdżony, gdzie niegdzie malutkie zarastały rdesty i chwast umiający się oprzeć despotyzmowi człowieka;—trawa bojaźliwsza uciekała z niego na wały, gdzie jej było swobodniej. Wielki gmach ze wspaniałą facyatą, na której pośród kotłów, bębnow i chorągwi rozlegały się połączone herby najznakomitszych w kraju naszym rodzin, wyglądające jeszcze wspaniale ze swymi kolumnami, sięgającymi przez dwa piętra; ale już gdzieś niegdzie tynk opadły, głębokie szramy, zapowiadały, że niedługo postoją słupy olbrzymie. W prawo i lewo długie okien szeregi, ganki, przejścia, galerye, niewszędzie już ich było widać, do mieszkalnych izb przyty-

kały. Tu i ówdzie pozabijano je tarciami, pozakładano cegłą starą, pozapychano słomą, pozarzucono gnojem od dołu, pozmniejszano i powybijano bez litości. Na dachach rosły trawy i krzewiny nawet, mur popękał i pozaciekał szkaradnie; a długie, czarne pasy pleśni, pozaczyły go przedśmiertną gangreną. Na prawo część gmachu zajęta przez Żyda na fabrykę, szyderski, nieznośny stanowiła kontrast z majestatem tej ruiny, wspaniałej jeszcze mimo opuszczenia i trupiej swój fizyonomii. Tu mur był potynkowany na białą i świeżą, przykrą tą barwą ubrany śniegową, która oczy razi i niedaje im spocząć na sobie, niecierpliwie i drażniąc. Okna wszystkie poprzerabiano formą nową, niepytając jak będą zewnątrz wyglądać, powkładano w nie szyby wielkie a brudne, przez kilka z nich wysuwały się szyje obrzydliwych kominków blaszanych, od których kopeć czarne smugi porysował na ową białiznę Żydowskią. Sznur ze schnącymi szmaty i sukienkami, sprzęt drewniany jakiejś rodziny Izraelskiej osiadłej jak wróbel w gnieździe orlém, dopełniały obrazu z tej strony, malowniczo niestety!

Przykrzej jeszcze było wzrok obrócić w lewo, gdzie odosobniona stała dawna zamkowa kaplica, niesprofanowana jeszcze ręką ludzką, ale już ogarnięta obojętnością. Drzwi jej zabite deskami i okna bez szkieł, dach obnażony z gontów i miejscami świecący na wylot, mówiły dobitnie o niedzisiejszym już osieroceniu. Chmury wróbla i wron uwijały się tu, gospodarząc gwarnie i zajmując bezbronne stanowiska, jaskółki pooblepiały ściany gniazdami swemi dokoła, bocian nieostróżny na krawędzi muru usłał gniazdo szerokie, w progu wyrosła blada brzołka, mizerna, stara, odarta z kory, i kilkunastu ledwie żółtemi listkami dająca znak życia, a raczej konania.

Żyd, który tu teraz panował, stał właśnie w progu wielkiego zamku i przypatrywał mi się zdaleka z miną dość kwaśną i pogardliwą, jakby był nierad odwiedzinom. Niebył to już ów Izraelita po-staremu odziany w tradycyjny żupan i sobolowy kołpak, z rękami za pas czarny założonemi; ale miészaniec, niedobitek wielkiej rodziny rozproszonych, usiłujący się przekształcić na kosmopolitę robigrosza. Widać było, że dla imienia Europejczyka gotów się był wyrzec nawet cebuli. Ubrany bardzo wytwornie, palił cygaro Hawańskie *puro*, a z brody wyfryzowanej i lakierowanych bóćków widać było, że wołał Wrocław i Lipsk nad wspomnienie Jerozolimy, a może nawet czytał Moseśa Mendelsohna... i pewnie niewierzył już w nic prócz złotych.

Gdym grzecznie podszedłszy do spadkobiercy wojewodów, prosił go o pozwolenie obejrzenia zamczyska, zaśmiał się szydersko odejmując od ust cygaro.

— Co tu jest do widzenia?— spytał pogardliwie— trochę gruzów? Ciekawszaby była moja fabryka i warsztaty nowego systemu, które sprowadziłem z Anglii.

— Zechciałeś pan!— rzekłem z uśmiechem,— każdy ma swoją słabość: pan do warsztatów nowego systemu, ja do gruzów i ruin starego systemu... wszakże to panu przykrości nie zrobi.

— Opa!— rzekł,— dam nawet starego sługę, który oprowadzi i pokaże; cóżby mi to szkodzić miało? Dziwi mnie tylko, że się panowie rozczulać możecie nad tém i żałować... co słusznie upadło.

— Podniosłem nań oczy ciekawe.

— Słusznie?— zapytałem.

— Zapewnie,— rzekł.— Najprzód co upadło, to upaść zasłużyło... *alles was ist, ist vernünftig*. A do czegoż dziś zamki? do czego nawet one były dawniej? służyły do ucisku

słabszych, do panowania dumi!... Błogosławiona chwila, gdy w nich pracowity kołowrót zawarczy...

Doszedłem z tego wykrzyknika, że Żyd oprócz Mendelsohna gotów był czytać jeśli nie Hegla, to choć Rosenkranz'a; posądzać zacząłem, że mu nowa literatura Niemiecka niebyła obcą, — i nie chciałem się z nim spierać; byliśmy się i za dwadzieścia pięć lat nieporozumieli. Wiedziałem zresztą *a priori*, co z tego tematu można było za piękne zagrać waryacje o postępie, cywilizacyi, duchu czasu, znaczeniu pracy, feodalizmie, swobodzie i t. d. i t. d. Uśmiechnąłem się tylko na *dictum acerbum*, i uchyliwszy czapki, prosiłem o obiecanego przewodnika.

— No! dobrze, a potem proszę i do mnie zajść, — rzekł grzeczniej gospodarz — przewodnika znajdzie pan w suterenach na lewo, w samym rogu.

Reprezentant dzisiejszej cywilizacyi znikł mi z oczów nareszcie, i odetchnąłem znalazłszy się po zejściu trochę ku dołowi sam z sobą, uwolniony od dysharmonijnego kontrastu, w obec ruiny, u drzwi w ziemię wpadłych, dębowych, grubo okutych przejścia, które zdawało się do suterenów prowadzić. Klucz w zamku z przywieszoną do niego na sznurku kłódką drewnianą zapowiedział mi, że znajdę starego sługę, który miał być moim przewodnikiem. Wszedłem uchyliwszy powoli drzwi, i naprzeciw okienka obwarowanego kratą, postrzegłem staruszka z xiażką wielką na kolanach, po formie i druku, jakem się domyślał, pobożną. — Była to postać maluczka, chuda, z twarzą pergaminową przysypaną siwymi włosy, z brodą nieogoloną od kilku tygodni, z wyrazem spokoju, smutku i rezygnacyi przenikającą. Człowiek ten tak przypadł do tej ruiny, do izdebki, do wszystkiego co go otaczało, tak był stworzony do tła, na którym się mieścił, że artysta byłby go mu-

siał użyć w każdym widoku tych zwalisk, bo je najcudowniej dopełniał. On jeden, klucznik grobowca, został na ruinie, wierny gruzowisku i śmierci.

Zwolna, postrzegłszy mnie, zamknął xiażkę domysłając się co, sprowadzało podróżnego, i nieśpieszył powstać, oczekując co mu powiem.

— Mam pozwolenie obejrzeć zamek, — rzekłem poszanowawszy siwe włosy starca sieroty — niebylibyście łaskawi pomódz mi do zobaczenia co tu jest ciekawego?

— A! — rzekł stary składając swą xieęgę na stoliku obok krucyfiksu — pan zapewne z daleka? podróżny?

— Przejeżdżający...

— I piękny ten zamek wzbudził w panu ciekawość?

— Tak jest, — ale pozwól najprzód spytać, jak mam Wpana nazywać.

— Ja? — Piotr.... Piotr Zduński, — rzekł szukając kluczków na półce.

— Więc nieodmówicie, panie Pietrze?

— A pójdziemy! pójdziemy! — westchnął opatrując kieszenie i stancyjkę — Żyd panu pozwolił?

— Pozwolił!

— Żyd! — rozśmiał się Piotr — Żyd! panem na zamku naszym! a! panie! niezaboliż to serce?... widziałeś pan jak to się dmie? niechceż się to płakać krwawymi łzami?

— Widziałem, widziałem, panie Pietrze! ale to nie o to chodzi, czy on Żyd, czy Tatar... smutno, że obey, przybysz, że ziemny nabywca, co tego poszanować niemoże...

— Nieprzyjacieli! wróg! — zawołał Piotr — wróg, panie! Pan niewiesz, co ja tu z nim cierpię... najgrawają się ze wszystkiego! Widzę rękę Bożą mściwą w naszym nieszczęściu a w swojej pomyślności, depczą świętą przeszłość dumną nogą i plwają na nią z szyderstwem niepocziwem.

— A dla czegoż przyszło wam tu pozostać, aby na to patrzeć, panie Pietrze?

— Mnie! a! bo to moja mysza jama! bo ja nie mam gdzie głowy przytulić, bom służył ostatniemu panu z tego rodu i niemógłbym dla tęsknoty wyżyć gdzieindziej! Za ten kąt i pozwolenie dziury ziemnej służę Żydowi i wymiatam mu podwórze... Bóg przyjmie to za grzechy... A! ale są chwile w których cierpliwość opuszcza i chce się bachury ich podusić... tfu! Boże odpuść!

Tak rozmawiając wyszliśmy z izdebki i starzec westchnął kierując się ku głównemu wchodowi, do którego dobierał znanego klucza.

— Pan Bóg strzeż! — mówił, — że się jeszcze tu niewprowadzili do samego pałacu, a w porządniejszym bocznym skrzydle pomieścili swoje djabelskie maszyny. Niechciało się im tu dachu nakrywać nanowo, a wszędzie zacieka. Niech zacieka i niech gnije, niech się wali i upada na kariki tych niewiernych, lepiej niżby się miało splugawić.

Gdy to mówił, chłód murów nas ogarnął, stanęliśmy w majestatycznej sieni, z której szerokie wschody wiodły dwoma powolnymi szeregami kamiennych stopni na górę. Ta przedśień godnie odpowiadała pałacowi: — wielka, widna, wspaniała, — na ścianach jej były szczątki malowań, wyobrażających jakieś ogrody Armidy, z posągami mitologicznymi, galeryami, świątyniami, — kilka kamiennych nadtluczonych wazonów, z których jeden wywrócony i strzaskany, zdobiły poręcze u wnijsia, — po ścianach długimi smugami deszcz się lał na kamienne posadzki i porysował mury, a kałuże niewyschłe zastygły pod każdym z tych złowrogich pasów; około których rosły pleśnie zielone.

W milezeniu uroczystym poszliśmy na górę do ogromnych drzwi obłożonych marmurową z herbami futryną, —

na lichą klódkę i przybity niezgrabnie skobel zamkniętych. W pustce tej mało zostało śladów życia, a jednak jeszcze uderzała wielkością charakteru swego, czémś wspaniałem i potężnem. Przedpokój większy od niejednego dzisiejszego salonu, pełen był połamanych mebli zwalonych na kupę, wśród których na oszarpanych axamitach i biało ze złotem lakierowanych kanapach, leżało kilka pustych sypanek, wyszczerbione żydowskie neculki, korzec kartofli i worek buraków.

Drzwi wylupane i na jednej trzymające się zawiasie, powiodły nas do sal szeregiem po sobie następujących, wśród których gdzie niegdzie mokre znowu ślady deszczów i siwe pleśnie szeroko się rozkładały. Tu i ówdzie jednak szczątki jeszcze dawniej wielkości znać było: — ramy zwierciadeł, których ze ścian wydrzeć nie umiano, malowania na murach i nisze, napisy, kominy kamienne i marmurowe, kolumny marmurowane z bronzowymi kapitelami, świadczyły o przepychu z jakim ten gmach wznoszono. Jakby na pośmiewisko wśród tych wspaniałości umarłych, Żyd porozsypywał swoje sprzęty maluczkie, prozaiczne. Stały tu zepsute łóżka, połamane warsztaty, karczemne stoły bez nóg, rozbite skrzynki czeladzi i niewiem już co za bezimienne rupiecie starzej nędzy.

Starzec wskazywał to i wzdychał... bolało go, że razem gniją, pański dostatek i Żydowskie skępstwo.

Tak przebiegliśmy z nim wielkie sale przeznaczone do uroczystych przyjęć i obchodów wielką jedną, w której bytność króla oznaczał niedawno marmur, przez Żyda obrócony na zrobienie jakiegoś stołu do kuchni — o czém starzec mówił ze zgrozą, — inną, z której wydarto posadzki kosztowne, zostawując pełną pyłu i zbutwiałego drzewa, — potem pokoje sypialne, bibliotekę pustą, wśród której wala-

ły się kilka kart wydartych z xiąg XVII wieku, archiwum z powywracanemi półkami sosnowemi, jadalnie, kredensa i niewiem już ile izb i ile korytarzy i komórek. Był to dedał przegródek, wschodów, wschodków, przejść, sklepień, kryjówek, ogromnych gmachów i szczupłych pokoików, ogołoconych i odartych ze wszystkiego, czekających dnia ruiny ze smutną cierpliwością męczennika. Znać było, że ten budynek, któremu ręka późniejsza nadała powierzchownie jednolitą fizyonomiję, wznosiły powoli wieki; że poczęty w XIV wieku, może skromnym grubym murem, w XV nieco śmielej rozszerzony, w XVI zarysowany na poważniejszą już skalę, w XVII rozpostarty nagle i zbytłownie, w XVIII dopiero z zamku wyrósł na pałac, by w XIX z pałacu stać się pół ruiną, pół fabryką.— Na gołych murach czytać było można dzieje żywota tych wieków z razu bohaterskich, pracowitych, prostoty pełnych w obyczajach, potem zbytłujących i zepsutych...

Stary Piotr po słowie się tylko odzywał, tłómacząc mi znaczenie każdej izby, dając im dziwne i dość niezrozumiałe nazwania od osób co je zamieszkiwały, od wypadków, co w nich miały miejsce przed laty—ale nieśmiało rozszerzać się z boleścią i narzekaniem, których był pełen i wstrzymywał je w sobie jako mógł. Wzdychał ciężko i modlił się pocichu.. czasem oczy odwracał.. kilka razy już, już zdawały mu się rozwiązywać usta, ale milkł zaraz jakby sobie przypomniał, że słowa jego paść mogą nie w ciepłe serce, a na zimną opokę.

W jednej z komnat nagle zatrzymałem się osłupiały nad ogromnym stosem jakichś płócien z obrazów i połamanych ram, zwałonych na kupę niemilosiernie. Gdzie niegdzie z tego chaosu patrzała jeszcze spleśniała i zakurzoną twarz hetmańska dziko i smutno— ówdzie wystawała

ręka z szablą, pola sukni gronostajami podbitę, niewieście czolo pokryte zasloną wdową...

— A to co?— spytałem Piotra.

— To! to stare portrety,— rzekł;— zwałilem je na kupę i przygniotłem żeby sobie prędzej zgnily, bo tu najlepiej zacieka... i już mi dobrze nadtruchlały...

— Zlituj się! czemuż ich nieocalisz?

— Dla kogo? na co? żeby się nad niemi pastwili żydziuki lub handlowali przekupnie? żeby niemi Sara parawany obijała, jak już probowali, żeby te pocziwe twarze patrzyły na ich ohydne szabasy?... Nie! niepozwole krzyżować ich niewiernym, niech lepiej zgniją i zginą... a nie! to je spalę.. dym pójdzie na chwałę Bogu jak w starym testamencie Ablowa ofiara.

— Ale — mógłżebyś je oddać komu?

— Żyd je kupił, to jego własność! zgnić może im pozwoli, ale nieodda.. to niewolnicy jego...

— A gdyby zapłacono?

— Któż za to śmiecie da trzy grosze?... Gdzie dziś, panie— dodał wzruszony— poszanowanie dla przeszłości, gdzie ten duch, co dawniej nas ożywiał? Każdy panicz woleć będzie lada kurtkę axamitną i konika, niż stary galgan, na którym jakiś bazgroła nieosobliwszym pędem wyraził twarz nieznana, co tu kona lat sto i skonać niemoże... Turcy, panie, mają rozum, że portretów nie-malują...

Poszliśmy dalej— był i teatr, były i wspanialsze znowu wielkie apartamenta malowane na dole, których freski zachowane dosyć świeże uderzyły niezwykłą pięknoscią swoją. Zapewnie, niebyły to arcydzieła, ale ten co je malował, niepospolitym okazywał się w nich artystą. Nienależne go przedmioty obce, historie narzucone mu, prze-

szłość, której nierozumiał,— niepłakał i niemodlił się malując, ale gorąco i żywo rzucił szlachetne dziejowe postacie na mur, który miał przeżyć dziedziców tego imienia.

Pierwszy to raz trafiło mi się w kraju naszym widzieć historię domu użytą za przedmiot do ozdoby ścian sal mieszkalnych. Widoczném było, że ta myśl przyszła komuś w końcu XVII wieku, a obcemu powierzono jej wykonanie. Malarz był Włoch, manijerzysta trochę, wielce biegły w swęj sztuce, i człek nie bez talentu; ale przeszłości polskiej dobrze nierozumiał... Praca jego zgadzała się zresztą wybornie z charakterem budowli, z fizyonomiją całego pałacu. W szerokich ramach, było tu naprzód przyjęcie króla na zamku, z ciekawym widokiem tego gmachu, jakim był jeszcze w XVII wieku przed ostatecznymi upiększeniami. Scena ta uroczysta odpowiadająca talentowi malarza, wcale była zajmującą, twarze widocznie portretowane. Dalej odmalowane zaślubiny jakiśs xiężniczki Niemieckiej przez wojewodę Połockiego odbyte w Gdańsku. Dalej wjazd do Rzymu posła, i pogrzeb królewski w którym—jeden z przodków reprezentował figurę króla... jadąc za marami na koniu. Każdy z tych wielkich obrazów miał wartość historyczną i artystyczną, a nad znaczeniem ich niepotrzeba się było zastanawiać długo, gdyż u góry w kartuszach floresami złożonemi ozdobnych, stały Łacińskie napisy, daty i osób głównych imiona.

Zatrzymałem się tu dłużej niż gdzieindziej: bo i pokoje tu na dole lepiej poszanowane, więcej miały sprzętu starego, i nie w nich jeszcze nietrąciło panowaniem Żydowskiem. Kilka stolików rzeźbionych misternie, krzeseł i kanap, ram w ścianach i odrzwi wspaniałych z ezarnego marmuru Szwedzkiego, dozwalały się domyślać, jak to musiało być pięknem, gdy było całém i życie w sobie mieściło.

Mały gabinet owalny przytykający do owych wielkich gmachów, zwabił mnie obrazem al-fresco na ścianie widocznie tegoż pęzla co poprzedzające. Obraz ten był mniejszych rozmiarów, bladzy, nieco swobodniej, czy prędziej malowany, a w kartuszu nad nim zamiast roku i napisu, stała tylko trupia głowa, dwie kości na krzyż złożone i klepsydra wyczerpnięta...

Wypadku, jaki ta ściana przedstawiała niełatwo było zrozumieć... Był to znowu pogrzeb, ale dziwny jakiś: postacie, które mu towarzyszyły, wszystkie miały twarze pozakrywane; dwie tylko na całym obrazie tak były zwrócone, że wyraźnie rozeznąć się dawały. Malarz ustawił resztę figur tak zręcznie i sztucznie, pozawieszał głowy kapturami różnych bractw, pozakrywał jedne drugimi, że nigdzie nikogo widać niebyło, oprócz nieboszczyka w trumnie odkrytej, i jednego tuż za nią rycerza. Nadzwyczaj uderzającym było to: że nieboszczyk i rycerz ów tak do siebie byli podobni, tak jedni, jakby rozdwojoną tylko a jedną stanowili osobę, jakby bracia rodzeni, jak cień i rzeczywistość... Tylko na twarzy zmarłego malarz wyraził spokój grobowy, a na licu rycerza jadącego konno za karawanem, zdziwienie, przestach, niepewność, uczucia jakieś tłumne, pomieszane, dziwaczne.

Znać to podobieństwo rysów dwóch postaci niebyło bez celu, i artysta wrazeniu jakie chciał uczynić niemi, poświęcił wszystkie inne twarze ludzi idących za pogrzebem, pokrywając je i osłaniając naumyślnie. Nawet ubiór rycerza i nieboszczyka były zupełnie jednakowe, rzekłbyś ten sam człowiek położony w trumnie. Ale co to znaczyć miało? czy tylko ową marę, jaką dawniej wystawiano na pogrzebach, gdzie ktoś zawsze zmarłego reprezentował bohatera? czy to była jaka familijna tradycjonalna hi-

storya, której anim sobie mógł przypomnieć, ani się domyśleć?

Stałem długo przed obrazem, choć Piotr brząkał kluczami i niecierpliwił się przechodząc napróżno w drugie drzwi dalej wiodące;— nakoniec zapytałem go:

— Cóż to wyobraża?

— A! to jakaś długa, a nieciekawa historia,— odparł klucznik;— a ja dobrze jęj niewiem... gadają różnie, jakiś to pogrzeb... Bóg wie! Ale czasu nam niestanie na piwnice i kapliczkę... ot, chodźmy lepiej.

Rad nierad, dopytując napróżno, musiałem posłuchać i dać się po wschodach prowadzić do sklepów pod zamkiem, które istotnie na widzenie zasługiwały. Był to drugi gmach podziemny, o dwóch piętrach, z tysiącem przechodów, izb, piwnic, tajemniczych zakątów, ścian porozwalanych, i sklepów zarzuconych stosami potłuczonego szkła, walającemi się od niepamiętnych czasów kamiennemi kulami i spiżowemi w ziemię wrosłemi działami. Wycieczki ztąd, jak stary opowiadał, miały prowadzić za rzekę, ale teraz pozawalane kończyły się osuniętym gruzem i ceglami.

Podróż nasza po tych podziemiach majestatycznych jak same zameczysko, prócz wrażenia tęsknoty i podziwu nad tém dziełem olbrzymiem dziś nieużytecznem, nie mnie nienauczyła. Piotr jakby dla zatarcia wspomnień tego obrazu pogrzebowego, o którym wspominałem mu ciągle, opowiadał mi dość żwawo o ogromnych beczkach miodu kilkasetletniego, które tu wisiały na łańcuchach, i o przysgodzie jakichś żoldaków z 1812 roku, co wpadłszy do piwnic tych, w dni kilka martwemi trupy ztąd powyciągani zostali, usnąwszy po opiciu się zabójczego trunku na wieki. Dawniej te miody w małych jak naparstek podawano kieliszkach.

Z podziemia nareszcie wyszliśmy niespodzianie na światło dzienne szyją jakąś naprzeciw kaplicy, drzwiami, od których Piotr miał klucze.— Powietrze, którem odetchnąłem, wydało mi się rozkosznem, niebo cudnego blasku, świat w szatach świątecznych... ale mimo doznanych wrażeń i potrzeby odświeżenia się po nich, nie mogłem opuścić kaplicy. Piotr przewidział to żądanie, i minawszy drzwi deskami zabite, poszukał klucza do małego bocznego wnijsia przez zakrystę.

Tu— straszniejsza jeszcze była ruina domu Bożego niż ludzkiej siedziby i cięższy smutek ogarniał patrząc na nią, bo się przypominały słowa Pisma grożącego niegodnym odebraniem pasterzy i wywróceniem ołtarzów. Ludzka znikomość mówiła w zamku głosem od lat tysiąca jednym wszędzie: tu kara Boża i grzechy zdawały się puhaczów głosem odzywać z tego opuszczonego kościołka. Niewielki, postawiony był z największem staraniem i wykwinnością przez pobożnych przodków domu tego. Nieżałowali widać na budowniczego, który śmiało zarzucił w górę sklepienie, na snycerzy co porzeźbili odrzwi i futryny okien kamienne, na grobowce i ołtarze wykwinnie z marmuru misterną ręką wykute... ale dziś wiatr zimny wiał przez rozbitą u góry kaplicę sam jeden tu mieszkając...

Sklepienie wyszczerbione wisiało straszliwie grożąc upadkiem, wydartą posadzka przepuszczała pokrzywy, piołuny i dziewanny, ptastwo i żaby leżały się w przybytku modlitwy. Po ścianach jeszcze widoczne były ślady malowań tej samej ręki, która zamek ozdobiła, aniołki i święci w obłokach, nad ołtarzami w extazie, postacie zamodlone i smutne,— i panujący im w sklepieniu u wiel. ołtarza krzyż z Chrystusem na nim, zawieszony w powietrzu... Ale nie było ani jednego malowania całego, na

każdém piétrze zniszczenie się wyryło;— sam Chrystus tylko pozostał nietknięty i tryumfujący; a u stop jego Matka Boża, na której łonie w niebieskich jój szatach jaskółka ulepiła sobie gniazdeczko.

Wielkiego ołtarza stało tylko podmurowanie, odarte z płyt marmurowych; po za nim dwa wielkie grobowce przodków, tumby z czarnego kamienia z leżącymi rycerzami i niewiastami snem wiekuistym uspionymi, wyglądającymi dziwnie surowo i smutno. Rycerz był pierwszy sparty na rękę, we zbroi, z hełmem u nóg i tarczą herbowną, matrona w szatach zakonnych. Bo wówczas jeszcze zakonem było małżeństwo— z różańcem w rękę i pieskiem u nóg...

Ale to wszystko stało osute pyłem, popękane, porozbijane, zniszczone... Na drugim grobowcu starzec z brodą do pasa i łańcuchem na piersi, i maluczkie dziecię spoczywało okrażone wieńcem kwiatów, a na wierzchu ohydna śmierć z kosą uśmiechająca się zębami białemi,— trochę lepiej oszczędzone zostały, bo je gzems ocalony przykrywał. Z bocznych ołtarzów także rumowiska tylko pozostały, a u stóp ich wały się potłuczone ławy, połamane lichtarze, i strzaskane wieka grobowe.

Piotr stał z odkrytą głową i odmawiał Anioł Pański, ja przy nim ukląknęm upokorzony— modlitwa nas zjednoczyła.

— A!—rzekł gdyśmy ją skończyli,— teraz to panu pokażę i groby... poszanujesz je... Nielubię tam chodzić, bo się boję żeby Żydzi i do nich się niedopytali: gotowi powiedzieć, że i te kości im sprzedane. Zamknijmy drzwi najprzód...

Piotr zarygłował zakrystyę, wprowadził mnie do skarbcza, usunął deski przy ścianie zostawione, i odkrywając drzwi utajone na płask leżące, podniósł je powoli... Po

wschodkach dosyć wygodnych spuściliśmy się w głąb podziemia.

Na podziw tu było jasno, cicho, czysto i stosunkowo świeżo nawet: znać pobożna ręka i serce pilnowały tych grobów. Lochy były prześliczne, suche, pełne piasku, i formowały jakby kościółek podziemny kształtem odpowiadający górnemu... Nawet w głębi naprzeciw wielkiego ołtarza, stał i tu ołtarz drewniany z krzyżem i lichtarzami, pokryty ubogim obrusem na pół przegniłym i zapyłonym. Po obu stronach drożyny wiodącej ku niemu, przy niskich słupach, na których opierały się sklepienia, rzędem stały trumny na podstawkach z cegieł i drzewa. Niektóre posuwały się nieco, ale żadna się dotąd nierozsypała. A było ich wiele i były różne, poczynawszy od nienazbyt starej axamitem obitej i galonem ozłoconej, od cynowej Augsburskiej misternie rzeźbionej i na głowach aniołków opartej, do blaszanych, dębowych, i smolonych kłód, które wyglądały jak koryta nieforemne.

Na samo wejście domyślałeś się w nich rycerzy, niewiast i dzieci, młodych nadziei pogrzebionych w kwiecie wieku, i starców, co do dna wypili gorzką czarę żywota. Te milczące szeregi, ściśnione, były wymowne... zdawały się u ołtarza Bożego klęczać prosić o przebaczenie rodowi i potomstwu swojemu... zdawały się modlić i błagać... Znowu ze starym poklekliśmy.

Gdy wstałem lzę miałem w oku, ale pokój w sercu... spojrziałem ze czcią na tych modlących się po śmierci pra-ojców zgasłej rodziny, której xięgi ostatnią kartę wiatr poniósł gdzieś nad ocean i rzucił na ziemię wygnania.

— To—rzekł niepytany Piotr, poczynając od ołtarza i nieforemnych trumien najstarszych— to ten, co chodził do Palestyny... zabiwszy rodzzonego brata... potem był w Rzy-

mie po przebaczenie i papież go rozwiązał ze krwi... on klasztor w miasteczku fundował... A oto tuż brat on zabity i żona jego...

Podniósł jedno wieko, które samo odstawało i w głębi smolą wylanego wydrążenia, ujrzałem trochę szat, trochę pyłu, drobinę zeczerniałych kości, i błyskotki, w pośród których prosty był krzyżyk brązowy.

— Ten—mówił dalej—niema głowy—(w istocie skeletowi jój brakło).—Wykupiono ciało jego z niewoli Tureckiej, ale głowa ucięta gdzieś na bramie seraju sultańskiego została, i niemożna jój było dostać... Trup ten zapłacono na wagę złota.

I ta trumna była prosta drewniana, choć szczątki w niej zawarte wartaly tyle co wielki klucz na Rusi, który rodzina dla okupu zaprzedała. Obok niej przysunięta szczelnie stała tuż druga wierniej żony i dwie mniejsze dzieci, dwojga zmarłych zawczasie.

— To wojewoda, to kasztelan,—mówił dalej mój przewodnik;—pierwszego zwali królikiem, drugiego mnichem. Tamten zbudował zamek; ów pochować się kazał w habicie św. Franciszka, ale u nóg szablę sobie położył.

Przechodziliśmy do coraz ozdobniejszych trumien; gdy po drodze uderzyła mnie jedna bardzo misternej roboty, cynowa, widocznie lana umyślnie gdzieś w Niemczech, gdzie często dla nas podobne wyrabiały się sprzęty i przez Gdańsk sprowadzały. Stała ona oparta na skrzydłach czterech aniołków i lwich łapach, w głowach okienniczka pokrywała osadzony portret olejny; na bokach w medalionach bogatych wystawione były bitwy i rycerskie sprawy. Robota acz piękna, niebyłaby mnie może zastanowiła, gdyby nie ów portret przypominający dziwnie rycerza na obrazie w gabinecie jadącego za pogrzebem.

Zacząłem szukać napisu, ale go nigdzie niemógł znaleźć.

— A to kto?— spytałem Piotra.

— A to—odparł widocznie zakłopotany— a to... e! e! e! to pan wojewodzie.

— Ten sam co na górze w zamku?.. dodałem żywo.

— A ten sam, ten sam,—mówił Piotr odsuwając się powoli, jakby się namyslał milczeć czy odpowiedzieć. Ale na niego spójrzałem błagającym wzrokiem z tak wymowną prośbą milczącą, że stary zatrzymał się wśród drogi, zawahał i dodał:

— To ten wojewodzie, który... który potem umarł braciżkiem u Kamedułów pod Krakowem...

— Jużciż wiecie co znaczy ten obraz... z trupią głową u góry, musieliście coś słyszeć o nim: proszę was opowiedzieć mi...

— Przyznam się panu, że ja tam tego nigdy nikomu nieopowiadam,—szepnął starzec ruszając ramionami,—bo to widzi pan.... śmieją się, drwią, a pan Bóg więcej może niż człowiek wymyśli, i taki wszystko to prawda!

Te słowa obudziły żywszą jeszcze we mnie ciekawość, począłem nalegać, i usiedliśmy na wschodkach podziemia naprzeciw ołtarza, poglądając zdala na trumny,—Piotr tak począł opowiadanie powoli:

— Wojewodzie ten miał na imie Żegota,—kiedy żył dalipan nieumiem panu powiedzieć, ale na trumnie gdzieś tam rok śmierci się znajdzie, to go sobie pan dójdiesz—zresztą i mniejsza o to. Co lata mają do historii? wszystko jedno, kiedy się to działo, wczoraj czy pozawczoraj; dosyć, że co powiem—prawda święta. U nas to wszyscy wiedzą. Jak to już podówczas było we zwyczaj, ojciec wojewoda posłał z kimś młodego panicza za granicę dla ry-

cerskiej sprawy, po Niemczech, po Francyi, i niewiem już dokąd. Panicz pojechał rad; aż oto w pierwszym mieście Niemieckim z dwóch nauczycieli, których przy sobie miał, jeden mu zaraz umarł. Trzeba bowiem panu wiedzieć, że wyprawując panicza stary jegomość dał mu do konduity i dozoru Polaka niemłodego już człowieka, który choć nie nieumiał prócz pacierzy po-Lacinie, ale był co się zowie sensat i rygorysta,—a do jakichś tam mądrości był osobny Niemiec czy kat go wie jaki szoldra, który tylko miał uczyć, ale nierządził się sam, tylko to robił co mu stary ochmistrz powiedział.

Otoż trafiło się, że zaraz w początku drogi za granicę, ów szlachciec dany do dozoru rozchorował się na jakąś gorączkę, które tam po tych krajach chodzą niemal co roku; a że nie miał się czém leczyć ponaszał, ani ziół takich jak u nas, ani naszego powietrza i wody—jak go poczęli Niemcy medykamentować, zalewania swoje dawać, krew nie w porę podług kalendarza z niego toczyć, oblewać go lekarstwami—Panu Bogu ducha oddał. Niemiec pozostały zatrzymał się zaraz w tém miasteczku i dał znać staremu wojewodzie, który, co miał odwołać syna do domu póki by mu innego mentora nie dobrał, jakoś nierozmyśliwszy się czy co—puścił panicza z tym szoldrą w dalszą drogę. Tego już panu opowiedzieć niepotrafię dokąd i jak pojechali; tyłkom to słyszał, że jeździli po świecie z miasta do miasta, przypatrując się twierdzom i zamkom, bo się wojewodzie na wojskowego sposobił, i trwało to lat kilka. Wszędzie—jak to był człowiek wielkiego imienia i kolligaeyi, robili mu honory xiążęta, monarchowie nawet, do których z kraju miał listów dosyć. Ale panicz raz wraz z tym Niemcem przestając, to z wojskowemi, to z dworaki jako to był jeszcze młody, a krwi goręcej, tak

się w niwecz rozjunaczył i rozhulał. Niemiec, coby go był miał wstrzymywać, to mu pochlebiał, aże z nim pijał, grał, z grosza go dał i wszystko sobie kupować kazał co zamysłał, a dobrze mu z tém łajdakowi było,—zamknawszy oczy, cugłów popuścił wojewodzie. Na dobitkę—wojewoda stary zaraz jakoś rychło umarł, a matka słaba choć jedynaka do domu ciągnęła, gdy ten napisał, że się tam jeszcze czegoś niedouczył, pozwalala mu coraz dalej i dłużej podróżować, nieskapiąc pieniędzy.

Gdy wojewody nie stało, poszło coraz gorzej a gorzej, i trafiło się już, że konie, powozy i brylanty na karty stawiono, zadłużano się, po miastach zatrzymywali za summy nieopłacone,—a co było awantur z kobietami, z mniszkami, z mieszczankami różnego kalibru, tego i na wołowejby skórze nie spisał. Jak się raz tak puściło, nie było już rady, ani powstrzymania; panicz trafił na dwór Francuzki i tam się dorzwał. Panowało tam, słyszę, takie powietrze naówczas, że i aniołaby popsuło gdyby zawczasu nie uciekł, a co dopiero panicza, który i tak miał żyłkę do rozpusty... A że był urodziwy, silny, młody, dobrze urodzony, kolligat i pan całą gębą, jak go tam pochwyciła ta sodomija, tak w niej ugrzązł.

Co się tam działo, tego ja opowiedzieć niepotrafię; ale bywało, kiedy stary pan, nieboszczyka naszego ostatniego ojciec, zacznie o tém pocichu opowiadać, włosy na głowie powstają i zrozumieć nawet niemożna... Jakąś tam jejmość xiężną Francuzką pobałamucił, i wykradłszy ją, uciekł z nią do Hiszpanii. Mąż poszedł w pogoń za nimi, ten go w pojedynku zabił, a tandem na trzeciej stacyi i z tą kortezanką powasniwszy się zaraz, porzucił ją. Xiężna wróciła do Francyi, a on że się już był wybrał do Hiszpanii, pojechał dalej dla ciekawości. I nim dojechał do stolicy, po drodze

nadokazywał co wlażło. Gdzieś znowu z klasztoru piętnastoletnią dziewczynę porwał, dwóch braci jój okaleczył, zgrał się, potem zamek jakiś w kości wygrał, i Pan Bóg święty wie co więcej, bo ja tego spamiętać nieumiem. Dosyć, że rok się tak wałęsał po tym kraju awanturując, Niemca swojego zbywszy się, bo go gdzieś za słówko nieostróżne do drzewa przywiązanego porzucił miodem twarz posmarowawszy, aby go lepiej muchy jadły. — A taki był szczęśliwy w tych swoich szaleństwach, że mu się wszystko udawało: porywał się z jedną szpadą na całe bandy mulników i rabusiów i wychodził cało, bił się i guza nie dostał, golał i zgrywał się, a potem zaraz w trójnasób odzyskiwał co stracił. Dosyć, że to niesłychane szczęście tak go opętało, że już począł ze wszystkiego się śmiać, nawet z Pana Boga... i żadnej wiary nie miał.

Tak się tedy włócząc po świecie, zajechał niewiem już do jakiego miasta w tój Hiszpanii; a że był przytém wszystkim człowiek ciekawy i dobrej głowy, nigdzie niemiął miejsca żadnego, żeby osobiwości jego nieobejrzał, — i tu jakoś się przydarzyło, że go do katedry zaprowadzono.

Mnich go jakiś tam wiódł, pokazując mu różne malatury i posagi, jakich tam, slysze, pełno, bo to oni te sztuki najlepiej umieją; a wojewodzie znał się na tём dobrze i smakował w malarzach — zwyczajnie, przez lekkość dziecinną. Różne tam jakieś dziwowiska oglądając, krucyfiky misterne, tablatury, ołtarze, przyszli z owym mnichem do obrazu osobliwego, wystawującego pogrzeb taki właśnie, jak tu jest na górze, w którym w trumnie i za trumną jakoby jeden jedzie człowiek. Ujrawszy to spytał wojewodzie, co by znaczyło? a mnich w dobrej wierze począł mu opowiadać jako to był jeden rozpustnik wielki i zbytnek straszny, który Bóg wie ila niewiast nieszczęścia stał się przy-

czyną, że grał, pił i hulał niegodnie życiem szafując, aż jednego razu, gdy z jakiegoś uczty nocą powracał, wjeżdżając do miasta spotkał pogrzeb...

„Śmiejąc się tedy i śpiewając piosnkę świecką, — mówił mu mnich — wjechał konno przebiwszy tłum aż do samej trumny, którą tam wieziono zwyczajem kraju tego odkrytą, — i gdy już miał szydersko nieboszczykowi się pokłonić, patrzy... i siebie samego zobaczył leżącego na wozie... Z tego powodu zaraz jęła serce jego skrucha, i widząc w tём łaskawą przestrożę Bożą, wstąpił potem do klasztoru, gdzie bogobojnie umarł.”

Kiedy mnich tę historię opowiadał wojewodzie, ten, choć to było w kościele — tak się począł głośno śmiać za boki się trzymając, że aż wszyscy co się podówczas tam znajdowali, zgorszeni zostali. Xiądz ów porzucił go zaraz, a wojewodzie unikając tumultu, bo lud bardzo nań koso zaczął patrzeć, drapnął z klasztoru, a niebawem z gospody i miasta, bo się zbierali ukamienować go jak heretyka.

Zdarzenie to poszło tak w niepamięć jak wiele innych; aż nasz panicz w końcu nabroiwszy dobrze, gdy się grosza przebrało, matka umarła, a z domu dla nieładu niedosyłano już pieniędzy, musiał powrócić do kraju, którym się brzydził.

Już tedy powróciwszy na ten oto zamek, nikogo nie zastał z tych, których w nim porzucił, ani ojca, ani matki, ani braci, ani siostr, wszyscy byli pomarli. Stryjowie zaś, których on niecierpiał, zaczęli się do spadku dowiadywać powoli, gdy się im zjawił niespodziewanie.

Ale w myśli miał jeno przybyć, pokręcić się, posprzedać co było można, grosza zebrać i odjechać: bo takiej hulanki jaka tam po innych krajach się wiodła, u nas się

niepraktykowało i po największych miastach. Jużci młodość poszalała, podurzyła się, niejeden coś przeszkrobał, ale wprędce każdy w karby wchodził, a miecz i zbroja, koń i wojaczka wprędce głupstwo z głowy wybiły—niebyło czasu na perebendy...

Wojewodzie wjechawszy, tu zaraz się poczuł jakby do klasztoru wpadł, co spójrzy to twarze surowe, słowa poważne, a fertycznych owych jéjmościanek ani zajrzeć, i od kobiet wara... chyba przez drzwi kościelne—o złém i pomyśleć niedają. Raz, drugi, spróbował po Francuzku, ale jak mu kości z Polska pogruchotano a odleżał Ruski miesiąc, ochota odpadła i od cudzego i od szermierki. W kości też niebyło z kim grać, musiał pilnować przyzwoitości, a ozwał się co przeciwko honorowi Bożemu, lub świętych jego, to nań szlachta z szablami leciała i pozywali go zaraz o kryminał.

Niebyło tedy sposobu, rad się był jednej godziny uwolnić, począł dobra sprzedawać, grosz zbierać i pakować do drogi; ale na klucz tutejszy i zamczysko kupca niebyło, a pieniądz z innych dóbr, który zachwycił, zaraz posiał między ludzi, bo z sobą był przywiózł takich doskonałych majstrów z zagranicy, że ani się postrzegł jak mu kieszenie oczyszczali. W końcu, gdy do podróży już się gotował, a klucza tego sprzedać niebyło można, postrzegł, że nie prawie niemiał, i Niemcy ci zaraz mu się powymykali do nor swoich zmykając... a on sam jeden pozostał.

Z téj nudy i aprehencyi, począł bałamucić jakąś wdowę, niby udając jakoby się z nią chciał żenić; ta go nieoddepchnęła, ten ze zmęczenia i utrudzenia przylgnął. Znowu tedy historia dawna, krewni się dowąchali i gdy wojewodzie do Krakowa uciekł, ci w pogoń za nim poszedłszy w drodze już nie na szable wyzwali, ale kijmi go

skrzywdzić chcieli. Musiał się w rozpacz obraniać i dwóch tam pono rozpiatał, a wdowa w klasztorze umarła...

Że to byli jacyś familijanci, musiał potem co rychléj z kraju się wynosić. Po drodze niepodobna mu było minąć Krakowa, gdzie się ów klucz ostatni i zamek ostatni spodziewał przefrymareczyć; że zaś pilno mu było, porzucawszy na ostatnim noclegu służbę i dwór, dla niepoznaki może,nocką już zbliżył się do miasta...

Jak bywało pocznie stary nasz, ojciec nieboszczyka ostatniego pana opowiadać, to co ja tu mam panu mówić, włosy na głowie wstają a ciarki po skórze przechodzą, ale ja tak niepotrafię opisać tego.

Słuchaj-że no pan tylko, jak się stało. Wojewodzie zbliżył się konno do Krakowa, i minął już był Floryańską bramę, gdy w ulicy usłyszał bijącą u Panny Maryi północ... Noc była choć oczy wykół, ciemniuteńko, miasto puste, nigdzie światła w oknach, żywój duszy w ulicy. Zdziwił się bardzo panicz, bo znał Kraków, że tam od rana do rana przez dzień i noc ciągle się jak w garnku gotuje....

Jak zaczęła bić północ, wybiło raz, dwa, trzy, cztery powoli,—on liczy, a ono bije a bije bez końca,—co jedną dwunastkę skończy, to drugą zaczyna... Niewiedzieć dla czego ten głos wieżowego zegara przejął go jakąś trwogą, w tém na zawrócie blask postrzegł i widzi sunie pogrzeb przeciw niemu.

O téj godzinie nigdy ani exportacyi, ani pogrzebów nieodprawiają: tknęło go to, zdziwił się, ale rad był, że ludzi spotkał, i wcisnął się w tłum, który go z sobą pociągnął, bo takie szły gromady, że ich przebić niebyło podobna. Z razu niewidział nic tylko kaptury ponasuwane na

twarze i kapników, ale mijając dalej, gdy jednemu i drugiemu zajrzał w twarz, pobladł...

Szli to wszystko ludzie nieprości, ale ci oto, których tu pan widzisz w trumnach: dziadowie, pradziadowie, prababki wojewodzica, zdawna pomarli, których znał przecie z obrazów, tak żywo domalatur podobni, jakby ich z nich pozdejnował... Wojewodzie od razu zdrętwiał. Z początku myślał, że mu się w oczach dwoi; ale co się mocniej przyglądał, to wyraźniej widział, że szeregiem i lat kolejną, począwszy od pierwszego protoplasty, byli to wszystko jego rodzeni...

Szli tedy i plakali, modląc się i bijąc w piersi, a głośno odmawiając pacierze za duszę Żegoty...

Przesuwał się w pośród nich wojewodzie, chcąc minąć to przykre widzenie, dalej a dalej, aż doszedł tak do ojca i matki swoich, idących tuż za trumną wiezioną na wysokim wozie i płaczących tak gorzko, tak okrutnie, jęczących tak boleśnie, że się ich głos aż w zatwardziałej duszy jego odezwał.

W tém kiedy rzuci okiem na trumnę odkrytą, zobaczył w niej siebie jak stał, w tém samym odzieniu, leżącogo na marach ze złożonemi rękami. Już mu tedy ochota od śmiechu i żartu całe odeszła, i zimnym potem oblany, ledwie żyw jechał za swoją trumną, nie niesłyszając, jeno narzekania rodzicielskie, jedną tylko wielką modlitwę za duszę swoją... a bał się nawet obejrzeć po za siebie, bo nie śmiał drugi raz spotkać wejrzenia ojca i matki, których się w dzieciństwie powstydzil, — wielka boleść ogarnęła serce jego, skostniał cały.

Powiadają, że ten pochód trwał tak długo, iż wojewodzie czarny włos przez ten czas posiwiał na skroni,

zbielał, i więcej w tych godzinach postarzał, niżeli przez dziesięć lat rozpusty i zbytków...

Pochód żałobny przeszedł przez całe miasto, wysunął się aż w pola puste, daleko, a wojewodzie ściśnięty w tłumie niewiedząc co czyni, jechał za trumną niemogąc się ani cofnąć, ani obejrzeć. Zajechali tak aż do kościołka i klasztoru Kamedulów na Bielanych.

Zdała już świeciło we wszystkich oknach jego, i widać było wychodzącą ze światłami naprzeciw nieboszczyka processyę. Wkrótce ukazali się xięża, ale sami nieboszczycy — bo nogami niedotykali ziemi, a szli w powietrzu opromienieni, a w rękach trzymali nie pochodnie lub gromnice, ale płonące serca cierniem owite. Na czele ich leciał św. Romuald, starzec siwobrody w pustelniczej sukni.

Niewiedział Żegota jak się dostał do kościołka, jak zlął z konia, a gdy ukląkł na zimnym marmurze posadzki, pochylił się na grobowe kamienie i omdlał.

Gdy nazajutrz oczy otworzył, znalazł się w rękach xięży, którzy go trzeźwili i cucili, ale obudził się całem innym człowiekiem...

Wczorajszego widzenia pamięć tylko jakby snu, rozświetlanego blaskiem słonecznym została; wiedział, że nocą dobil się do drzwi kościelnych, i na katafalku w pośrodku ujrzał trumnę próżną do jutrzejszego zgotowaną nabożeństwa...

I więcej ztąd już niewyszedł: — widzenie nocne poruszyło go do głębi, zmieniło w gruncie i nawróciło duszę jego ku Bogu; — nazajutrz wstąpił do nowicyatu, ohłókl suknię zakonną i w niej rok przebywszy w anniwersarz owego widzenia, życia w skrusze i pokucie dokonał. Mówią, że u łoża miał jeszcze widzenie jedno całej swęj świętej rodziny, witającej go z palmami i gorejącemi po-

chodniami w rękę, na progu nowego życia... mówił o niem przytomnemu kapłanowi, który go na śmierć przygotowywał.

Otoż cała owa historia wyrażona na obrazie,—dodał Piotr wstając,—ale myśmy się zagadali a tu się zrobiło tak ciemno i późno, że nam co prędzej ztąd wychodzić już potrzeba....

Dopierośmy się postrzegli oba, że z podziemia przyjdzie wydobywać się omackiem, gdyż choć na dworze były jeszcze dnia ostatki, w lochu już ciemna noc panowała...

Zpomocą staruszka, który znał dobrze wejście i wschodki, dostaliśmy się przecie do górnego kościółka, przez którego wyszczerbioną ruinę wschodzący xiężyc rzucił smugi białawego światła, w fantastyczne ubierając go postacie.

— Chodźmy, chodźmy!—podechwycił biorąc mnie za rękę i ciągnąc prawie gwałtem Piotr—Żydzisko pewnie gdzieś nas pilnuje i śmiać się będzie, że nas tu ta historia tak długo wstrzymała... a oto i noc!... I z zamku idąc do miasteczka, w bramie lub na dziurawej grobli można gdzieś nogę nadwerężyć.

Opowiadaniem tém i widokiem zwalisk i cmentarnych zabytków upojony, znalazłem się wreszcie wyszedłszy za drzwiczki boczne kościółka w dziedzińcu,—i Piotr znikł mi jak widmo na zawrocie ścieżki nim się opatrzyłem, jak i gdzie się mógł podziąć. Szukałem go, chcąc mu się za jego opowiadanie i pracę małym datkiem wywdzięczyć, gdy Żyd gospodarz z cygarem w ustach, stanął niespodzianie przede mną.

Można sobie wyobrazić łatwo, jak mi się wydał po tych obrazach, których głowę miałem pełną, pełne oczy i serce.

— Ależ się pan zabawiał!—rzekł drwiąco—jeśli to zabawą nazwać można.

— Przepraszam jeśliśm pozwolenia nadużył, ale....

— A co to mnie szkodzi!—odparł ruszając ramionami,—istotnie ruina to niebrzydka... sprowadzić nawet myślę malarza, żeby mi ją wymalował nim runie... Takich zwalisk i nad Renem mało... możnaby ją za biletami pokazywać? he?

I uśmiechnął się.

— Gdyby w niej niebyło fabryki!—rzekłem niemogąc się powstrzymać—bo juściż niepowiesz pan, żeby warstwy dodawały wdzięku.

Starozakonny splunął zżymając się pogardliwie.

— Gdyby w niej niebyło fabryki,—odpowiedział chłodno—tobym ją dawno rozebrał i sprzedał na cegłę, bo do czego ten stary grat się przydał?... bajki tylko i bałamuctwa się w nim gnieźdzą!!

Skloniliśmy się sobie zdaleka, i wzdychając wysunąłem się z zamku, a na usta mimowolnie przyszły wyrazy grobowe....

„Pulvis et umbra!”

d. 20 maja 1856 r.
Romanów Podlaski.

OD MERECZA DO KOWNA.

GAWĘDA PUSTELNIKA,

PRZECZ

STANISŁAWA MORAWSKIEGO.

V.

NIECZUJKI.

Kiedy znudzony piaskami Merecza, rozżalony zupełnym upadkiem obdartej z dachów i rozerwanej na polu Olity, ku Puniom się przybliżałeś; na parę staj od miasteczka, ujrzałbys przed dwódziestą jeszcze laty, jakby jaką oazę. Ujrzałbys wesoły, schludny, kształtny, z nie-zwykłem tutaj staraniem utrzymany—dwupiętrowy pałacyk, który piękne, cienie okolały drzewa, maskując tą sztucznie urządzoną zasłoną, wszystkie do życia wiejskiego potrzebne mniej poetyczne domówstwa. Tuż obok, w kilku ładnych i wytwornych klombach, i po bujną murawą okrytych łączkach, mnóstwo i białych, i zwyczajnych zawsze bawiło się pawiów.

Pałacyk wzniesiony nad brzegiem Niemna, śliczne i z tej i z drugiej strony rzeki odkrywał widoki.

Przed dwódziestą jeszcze laty, wszystko tu żyło życiem wesołym, a co najwięcej pocziwem,—ale odrębnem

Wszystko tu na sobie nosiło cechę, pobratymczęj wprawdzie, patryarchalnej, ale w oczy bijącej obczyzny. Był to pałacyk Ruskiego pana.

To śliczne wiejskie mieszkanie, zwało się *Nieczujki*. Dzisiaj już tutaj same ruiny... Za lat parę, już nawet i śladu Nieczujek niebędzie... Niechajże ślad poczciwego i zacnego człowieka, dawnego ich pana, na tej mojej karcie przynajmniej zostanie.

Alexander Michajłowicz Kochowski generał Rosyjski, rodem był ze Smoleńskich okolic. Posiadał tam dobra 1200 dusz liczące; a był starszym przyrodnim bratem sławnego Jermołowa. Kochowski, za Katarzyny jeszcze, zaczął być swój zawód wojskowy; i w nim daleko postąpił. Dziwny to był czas dla Rosyi, ten wiek Katarzyny! Nikt dzisiaj o nim nie mówi; owszem, umyślnie każdy jakos mówić się strzeże. Dzisiaj wszędzie i we wszystkiem, świeci tylko Piotr Wielki i jego okres... Może dla tego o tej niepospolitej kobiecie tak obecni milczą, że za jej życia tyle o niej mówiono. Ale kolej i na nią znów przyjdzie: bo mówić jest oczem. Śród ciemnoty zdarzali się często za jej rządów ludzie, niespodziewanie i sami przez się wzniesieni nad poziom, posiadający wielką i głęboką naukę, wielkie przyrodzone zdolności. Zdarzali się ledwie nie co moment ludzie, posiadający wielki polor społeczny, wielką nieskazitelną cnotę. Kochowski był właśnie jednym z tych rzadkich, odznaczających się samorodną a wyższą cnotą, Rosyjskich ludzi. Młody jeszcze, miał już w 1797 roku stopień generał-majora. To, jeśli niewięcej, dowodzi przynajmniej znakomitości i wpływu rodu jego u dworu. Zwyczaj był bowiem podówczas zapisywać tylko co urodzonego syna i sobie właściwem, niepodobnem zgoła do życia Litwy.

do wojska, jak skoro ojciec jego dobre u góry miał plecy. Życie takowego niemowlęcia w pieluchach liczyło mu się za rzeczywistą służbę wojskową. I nieraz, wychodzący z pod szkolnej różgi siedemnastoletni młodzieniec, tak był już starym i doświadczonym żołnierzem, i tyle w samej rzeczy liczył lat służby, że się, sam niewiedząc jak to *półkownikiem*, to czasem nawet *generałem* zobaczył. W Prusiech, u Fryderyka Wielkiego, o tej samej porze szło wbrew przeciwnie—sześćdziesiątletni starzec jeszcze *porucznikiem* bywał; a rzadko się kto, służąc i przez całe życie dla tronu krew' lejąc, dosłużył—stopnia *majora*!

Kochowski, w randze generała, był świadkiem koronacyi cesarza Pawła.—Cesarz Paweł, jak wiem od tych, co z nim w blizkich, codziennych zostawali stosunkach, był człowiek najlepszego a nawet miękkiego serca i do urojenia posuniętej cnoty; przepelniony uczuciami rycerskiego honoru, pełen prawdziwie monarszej wspaniałości, szczodroty, a nawet w stanie zwyczajnym umysłu swojego, kiedy go nie niedrażniło gwałtownie, pełen czystej i zdrowej logiki.

Rozum Francuzki, bezwzględnie dawał wtedy ton całej Europie. Uczeń Rosyjscey, ze świeżem sercem, i *dobrą wiarą*, przyjęli i wessali w siebie Francuzkich mędrców nauki. Zbliżały się one na oko do szorstkich, czerstwych, ale poczciwych cnot republikańskich, z czerstwością i szorstkością nieobrobionego jeszcze narodu, w pewnym stopniu i względzie niejako pokrewnych. Szczerze tedy—przez samych mistrzów przyjęte i szczerze ledwie że nie od kolebki młodemu xięciu przez nich wpojone zasady, podniosły w nim jeszcze wyżej wrodzone poetyczne o enocie ludzkiej marzenia;—i zrobiły z niego jakiegoś nieskazanego bajecznych czasów rycerza, trzymanego

pod złotym kluczem złego czarnoksiężnika, czekającego na to, aż mu nakoniec dobry genijusz jaki te żelazne pęta pokruszy, te lane z ołowiu bramy otworzy.

Historja powiedziała wiele i więcej jeszcze powie o tym cesarzu. Nasze dzieje minąć go niemogą, i opisać go muszą, jako wspaniałego i szlachetnego oswobodziciela Kościuszki. Wiele jest o nim bardzo, z ust do ust tylko chodzących powiastek. Załączę z nich tutaj parę mniej wiadomych, a słyszanych od osób, które mu do ostatniej godziny wiernemi dotrwały, które w kilkadziesiąt jeszcze lat po jego zgonie, w oczach moich, ze łzami wdzięczności wspominały o nim, choć im i następne panowanie niechęcią czuć się nie dało. Znam to dobrze, że treść tych powiastek, ani na samego człowieka, ani na jego majestat, ani na epokę nawet jego, do żadnych wyższych nieposłuży poglądów. Najwięcej będzie, jeśli rzucą promyk światła na charakter potężnego Słowian władcza. Był, na przykład, sławny w Rosyi autor nazwiskiem Kapnist, który pomiędzy innemi, napisał powszechnie dziś znaną, a podziśdzeń wielbioną komedję, pod tytułem *Pieniactwo* (Яденя) (*). Wystawił on w niej żywemi na swój czas rysami, i trafnie dobranym językiem, całe przekupstwo, zdzierstwo, matactwo i łotrowstwo urzędników Rosyjskich. Gdy ją dano na publicznej scenie, uszczęśliwieni widzowie, czeząc na uczynku schwytaną naturę, ledwie nieskoнали z radości. Cieszyli się *hucznie*, jak się cieszą ludzie jeszcze w kluby dobrego wychowania nieujęci. Ale *urzędnicy* wszelkiego stopnia, zawstyżeni, jeśli to być mogło, takim wizerunkiem, krwawą w nim upatrując niecnoty swojej obrazę, ledwie że niepekli od wściekłego gniewu. Natychmiast więc zrobił się spisek. Przed-

(*) Znana w tłumaczeniu Polskiem p. t. *Jabieda*. (Przyp. Red.)

stawiono cesarzowi, okropne niby przez Kapnistą zrobione zgorszenie, i zgubne zuchwalstwem jego sprawione już skutki; wytknięto jawne dążenie do sponiewierania monarszej władzy w najbliższych tej władzy organach,—i te twierdzenia całą górą kłamliwych najeżono zarzutów. Błagano zatem, jak o zbawienie państwa, o wzbronienie sztuki i o przykładne na czas potomny ukaranie złośliwego i źle krajowi życzącego autora. Paweł z razu uwierzył, kazał natychmiast wywieść Kapnistą na Sybir. To było rano. Rozkaz co do joty w tejże chwili spełniono. Po południu, cesarz ochłonął, pomyślał, i zwątpił czy dobrze zrobił. Więc niezważając się z tego nikomu, rozkazał, aby na prywatnym jego teatrze w Ermitażu, sztukę tę przed nim samym tegoż wieczora grano. Wszedł Paweł na teatr, z synem tylko swoim Alexandrem. Żywiej duszy więcej nie było. Po pierwszym akcie, cesarz co moment klaskając w dłonie, wysłał pierwszego pod ręką będącego feldjegra aby natychmiast wrócić nazad Kapnistą;—a wróconemu, dał odrazu rangę radcy stanu, przeskakując, nad przyjęty tu zwyczaj, niższych klass kilka, bo Kapnist był tylko wtedy asesorem kolegijalnym. Obdarzył go hojnie i łaską swoją do samej śmierci zaszczycał.

Oficer jakiś, czy doprawdy, czy tylko pozornie zagniewał Pawła; cesarz pod sąd go oddał. Wyrok uprzedzonego już sądu odebrał mu stopnie i miejsce w służbie, a przytém wrócić mu kazał do *rodziny swojej*, i tam ciągle pod dozorem policyi zamieszkać. Cesarz dekret potwierdził. Tymczasem, przy objawieniu go i spełnieniu, oficer oświadczył, że jest podrzutkiem, że w dzieciństwie opuszczony od rodziców, włóczyć się musiał o zebrany chleb, że ani miejsca urodzenia swojego, ani rodziców, ani rodziny, nieznał nigdy i niezna, i że to co miał własnej tylko

zasłudze i męztwu był winien. Jakże tedy wypełnić ukaz monarszy? Minister sprawiedliwości, wówczas prokuratorem państwa zwany, donosi o tém z największą niesmiałością Pawłowi. Ten zawsze jeszcze gniewny na oficera, po chwili namysłu powiada: „Przebaczyć mu niemogę; ale „kiedy on niema miejsca zamieszkania, kiedy żadnej nie- „ma rodziny, i o to tylko idzie,—dać mu w Witebskiem „na wieczność majątek do trzechset dusz: niech tam sobie mieszka.“— Tym tedy sposobem, człowiek, co miał odnieść karę, odrazu pół-pankiem został.—

Lecz wróćmy już do Kochowskiego. Przywiązanie narodu do Katarzyny niedozwalało podówczas nikomu prawie ocenić stanu duszy jój syna. Kochowski był jednym z tych ludzi, co się tylko wściekali na skutki, niechęcąc zdawać sobie sprawy z przyczyny. Należał więc całém sercem, do tej partyi zażartych nieprzyjaciół Pawła; a raz przejąwszy się tém uczuciem, młody, śmiały, drażliwy, niedoświadczony, zuchwały, a przytém silnego ducha i prawego serca, niemógł się nakonec z prześladowaniem nie-spotkać. Rzucił więc służbę,—i wróciwszy do dóbr swoich, zniechęcony do reszty, nie tylko otwarcie na Pawła bluźgał, co mu ślina do ust przyniosła, nie tylko że do siebie zapraszał i wzywał wszystkich, których prześladowały wyroki cesarskie; ale jeszcze i na domu swoim wystawił napis: „*Tu wykluczonym dają przytułek.*“

Zbiegło się więc do niego dużo takich ludzi, małych i wielkich. Żyli na jego koszcie. Jednym z nich był Mikołaj Nowosilcow. Słyszałem na własne uszy, jak sam Kochowskiemu przypominał, że oprócz wygod życia, niejedno mu był wtedy winien dolne odzienie.

Tak niesłychana w Rosyi zuchwałość, doszła rychło do wiadomości rządu. Zabrano Kochowskiemu natych-

miast majątek,—a zaszła pod ganek kibitka zawiozła go do Dünamündu, fortecy pod Rygą, zwaną u nas popolicie Dyamentem. Przesiedział tam nieborak lat kilka; osiwił jak gołąb. Ale zaszczycony łaską i względami komendanta fortecy, dostawał w swojej niedoli książki do czytania. Dobrze już oświecony wprzód, gruntowniejszych jeszcze nabył tam wiadomości,—co mu przyszło tém łatwiej, że natura dwoma rzadkimi wzbogaciła go była darami: zadziwiającą pamięcią i nadzwyczaj silnym, niczém niezmordowanym wzrokiem. Co raz przeczytał, jużes mu tego i klinem z głowy niewybił. Czytane w dzieciństwie książki, w sześćdziesiątym roku życia, nie tylko w treści, ale prawie co do słowa mógł wyrecytować. A kiedy chciał, o parę sążni od siebie, każdy druk czy pismo z łatwością czytał, tak jak gdyby je trzymał przed sobą. Po śmierci Pawła, kiedy się nowa era dla Rosyi odkryła, Alexander od tego rzady swoje zaczął, że wszystkich przez Pawła skazanych bez różnicy uwolnił. Kochowski uwolniony także, nie miał już do czego wracać. Dobra jego, darowane natychmiast po konfiskacie komu innemu, zaraz potem sprzedane, w czwartém już były ręku. Cesarz Alexander, dał mu dożywociem starostwo Puńskie. Tu tedy Kochowski pod samemi Puniami obrał nad Niemnem rozkoszne miejsce, które *Nieczujkami* nazwał; wystawił tam z drzewa pałacyk, gdzie długi czas mieszkał, a nawet umarł.

Pałacyk ten był dla nas typem wiejskich budowli Rosyan. Wychuchany, wycacany, śliczny. Budują oni, w okamgnieniu, tak, że sam sobie patrząc na to wiary nie-dajesz; a budują wyłącznie z okraglaków, potem zewnątrz opierzają deskami, kitują i malują olejno,—wewnątrz gładzą ściany pociągając je płótnem, które naprzód z klejem

pobiela, a później klejowemi farbami powleką. Tu zawsze dla szczurów i różnego robactwa obiecana ziemia; ale na oko to bardzo piękne, zgrabne, wytworne.

Kochowski był mąż niepospolitej nauki, zdrowego zdania, poczciwej i szlachetnej duszy, prawego, czulego i miłośnierdzia pełnego serca. Zwyczajem Rossyan, uprzejmy i wrzadkim sposobie gościnny, mnóstwo miał około siebie rezydentów i rezydentek, obowiązanych tylko jeść i pić smaczno i bawić się dobrze w domu jego. Co niedzielę, wszystko się z całej okolicy Puńskiej, po mszy stój do niego na obiad zjeżdżało; i to bez różnicy fortun i urodzenia, wszystko jednostajnie grzecznie i po-ludzku bywało przyjęte.

VI.

P U N I E.

Już więc minąłeś prawdziwie Słowiańskim obyczajem gościnne Nieczujki; już się z żalem pożegnał z zacną pamięcią zacnego człowieka; już się naprzód kilkanaście nowych kroków ujechał. Znowu przed sobą widzisz jakąś lichą, okurzoną, ubogą wioskę. Znowu drewniany ubożuchny kościółek, i nad całą tą okolicą górujący, dla wszystkich o każdej godzinie wiecznie dymiący się gościnny komin proboszcza. Dalej kilka mniejszych z cegły nad dachami wyrostków, udaje także gdzie-nie-gdzie kominy. Reszta, jak zwykle, wszędzie brudne, czarne—i okopcone chałupy!...

Jużbyś chciał znowu z uczuciem wzgardliwej litości jak można najprędzej objechać te śmiecia i błota,—ile, że ci się na oko tutaj, tak wdzięcznie uśmiecha natura... i omyliłbyś się na śmierć.

Stój tu, rodaku mój, przyjacielu mój! stój, każdy człowiecze, skoro tylko masz duszę! Zejdź tu z konia twego, uderz tu czołem, zegnij ze czeią kolana; weź z sobą garstkę tej świętej ziemi, i zostaw ją dzieciom i wnukom twoim, na wieczną wielkiej enoty pamiątkę, na błogosławieństwo krwi twojej! Mało miejsc takich w świecie. To nasz Litewski Sagunt, Numaneya nasza,— **Punie!**...

Krzyżacy, pod wielkim mistrzem Teodorykiem z Altenburga, Hennenbergiem, i innymi panami, plondrując Litwę w 1336 roku, oblegli Punię. Było to wówczas miasto zamożne i ludne, wałami wokoło obwarowane, i zamkiem obronnym z muru wzniesionym silne. Oblegający i obleżeni, długo w równie zawziętym trwali uporze. Wszelkie Krzyżackiej chytrłości wysiłki rozbijały się zawsze o nieugięte, żelazne męstwo nieustraszonych Punian. O! krwi Niemieckiej wszędzie tu zostało. Ale nareszcie, do ostatniej przywiedzeni rozpacz, umęczeni trudami, ranami, chorobą i głodem, kiedy się już żadnej znikąd spodziewać niemogli odsieczy, kiedy już wszelką stracili nadzieję Punianie, raptem upartą przerwali obronę.

Spragnione krwi, a echiwe łupieztwa wrogi, ze wściekłą radością wlamują się na koniec do miasta, wrywają się przez wysadzone bezbronnego już zamku bramy,—a dreszcz przerażenia i zgrozy, włos na głowie dębem najeżył. Jednomyślny krzyk podziwu zbestwionego żołdactwa odbił się wielokrotnie o pogruchotane przez gwałt najeźdźców mury!...

Punianie niewidząc dla siebie żadnego ratunku, znieśli co najdroższego mieli ze sprzętów, na ułożone już wcześniej ku temu stosy; żony swoje i dzieci tuż zaraz na nich spalili; a sami siebie wzajemną, co do jednego męża, wymordowali dłonią!

I Niemiec, co się być mienić *rycerzem*, dla tego tylko, że był cały w żelazną zbroję zakuty, ze wstydem znalazł tu same popioły i groźne poległych *prawdziwych* rycerzy zwłoki! Świat widzieć tu będzie wiecznie trudny do naśladowania przykład szlachetnych dzielnego ludu w obrobie ojczyzny poświęceń.

Punie leżą nad samym Niemnem, na wzgórzu, pięknymi parowami przetrzętym. Zaraz tu i Puńka, rzeczka a raczej potok, czasem w groźną zamieniający się rzekę, do Niemna wpada.

Są tu i po dzień dzisiejszy, jakieś ślady tego sławnego Puńskiego zamku,—ale już całkiem ziemią przykryte; a górę tę, na której kiedyś się wznosił zamek, lud starego błędu zwyczajem, *górką królowej Bony* nazywa. Kiedy zniknął zupełnie ten gmach warowny? Nikt tutaj niewie. Niedawno jeszcze wół pod sochą zapadły odkrył od strony Niemna wielkie murowane arkady, z kąd potem lud tutejszy mnóstwo wielkiej kwadratowej cegły dobywać i wywozić na swoje potrzeby zaczął, tak dalece, że władza wejść w to i przeszkodzić grabieży była zmuszoną, chociażby dla tego tylko, aby się góra od północy do Niemna, od południa do Puńki nieosypywała. Nikt się dotąd tutaj w śledzenie fundamentów zamku Puńskiego niewdawał: chociaż rzecz, jak się zdaje, dosyć ciekawą nagrodę za tę piękną pracę obiecywaćby mogła.

Blisko tego zamku, *górnym* zwanego, podług podań Tatarów Trockich, miał być *niżej zameczek* jakiegoś Tatarskiego carzyka, czy chana, który się od najazdów Niemieckich i Polskich pod skrzydłami Puńskiego męstwa ukrył i przytulił. Miejsce to i po dziś dzień *zameczkiem* się zowie. Często na niém wyorzą to kamień, to cegłę; cza-

sem też te cegły, i same ztąd do Niemna się posypią. Dziś tutaj *proboszcza warzywne ogrody*.

W jednej z map plebanii Puńskiej, w r. 1764 przez komornika Dołwnara wykonanej, na miejscu, gdzie kiedyś stał zamek górny, narysowane są jego ruiny. Czy to prosty mierniczego wymysł? czy jeszcze może podówczas dochowała się była w Puniach jakaś pamiątka, jakiś rysunek ruin tego gmachu? z pewnością twierdzić niemożna. Podobnie, że to tylko z głowy, to jest z własnego natchnienia, narysował Dołwnar.

Punie, jakkolwiek się chęć, że kiedyś miały sobie nadane Magdeburskie prawa, ratusz i akta, zawsze jednak były chlebem dobrze zasłużonych; *panis bene merentium*—jak wtedy mówiono, chociaż się kto był i nie *tak bardzo* dobrze ojczyźnie zasłużył.

Paweł xiążę Olszański, biskup Łucki za Zygmunta Starego, Jan Zabrzeziński wojewoda Trocki, Bryndzynacy, Pocięje, Sapiehowie, kolejno je posiadali;—Miechał Brzostowski którego żona, Barbara pod nazwiskiem *starościńskiej Puńskiej* za naszych już czasów powszechnie znajoma, sławną była z nadzwyczajnych, a przez ośmdziesiąt lat wieku zawsze równie gwałtownych miłosnych pochopów, był ostatnim za dawnego rządu Puńskim starostą. Po Brzostowskim, jakim już wyżej mówiąc o Nieczujkach powiedział, cesarz Alexander, generałowi Kochowskiemu dożywociem to starostwo nadał; a cesarz Mikołaj synowi jego jeszcze na lat dwanaście posiadanie Puń przedłużył.

Ziemia jak wszędzie tutaj, skoro tylko nieco opodal od Niemna, dobra; obszary gruntów niemałe.

Kościół Puński, do dawnych należy. Mówią, że go takim jak jest, wystawiła *ex voto*, jakaś Polska chorągiew w 1688 roku. Ale że był daleko dawniejszy, to

się z nadania w 1503 r. przez Alexandra króla wykrywa, gdzie powiedziano wyraźnie: „Ecclesiam Parochiam in oppido Punie, quae privilegio ab antecessoribus nostris sibi dato negligentia suorum rectorum est orba-
ta,” etc.

W 1533 roku król Zygmunt I., w 1534 wielu mieszkańców z Puń samych i okoliczna szlachta tutejsza, znacznie fundusze tego kościoła zwiększyli. Niemal do uposażenia go przyłożyli i proboszczowie Puńscy, a między innymi jeszcze w 1699 roku xiądz Jan Falkowski kanonik Smoleński, i dziekan Trocki. Tym sposobem do probostwa tego należało, aż do reformy za naszych czasów kilka folwarków, które razem wzięte do 27,000 złt. Pol. czyniły rocznego dochodu.

Od nadto już obszerną parafii Puńskiej, oderwaną część w 1786 roku zamieniono na Niemonińską parafję, dla której kościół drewniany wystawiła własnym swoim kosztem Krystyna z Rahozow Kaczanowska starościna Powierzchniańska. Filija w Butrymańcach, dotąd jeszcze do Puńskiego plebana należy. Dziwu zatem niema, że się o tak dochodne probostwo starali zazwyczaj zasłużeni i możniejsi członkowie kapituły Wileńskiej, którzy trzymając tu wikaryuszów, sami w Wilnie, albo gdzie indziej mieszkali. W ogólności Punie, pomiędzy duchownymi pasterzami swoimi liczyły zawsze znamienitszych ludzi.

Jednym z nich, bez żadnej wątpliwości, był xiądz Jerzy Huszcza, kanonik Kijowski a potem Wileński, świętej teologii, obojga praw i sztuk wyzwolonych doktor, mąż wielkiej enoty, świątobliwości, nauki. Ten, *sam tu mieszkał*; szkółkę o kilku klassach założył; sam szlachtę i włościan uczył; znajomość ziół i lekarstw pomiędzy ludem

rozsiewał; i w każdym kroku swoim, *jak prawdziwy sługa Boży*, o rozszerzenie moralności, o rozkrzewienie nauki i światła, wielce był dbały. Widziałem, za najpięrszej mojej młodości uczniów, co wyszli ze szkoły jego, wtedy zgrzybiałych już starców, ludzi, co i po-Łacinie jak rzepę gryzli i dalipan więcej przez jednego xiędza Huszczę umieli, niż tylu innych, przy dzisiejszych gimnazjach i publicznych szkołach. A każdy z nich o Huszczy z najwyższem uszanowaniem, i uwielbieniem, jak o ojcu, jak o prawdziwie chrześcijańskim mistrzu, jak o świętym człowieku wspominał. Cześć i wieczna sława, niech będzie jego pamięci! On to objawszy rzędy plebanii Puńskiej w r. 1747, walący się kościół podmurowaniem opatrzył, we wszystkiem jak jest ozdobił, ołtarze nowe wystawił, konfesyonały, ambonę, chrzcielnicę, organy i sklepy kosztem swoim sporządził. Nieliczę już samej plebanii, o staroświeckim, łamanym dachu, i mnóstwa innych gospodarskich budowli, któremi się miejscu temu przysłużył. Bibliotekę znaczną, szczególnie piękny zbiorem wszystkich ojców kościoła świętego bogatą, także plebanii Puńskiej zapisał; ale cóż! kiedy ją następcy jego roztrwonili do szczętu, tak, że dzisiejszy pleban, dawniej ś. p. Kłagiewicza biskupa Wileńskiego sekretarz, x. Wincenty *Jezier-ski* dziekan Nadniemeński, obejmując to miejsce przed laty dwódziesiąt, ani jednej już xiążki tutaj nie zastał. To dziwna, że w sklepie pod wielkim ołtarzem, złożone zwłoki x. Huszczy, zmarłego w 1776 roku, żadnemu nie uległy zepsuciu— i twarz, oprócz części nosa, i ubiór całe są, wówczas kiedy obok niego leżący, a we dwadzieścia lat potem zmarły jego następca, x. Dolwnar kanonik Smoleński i dziekan Trocki, a kiedyś na sejm Grodzieński deputat, już się w zupełne prochy rozsypał.

Xiądz Huszcza, roślinę nad błotami i wodami chętnie rosnącą, *Lythrum salicaria* zwaną, wszystkim tu w swoim czasie na około, *zapewnie od wścieklizny*, jako lekarstwo polecał; korzeń jej suszony, w proszku z wodą zmieszany, z zupełną wiarą w takim razie dawał. Sok zaś z *Poligonum persicaria*, ziela ciągle będącego u nas pod ręką, na zgubienie robaków gnieźdzących się w ranach zwierząt domowych, na własnem opierając się doświadczeniu, bardzo zachwalał.

W Puniach zdarzył się kiedyś jeden z tych smutnych wypadków, które na długo u ludu naszego popierały i utwierdziły przesadę, że Żydzi do Wielkanocnych obrządków swoich potrzebują koniecznie krwi chrześcijańskiego dziecięcia, i że na ten cel złapane dzieci mordują i męczą.

Oto, co w Żywotach świętych Skargi, mówi o tém *obrok duchowny*:

„Toż uczynili niewierni Żydzi za czasow naszych, „w wielkiem xięstwie Litewskiem, bardzo znacznie i ja- „wnie, roku Pańskiego 1574, po śmierci Króla Zygmun- „ta - Augusta, w osieroceniu królestwa tego. Jest mia- „steczko w Litwie Punie, dwanaście mil od Wilna, nad „rzeką Niemnem. Tam, Żyd niejaki, Joachim Smerłowicz, „arendował browar w jednym domu, w którym też mie- „szkała niejaka wdowa Urszula z Lublina, żona niegdy „Sebastjana Tworowskiego, z powiatu Piotrkowskiego; ta „miała córeczkę piękną w siedmiu leciech, Elżbietę. Żyd „on, od innych Litewskich Żydów jak mniemano namó- „wiony, umyślił zarznąć, i krew z owęj dziewczki na „tajemnice nabożeństwa swego przekłętogo, na Wielkanoc „Żydowską wytoczyć. A mając dwóch sług Chrześcijan „grubych, i tych, którzy o Panu Bogu niewiedzieli, upa- „trzywszy czas we wtorek przed Kwietną niedzielą, po

„obiedzie, gdy matka wyszła do sąsiadów, a samo dzie- „cię zostało w domu, mając znowę z sługą jednym prze- „kupionym, a drugiego postawiwszy na straży, wbiegł „w dom on przeklęty Żyd Joachim. Dzieweczka iż go „znała, nie się niezlękła, rączkę mu podała, a on ją jako „okrutny wilk porwał i tamże w izbie ustka jej za- „wiązawszy, położył ją na worze żyta, który tam stał,— „i dobywszy noża, kat okrutny, rzezał szyję niewinnęj dzie- „weczki w tyle, i potem w koło krew z niej w garniec na „to nagotowany, jako z gęsi wytaczając. Wtém, panien- „ka, długo się w ręku mężobójjskiem jako jakie kurczę „męcząc się skonała. Sprawivszy djabelską robotę, z bo- „jaźni Żyd on i ciała niekryjąc, ale go na oném niejsu „odbiegając schował krew w wór maki, i na wozie zgoto- „wanym biegał do rzeki Niemna, i uciekł do Balwierz- „szek, miasteczka drugiego. Z drugiej strony Niemna, cze- „kał go syn jego, któremu on wor ze krwią oddał i prę- „dko z nią niewiedzieć gdzie uszedł. Matka się wróciwszy „do domu, i ujrzawszy córkę swoją zamordowaną, zwoła- „ła na to wszystko miasteczko, a suspicyę na Żyda mając, „szukać go kazała. Gnał go podstarość i dogoniwszy go „w Balbierzyszkach, pojmał i osadził razem z onymi dwó- „ma sługami.— Przedsię onego złočynyństwa niemogli się „wyprzeć, ale jednak potem Żyd na porękę puszczoney „włosu z głowy niestracił. Biegala smutna matka wdowa, „żebrząc sprawiedliwości na sejmie, który był tego roku „w Wilnie, i na innych sejmikach. Wiedzieli o tak okru- „tném morderstwie wszyscy panowie; ciało dziewczki „onęj do Wilna przywiezione i przed panami stawione by- „ło. Patrzał kto chciał na onę szyję rzezaną i podziśdzien „w Wilnie, w kościolku Krzyża św. przy dworze biskupim „leży. Wszakże to wszystko niepomogło, aby byli tacy

„złoczyńcy karani, acz się o to niektórzy przyczyniali. „Ale iż ta rzecz bez karania uszła, boję się, aby Pan Bóg „za to przy innych grzechach, karania swego na wiele ludzi w tej ziemi nierozciągał”—i t. d.

Xiądz Gaudenty Pikulski, konwentu oo. Bernardynów Lwowskich teolog, przed stu laty, w dziele swoim pod tytułem: „*Złość Żydowska*”, z powodu dysput Talmudystów z kontra-Talmudystami, w archikatedrze Lwowskiej odbywanych, wydaném, między innemi powiada:

... „Jedną im, Talmudystom, tylko sprawkę przed oczy przełożę, ażeby się w niej jak w zwierciadle przeglądali, prawnie u sądu dowiedzioną roku 1753 w Żytomierzu, której się żadnym sposobem zaprzecć niemogą. Tego roku 1753 w sam Wielki Piątek, złapawszy dziecię półczwartą roku mające, imieniem Stefana Studzieńskiego, syna Adama i Ewy Studzieńskich, w Wielką Sobotę po sabbaie zgromadzeni Talmudystowie okrutnie go zamordowali, z każdej żyły i junktury krew wypuszczając przez klócie. Gdy się sąd o tém dowiedział, kazał złapać zabójców, i po uczynionej pilnie inkwizycji, przez dekret, z jedenastu Żydów żywcem pasy darto, a potem ewiertowano. Trzynastu chrzest 3-ty przyjąwszy ścięci byli; jeden z nich mniej winny, dla świadectwa innym Talmudystom przy życiu zachowany został, chrzest 3-ty przyjąwszy.... Kładę wam tu umyślnie wyrażoną figurę tego zamordowanego dziecięcia, ażebyście sobie złość waszą przypominali! Wiem ja, co wy Talmudystowie odpowiadać będziecie, mówiąc: że to *hultaje uczynili!* ale ta odpowiedź, ani godna ucha rozumnego. Azaliż był hultaj Kiwa, arendarz z Pawołoczy, któregoście wy sami między sobą szanowali? Hultaj że to był rabin i inni, pierwsze czoło synagogi waszej Kijowskiej?”... i t. d. Oddawna ludzie rozsądni i światli,

przeczą stanowczo podobnym zarzutom, i mają to za czysty wymysł, potwarz i bajkę. Żydzi się na samą myśl o tém wzdrygają. Powszechnie atoli przekonanie i wiara ludu zawsze mieć muszą w sobie jakąś zasadę.

Nie w jednych Puniach lub Żytomierzu, jak świadczą dzieje, bywały takie zdarzenia, a często odkrywane takich nieszczęsnych dzieł i u nas i w obcych krajach nagrobki, za słusznym w tej mierze sądem mówić się zdają. Można się było *czasem* społecznym w sądzie o tém pomylić; ale mylać się *zawsze*, w tejże samej rzeczy, było niepodobieństwem. Tymczasem, wiadomo, że kilka sekt *Chrześcijańskich*, w drugim wieku ery naszej, kiedy dogmata tak silnie zajmowały wszystkie umysły i najlepsze przewracały głowy, z teologiczno-filozoficznych marzeń swoich wyciągnęły dla siebie ten gruby błąd, w postać jakiejś prawdy odziany: że nie już niewinniejszego być na świecie niemoże nad Chrześcijańskie dziecię, chrztem świętym z pierworodnego grzechu obmyte, a własnego jeszcze popełnić niezdolne. Ztąd poszło, że krew takiego dziecięcia, miała być właśnie krwią niewinnego paschalnego baranka. Tak, sektarze *Cataphryges*, *Papuziani*, *Artotyrystae*, w swoim czasie zwani, z zago-rzałej wiary w swe brednie, z fanatyzmu szczerzego, męczyli wówczas i mordowali dzieci na paschę, jak się o tém z pism Ojców świętych przekonać można (*). Pomiędzy Żydami, którzy ciągle, nałogowie, nad subtelnościami i wy-

(*) Sekty te dzieliły się jeszcze na rozmaite odcienia. Niektóre z nich do celu swojego używały dziecięcia rok tylko mającego. Nieodbi-rano mu życia, ale koląc je po całym ciele szpilkami, krew z niego kroplami sączono, i tę potem z Eucharystyą mieszano. Jeżeli dziecię z takiej czynności umarło — czczono je jak męczennika.

znania i xiąg swoich studują, i wszyscy bez żadnego prawie wyjątku piśmienni, są Żydzi uczeni po-swojemu, *nauczonymi* u nas powszechnie zwani, którzy wyłącznie abstrakcyami przez całe życie swoje zajęci tak dalece, że do prawdy dla życia potocznego i zwyczajnego najzupełniej głupieją, ustawicznie wpadać muszą i mogą w najlepszej wierze we wszystkie urojenia, spaczenia i błędy, do jakich tylko umysł ludzki, raz na złą skierowany drogę, może być zdolnym. Tym sposobem, z pomiędzy wielu innych, mogła się być i u nich kiedyś utworzyć sekta, która w tymże duchu wytłómaczyła i śmierć i użycie wielkanocnego baranka. Zresztą, mnóstwo Żydów w pierwiastkach Chrześcijaństwa przyjmowało z ochotą naszą świętą wiarę. Bardzo zatem być może, iż niektórzy z nich, właśnie na odszczepieńców Cataphrygami zwanych trafili i do nich przylgnęli; — a potem dalej także rozsiewali błędy, zbrodnię za wieniec pobożnych urojeń mające! Takie to są umysłu ludzkiego nieszczęścia, takie rozumu naszego choroby. Raz siebie silnie jakąś oderwaną zaprzątawszy myślą, raz się jej z zapalem oddawszy, raz się z nią oswoiwszy, niema już potem ratunku — największe zbrodnie już się nam często godną naśladowania wydadzą cnotą! Jeżeliby kiedy ród ludzki, duchem prawdziwej moralności Chrystusa objęty, uczuł nakoniec potrzebę wiecznego pokoju, miłości i zgody, — z jakążby wtedy zgrozą na przeszłość i na nas dzisiaj żyjących oczy swoje obrócił! Co znaczy zabójstwo to tu to ówdzie jednego małego dziecięcia, w porównaniu tej wielkiej jatki, którą klótnie i zatargi ludów, którą *wojna* za sobą ciągnie? Tutaj się tyle ludzi wybija, tyle kaleczy, tyle umęcza! A pozostali na nogach *Chrześcijanie*, jeszcze się chęłpią i radują z tego, i zbrodni w takim zabójstwie dotąd niewidzą! Bądź co bądź, to pe-

wna, że dzisiaj męczeństwa dzieci przez Żydów nigdy już niema, i że mowy o tem nawet od bardzo dawna na świecie niebyło.

Do Puńskiego starostwa należy wieś *Strzelce* zwana. Naprzeciw niej, z drugiej strony Niemna dziś już do Królestwa Polskiego odpadła, jest wieś *Żołnierzyszki*. Obie dawniej, do Puń należały. Takie dwa nazwiska, domysł we mnie wzbudziły, że tu czasem mogły być kiedyś jakieś wojskowe osady. Ale wszelkie poszukiwania moje w tym względzie speliły na niczem. Nikt tutaj ani początku, ani przeznaczenia wsi tych niepamięta. Są jednak ludzie tacy, co pamiętają jeszcze, że kiedy starosta Puński, Brzostowski, z majątności swojej Pieńkina, do Puń przyjeżdżał, otoczony był zwykle poczem przeprowadzających go mieszkańców wsi *Żołnierzyszek*, w myśliwskim stroju honorową straż jego trzymających. Są znowu i tacy, którzy pomni powiastek swych ojców, wiedzą: że kiedy tenże sam Brzostowski raz podróż do Suderwy pod Wilnem i do Szydłowca w Słonimskim odbywał, mieszkańcy *Strzelców* towarzyszyli mu w tej drodze, w takiejże jak i pierwsi odzieży opatrzeni w broń palną i białą, a zawsze konno. To daje powód do wniosku, że ludzie tu osadzeni przeznaczeni kiedyś byli na służbę do łowów królewskich, które się tak często odbywały w tych stronach, i że z tym obowiązkiem mieli tu sobie nadane ziemie. *Strzelce*, szczególną się jeszcze dzisiaj odznaczać zaczęły osobliwością. Jest tam góra piaskowa, *Pieskinis* po-Litewsku zwana. Przed kilkunastu laty, wiatr, który ją dotąd szanował i nigdy w niczem nieszkodził, zaczął nagle jej piaski chmurami wszędzie roznosić! ale tak; że *aż na drugiej stronie* Niemna wielkie na dobrej roli piaskowe porobił zasypy. Samemu Niemnowi to mało szko-

dzi: bo woda część piasku zaraz dalej z sobą unosi, i ten piasek, spadając w jeduostajnym dotąd kierunku, trafia właśnie w rzece na rafę Jabłynką zwaną, w której powoli osiada. Po każdym takim brojeniu wiatru, odkrywać się zaczęło w wydmuchach na piaskowej górze mnóstwo kości ludzkich i czerepów, często doprawdy daleko większych niż bywa zwyczajnie. A przytém, wychodzą na wierzch siekierki, piki i wielka moc małych pieniążków, tak już rdzą przejętych, że z nich niczego poznać ani dójsé nie można. Nieraz mi je dostawiano w znacznej nawet ilości, ale wszystkie były najzupełniej struchlałe i na kawałki splekane. Takie, o jakich mówiłem, zasypy piasku za Niemnem, wiatr północno-zachodni napowrót tutaj odpędza, ztąd też one tamtejszym ludziom mniej szkodzą. Ale te ciągle żywiołów swawole stały się prawdziwą klęską dla biednych *Strzelców*! Doszło nakoniec do tego, iż się o pomoc władzy w tej mierze udano. Zarządzono dla ich pocięchy śledztwo. I zaraz się z tego małeńka stworzyła legenda. Był w Strzelcach stary włościanin, Krzysztof Piasecki, który do mowy swojej ciągle dokładał grzeczne przysłowie: „*Kaduki*”—co u nas tutaj narówni z *djabłami* chodzi. Gorszono się z tego bezbożnego przysłowia, i dawno już nienajlepiej i o nim samym i o zbawieniu duszy jego wrócono; on się jednak od nałogu uleczyć nie mógł. Nakoniec za te Kaduki, *Kiadas* go po-Litewsku przezwano. Owoż, ten Piasecki, ten Kiadas, przed kilkunastą laty, widząc około oranego gruntu swojego małe a gęste zarośle, zaczął pożądać pomnożenia swojej chudoby, i nie mogąc się oprzeć tej łakomej żądzy, część krzaków wyciął, i nieco ziemi na pole sobie wyorał. Jakże tylko to zrobił, zaraz jak na licho w tę lukę wiatr dmuchać począł, i ciągle już dął to zlekka dmucha, to wieje niezar-

tem. Zaraz więc resztę zarośli od korzenia wysuszył i zniszczył, pozbawiając je i podpory i odżywnęj ziemi. Teraz, coraz to więcej po całych Strzelcach zewsząd przybywa piasku, coraz im ta klęska zmniejsza urodzaj, psując zupełnie dobrą dotąd naturę ich roli. A wszystkiego tego przyczyną, jak mówią, jeżeli nie sam *Piasecki*, co się jeszcze jak na złość i od *piasku* nazywa i odkrył te powietrzne ciągi,—to już najpewniej tu winno jego bezbożne przysłowie!... Po co on ukryte i niewiadome nikomu poruszył groby? Po co ciągle *djabłów* miał w gębie?!? Jakkolwiek bądź, żart na bok, ale ten nieulegający wątpliwości z piaskiem wypadek godny jest i meteorologów i geologów uwagi.

VII.

B U C H T A.

Zgodzicie się ze mną natychmiast sami, że do największych osobliwości naszego zakątka należy bez wątpienia *Buchta*. Tak u nas zwykle nazywają kawał ziemi wchodzący językiem, czy w nasze jezioro, czy wrzekę naszą, i tworzący rodzaj *półwyspu*.

Owoż, Niemen płynący w dość prostym kierunku do Puń samych, ztąd zaczyna już zaraz wybredzać,—a doszedłszy do *Niemaniun*, królewsczyzny przed półtora wiekiem Żwirzdami i Downtortyszkami zwanéj, tak zbacza, tak igra, swawoli i rzuca się na boki gzygzakiem, że przebywszy w krzywej linii więcej dziewięciu dobrych mil naszych, wraca znowu w Żydejkanach, ledwie nie na toż samo miejsce zkąd wyszedł, tak dalece, że odległość jego koryta w Żydejkanach od koryta jego w Niemaniunach i jednéj nawet niewynosi mili. Taką tedy *petlę* obiegiem Niemna

stworzoną i objętą, czyli półwyspek, Buchtą tutaj nazywają powszechnie. Buchta, zajmując i wzdłuż i wpoprzek po mil kilka oprócz jednych *Sipowicz*, dawniej dziedzictwa owych sławnych Butlerów, Jana-Kazimierza króla wiernych i nieodstępnych przyjaciół, stanowi ciąg włości i gruntów starościńskich, to jest królewszczyznę w znacznej części do starostwa Niemaniuńskiego, ale całą masą do starostwa Birsztanńskiego, albo, jeśli mówić po-dawnemu, do Preńskiego należących. Lecz Preny, dawna tej ziemi stolica, w 1502 jeszcze roku przez Alexandra króla Michałowi Gliniowskiemu nadana, a tuż z drugiej strony Niemna na dzisiejszej granicy stojąca, z powodu tej właśnie granicy, którą rzeka nasza oznacza, najprzód do Prus, potem do w. księstwa Warszawskiego odchodząc, nakoniec do królestwa Polskiego przyłączone zostały.

Wiecie wszyscy, że w Prenach był zamek, który Gotard Butler, starosta Preński, na zupełne podobieństwo zamku *Cisteron* wystawił, chcąc w nim wieczną mieć pamiątkę niesłusznego dwuletniego więzienia Jana-Kazimierza z tymże Butlerem we Francji. Miło widzieć, że dobry choć nieszczęśliwy król nasz o wiernych sługach swoich wdzięcznie pamiętał, i wielą łaskami a między temi i starostwem Preńskim hojnie Butlera nagrodził.

Birsztany od Pren oderwane mają drewniany kościółek, w 1787 roku zbudowany staraniem Kazimierza Sapiehy starosty Preńskiego. Kościółek ten stanowił do ostatniego podziału Polski filiję kościoła Preńskiego: to też pleban tamtejszy, x. Karpowicz (1), w 1791 roku ozdobił

(1) Xiądz Michał-Franciszek Karpowicz, prałat archidyakon Smoleński, proboszcz Preński, potem biskup Wigierski, był jednym z najsławniejszych kaznodziejów swojego czasu. Sławę tę do najwyższego szczytu

go i restaurował własnym staraniem i kosztem. Po odejściu Birsztan do Rosyi, kościół ten stał się parafijalnym, z tego mianowicie względu, że z nadania króla Władysława IV, 6 lutego 1643 roku, miał sobie zapewnione cztery chatki *czyńszowe*, i trzy ciągle, czyli *pańszczyźniane*. Ten królewski przywilej dowodzi, że tu już dawniej musiał być kościół, lecz archiwum dzisiejszej plebanii niema żadnych na to dokumentów i swój rodowód od 1787 r. liczy.

W tych więc zgrabnie kapryśnych naszego Niemna zakrętach, tworzących jak już mówiłem Buchtę, jest jeszcze drugi, mniejszy, a raczej węższy półwysep, po-dziś dzień Żwierzyniec zwany, gdzie i dla książąt Litewskich i potem dla królewskich łowów, utrzymywano kiedyś z różnych stron okolicznych spędzonego zwierza. Na dzisiaj,

podniosło kazanie jego miane 25 czerwca 1794 r. przy poświęceniu broni i chorągwi »Województwa Wileńskiego, wychodzącego na wojnę, w pospolitem ruszeniu.« Kilkadziesiąt tysięcy oboję płci różnych stanów ludu zebranego na tak zwaną *Józefatową dolinę* pod Wilnem, wpływem porywającej i nieprzetłumanej siły natchnionego słowa, jakby jeden człowiek, rzewnemi zalało się łzami i zanosilo od płaczu i łkania, a wojsko nadzwyczajnym zapętem przejęte darło się gwałtem na wojnę. To był zapewne najpiękniejszy dzień w życiu tego zacnego kapłana.

Cała potęga wymowy i cały urok, jakim przejmował swoich słuchaczy Karpowicz, leżały szczególnie w osobliwym wdzięku i giętkości głosu, w szczerem przejęciu się w daną chwilę treścią rzeczy, w nader trafnych, dobitnych, wiecznie szlachetnych i pełnych uniesienia ruchach ciała, i w grze rysów jego pełnej wyrazu twarzy. Ztąd też wielbiciele tak niepospolitego talentu Karpowicza, w rzędzie których był i mój ojciec w wielkiej z nim żyjący przyjaźni, dziwili się zawsze, odczytując potem jego kazania, że te na nich nierobiły tego nadzwyczaj silnego wrażenia, z jakim się spotykali statecznie, kiedy je we własnych ustach mówcy słyszeli.

tylko już samo imię Żwierzyńca zostało. Miejsce bardzo piękne i dotąd bawiące oko. W Birsztanach było długo znakomite myśliwstwo królewskie. Tu 1475 roku Kazimierz Jagiellończyk z żoną i synami Kazimierzem i Janem-Albrychtem, chętnie część zimy przepędził. Tuż w pobliżu Birsztan znajduje się po-dziś-dzień czworogranna w środku parowów usypana góra, na której się wznosił (albo którą może i utworzył) myśliwski zamek królewski. Górę tę lud, swoim zwyczajem wszystko królowej Bonie przypisujący, nazywa dworem Zakętym, *dwaras uszkialktas*. Pradziadowie tutejszych włościan opowiadali swym dzieciom, a ci znowu wnukom swoim zostawili podanie: że na tej górze, za ich jeszcze czasów, widne były tutaj na piętraach okienka, do których nikt oddawna nieośmielił się zajrzeć; i że tu stał kiedyś *zamek z ziemi ubity*. Niedawno jeszcze włościanin Birsztąński zamierzył był sobie zorać wierzchołek tej góry i len na niej posiać. Kiedy już miał nazajutrz do tej roboty przystąpić i potrzebne do niej przygotował narzędzie: aż oto, tejże nocy, stanął przed nim we śnie w bieli ubrany, z siwą po sam pas brodą starzec. „Nieważ się tykać tej ziemi—rzekł mu—bo natychmiast umrzesz!” Po takim ostrzeżeniu, przyznajmy się szczerze na ucho, że i najzaciętszy niedowiarek-filozof, niechciałby próby robić na *sobie!* Żydzi mówią, że kiedy Pan Bóg zechce, to i z nienabitego pistoletu wystrzeli. Niedziw zatem, że chłopiek rady usłuchał, i rzecz się na projekcie tylko skończyła. Góra ta więc dotąd stoi nietknięta, czekając na jakiego naszego starożytnika—jeśli mu się także ten sam starzec nieprzyśni.

Ależ i ta królowa Bona. Czemu to jęć tylko wszystko a wszystko *lud* nasz przypisuje? Dzieje nasze charakter jęć szpeca, lecz czy tylko niebłuznią? Tak długa i pełna po-

szanowania pamięć u całego ludu, usprawiedliwiać z wielu zarzutów powinna tę genialną panię, co się tak głęboko wryć potrafiła we wszelkie najsprawiedliwsze dziejowe pojęcia, u wszystkich prostaczków, u wszystkich nieoświeconych, a nawet na-wpół-oświeconych mieszkańców naszego kraju.

Wędrowiec Francuzki, Gilbert de Lannoy, włączający się w 1413 i 1414 r. po Litwie, między innemi wspomina o częścią drewnianym a częścią z ziemi ubitym zamku *Posur* czy *Pozur* nazwanym, nad samym Niemnem leżącym, o pięć mil, a raczej półmilk (lieues) od Trok do Kowna; miał on tam znaleźć Witolda, z całą rodziną bawiącego się w zimie łowami od kilku tygodni. Francuzisko po-swojemu (bo i dziś jego ziomkowie tak zwykle robią) czy odległość miejsca, czy nazwanie zamku, czy to oboje razem błędnie oznaczył.

Łamią teraz sobie głowę nasi dziejowi badacze: gdzież to był ów zamek? Jakoż, *najprzód* Niemen nigdzie w odległości mil pięciu od Trok niepłynie, a tém bardziej pięciu *półmilk*; *powtóre* nigdzie się o *Posur* czy *Pozur* dopytać niemożna. Zdaje mi się, że albo Francuz wziął Wilię za Niemen, i w takim razie trafił do *Ponar*, majątności niedawno jeszcze Puzynów, a dziś przez rodzinne związki Römerów, i to nazwanie *Ponar*, z pośpiechu fałszywie lub niedosyć wyraźnie zapisał—albo też szybko Litewskiemu bachmaty w saniach wieziony, omylił się w oznaczeniu na pamięć odległości geograficznej miejsca, i zastał Witolda w *Pożaniu* czy *Pozańcach*, dziś *Pużańcami* zwanych, blisko Żwierzyńca leżących.

Dwór Birsztąński, wprost z brzegu Niemna na Preny patrzy; i oddawna z tego powodu, arbitralnie *Podpreniem* nazywany, w rzeczy samej zowie się i podziś-

dzień **Zanie**. Tak go nawet w urzędowych straży granicznej papierach ciągle mianują. Wieś od tych Zań wgięciem się Niemna przedzielona, a dzisiaj w zepsutym włościan języku Puzańcami zwana, nazywała się dawniej **Pozaniem**; a Niemen w zimie bardzo ją do Zań przybliżył. Jasna rzecz, że od **Ponar**, czy Pozań, do Francuzkiego **Posur** czy Pozur, niedaleka droga.

Pamiętam, jak nietak bardzo dawno jeden z podróżników Francuzkich, wydając na świat opis wędrówek swoich, wyczytał we własnych notatkach, że w Rosyi, wszyscy, chcąc mówić grzecznie do siebie, używają powszechnie przyjętego na ten cel wyrazu: **Pazar-ułejta**. A cóż to jest? To zrazu źle napisany, na drugi wiersz w połowie przeniesiony, a potem gorzej przez samegoż autora przeczytany i do druku podany Ruski wyraz: „Pa-żałujsta!” Znajdziecie to dzieło gdziekolwiek, wielą jeszcze innemi podobnemi naszpikowane bąkami; imię autora wyszło mi w tej chwili z pamięci— a naprężyć ją niewarto, ryc się w xiążkach nie lubię, i od pewnego już czasu uciekam od nich jak djabeł od święconej wody. Kiedy już o Posurze mowa, niepowinienem zamilczeć w tych moich uwagach, że niedaléj jako o trzy tysiące sążni ode mnie, we wsi Wasiluncach należącej do Birsztan, znajduje się kilkakrotną zmianą koryta rzeki Wierzhni znacznie podmyta i osypana już górą, którą Surakalis, to jest słoną-górą dotąd nazywają; (choć i bowiem **sol** po-Litewsku nazywa się **Druckas**, **slony** jednakże wyrazem **Surus** się oznacza).

Ktoby tedy powiedział Posur, powiedziałby jakby **Postonie**. A wiadomo, że się tu mnóstwo i wsi i łanów, od spotykanej wszędzie soli, **slonemi** przydomkami pochrzcilo. Może być zatem, że ów straszny **dwaras uszkialk-**

tur (1), był właśnie tym szukanym zamkiem, w którym Witold uprzejmie Francuza przyjmował.

Ziemia w całej prawie Buchcie niewdzięczna, sam piasek; kwapią się jednak na nią ciągle dzierżawcy, a nie przykrzą jej zgola miejscowi włościanie, nie dla roli, ale wabieni węchem ogromnych zysków jakie im daje pograniczne przemycanie tytoniu i soli, których ścisły monopol w Królestwie Polskiem podwaja tutaj jeśli niepotraja cenę.

(1) Ażeby dać małe wyobrażenie, jak się i wszędzie i u nas, plotki, bajki, legendy, podania i puffy tworzą, przytoczę następny przykład. Więcej niż w ośm miesięcy po napisaniu tego rozdziału o Buchcie, wracałem z Kowna. Zatrzymałem się na chwilę w Kromach. Znajoma mnie szynkarka, Chrzescijanka, wyszedłszy przez grzeczność pomówić ze mną, powiada: „Pan wracasz w swoje **cudowne** stroiny.”— Albo co?— „Przed dwoma dniami część jakiejś góry w Birsztanach osunęła się, i odkrył się tam dom, i śliczne powoje pod ziemią. Co tam, **stysze**, osobliwości, to i na palcach niezliczyć!”— Co wasani mówisz?— „A tak, panie! wczora i dzisiaj ludzie ztamtąd ze zbożem jechali, i tu cały czas rozpowiadali o tém.”— Ależ cóż przecie?— „Już ja tego panu opisać nie trafigę...” Cóż było robić? jechałem dalej. W Koszanach, zatrzymawszy się znowu miałem rozmowę z Żydkim od Niemna jadącym, który mnie toż samo powtórzył, dodając jeszcze, że tam przy jednej ścianie znaleziono pannę całą w bieli trzymającą na smyczy białego charta i ogromnego rudego kundla. Ja tedy myślę sobie: chwała Bogu! sekret pałacu ww. xiążąt Litewskich sam się nam odkrywa, a pewno na ścianie odmalowana **panna** jest jakąś myśliwską Litewską boginią.— W Jeźnie o dwie mile od Birsztan, wójt dawny miasteczka, zohaczywszy, mnie potwierdza to wszystko z tą nie nieznaczącą poprawką: że ta panna i te psy, niemalowane ale żywe, żywiusienkie; „a śliczne, a czyste, że aż oko rwą. Ta tylko bieda że nikt a nikt z miasteczka nieśmie do nich przystąpić. To niezart panie! jak raz licha człowieka weźmie!”

Ztąd grosz gotowy tu ledwie nie każdy ma w zapasie. Na zboże i dzierżawca i włościanin ubodzy, ale zboża dostarczają ciągle z góry do Prus idące *wiciny*. A że splaw wszelki doświadcza tutaj wielkiej z powodu rap i ostrych kamieni trudności, a rzeczna żegluga jest u nas do tąd w zupełnej lichocie (bo mało jest świadomych rzeczy sterników, a ci jacy są miejscowi sternicy bywają najczęściej ludźmi bez żadnego sumienia): nieraz więc też, prawie co rok, przypadkiem, ale bodaj czy nie umyślnie, po kilka statków zbożem ładownych rozbija się pod Buchtą, a szyprowie *zamoczone* już na chwilę zboże mieszkańcom Buchty oddają. — Buchta w dawnych czasach dla piaszczystego gruntu mało przez rolników zamieszkaną była. Stanowiła ona odwieczną, ogromną, a głównie soseną puszcę, przedsiemek tych wielkich wspaniałych Zaniemeńskich lipowych lasów, które całemu tamtemu krajowi nazwisko ziemi *Zapuszczańskiej*, a szczególnie traktu Zapuszczańskiego nadały, a sławę Kowieńskiego lipcu *aż do samego Gibraltaru* zanosły.

Środkiem tej puszczy od Jezna szedł kiedyś ku Warszawie tak zwany Preński gościniec. Dotąd jeszcze za-

Pomimo takie bredzenie, niemogłem niebyć najzupełniej pewnym, że rzeczywiście osunięcie się góry odkryło dawne jakieś Birsztąńskiego zamku komnaty. Skorom więc wrócił do domu, natychmiast wysłałem kogoś ażeby się naocznie o tém przekonał; a o reszcie rozpytał u miejscowego proboszcza.

I cóż? Oto nic, ale to nic a nic z tego co mówiono niebyło prawdą, nawet ani jedna garść piasku nieosypała się z zaczarowanej góry.

Zkądże się ta plotka wzięła dla Boga?

Ztąd, że się pan Stanisław Morawski przed półrokiem rozpytywał u ludzi Birsztąńskich o tej górze, o tym myśliwskim zamku!

Disceite — moniti.

miast kopca sterczą mi ułamki palów od mostu, który stał kiedyś na rzece mojej Wierzechni.

Drogi były podówczas bodaj gorsze jeszcze niż teraz. Przestrzeń tych kilku mil ciągłym lasem objętych, po wybojach, powalach, wywrótach, zaledwie przez dzień cały albo i przez dwa dni, jak mówią starzy, przebyć można było, czy lżejszym pojazdem, czy ładowną kupiecką bryką. Tu więc korzystający z tak dogodnej miejscowości ciągle gnieździli się złodzieje i zbójcy, tu wszystkie zbiegi i wszystkie łotry od wieku całego gościnny i chętny znajdowali przytułek.

Na mojej z Buchtą sąsiedzkiej ziemi, w folwarku *Bobrowicze* zwanym, są aż dotąd ślady podziemnych sklepów, gdzie rabusie i rozbojnicy złupione na podróży sprzęty lub towary kiedyś naprędce chowali. Całe to miejsce wówczas było nieprzebytym lasem, dziś jest już rolą, na której ani śladu pnia starego niedójrzyć.

Szlachta Jefimowicze i Piotrowicze, w Szyłanach, Pieszeszyskach, i w dziś należących już do mnie Dymaszewiczach, na okolicznych schedach osiadła, tajemnie kierowała takim rozbojem; powagą stanu swojego pokrywała rodzące się nieraz podejrzenia. Byli to pełni odwagi, zapamiętałości, ale razem i okrucieństwa, hersztowie band rozbojniczych. Udawało się długo, ale nakoniec w ostatnich już prawie chwilach panowania Stanisława-Augusta, Jefimowicza i Piotrowicza ścięto w Grodnie na rynku za te sądownie dowiedzione rozboje.

Popęd wszakże dawno już był dany: wszystko więc, co zle i społeczności szkodliwe, siłą szatańskiego magnesu ciągnięte, cisnęło się tutaj do *Buchty*.

Przy surowym i groźnym Rossyjskim rządzie, przy

zmianie kierunku wielkiej publicznej drogi, przy pomnażającej się coraz tutejszej ludności, przy zaprowadzeniu granicy od Niemna, **rozbojników** nakoniec nie stało. I cari ladroni, ili cari banditi, najprozaiczniej zniknęli. Zostali tylko z całego kraju naszego o jeden stopień od nich poczciwsi **zbiegowie**, a z nimi też i miejscowi **złodzieje**, kradnący tutaj z cudowną zręcznością **konie**, i przeprowadzający je do Królestwa Polskiego dla wręczenia podobnym sobie poczciwcom, a tam znowu skradzione sprzedający na tej stronie granicy. Nieraz tu człowiek okradziony widzi konia swojego u drugiego brzegu, ale chcąc go odebrać, musi się starać o pasport za Niemen, a dostawszy go, jechać na Kowno; koń jego tymczasem aż do Paryża bezpiecznie dojść może: bo prawo mniemaniej granicy święcie zachowaniem być winno; chociażby i tysiąc skradzionych koni przed nosem twoim na drugiej stronie rzeki trzymali.

Cała Buchta nakoniec codzień się lepiej w ten talent wprawując, otwarcie, bezwstydnie, owszem z przechwałką, jakby z jakiego rycerskiego czynu, tym się tylko **handelkiem** wyłącznie bawiła i bawi dotąd poniekąd—lubo mojem staraniem skrzydełka nieco temu podciąłem, broniąc od tak srogięj krzywdy pębrzeżnych Niemna mieszkańców. Doszło to już bowiem było do tego, że brat u brata, ojciec u syna, syn u ojca niewstydzili się ukraść konia, i nawet za zucha był uważanym. Istniały tu zawsze i są po-dziś-dzień doskonale urządzone tajemne złodziejskie stowarzyszenia, podające wiadomemi już stacyami skradzionego konia z rąk do rąk—tak, że zwykle w ciągu godzin dwónastu koń schwycony naprzykład w Prenach, był już przedany do Oszmiany lub Lidy, w Żyżmorach, Jewju, Trokach, lub Wilnie, i to za bezcen, **za kil-**

ka złotych; tylko dla **honoru** złodziejskiej zręczności. Szukajże go potem po całym świecie.

Do tych nałogowych zatrudnień, dodać należy i kontrabandę. Od 1820 do 1825 roku nawet assesor policyi ziemskiej, nad Buchtą dozór mający, mógł z tego źródła co wieczor przegrywać w karty po sto dukatów, co na własne oczy widziałem. Taki był napływ cudzoziemskich towarów przez Buchtę, że za ich przepuszczenie, to jest zatknięcie uszu i zamrużenie na chwilę oczu assesor miał ogromne kubany; a cóż to już mówić o straży granicznej! Szlachta okoliczna tę straż podówczas trzymała i dobrze kradła, spuszczać się niby na gorliwość i pilność kradnących także Dońskich Kozaków, którzy jęj w pomoc byli dodani; ale przełożeni nad nimi wszystkimi nadstrażnicy (nadziratele) kradli tysiąc razy więcej. Tym sposobem, niejaki nadstrażnik w Podpreniu przez lat sześć zebrał sobie, (bo niełotrował i w karty niegrał) trzykroć sto tysięcy rubli assygnacyjnych majątku; zebrawszy, podziękował natychmiast za służbę i dobra gdzieś kupił. Czy siłą pierwszego moralnego rzutu, czy instyktem, sympatyą, nałogiem, zlatują się aż po dzień dzisiejszy włącznie, tłumy łotrów, delatorów, pieniaczów i różnego rodzaju włóczęgów do tej naszej Buchty, i robią z niej jakiś gatunek odrębnego zupełnie kraju. Położenie też jęj dla takich ludzi wyborne: Królestwo Polskie ze swoją granicą pod nosem, tuż zaraz i Prussy, a same tu Niemna ustawiczne zakręty ułatwiają sposobność **ukrycia się natychmiast** aż w trzech oddzielnych państwach w razie prześladowania, a dają wszelką możność brojenia jak kto zechce, póki jeszcze do urzędowego poszukiwania nieprzyjdzie.

Od 1810 do 1812 roku, a i pierwiej nawet, było to

jedyne miejsce, kędy najbezpieczniej młodzież Litewska do wojska Polskiego na służbę tajemnie przesunąć się mogła, pomimo téj dwoistój i Kozaków i strażników baczności. Dotąd nawet, przy zmniejszeniu się wielkiej kontrabandy, ograniczającej się już tylko, z małym wyjątkiem na przemycaniu ztąd tytoniu i soli, a ztamtąd Pruskiego romu i cukru z buraków,—trudno znaleźć miejsce w Rosyi, gdzieby więcej było ludzi bez żadnego pasportu włóczących się, Bóg wie zkąd przybyłych, dokąd idących, gdzie urodzonych, czém zajmujących się dzisiaj i z czego żyjących. Powtarzam, że wszystko co złe i zepsute, co zbiega zkańdokolwiek chronić się sprawiedliwości ludzkiej, w ten kąt się wciska z całego Litewskiego kraju. Prawdziwa kara Bozka być z tą Buchtą w sąsiedztwie! Przybysze ci, zawsze bezsumienni, do rdzenia zepsuci, wymknąwszy się zwykle z niejednego więzienia, gdzie się najczęściej błąd i słabość obok zestarzałej i zakrzepłej już zbrodni legną,—przyuczają tu włóścian naszych do wszystkich występków, wchodzą z nimi w tajemne intrygi i szachry, durzą biednych chłopków, namawiają na różne swawole, skargi niemające zasady, na hańbiące stan każdy delacye. Mnóztwo się tu także po lasach ukrywa zbiegłych rekrutów przy każdym naborze tak w Rosyi jako i Królestwie odbytym. Znajdziesz tu zatém sławne od wieków suksessyjne imiona kapitalnych aż po dzień dzisiejszy i rasowych *złodziejów*. Tak, rodziny: Kiejderis, Łauzones, Laukajtis, Czepukajtis, Wanagas i teraz jeszcze równie zasługują u chłopów tu-tejszych na zdjęcie czapki i pełny uszanowania ukłon, jak imiona Monmoransych, Duglasow, Zamojskich, co słyną przez wielkie enoty.

Pomimo to wszystko, gdyby kto odrzucając całą tę *poezyę* złodziejstwa w pełni tutaj kwitnącą, i w najroz-

maitsze oblekającą się szaty, nawet całą poezyę, przemytu, a mając na względzie tylko życie ucziwój pracy, które daleko za sobą wszelką zostawia poezyę, gdyby kto, jak kiedyś Rzewuski Żydowskie nory, całą tę *Buchtę* słomą otoczył i wszystko co do nogi wysmalil, a przynajmniej ztąd jak lisów z nory tatrem wykurzył, za-prawdę wielkiego niepopęnilby grzechu, a wielki sprawil-by pożytek. Jeśli gdzie było w Litwie zupełnie szatańskie zepsucie ludu, gotowe na wszelkiego rodzaju łupieżtwo i rozbój, to tu zapewnie. To prawdziwi *flibustygerowie* Litewscy na małą skalę.

Cała Buchta w ogóle dzisiaj nieliczy więcej nad 3,000 ludzi płci obojój. Przy takim tedy usposobieniu ducha mieszkańcow tego zakątka, domysleć się łatwo, że jeśli by w jakimś danym czasie, komu o spryt i zmyślność pospolitego człowieka chodziło, ludzie z Buchty od wszystkich pogranicznych kraju naszego ludzi i zręczniejszymi i do-wcipniejszymi i usłuźniejszymi okazaliby się najpewniej.

Dziwna rzecz, że przy takim zepsuciu mężczyzn, kobiety cnotliwsze są tutaj, ale tylko pod względem wiary małżeńskiej i wstrzemięźliwości dziewiczej, w czém mogą być sędzią jako blisko mieszkający sąsiad. U mnie, chociaż staram się dać dobry przykład i moralność we włóścianach zaszczepić, tudzież wszędzie naokoło, gdzie może mniej lub daleko więcej o to się starają,—dwónastoletnia dziewczynka, jakbyś niemoralizował, ma już najczęściej kochanka; owszem, korzysta z tego wieku, wiedząc już tak weześnie, że widomych śladów swawoli nie-będzie. W Buchcie, dziewczka mająca lat 25, najczęściej niezna jeszcze miłości—pomimo to, że straż graniczna z rozpustnych żołnierzy, czasowo tylko tutaj zwykle ba-wiących, a prawie zawsze bezzennych, złożona, wiele się

do zepsucia obyczajów w kobietach przyczynia; kobiety i dziewczki swawoli oddane, albo o nie nawet podejrzwane tylko, palcem wytknięte i do zamieszkania gdzieindziej z pogardą powszechną zmuszane bywają. Tak to *zło*, w najrozmaitsze umiejac wyradzać się kształty, nieraz i dobrą stronę pokazać umie, rządząc się wiecznym antagonizmem duchowego i fizycznego świata. Wszakże dla zupełnego odszkiecowania ducha ludzi w Buchcie żyjących, i to dodać należy, com już bodaj mimojazdem namienil, że kontrabanda i kradzież koni, a nawet i wszelkie inne złodziejstwa, więcej się tu uważają za jakąś zuchowską najezdnię, niż za występki; inne zaś wszelkie przestępstwa, tak jak i u reszty świata, pozostają *występkami* u nich.

Samo z siebie wynika, że tułający się po Buchcie hul-taje w wadach nawet i ułomnościach swoich różnić się między sobą muszą większą lub mniejszą w nich zdolnością.

Pomiędzy włóczęgami, trzymającymi się miejsca tego statecznie i trudniącymi się wyłącznie *przemysłem*, a broń Boże nie prywatną kradzieżą, był niejakiś *Sylwester* Prusaczkiem, po-Litewsku *Prussialis*, zwany. Człowiek ten, jak szara gęś, wszystkim mieszkańcom Buchty był znajomy, chociaż jego prawdziwego nazwiska nikt nigdy nie wiedział i dotąd podobno niewie. Z tego, co mówił o sobie, rodem był z Pruss Litewskich, z po nad samej granicy Królestwa Polskiego, które tu pomiędzy Rosyą a Prussami wązkim wciska się oszyjkiem. Sylwester co tydzień, najdalej co dwa tygodnie, zjawiał się tutaj ze swoim przemycowym towarem. Nizki, barczysty, krępy, fizyonomii mało znaczącej, strzygł włosy króciutko, dla tego, żeby go za nie ułapić straż graniczna niemogła. W kusej siermiędze, raz granatowej a drugi szarój, w chodakach, w podeszwach od bótów, w starzyźnie, którą nogi

zamiast pończoch obwijał, zwyczajem tutejszej prostoty, miał sobie tylko jednemu wiadome potajemniki i z nich niekiedy to szczyptę Holenderskich dukatów, to półgarstkę imperyalów Rossyjskich wydobywał. Przebiegając co moment siedziby naszych włóścian i jednosiedlców, oraz lasy, tak się wprawił, że nie było w Buchcie ani ścieżki, ani drożyny, ani pnia, nawet gałęzi, sęka, dziupli, jamki, parowu, lub łomu, którychby ten człowiek nie znał na pamięć. Odgadł od razu po śladzie, czy to był koń strażnika, czy pana, czy chłopca. Uchem pojął, węchem zwietrzył nieprzyjaciela. Otoczony nieraz zewsząd przez straż graniczną, tak, że mysz nawet wysliznąćby się niemogła, zawsze, jak czarownik jaki wymknął się czatom, a czasem, wyłażąc z dziupli, kiedy już pogoni za sobą zostawił, zaśpiewał jęć na drwinę głośnieję „*kukuriku*” — i śmiejąc się uciekł.

Człowiek ten był rozpaczą tutejszej chciwój na łapankę straży. Jeśli był kiedy schwycony, to nieinaczój jak *zdrada*. Ujęto go nie na wolnym powietrzu; ale zwykle na noclegu, wśród twardego snu po ciężkich trudach, lub w chacie fałszywego przyjaciela, co mu dał na noc przytułek, a kwapiąc się na część jego towarów, odegrał rolę Judasza. W takim nawet razie, dręczony, bity, smagany, więziony, nigdy tych, z którymi miał stosunek, niewydał.

Nieznając owego Sylwestra, a słysząc tylko o jego figlach, zręczności, odwadze, dowcipie, stałości, miałem go w duszy za nieocenionego człowieka, i był nim w istocie, póki wielokrotnie zdradzony, zrujnowany, oszukany, nierozpił się z rozpaczą, i sam wzajemnie oszukiwać nie zaczął. Dzisiaj, jeżeli żyje, jest to już inny zupełnie Prusaczek; — dawny dla mnie i w mojem pojęciu od lat kilku umarł. Chociaż mówił tylko po-Litewsku, chociaż ledwie kilka słów umiał niby po-Polsku, i ani słowa po-Rusku; jednak

że, jako przebiegły i chytry, miał on zawsze tysiące sposobów rozmówienia się z każdym i dowiedzenia swój prawdy mianowicie wyrażając się na migach. Więziony sto razy tu i w Królestwie Polskim, zawsze wyszedł zwycięsko, gdyż albo uwolniono go, albo *pozwolono* uciec z więzienia, albo sam sobie czmychnął, u nikogo o takowe pozwolenie nieprosząc.

Przyjaciół miał na każdym miejscu, a bab szczególniej. I jakżeby ich nie miał? Tój dał chustkę gościńca, tój paciórki, tamtej piękne szkaplerze. Temu dał spinkę, tamtemu pasek lub sprzączkę, owego zaś spotkawszy w lesie przypadkiem, napoił haustem białego niesionego w barylce na plecach romu. Szedł z za Niemna obładowany zrazu jak wielbłąd. Ale pamiętając kto go o co prosił, natychmiast, jak garson w Paryżkich garkuchniach, oddawał porządkiem swoje sprawunki, i tak się po drodze stopniowo od ciężaru uwalniał. Idąc bowiem zawsze przed siebie i niezatrzymując się nigdzie, tu oddał chustki, tam jakiejś dziewczynie zostawił komis oddania komus koralu, tam wetknął w ręce bursztyny, tu rzucił perkal, ówdzie batyscik lub kamlot, czasem tak sekretnie, że i sam gospodarz o tém niewiedział, wsunął jaki swój towar do pańskiej lub chłopskiej stodoly, a szedł ciągle dalej i dalej, dopóki wszystkiego nierozdał. Dopiero zatrzymywał się na bajram i krzepkie umizgi. Szynkarki ubóstwiały go wszędzie po karczmach i przyjmowały z radością, jak wiosennego skowronka; a chowały go gdzie mogły przed szpiegowskiem okiem. Nareszcie po tém wszystkiem, wracał tąż samą drogą, i należne sobie pieniądze za towary z ufnością pewną zostawione odbierał. Nigdy podobnego trybu niezmieniał, chociaż go ta zbyt uczynna ufność nieraz zawiodła: widać, czy tak czy owak, zawsze był w zysku. Ale

zysk złym go robił człekiem. Zrazu mieć go chciałem za *poetę* tutejszego przemysłu, wdającego się w tak niebezpieczne i pełne ciężkich trudów życie wyłącznie tylko dla poetycznej jego strony.

Sposób, w jaki ja go poznałem, da także małą próbę lisiego sprytu i przebiegłości tego człowieka. Raz schwytany przez tych, co zostawiony przez niego w dobrej wierze towar przywłaszczyli sobie, lubo mając dużo (jak mówiłem) przyjaciół, zaraz na *porękę* był wzięty do czasu, nim śledeza komissya niezjedzie; — czuł jednak w sobie, że zarzuty przeciwko niemu były ważne, wiedział dobrze, co go podług praw czeka za dowiedziony wielokrotny przechód granicy i przemyt towarów, że mu się już wcześniej pod samym nosem, kręcił zapaszek Sybirskiego powietrza.

Pragnął więc rady czyjejs, któraby własnemu jego doświadczeniu dopomódz mogła, bo tyle był uczciwy, że nie chciał sprysnąć i poręczycieli swoich na hazard wystawić. Słyszał o mnie, ale wiedział i o tém, że ja się z takiego rodzaju ludźmi niewdaję i włościom moich równie od protegowania ich wstrzymuję. Było to wlecie. Chodziłem podówczas na przechadzkę co dzień w tę stronę, gdzie pszenica moja pięknym wzrostem bawiła oko lubiące sielskie piękności. Wtém nieopodał od drogi, na samym brzeżku chuchanego i cacanego przeze mnie lasku, widzę człowieka zapamiętałe rąbiącego drzewo, bez żadnego względu na to, że właśnie te drzewa służyły za ozdobę. Zbliżyłem się więc natychmiast ku owemu człowiekowi, który tyłem obrócony do mnie, zdawało się, że niedostrzegł jak się do niego skradałem, i dalej swoje robił. Nakoniec stałem tuż przy nim i z zadziwieniem widzę, że meznajomy z całą siłą, ułamaną suchą gałęzią a nie siekierą, w drzewo uderza. — Kto ty jesteś?

— Sylwester Prusaczek, panie.

— Co tu robisz?

— Oto panie, daruj pan mi biednemu, chciałem się z panem zobaczyć i poradzić. Prześladowany jestem za *moję niewinność*. Do dworu pańskiego iść nieśmiałem; a wiedziałem że pan w dzień tu przychodzisz i lasu bronisz. Biłem zatem galezią o drzewo, udając że ramię, żeby zwrócić pańską uwagę, przywabić pana tutaj i rozmówić się; daruj mi pan tę śmiałość.

Była to jedna z tych prostych, naiwnych chłopskich chytrych, — ale w swoim rodzaju, dająca miarę dowcipu tego człowieka. Prusaczek bowiem był pełen sprytu, rzutkości i przytomności umysłu, a przytém właściwej sobie szlachetności, słowności i uczciwości. Walter-Scott niewieleby takich naprawdę pomiędzy Szkotami swoimi naliczył. Był to *Fra-Diavolo* Buchty. Ale cóż, kiedy potem rozpojony i rozwydrzony, stracił te wielkie zalety, i stał się już tylko niesumieinnym oszustem i łotrem. A szkoda! miał prawdziwie Mohikańskie talenta, obdarzony był taką przebiegłością i tak udoskonalonemi zmysłami, jakie posiadają tylko dzieć mieszkańcy puszczy Ameryki. Lecz wódka, toż samo z nim co i z tamtymi zrobiła.

W Buchcie, a szczególnie w tak nazwanem *miasteczku* Birsztanach i w pobliżu, niemało znajduje się źródeł słonych, sól kuchenną rozpuszczoną w wodzie sączących, którzy się leczą niektórzy od wielu cierpień. Do garnków swoich dodaje tę wodę ubóstwo. Nieodżałowany Ignacy-Emanuel Łachnicki, który miał tu szukać pokładów soli, kto wie, gdyby dłużej dla szczęścia przyjaciół i sławy kraju pożył, możeby tu nową odkrył Wieliczkę?

Są tu także nad Niemnem, w Pozańcach, nanośne żyły sproszkowanej *miki*, zupełnie złocistej, udającej metal i

przystającej do rydla tak, że pozłacać żelazo się zdaje. Kiedy Kalifornija głowy całej Europie przewracać zaczęła, a łechcące o niej nowiny doszły aż do tego zapadłego kąta, oficer straży granicznej, major L., dowiedziawszy się o tych świecących metalem żyłach, wyobraził sobie, że znalazł *złoto*, i miejsce to silną wartą żołnierzy swoich ostawił; lecz się omylił nieborak, jak mu to po uczynionej próbie chemicznej przepowiedziałem zaraz. Biegał z tym piaskiem po różnych miastach i zawsze napróżno. Wróciwszy, to tylko znalazł, co mu niemogąca ani na krok odstąpić warta, zostawić chcąc niechcąc musiała. To wszakże pewna, że przed dwódnastu laty Żydzi z Królestwa Polskiego, więcej niż po złotemu za garniec piasku tego z razu płacić zaczęli. Handlu takiego, ówczesny właściciel Birsztkańskiego starostwa niewiem czemu zabronił: snadź Żydzi, tak jak i nasz major, w nadziejach złotych się zawiedli, ale może tam jakąś miedzi cząstkę znaleźli, z której sobie tajemnie zysk ciągnąć chcieli.

Zdarzają się tu również nad brzegami Niemna obfite pokłady *mielu*, t. j. podlejszego gatunku kredy, do różnych w malarstwie i mularstwie potrzeb używanego.

Nakoniec w Lisowiczach, jest skała z *piaskowca*, kruchego wprawdzie, ale mogącego być zdatnym do cembrowania śluz i kanałów, tudzież do innego w budownictwie użytku, jeśli się ruch rolniczo-handlowy i przemysłowy kiedykolwiek u nas objawi.

W r. 1822 Indry (1822) nazywał się Bismberg zwyciężywszy go i drugiego swego brata, ogłosił państwo. O gorliwości jego dla wiary Muhammada, wszyscy dziesięć wieści wschodni świadczą. Abulgazy w historii Tatarskiej, ogłoszonej drukiem w Kazaniu przez kancłarza państwa hr. Humiancowa, w r. 1825, tak o nim powiada: „Bismberg chan był przedziwnym Mu-
TEKA N. V.

sulmańskim padiszahem: uczonych, enotliwych, pobożnych i religiję w wielkiem miał poważaniu.“ Lecz o wyprawach Dżanibega do Polski zupełnie zamilczają: pierwszy ślad o tém znajduję u naszego Litwina, a co zgadza się i z naszymi dziejami. Wiadomo bowiem, że za Kazimierza wielkiego w r. 1343 Tatarzy zagony swoje istotnie posunęli do Polski; król pośpieszył na ratunek kraju, spotkał Tatarów w okolicach Sandomierza, wzbronil im przeprawy przez Wisłę, a potem pobil ich na głowę pod Lublinem. O innych napadach Tatarów z owęj epoki, nie już nieznajdujemy w dziejach. Nie dziw także, iż pisarz Musulmański wystawia te wyprawy Dżanibega jako mające na celu nawrócenia Polski do wiary Islamskiej. Kur'an wyraźnie zaleca prowadzić wojnę z niewiernymi, aby ich zmusić orężem do przyjęcia Islamu: każda przeto wojna z niewiernymi uważa się za wojnę świętą *dżihad, gaza*. Po wolni rozkazom swego prawodawcy, monarchowie Musulmańscy zawsze poczytywali dla siebie za najprzedniejszy obowiązek, wypowiadać wojnę Chrześcijanom (niewiernym), a kiedy składali oręż, było to tylko zawieszeniem broni, i trzeba była długich niepowodzeń, żeby przymusić na koniec Turków do zawierania traktatów wiecznego przy mierza.

Dżanibeg w r. 758 hidżry (1357 naszej ery), został zabity od swego syna Berdibega, który nastąpił po ojcu na chaństwo Hordy złotej.

4.

W zbiorze Gwagnina: *Rerum Polonicarum*, tomi tres, *Francofurti 1584*, w tomie 2 znajduje się list pisany przez pewnego Polaka w r. 1581 do Dawida Chytreja (ad Davidum Chytraeum) o religii i obyczajach naszych Tata-

rów, gdzie potwierdza się to, co mówi nasz Tatarzyn o używaniu już wtedy przez nich krajowej mowy: „Tartari (słowa są jego) in Polonia, et Lithuania, et utraque Russia, longe lateque dispersi sunt, plerumque hominum, quibuscum degent, linguam addisunt et callent.“ Owszem, zdawna nasi Tatarzy okazywali przywiązanie do naszego języka, a nawet niekiedy używali go w swoich modłach; są też w rękopismach xiążki modlitw Musulmańskich, ułożonych w języku Polskim, lecz pisanych głoskami Arabskimi jako, też podobne tłómaczenie Kur'anu i innych dzieł religijnych, a nawet w narzeczach Białoruskiem i Ukrainiskiem. Tego rodzaju xiążki znajdują się i dzisiaj w rękach naszych Tatarów. W bibliotece Lipskiej także przechowyje się xiążka Polska do modłów pisana głoskami Arabskimi, o której podaje wiadomość professor Fleischer w katalogu rękopismów wschodnich tejże biblioteki (*Catalogus librorum Manuscriptorum, qui in Bibliotheca Senator. civit. Lipsiensis asservantur, edidit Fleischer, Lipsiae 1840*).

Sobolewski w dziełku: *Wykład wiary Machometaniskiej czyli Islamskiej* (Wilno 1830), życzy nawet żeby Kur'an i nabożeństwa były wymawiane w naszym języku ojczystym na miejscu Arabskiego. „Tak w ciągu wieku, pisze on, doznawszy dobrodziejstw ziemi a opieki prawa; smutno nam wspomnieć, że dotąd my i dzieci nasze chwalimy jednego Boga niezrozumiałym dla nas językiem, a niekorzystamy z tej mowy, którą już od tylu wieków ojcowie nasi z sobą rozmawiali, a która od naszych lat niemożliwych tak jest nam przyjemną i drogą; smutno nam, że nasze pisma, teksty i rozmaite nabożeństwa dotąd się dla nas ukrywają w języku, którego nierozumiemy. Czas abyśmy się ocknęwszy z niewiadomości naszej, a razem

przez wdzięczność dla ziemi, która nas żywiła, odtąd we właściwym nam języku, naszą ojczystą mową słowa Twórcy, przez jego posłańca objawione, wymawiali, a dzieciom naszym dali do przyjęcia mądrość świętego pisma.“

5.

W dziejach Tatarskich bardzo często się napotyka imię Timura, które właściwie znaczy *żelazo*, w dzisiejszym języku Tureckim wymawia się *demir*; tak np. pomijając mniej znakomitych, sławny Tamerlan nazywał się *Timur* z dodaniem przymiotnika Perskiego *lenk* (kulawy), i wymawia się *Timur lenk* z kład zrobiono Tamerlan. W poczeie władców Mongolskich, którzy rządili ulusem Dżudży czyli Hordą złotą, mamy także kilku noszących to imię: 1) *Mengu Timur chan* (1267 r.), 2) *Timur Chodża chan* (1360 r.), 3) *Puład Timur* (1366 r.), 4) *Timur Kuttug chan*, którego kronikarze Rusey zowią *Temir Kuttuj*, i tak się czyta na jego monetach (1397 r.), 5) *Timur chan* (1410 r.), i inni. Opowiadanie naszego pisarza niestosuje się do czasów Tamerlana, czyli emira Timura, jak go zwykle mianują dziejopisowie wschodu; ale do *Timur chana*, który po śmierci *Puład chana* inaczéj Puład Sultanem zwanego, ubiegał się z wielą książętami Mongolskimi o tron Hordy złotéj, i otrzymał nad nimi przewagę w r. 813 hidżry, 1410 naszej ery. Począwszy od panowania *Tuktamysza* chana (a nie Tokatmisza, jak niektórzy błędnie piszą), państwo Kypczaku było zapelnione prawie do końca swego istnienia zatargami domowemi, tak, iż trudno oznaczyć dokładnie jego następców, kto mianowicie i wiele lat panował. Wnosząc z monet tego chana, Timur chan rządził Hordą złotą lat cztery lub pięć, to jest od r. 813 h. (1410 naszej ery) do r. 818 (1415), jak wykazano u Frena w dziele: das Muhammedanische Münzkabinet Des Asiatisches

Museums der k. Akademie d. Wissensch zu S.-Petersburg, 1821 str. 60, i w dziele: Recensio memorum Muhammedanorum, Petropoli 1826, str. 373. Był on synem Timur kuttuga. Na wyprawę Władysława Jagiełły przeciw Krzyżaków, a którą się uświetniła Litwa pod Grunwaldem, w. x. Witowt prosił posiłków właśnie u tego Timur chana: jakóż Timur chan posłał Dżelal-ed-dina, syna Tuktamysza, na czele 30.000 swego wojska, jak podają nasi dziejopisowie, a według naszego pisarza *bir kaczi bin*, z kilku tysiącami (od 3000 do 10,000), co zdaje się bliżej prawdy. Kypczak, jakkolwiek obszerny kraj, znany u nas pod nazwą wielkiej Tartaryi, i rozciągający się między Jajk (Uralem), Wołgą (Itil), Dniestrem (Turlà) i Krymem, jednak niemógł wystawić więcej 120,000 wojska u siebie i to pod pierwszymi chanami (Histoire des Huns par Deguignes, T. 1, 2 partie p. LXX); w późniejszym zaś czasie granice Kypczaku zostały uszczuplone, i liczył zaledwo połowę tego wojska. Nasi też historycy sami są w sprzeczności co do liczby: mówiąc o tém jak Witowt podejmował tego sprzymierzeńca przez kilkanaście miesięcy aż do rozpoczęcia wyprawy w r. 1410, z niemalym kosztem, z żonami, dziećmi, dworem i liczny ludem zbrojnym, podają liczbę jego wojska do dwudziestu tysięcy (u Narbutta Dzieje narodu Litewskiego T. VI str. 185); potem kiedy Jagiello spotyka Witowta z sultanem Tatarskim nad Wisłą, liczą już, opierając się na świadectwie słów dopełniaacza kroniki Dusburga, trzydzieści tysięcy wojska Tatarskiego (Narbutta t. VI str. 206). Prawda, że Tatarzy w Litwie osiedli pomnożyli zastępy Dżelal-ed-dina; ale ich nie było więcej nad 10,000, a zatem jeśli wyłączyć tę ilość, stosownie do rachuby pierwszej, wypadłoby wojska Kypczackiego około 10,000, co odpowie wyrażeniu naszego pisa-

rza z kilku tysiącami. Liczba ta potwierdza się zkadibad rachunkiem tegoż niewiadomego dopełniacza kroniki Dusburga, który wyliczając stratę z obu stron poległych, a powziętą z ust naocznych świadków, powiada, że cesarz Tatarski wrócił z 8,000 ludzi. Oto słowa jego: „Sicut retulerunt heroldi et alii famosi et fide digni, qui praedicto bello interfuerunt, plusquam 60 millia virorum ceciderunt *de utrisque partibus*. Immo referebatur ab eisdem, quod Tartarorum imperator vel marschaleus, regi Poloniae et Vitoldo cum 30 millibus virorum protunc venerat in subsidium et *abinde recessis duntasant cum 8 millibus*. Qui tunc de Ruthenis et Lithuanis, quorum *Principes cum populo quasi innumerabili advenerunt*“ (Petri de Dusburg Chronicon Prussisch, editio Christoph. Hartknoch, Jenae 1679, str. 435). Niepodobna żeby mógł stracić 22,000 kiedy dodaje: „a cóż mówić o poległych Rusinach, i Litwinach, których książęta przybyli z ludem jakby nieprzeliczonym“? Śnać tych ostatnich, osobiwie Litwinów na początku bitwy, poległo więcej, gdy tymczasem strata ogólna ze strony Polskiej nieprzewyższała 20,000 ludu zbrojnego. Takim sposobem liczba 30,000 wojska Tatarskiego widocznie jest przesadzona, albo w rękopismie kroniki błędnie była postawiona. Timur chan w rzeczy samej nie mógł posłać więcej nad kilka tysięcy wojska posilkowego pod dowództwem Dżelal-ed-dina, a którego dziejopisowie Polscy przerobili na Saladyna, Ruscy zaś na Zeleni, Zeledi, Zelet. Hammer niepojawszy kronikarzy Ruskich, tego samego Dżelal-ed-dina posyła w roku następnym (1411) na Kijów razem z Witowtem (Geschichte der goldenen Horde in Kiptschak, Pesth 1840, str. 373), a który, jak on mówi tamże, był do tego kroku podburzony przez księcia Twerskiego Alexandra Iwanowi-

cza. Wprawdzie znajdował się w Kijowie książę Tatarski, lecz nie na wojnie, a tylko w orszaku króla Władysława i wielkiego księcia Witowta, którzy zwiedzając południowe prowincje państwa, wstąpili do Kijowa i tam przyjmowali odwiedziny księcia Twerskiego, a których celem było odnowienie stosunków dawniejszych z Litwą, jakoż i zawarli z sobą przymierze wzajemnej przyjaźni. Dżelal-ed-din zaś przybył tam prosić o pomoc dla siebie do osiągnięcia władzy najwyższej w Hordzie, co niebawnie było przyprowadzone do skutku, gdyż korzystając z zamieszek w państwie, stracił on Timur chana i sam zasiadł na tronie Kypczaku. U niektórych naszych dziejopisów, dowódcza Tatarów nazywa się Tachtamirza Anton, który nie tylko Litewskie, ale i Zawolżańskie miał przyprowadzić hufce. Nazwisko Tachtamirza Antona niechybnie zostało przez naszych kronikarzy przekształcone z *Tuktamysz-agtan*, co znaczy syn Tuktamysza, jakim był właśnie sam Dżelal-ed-din (syn Tuktamysza). Nakoniec trzeba poprawić omyłkę Deguignes (Histoire générale des Huns T. 3 str. 374), który wyprawia samego Timur chana na czele posilków do Litwy i powiada że on był zabity, w Litwie; o Dżelal-ed-dinie zgola nie mówi, albo co prawdopodobniej robi z niego do niepoznania sultana Z-di, ponieważ mianuje go synem Tokatmisza (Tuktamysza).

6.

Odprawiać nabożeństwo żałobne po zmarłych obcego wyznania, wyraźnie zabrania się w prawie Musulmańskim, które w artykule *Salat-ul-dżenasa* (modlitwa pogrzebowa) mówi: modlitwa ta ma miejsce tylko dla wyznawców Islamu, a nie zaś dla niewiernych, na mocy słów Bożych: „nie módlcie się za nikogo z tych, którzy umarli wiecznie.“

Lecz umiarkowani tłumacze prawa pozwalają uczestniczyć w modłach za niewiernych, i historia przytacza uderzające w tym względzie przykłady. Za panowania Melik-szaha, czwartego króla dynastji Seldżuków, która wladala przez półtora wieku tronem Ispahanu w Persyi, kiedy umarła żona muchasyła czyli pobórey dochodów skarbowych w Bassorze, Żyda Ibn Allam (w r. 467 hidżry, 1074 naszej ery), wszyscy Musulmanie, urzędnicy i obywatele, uczcili swą obecnością pogrzeb Izraelitki, wyjawszy tylko jednego sędziego (kady). (Tableau général de l'Empire Ottoman par d'Ohsson, T. 2, str. 334). Zresztą w Kur'anie powiedziano: „wierni, jak równie Żydzi, Sabejowie i Chrześcijanie, którzy wierzą w Boga i w dzień ostatni, i żyją świątobliwie, będą wyjęci od mąk w przyszłym życiu” (w Surze 2-jej ajat 59, w Surze 5-jej ajat 73). Z tych słów ci tłumacze wyprowadzają wniosek, że można modlić się za takich zmarłych, albowiem oni nieumierają wiecznie.

W państwach Chrześcijańskich oddawna przyjęty został przez Musulmanów zwyczaj zgromadzać się do meczetów na obchody, poświęcone pamięćce zmarłych królów i dostojniejszych osób. W Polsce mamy tego liczne przykłady i świadectwa: między innemi obchody żałobne po Janie Sobieskim, także w r. 1794 za poległych rycerzów i najświeższy w 1818 po Tadeuszu Kościuszcze.

Po namazie, czyli modlitwie kanonicznej, którą wszyscy Musulmanie są obowiązani odprawić co dzień pięć razy, na takim obchodzie zwykle była odmawiana modlitwa szczególna, ułożona z ajatów czyli wersetów Kur'anu, z zastosowaniem do modlitwy żałobnej za umarłych, o ile to zgodne z wiarą Islamu. Takowa modlitwa powtarzała się z małemi zmianami przy każdym podobnym obchodzie. Dla przechowania tego ciekawego pomnika, wypisujemy ją do-

słownie z dziełka: Opisanie obchodu żałobnego nabożeństwa za duszę ś. p. Tadeusza Kościuszki, odbytego w Mińsku d. 7-go marca 1818 r. Wilno 1818.

MODLITWA.

„Panie Wszechmogący, Boże ojców naszych, Abrahama, Izaaka, Jakóba i pokolenia ich sprawiedliwego, któryś jednem słowem stworzył niebo i ziemię ze wszystkimi ozdobami, Tyś położył granice morza i zamknął przepaści, zapieczętował je strasznym imieniem Twojem, którego się wszystkie duchy lękają i drżą przed obliczem mocy Twojej i wielkością chwały Twojej, a nikt znieść nie może gniewu Twego, którym grozisz grzesznikom; jednak dziwne i niedościgłe jest miłosierdzie obietnic Twoich, boś Ty jest Pan najwyższy, dobrotliwy, cierpliwy i miłosierny, razem masz litość nad stworzeniem Twojem. Tyś, Panie, wedle wielkości dobroci Twojej i miłosierdzia przyjmujesz pokutę i odpuszczasz tym, którzy zgrzeszyli przeciw Tobie nad lizbę piasku morskiego. Niejestem, Panie, godzien i nieśmiem podnieść oczu, i spojrzeć na wysokość nieba, przez wielkość nieprawości mojej. Będąc obciążony okowami żelaznymi pod wielą łańcuchów żelaznych, tak, iż niemogę podjąć głowy mojej, bom czynił to co jest złego w oczach Twoich, jako ten, którym nieczylił woli Twojej, anim strzegł przykazania Twego, owszem dopełniał nieprawości, a teraz upadam na kolana serca mego, prosząc dobroci Twojej. Zgrzeszyłem, Panie, zgrzeszyłem, i wyznaję nieprawości moje, a przetoż żądam i proszę, odpuść mi Panie, odpuść mi, a niezatracać mię pospołu z nieprawościami mojemi, ani się gniewaj na wieki, pamiętając na złość moję, ani mię potępiaj do najniższych miejsc ziemi, boś Ty jest Bóg nasz litościwy, Bóg miłosierny. Odpuść ułomność i grzechy NN. i okaż nad nim

wszelką dobrotliwość Twoję zbawiając go, jako męża sprawiedliwego, według wielkiego miłosierdzia Twego, i daj jemu miejsce w królestwie niebieskiem między miłośnikami swymi. O co Cię z duszy i serca pokornie prosimy.”

Że musiały być w rzeczy samej obchody po Witowdzie u naszych Tatarów, przekonywamy się także ze słów prośby podanej przez nich do Zygmunta I, na kilkadziesiąt lat przedtém, w r. 1519, gdzie wspominając imię jego z wdzięcznością, tak się odzywają: „Niemamy sławnej pamięci Witolda, on nam niekazał zapomnieć o Proroku, a my do świętych miejsc oczy obracając, tak jego imię powtarzaliśmy jak naszych chalifów. Na szable nasze przysięgliśmy, że kochamy Litwinów, kiedy w wojnie mieli nas za jeńce, a wstępującym na tę ziemię powiedzieli, że ten piasek, ta woda i te drzewa są nam wspólne. Nasze dzieci wiedzą o nim, a nad słonemi jeziorami (t. j. w Krymie) i w Kipezaku wiedzą, że my w waszym kraju nie jesteśmy cudzoziemcami.” (Czackiego rozprawa o Tatarach, T. 3, str. 311, wyd. Poznańskiego). Wyrazy w tej prośbie: *my do świętych miejsc* (t. j. Mekki i Medyny) *oczy obracając, tak jego imię powtarzaliśmy jak naszych chalifów*” stosują się do podobnych schadzek w meczecie, poświęconych pamiętce wielkiego xięcia. Za czasów jeszcze naszego pisarza, pamięć o nim musiała być u Tatarów świeżą, co dowodzą i wyrazy w tejże prośbie: *nasze dzieci wiedzą o nim*. Kiedy zaś ustały podobne obchody religijne po Witowdzie, historycznie niepodobna oznaczyć; najstarsi wiekiem dziś żyjący niepamiętają już tego, i nie też o tém niesłyszeli od swych rodziców.

7.

Początek nazwiska Tatarów jest wcale niewiadomy: w językach Arabskim, Perskim i Hebrajskim od bardzo da-

wnych czasów używają się wyrazy *tatar, tataristan*; w Europie zdaje się, że przed dwónastym wiekiem ta nazwa niebyła jeszcze w użyciu.

Abel Rémusat i Klaproth opierając się na świadectwie dziejopisów Chińskich, najprawdopodobniej wywodzą Tatarów pierwiastkowych od jednej z głównych gałęzi narodu Mag-ho albo Mongołów, osadzonej w kotlinie górnego Amura, a która później wielkie podboje nad plemionami Mongolskimi dokonała: dzieje bowiem Chińskie wspominają o tym narodzie na początku IX wieku naszej ery pod imieniem *Ta-ta*, z wyrzuceniem głoski *r* jako niebędącej w języku Chińskim (1). Kiedy Czyngyz-chan połączył pod swe berło wszystkie plemiona Mongolskie i Tatarskie, i z nimi wyprawił się na zawojowanie Azji, przybrał dla swęj dynastyi i dla bitnych wojowników swego narodu imię zaszczytne Mag-ho (junacy, śmiali), i to imię zabrzmiało wszędzie, gdzie się pokazał straszny wódz hord dzikich. Jednak nazwa Tatarów była powszechniejszą w Azji północno-zachodniej, i nakoniec przemogła kiedy *Batu-chan*, wnuk Czyngyz-chana pośród ludów Tureckich, podbitych orężem, założył na północ od morza Kaspijskiego potężne państwo Kypezaku, rozciągające się między Syberyą i Dnieprem. W tém nowém państwie chan, główniejsi wodzowie i kilka wyborowych oddziałów jego wojska, byli to tylko Tatarzy, a resztę nieprzeliczonej ludności składali Mongołowie, nakoniec i ta mała ilość władców po przyjęciu przez nich Islamu, została pochłoniętą w ogromnej massie; lecz za granicami Kypezaku, nazywano ciągle dawném imie-

(1) Według Chińskiego wymawiania *Da-tań*, *ń* końcowe zamieniło *r*; w ogóle różni się wiele od Chińskiego wymawiania Europejskie; *Da-tań* może być wymawianiem południowych prowincyj Chin.

niem władców, to jest Tatarami, wszystkie ludy tego państwa, nawet i wtedy kiedy już rozbiór Kypczaku oswobodził ich zupełnie od jarzma hordy Tatarskiej. Dziś sami Tatarzy nazywają siebie Turkmenami, Turkami (*Tiurkmeń*, *Tiurk*), a wschodni i północni Tatarzy zowią się podług plemion oddzielnych, Nogajami, Uzbekami, Kirgizami i t. d. Niedziw zatém, że Musułmanie w ogóle odrzucają i pogardzają nazwą Tatarów, która u Buryatów i Mongołów ma znaczyć *pobór nieprawny*: oni płacą *jasak*, podatek prawny, i *tatarin* pobór. Zapewnie wyraz *tatarin*, było pierwszym słowem Mongołów-zaborców, i pokazywało cel ich napadów, co oni usprawiedliwili i w skutku, wymagając tylko podatków a nieprzywłaszczając sobie podbitych przez się krajów; tu zdaje się trzeba szukać prawdziwego początku wyrazu *tatar*, zamienionego w nazwisko ludu. W Europie przewano ich *Tartarami*, dla podobieństwa brzmienia z wyrazem Łacińskim znaczącym piekło; tak ich nazywał Ludwik XI w znaczeniu podziemnego ludu, mieszkającego w tartarze (piekle).

8.

Niepodlega wątpliwości, że przed epoką, w której było pisane niniejsze sprawozdanie, w haremach sultańskich już się znajdowały Polki, porywane przez Tatarów w sąsiednich prowincjach i sprzedawane handlarzom niewolnic. Sultanka *Churrem* (wesola), znajoma w Europie pod imieniem Roksolany, z początku *kadyń* pani, a potem *chaseki-sułtan* żona Sulejmana, była rodem z Ukrainy albo Galicyi, i w r. 1524 wydała na świat Selima. Panując despotycznie nad umysłem sultana zkałinał samowładnego, wielki wpływ wywierała ona na sprawy państwa, i dziejopisowie Tureccy jej przypisują niezwykłe przymioty

umysłu i serca. Umarła w r. 1558, i pochowana w ozdobnym grobowem *turbe* przy dzamii Sulejmanije, w samym środku Stambułu. Jeden z nowocześniejszych poetów Otomańskich Fazyl-bej, syn znakomitego Tahyr-paszy z Akki (St. Jean d'Acre), zmarły w r. 1225 hidżry (1810), w poemacie *Zenan-name* (księga niewiast), opiewając główne rysy charakteru kobiet trzydziestu pięciu rozmaitych narodów, gdzie razem wychwala przymioty, a gani wady ich, tak się odzywa o Polkach w pięciu wierszach, oddzielnie im poświęconych:

„Opisanie przymiotów pięci pięknej narodu Leńskiego.”

„Polki! spojrzanie wasze roznieca w sercu nawet pustelnika płomień żądzy, a sploty waszych włosów stają się dlań przepaską w zamian pustelniczego pasa. Niewiasty bowiem Lehistanu są istoty całkiem wyłączone: lica ich piękne jak róża, kibić ich wyniosła jak cyprys; kiedy idą, postawa ich pełna wdzięku, kiedy mówią, usta ich pełne słodyczy. Każda z nich w sztuce niewieściej (kochania) jest mistrzynią, duszę swą oddaje przyjacielowi, którego pozyskała dla siebie. A chociaż one są dotyla ujmujące, śliczne, cóż począć, kiedy ich pochodzenie jest Izraelskie (1)?”

W drugim poemacie pod nazwą: *Chuban-name* (księga pięknych), tenże poeta, w epigrammacie także pięciowerszowym, maluje przymioty Lehek w następujących obrazach:

„Ty, której rzuty oczu sprawują pomieszczenie w kochanku, nierozdzieraj jego serca przez szacunek dla niego sa-

(1) Poeta użył wyrażenia: „pochodzenie ich Żydowskie” jedynie, aby znaleźć coś do naganienia, jakby Polki nasze istotnie były niestałe i zwodnicze.

mego. Piękne bóstwa Lehistanu są klęską świata, niepokojem wieku, nieszczęściem czasu.

„Kiedy strzały oczu zdolne są przeszywać wnętrzności, miecz w jego ręku jest rzeczą blahą, na nie nieprzydatną: serce ich kamienne zmiękcza się dla ludzi,—a zatem niemiej urazy dla takiej piękności, która porywa serca. Ona już będąc na osobności, zawiesza dwie lampy przed ołtarzem swego kościoła (1).”

9.

Pod imieniem *rydzał* (właściwie mężczyźni, ludzie) Turcy rozumieją ministrów i dygnitarzy Porty; tu stosuje się do naszych wyższych urzędników, a mianowicie namiestników królewskich czyli starostów, którzy istotnie za Zygmunta I-go poczęli uciskać Tatarów. Właśnie koło tej epoki, kiedy było pisane niniejsze sprawozdanie, ośmielano się jak twierdzi Czacki (Tom 2-gi, str. 133 wyd. Pożn.) brać kunice czyli opłaty od pójścia za mąż, od córek mirzów, i różne wyrządzano gwałtowności. W xiędze 20-tej Metryki Litewskiej na karcie 32, znajduje się list Zygmunta I-go pisany w r. 1537 do wojewody Trockiego, w którym król czyni surowe napomnienie, aby podobne gwałtowności niebyły popełniane (Obacz w materyałach historycznych). Za Zygmunta-Augusta Tatarzy nasi doznawali opieki praw, dawniejsze nadania zatwierdzono i dobra przez nich posiadane zrównano z dobrami szlacheckimi. Lecz

(1) To jest na votum zamążpójścia. Użyty w tych wierszach wyraz *mecz* w znaczeniu miecza *kytydż*, wzięty jest z naszego języka i używa się w języku Otomańskim. Jest oprócz tego kilkadziesiąt innych wyrazów pożyczonych u Polaków, które objaśniłem w Słowniku źródłostwowym wyrazów Polskich, pochodzących z języków Wschodnich.

smutna kolej na nich przyszła z początkiem panowania Zygmunta III-go: wtedy nietylko że poczęto ich znowu ucierać, ale otwarcie prześladowano prawami technącemi nienawiścią. Iżono i nawet palono jako czarnoxiężników. (Rozprawka J. W. Bandtkie o Tatarach mieszkańcach Królestwa Polskiego, w Album Literackim, Warszawa 1848).

10.

Przepowiednia naszego Tatarza na nieszczęście sprawdziła się w późniejszych czasach: albowiem już w skutek prześladowań za Zygmunta III-go, jużto w skutek wojen i ustąpienia Turków z Podola, wiele rodzin Tatarskich, od dawna osiadłych, przeniosło się z kraju naszego do państwa Otomańskiego. Z takich to wychodźców utworzyły się tam trzy kolonije, które po-dziś-dzień odznaczają się od Turków typem i strojem; jedna z tych osad zamieszkuje płaszczyznę *Dobrudzy* w Bulgaryi, na brzegach Dunaju, druga osiadła w okolicach Brussy (w Azji), w ejalecie czyli prowincyi Chodawendgiar, trzecia usadowiła się przy zejściu rzeki *Kyzył-yrnak* (rzeka czerwona), starożytnego Halys, w małej Azji. Ludność Tatarska tych trzech osad wynosi, podług urzędowych statystycznych sprawozdań, około 36,000 dusz. (Lettres sur la Turquie par Ubicini, 2-de édition, Paris 1853, str. 23). Niedziw zatem, że osady Tatarskie niegdyś ludne w naszym kraju, w przeszłym już wieku liczyły zaledwo kilkanaście lub kilka tylko rodzin, a dzisiaj w niektórych i śladu nawet niepozostało Tatarów. Piotr Czyżewski w dziełku: *Alfurkan Tatarski* na czterdzieści części podzielony, w § 18 pisze, że za jego czasów (koło r. 1616) znalazłoby się 10,000 Tatarów Litewskich do potrzeby godnych, a dzisiaj całkowita ludność Tatarów, jak obliczymy niżej, w gubernijach zachodnich i Królestwie Polskiem nie dochodzi sześciu tysięcy dusz.

Przez stolicę tego państwa, *Kursi-i memleket* bez wątpienia rozumie pisarz miasto Wilno, gdzie dotychczas na przedmieściu Łukiszkach stoi mały meczet drewniany, którego architektura zupełnie nosi cechę Wschodu, rysunek zaś jego załączony w Tomie 3-m dzieła Kraszewskiego: Wilno od początku jego do r. 1750 Wilno 1841. W wyżej przytoczonym liście Polaka do Dawida Chytreja, pisanym w r. 1581, a który znajduje się w zbiorze Gwagnina, jakoteż w zbiorze Elzewirskim: Russia sive Moscovia item-que Tartaria, Lugd. Batav. 1630, już opisuje się meczet Tatarski blisko Wilna, to jest na przedmieściu Łukiszkach, w następujących wyrazach: „Hi (t. j. Tartari) uno a Vilna milliari, ad fluminis Veliae ripas, gurgustia aliquot et pagum amaenissimo loco situm habent. Huc ego XII. Kal. Jul. cum Joanne Gamrato Stralsundino, mercatore et cive Vilmensi exspaciatus, delubrum eorum intravi. In illo certe, nec alicujus Divi, nec atri doemonis simulacrum ullum videtur. Nudi ubique parietes. Area tamen pietis tapetis instrata est. Die Veneri dicata semper ad sacra conveniunt, ea, uti opinor, de causa, ut significant neque Judaeorum superstitiones, neque Christianorum nomen et religionem sibi probari. Delubrum nulli nisi discalceato ingredi licet. Campanarum boatum minime tolerant.”—i t. d.

Kyrk-tatar, co znaczy czterdzieści tatarów, jest dosłownym przekładem nazwy Sorok-tatarów, wsi położonej w powiecie Wileńskim. Sama nazwa świadczy, że to musiała być kiedyś liczna osada Tatarów: przez liczbę bowiem *sorok* czterdzieści u Słowian oznacza się w ogólności wielka liczba czegoś, to samo i w językach wschodnich.

Jest podobne nazwisko od takiejże liczby miasta w Turcyi Europejskiej, w ejalecie Sylistryi, *Kyrk-kilisija*, czterdzieści kościołów, a które dziś niema żadnego starożytnego kościoła, od których wzięło swoje imię; Grecy nawet są tam nieliczni, mieszkańcy składają się z Turków, Ormian i wielu Żydów, przesiedlonych niegdyś z Podola. Także w Krymie *Kyrk-er*, czterdzieści mężów zamek, blisko *Bak-cze-seraju*, dokąd Mengli-Girej raniony od Nogajów schronił się, i ztąd pisał do króla Zygmunta I-go, w aktach Ruskich zowie się ten zamek *Kupkops*, *Kirkor*. Michalon w dziełku De moribus Lithuanorum frag. VII, mówi, że wieś Sorok-tatarów wzięła początek od 40 synów Tatarzyna Omeldesza (Jaroszewicza Obraz Litwy część 2-a, str. 202). Nazwa tego Tatarzyna jest czysto Tatarska, co mówi dosyć na stronę świadectwa Michalona. Jeden z potomków Dżagataj-chana, w państwie Ma-wara-annahr (Transoxanii) nazywał się także Emel, w wymawianiu Tatarskiem Omel, Amul, właściwe zaś imię jego było Isan-boga-chan, przezwany *Emel-chodża*. *Emel* znaczy nadzieja, żądza, a *tasz* kamień; zatem *Omel-desz* (Emel-tasz) znaczy twardy, jak kamień, w nadziei, w żądzy.

Wakja, jak w texcie napisano, znaczy po-Arabsku wypadek, zdarzenie: będzie to niezawodnie nazwa wsi *Waka*, leżącej w powiecie Wileńskim, przedtém w województwie Trockiem, nad rzeką *Waką*, zkąd i wzięła imię. Była tam niegdyś liczna osada Tatarów, których, jak nasze dzieje świadczą, osadził tam Witowd, z jeńców nabranych w wyprawie na Tatarów za Don przedsięwziętej w r. 1396. Jan Krasinski w dziele p. t. Polska, wspomina o Wace w te słowa: „Niedaleko Wilna nad rzeką Waką mieszka-

ją Tatarzy, lud Scytyjski, trudniący się rolnictwem i Mahometaniskim przesądom oddany. Witowd w. ks. Litewski ich sprowadził z ich kraju wraz z żonami i dziećmi i w środku Litwy osadził w r. 1396 (str. 102 przekładu Budzińskiego Stan. Warszawa 1852). Dziś w tej wsi zostało tylko kilka domów Tatarskich.

14.

Jeni-szehir, po-Turecku znaczy *nowe miasto*: podobno i to także będzie dosłownym przekładem nazwy miasta *Nowogródek* w Litwie, gdzie i po-dziś-dzień Tatarzy mieszkają. Turcy lubią imiona właściwe obcych języków albo przekształcać na blisko brzmiące Tureckie, albo tłómaczyć je dosłownie lub przez omówienie, i tak ze Stambułu zrobili *Istambol*, obfity w Islam, t. j. miejsce gdzie kwitnie Islam, Olymp Bitynii zowią *Leszisz-datu*, górą mnichów, wyspę Chijo *Sakyz*, wyspa mastyxu, Rzym *Kyzyt elma*, jabłkiem czerwonym, od galki na bazylice św. Piotra, Amerykę *Jeni dunia* nowym światem i t. p.

15.

Na podobieństwo innych naszych miast, przekręconych na brzmienia wyrazów wschodnich, nazwa *Turk* czy *Terk* zdaje się odpowiadać nazwie miasta Trok. Jeśli czytać *Turk* znaczy Turczyn czyli dziki mieszkaniec Azyi z plemienia Tureckiego, jeśli zaś *terk* znaczy po-Arabsku zaniechanie. W przekładzie Rusko-Polskim listu Tochtamysza, chana złotej Hordy, do Władysława Jagiełły, wspomina się już miasto Troki „и наши послаи нашии ва (васъ) под городомъ под Троки стоячи.“ W Trokach zaś ulica Tatarska świadczy o bytności tam już w czasach daw-

niejszych Tatarów. Kromer w xiędze 1ej opisu Polski o meczecie Trockim mówi następnie: „w Trockiej ich (Tatarów) bożnicy przed laty widzieliśmy za cały sprzęt kościelny jeno turban, czyli czapkę, jakich pospolicie ów narod używa, położoną na wzniesieniu.“ (Polska Marcina Kromera, przekład Władysława Syrokomli, Wilno 1853 str. 67.).

16.

Gdzie niema przy meczetach wież dla zwolywania na modlitwę kanoniczną, a które się zowią po-Arabsku *ma'a dana*, po-Turecku *minaretami*, *ezan* czyli wezwanie uroczyste na taką modlitwę ogłasza się na schódkach lub przy drzwiach meczetu, czy izby, na ten cel przeznaczonę; praktykuje się to zwłaszcza w domach zajezdnych, w pałacach magnatów i dygnitarzy, i dla tego utrzymują oni prywatnych imamów i muezzinów, jakby kapelanów, wybranych przez nich z prostych obywateli dla przewodniczenia nabożeństwu. Każda modlitwa kanoniczna, nawet konieczna powinna być poprzedzoną ezanem, albowiem ezan jest ustanowiony przez samego założyciela Islamu. Kiedy Muhammed schronił się do Medyny, uczniowie jego naradzali się nad sposobami obwieszczania ludowi czasu, w którym ich prorok dopełniał najpiérwszego obowiązku religijnego, t. j. modlitwy. Chorągwie, dzwony, trąby, ognie były kolejno podawane na takie sygnały; lecz żadne z tych narzędzi nie zostało przyjęte: odrzucono chorągwie jako nieprzyzwoite świętości przedmiotu, dzwony żeby nienasładować Chrześcijan, trąby jako narzędzie właściwe obrzędowi Żydowskiemu, ognie nakoniec aby nie mieć żadnego stosunku z Czciicielami ognia. Wtedy jednemu z uczniów na imie Abd-ałla ben Zejd Abderyje pokazał się we śnie, jak głosi legenda Musulmańska, duch niebieski ubrany w sza-

ty zielone, oświadczając mu, iż nauczy go najlepszego w tym względzie sposobu: wstępuje na taras domu i wymawia ezan donośnym głosem w tychże samych wyrazach, które odtąd używają się dla ogłaszania pięciu godzin kanonicznych. Obudziwszy się Abd-alla, pobiegł oznajmić to swemu mistrzowi, który go osypał błogosławieństwami i upoważnił drugiego ucznia, Bilal Habessy, spełniać na tarasie swego domu ten dostojny urząd pod tytułem Muezzina. (Tableau général de l'Empire Ottoman par d'Ohsson, Paris 1788, T. 2, str. 108 i 176).

17.

Kobiety, podług prawa Musulmańskiego niemogą modlić się razem z mężczyznami, a tém więcej stać z nimi w jednym szeregu, z obawy żeby ich obecność nienaruszyła prawideł przystojności i wstydu. Prawo w ogóle do grona mężczyzn nieprzypuszcza kobiet, chyba w pewnym już wieku, stąd to i niewidac ich w meczetach; jednak tam mogą być dla płci żeńskiej oddzielne łóża z żaluzjami, lecz wzniesione nad głównymi drzwiami. Tym sposobem niewiasty, które są przytomne na modlitwie, stanowią ostatnią klasę zgromadzenia wiernych; lecz one na nabożeństwo nie schodzą się nigdy razem, bądź w meczetach, bądź gdzieindziej. Niema też u Moslimów klasztorów, domów, towarzystw religijnych żeńskich. Zazwyczaj prawie wszystkie kobiety, bez różnicy stanu i godności, spełniają przepis namazu w swoich domach, i to każda na osobności. W niektórych meczetach naszego kraju i dziś są osobne przegródki dla kobiet. Szpilewski w wycieczce po Polesiu i Białej-Rusi, opisując drewniany meczet w Mińsku, powiada, iż dzieli się na dwa oddziały, męzki i żeński, rozdzielone między sobą kratkami: wewnątrz niema żadnych oz-

dób, prócz baldachimu dla mullę w oddziale męzkim, podłoga zasłana suknem zielonem, a przy ścianach postawione zedle dla przychodzących. Oprócz tych dwóch przedziałek, albo izb, jest jeszcze coś, w rodzaju przedpokoju, gdzie Tatarzy zostawują obówie, albowiem stosownie do przepisów prawa niemogą wchodzić w bótach do meczetów. (Современникъ, Октябрь 1854.)

18.

Zygmunt August, mówi Jędrzej Moraczewski, polubił tak dalece rozmowy i spory w rzeczach wiary, że czasem wkoło niego cztery religije znaleźć było można, a utrzymywał, że to wszystko jeden Bóg, jedna wiara, jeden chrzest, i stał już z Kalwinem w korespondencji. (Dzieje Rzeczypospolitej Polskiej z pierwszej połowy szesnastego wieku, Poznań 1847, str. 204). Właśnie w tymże czasie na sejmie zwyczajnym w Warszawie, zapewniono posłom Pruskim, że w naszej wierze przeciwności doznawać nie będą. Podobne upewnienia otrzymały Gdańsk, Toruń, Elbląg, i odtąd nowa nauka przynajmniej w Prusach, stała się wyznaniem religijnem. Niedziw, że i Tatarom wtedy było lepiej.

19.

Ówczesne stosunki dworu Moskiewskiego z Litewskim, z przyczyny interesów Krymu, lepiej wyjaśniają i opowiadanie naszego pisarza i stan samych zatargów. Streszcimy je tutaj podług wypisu zrobionego przez profesora Solowjewa z głównego archiwum Moskiewskiego, należącego do ministerstwa spraw zagranicznych. W lipcu 1495 roku, przyjechał z Litwy do Moskwy goniec Jadro z wiadomością, że chan Krymski Mengli-Giraj idzie na Litwę,

i król Alexander prosi wielkiego xięcia o pomoc: w skutek czego Joann przez gońca swego Tretjaka Dałmatowa zapytywał króla Alexandra, czy Mengli-Giréj wyszedł już z Przekopu, jaką drogą idzie i kiedy może być w Litwie, ażeby na czas stanąć z posiłkami. Alexander na to odpowiedział, że jeszcze Mengli-Giréj niedoszedł do Dniepru, i jak tylko będą wieści pewniejsze, zawiadomi o tém wielkiego xięcia. W styczniu następnego roku 1496 wyruszył do Alexandra nowy poseł, Tretjak Dałmatow, ze skargą, że w Litwie zatrzymali posła Tureckiego i kupców jadących do Moskwy. Z odpowiedzią na to poselstwo Alexander przysłał Fiedka pisarza, który objawił że poseł Turecki nie został wypuszczony jako podejrzany o szpiegowanie. W maju zaś tegoż roku Joann wyprawił do Litwy Jaropkina z zawiadomieniem, że Stefan gospodar Multański i Mengli-Giréj gotowi są pogodzić się z Litwą; było też poruczono Jaropkinowi domagać się uwolnienia posłów Tureckich, Krymskich i Multańskich, i oświadczyć, że usprawiedliwienie się Alexandra względem zatrzymania posła Tureckiego niema zasady. „I do króla Kazimierza, mówił on, przyjeżdżają posłowie z Turcyi, i także wiele kupców (gości) chodziło do waszój i naszój ziemi bez żadnej przeszkody. My z tobą zostajemy w miłości, przymierzu, dobrych stosunkach i w pokrewieństwie, a ty posłom i kupcom niepozwalasz do mnie jeździć!“ Alexander odpowiedział: „Teś nasz mówi o wszystkich sprawach, lecz o naszych milczy, jakie nam krzywdy się dzieją. Jeśli nasz teś chce, żebyśmy byli w pokoju z Krymem, Wołochami, niechże mi wynagrodzą krzywdy nam przez siebie wyrządzone.“

W czerwcu 1497 r. z Litwy przyjechał poseł Iwaszko Sopiehin z wezwaniem uzbrajać się na pogany. Joann

obiecał swą pomoc, i wysłał do Litwy Zagrażskiego zapytując, dokąd idzie pogaństwo, i jaką drogą Joann ma pomagać Alexandrowi? W lutym 1498 r. posłany był do Litwy Iwan Teleszow z nowemi skargami na zatrzymanie posłów i kupców (gości), gdyż Litwini nieprzepuścili w Putywlu posła Moskiewskiego Pleszczewaja, wracającego z Turcyi. Alexander odpowiedział, że poseł i kupcy są już wypuszczeni, a z początku byli zatrzymani dla tego tylko, że razem z nimi przyjechali Tatarzy, którzy poczęli rabować okolice Putywla. W marcu zaś Alexander posyłał swego człowieka, Bazylego Bokieję, ze skargą na tegoż Pleszczewaja, który przyprowadził z sobą Tatarów do Putywla. Bokiejowi odpowiedziano: że Tatarzy schwycili samego Pleszczewaja i gwałtem przyprowadzili go do Putywla, wtedy kiedy on chciał jechać polem prosto do granic Moskiewskich. W lipcu 1498 r. z Litwy przyjechał do Moskwy Stanisław Kiszka ze skargami na Mengli-Gireja i Stefana Wołoskiego, że oświadczając się z pokojem, pustoszą włości Alexandra. Joann odpowiedział: „Alexander prosił pomocy przeciw poganom i myśmy obiecali posiłki; ale ta prośba była tylko podejściem, żeby ukryć przed nami swoją wyprawę na naszego przyjaciela Stefana Wołoskiego. Prosiliśmy więc króla, żeby on nieszedł na Stefana: wprowadzie on sam nieposzedł, lecz posłał swe wojsko. Alexander żąda, abyśmy, na mocy przymierza, pogodzili go z Mengli-Girejem i Stefanem, a sam niezachowuje przymierza. Ale my, pomnąc na nasze pokrewieństwo, że nasza córka za nim, wysyłamy do Mengli-Gireja i do Stefana, z tém, aby się pogodzili z nim, chociażby nam i niewypadało posyłać, kiedy on sam narusza przymierza“.

W sierpniu 1499 r. przyjechał do Moskwy wielki po-

seł z Litwy, Stanisław Hlebowicz, przez którego oznajmił Alexander, że nakoniec zawarł przymierze z hospodarem Stefanem, i zapraszał Joanna do powszechnego związku państw Europy wschodniej przeciw Turkom na obronę Multan mówiąc: „albowiem i sam brat nasz może pojmować, że państwo wojewody Stefana, jest brama wszystkich Chrześcijańskich ziem naszej wyspy. Niedaj tego Boże, żeby je zachwycił sultan“. Poseł skarżył się także, iż Joann znosił się z Mengli-Girejem na szkodę Alexandra, na co Joann odparł, że i Alexander posyła do chanów Ordyńskich, nieprzyjaciół Moskiewskich, podburzając ich przeciw Joannowi i Mengli-Girejowi.

Nakoniec w grudniu tegoż roku Joann posyłał Mamonowa powiedzieć Alexandrowi, że Mengli-Giréj chce pokoju z Litwą i przedstawi punkta swych wymagań. Według tych punktów powinny płacić daninę Krymowi następujące miasta i miasteczka: Kijów, Kaniów, Nestobrat, Dascho, Jaro, Czanam, Böldaw, Kulzan, Baryn, Czalbász, Czerkask, Putywl, Lipiatin. Mamonowi polecono było dopilnować, żeby Alexander dał odpowiedź, póki posłowie Mengli-Gireja są jeszcze w Moskwie. Alexander odpowiedział: „Niechaj sam Joann pomyśli i da nam swą radę, jak nam postąpić względem Kijowa i innych naszych miast; czy przyzwoita to rzecz, żeby Mengli-Giréj chciał od nas tego, czego jego przodkowie nigdy nieżądali od naszych przodków? Pomówimy z radą i przyszlemy naszego posła, a wielki książę niech do tego czasu zatrzyma u siebie posła Mengli-Gireja“. Na tém się i skończyły stosunki między dwoma dworami w wieku XVtym z powodu spraw Krymskich. (Обзоръ дипломатическихъ сношеній Московскаго Двора съ Литовскимъ во второй половинѣ XV вѣка, Пр. Соловьева, въ Журн. Минис. нар. Просв. Апрель 1854 г.).

Piszący ten pamiętnik na początku 1558 r. trafne robi pojęcie o ówczesném połączeniu, jeszcze na wiele lat przed ostateczną uniją, dwóch narodów przez Litwę, która lubo i okazywała uprzednio dążność do niezawisłości jednak dając Polsce króla przez to samo utrzymywała się przy Polsce; a że i Polakom szło o to, aby Litwę zatrzymać przy królestwie, przeto nietrudno było wielkim xiążętom Litewskim otrzymać tron Polski.

Dla tego oba kraje nasz pisarz nazywa *kyratlyk, kraltyk*, co oznacza właściwie posiadłość, godność, dostojęstwo króla, od wyrazu przyjętego z języka Polskiego *kyrat, kral*, co niekoniecznie znaczy króla, ale w ogóle władzę:—i tak, xięcia Siedmiogrodu zowią też *erdel kyraty*, siedmiu elektorów dawnego cesarza Niemieckiego zwano *jedi kyrat* siedmiu królami, a ztąd cesarza Niemieckiego *jedi kral baszy*, głową (naczelnikiem) siedmiu królów; wyraz zaś *wilajet*, którym zowie Litwę, oznacza kraj mający oddzielny zarząd. U dziejopisów i geografów Musulmańskich, zwłaszcza Tureckich, Litwa zawsze się uważała za jedno z Polską, pod jedną nazwą *Lah, Leh* po-Arabsku (Lechia), *Lehistan* po-Persku (królestwo Lehów), *Leh memleketi* po-Turecku (królestwo Lehów); *Leh-kraty* w języku Tureckim zowie się ogólnie król Polski (*Leha*, Lechii). W przekładzie z narzecza Dżagatajskiego (wschodnio-Tureckiego) na zachodnio-Ruskie jarłyka czyli listu chana złotej Hordy, Tochtamysza, do Władysława Jagiełły, pisanego r. 795 hidżry miesiąca Redziba 8 d. a naszego 1393 r. 20 maja, Jagiełło zowie się królem Polskim „Слово Тактамышеву къ королевѣ Польскому“, w oryginale zaś prosto zowie: Jagiełło-chan *Jagajłło-kan*. W przekładzie Polskim, znajdującym się na odwrótniej stronie Ruskiego tłumaczenia, pi-

sze się: „Copia listu do króla Polskiego od cara Tartarskiego“; w samym zaś liście wspomina się w obu tłumaczeniach o pośle Litwinie wysłanym uprzednio od Jagielly do Tochtamysza: „вы на послали есте к намъ посла вашего Литвина на имя Невониста“; „wyście też posłali do nas posła waszego Litwina, imieniem“ (zostawiono miejsce czyste dla dopisania imienia Niewoista). W oryginale niema wyrazu Litwin a tylko prosto poseł. Lecz nie podlega żadnej wątpliwości, że Ruskie tłumaczenie listu Tochtamysza jest spólcześnie oryginałowi i dokonane zostało w kancelaryi chańskiej pod okiem samego chana, albo zarządzającego wydziałem spraw z dworami zagranicznymi. Przekład ten w ogóle wiemy, dodatki zaś, znajdujące się w nim, mogą dowodzić, że w owocześnieym języku Tatarskim nie było osobnych wyrazów na oznaczenie króla Polskiego i Litwina, przeto i w oryginale zostały wypuszczone, tém bardziej, że Jagiellę nazwał tytułem równym sobie, to jest chanem, czém sądził iż lepiej się jemu przypodoba i więcej go uczei. Jarlyk wspomniony został odszukany przez x. M. Oboleńskiego w archiwum głównem ministerstwa spraw zagranicznych w Moskwie, i wydany w Kazaniu w r. 1850 z nowemi tłumaczeniami i objaśnieniami professorów Kowalewskiego, Kazembeka i Berezina. Wkrótce ogłoszę mój przekład tego ważnego dokumentu dyplomatycznego, a różniący się w bardzo wielu miejscach od moich poprzedników.

Sama także nazwa Polski *Lah, Leh, Lehistan* u dziejopisów wschodnich zjawia się w późnych czasach, w wieku czternastym. Pierwiej Arabowie wszystkim narodom i ludom Europy dawali nazwisko Afrandź wzięte od imienia Franków (Francuzów), którzy im byli więcej znani od innych, z powodu wojen Krzyżowych w Egipcie i Palestynie: ztąd w Arabskim

Afrandź, Efrendź, Frendź, w Perskim *Efrenk, Frenk, Firenk*, jest to imie rodowe i oznacza w ogólności wszystkie narody Europy, przymiotnik *Afrandźij*, Frengi (Frank) Europejczyka, *Afrandźja* Europę. Kiedy już nabyli dokładniejszych wiadomości o Chrześcijańskich ludach Zachodu i Północy, poczęli wtedy narody Europejskie odróżniać właściwemi nazwami,— i tak Francuzów zowią *Fransami, Fransini*, Hiszpanów *Audalus*, Niemców *Nemse*, Słowian *Saklab* w liczbie pojedynczej a *Sakaliba* w mnogiej, Rosyan *Rus*, Polaków *Leh*. O Litwie mogą być wzmianki także w wieku czternastym u Arabów, a mianowicie u historyka Ibn-ul-wardj (zm. r. 749 hidżry, 1348 naszej ery) pod nazwą *Atwal*, i u Szems-ed-din pod nazwą *Al-Litabija* (794 r. h. 1392 n. ery), jeśli się niemylimy w czytaniu tych nazwisk w rękopismach Arabskich, gdzie najczęściej pochodzą błędy od samych przepisywaczy, a to przez zamianę głosek do siebie podobnych, albo też kropek, którymi rozróżnia się między sobą większa część głosek. Takowe miejsca, stosujące się do Litwy, są wypisane w dziełach: Frena Ibn Foszan's und anderer Araber Berichte über die Russen älteres-Zeit. S.-Petersburg, 1823 str. 170, 171, 172 i 193, oraz: Charmoy Relation de Mas'oudy et d'autres auteurs Musulmans sur les anciens Slaves, w Mémoires de l'Academie Imp. des sciences de S.-Petersbourg, VI serie T. 2, 1834, str. 354.

O różnaitości nabożeństw w owym czasie w Polsce Łubieniecki Andrzej w Polonenticzii, tak się odzywa: „Co największa i najdziwniejsza, w nabożeństwie nigdy przedtém, ani potém wielkiego poróżnienia niebyło, jako za króla Augusta, naprzód między religiją Rzymską Katolicką, a

między heretykami, którzy się byli bardzo zagęścili, zmocnili i w senacie przedniejsze miejsca mieli, także i między posły ziemskimi" (str. 37, Lwów 1843),— i dalej (na str. 41): „Wspomina x. Sulikowski (w mowie pogrzebowej po tym królu), iż w innych krajach o jedne albo dwie opinije wojny wielkie się toczyły, gdzie, powiada, królestwo kwitnące domowemi wojnami wzruszone, zacne domy i kościoły, wielkich ludzi pokoje i łożnice krwią polane, miasta i klasztory poburzone i wolności potraczone, a u nas widział to i on, co zamięszania było w nabożeństwie wówczas, iż od początku świata, w tak krótkim czasie, w dzieściu tylko lat ostatnich panowania Augustowego, w tak małym kącie świata, jak jest nasz kraj, nigdzie podobieństwa niewidzimy tego co tu, żeby w kupie tak wiele różnych nabożeństw, Rzymskich Katolickich, Greckich, Ormiańskich, Żydowskich, Karaimskich i Tatarskich, a nawet pogańskich, jakie są w kraju naszym. Samych heretyckich naówczas było kilkadziesiąt, i dość potężnych, co miały niektóre z nich ludzie uczone i możne po sobie.“

22.

Stosuje się to niechybnie do wyprawy Inflanckiej w r. 1557. Na początku lipca tego roku król ruszył z Wilna ku Inflantom, żeby uwolnić brata ciotecznego Wilhelma arcybiskupa Ryskiego, osadzonego przez mistrza Henryka Gallena w więzieniu, i stanął pod Pozwołem z ogromną siłą, we sto cztery tysiące zbrojnego ludu; lecz za pośrednictwem Ferdynanda króla Rzymskiego i książąt Pomorskich nastąpiła ugoda 14-go września 1557 r., po której mistrz ukląkł i przeprosił króla, a arcybiskup dziękował za swobodę. (Moraczewski, Dzieje Rzeczypospolitej Polskiej, część IV, str. 221.)

23.

Pod imieniem **Beków** pisarz rozumie przedniejszych Tatarów, czyli tak zwanych kniaziów w przywilejach naszych królów i mirzów w statutach. U Tatarów Hordy złotej (Kypczaku), **Beg** wyraz Turecki oznaczał każdego xięcia, to jest wyższego urzędnika wojskowego, i takimi byli **tuman-begi**, naczelnik tumanu (ćmy, 10,000), **ming-begi**, tyśiącznik-beg, **juz-begi** setnik-beg i **un-begi** dziesiątnik-beg; a zatem pod imieniem xięcia ordyńskiego, noszącego tytuł **bega**, należy pojmovać każdego posiadającego wyższe dostojenstwo wojskowe, i u nas kniaziowie Tatarscy musieli być potomkami takich to rodzin Tatarskich, pochodzących z Hordy złotej czyli ordyńskich.

U Turków Otomańskich, Osmanów, **Beg**, pospolicie **Bej**, oznaczał posiadacza nadania lennego i gubernatora obwodu (których oznaką godności był jeden buńczuk), oraz synów paszów, dowódców okrętów i galer, i każdego znakomitszego cudzoziemca.

Mirza wyraz Perski przez skrócenie zamiast **Emirzadè**, urodzony (syn) z emira, albo osoby mającej władzę rozkazywania. Powiedzieliśmy już wyżej, iż wyraz mirza umieszczony po imieniu oznacza w Persyi xięcia z familii panującej, **np.** Chosrew-mirza, jak to niegdyś służyło dla potomków Timura,—położone zaś przed imieniem znaczy prosto pan; lecz w Krymie mirzowie byli niżsi stopniem od kerim-bejów (książąt), członków rady chana, jednak i oni uczestniczyli także w radzie: ztąd mirza, inaczej murza, musiał być to tytuł dodawany do imion rodzin zacnych, pochodzących od Tatarów Krymskich, i równa się prawie bejom Tatarskim, albo naszym kniaziom. Oprócz tego, nasze prawa do przedniejszych Tatarów, czyli do starszyny

Tatarskiej zaliczają też ułanów „Gdyby który Tatarzyn celniejszy, jako to: *kniazowie, murzowie, ułanowie*” i t. d. (w drugim układzie Statutu Litewskiego, — u Czackiego, o Litewskich i Polskich prawach, część 2, str. 131, wyd. Poznań. — w Konstytucyi r. 1775). „Tatarowie, mianowicie zacnego rodu kniazowie, murzowie, *ułanowie* i wszyscy Tatarowie, którzy na ziemskich dobrach mieszkają” i t. d. (Vol. Leg. VIII. str. 650). *Ohlan'* po Turecku a *uhlan'* po-Tatarsku znaczy: chłopię chłopiec, paź, a postawiony po imieniu właściwem Tureckim albo Mongolskim, odpowiada wyrazowi Perskiemu *mirza* i oznacza xiążąt ze krwi chanów. Uhlany (ułany) składali jakby wyższą szlachtę ordyńską, mającą posiadłości ziemskie, to jest ulusy (udziały), należącą do obierania chanów i zajmującą rozmaite wyższe urzędy. Od tego słowa Uhlan poszła nazwa konnicy, ułanow (uhlan, hulan, ułan, hulan). U naszych Tatarów pod imieniem ułanów należy rozumieć potomków uhlanów chańskich, którzy posiadali ulusy (udziały), a którzy następnie tak zdrobnieli, że okolice zostały osiedlone ułanami, jak naszą drobną szlachtą, i nazwa ułanów stała się tam li tylko nazwiskiem rodowym. Z tego wszystkiego wynika następna klasyfikacya naszej starszyny Tatarskiej w nazwach, powtarzających się w naszych prawach: 1-ód *Kniazowie*, są to rodziny xiążąt domu chanów, oraz wyższych urzędników wojskowych ordyńskich, 2-re *Murzowie* potomkowie rodzin szlachealnych pochodzących od Tatarów Krymskich i 3-e *Ułanowie* potomkowie jakby szlachty ordyńskiej, która posiadała swe ulusy.

Prawa nasze wspominają jeszcze *Chorążych i Marszałków* Tatarskich, — i tak w przywileju Zygmunta-Augusta z r. 1568, potwierdzającym prawa i swobody Tatarów, mówi się: „Oznajmujem sim listom naszym..... Kniazem, Uła-

nom, *Chorunżym, Marszałkom* i wsim Tatarom kotoryje osielosti..... majut.” W przywileju Zygmunta III z r. 1609: „poddanyje naszymy, Kniazi, Ułanowie, Murzy, *Chorunżyje, Marszałkowie* i wsi Tatarowie w panstwie naszym osielostju mieszkajuczyje i t. d.,” toż w innych późniejszych (obacz w dokumentach). W Polsce jazda dzieliła się na chorągwie, chorągiew' wojskową piastowali chorążowie; liczba żołnierzy w każdej chorągwi nie była jednostajną ani stałą, lecz się odmieniała według pewnych odrębnych prawideł. W Litwie zaś szlachta niższa, t. j. ziemianie i bojarowie, mniejsze a często bardzo małe posiadłości, już dziedziczne, już nadane mający, we względzie militarnym dzielili się na chorągwie czyli małe powiaty, podobne do dawniejszych powiatów Żmudzkich. Ślad takowego podziału postrzegamy w tranzakcyach szlacheckich z pierwszej połowy XVI wieku, i w uchwałach Wileńskiego sejmiku 1554 r., gdzie jest wzmianka o chorągwach: Ejszyskim, Raduńskim, Wasiliskim, Somkiszyskim i Kurkielskim, a wszystkie trzy Statuty Litewskie wyszczególniają prawa i obowiązki chorążych powiatowych. (Narbutt, Dzieje narodu Litewskiego, t. IX. str. 446 i 447, w notach). W rewizyi dóbr na służbie wojennej Tatarom w. x. Litewskiego nadanych, a za uchwałą Konstytucyi r. 1628 i 1629 przez Jana Kierdeja koniuszego Wileńskiego, pisarza ziemskiego Oszmiańskiego, sporządzonej, i na sejmie Warszawskim r. 1631 podanej, liczy się sześć chorągwi Tatarskich czyli chorągwtw: 1) Ułańskie ściahu Grodzieńskiego i Oszmiańskiego; 2) Juszyńskie ściahu województwa Trockiego; 3) Najmańskie ściahu województwa Wileńskiego; 4) Jałońskie ściahu Nowogródzkiego; 5) Kondrackie ściahu Mereszlańskiego; 6) Baryńskie ściahu Nowogródzkiego. Nad każdą chorągwią, składającą się, jak mówi Kierdej, z familij, które

różnemi czasy z Hordy do w. księstwa Litewskiego przeszły, był oddzielny chorągwy (zobacz w dokumentach). **Ściah**, **стягъ**, wyraz stary Ruski oznaczał chorągiew, u Nestora używa się **ставиць стлѣи**, stawić ściahi, w znaczeniu szykować pólki pod chorągwie t. j. do boju, ztąd **стлѣовый**, ściahowy, należący do ściahu, i **стлѣовникъ**, ściahownik, niosący ściah, chorągiew. Przedtém w Litwie każdą chorągiew nazywano ściahem, w późniejszym czasie kilka ściahów pomieszczono w jednej chorągwi, z powodu zmniejszenia się ludności Tatarskiej. Na chorągwo król dawał przywilej; jeden z takich przywilejów jest Zygmunta III Kasimowi Murzie Barynskiemu chorążemu ściahu Nowogródzkiego, w r. 1623 dany, ważny z tego względu, iż służy za dowód, że nasi Tatarzy chodzili na wojny przeciw Tatarom i Turkom, czyli, jak przywilej mówi, przeciw nieprzyjaciółom Krzyża świętego. (Obacz między dokumentami). Obowiązkiem tych chorążych Tatarskich, było pospolite ruszenie Tatarskie odprowadzać do wojewody lub wprost pod rozkazy hetmana. Jak urząd chorążego był wojenny, tak urząd marszałka był ziemski i właściwy tylko Litwie. Pisma urzędowe już o marszałkach ziemskich pod r. 1499 i 1501 wspominają (Lengnicha Prawo pospolite Królestwa Polskiego, Kraków 1836, str. 332).

Od czasów Zygmunta Augusta na zjazdach (sejmach) Litewskich, zaczęli marszałkowie reprezentować urzędników a później szlachtę, jak chorągwie stan wojskowy i rycerstwo. (Jaroszewicza Obraz Litwy, część 2. str. 58). Tatarzy też Litewscy zdawna mieli swych marszałków nad ściahami. W Metryce Litewskiej znajduje się przywilej króla Alexandra, dany Kiellyjarowi marszałkowi Tatarskiemu r. 1505 kwietnia 7 dnia, na dwie służby ludzi z włości Nowogródzkiej, oraz przywilej króla Zygmunta I-go, dany

r. 1540 maja 15 d. kniaziu Machmetu Ułanu (włanu) Osanczukowiczu na urząd (wrad) marszałkowski (marszałstwa) nad ściahem Ułanów Asanczukowiczów. (Oba te przywileje między dokumentami).

W tejsze Metryce znajdują się list Isupu Dankowiczu Tatarynu na marszałstwo Tatarskoje stiahu Ailairskoho z r. 1546 (N. 31 f. 90). List Asanu Włanu na marszałstwo nad stiahom ułanów Asanczukowiczów z r. 1549 (N. 31. f. 242).

Obowiązkiem zaś marszałków Tatarskich było, jak przywilej Zygmunta I. opiewa, w *Stiahu sia riaditi i sprawowati*.

Między Tatarami, byli jeszcze tak zwani **Kozacy Tatarzy**, używani na dworach królów i wojewodów na posyłki z listami. Mnóstwo jest listów i tranzakcyj w Metryce Litewskiej, odnoszących się do takich Kozaków Tatarów. Np. w księdze 2-jej N. 24 f. 36 jest: „List danyj w Wilnie 1540 leta Julia 4 d. **Tatarom Rudomińskim i Memeżskim** (1) Wilenskoho powietu, wyzwolajuczy ich od posyłania z listy czerez wojewod Wileńskich, odno zostawujeczy wzdłuż dawnoho sposobu przy służbie ziemskiej.” Na tejsze stronie drugi „List Julia 5-ho 1540 leta **Tatarom Kozakom Merezlańskim** trem osobom na zostawienie ich wzdłuż listu sudowoho Carewicza Osiubek Soltana przy czci za prymowkoju niekotorych Tatar.” W księdze 2-jej N. 93. f. 313, 314, 551, 552: 1) List Abrahamowi Alejewiczowi Kieńskiemu **Kozakowi Naszemu**, na dobra po zejściu Tatarzyna Aisa Abramowicza 1619 r. 2) **Kozakowi Króla J. Mości** Szajenowi Achmeczewiczowi ułanowi Tatarzynowi,

(1) *Memeżskim* najniewątплиwiej jest omyłką układacza listu lub tego co go wciągał do Metryki; powinno być: *Niemieżskim*.

pozwalający prawem dochodzić dóbr Tatarskich w powiecie Oszmiańskim, folwarki Sieliszczu 1619 r. 3) **Kozakowi Tatarynowi** Asanowi Abazowiczowi, prawem dochodzić dobra nasze Tatarskie, powinności Tatarskiej podległe w powiecie Grodzieńskim leżące, mianowicie w Dzięmitkowie, dan w Warszawie 15-go grudnia 1625 roku. 4) **Kozakom Tatarom** Szejcowi Siulamanowiczowi i Józefowi Komratowi, prawem dochodzić dobra nasze Tatarskie, powinności Tatarskiej podległe, w województwie Mścisławskiem leżące, a mianowicie służeb trzy nazwanych Horodecia, w Warszawie 15-go grudnia 1625 r.

Nakoniec w przywilejach królewskich wzmiankują się **prości** Tatarzy, to jest nienadani ziemią lub zajmujący się handlem, rzemiosłami i furmaństwem (1). Tatarzy bowiem dzieli się na stan szlachecki i prosty. Szlachtę składali kniaziowie, murzowie, ułanowie i posiadający majątności ziemskie, które w naszych prawach zowią się Tatarczyznami lub Tatarowszczyznami. Tatarska szlachta była równa innej szlachcie Litewskiej, była obowiązana z posiadanej ziemi służyć osobiście bez żoldu na wyprawach wojennych, i za to dostępowała uczestnictwa i wspólności praw szlachty w końcu 18-go wieku zupełnie prawie równych; nawet byli i dzisiaj są od szlachty wybierani na urzędy ziemskie (2). Prości Tatarzy, jeżeli za żold w półkach krajowych niesłużyli, zostawali pod zwierzchnic-

(1) W liście Tatarów powiatu Trockiego 1541 r. oktobra 14 dnia danym, mówi się, iż niemają ich, t. j. Tatarów powiatu Trockiego, wojewodowie Trockie i ich namiestniki na swe potrzeby.... albo dla imania jakich złoczyńców posyłałi *okrom inszych prostych Tatar na to ustanowionych*.

(2) W *Starożytnościach Polskich*, w artykule: Tatarzy Litewscy, błędnie mówi się, iż niebyli wybierani na urzędy.

twem swęj starszizny używając tylko praw gminu wolnego, pospolitego. Służących zaś Tatarów w półkach lekkiej jazdy nie z obowiązku posiadanej ziemi, lecz z własnej ochoty za żold, uwalniano od poglównego i od innych ciężarów, od których szlachta była wolną, i przyznawano im godność rodu i sposobność zasługi jak i szlachcie krajowej; a przeto i nadawano takim Tatarom zasłużonym, chociaż nieosiadłym, chorążowstwa dożywotnio. Prawa nasze w tym przedmiocie są wskazane w rozprawce Bandtkiego.

24.

Po zawojowaniu państwa Bizantyjskiego przez Turków, we wszystkich jego krajach urządzone zostały **leny** w dwojakim celu, żeby zaradzić obronie państwa i żeby nagrodzić zasługi wojenne. **Sipahi** (kawalerzysta), obdarzony podobnemi ziemiami, pobierał intratę poborów nałożonych na ziemię jego lenu, uprawiane przez Musulmanów albo Chrześcijań, nad którymi też miał władzę pana feodalnego; lecz do tamtych należała własność.

Takie ziemie dzieliły się na trzy klasy według ich obszaru, to jest na **timar**, **ziamety** i **bejliki**. Posiadacze timarów zostawali pod rozkazami **zaimów** (posiadaczy zijmetów), a ci pod rozkazami bejów; każdego zaś posiadacza któregośkolwiek bądź rodzaju z tych lenów, było powinnością iść osobiście na wojnę i dać jeźdźca jednego z 3000 asprów, czyli 25 piastrów, rocznego dochodu. Takie urządzenie trwało do czasów Mahmuda, ojca dziś panującego sultana. (Ubcini, Lettres sur la Turquie 2-e wyd. Paryż 1853 r., str. 266.)

Witowt z wyprawy na Tatarów za Don przedsięwziętej w r. 1397, mnóstwo Tatarów sprowadziwszy do Li-

twy, ponadawał im ziemie, w różnych stronach swego państwa nad Wiliją, Waką, Łosośną, w Trockim, Lidzkiem, Oszmiańskim, Nowogródzkim, Brzeskiem i w kraju Zapuszczańskim, zapewnił dla nich opiekę rządu i prawa, uwalniając przytém od wszelkich ciężarów, z obowiązkiem tylko stawie się do służby wojennej na rozkazy wielkiego księcia, i dla podobieństwa w tym względzie urzędzenia z Tureckimi, nasz pisarz te ziemie nazywa timarami. I za następnych panowań nadawano im ziemie i opiekę, uniją zaś wszelkie dawniejsze nadania zostały potwierdzone i dobra posiadane przez Tatarów zostały im na wieczystość przyznane, z tym zawsze warunkiem, iż powinni byli służyć w potrzebie każdej. (Jaroszewicza Obraz Litwy, Wilno 1844, część 2, str. 81.)

25.

Od poborów była uwolniona szlachta osiadła, a za-tém i ci Tatarzy, którzy byli w przywilejach zrównani ze szlachtą. Wszyscy inni mieszkańcy, oprócz szlachty i duchowieństwa Katolickiego, wszelkiego stanu, składali pobory uchwalone na sejmie. W uniwersale poborowym każdy znalazł dla siebie miejsce. Łanowe, które płacili kmiecie, pogłówne Żydowskie i Tatarskie, szos czyli podatek miejski od domów, podatek od młynów, hut i innych procederów, czopowe czyli oplata od każdej beczki piwa i baryły droższego trunku, podatek od palenia i szynkowania gorzałki i t. p. zlewały się w jedno ogólne nazwisko poboru. Tatarzy więc nieposiadający dóbr, albo przez rozrodzenie lub pozbycie się posiadania ich pozbawieni, a furmanką, handlem i rzemiosłami bawiący się, jeśli niesłużyli na żołdzie w wojsku, do czego zawsze byli ochoczymi, opłacali zarówno z Żydami, za siebie, żony i dzieci, po-

główne, zwane *pogłówném Tatarskiém*. Starszyzna, to jest chorążowie i ulanowie, zebrawszy od nich ten podatek osobisty, wnosili go do skarbu pod przysięgą, iż nie-utaili spółbraci nieosiadłych.

W rewizyi Tatarów przez Kierdeję dokonanej, zostali zaciągnięci oprócz tych, którym dobra w w. x. Litewskim, za posługi rzeczypospolitej wojenne, nadane były, wszyscy Tatarzy, którzy handlem, furmaństwem albo rzemiosłami się bawili, i płaceni pogłównego ulegali. Lecz znalazło się, jak mówi Kierdej, że już „było mało takowych, co swe obejścia mają i handlami się bawią, ale wszyscy na małych szplachciach, w jednym domie kilku ich mieszkając, synów niemało dorosłych mając, gdy im na wojnę jechać każą, jedni z powinności a drudzy za pieniądze zaciągawszy się służą. Ci zaś co doma zostają, niemając innych zabaw, handlami i rzemiosłem, a drudzy furmaństwem się bawią.” I dzisiaj, główny przedmiot zajęcia się Tatarów osiadłych po naszych miastach stanowią: wzorowa uprawa ogrodów warzywnych, hodowanie koni, furmanka i garbowanie skór. W Pińsku, Tatarzy zamieszkali od czasów Witowta, trudnili się wyprawą skór, które słynęły aż do końca wieku XVIII na całą Polskę i Litwę. (Połujńskiego Opisanie lasów Królestwa Polskiego i gubernij zachodnich, Warsz. 1854. T. 2, str. 257). Wyprawą safijanów w Rosyi zajmują się i dziś Tatarzy; sama nazwa *safijanu* przeszła przez nich z języków Perskiego i Tureckiego, gdzie się nazywa *sachtijan*, tak jak w Hiszpanii i Francyi przeszła z Maroku, i dla tego zowie się marrochino, marroquin.

26.

W wielu miastach osady Tatarskie nosiły nazwę *ulic Tatarskich*. Tak w Wilnie i dziś jest ulica Tatarska i bra-

ma od téj ulicy nazywała się Tatarską, toż samo w Trokach, Augustowie i w innych miastach (Wilno Kraszewskiego T. 3, str. 158). W Ostrogu na Wołyniu, ulica Tatarska jest jednem z przedmieść tego miasta, gdzie jeńcy Tatarscy, po porażce im zadanej przez Konstantyna księcia Ostrońskiego w r. 1508, otrzymali wolność mieszkania. W Mińsku Litewskim Tatarzy osiedli od r. 1508, to jest po zwycięstwie otrzymanem nad Tatarami przez Michała księcia Glińskiego pod Klekiem, i to przedmieście gdzie oni mieszkają wyłącznie nazywa się **Końcem Tatarskim**; liczy się ich około 400 dusz, a na prośbę starszyny Solimana w r. 1617 został tamże wybudowany meczet. (Szipilewskiego, *Путешествіе по Полесью и Бѣлорусскому краю. Современникъ, Ноябрь, 1854*).

27.

Ludność Tatarska w naszym kraju stopniowo się zmniejszała, już to skutkiem wojen, już to emigracyi do państwa Tureckiego. W xiążeczce: **Alfurkan Tatarski**, za Zygmunta III. wydanej, w r. 1616, liczba Tatarów prawdopodobnie oznacza się około 100,000 głów, a do potrzeby godnych 10,000. Dawniej więcej ich być musiało. Narbutt pisze, że kilkunasto-tysięczne wojsko było w samej Litwie z Tatarów, Litewskich obywateli, za Kazimierza Jagiellończyka i blizkich po nim następców. (Dodatek 2-gi, Wzmianka o Tatarach w T. VIII). Lecz w następnych latach ludność ich bardziej się umniejszała. W przytoezonej rewizyi z r. 1631 dóbr Tatarom w x. Litewskiego na służbie wojennej zostającym nadanych, naliczono w sześciu chorągwach domów osiadłych na gruntach 790, to jest: 1-ód w chorągwie Ulańskim 179 domów; 2-re w chorągwie Juszyńskim 244; 3-e w chor. Najmańskim 126; 4-e w chor. Jałoirskim 78; 5-e w chor. Kondrackim 81; 6-e w chor. Baryńskim 82.

Gdyby na dom liczyć 10 osób pleci męskiej, ogół ludności osiadłej na gruntach i z gospodarstwa żyjącej, nieprzewyższałby 8 tysięcy głów męzkich. „Z której rewizyi (słowa są samego Kierdeja) pokazało się także, iż chorągowie Tatarscy, tak bardzo małą liczbę pocztów wszystkich Tatar mieli, że ledwo pod wszystkimi chorągwami ich, gdy kazało, na posługę zebrać się mogło koni 120: czego przyczyną było, iż wielu mało mając gruntów, sami zniszczeni i rozeszli się, a inni albo sprzedali swą ziemię innym sąsiadom, albo też darmo je porzucili, i dla tego służba rzeczypospolitej ginęła.” Przy téj rewizyi dóbr Tatarskich, zalecono także było Kierdejowi zrobić rewizyę wszystkich Tatarów, którzy nieposiadając dóbr, furmaństwem, rzemiosłami i handlem się bawili, a ztąd opłacie pogłównego ulegali. Takich znalazł on niewielką liczbę, i to mało takowych, jak sam mówi, co swoje obejścia mają i handlami się bawia, mianowicie pod Wilnem w Łukiszkach, na Memeży (Niemieży), w Rudominie, Sorok-tatarach, Kolnotarach, Kozokłarach i na Wace; ale wszyscy na małych szplachciach, w jednym domie kilka ich mieszkając i synów dorosłych nie mało mając, gdy im na wojnę jechać każą, jedni z powinności, a drudzy za pieniądze zaciągawszy się służą. Ci zaś co doma zostają, niemając inszych zabaw, handlami i rzemiosłem a drudzy się furmaństwem bawia. Jeżeli liczyć tych ostatnich 5,000, to koło połowy XVII wieku, cała ludność Tatarska u nas nieprzewyższała od 20,000 do 25,000 głów męzkich. S. Plater w Geografii wschodniej części Europy, wydanej w r. 1825 we Wrocławiu, liczy w naszych już czasach Tatarów, zamieszkających w gubernijach: Wileńskiej, Grodzieńskiej i Mińskiej, w **zbliżonym do prawdy rachunku** 50,000, i w Królestwie Polskim około 1,000 (str. 135 i 195); lecz wyraźnie jest to cyfra przesadzona.

LUDNOŚĆ TERAŹNIEJSZA TATARÓW.

I. W CESARSTWIE.

1. *W gubernii Wileńskiej.* Podług tablicy komitetu statystycznego gubernii Wileńskiej, umieszczonej w Памятной Книжке Виленской губернии на 1853 годъ, było w r. 1851: Tatarów wolnych (несостоящихъ въ окладѣ) 1,299 pici męzkiej, 1,031 żeńskiej, razem 2,330; takąż cyfra w dziele Połujańskiego, „Opisanie lasów” i oprócz tego Tatarów należących do zarządu pocztowego (состоящихъ въ почтовомъ ведомствѣ) 62 męzkiej pici, 30 żeńskiej, razem 92. Z tych w samém Wilnie wolnych 237 męzczyzn, 46 kobiet, razem 283, i należących do zarządu pocztowego 33 męz. 17 kobiet, razem 50 dusz. Podług tablicy statystycznych, ułożonych w statystycznym wydziale rady Minist. spraw wewnętrznych (Статистическія таблицы составленныя въ Статистическомъ отдѣленіи министр. внутр. дѣл.) w r. 1849 liczyło się w tejże gubernii Tatarów 2,170 obojój pici. Nakoniec podług tablicy etnograficznej państwa Rossyjskiego, wydanej w r. 1853 przez akademika Keppena, w gubernii Wileńskiej w r. 1853 było Tatarów jeszcze mniej, bo tylko 1,874 dusz obojój pici.

2. *W gubernii Kowieńskiej.* Podług tablicy Minister. spraw wewnętrznych 265 dusz, a podług tablicy Keppena 415. Połujański w dziele: „Opisanie lasów Królestwa Polskiego i gubernij zachodnich cesarstwa Rossyjskiego pod względem historycznym, statystycznym i gospodarczym Warszawa 1854,” rachuje do 400 głów (str. 122 T. 2-gi).

3. *W gubernii Grodzieńskiej.* Podług tablicy statystycznej Minister. spraw wewnętrznych było dusz 694, a podług tablicy Keppena 849.

4. *W gubernii Mińskiej.* Podług tablicy Minister. spraw wewnętrznych 2,114, a podług tablicy Keppena 2,120, Po-

łujański zaś liczy tylko 1,500 głów (str. 211. T. 2), z tych w samym Mińsku 400 dusz jak pisze Szpilewski w Путешествіи по Полесью и Бѣлорусскому краю, в Современникѣ, Ноябрь 1854 г).

5. *W gubernii Wołyńskiej.* Podług tablicy Minister. spraw wewnętrznych 200 dusz, a Keppena zaś nie niepokazano. Połujański (w przypisku na str. 78 tomu 3-go) pisze, że Tatarzy w tej gubernii mieszkają w Żytomierzu, Ostrogu i w powiecie Owruckim nad Uszą. Większa ich część jest teraz wyznania Chrześcijańskiego.

6. *W gubernii Podolskiej.* Podług tablicy Minister. spraw wewnętrznych 42 dusz, podług Keppena 46, Połujański nie dając cyfry mówi, iż Tatarzy są w Kamieńcu (str. 118, t. 3-go).

Ogólna ludność Tatarska w tych sześciu guberniach podług Ministerstwa spraw wewnętrznych 5,485 dusz, a dodawszy przewyżkę Tatarów gubernii Wileńskiej, pokazaną w tablicy komitetu statyst. Wileńskiego to jest 252 dusz, byłoby ogółem 5,737, podług Keppena zaś 5,304; lecz spis urzędowy Departamentu obcych wyznań z r. 1854 daleko mniejszą cyfrę pokazuje, liczy Tatarów w guberniach zachodnich tylko 3,525 dusz, meczetów 21, mollahów 7. Szkół osobnych niemają w tych guberniach.

II. W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

1. *W Gubernii Augustowskiej.* W r. 1843 było osób pici męzkiej 82, żeńskiej 87, razem 169 (Kuryer Warszawski r. 1845 N. 305, i w Kalendarzu powszechnym na r. 1856 Adr. Krzyżanowskiego o Machometanśkich Polakach słowo str. 19). W r. 1851 według urzędowych wiadomości gubernatora liczyło się 76 męzczyzn, 77 kobiet, razem 153. Połujański liczy w r. 1852, 155 dusz (str. 334 T. 1).

2. *W Gubernii Lubelskiej.* W r. 1843 w b. gubernii Podlaskiej, było pici męzkiej 53, żeńskiej 71, razem 124

(Adr. Krzyżan. słowo o Machometzańskich Polakach). W r. 1852 podług tablicy Połujańskiego liczyło się 62 płeć męską, 79 żeńską, razem 141 głów (378 str).

Ogólna zatem ludność Tatarska w Królestwie dochodzi 300 głów. Meczetów mają w dobrym stanie dwa: w Winksznupiach w pow. Kalwaryjskim, i w Studziance w pow. Białskim. W poprzednich latach, pisze Krzyżanowski, między swymi mieszkańcami obejmowały Tatarów gubernije: Połocka, Mazowiecka i Sandomierska, tak, iż ich ludność przenosiła znacznie dzisiejszą liczbę trzysta. Okrasą, przedstawicielem i patriarchą od r. 1780 ludności Tatarskiej w Polsce był Jakób Buczacki, którego załączył krótką biografiję.

Z dokumentów znajdujących się w Metryce Litewskiej i z rewizyi dóbr Kierdeja widać, że Tatarzy mieli osady także na Białej-Rusi,—i tak: w x. 2. N. 93 f. 552, jest przywilej dany w Warszawie 15 grudnia 1625 r. kozakom Tatarom Szejcowi Siulamanowiczowi i Józefowi Komratorowi, prawem dochodzić dóbr Tatarskich, powinności Tatarskiej podległych, w Województwie Mściwowskiem leżących, a mianowicie służeb trzech nazwanych Horodecia (zapewna Horodnia). W rewizyi zaś Kierdeja w chorążtwie Kondraczkiem ściahu Mereszlańskiego, należącemu do chorążego Jachija Zawackiego, pokazano w powiecie Orszańskim w Kryczynie (zapewnie Kryczewie) 3 domy, i w chorążtwie Baryńskim ściahu Nowogródzkiego, należącemu do chorążego Szachmancera Rudnickiego, w województwie Mściwowskiem pokazano:

Sutki	7 domów
Dziedkowicze	4 —
Horodnia Komorowiec	16 —
Wież-Stara	1 —

razem 28 domów

Są tamże i po-dziś-dzień miejscowości, które o tém świadczą: po ukończeniu wojny ze Szwedami, Gąsiewski darował zapisem dla Jezuitów Dynaburskich wieś *Aul* albo Mojżę, dziś Awliję, w 1631 r. Wieś *Aul*, wyraz Tatarski, znaczy obóz ludu koczującego, koczowisko w ogóle,—tak nazwana od osiedlonych w niej jeńców Tatarskich. (Копиловича Историческія свѣдѣнія о примѣчательнѣйшихъ мѣстахъ въ Бѣлоруссіи. Спет. 1855. str. 57). Lecz byli to niechybnie tacy Tatarzy, którzy posiadając szczupłe grunta, ztamtąd w późniejszym czasie wyszli i przyjęli osiadłości w dobrach panów, jak się wyraża Kierdej, „pod ichmściami pany senatorami.“

28.

Pisarz nasz rozumuje na sposób Turecki: albowiem w Turcyi, osobliwie w początkach państwa, zmuszano branców Chrześcijańskich przyjmować Islam,—z tego sądzi, że taki zwyczaj musiał być wszędzie. Tym sposobem za sultana Urchana utworzyło się straszne niegdyś wojsko Jeniczery, dosłownie nowe wojsko, Janczarowie. Pierwotkowo zmuszano corocznie tysiąc Chrześcijan, w wieku młodocianym pojmanych w niewolę, zmienić wiarę, i zaciągano ich do wojska janczarskiego. Kiedy zaś liczba jeńców nie była dostateczną, uzupełniano zaciąg do wojska w czasie pokoju, poddanymi z Chrześcijan, biorąc ich bez żadnej różnicy,—i ten zwyczaj utrzymał się do panowania Muhammeda IVgo, to jest do połowy 17go wieku. Hammer w swęj historyi, liczy najmniej 500,000 Chrześcijan nawróconych mieczem na wiarę Islamu i poświęconych na ofiarę wojny. U nas, jak wiadomo, Tatarzy zawsze używali swobody wyznawać swą wiarę, i niebyli zmuszani do jej zmiany, nawet czasu prześladowania różnowierców, li tylko

ograniczano ich prawa cywilne. Nadto sami oni utrzymywali zawsze, że przyszedli do nas dobrowolnie, i że zatem nie pochodzą od jeńców wojennych. Kiedy Kierdej robił rewizję dóbr Tatarskich, „w tę rewizję, słowa są jego, wszystkie chorągwie Tatarskie jako z Ordy swemi familijami przysze, wpisał; te zaś familije ich nie wszystkie razem, ale różnemi czasy za przodków króla imści, z Ordy do w. x. Litewskiego były przyprowadzone, jednak każda familija z swoją kompaniją przyszła, którym królowie po różnych miejscach w w. x. Litewskiem opatrzenie dawać raczyli.“

29.

Niemusiało to być poselstwo, ale zapewne przyjeżdżał jakiś czausz, urzędnik Porty, z listem sultana do króla: gdyż około tych czasów, to jest między 1550 a 1557 rokiem, ważne się prowadziły układy między Polską i Portą o przekroczenie zagonów Tatarskich na Polskę; Turcyja zaś domagała się niejednokrotnie ukarania Dymitra Wiśniowieckiego, owego pogromcy Tatarskich kosztów, i groziła w razie przeciwnym napadem chana Tatarskiego na kraje Polskie. W archiwum Puławskiem znajdowały się z téj epoki dwa listy sultana Sulejmana, jeden pisany z Konstantynopola w r. 1556 względem rabunku Białogrodu, gdzie sultan domaga się także skarcenia Wiśniowieckiego, drugi pisany z Adryanopola w r. 1557, z nowemi skargami na Wiśniowieckiego i groźbą naślania Tatarów. (Hammer Hist. de l'Emp. Ott. trad. par Hellert T. VI, nota 17, str. 472). Żadne też mocarstwo Europy niewyprowadziło wtedy tak często posłów co Polska do Turcyi.

30.

Od samego początku osiedlenia Tatarów w Litwie,

było przez Wielkich xiażąt zatwierdzone używanie praw religijnych podług Kur'anu, księgi świętej dla Moślimów (Czacki o Tatarach § 3). Rządzili się tém samém prawem i w sprawach cywilnych, ale tylko między sobą. Lecz w sprawach z Litwinami, Polakami i w ogóle z inowiercami, musieli sędzić się u starostów, dla których ustawa świeżo była wydana, bo w r. 1557 1-go kwietnia, i tych starostów zdaje się nasz pisarz rozumie pod nazwą kady, (sędziego), a to tak, jak sądziła się i nasza szlachta, albowiem, jak wyżej namieniliśmy wszystkich Tatarów, ziemią nadanych, równało nasze prawodawstwo ze szlachtą w stosunkach społecznego i domowego pożycia, uznało posiadłości im nadane za dziedziczne, i dozwalało Tatarom nabywać i posiadać dobra ziemskie, których dzierżenie stało się od r. 1496 prawem wyłączném samej szlachty. Tatarzy zaś nieposiadający dóbr, używali praw włościan naszego narodu.

31.

Każdy Muslim, podług swego zakonu może pojąć dwie trzy i cztery żony, razem albo oddzielnie, w każdym czasie i w każdym miejscu,—więcej nad cztery zabrania się; lecz bardzo rzadko w krajach nawet Musulmańskich zdarza się, iżby ktoś miał więcej nad jedną żonę, zwłaszcza w klasie niezamożnej. Takż religija Musulmańska pozwala im żenić się z Żydówkami i Chrześcijkami, a to dla tego, że ich wiara zasadza się na Starém i Nowém przymierzu, to jest na dwóch księgach zarówno szanowanych przez Islam; ale niewolno mieć żon i nałożnic religii bałwochwalczej. Małżeństwo atoli między Mahometanką i Chrześcjaninem lub Żydem jest zakazane, i jeśli by było, uważa się za nieważne; dzieci zaś splodzone z takiego występnego związku powinny być religii Musulmańskiej, według nie-

wzruszonej zasady, która przysądza dzieci tej osobie z małżonków, która wyznaje lepszą religiję. Z tej przyczyny w państwie Tureckim dzieje się to samo i z potomstwem zrodzonym z małżeństwa mieszanego, to jest: kiedy jedna osoba z małżonków jest *kitabî*, wyznawca Pisma świętego, to jest: Izraelita czy Chrześcijanin, a druga wiary bałwochwalczej—dzieci należą do *kitabî*, a to dla wyższości ludów, uznających świętość pięciu ksiąg Mojżeszowych i Ewangelii nad poganami. Kiedy Chrześcijanin lub Żyd przyjmuje Islam, zawsze małżeństwo uważa się za ważne, ponieważ Mahometaninowi wolno mieć żonę Chrześcijankę lub Żydówkę, a kiedy żona przyjmuje Islam, wtedy małżeństwo uważa się za rozwiązane, jeśli mąż nie chce także zostać Musłimem. Ale w ogólności małżeństwa Mahometan z Chrześcijankami są bardzo rzadkie, wyjąwszy te kraje, w których Chrześcijanie składają większą część ludności, jako to: na wyspach Archipelagu, w Kandyi i Cyprze. Żona w takim razie może zawsze pozostać w swjej religii, jeśli nieżyczy przejść na Musulmańską, i mąż nie ma bynajmniej prawa zmuszać ją do takiej zmiany; lecz dzieci obojg płci wychowują się w wierze Mahometaniskiej. Rzadziej bywa żeby Turek poślubił Żydówkę, chociaż prawo niezabrania takiego związku, i sam nawet Muhammed dał tego przykład, kiedy wziął za żonę Izraelitkę Sofiję córkę Haj.

Nasi Tatarzy, już dobrowolnie przesiedleni, już na wojnie dostawszy się w niewolę osadzeni przez w. książąt na ziemiach, niemając z sobą kobiet swego narodu, mieli zdawna, podobno od czasów Witowta, jak głosi podanie dotąd między Tatarami naszymi trwające, pozwolenie zeńnić się z Litewkami, pod warunkiem aby jedną li tylko żonę miał każdy, i z tej przyczyny zachował się zawsze

u naszych Tatarów zwyczaj jednożeństwa (Narbutta Dzieje narodu Lit. T. VIII str. 246, i Jaroszewicza Obraz Litwy część 2 przyp. 59 wyd. 1844 r.). Ścieśnienia w tym względzie nastąpiły już w późniejszych czasach, a mianowicie na początku panowania Zygmunta III, w trzecim układzie Statutu Litewskiego, ogłoszonym w r. 1588, czyli w dzieście lat po napisaniu tej relacji: zabroniono w tedy zostało Tatarom jak i Żydom, zakupować Chrześcijan w niewolę, jak równie namawiać na zmianę wiary, albo obrzezywać pojmańców lub zakupniów Chrześcijan, z czego wnosić należy, że niewolno było także mieć żon Chrześcijanek, tém bardziej że musieli Tatarzy, w początkach swego osiedlenia się w nowej ojczyźnie, obyczajem wschodnim, utrzymywać nałożnice, i na ten cel zakupowali dla siebie Chrześcijanki w niewolę wieczną. Statut Litewski rozdz. XII w. 9. Konstytucya zaś z roku 1616, wyraźnie zabrania Tatarom pojmovać żon Chrześcijanek pod karą śmierci dla obojga, a to w tych słowach: „a iż się znajdują niektórzy między Tatary, którzy przeciw prawu Bożemu, wążą się żony Chrześcijanki pojmovać, **owych w Bisurmańską wiarę pociągając**, i białogłowy Chrześcijańskie w mamki do dziatek swych biorą, i czeladź najemną w dni niedzielne i w święta do wszelakich robot pędzą: warujemy tą konstytucyą, aby od tego czasu żaden się Tatarzyn nieważyl Chrześcijan obojg płci, białychgłów za mamki, a mężczyzn pogotowiu za żony Chrześcijanek brać, i jakimkolwiek pretextem chować. Czego gdyby się kto z Tatar poważyl, a Chrześcijankę za żonę pojął: tedy oboje za takowy exces gardłem karani być mają; o co forum ad cuiusvis instantiam ma przed urzędem grodzkim, i od tego urzędu ma się dziać inkwizycya, aby się takie niedziały enormia.” Vol. Leg. III, str. 309—310, także Konstytucya z r.

1678 za Jana III stanowi: iż Tatarom jak Żydom i innym niewiernym niegodzi się czeladzi i białychgłów Chrześcijańskich chować (oprócz słodowników, browarników i furmanów), pod karą dwóchset grzywien na każdego Żyda i Tatarzyna temu prawu przeciwnego, a na Chrześcijanina albo Chrześcijkankę dwanaście niedziel siedzenia w zamkach każdego województwa lub powiatu. (Vol. Leg. V str. 585).

32.

Tatarzy wojskowo służący i przypuszczeni do towarzystwa broni z rycerstwem Polskiem i Litewskiem, używali tych samych praw co szlachta, i należeli tém samém do stanu szlacheckiego, biorącego nazwę stanu rycerskiego. Że zaś każdy szlachcic prócz imienia, prócz przypadkowych przydomków, przybierał sobie nazwisko i w rodzinie swój ustalał, za tym przykładem musieli pójść i nasi Tatarzy. A że w rodzinach Litewskich niebyło ustalonego nazwiska, były ogólne dla kilku rodzin, były osobne dla każdej, były patronymiki czyli nazwiska pochodzące od przodka, były też i nowe nazwiska na sposób szlachty Polskiej, toż samo i u Tatarów spostrzegamy. W rewizyi dóbr na służbie wojennej Tatarom w x. Litewskiego nadanych, znajdujemy już wiele nazwisk rodzin Tatarskich, bez wątpienia od żon przybranych, jako to: Baranowscy, Bohuszewiczowie, Jurkiewiczowie, Iwaszkiewiczowie, Sobolewscy, Szczęsnowiczowie, Zawaccy, Żukowiczowie i t. d. Lecz nierównie więcej u nich nazwisk z zakończeniem na *icz* od imienia ojców przodków bliższych i dawniejszych, np. Adbulicz ad Abd-alla, Alejewicz od Ali, Abrahamowicz od Abrahama, Dziafrowicz od Dżafara, Isupowicz od Jusufa, Mustaficz od Mustafy, Ochmecewicz od Achmeta, Salomonowicz od Salomona i t. p. U Arabów na podobny sposób dodaje się *ben* (syn), do imienia ojca, np. ben Achmad (Achmedowicz), ben Mustafa (Mu-

stafowicz), ben Mohammed (Mohammedowicz), ben Jusuf (Jusufowicz) i t. d. Są także nazwiska u naszych Tatarów od przedmiotów: Bazarowski od bazaru, *bazar* po-Turecku targ, Buczacki ad *budżak* lub *buczak*, kąt, węgiel, z kąd i Bessarabija zowie się budżakiem, i inne. Nakoniec niemało jest nazwisk, które pozostały z przezwisk Tatarskich np. Tachtarzyn, Ozymbaj, Kioldyjar, Mysak, Mielikbaszyn i inne, a które po większej części już w ostatnich czasach zatarły się i zamieniły się na nazwiska ojczyste.

33.

W rzeczy samej mogło to być, że w Litwie niektóre herby i nazwiska przeszły od Tatarów, osobliwie herby u naszych heraldyków uważane za Ruskie, a które na Rusi od Tatarów powstały, i tych jest wiele. Sama bowiem ich nazwa Turecka zdaje się naprowadzać na ten prawdopodobny domysł. Do takich właśnie możeby dały się zaliczyć następujące:

1. *Aksak*, herb i rodzina na Litwie, po-Turecku znaczy kulawy, chromy; znany u nas Tamerlan, po Turecku zowie się Aksak Timur a po-Persku przetłómaczony Tymurleng (*leng* w Perskim kulawy), z kąd w Europie zrobili go Tamerlanem.

2. *Bajbuza*, herb i rodzina, wyraz Turecki złożony z dwóch: *baj*, dostatni, bogaty, i *buz* albo *buzan* (w Ostańskim buzahu) ciele; w dziejach Tatarskich Ab-ul-gazy wzmiankuje się *Baj Timur*, w poczcie zaś sultanów usbeków *Churezm* znajduje się *Buzaka Chan*, po-Tatarsku *Buza chan*, brat Sofjan-chana.

3. *Bair* nazwisko familii u Małachowskiego—po-Turecku znaczy wzgórze, z którego nasz wyraz *bajor* w znaczeniu wzgórza błotnistej, kaluży.

4. **Balaban** nazwa herbu i rodziny; po-Turecku gatunek wielkiego krogulca, a w przenośnym znaczeniu **balwan**, głupiec, złąd i pochodzi nasz wyraz **balwan**. W historii Tureckiej mamy kilku dowódców na imię **Balaban**, i tak: nosił je sultan Osman, który zbudował twierdzę pod Bruszą na brzegu rzeki Nilufur, zwaną po-dziś-dzień tego nazwisko **Batabandżyk**; drugi **Balaban-pasza**, rządcą Tukatu za panowania Murada 2go, trzeci **Balaban-Badera**, dowódca Muhammeda 2go, który się odznaczył w oblężeniu Konstantynopola, i w potyczce ze Skanderbegem, rodem z Albanii, i inni.

5. **Boduta** herb, w Tureckim **budata** prostak, właściwie asceta Musulmański, **sufi**.

6. Borsuk, familija Litewska; w Tureckim **borsuk** ma także znaczenie naszego wyrazu, i zapewne przyjęty z naszego języka.

7. **Buthak** familija, w Tatarskim **bulgak**, **buthak** będący, imiesłów od słowa **bulmak** być, w Tureckim **otmak**. Narbutt w T. IX na str. 199, opowiada o xięciu Tatarskim, znakomitym najezdniku imieniem **Buthak**, który w r. 1535, połączywszy się z Eustachym Daszkiewiczem starostą Czerkaskim, służył królowi przeciw nieprzyjawnym ziomkom swoim Tatarom Krymskim, i odbył z dowódcą Kozaków wielką wyprawę do Siewierza, złąd powrócili z wielkimi łupami; nakoniec przyjął wiarę Chrześcijańską i był głową familii Litewskiej.

8. **Denis** herb i rodzina, w Tureckim **Denyz** morze.

9. **Dzyrytt** nazwa familii u Małachowskiego—po-Turecku **dzyryd** krótki pocisk, i igrzysko ulubione na wschodzie, złąd pochodzi i nasz **dzirytt dziryda**.

10. **Turs**, **Tursowicz** familija—w Arabskim **faras**, koń, **furs** Pers. W spisie Tatarów Kierdeja napotykamy imio-

na i nazwiska: Furs-Juchnowicz, Furs-Fursowicz, Abraham-Fursowicz i t. d.

11. **Hutor**, **Hutorowicz**, herb i rodzina. **Hutor** to co **Futor** i w języku Rossyjskim **xymops**, z Arabskiego **kutr** okolica, obszar, obręb gruntu, roli.

12. **Kara** herb z Grecyi przybył do Polski, inaczej zwany Aksakiem. **Kara** po-Turecku znaczy **czarny**, bardzo pospolity przydomek na Wschodzie: jeden z dawnych chanów Mongolskich nazywa się **Kara-chan**, syn Mogolchana. Tenże wyraz wchodzi do składu wielu słów np. **Kara-denyz** morze Czarne; **Kara-chysar** zamek czarny, miasto w Azji małej, gdzie się wyrabia opium w wielkiej ilości; **Kara-gioz** czarne oko, główna osoba, bufon, w farsach Tureckich; **Kara-dah** Czarna góra, Czarnogóraze, Montenegro; **Kara-su** czarna rzeka (woda), miasto w Krymie i t. p.

13. Może i nazwa naszego herbu **Karega** **Karega** podobnie złożona z dwóch wyrazów Tureckich: **Kara** czarny i **Aga** pan, również pospolity przydomek w krajach Tureckich.

14. **Kierdeja**, **Kierdej** herb i rodzina; w rewizyi znajduje się Tatarzyn Kierdej we wsi Kumielanach województwa Wileńskiego: jest to przydomek Tatarski. Góra w Tataryi, na północo-wschód od morza Kaspijskiego zwała się **Kiertaj**, albo **Kertah**, (**dah**, **tah**, **taj** w Tureckim góra), teraz nazywa się **Kyczyk taj**, mała góra, ciągnie się ona na wschód ku Bucharyi. O tej górze pisze historyk Dżagatajski Ab-ul-gazy-Bahadyr-chan, że następca Mogulchana, założyciela potężnego państwa, syn jego Kara-chan, latem koczował w okolicach gór Kerdaj i Artaj. Być może, że Kierdej skrócony z **Kieldyjar**: król Alexander listem danym w Wilnie 1505 r. kwietnia 7 dnia (N. 6 f.

50 w Metryce Litewskiej) marszałkowi Tatarskiemu Kiełdyjarowi Kurczewiczowi nadaje dwóch ludzi z ziemią z Nowogrodzkiej włości.

15. *Kıldysz* u Małachowskiego w Tatarskim *gıldysz*, *kıldysz*, *przybylec* od słowa *gilmak* przybyć—familija Tatarska.

16. *Kirkor* herb i rodzina—w Tureckim *Kyrkar* licza podzielna od czterdziestu, po czterdzieści, także *kyrker*, dosłownie znaczy czterdziestu mężów, zamek blisko Bakte Seraju w Krymie, dokąd Mengli Girej raniony od Nogajów schronił się, z tego zamku pisał on list do Zygmunta I, w aktach Ruskich zowie się *Киркоръ*. Obacz przypisek 12.

17. *Kotodyn*, *Kotodyniski*, herb i rodzina: *Kyldy*, *Kyldyn* nazywał się jeden z chanów złotej Hordy.

18. *Korsak*, herb i rodzina—w Tatarskim *Korsak* mały lis w stepach średniej Azji: po-Polsku także Korsak, i po Rusku *Корсакъ*; w Tureckim *Kursak* wole, gardło.

19. *Kuczuk*, herb i rodzina—w Tureckim *kuczuk* znaczy mały.

20. *Kulak*, imię rodziny—może prędzej pochodzi z Tureckiego *kułak*, ucho.

21. *Ordyniski* rodzina, w Tureckim *ordzi*, obóz, koczowisko, stąd i nasz wyraz *horda*.

22. *Sefer*, *Seferowicz* rodzina od wyrazu Arabskiego, używanego się w językach Perskim i Tureckim *Sefer*, podróż, wyprawa wojenna.

23. *Tabasz* rodzina u Małachowskiego; nazwisko podobne spotyka się u Tatarów Dżagatajskich, od słowa *tapmak* cześć Boga, a w Tatarskim znaczy także *znaleźć*, *schwytać*, stąd *tabasz* rzecz znaleziona.

24. *Terebesz* herb i rodzina u Małachowskiego; *Ta-*

rabezun, Trebizond, miasto w małej Azji, Tatarzy zowią go po-prostu *Terebez*.

25. *Turecki* rodzina u Małachowskiego, od *Turk*, *Tiurk*, nazwa ogólna plemion Tureckich i mieszkańców Turcyi Europejskiej.

26. *Ulański*, *Ulanicki*, *Ulanowski*, nazwiska rodzin, od wyrazu Tatarskiego Uhlan, *Utan*, chłopiec, paź. Obacz przypisek 23.

Zgadzają się i więcej takich nazw rodzinnych, które mogły do nas przejść wprost, przez Ruś lub Węgry, od Tatarów, np. Amadaj, Salomonowicz, Tatarowicz, Uszak i t. p.; lecz należy wyznać, iż jedyną wskazówką takiego pochodzenia jest źródłosłów wschodni, a historycznie nie zawsze podobna tego dowiesć.

34.

Zapewnie chce pisarz mówić tu o wyprawie na Krym, do której Zygmunt-August na początku r. 1557 robił przygotowania, poleciwszy Dymitrowi księciu Wiśniowieckiemu, staroście Kaniowskiemu, zająć się tem, i jemu miano zlecić dowództwo wyprawy; lecz, jak wiadomo, projekt ten spełził na niczym. Wtedy to sam Wiśniowiecki, wszedłszy w przymierze z carem, przy pomocy Kozaków Ukraińskich, walczył z Tatarami na Perekopie, zdobył i spalił ich warownię Islam-Kerman (dosłownie twierdza Islamu), zabrał działa i osadził niemi sieczonej swojej na Chortycy, wyspie Dniepru, niedaleko ujścia, i gdzie przeciw całej potęgze Dewlet-Girej-chana przez 24 dni walecznie się bronił. (Karamzina Historia państwa Rosyjskiego, księga 2, str. 155 wyd. Ejnerlinga). A chociaż Wiśniowiecki udawał się raz pod opiekę sultanską, drugi raz pod carską, zrobił jednak przysługę i dla Polski, a to kładąc tamę najazdom Tatarskim.

Xięga święta Muslimów, Kur'an, zaleca prowadzić ustawiczną wojnę z wrogami Islamu, aby ich zmusić do jego przyjęcia: przeto każdy wyznawca Muhammeda, będący w stanie noszenia oręża, jest obowiązany iść na wojnę przeciw niewiernym i zowie się *a'skari* żołnierzem;— lecz niepozwala się wojować Musulmanom z Musulmanami, chyba jeśli podejmą rokosz przeciw swemu panującemu: albowiem, według prawa, każdy godzący na władzę panującego prawowierne, sprzeciwiający się jego rozkazom, albo chcący zbrojną ręką odjąć jego posiadłości, godzien jest śmierci, stosownie do przepisu bożkiego, Kur'anu niejednokrotnie powtórnego „walczcie z rokoszami (buhat) aż póki się nieupokorzą,”— na mocy to takiego przepisu, Sultan Mahmud w r. 1826 podniósł oręż na Janeczarów i wytepił ich. A témbardziej prawo niepozwala Musulmanom stawać w szeregach nieprzyjacielskich i uczestniczyć na wojnach prowadzonych przez niewiernych z Musulmanami. Nasi jednak Tatarzy, nie tylko że chodzili na wojny z państwami Chrześcijańskimi; ale byli powoływani i na wyprawy przeciw Tatarom Krymskim. To miało miejsce w r. 1533, kiedy po ukończonej wojnie Multańskiej chan Krymski, Sachib-Girej-chan uganiając się za Islam-Girejem, który nanowo domagał się tronu, wpadł na Ukrainę i obległ Czerkasy, mając z sobą Janeczarów do półtora tysiąca i dział Tureckich pięćdziesiąt; jednakże uwielbiając mężstwo walecznego obrońcy zamku, Eustachego Daszkiewicza, wszedł z nim w końcu w przyjacielski związek służenia królowi za pewną opłatę żołdu. Bielski (str. 56 wyd. 1-go), opisując to oblężenie Czerkas, mówi: „gdy Ostafi starosta Czerkaski sprawił to, że Chana z nieprzy-

jaciela przyjaciela królowi Zygmuntowi panu swemu uczynił, zaczęm niedługo potem dwaj posłowie z Tatar u króla byli od Setkireja (Sachib-Gireja, w Tatarskim wymawianiu przez skrócenie Sebgireja) i od Oslam sultana (Islam sultana), którego już król miał jako za swego i płacił mu, a on mu też służył gdzie potrzeba.” Pisarz historyi Krymskiej, Sejid Muhammed Ryza, w dziele: Es-seb'-us-sejjar (siedm planet), o Islam-Gireju opowiada następnie: „Islam-Girej przez zbrodnie zostawszy chanem, był dopuścił się także i panując wiela zbrodni, a lękając się Solejmana sultana Tureckiego, prosił u niego przebaczenia i mianowania na swe miejsce drugiego chana. Jakoż sultan naznaczył Sachib-Gireja, młodszego syna Mengli-Gireja, a Islama udarował tytułem *Kalgaja* (namiestnika). Islam otrzymawszy tę godność począł chytrą i zdradą kusić się o tron, którym władał przed Sachib-Girejem; lecz gdy to nieudawało się mu, wiedząc że chcą go sprzątnąć, uciekł do Farach-Kermana, gdzie został zabity od niejakiego Bakybeka“ (str. 91 wyd. Kazańskiego). Poselstwo zatem Islam-Gireja z prośbą o posiłki przeciw Sachib-Girejowi, musiało poprzedzać poselstwo tego ostatniego. W Metryce Litewskiej znajdują się listy Zygmunta I-go, datowane w r. 1533 września 3 d., do marszałków i chorążych wszystkich sciahów Tatarskich na tę wyprawę przeciw Tatarom—*(obacz w dokumentach)*.

Alexander wielki w Kur'anie i na Wschodzie w ogólności, zowie się *Zu-l-karneju*, to jest dwurogi, mający dwa rogi: dla objaśnienia tego epitetu, wykładacze Kur'anu widząc w nim znaczenie allegoryczne zużyli cały swój dowcip. Większa ich część utrzymuje, że on się nazywa tak dla swęj potęgi, albo dla tego, że zawojował wschód

i zachód, znaczące się niekiedy po-Arabsku wyrazem *Kar-neju*, i doszedł do obu końców świata. Lecz zdaje się, iż przyczyna tej nazwy powstała prosto ztąd, że Alexander chciał wydawać siebie za syna Jowisza Ammonskiego i kazał nawet snycerzom robić swe posągi w postaci Jowisza z rogami, czém, jak się uskarża Klemens Alexandryjski, zepsuł piękny obraz człowieczy. Nawet ocalały monety, na których Alexander wyobraża się z rogami baraniami. Niedziw zatem, że Arabowie do Muhammeda, mało obeznani z imieniem i historią Alexandra, nazwali go właśnie dwórogim z przyczyny tej dziwacznej ozdoby, w którą był ustrojony na posągach i monetach.

W Kur'anie Alexander uważa się także za wybranca bożkiego (Sura XVIII). Bejdawi, najslawniejszy komentator tej księgi, robi uwagę, że chociaż pisarze niezgadają się na to czy wyznawał on czysty Islam, wszyscy jednak chwalią jego prawowierność i życie cnotliwe, i po większej części zaliczają go do proroków; w samym Kur'anie stoi Alexander widocznie w jednym rzędzie z Dawidem i Salomonem. Źródło powieści o Muhammedańskim Alexandre może objaśnić opowiadanie Pseudo-Kallistena, u którego Alexander przedstawia się nieraz jako gorliwy czciciel Boga jedyne go i jako opiekun czezących go Żydów; ztąd i Muhammed, świadom tego podania, niemógł wątpić o prawowierności Alexandra, i na tej zasadzie umieścił go w rzędzie prawowiernych królów.

37.

Dawniej pielgrzymi udający się do Mekki i Medyny, zgromadzali się z rozmaitych stron, w miesiącu Szawwal, do Damaszku, ztąd wyruszała święta karawana pod przewodnictwem paszy tego miasta, który z tej przyczyny no-

sił tytuł: Emir-ul-hadż to jest naczelnika pielgrzymki. W Stambule wielu korzysta z eskorty, towarzyszącej wysokiemu urzędnikowi Porty, Surre-emini zwanemu, czyli komissarzowi sułtana, któremu się powierza *surre* kiesa z pieniędzmi, wielbłąd święty i *machmil*, materya jedwabna dla przykrycia Kaaby, podarki coroczne od padyszaha Otomańskiego dla świątyni Mekki. Wyjeżdża on każdorocznie z Konstantynopola 12 xięzyc Redżeba, na pięć miesięcy przed uroczystością ofiar Kurban-bajramem. Przyłącza się też do tej eskorty z łaski sułtana mnóstwo osób na koszt rządu. Na drodze karawana codziennie się zwiększa, tak, że staje się bardzo wielką, kiedy przyjeżdża do Damaszku; lecz teraz nie pasza Damaszku, a wicekról Egiptu przeprowadza tę świętą karawanę do Arabii. W podróży każdy obowiązany jest być posłusznym emirowi pielgrzymki, tak w pochodzie jak i na popasach, a przez co zapobiega się nieporządkowi, w takiej ciżbie nieuchronnemu.

Niepodobna przejechać pustyni bez silnego konwoju. wtedy nawet, kiedy karawana jest bardzo liczną i najlepiej uzbrojoną, pielgrzym oddalający się na chwilę od niej, niepochybnie wystawiony jest na rabunek Beduinów, którzy ją ciągle niepokoją. Żydzi także i Chrześcijanie w Arabii istotnie dopuszczają się niekiedy łupieztwa. Abd-ul-kerim w swojej podróży z Indyi do Mekki, przetłómaczonej i wydanej w Paryżu przez Langlès, mówi na str. 173 drugiego wydania: „W okolicach Chajbara, na sześć dni drogi od Medyny, znajduje się wielu Żydów i Chrześcijan, którzy nawet mają za pobożny uczynek rabować i zabijać pielgrzymów. Mimo wszelkich roztropnych ostrożności ze strony naszego Miri-hadż, niemożna było zapobiedz, aby ci niegodziwcy nieokradli nas, a przy czém

zabili trzech towarzyszków podróży. Nasz naczelnik za to chciał się zemścić zdobyciem i zburzeniem Chajbara; lecz znaczniejsi z pielgrzymów przedstawili mu, że taka wyprawa opóźniłaby przybycie karawany do Mekki."

38.

Pielgrzymka do Mekki jest przedmiotem bardzo ważnym w Islamie, i obowiązuje każdego Musulima, który przez swe położenie albo szczególne okoliczności niema żadnej prawnej przyczyny do uwolnienia się od niej. Przykazanie to zasadza się na cześć Arabów i wszystkich ludów Musulmańskich, jaką oni mają dla Kaaby w Mecce, którą uważają za pierwszy, najwspanialszy i najdumniejszy przybytek, poświęcony Bogu, albowiem wzniesiony przez patriarchę Abrahama, z rozkazu Bożkiego, na tém samém miejscu, gdzie aniołowie rozpięli namiot, w dniu stworzenia świata, przeznaczony dla cześć Najwyższego i zwany domem Boga. Kiedy Abraham zakładał tę świątynię, anioł Gabryel przyniósł mu kamień, na którym w tajemniczych wyrazach było wyryte przymierze Boga z ludźmi w osobie Adama, z rozkazem umieszczenia tego kamienia w jednym z węglów Kaaby, jako znak z kąd wierni powinni zaczynać processję na około przybytku. Zowie się ten kamień *hadżer-ul-aswad*, kamieniem czarnym, z przyczyny swego koloru, i był zawsze przedmiotem stałego poszanowania; jakoż ogarnął największy przestrah Muslimów, kiedy kacerze Karamaty zabrali go w 929 r. i przetrzymali go u siebie 22 lata. Każdy też pielgrzym jest obowiązany całować ten kamień kilka razy, podług przepisów religijnych, czasu obchodu Kaaby. Z Mekki udają się do Medyny, miasta sławnego już za życia proroka i pierwszych chalifów, jego następców, jako pierwsza stolica państwa Musulmań-

skiego, a bardziej jeszcze dla tego, że tu spoczywają popioły samego założyciela Islamu. Chociaż religija niewkłada z tego względu żadnego obowiązku; pielgrzymi jednak wracając z Mekki, a szczególnie ci, którzy muszą skierować drogę na Medinę, oddają w niej hold grobowcowi Muhammeda, zamkniętemu w Turbi czyli kapliczce murowanej, bardzo prostej budowy i wystawionej na miejscu gdzie mieszkała Ajsza, jego najulubieńsza małżonka. Ta kapliczka dziś znajduje się na środku świątyni, zbudowanej przez chalifa Walida I-go, w takimże kształcie jak i Kaaba Mekki, w r. 707.

Musulmanin, skoro spełnił wszystkie obrzędy pielgrzymki, *hadż*, otrzymuje nazwę *Hadż Hadży*, pielgrzyma, a która odtąd staje się już jakby przydomkiem, dodawanym do imienia, na całe życie, dla wszystkich wogóle jakiegokolwiek bądź stanu i dostojenstwa, i jedna im szacunek powszechny, a dla widocznego odróżnienia się od innych tacy pielgrzymi zapuszczają brodę naśladując w tém przykład Muhammeda. I nasz pielgrzym po powrocie z Mekki musiał się też nazywać *Hadży*.

stępnego, a barwny, jęszcze dla tego, że tu spocząwszy po-
biły, samego kłopotliwego Jelenia. Chociaż religijnie niewła-
da z tego względu żadnego obowiązku pielgrzymi jednak
wracając z Mekki, a szczególnie z Mekki, którzy muszą sko-
rować drogę na Mebina, oddają w niej hołd grobowcowi
Muhammada, zamkniętym w Turbie, czyli kaphie, murowa-
nej, bardzo prostej budowy i wystawionej na mroźne, chłod-
ne, zimne powietrze, tego najświętszego mekkańskiego. Tu kaphie
dla znajduje się na ścianie świątyni, zbudowanej przez
chadżdżi Wabida I-go, w takimże kształcie jak i Kaaba Mek-
ki, w r. 705.

Muhammad, akoro spełnił wszystkie obowiązki piel-
grzymki, nadszedłszy do miasta, nazwał Mebina, pielgrzy-
m, a kaphie oddał starość się już jakby przydomkiem, do-
dawanym do imienia, na cześć życia, dla wszystkich w o-
gół jakiegokolwiek kaphie starość i stojącej, i due im
szanunku powołujący, a dla widocznego odwołania
się od innych tacy pielgrzymi, kaphie, kaphie, kaphie
jako w tym przybył Muhammad. I nadszedłszy do
powrocie z Mekki miał się też nazwać Mebina.

WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA

O ZAMKACH, HORODYSZCZACH I OKOPISKACH STAROŻYTNYCH

NA LITWIE I RUSI LITEWSKIEJ,

PRZEZ
KONSTANTEGO HR. TYSZKIEWICZA.

UROCZYSKO PANIEŃSKA GÓRA.

Między wschodem a południem, w kierunku do zamku
Łohojskiego, w odległości o pół wiorsty od tegoż zamku,
znajduje się góra wyniesiona nad poziom o sążni piętnaście,
u wierzchołka okopana, mająca grzbiet kulisty zawierający
ośmdziesiąt jeden przętów Litewskich powierzchni, od za-
chodu jedno wejście przez fosę.

Góra ta w języku spolszczonym ludu, górą **Panień-
ską**, a często w narzeczu miejscowym Rusińskim **Ihry-
szczem** się nazywa. Podanie gminne o tej górze, docho-
wane do dni naszych, jest następujące: kiedyś przed laty ja-
kis kawaler na jej wierzchołku oświadczył się pannie; gdy
odmówną odpowiedź dostał, pchnął ją z góry tak, iż pan-
na z niej lecąc kark złamała; od tego wypadku góra ta
jakoby nazwisko Panińskiej Góry przybrała. Dawniej, przez
lat wiele nawet, pobożną litością natchnięci mieszkańcy
miejscowi, dla których zwykle każda przeszłość jest obo-

jętną, na jej wierzchołku za duszę tej nieszczęśliwej ofiary miłości, którą zapamiętały wyskok kochanka w zapomnieniu się rozpaczliwem o śmierć przypawił, na Panieńskiej Górze krzyże stawiali. Uchylając ni-jscowe podanie, uroczysko w rzeczy samej jako stanowiące ciekawy zabytek dawniej Słowiańszczyzny, zasługuje na bliższe zbadanie. Góra ta jest jedną z gór Dziewichych (Дѣвичья гора) tyle znanych w Słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej. Zoryan Dołęga-Chodakowski w swoim Słowniku geograficznym ziem Słowiańskich (1) naliczył 79 uroczysk w różnych stronach Słowiańskiej ziemi, bądź błot, jezior, pól, horodyszcz, bądź wsi i t. d. noszących nazw sko Dziewichych. W liczbie tych wylicza 11 gór Dziewichych i 3 Dziewicze Pola: Dziewiczą górę w Iwań-Grodzie pod Narwą; drugą nad Wolgą niżej Kazania; trzecią w Wiackiej ziemi; czwartą w Korolewieckim powiecie z prawej strony Desny, niedaleko Rajhoroda i na niej ma być Horodek; Diewczy Hrady; jest wysoka góra z zamkiem na Murawach. Diewicza Hora w Kiriłowskim powiecie na Szekśnie; Diewicz Hora w Bobrujskim powiecie pod Lubonieczami; w Dubieńskim powiecie w Smordwie takąż; Diewicz Horodyszcze w Sudzewskim powiecie na rzece Biole powyżej Miropola, gdzie był Mikołajewski Biełogorski monastyr; Diewicz Horodyszcze w Putywilskim powiecie, „u lewaho bie-reha w niż od Kniaziewa”; Diewkina Hora między Bałachną i Jurjewcem; Dziewicze Pole pod Kołomną, góra o cztery wiorst od miasta nad Oką; Dziewicze Pole w Moskwie u Łużeckiej zastawy, i Dziewicze Pole na Kujawach w Przedeckim powiecie, Błędowskiej parafii.

(1) Słownik ten w rękopiśmie złożonym jest w bibliotece Muzeum starożytności w Wilnie.

Znamy jeszcze Dziewiczą górę nad Dnieprem pomiędzy Kijowem a Rżyszczewem pod miasteczkiem Trypol. W gubernii Mińskiej w powiecie Borysowskim w Kosinie, majątku Michała hrabiego Tyszkiewicza, jest uroczysko nazwane Dziewicze Pole, na niem górka niewielka, nazywająca się Dziewiczym Kurhanem. Do tego uroczyska jak do wszystkich niemal przywiązana jest miłośna legenda: Dwaj młodzieńcy kochający się razem w jednej dziewicy, gdy się o nią pogodzić nie mogli, oręź los ich rozstrzygnąć musiał. Szczęśliwszy został mężem dziewicy, drugiego zaś który życiem swą miłość dla niej przypłacił, zwłoki jakoby ów kurhan pokrywa.

Pod-Wilnem około Rudnik, dawniej rezydencyi królów, jedna z dwóch odznaczających się tam gór, nazywa się Panieńską górą; tamta równie jak i ta, o której mówimy, z upowszechnieniem się w kraju języka Polskiego, dawniej Słowiańskiej Dziewicziej góry przezwana po-Polsku Panieńską, tę nazwę dotąd przechowała.

Od czego by te góry nazwy Dziewichych gór przyjęły i jakie by na ich wierzchołku dziewice, przedchrześcijańskie spełniały obrzędy, narady lub zabawy, dzisiaj z pewnością odgadnąć trudno; musiał to jednak być zwyczaj w swoim czasie powszechny, urzędowy, uszanowany powagą współczesnych ludzi, kiedy na takowe dziewic zgromadzanie się, usypywano góry, lub obierano osobne miejsca i takowe narówni z miejscami ofiarniczemi lub sądowemi uroczyscie okopywano, albo horodyszczem osypywano. Że na nich oprócz narad poważnych przez dziewice odbywanych, zabawy i wesołe uroczystości miejsce mieć musiały, godzi się domyślać z nazwania Ihryszcze, jakie góra w mowie będąca w miejscowem gminnem Rusińskim narzeczu do dni naszych zachowała. Dotąd w stronach o których mówimy,

w obyczajach ludowych przechowuje się jedno do roku święto dziewic. W dzień Zielonych Świątek, same dziewczęta wiejskie zbierają się w jedną gromadę, każda z nich przynieść jest obowiązana przysmak do zjedzenia na jaki jej stało, *np.* jaja, masło, mąkę, pirog domowy, uboższe nawet kawał chleba przynoszą, z sobą i tak zaopatrzone w wiejskie przysmaki, wesolo ze śpiewami idą na łąki lub w lasy dla zbierania ziół polnych i leśnych, tam z przyniesionych z sobą przysmaków wspólną wyprawiają ucztę. Między różnemi ziołami, zbiór sznitki koniecznym jest warunkiem tej wycieczki, albowiem każda z nich czuje się w obowiązku przyniesienia tej trawy do domu dla ugotowania z niej barszczu, strawy, do której jakaś tajemnica tej uroczystości jest przywiązana, a której znaczenia żadna z nich dzisiaj wytłómaczyć nieumie. W śpiewach wesołych dziewic nieodkryliśmy w poszukiwaniach naszych oddzielnych na to piosnek, śpiewają one zwykle pieśni weselne, lub te, których przy żniwach na polu używają, byle miały nótę skoczną i wesołą. Że góry Dziewicze nie tylko w dawniej Słowiańszczyźnie znajomemi były, lecz że i Tatarzy takowe nazwania wespół z podaniami gminnymi u siebie mają, przekonywamy się ze spisu znakomitszych kurhanów w Rosyi, wydanych w dziele Keppena (31), w którym on tak pisze: „Carewo Horodyszcze czyli Dziewiczy gród — tak nazywają Rosyianie nasyp dziesięć sążni wysoki, położony na południe od rzeki Irtysza pośród niskich sianozęci. Nasyp ten znajomy jest Tatarom pod nazwiskiem *Rysym-Tura*, to jest Dziewiczego Grodu. Według podania tamecznego ludu, nasyp ten, pomnik przeszłych i zapomnianych wieków, usypany był dziewiczymi rękami

(31) Списокъ извѣстнѣйшимъ курганамъ въ Россіи.

na monarszą rezydencyę. Jest i drugie na wschodnim brzegu Irtysza podobnego nazwania uroczysko, w odległości dwóch wiorst od Iskiera, gdzie dzisiaj znajduje się wioska Preobrażensk; w niem to ma być pogrzebiona córka któregoś z chanów, porwana przez kochanka i razem z nim przez sług jej ojca zabita.”

Jeżeli u Tatarów, narodu tak obojętnego, podobnym uroczyskom towarzyszą podania miłosne, dla czegożby wśród ludu naszego, który ma niezaprzeczenie wiele rzewnej poezyi w sobie i w swoim życiu sielskiem, nie miały się wyłęgnąć romantyczne legendy przywiązane do naszych uroczysk? Śledząc zatem i dochodząc w nich rzeczywistej prawdy, uszanować nieraz wypada i bajkę, która znalazła swój początek w romantycznej myśli gminu, która ją w tak ładne obrazki ubrała.

UROCZYSKO ZAMKOWISZCZE.

Na zachód od zamku Łohojskiego w tejże samej odległości co i Panieńska góra, lecz w kierunku zupełnie wstecznym, leży uroczysko Zamkowiszcz. U ludu pospolitego wszystko cokolwiek od czasów starożytnych okopanem pozostało, nazywa się ogólnym wyrazem Zamek, wszystko ma u nich swoją tradycyę, wszystko ma podanie gminne bądź uroczyste, któremu towarzyszą jakieś zawsze zakłète duchy lub tajemnicze bogaetwa, bądź romantyczne, w których miłość gra znamienitą rolę. Do badacza więc należy rozeznac prawdę od zmyślonęj bajki. Uroczysko w mowie będące, w pośród pięknych krętych i tak nieforemnie kształtnych gór umieszczone, wznosi się od strony wschodniej nad poziom o sążni dwadzieścia dwa, na zachód o sążni dziesięć wzniesione nad pochyłą i ciągnącą się długo wgląb la-

su, górą; ma ono w sobie wszystkie charaktery sądowego okopiska. U wierzchołka na północ, zachód i południe fossą jest oprowadzone; od wschodu tylko stroma i spadzista góra, od wierzchołka na dół spuszczone w pewnej przestrzeni, snadź osuwając się z czasem okop przerwała; od południa jest foremne wejście, grzbiet wypukło kulisty, mający powierzchnię sto dwadzieści cztery pręty Litewskie. Lubo podanie gminne miejscowych ludzi, przechowane pośród nich jako spuścizna po ich dziadach i pradziadach, utrzymuje, iż na wierzchołku tej góry przed laty był zamek murowany, z którego cegłę rozebrano i rozciągnięto pokryjomu na osobiste potrzeby mieszkańców miasteczka Łohojska, że dzisiaj nawet żyjący mieszkańcy sami z fundamentów tego zamku jeszcze przywozili do domów swoich szczątki cegieł i gruzu; wszakże przy ścisłym zbadaniu tego uroczyska, gdyśmy go skopali we wszystkich kierunkach na miejscach wskazanych przez tych nawet włościan co sami powiadają, iż z fundamentu ruin zamkowych cegłę wydobywali, nie podobnego do fundamentów odkryć nam się nieudało. Dwie wklęsłości przy wejściu nato okopisko, jako stanowiące niezwykłą w uroczyskach tego rodzaju różnicę, dawały nam powód do domysłu, iż one są temi miejscami wydobytych szczątków fundamentu, na którym stała ta murowana budowa, o której mówią podania ludowe. Skopaliliśmy obie z największą szkrupulatnością — i lubo nieodkryliśmy w nich najmniejszych śladów fundamentu; wszakże wydobyte z tamtąd w wielkiej liczbie drobne kawałki cienkiej glinianej, wypalanej substancji, jedne jakby szczątki potłuczonej dachówki, inne jakby resztki pobitych garnków, domysłać się każą, iż w późniejszych daleko czasach od tej daty kiedy to okopisko za miejsce sądowe służyło, a w odległych jeszcze bardzo od pamięci

żyjących dzisiaj ludzi, mogły tam być garncarskie piece, dla wypalania garnków lub dachówek. Tej wprawdzie ostatniej, aby kiedy używano na pokrywanie dachów tak w miasteczku Łohojsku, jako i w okolicach jego, śladu niema; nieidzie jednak zatém, ażeby pamięć ludzka w idących po sobie pokoleniach każdy drobny szczegół, których ślady czas tak prędko niszczy i zaciera, przechować umiała.

ZAMEK WE WSI RUDNI.

Na wschód od zamku Łohojskiego, w prostym kierunku o cztery wiorsty od tego zamku, przy wsi Rudni, należącój do dóbr Łohojskich, na lewym brzegu rzeki Hajny, która te dobra od zachodu na wschód w poprzek przepływa, na wzgórzu samorodnem, mającém dwadzieścia sążni wysokości, leży obszerny, starożytny zamek, którego dawne kształty w zupełności pomimo tylu wieków dochowały się do czasów naszych. Od południa strzeżony przez rzekę Hajnę i błotniste jej brzegi; od północy obwarowany głęboką na dwanaście, a szeroką na dwadzieści sążni fossą, ma obroną na sześć sążni szeroką platformę, nad którą wznosi się na dziesięć sążni w pochyłości szaniec obronny, okrywający kotlinę; ku prawej stronie zamku wśród fossy, ze źródła tam znajdującego się, wypływa do rzeki Hajny mały nieznaczący strumyczek. Powierzchnia kotliny w nim jest trzy razy prawie większą od kotliny zamku Łohojskiego, ma ona albowiem trzy morgi i dwieście trzydzieści sześć prętów Litewskich powierzchni; dzisiaj w pole zamieniona, uprawiana jest przez włościan obokległej wioski. Na jej powierzchni znajdują się dwie głębokie jamy lejkowatej formy, leszczyną, wierzbą, młodym dębem, czeremchą i brzozą wewnątrz zarosłe, ostatnie ślady budowli

naależących niegdys do starożytnego zamku. W poszukiwaniach naszych, dokonywanych nad tym zamkiem w celu zbadania i odkrycia szczątków odległej na nim przeszłości, z największą szkrupulatnością skłaliśmy te dwa otwory. W pierwszym mającym obwód w nieforemnym prostokącie sążni trzydzieści z górą, na trzy sążni głębiny, okazała się warstwa ziemi czarnej napływowej, uformowanej przez odwieczne do niej ścieki i coroczne opadanie liści z drzew, któremi ten otwór jest zarosłym. Warstwa ta czarnej ziemi grubą była na sążeń, po zdjęciu której natrafiono na pokład ułożony z dosyć sporych kamieni mających płaskie brzegi, składanych z sobą tak, aby jeden przystając z drugim szczelną stanowiły podstawę; miejscu gdzie te kamienie niedosyć szczelnie przystając do siebie czyniły szparę, takową znaleźliśmy w każdym miejscu starannie założoną i mocno zabita drobniejszemi samorodnemi kamiennemi płytkami, lub małemi kamieniami; nigdzie w żadnym miejscu wapno, ani żaden inny łącznik nie spajał owych kamieni z sobą. To podmurowanie odkopane pod ziemią stanowi ciekawy zażytek sztuki budownictwa w starożytności w tym kraju: rzuca albowiem niejakiś światło na sposób, którym przedchrześcijańscy ludzie, przed umiejętnością użycia wapna w budownictwie, tę potrzebę tak niezolnym dobieraniem kamieni załatwiali. Po ścisłym zbadaniu i dokładnym obejrzeniu fundamentów, stanowiących niegdys i podstawę istniejącej tutaj budowy, gdy nam nie więcej się nie odkryło prócz słabej wskazówki o sztuce mularskiej w starożytności, postanowiliśmy pojsć głębiej w ziemię, azali pod tym pokładem kamiennym nieznajdziemy czegoś więcej coby ciekawość naszą w badaniach przedsięwziętych zaspokoić i nauczyć nas mogło. Pod zdartym kamiennym fundamentem, na twardej

już ziemi piaszczystego pokładu, na głębini niewiecej o łokieć jeden znaleźliśmy dziewięć kawalków niewielkich od pobitych żaren, tego kształtu jakiego dzisiaj włóścianie do melecia zboża używają, tylko nieco nieforemnie od żaren dzisiejszych wyrobione. Pod temi żarnami odkryliśmy kawalk kamienia krajowego szarofioletowej barwy, mającego jeden bok doskonale wyszlifowany i wypolerowany. Obok tego leżały na piasku cztery zęby na trzy cale długie, a na jeden cal prawie w kwadrat grube, mające w sobie po cztery komórki, nieznanego nam zwierzęcia; warstwa węgla, zwykle wszystkim wykopaliskom towarzysząca w starożytności, mieszała się z temi szczątkami. Znalezione szczątki żaren naprowadzają nas na domysł czysty i naturalny, że w mowie będąca jama mogła być miejscem młynów zamkowych. Zachowanie tych szczątków tak głęboko pod podstawą kamienną istniejącej niegdys budowy, jakoby miało tajemnicę, odgadnąć nieumiemy: nigdzie bowiem nam się czytać, ani słyszeć nie zdarzyło, aby starożytni przedchrześcijańscy ludzie dla kamieni młynowych, szczególniejszą cześć mieli. Coby miał znaczyć ów kamień szlifowany i te zęby nieznanéj nam całkiem formy, przy nim złożone, ukryte pod szczątkami młynowych kamieni, domysleć się jeszcze trudniej. Że enowanie kamieni młynowych wespół z zębami zwierzęcemi w starożytności, miało jakiś symbol tajemniczy, jakąś myśl, dzisiaj niezbadaną, domyślamy się ztąd, iż owe żarna, o których mówimy, nie są odkryciem wyjątkowém u nas, lecz były snadź niejakim obrzędowym zwyczajem ogólnie używanym w starożytności i w innych krajach, kiedy w roku 1854 podobne wykopalisko odkryto w Szwajcaryi. Doktor Vonger w jednym z pism naukowych Francuzkich zamieścił swój artykuł pod tytułem: *Antiquités Celtiques des lacs*

de la Suisse, w którym pisze, iż silna zima r. 1853 i 54go sprawiła wyschnięcie wielu źródeł i strumyków, przez co jeziora Szwajcarskie, podsycane niemi, opadły. Szczególnie jezioro w Zurich zmniejszyło się jak nigdy niepamiętają. Woda opadłszy o uszyła kawał przestrzeni ziemi na dnie jeziora, z czego korzystając mieszkańcy, postanowili nową groblę urządzić, aby raz osuniętą wodę niepuścić w dawne miejsca, a tym samym uzyskać trochę zdolnej do uprawy ziemi. Wzniesiono więc groble na dnie jeziora w Oberwejen, a przy braniu ziemi zaraz pod zwierchnym pokładem na mielisku odkryto w głębokości jednej do dwóch stop, wierzchy starych piletów, rogi jelenie i różne narzędzia. Po tym odkryciu Towarzystwo starożytności w Zurich wydelegowało dla bliższego zbadania rzeczy na miejscu, członka swego doktora Keller, i ogłosiło o tym swe sprawozdanie.

Owoż z pośród mnóstwa naczyń kamiennych i żelaznych, pił kamiennych tam odkopanych, znaleziono również w tym miejscu i małe żarna do młócenia zboża i różne zębów zwierzęcych i kości przyrządy (1).

Starożytni, jak wiemy, mieli zamiłowanie w przenosiach, figurach i podobieństwach, i przez takowe myśli swoje i pojęcia najuroczystsze o rzeczach symbolicznie tłumaczyć zwykli:—być może, iż żarna do młócenia zboża, jako narzędzie, ułatwiające wyżywienie dla ludzi, po jego starciu się łączyli z zębami zwierzęcymi, jako podobnie narzędziem, ułatwiającem spożywanie pokarmów, łączyli z sobą i połączone z poszanowaniem na pamiątkę razem składali w głębokiem i spokojnem ukryciu.

(1) O wykopaliskach Leżajskich, rzecz archeologiczna przez Karola Rogalskiego. Kraków, w drukarni Czasu, r. 1856, str. 60, 61, 62.

Jakkolwiek bądź, myśl ta tajemnicza dla nas, niebyła jak przekonywamy się z wyżej zacytowanego poszukiwania, wyłączną myślą mieszkańców Słowiańskiej tylko ziemi w starożytności, lecz ją zarówno z nami pojmowały i uprawiały pokolenia Celtyckie.

Kamień szlifowany ułamek od żarna i ząb jeden z wykopanych przez nas, złożyliśmy w Muzeum Wileńskiem; resztę zaś kamieni młynowych i zęby pozostałe zachowaliśmy w naszym zbiorze starożytności krajowych.

Druga jama nieco mniejsza od pierwszej, położona tuż pod szansem obronnym, była podobnie miejscem budowy w czasach wojennego istnienia tego zamku w starożytności. W tej, równie jak i w pierwszej, pod warstwą niemniej grubą czarnej napływowej ziemi, odkryliśmy podobną pierwszej kamienną podstawę; lecz pod nią nie znaleziono, wyjąwszy bryłowatego kawałka porzucanego żelaza, mającego trójkątną śpiczastą formę, jakby koniec od rolniczego narogu, lecz daleko węższej formy od narogów używanych dzisiaj.

Włościanie najstarsi przyległej wioski, badani przez nas o podania ludowe o tym zamku, nie nam więcej powiedzieć nieumieli nad to, iż to miejsce od wieków zamkiem się nazywa, że słyszeli od ojców swoich, iż ono kiedyś porośnięte było starożytnymi dębami, które gdy na kłepkę wyrąbano, pozwolono im na tym miejscu wyrabiać pasieki na pole; że ojcowie ich słyszeli od swoich ojców, iż jakoby przy pierwotnem oraniu pasieki na pole, wyorywano na tym zamku obręcze żelazne od kół, niekiedy zdarzało się łańcuchy żelazne wyorywać. Taką przechowali oni tylko w podaniu po ojcach swoich wiadomość: albowiem dzisiaj żyjący ludzie, uprawiający kotlinę zamku na pole, sami nic podobnego nigdy niewyorywali. Zamek o

którym mówimy, niema żadnych wspomnień historycznych, ani w dziejach piśmiennych, ani nawet w podaniach gminnych; zanadto blisko położony od zamku Łohojskiego, niepodobna aby w starożytności składał oddzielną xiążącą dzielnicę. Gdyby tak być miało, niechybnie w 1128 roku Izasław przez ojca swego Mściława posłany na zawojowanie ziemi Krywiczian, gdy dobywał zamku w Łohojsku, byłby ten zamek również oblegał i szturmem dobywał, a historia nie byłaby téj wyprawy przemilczała. Lecz podobniejszą do prawdy zdaje się być rzeczą, iż te dwa zamki, Łohojski i przy wsi Rudni z sobą połączone, broniły jednéj i tejże saméj dzielnicy, i stanowiły siłę i twierdzę jednego zamku pod nazwą Łohojskiego, w dziejach znanego. Ztąd zamek przy wsi Rudni rozdzielając tak swą świetność jako i niepowodzenia swoje wojenne z zamkiem Łohojskim w starożytności, wspomnienia historyczne z pierwszym podzielić zdaniem naszym powinien.

ZAMEK PRZY WSI ŚWIDNIE.

Jak już wyżej rzekliśmy, wszystko cokolwiek powstać nawet okopów starożytnych na sobie nosi, w języku ludu, a przez powtarzanie i w mowie wykształconszych ludzi, Zamkiem się u nas nazywa. Myśmy nieodstępując tego powszechnego prawidła we wstępie pracy naszej tę nazwę wszystkim uroczyskom naszym nadali; w bliższém atoli ich zbadaniu i w szczegółowym rozbiórce tych uroczysk, zadaniem jest naszym po charakterach na nich pozostałych odkryć i zdeterminować ich przeznaczenie w starożytności. Zamek przy wsi Świdnie, na prawym brzegu rzeki Hajny leżący, przy ujściu do niej strumienia bez nazwiska, na wschód od zamku przy wsi Rudni o wiorst pięć w prostéj linii, położony na stroméj gó-

rze, mający ośmnaście sążni pochyłości, od wschodu dwóma fosami na sążni pięć szerokiemi zaopatrzony, od zachodu wałem na pięć sążni w pochyłości zabezpieczony, mający ośmdziesiąt dziewięć prętów Litewskich kotliny, jest czystém horodyszczem ofiarniczém. Czas i ludzka ręka od południa, gdzie przypierają wioskowe ogrody, opsuła trochę jego pierwiastkową formę; lecz gdyby i téj cechy nam brakło na zadeterminowanie w nim charakteru horodyszcza, znajdziemy tę pewność niechybną w tém, iż ono od niepamiętnych wieków służy na cmentarz wioskowy.

W starożytności, ludzie chcący uczcić pamięć miejsc przeznaczonych dla spełniania religijnych obrzędów po przyjęciu wiary chrześcijańskiej, by przedłużyć pamięć miejsca świętego, stawiali na nich bądź świątynie nowemu Bogu poświęcone, bądź uświęcali takowe przeznaczając je na miejsce wiecznego spoczynku. Ztąd to w badaniach archeologicznych do zdeterminowania ofiarniczych horodyszcz, kościoły, cerkwie i cmentarze w okopiskach umieszczone, stają się niewątpliwemi do tego wskazówkami. Według podania gminnego, na tém horodyszczu mają się ukrywać jakieś zakłète skarby; wiele ludzi takowe widziało ukazujące się w postaci przelotnych, skaczących przed wzrokiem człowieka płomyków. Żaden z mieszkańców téj wioski, chciwych do odkrycia owych tajemniczych skarbów, niemógł zbadać miejsca gdzie one są zakopanemi: albowiem za zbliżeniem się do tego płomyka, płomyk się oddalał i odprowadzał za sobą skarbów chciwego człowieka daleko za to horodyszcze i tam niknął w powietrzu. Podanie podobne o zaklętych skarbach, ukazujących się oczom ludzkim w postaci płomyka, niesą ściśle przywiązane do tego tylko horodyszcza: lud prosty

powtarza je i stosuje do wielu bardzo uroczysk mających swoje wiejskie podania.

ZAMEK PRZY WSI DOBRYNIEWIE.

Na północ od zamku Łohojskiego w prostej linii o wiorst pięć od tego zamku, na lewym brzegu rzeki Hajny, pomiędzy Dobryniewem, wioską niegdyś należącą do plebanii Rzymsko-Katolickiej Łohojskiej, dziś zaś skarbową, a folwarkiem Kuziewiczami należącym podobnie przed laty do składu dóbr Łohojskich, dzisiaj będącym dziedziczną własnością obywatela P. Poźniaka, przy samym gościńcu wiodącym z Łohojska do Dołhinowa i Wilejki, pośrodku pól uprawnych, wznosi się o sążni dziesięć nad poziom góra lasem porośła, u wierzchołka oprowadzona fosą, mającą cztery sążnie szerokości; przez nią od południa wchód na jej wierzchołek kulisto zakończony, mający powierzchnię czterdzieści ośm przętów Litewskich, na którym się znajduje cmentarz wioskowy. Pomiedzy włościanami przyległej wioski dochowało się dziwaczne podanie gminne o tym zamku, które oni opowiadają następnie: Miała być na tam miejscu przedlaty cerkiew; ta niewiadomo z jakich powodów wpadła w ziemię i długo bardzo potem słyszano odgłosy dzwonów tej cerkwi pod ziemią. Na przedłużeniu gościńca o kroków dwieście od podnoża góry, na grobelce tam znajdującej się, jest mały mostek; przy tym mostku przechodzący ludzie widywali jakoby leżącego żołnierza, przy nim był pies i fura pełna pieniędzy. Żołnierz każdego przechodzącego przez ten mostek zatrzymywał proponując mu aby mu dał trzy dusze, poczem wóz z pieniędzmi do niego będzie należał. Gdy żaden z przechodzących ludzi, mając sobie objawione to żądanie, nie miał trzech dusz do dania żołnierzowi, pieniądze z żołnierzem

znikały w oka mgnieniu. Ustało to widmo z czasem, bo gdy żołnierz nie znalazł człowieka z trzema duszami, przestał się im pokazywać; lecz to zjawisko miało być jakoby przepowiednią, iż na tym zamku mogiłnik dla wioski założyć wypadło, i odtąd włościanie przyległych dwóch wiosek grzebać się na nim poczęli. Lubo to jest wskazówką niemylną w poszukiwaniach archeologicznych, iż kościoły, cerkwie i cmentarze stawiane na wierzchołkach dawnych uroczysk, stanowią cechę ofiarniczego horodyszcza; wszakże w zadeterminowaniu pod rozbiór wziętego uroczyska, przyjdzie nam odstąpić od tego pravidła ogólnego. Powierzchnia jego kulista, na niej najmniejszego śladu kotliny; pomimo iż mogiłami jest pokryta, zdaje się nam nosić niewątpliwe cechy okopiska sądowego w starożytności, i za takową w badaniach naszych tę górę podajemy. Mogła ona stanowić wyjątek z pravidła ogólnego w starożytności; przy przemianie pojęć religijnych, gdy się nieznajdowało blisko tej posady ofiarniczego horodyszcza, a tylko okopisko sądowe, być może, iż na niem się grzebać zaczęto. Im więcej się zagłęwiamy w badaniach naszych, im większego doświadczenia i dojrzałości w tym przedmiocie nabywamy, tem mocniej przekonujemy się, iż charaktery horodyszcz i okopisk starożytnych zadeterminowane przez nas we wstępie do tej pracy, nabierają coraz większej powagi i prawdy. Horodyszcza ofiarnicze nie bez przyczyny miały kotlinę: gdzie znicz gorzał wiecznie, a lud do istnienia jego przywiązywał zabobonną wiarę, tam go trzeba było okrażyć wałem, aby wiatry ognia niezgasiły, a burze nierozniosły jego szczątków; trzeba jeszcze było go uczynić niewidzialnym, tajemniczym, a przez to ludowi religijną cześć mu oddającemu, uroczystym pokazać,—wały go otaczające, temu wa-

runkowi zadosyć czyniły. Okopisko sądowe całkiem przeciwnemu powołaniu poświęcone, innych zupełnie do wypełniania swój czynności warunków wymagało: sądy publiczne, wyroki głośno ludowi ogłaszane, potrzebowały miejsca czystego, odkrytego na wszystkie strony, aby wybrani tę czynność spełniający od ludu widzianymi i słyszanimi być mogli; kulista zatem powierzchnia wyniosłej góry, nie co innego jak okopisko sądowe, tak naturalnie i tak stosownie do swego przeznaczenia wyrażała.

PIŚMIENNICTWO W W. X. POZNAŃSKIEM ODR. 1850

I CHARAKTER TEGOŻ W POPRZEDZAJĄCYCH LATACH,

PRZEZ

ANTONIEGO BIAŁECKIEGO.

I.

W obec gwarliwego ruchu, skwapliwej pracy, których w ostatnich kilku latach dawały dowody na polu literackim inne prowincye nasze—zaczawszy od przewodniczącej pod tym względem Warszawy, a stopniując potem Lwów, Kraków, Wilno—na samym końcu Poznań umieścić przypada. Wprawdzie drukarnie jego także niepróżnowały; wysyłały różne płody, ale niebyły to owoce myśli i pracy w obrębie prowincyi. Z publikacyj w tych czasach ogłoszonych, niemożna bezwzględnie wyciągać wniosku o rozwoju, kierunku i sile umysłowego kształcenia się prowincyi Poznańskiej. Nadesłane z innych stron, czekały tylko niejako przytułku tutaj, korzystając z łagodniejszych prasowych przepisów. Z pomiędzy książek w ostatnich siedmiu latach ogłoszonych w Poznaniu lub Lesznie, może i połowa niebyła napisana przez miejscowych autorów. Właściwego ruchu literackiego, można powiedzieć, że niebyło wcale—a przynajmniej był mało znaczny; więcej to ruch xiegarski, ruch handlowy, któremu w części dogodniej tu

się było rozwijać, a który znalazł równie czynnych i chętnych nakładców jak gdzieindziej.

Oddzielając zatem w epoce 1850—1857 objawy umysłowej pracy pochodzeniem swém do innych prowincyj należące, tu obywatelstwa tylko szukające, od mających istotnie prawo Poznańskiemu się nazwać,—zastęp tych ostatnich ukaże się bardzo szczupły, a co więcej nieświecący żadną potęgą siły, kierunku oznaczonego czy to zbiorowo, czy pojedynczo. Opinię publiczną, specjalne nauki gałęzie, niemając organów swych w dziennikarstwie nieistniejącem prawie—niemogły się dalej rozwijać i kształcić:—w skutek tego myśl powszechna, nieznajdując skupienia w publicznej jakiegóż pracy, odwróciła się i zamknęła w ciasniejszym obrębie życia domowego;—tam też szukaćby należało obrazu charakterystyki tych lat,—gdy na widowni publicznej, w literaturze, zgromadzeniach i wszystkich zbiorowych robotach ani prawdziwego, ani dość wyraźnego znaleźć niemożna. Parę pism peryodycznych w tej epoce wychodzących ani były wyrazem rzeczywistych potrzeb prowincyi, ani im zadość czynić mogły; pojedynczo ogłaszane prace w najrozmaitszych przedmiotach, z różną pomyślaną i wykonaną zdolnością, przyjmowane były dość obojętnie, a same dowodziły rozproszenia się myśli w drobnych odłamach, nieumiejącej czy niechcącej stosować się do potrzeb ogółu i niemi zawiadywać. Z historyi, literatury pięknej, filozofii, archeologii, nauk przyrodzonych, rzucano tego i owego po-trochu w różnych dozach—co kto miał pod ręką;—lecz ogólnie w tém wszystkiém trudno dostrzec jakiegóż analogii myśli, ciągu pewnego i stale przeprowadzonego. Uderza mianowicie przebijające się wszędzie znużenie, odrętwiałość, ciężkość: tu i ówdzie strzeli jakiś blask żywszy, jakaś myśl gorętsza, zdolniejsza—lecz w szybkim

przelocie ani do dalszego rozwoju zmierza, ani wrażeniem śladu po sobie niezostawia. W ogóle charakterystyka tych pięciu lat, owiana pewną duszną, tłoczącą atmosferą—męczące tylko sprawia uczucie.

W najświeższych czasach, od roku może lub więcej nieco—sposprzecz się daje korzystniejsza zmiana. Rozbudza się umysłowe życie, wstaje ze spoczynku, krzątać się zaczyna i rokuje nadzieję, że po przydłuższém tém milczeniu i wytechnieniu, rozpocznie dalej swą czynność koło uprawy własnej roli. Nieznaczne, słabe wprawdzie te objawy wiosennego drżenia—lecz dojrzeć je przecięć nie trudno. Oto od roku zawiązane towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu, choć o wątłych siłach, krząta się jednak gorliwie i wiele obiecuje. Od dwóch lat przybyło jedno pismo peryodyczne;—istniejące przed niém dążą do coraz większego udoskonalenia się;—kilka dobrych xiążek wyszło z pod pióra miejscowych pisarzy;—powstają nowe zakłady naukowe i pobożne;—w stowarzyszeniach nawet takich, które zabawę głównie dotąd na oku miały, przeważać zaczyna wpływ intelligencyi, jak np. w resursie Poznańskiej (tak zwaném *kółku towarzyskiém*), gdzie co poniedziałek odbywają się całą zimę odczyty naukowe, na które tłumnie publiczność uczęszcza. Myśl ogółu zdaje się tedy szukać jakoś drogi poważniejszej, pożyteczniejszej—obiera środki do tego najstosowniejsze: wzajemnego zespolenia rozrzuconych sił. Słowem wglądawszy głębiej w obecne życie umysłowe prowincyi Poznańskiej, pocieszające można wynieść przekonanie—a to tém bardziej, że jednocześnie stosunki życia materialnego bardzo zachwiane, dotkliwie i trudne, niewpłynęły jednak na tamte tak szkodliwie, jakby tego słusznie obawiać się było można.

Zanim przystąpimy do sprawozdania więcej szczegó-

lowego, do bliższego przejrzenia objawów literatury powyższej epoki, wypada nam koniecznie udowodnić a raczej wyjaśnić rzuconą o niej w ogólnych słowach charakterystykę. Wskazane powyżej symptomata, koniecznym są bowiem wpływem poprzedzających je stosunków, okoliczności, wydarzeń. One to przygotowały je nieodwołalnie. Dla zrozumienia przeto stanu rzeczy obecnego, dla wytłómaczenia go sobie jak należy, zapoznać się pobieżnie przynajmniej trzeba z czynnikami, które na niego tak potężnie oddziaływały. Inaczey mówiąc trzeba się nam cofnąć kilkanaście lat w przeszłość i jednym spójrzeniem powziąć pojęcie o charakterze, kierunku i donośności zasług piśmiennictwa tego czasu, oddzielić wpływy zewnętrzne od samodzielnego usposobienia i rozwoju, oraz ocenić i roztrząsnąć warunki, pod któremi się kształciło i krzewiło; jednym pociągiem pióra, jednym słowa potokiem odsłonić całość obrazu; ze wszech stron ukazać jakie farby na pędzel nałożono, jaka ręka nim wiodła, jaka gra światła i cienia na malowidło się złożyła: jaskrawy i różnobarwny to obraz, burzliwy i kipiący całą pełnią życia ferment! Z niego jednak wychyliła się świeża przeszłość i to położenie rzeczy, które obejrzeniem tamtego wyjaśnić zamierzamy. Wielką trudność tego zadania, zawilość samej kwestyi, drażliwość jej—czujemy ze wszech względów. Są to rzeczy, które, by dokładnie, należycie zbadać, obszernym dziełem ledwie objąćby można; są to chwile zbyt nas bliskie, aby z całą spokojnością o niejednym sądzić się dało;—stosunki, wypadki zbyt świeże, zbyt drażliwe, aby o nich z całą swobodą rozszerzyć się można. Wbrew chęci trzeba o niejednym zamilczeć, niejedno ledwie dotknąć, od odsłonięcia prawdziwych sprężyn ruchu się powstrzymać;—w końcu zaś, trudność zadania podnosi jeszcze wiele dla

nas samych ta okoliczność, że w owym czasie aniśmy w prowincyi Poznańskiej przebywali, ani do stosunków i wydarzeń chwil owych ręki własnej przyłożyć mogli. Choć zyskuje się może w takim razie na łatwiejszej możności wyrobienia sobie trzeźwego sądu; wszakże z drugiej strony niezawodnie traci się na sile żywego pojęcia, gdy się akcyi obecnym niejest, gdy fakta w daleko rozproszonych wiadomościach zbierać potrzeba, gdy wrażenia odbiera się z martwych liter a nie wprost z niemi się styka. Różnicę taką przyrównałby można do znajomości człowieka, z którym się wiele lat razem spędziło, a do znajomości zabranej z nim po odczytaniu napisu grobowego kamienia, co życie jego poświadcza.

Znamy więc dokładnie trudności towarzyszące podjęciu zadania, którego jednak uniknąć w naszej pracy było niepodobieństwem. Otwarcie i szczerze wyliczyliśmy je, choćby dla usprawiedliwienia się w razie, gdyby mimo wiedzy pomyłka jaka wcisnąć się miała; podnieśliśmy je choćby dla całego uznania ważności chwili owój, którem przejęci jesteśmy, dla zwrócenia uwagi na nią pióra zdolniejszego, jeżeli niezaraz to w najbliższej przyszłości pozwalającej traktować ten przedmiot w całej rozciągłości i z całą swobodą.

Pomimo tego niewahamy się spróbować sił własnych—w granicach i rozmiarze właściwym. Piszemy rozprawę tę wyłącznie dla Teki Wileńskiej i dla najbliższych jej czytelników. Zdaje nam się, że wiele względów niepozwała dotąd o wielu kwestyach traktować w pismach na Litwie rozpowszechnionych: w nadziei, że rzucimy nowe światło na część piśmiennictwa naszego, tym przynajmniej czytelnikom, którzy z niem wprost zapoznać się niemogli—na skreślenie poniższych słów kilku odważyliśmy się.

II.

Boleśna cisza, co przed dwudziestą sześciami laty piękny, szeroki kraj nasz owiała, wszystkimi stosunkami życia publicznego i domowego jednakowo zawładła, na wszystkie ten sam wpływ wywarła. Jak w Alpejskich krainach, gdy z szczytów gór ze złowrogim hukiem i szalonym pędem straszne zesuną się śniegów lawiny, — przykryją wszystko w dolinie co żyło i kwitło jedną ciężką powłoką — nie-me, martwe zapanuje milczenie: — tak i pod on czas glucho było w kraju naszym od granic do granic, bo równie śnieżną zawieją pomiotti wieher wokoło i przysypał wszystko. Zaskrzepla krew' w sereu, wstrzymał się oddech w pier-si i zastanowiły bieg swój całego organizmu płyny. Na ziemi i wśród ludzi uroczyste, poważne milczenie zaległo, — milczenie, które szanować należało.

I ta część Wielkopolski którą dziś księstwem Poznańskim zowiemy, zawtórowała oddźwiękiem, na który całego kraju akord był się nastroił. I tu podobnie jak gdzie-indziej, w obec ciężkiej katastrofy nastąpiła zupełna stagnacya w życiu publiczném, prywatném, — we wszelkiej pracy co żywotniejszego ruchu żądała, co silniejszego poparcia, swobodnej myśli wymagała. W wyniku tym i na polu piśmiennictwa powstała próżnia, zeszedli z posterunków swych czujni stróże rozwoju myśli powszechniej, zadmuchnęli lampy swoje — a tylko słabe dymy ich snuły się przy ziemi.

Stan ten trwał lat kilka.

Potrzebę ożywienia się, zbliżenia wzajemnego, coraz bardziej poczuwać zaczęto. W myśli tej zaczynają się naj-przód zawiązywać po prowincyi stowarzyszenia agronomiczne, składać przy nich sięgobziory, urządzać czytelnie, —

następnie zjazdy i zabawy w celu poznawania się, spojenia organizmu ciała obywatelskiego dotąd w drobne kółka rozproszonego. Agronomiczno-towarzyskie te instytucye wyraziły się wreszeie w r. 1834 założoném pismem, p. t. *Tygodnik rolniczo-przemysłowy*, w którym najczynniejszy brał udział podówczas Jędrzej Moraczewski. Jednocześnie w obec coraz dotkliwiej ezné się dającego braku wszelkiej karmi umysłowej, zjawia się nowe pismo w Lesznie u Ernesta Gunthera założone przez Jana Poplińskiego i Józefa Łukaszewicza p. t. *Przyjaciel Ludu*, mające zbudzić ducha z letargu, służyć nauce, rozrywee i powołane zebrać w jedne ramy Pamiętnika, rozproszone zabytki sztuki, wiedzy, historyi, wspomnień i legend krajowych. Nietylko w Poznańskiej prowincyi, ale w całej ziemi Polskiej rozbiegl się niebawem najprzyjaźniejszy odgłos dla tej publikaeyi. Podobnej wziętości, sympatyi niedoczekają się pewno żadne drugie pismo. Naszém zdaniem głównie przypisać to należy chwili w której ono wystąpiło — szczęśliwemu pomysłowi co do charakteru jego i kierunku samego. Umiało połączyć zabawę i pożytek, zakolać do serca i brząknąć w najczulszą jego lutni strunę. Wszak z żywą wdzięcznością, z smutną rozkoszą, z najgorętszym uczuciem witamy zawsze obraz utraconej drogiej osoby, choćby w chwili konania jej zdjęty; namiętnie przytulaamy do ust cząstkę jej szaty, lub jakiegobądź szczątków ją samą nam przypominających. Tak też było z Przyjacielem Ludu. Miarażyskanego wzięcia niepodobna mierzyć rzeczywistój, krytycznie ocenionej zasługi jego. Mnóstwo opisów znanych okolic, pamiątek dziejowych, biografij zasłużonych mężów, — podawał jedne za drugimi bez oględnych studyów, często dla ryciny lub portretu więcej. Zbierane bez wyraźnego systematu rozprawy naukowe, epizody historyczne, poda-

nia i pieśni ludowe, powieści najrozmaitsze—puszczał w świat zwykle bez wyboru, jak przyszły, bez analizy poprzedniej. Ale, że to wszystko osnute i przejęte było tchem myśli narodowej, wyrwanem świeżo z pamięci, że do tych wszystkich opisów przywiązana była wartość wagi ich, że były drogie wspomnieniem, a podania i legendy wyjęte z ciepłego łona ludu grały jeszcze pełnią życia:—słowem, że gdy całość była jakby echem szczęśliwej i ukochanej pieśni, choć pewno niedokładnem, czasem nie pewnem, że echo to zabrzmiało wśród ciszy pogrobniej,—więc gorąco chwymano każdy powiew jego, a tak dla Przyjaciela Ludu nieznano granic uniesienia.

Wpływ wszakże, który on wywarł, tylko jak najkorzystniej da się zanotować. Pominąwszy już niesłychaną ważność sprawioną wystąpieniem jego samém w ogólnym interesie prowincyi i kraju—przyczynił się jak wtedy, głównie i jedynie do rozbudzenia życia umysłowego, ducha pracy, kierunku tejże, oraz do zwrócenia uwagi na zabytki archeologii, wspomnienia, legendy i podania. Z tych powodów założyciele Przyjaciela Ludu, a następnie pracownicy inni koło niego, mogą słusznie dopominać się najszczerzego uznania swych zasług. To co pismu temu niedostawało, wypływało nie z braku chęci dobrych, ale z braku sił; w każdym zaś razie było usterkami czysto scyentyficznymi, nie zaś poniżającymi moralnie wysoką wartość i zasługę pożytecznej tej pracy.

Istnienie Przyjaciela Ludu przeciągnęło się do roku 1848. Zmieniając kilkakrotnie redakcyę, ostatecznie zupełnie osłabło na siłach. Zawsze jednak, te szesnaście lat jego egzystencji są jeszcze jednym dowodem więcej, powszechnego dla niego współczucia, gdy w czasie 1840—1848 dziennikarstwo właśnie liczbą swą najwyżej stało

w Poznańskim, gdy w epoce tej myśl powszechna gorliwiej zajęta była kwestyami, gdy jej najbardziej zbywało wtedy na spokoju i skupieniu się dostatecznem, a przy najmniej takiem, by przedmiotami przez Przyjaciela Ludu podawanemi zająć się mogła.

Dawszy już raz hasło przebudzenia się do pracy, postępowanie w niej powolnie z początku, ale przecię wyrażniej rozwijać się zaczęło. Za śladem Przyjaciela Ludu widzimy rodzące się coraz nowe usiłowania na polu literackiem. Tak w r. 1836 x. Jabczyński zakłada *Archiwum teologiczne*, pismo miesięczne, mające podawać najważniejsze dokumenta dotyczące się rzeczy Kościoła. W roku tym jednak ukazały się tylko trzy, a w następnym tylko jeden zeszyt.

W roku 1837 x. Tomasz Borowicz (+ d. 15 sierpnia 1857, jako pleban w Brodnicy w w. x. Poz.) u Günthera w Lesznie zaczyna wydawać co tydzień pół-arkusza pisma moralno-religijnego, wyłącznie dla dzieci w szkołkach wiejskich poświęconego pod nazwą, *Szkołki Niedzielnej*. Jasnym wykładem, przystępnym językiem, gorliwą redakcyą, prawdziwem zamiłowaniem przedmiotu i celu, szanowny ten ś. p. redaktor zarobił na najchlubniejsze imię, a pismu swemu nadał niedosć pewno jeszcze ocenioną wartość. Zostanie ono na długo wzorem dla tego rodzaju przedsięwzięć, a istotnym pożytkiem dla biednych dzieci ludu. *Szkołkę Niedzielną*, prowadził do r. 1848 z tą samą żarliwością i podziwienią godną wytrwałością. Następnie do r. 1853, słabsza już wiele wychodziła pod redakcyą x. Koteckiego.

Założenie *Tygodnika Literackiego* w r. 1838 przez Józefa Łukaszewicza i Antoniego Poplińskiego (brata Jana) pod firmą A. Wojkowskiego—otwiera nowy peryod cha-

rakteru pismienictwa w w. x. Poznańskim, który od roku 1840 wypłynął dopięro na pełniejsze morze, znacząc swe objawy odmiennemi zupełnie niż dotąd cechami. O piśmie tém będziemy mieli więcej do powiedzenia następnie, a zwłaszcza wtedy, gdy przeszło de facto (1840) pod redakcyę Wojkowskiego: w stosunkach bowiem lat następnych grało niepoślednią rolę. Tu najprzód tylko zwracamy uwagę czytelników, że pismo to przez dwa lata pierwsze (1838—9) zupełnie w swym charakterze inne miało znaczenie niż później, a to tak dalece, że choć potém pod tą samą nazwą i firmą wychodziło za jedno i to samo brać go przecię nienależy. Lecz niewyprzedzajmy biegu rzeczy.

W latach tych, a mianowicie od r. 1834 występuje czynnie, znakomita w rządzie miłośników narodowego oświecenia postać—występuje Edward hr. Raczyński. W pomienionym roku buduje piękny gmach w najczelniejszej ulicy Poznania i składa w nim bogatą bibliotekę swoją na użytek publiczny. Czyni ją dla wszystkich przystępną, urządza czytelnię, uposaża stałym funduszem na zakupno książek i utrzymanie urzędników przeznaczonym. Biblioteka ta liczy obecnie przeszło 20,000 tomów, posiada wiele ciekawych rękopismów (około 300) z XIII, XIV i XV wieku, a szczególne z XVI i XVII, dotyczących się spraw krajowych, mianowicie Wielkopolski. Uchwały sejmików grodzkich znajdują się tu w komplecie.

Od téj epoki zaczynają się ukazywać szeregiem wydawnictwa materyałów historycznych, pamiętników, z niezłomną gorliwością przez zacnego męża tego, aż do śmierci jego (r. 1846 na wyspie jeziora Zaniemyślskiego, gdzie wystrząśnięm z mózdzierza życie sobie odebrał) prowadzone. Czerpane w archiwach krajowych i zagranicznych, z pośpiechem

drukowane, urosły w znaczną liczbę. Wielki brak wszakże krytyki, poprawności, dokładnej staranności mocno w nich czuć się daje i wiele razy był już wykazywany (1).

Wspomnieliśmy, że rok 1840 nowy zwrót literaturze Poznańskiej nadaje; zbliżając się do niego, spójrzjmyż jeszcze raz po za siebie w ubiegło lat kilka, jednym je obejmując wyrazem. Powoli, nieznacznie ale obiecująco zaczynało się wychylać wszystko, co w uspieniu trwało. Pojedynczy pracownicy, pojedyncze siły probują czy pokrzepieli już dosyć, czy można wysłać gołębicę z dobrą wieścią między braci:—z obawą choć z gorącą chęcią stają oni do roboty—z niepewną dłonią chwytają za pług, niewiedząc czy dość rozmarzła już gleba. Wszędzie objawy dobrej woli, poezciwój chęci—ale wszędzie brak ufności w siły. Drzącém światłem zarumienia się ta zorza wschodzącego słońca myśli—niewiedząc czy wypłynąwszy

(1) Edward hr. Raczyński wydał: Podróż do Turcyi, 1822. Listy Króla Jana III, 1824. Jerzy Lubomierski, Statystyka Anglii 1837. Poselstwo od Zygmunta III do Dymitra Iwanowicza cara Moskiewskiego z okazji jego zaślubin z Maryną Moiskówną, 1837. Otwinowski Erazm, Pamiętniki do panowania Augusta II, 1838. Pamiętniki Albr.-Stan. xcia Radziwiłła kanclerza w. Litewskiego, 1839. Dąbrowski Jan-Henryk jenerał, Wyprawa do w. Polski przez niego samego opisana, 1839. Kajet. Koźmiana Ziemiaństwo Polskie, 1839. Codex dipl. Maj. Pol. 1840. Obraz Polaków i Polski, 19 tom. 1840—42. Poezye B. Zaleskiego, 1841. Gabinet medalów, 1841. Żywoty sławnych Polaków w XVII wieku, 1841. Sprawozdanie z fabryki kaplicy grobowej Mieczysława I i Bolesława Chrobrego w Poznaniu, 1841. Wspomnienia Wielko-Polski z atlasem, 1842—3. Archiwum tajne Aug. II, 1843. Codex dipl. Lithuaniae, 1845. Czackiego dzieła, 1845. Albertrandy, Dwadzieścia i sześć lat panowania Wł. Jagiełły, 1848. Pamiętniki Paska. Ludgarda Kropińskiego.

na pełny widnokrąg napotka czysty lazur i jasnym, ciepłym uściskiem siostrzycę ziemię obejmie, czy przyjdzie mu przedzierać się przez czarne chmury i walczyć o pierwszeństwo z błyskawicą piorunu.

III.

Wiele tarcia, mało ruchu.

Aug. Cieszkowski.

..... Ach w tém Poznańskim,
W tém naszym Polsko-Germańskim,
Arysto-demo-kratyczno-pańsko-
Filozoficznie-kapłańskim!

K. Berwiński.

Pod przyjazną wróżbą spokojnej, obiecującej i budującej pracy zbudziła się myśl z odpocznienia. Tuszyć wiele pozwalały jej objawy w przyszłość. Wzrastała ochota gorliwego czynu, pokrzepły siłą dłonie, do rodzenia gotową była gleba. Usposobienie to rodzajne było w tym stopniu, że zdolne już było własnem ciepłem skłonić do kiełkowania ziarno, jakiegobądźby nawet rzucono. Niebawem też najrozmaitsze sypnęły one zawieruchą i gradem na ziemię naszą, padły w spulehniałą już jej warstwę i wszystkie przyjęły się, każde swoją naturą wzrastając.

Wszelkie względy, wpływy i stosunki zewnętrzne, krajowe i społeczne najprzyjaźniej temu mięszanemu sięwowi pomogły. Rychło z jednego zagonu wychylać się zaczęły najrozmaitsze rośliny, szybko, smagło podnosić wiotkie łodygi i pstrokatemi majaczyć barwy, sypać nasiona w różne strony wichrem gnane, spychające się wzajemnie z ciasnej przestrzeni. Dziwnież to tam były krzewy i rośły: swojskie i obce, pożyteczne i zjadliwe, płodne i płonne. Ale rosły czas jakiś wszystkie, rosły rozmaicie, słabiej lub silniej w miarę żywotności zasobów—bo pod

wszystkimi była gleba dobra, pocziwa, gleba rozgrzana, rodzić pragnąca. Wiemy że oset tylko na silnej, odpoczętej roli bujno się krzewi.

Epoka piśmiennictwa prowincyi naszej, z temi cechami, obejmuje mniej więcej lat jednaście i pół— t. j. do lipca 1850 r., w którym to czasie nowy zewnętrzny stosunek zamyka całe prawie dziennikarstwo, przytłumia słabnące już wysilenia, dotkliwie ścieśnia swobodę umysłowej pracy—słowem, chwili od której nowe ostygnięcie, datujące aż do najświeższych znowu czasów.

Rzućmy okiem na charakter tej epoki.

W r. 1840 zaszła zmiana na tronie Berlińskim. Z wstąpieniem nowego nań króla, stosunki prowincyi Poznańskiej wielom uległy zmianom—zmianom, któremi się powszechnie cieszone. Fryderyk Wilhelm IV, mimo że w uprzedzeniach Pruskich i niechęci Pruskiej wychowany, rozumiał wówczas ze strony poetycznej przywiązanie Polaków do narodowości—i miał jak najlepsze chęci. Ztąd nadzieja, otucha w przyszłości, wnioski szczęśliwe rozjaśniły wszystkim myśl, ożywiły serca, podobnie jak u was w tej chwili. Ku pracy naukowej, literackiej, rzuciło się wszystko z energią i zapalem a dobrą myślą. Właściwa ruchliwość literacka rozpoczęła się z latem r. 1841, w którym dr. Karol Libelt otworzył publiczne prelekeye o literaturze Niemieckiej. Niebawem następnej zimy zaimprovizowano rodzaj uniwersytetu: dr. Matecki zaczął wyklądać o chemii, Jakób Krauthofer o filozofii prawa, Libelt o estetyce, a Moraczewski historję ludów Słowiańskich i Polski aż do XV w. Tłumnie zgromadzano się na te odczyty do sali pałacu Działyńskich—i im przypisać należy wydanie hasła do pospolitego ruszenia w piśmiennictwie. Tej chwili zwrótu pracy naukowej winno powstanie swe Towarzystwo do dzi-

siaj istniejące, a w tedy głównie uorganizowane przez ś. p. d-ra Marcinkowskiego (1). *Towarzystwo naukowej pomocy*, przez władze miejscowe zatwierdzone patentem d. 21 września 1841. Celem jego wychowanie i wspieranie własnym kosztem najuboższej, zdolnościami wyszczególniającej się młodzieży. Oparte na dobrej woli obywatelstwa, ze składek rocznych w fundusze opatrzone, przyszło do znacznych kapitałów, za pomocą których wydźwignęło i postawiło na pożytek kraju z pomiędzy mass ludu mnóstwo zdolności, które bez téj pomocy niezawodnie zmarnowaneby były. Wielu najzdolniejszych dziś professorów, lekarzy, duchownych, rzemieślników, inżynierów i t. d. w xęztwie Poznańskim, świadczą życiem i pracą swą o dobroczynności i owocach towarzystwa. Jest ono największą chlubą prowincyi i jedyném dziełem, które burzliwa, smutna zkładinąd epoka postawiła. Niemamy słów na oddanie zasług i uznania tak instytucyi téj, jak i czcigodnemu ś. p. jój fundatorowi—i dziwić nas tylko nieprzestaje, że dotąd po 17 leciech od czasu założenia Towarzystwa naukowej pomocy w Poznańskim, *nic podobnego w innych prowincjach kraju naszego się niezrodziło!*

Między innemi w skutek zmiany tronu reformami, było i ułatwienie styczności z zagranicą, z Francją. Socjalnemi najróżnorodniejszymi pomysłami zaczynał burzyć się ówczesny Zachód. Pismami tylko udzielał się dotąd fer-

(1) Dr. Karol Marcinkowski ur. 23 czerwca 1800 w Poznaniu, um. 7 listopada 1846 w Dąbrowie w powiecie Obornickim. Życiem poświęcenia, szlachetnych czynów, biegłością w sztuce lekarskiej, założeniem wreszcie powyższego Towarzystwa, uwiecznił się w pamięci wdzięcznych współobywateli i ziomków—i z największą cześcią dotąd wspominanym bywa. Napisał: *Uwagi nad naturą i historią kołtuna*, Kraków, 1846.

ment jego Poznańskiemu; teraz zaś ziomkowie wychodzą przybywając licznie w obec swobodniejszego prawa, ryczałem przynosili z sobą obce teorye, pomysły, obok indywidualnych najrozmaitszych przekonań, uzdolnień, zwrótów życia, przeważnie nasiąkłych nierodzinny już wpływem, przejętych obcemi idejami. Te zaś, jak wiadomo najczęściej w zastosowaniu na miejscu swego zrodzenia nawet, niedójrzałemi się ukazywały; a cóż dopiero przeniesione do kraju, pod inne niebo, inne stosunki, między innych ludzi! Różnobarwny, różnochorągwesty ten zastęp ziomków naszych, zatknął jaskrawe sztandary swoje tłumnie na Wielkopolskiej równinie, potężnemi głosy zaczął obwoływać godła swoje, a przyjmowany wszędy z otwartemi ramionami, wylanemi sercami, pod urokiem oddalenia, cierpień i poświęceń—rozdzielił społeczeństwo miejscowe na drobne, gwarne obozy pojęć i kierunków. Każdy z nich skupiony koło pewnej flagi, zaczął objawiać ślad życia szermierką ze zwolennikami drugiej, rozbijaniem się hałasem za czémś co niemiało ani kształtu, ani celu, ani osnowy wyraźnej, dobrze pojętej i jasno widzianej. Całe zaś tło pstrokatego obrazu pociągnęte było purpurowym kolorytem przywiązania do kraju i gorącej chęci służenia mu; w téj myśli tylko i w tym celu wrzało to niesforne pospolite ruszenie. Niemiało jasnej samowiedzy, niewiedziało wyraźnie swój drogi, zapominało że jednym, szerokiem szlakiem iść należało, by znaleźć upragniony cel, a niegubić się po manowcach i potracać wzajem w ciemnych zaułkach—i tém błdziło. Był to błąd nie w zasadzie, ale w rozwinięciu. Ztąd obok wielkiej, nad siły naprężonej czynności, niebyło czynów,— a jak słusznie wyrzekł nasz myśliciel: było *wiele tarcia a mało ruchu*.

Bo dziwaczne też kształtem, sprzeczne oświeteniem,

snuły się po tym obrazie różne pojedyncze postacie lub grupowały się gromady, każda w inną stronę spiesząc i wzajem się spychając, potracając, goniąc. Mglista, hałaśna zawierucha. Więc przykro uderza w tym obrazie ogólnej harmonii tonu brak, powszechny rozstrój, gorączkowym, epileptycznym prawie wyrażający się pośpiechem, — dymem i kurzawą wirująca zamieć. Rozjaśni się czasem jakieś kółko maleńkie, strzeli zeń czysty promyk, uwydatni czasem jaka postać, lecz zawsze zjawisko to trwania tak przelotnego, efemerycznego — przysłania się niebawem wieczną chmurą i niedaje się ani poznać bliżej ani ocenić należycie mignawszy zaledwo gwiazdy przelatującej pędem. Zdając sobie sprawę z tego dziesiątka lat, niesłychanie unużającego doznaje się wrażenia, chcąc wysledzić kierunek myśli ogólnej, która co chwila rozrywana w różne drogi za mgłą przeczuwa swój kres. Niewie jak zmierzając ku niemu, oddala się i zbliża, szamocze i uspokaja, staje nad przepaścią lub wchodzi na tor ubity, to niema dosyć spokoju, dosyć siły organicznej, by cierpliwie zbadać głębinę na dnie której chce umocować kotwicę.

Wszystkimi uczuciami grała pierś ludzka wtedy, wszystkimi śluzami kipiał wezbrany potok, wszystkimi rozdrożami błędziła myśl. Wstrząśnienia polityczne lat kilku dołały palnego płynu. I był znowu czas, gdzie wojenna rada stała się przeważającą melodią, na której tema grzmiały strzały. Polityką oddychało wszystko: polityką dzienniki, rozprawy, nauka, poezja; polityczną skalą mierzyły się i oceniały stosunki, położenie i życie całe.

W logicznej konsekwencji cała literatura nie tylko była najprawdziwszym wyrazem tych wszystkich pojavów, ale należała do nich bezpośrednio, była ich rzeczywistą potrzebą, organem, oddechu naczyniem.

Tłumy broszur i pism ulotnych mnogość rozmaitych dzienników, noszą na sobie cechę tej zawieruchy pojęć ginących najczęściej w ostatecznościach socjalizmu lub radykalizmu, w filozoficznych zagłębiach Heglowskich i lotnych płasach poetycznej, rozkołysanej wyobraźni, w flegmatycznym gadulstwie i gorączkowych wykrzyknicach, w biblijnym nastroju i płóchem zrywaniu się! Istna mozaika rozklejona! Ze wszystkiego po trosze, każdej farby, każdego kształtu i zakroju nieco — a niczego w całości, w pełni, w ukończeniu. Myśli przewodniej, ładu w układzie, porozumienia się wreszcie, najwyraźniej nie było! Z pośród tej wrzawy zmaconej, zalatują czasami jakieś głosy wzywające do porządku, do zgody, do wyjaśnienia wzajemnego; — ale zaslabe ich dźwięki wnet przygłusza powszechny gwar.

Burza nie zbudować niezdolna; sama jej nazwa w naszym języku ma już pojęcie niszczenia. Fizycy twierdzą, że w przyrodzie jest ona do dalszego życia, do wzmocnienia jego pierwiastków niezbędną; w historii prawo to jednak zastosować się nie da: pytając o rezultaty burzliwego procesu tych jedenastu lat w umysłowym i społecznym życiu prowincyi Poznańskiej — dodatnich trudno dojrzeć. W korzyści, zdaniem naszym, zostało nam tylko doświadczenie, nauka, jak przezornie zbliżać się należy do teoryj, których zasadą bezwzględnie obalać dawny porządek, bez zasobów wystarczających do postawienia lepszego, nowego. I więcej jeszcze nauki i innego doświadczenia nam przybyło jakich? to nadto jest dotykalmem aby zbyt zbytecznym nie było je wyluszczać. Lecz prócz tych, zostało wiele cierpkiego wspomnienia, ubyło dużo siły, uroniło się nie jedno co niepowetowane!

Przerzućmy kilka pomników literackich tego czasu, zajrzyjmy w kolumny dzienników, tych ciepłomierzy orga-

nizmu, podejmując przynajmniej co silniejszym rozrostem się uwydatniło, a zapoznamy się bliżej jeszcze z obrazem powyżej naszkicowanym.

W całym tym peryodzie pisano wiele, bardzo wiele; zdawało się to leżeć w usposobieniu chwili, być symptomem charakterystycznym. Kiedy już hałasować to dobrze, kiedy pisać to wolumina. Niedoczekają się pewno ani Poznańskie, ani żadna prowincja nasza, aby przez 10 lat w takim kraiku 30 pism peryodycznych prawie naraz wychodziło. Poznańscy prześcignęli wtedy nawet sąsiadów swoich, chlubiących się szybkopiorą zdolnością, ułatwiającą im opisanie, przepisanie i spisanie całego życia i wszystkich jego warunków—zapełnienie tomów badaniami nad partykułą jedną i t. p.—Założenie jakiegoś dziennika powodowane bywa zazwyczaj ważnemi przyczynami, pilną potrzebą, rozległością jakowej pracy streszczenia wymagającej. Podówczas skromniejsze miano pobudki, nie tak donosne motywa; przypomina nam się racya podana przez zacnego z kądinąd redaktora, przy otwarciu bardzo pożytecznego później pisemka, *Szkółki dla dzieci* Ew. Estkowskiego. Tak on wyklada popularnie przyczyny skłaniające go do tej publikacyi: „Bo to widzicie różne pisma „codzień: jedni trzymają Gazetę, albo Dziennik polski, ubożsi i mniej wykształceni trzymają Wielkopolanina albo Wiarusa, nauczyciele trzymają Szkołę Polską; więc tak *wszyscy mają pisma dla siebie*, tylko dzieci niemają. *A czemużby i dzieci pisma swego mieć niemogły?*”—Z podobnych powodów zakładano najczęściej dzienniki, aby pewne kółko odrębnego jakiegoś przekonania i teoryi miało swój organ, niby miecz, którymby naokoło machać mogło. Jeżeli się tylko znalazł człowiek, który jako tako podjął się tę rzecz prowadzić, jeżeli zjawił się jaki taki fundusz

na początek, to i warunki do exystencyi dziennika były w komplecie—bo o resztę mniejsza: to się zostawiało jakoś trochę losowi, trochę nadziei, resztę Panu Bogu. W tym punkcie pojęcia religijne były najpowszechniej zgodne. Opatrzności poruczano najczęściej z całym zaufaniem troskę wydawnictwa. Gdyby odsłonić można i wolno było zakulisowe dzieje żurnalistyki ówczesnej,—ciekawych i interesujących nastręczyłyby studyów.

Tygodnik literacki założony w r. 1838 przez Poplińskiego i Łukaszewicza pod firmą A. Wójkowskiego, zajmuje jedno z najważniejszych miejsc w historii wzrastającego dziennikarstwa. Niepodobna mu zaprzeczyć, iż wpłynął niesłychanie wiele na ożywienie ducha, skupienie rozrzuconej pracy, wykształcenie literatury lekkiej, powieściarskiej. Pod tym względem ma bardzo wielką zasługę. Z początku był on umiarkowanym, spokojnym, trudnił się wyłącznie uprawą piśmiennictwa i szczerzeniem zamiłowania do niego. Gdy wszakże w r. 1840 właściwi redaktorowie niemogli się pogodzić z Wójkowskim, który niezadawalniając się firmą samą, czynnie zasady swoje przeprowadzać zaczął—ustąpili mu miejsca i oddali pismo pod jego własny kierunek. W charakterze swoim zmieniło się ono zaraz. Na życiu, wziętości niezbywało mu wcale—owszem pomnożyły się one może: bo redaktor młody, ruchliwy, energiczny, rozrządzający potrzebnemi kapitałami, miał przymioty do nadania świeżości, różnobarwności Tygodnikowi; umiał wielu do siebie przygarnąć, zachęcić, każdą zdolność dostatecznie ocenić i stosownie do swego poglądu na rzeczy użyć. W Tygodniku prócz mnóstwa innych spotykamy: Libelta, Siemińskiego, Moraczewskiego, Kraszewskiego, Czajkowskiego, Dembowskiego, Dahlmanna, Goszczyńskiego, Maciejowskiego, Wasilewskiego, Żygliń-

skiego i t. d. Lecz przymiotów swoich nieumiał użyć młody redaktor Tygodnika literackiego. Porwany powodzią ducha czasu, dawał przystęp w piśmie swém zasadom często niedojrzałym, błędnym—ale pociągającym go ku sobie gorącą żywotnością i jaskrawością. Sam takiego usposobienia, nie miał czasu ani zdolności do analizy wszechstronnej, choćby najważniejszego przedmiotu.

Demokratyczne maxymy, socyalne marzenia, w całej pełni zapanowały w Tygodniku. Dziwnie raziły obok tych nowości w jednym i tym samym numerze podawane dokumenta, akta, ustępy z historyi odległych wieków, przy nich lotna namiętna poezyjka, wesoła powiastka, za nią filozoficzna dysertacya, tuż zaraz brukowa wiadomość, jadłowita plotka, nieprzyzwoita krytyka a raczej często bardzo paszkwil—oto i skład Tygodnika!

Na dobrą opinię o sobie samym niezbywało Tygodnikowi. Oto jego słowa: „Tygodnik Literacki jest przedsięwzięciem jednem z najważniejszych, wpływu jaki wywarł niepodobna niewiedzieć. Wielką chlubą byłoby dla „Poznania, gdyby Tygodnik nie był organem całej Polski, „zbiorem artykułów ze wszystkich stron nadsyłanych! Jakkolwiek bądź, jemu tylko zawdzięcza Poznańskie tę hegemoniję literacką, jaką choćby tylko ze względu postępu „w zdaniach inne województwa w nim uczuć powinny!“

Po tém przytoczeniu, niemoże być już kwestyi o zasadach Tygodnika.

Konał Tygodnik przez r. 1845 i 46. Wójkowski zraził sobie wielu—odsunięto się od niego, pismo osłabło a i sam upadający na zdrowiu niemógł się już tak czynnie niém trudnić; redagował to w Poznaniu, to we Wrocławiu, aż na reszcie wydawszy kilka numerów w r. 1846, na nich zakończył. Nieoceniona strata zmarnowanych zdol-

ności, talentu, środków czynienia dobrze, życia człowieka, któremu nieczego odmówić niemożna prócz zasad zdrowych i spokojnych, brakiem których cała praca, poświęcenia i trudy, których nieszczędził, pożytecznych nieprzyniosły owoców!

Gdy w r. 1840 Łukaszewicz i Popliński usunęli się od redakcyi Tygodnika, widząc jaki charakter to pismo przybierze, jaki wpływ wywrzeć może, powodowani trochę osobistości pobudkami założyli zaraz drugie: **Orędownik naukowy**, aby niejako pracę i exystencyę tamtego neutralizować. Orędownik w pierwszym planie swoim miał być niejako antidotum trucizny, nauczycielem, kierownikiem—utrzymywać równowagę a nawoływać do porządku, jasności i prostej drogi. Pomimo tego zamiaru, nie udało mu się to w zupełności, bo sam zgrzeszył w pierwszym początku namiętnością, na której się oparł i z której powstał. Zacięta, niezmordowana, wszystkie fazy gniewu, żółci przechodząca walka z Tygodnikiem była tą podstawą i ciągłym następnie przeprowadzeniem. Ten antagonizm z jednem pismem, pociągnął za sobą i sprzeciwianie się wszystkiemu co w niém lub z niego wyrosło. Tu leżał powód nieporządku **Orędownika**, dla którego sam reprezentantem porządku być niemógł, choć może szczerze tego pragnął (1).

(1) Z pomiędzy tysiąca, jeden na to dowód na pierwszój lepszej karcie wyrwany. Tak np. w sporze z *Rokiem* polemizuje (1844 str. 46): „Zaiste p. B. co to wie co postęp i dążenia ludowe, lepiejby daleko „zrobił, ucząc się poprawnie pisać po-Polsku i zaokrąglonych dziejów, niż pisać takie *brednie* i wmawiać w młodzież i *nieuków*, „że najwyższém dobrem w położeniu naszym jest postęp ludowy.... „Cóż więc jest, powiedzieć raz przecię wyrażnie, ludzie mieniący „się chętnie postępowymi, ów wasz postęp ludowy, mający milijony ludzi uszczęśliwić? Czemuż w mistycezm jakiś otuleni nieobja-

Stronę naukową, beletrystyczną wykształcił udolnie: zamieścił wiele ciekawych, pouczających prac: Trentowskiego, Lelewela, Maciejowskiego, Wojcickiego, Goszczyńskiego, Magnuszewskiego, Grabowskiego i w. i.

Od holdowania, a przynajmniej trudnienia się kwestyami postępu, wolnym niebył; za złe mu tego mieć niemożna wcale: charakter chwili skłaniał do tego, lecz i w tym względzie zbyt mało trzymał się drogi, którą wytknąć był sobie zamierzył. Ustaje z r. 1845. Jednocześnie z powyższem pismem powstał w r. 1840 *Dziennik domowy* dla kobiet poświęcony, przez pp. Grabowską, Łubieńską, z natchnienia p. Tańskiej założony. Redaktorem był N. Kamiński, wiele w tej publikacyi od fundatorek zależny. Jasnym, prostym wykładem odznaczały się artykuły wstępne, pióra Jędrzeja Moraczewskiego, zalecające się uczciwą dążnością i moralnemi względami. Literaturę lekką obrabiali między innemi: Czajkowski, Witwicki, Maciejowski, Goszczyński, Siemieński. Prócz powiastek zwabiały czytelniczki dołączane ryciny mód. W ogóle publikacya ta niekusząca się o świetne stanowisko, była w skromnym zakresie swoim pożyteczną, popularnie nauczającą i dla kobiet właściwą. *Dziennik domowy* przestał wychodzić w r. 1847.

»wicie wręcz sposobów tego zbawienia narodu, ludzkości? Cemu
»samoluby trzymacie światło zbawienne pod korcem? Cemu się
»z rozpoczęciem dzieła wielkiego ociągacie? Oto dla tego, że jeste-
»ście, albo ludzie *niedowarzeni*, albo dumni, pod płaszczykiem
»jakiegoś postępu ludowego, szukający *własnego wyniesienia*, ko-
»rzyści, szkodzący świętej sprawie niezmiennie, odwodzeniem umy-
»stów w inną stronę, bałamuceniem młodzieży. Ku końcowi swę
»chryi, przyznaje się p. B. dobroduszu do *nieuctwa*. Niech nam
»wybaczy, że mu w tém miejscu wytkniemy stokroć powtórzony pleo-
»nazm... i t. d.

„Uchylając czoło przed przeszłością jako przed babką i prababką naszą i szanując mężów co się téj męzkiej pracy poświęcają ku dobru całości, rozwińmy oraz „drugą chorągiew”, powiewną wiatrem obecnego żywota „i pod hasłem: naprzód myśli narodowa! zestrzelmy w przyszołość siły ducha naszego.” Temi słowy rozpoczęło nowe pismo *Rok* kolumny swoje w r. 1843. Wydawcy jego: Libelt, Moraczewski i Welniewicz, obok własnych wielu prac, ogłaszali między innemi: Cybulskiego, Wężyka, Trentowskiego, Cieszkowskiego, Kozłowskiego, Berwińskiego, Dahlmanna.

Złośliwi ludzie zarzucali *Rokowi*, że powodując się hasłem *naprzód* tylko, a z uszanowaniem zapominając o przeszłości,—buduje dom od dachu nie dbając o fundamenta. Nierozglądając się w wykonaniu budowli powiedzieli byśmy o niej w ogóle, że była bardzo doraźną, słabą. Brakowało tam oczywiście dobrej uorganizowanej redakcyi. Zbierane artykuły nieprzystawały niczem do siebie, owszem sprzeciwiały się często zakrojem jedno drugiemu. Polemika, krytyka, idąc za powszechnym wtedy zwyczajem, odbywała się bez powagi, spokojnego sądu, wszechstronnego obejrzenia—lecz wrzała namiętnością, szykanami, uprzedzeniem. Zamaszyście też i *Rok* szermierzył na prawo i na lewo. Czego sam chciał, dokąd dążył, pewno niewiedział; płynął z wiatrem gdzie ten go zagnał. Oparł się dziś na religii, jutro na nowém wyznaniu, tu na demokracji, tam na ludowym postępie, ówdzie na socyalizmie, dalej na komunizmie, a gdzieindziej na ekonomicznych reformach. Gniewał się zawsze na każdego, kto zdań jego tak sprzecznych niepodzielał—więc gniewał się na wszystkich, i to często nader dosadnie... Mglisto i chmurno było mu w duszy i na świe-

cie jak wiekowi bieżącemu, którego zadaniem według *Roku* jest „wypełnić ideę państwa w idealności i rzeczywistości przez ogólnik, szczegółnik i pojedynek, czyli przez narodowość, towarzystwa i wolność.” (1845, IX, str. 53). Kto to dziś rozwikła, zrozumie? A ileż to wtedy głów zdumiało się nad równie głęboką myślą, wzniosło-łonną potęgą wyśłowienia?!

Jeżeli koloryt, którym to pismo było powleczone może dozwolić na miano poważnego, to przynajmniej forma, którą rzeczy traktowało, starała się być poważną t. j. o tyle, że w kształcie rozprawy, dyssertacji się pojawiała. Belletrystyka była zupełnie wykluczona. Talentów w *Roku* jak w całym tym okresie piśmiennictwa niebrakło; pióra wyrabiały się coraz bardziej; szkoda tylko, że to kształcenie się nie odbywało się na innej drodze. Zakres w którym *Rok* się poruszał był nieoznaczony. Polityka, społeczność, etyka, ekonomija — wszystkie były podejmowane. To samo już przyczyniło się do owej słabości i dwoistości, której wpływem było, że *Rok* niezajął żadnego stanowiska, niczego niedowiódł, niepotrafił być organem żadnym nawet. Zakończył chorowity żywot w r. 1846, gdy wszystkie pisma w prowincyi na jakiś czas zawieszone zostały.

W tymże r. 1843 zaczęła wychodzić *Gazeta Kościelna*, mająca być pismem dla duchowieństwa, traktującym ze stanowiska Katolickiego sprawy kościoła. Nader biernie zachowała się ona jednak w tym względzie — a na polu artystycznym trzymała się mierności, żywiąc się głównie przekładami. W r. 1849 przestała wychodzić.

W r. 1845 powstaje miesięczne pismo z odrębnymi cechami, charakterem, kierunkiem od wszystkich innych:

pojawia się *Przegląd Poznański*, który ze do tej chwili wychodzi, powiemy w następnym okresie o znaczeniu jego. W tymże roku zaczęła wychodzić miesięcznymi poszytami *Obrona prawdy*, pod redakcją x. Urbanowicza. Powodem pojawienia się jej było wystąpienie Jana Czerskiego (1) xiędza katolickiego z łona kościoła i głoszenie nowych zasad religijnych. Zbijać je, potępić apostazję było pierwotnem zadaniem *Obrony prawdy*. Następnie rozszerzyła swój zakres — zaczęła prostować błędy religijne przez dziennikarstwo szerzone. Ma pod tym względem wiele zasługi, choć wziętość jej była nader ograniczoną; — zasobów brakowało redakcyi, a tak pismo jej bez pomocy i poparcia z zewnątrz, chromieć musiało. Oprócz religijno-odpornego stanowiska które zajmowała — drukowała *Obrona prawdy* ustępy z historii kościelnej, mniejsze prace teologiczne, oraz notatki i uwagi literackie. Przestaje wychodzić w połowie r. 1846 razem z wielu innemi pismami niebędąc w stanie przedłużyć swego istnienia.

Także w r. 1845 zaczynają Estkowski i Łukaszewski, nauczyciele elementarni redagować pod firmą Wójkowskiego *Pismo dla nauczycieli ludu i ludu Polskiego*. W owych latach panowania teoryi, ta musiała poruszać wszystkie stosunki i kwestye. Dziennikarstwo rozdzielało się nie tylko według stronnictw, ale i według stosunków społecznych. W piśmie powyższem poświęcono więc jedną kartę i in-

(1) Jan Czerski ur. w Worłub w Chetmińskim, wyświęcił się na xiędza jako wikary przy tynie Poznańskim w r. 1842. Odesłany był najprzód do Wir, potem do Piły. Suspendowany w r. 1844 w obowiązkach kapłańskich, zaczął głosić nową wiarę, przeszedł na religiję Protestancką i stał się powodem wielkiego zgorszenia i przykrych wydarzeń.

teresowi ludu i nauczycieli tegoż specyalnie. Po długich poprzednio debatach nad ludem samym, po wynoszeniu go do apoteozy i bałwochwalstwie prawie dla niego z jednej strony, a bezwzględnie często lekceważeniu z drugiej, zgodzono się nareszcie wspólnie, że lepiej zająć się czynnie pracą koło jego kształcenia. Co rozpoczął czcigodny ś. p. x. Borowicz w swojej *Szkółce Niedzielnej*, usiłowało prowadzić dalej w jednej połowie powyższej publikacyi, wyłącznie dla czytelników wiejskich poświęconej. Druga przeznaczona była dla nauczycieli elementarnych. Oświadczyła redakcyja na wstępie, iż w obec braku możliwości porozumiewania się tychże nad biegiem nauki szkolnej, rozwojem jej, wymieniania wzajemnych uwag i spostrzeżeń, w skutek niedostatku książek pedagogicznych moeno czuć się dającego — pragnie zadość uczynić tej potrzebie, powyższem wydawnictwem. Uczciwym tym pobudkom starała się wydolać jak mogła, i pomimo zniechęcającej firmy Wójkowskiego zjednała większą część publiczności a mianowicie duchowieństwo, dobiła się jakiejś takiej wziętości, a pracę swą wcale pożyteczną uczyniła. Część dla ludu przeznaczona dobrze była obmyślana, ale słabo wykonana, zdradzająca, brak rutyny w tego rodzaju literaturze. W ogóle ubóstwo przebijało się w tej robocie. W skutek braku współpracowników, oraz wypadków politycznych, krótko trwała ta publikacyja i z następnym rokiem zakończyła swe istnienie.

Prócz powyższych pism wychodził jeszcze *Zwiastun wstrzemięźliwości* w tym czasie, lecz nie jest nam znany. Był zapewne organem Tow. wstrzem. szerzącego się wtedy po prowincyi.

Ogromne fiasco które popelnilo księstwo Poznańskie na polu swych usiłowań w r. 1846, wraz ze smutnemi na-

stępstwami swemi, samo przez się wstrzymało w jednej chwili dalszy swobodny rozwój literatury. Prócz tego prawo 20 marca t. r. zawieszające wszystkie dzienniki, utrudniające niesłychanie dalsze ich wychodzenie, zastanowiło bieg sprawy teoryi. Wypadki wreszcie, odwróciły uwagę powszechną w inną stronę. Następstwa wio-ennych zdarzeń, przykro i dolegliwie prowincyi uczuwać się dając, wywoływały usposobienie, w obec którego niepodobnym prawie było myśleć komu o piśmienną stałą pracę. Z biciem serca oczekiwano co będzie dalej.

Zawrzał r. 1848. Do czynu zerwało się wszystko, a w ob c biegu rzeczy, literatura stała się jego narzędziem nie zaś celem. Polityką przejęła się więc cała, do jej widoków, posługi stosowaną została. Razem z ludnością gorączkowem życiem zapłonęły dawne dzienniki, pojawiają się co chwila nowe, tłumem rozsypują broszury, książki, świątki, wierszem, prozą na wyścigi jedne przed drugimi. A wszędzie ten sam koloryt, wszędzie pośpiech, gwar. Nikt niemyśli o pracy poważnej, treści innej jak kwestyj czasowych, — omnia pro tempore, nihil pro seritate! Niepodobienstwem byłoby objąć sprawozdaniem, szeregółowo wszystko co wyszło wtedy, a tém mniej oceniać i roztrząsać. W niniejszej zaś pracy byłoby to nawet z jednej strony niewłaściwe, a z drugiej ze wszech względów niemożliwe. Pobieżnym przeto więcej tylko biblijograficznym poządkiem, obejmiemy tę chwilę dziennikarstwa, przez zacytowanie kilku ważniejszych pism.

Wszystko, co tylko doń się ruszało, spierało na drodze jako tako spokojniejszej, teraz rozżarzone namiętnością polityczną, podniosło polemikę swą do najwyższej potęgi żywkości. Dotąd rozprawiano i mówiono, teraz zaczęto krzyczeć. Kto lepsze miał gardło ten był górą, ten swoje prze-

prowadził. W niewysłowionym stopniu burzliwa, gwałtowna polemika, była formą dawniej i nowo wychodzących pism. Na tej drodze prawie wyłącznie rozstrzygano (jeżeli rzeczewiscie rozstrzygnąć zdołano) wszystkie kwestye. Tradycya sejmikowego nieporządku, odżyła w całej pełni w dziennikarstwie ówczesném.

Jedném z najumiarkowańszych pism politycznych świeżo założonych, była *Gazeta Polska*. Pierwszy jej numer ukazał się 22 marca 1848 a ostatni z końcem czerwca 1850. Staranna redakcya Cegielskiego i Mottego nadała temu pismu poszanowanie powszechne. Traktowała sprawy bieżące w kraju i za granicą, zamieszczając w fejlletonie artykuły niewchodzące w wyłączny zakres polityki.

Aby i ludową warstwę z tokiem sprawy zaznajamiać, wpłynąć na porządek jej myśli i sposobu widzenia rzeczy, zaczął z d. 4 października 1848 wydawać x. Alexy Prusinowski, znakomity kaznodzieja prowincyi Poznańskiej *Wielkopolanina*. Publikacya ta nietylko że się udała bardzo szczęśliwie, wiele dobrego przyniosła—ale pod względem wyrobienia formy języka, zwrótu, przedstawienia rzeczy w piśmie ludowém, pozostanie wzorem godnym naśladowania. Gdyby odrzucić jaskrawość z konieczności ówczesnego położenia wynikającą—dzisiaj w rękach ludu pismo to zostawione pożytekby przynieść mogło. Wady jakie tam były, wszędzie te same, tu nawet wiele zmodyfikowane: ujmij więc one *Wielkopolaninowi* dziś nawet rozbieranemu nieczynią. Wychodził on do lipca 1850 r., lecz pod redakcyą x. Prusinowskiego tylko do października 1849. Od tego bowiem czasu Stefański objął odpowiedzialność za redakcyę.

Natomiast niby w dalszym ciągu rozpoczętej pracy,

wydawał x. Prusinowski od r. 1849 *Wiarusa*, którego w tymże co poprzednio charakterze do fatalnego lipca 1850 doprowadził.

Na dniu 7 czerwca 1849 otworzył Karol Libelt *Dziennik Polski*, który pomimo talentu redaktora i staranności wydawnictwa, nieumiarkowaną namiętnością więcej może szkodził piśmiennictwu niż pomagał. Wielu nieporozumień, rozdrażnień, których dzisiaj jeszcze są ślady w stosunkach Polskiej społeczności xięztwa, z niego wypłynęły. Znaczna część fejlletonów *Dziennika*, pióra redaktora samego, odbita w osobną xiążkę, wiele szerzyła zajęcia. Wraz z innemi pismami przestał w r. 1850 wychodzić.

W skutek upadku w r. 1849 *Gazety Kościelnej*, zaczął się ukazywać zaraz po niej *Tygodnik Kościelny*, będący rzeczywiscie pod zmienionym tytułem dalszym tylko jej ciągiem. Do r. 1850 doprowadzili go redaktorowie xx. Jabczyński i Janiszewski.

Myśl w r. 1845 zrodzona, podnosząca sprawę szkoły i nauczycieli elementarnych, teraz w r. 1848, w obec swobodniejszego ruszania się, żwawiej miała być rozwinięta. Pracę tę w tej epoce uważamy za ważniejszą od wielu innych, za niewyczerpniętą wcale i dla tego pozwolimy sobie zatrzymać nieco nad nią uwagę.

We wrześniu r. 1848 zawiązało się w Poznaniu Towarzystwo pedagogiczne centralne. Celem jego było: obudzać coraz większy interes dla ważnej sprawy wychowania, łączyć ściślej z sobą kościół i szkołę, ułatwiać nauczycielom wzajemne kształcenie się, wreszcie obmyślać środki do wypracowania i wydawania najpotrzebniejszych elementarnych xiążek. Towarzystwo to zcentralizowane w Poznaniu, rozgąłęziło się niebawem nietylko na prowincyi.

ale nawet w górnym Szląsku i Prusach zachodnich. Wywołało bardzo wiele dobrego, zwróciło uwagę pilniejszą tak na wychowanie w ogóle, jak i na obowiązki nauczycieli w szczególe, sprostowało niejedną mylną kierunek. Wybrany z niego komitet złożony z xx. Dolińskiego, Brzezińskiego, Ign. Prusinowskiego, i nauczycieli elementarnych: Sikorskiego, Estkowskiego, Rakowicza i Siekierskiego, zajął się uorganizowaniem pisma jako organu towarzystwa, które też niebawem (w r. 1849) pod nazwą *Szkoły Polskiej* otworzono. Jedyne to może pismo, które wtedy miało swój cel jasno pojęty i w którym wyłącznie pracowało niemieszając się w inny zakres pracy. Redaktorem, duszą jego był Ewaryst Estkowski zmarły w r. 1856 w Soden. Na nim prawie wyłącznie polegała cała praca; jego zabiegiem, czynności nieznudzonej winna *Szkoła* stanowisko, które zajęła. Może był jedynym z pomiędzy kolegów swoich w prowincyi, który tak wysoko od nich odbiedz potrafił, tak rzetelnie ukochać zawód, pojąć go i pożytecznie w nim się poświęcać. Piśmienne prace jego cechują się jeżeli nie wzorem poprawności i gładkości stylu, to serdecznym, gorąco miłującym wszystko co pocziwe charakterem. Słodczą, miłością z jaką pisał, potrafił swoje myśli przeprowadzić, potrafił jednać sobie wszystkich.

W kwietniu r. 1850 do miesięcznie wychodzącej *Szkoły polskiej*, zaczął dołączać dodatek dla dzieci, redagowany p. t. *Szkołka dla dzieci*, w którym podawał im pełne wdzięku opisy, powiastki, legendy i nauki, wierszyki i t. d. wszędzie prócz kształcenia ich umysłowego, mając na celu rzucanie pojęć odnoszących się do uczucia narodowego.

Wydawnictwo to, tyle pożyteczne, przetrwało zawiązania r. 1850 i przedłużyło się do r. 1855; i to tak długie utrzymanie się winno jedynie zacnemu redaktorowi swe-

mu, który pomimo braku funduszy, niedostatecznego ze-wnątrz, zwłaszcza przy końcu, poparcia—co tylko mógł, poświęcał—ze wszystkimi przeciwnościami walczył do ostatniej chwili nieschodząc z raz zajętego stanowiska. Słowem, publikacya ta pod każdym względem na największą zasługuje uwagę, zostanie zawsze wyrazem prawdziwie silnej woli, poświęcenia i miłości przedmiotu i celu. Dla bliższego poznania jej, wypisujemy ustęp pożegnalny z *Szkołki dla dzieci* w r. 1853, gdy miała przestać wychodzić, doskonale malujący i redaktora i pismo jego. Tak się on rozstaje ze swymi czytelnikami (1853, VIII, 292):

„Kto sobie pobudował własny dom, w nim się urządził, „w nim przez wiele lat gości i przyjaciół przyjmował, ten „żał czuje serdeczny, kiedy mu przyjdzie ten dom opu- „ścić; kto sobie założył ogródek, w nim nasadził kwiatów, „drzew owocowych, truskawek, urządził zielone murawki, „temu także żal jest ogródek ten opuścić i dozwoić, aby „zarosł chwastem. *Szkołka*, którą przez lat cztery wy- „dawałem, była jakoby ogródkiem, który dla was młodzi „czytelnicy założyłem, ozdobić się starałem, i z którego „jagody i owoce wy zrywać i kosztować mieliście. *Szkoł- „ka* była także jakoby ogrodnikiem, a serca i umysły wa- „sze jakoby ziemią w ogródku; a jak ogrodnik ziemię do- „prawia i na niej użyteczne rośliny sadi, tak *Szkołka* „starała się wasze serca i umysły spulchniać i na nich „pożyteczne nauki zaszczipać. *Szkołku* była jeszcze jak- „by domkiem, który dla was wybudowałem, w którym u- „kładałem jakoby dla was biblioteczkę, na którego ścia- „nach zawieszałem jakoby obrazki, i do którego szczerze „was zapraszałem.

„Możecie więc sobie dzieci wystawić, jak mi żal do- „mek ten opuścić, ogródek bez starania i opieki zostawić.

„a jednak niemogę dłużej *Szkółki* dla was wydawać. Roz-
 „maitemi przyciśniony niepowodzeniami, przymuszony je-
 „stem rozstać się i pożegnać z wami. Ostatni więc dzi-
 „siaj odbieracie poszyt tego pisemka, téj gazetki. Może-
 „cie mi wierzyć, że przyjemność mi to sprawiało, iż wam
 „mogłem służyć, pouczać, oświecać i obeznawać was, czy
 „to z dziejami naszymi, czy to z naszym narodem, oby-
 „czajami, pamiątkami, czy to z ziemią naszą i jój bogac-
 „twami, czy to z naszymi sławnymi mężami i bohaterami,
 „czy to wreszcie z ciekawymi rzeczami zagranicznymi. Mi-
 „ło było i dla mnie, ile razy dowiedziałem się, że wam
 „sprawilem przyjemność, że wam się to lub owo w *Szkół-
 „ce* podobało. Pojmujecie więc, że jak dotąd przyjemnie
 „było dla mnie rozmawiać z wami przez cztery lata, tak
 „dzis nieudany żal czuję, że już po raz ostatni przez *Szkół-
 „kę* do was się odzywam, i że już dłużej niebędę mógł
 „pożytecznie was bawić i uczyć. Ale trudna rada, kiedy
 „inaczej być niemoże.

„Kto dom swój opuszcza i w inne strony się przepro-
 „wadza, ten po raz ostatni ogląda jeszcze wszystkie jego
 „kąty, i przypomina sobie wszystkie wydarzenia, wesole
 „czy smutne, których w nim doświadczył. Kto opuszcza
 „ogródek, który sam założył, upiękniał, kwiatami i poży-
 „tecznymi roślinami zasadził, ten jeszcze przed opuszcze-
 „niem go po raz ostatni idzie do niego, aby się jego wi-
 „dokiem jeszcze raz nacieszył, aby sobie przypomniął, kie-
 „dy i jakie to rośliny w nim pielęgnował. Uczyńmy i my
 „tak samo.”

Tu następuje pobieżny przegląd rzeczy podawanych;
 poczem z ojcowskiem prawdziwie uczuciem żegnając się
 po raz ostatni, daje młodym czytelnikom rady z jakich da-
 lej xiążek i dzieł kształcić się mają, wyliczając im takowe.

Do publiczności zaś całej, do czytelników *Szkoły* po osta-
 tniem pożegnaniu się tak przemawia (1853, VIII, 419):
 „Jeżeli przy końcu odzywania się naszego do publiczno-
 „ści wolno nam taki głos podnieść, to polecamy świętą
 „sprawę wychowania młodzieży naszój, opiekę i troskliwość
 „nad nią, o ile to leży w waszój sposobności, wam, zacni
 „z pomiędzy wielu, kapłani, nauczyciele, matki i wszyscy,
 „którzyscie szczerze podzielali dążenia *Szkoły i Szkółki*,
 „którzy uznajecie, że chrześcijańskie wychowanie i oświa-
 „ta prawdziwa, są największym dobrem narodu, którzy
 „wierzycie, że jakie jest wychowanie, taki będzie naród,
 „że tylko naród ciemny i nieczemny zniszczyć może. Przy-
 „jaciele oświaty ludu, ilu was jest, miejcie ojcowską tro-
 „skliwość nad wychowującą się młodzieżą, zwłaszcza dzia-
 „twą ludu: napawajcie ją, ile to w waszój mocy, miłością
 „chrześcijańską, wlewajcie w jój niewinne serca święte pra-
 „wdy religii, uszlachetniajcie jój obyczaje, kształćcie ich
 „umysły, dawajcie im naukę nie próżną, błahą, ale poży-
 „teczną, a w piersiach ich pielęgnujcie święty ogień rodzin-
 „ny, bo póki ten jasnym płomieniem goreć będzie, póty
 „nieutracimy gwiazdy przewodniój! Niech lud stawa się
 „oświeconym, ale niech oświata ta opiera się na poznaniu
 „obowiązków; na miłości Boga, bliźniego i kraju; wszelka
 „inna oświata ludu jest trucizną ducha. Niewypuszczaj-
 „cie z ojcowskiój opieki szkólek, tych zakładów najpoży-
 „teczniejszych, jeżeli są w dobrym duchu kierowane, tych
 „najniebezpieczniejszych ognisk, jeżeli zły, przewrotny
 „duch ogień w nich zażęga; troszczcie się o te winniczki
 „Pańskie, w których rosną młode latorośle, w których cho-
 „wają się przyszli członkowie gminy, kraju i kościoła.
 „Niechaj szkółki wydają społeczeństwu ludzi pracowitych
 „i cnotliwych. Opuszczając jedną straż w towarzystwie

„naszém, waszym sercom, zacni mężowie, powierzyć ją, „pragnęlibyśmy!”

W piśmie tém pracowali między innemi: Łukaszewski, Rymarkiewicz, Libelt, Wiśniewski Tomasz, Lompa, x. Prusinowski, Lenartowicz i t. d. W r. 1854 zmieniło tytuł na *Szkołkę dla młodzieży* z dodatkiem literackim osłabiwszy już wiele bardzo na siłach.

Z rokiem 1850 prócz poprzednich pism, powstały jeszcze: *Ziemiańin*, rolnicze pod redakcją Lipskiego i Wolniewicza—i *Krzyż a Miecz*, tygodnik polityczno-religijno-literackiego zakresu, pod względem charakteru formy, różny od wszystkich dotąd wychodzących. Że przyzwyczailiśmy się uważać pisma tej epoki, każde jako reprezentanta pewnego zwrótu pojęć przez garstkę ludzi żywionych, jako organ pewnego stronnictwa (jeżeli stronnictwem we właściwym znaczeniu, rozłomy społeczne ówczesne nazwać można), to chcąc w tenże sposób nazwać *Krzyż a Miecz*, nazwalibyśmy go organem *uszlachetnionych marzeń*. Tutaj wierzone nie tylko w przeszłość narodową, lecz kochano ją, co więcej do ideału podnoszono, na którym żadnej skazy widzieć niechciano. Wyróżniając się tém od nader powszechnej wtedy zasady poniewierania wszelką tradycją, wierzone z drugiej strony w obecność pod całym wpływem gorączkowej, zdarzeniami chwili rozognionej wyobraźni—jako w przejście ani mniej ani więcej tylko do apoteozy w przyszłości. Pod tém rozgorzałym wejrzeniem niezdolano w *Krzyżu a Mieczu* ani na chwilę zebrać spokojnej myśli, trzeźwego sądu. W chmurach, z wiatrem, z burzą—snuło się ogniste, piękne nawet czasem fantazma, ale nieschodziło na ziemię, między ludzi. Trudno zaprzeczyć pracy tej niesłychanie wiele życia, miłości, prawych uczuć; ale niestety mistyczną mglistą formą, którą się tło-

maczyły, ani sobie rozwinięcia, ani drugim pożytku nie przyniosły. Najlepsze pewno chęci zmarnowały się znowu mylnie wybranymi środkami. Wiele uwag nastęrcza się przy tym wypadku, z któremi niemogąc się wynurzyć, zanotujemy tylko spostrzeżenie, jak rozmaity charakter przybiera ciągle wezbrane uczucie—jak namiętnie rzuca się ono w najrozmaitsze strony, chwytając się ostateczności, szuka ulgi i pomocy w swym rozstroju....

Krzyż a Miecz, odnośnie do swego charakteru, przybrał zgodną zupełnie z nim formę. Styl biblijny, mistyczny, do zbytku kwiecisty—wysłowienie wyszukane, niejasne, koloryt jaskrawy, obrazy pstrokate, ton całości rozrzucony. Artykuły dyssertacyjne, poglądy polityczne, obrazy historyczne, poezya, wiadomości literackie—składały organizm *Krzyża a Miecza*. Firmę redakcyi dał Ew. Estkowski, wszakże na pierwszy rzut oka łatwo poznać, że to rodzaj pracy zupełnie odmienny. Najwięcej drukowali tam swoich płodów prozą lub wierszem: Lenartowicz, Bałiński Karol, Ujejski, Berwiński, Norwid i inni. Ostatni numer wyszedł 24 czerwca 1850.

Tak więc nowy rok 1850 zastał w prowincyi Poznańskiej następne pisma czasowe: Przegląd Poznański, Gazetę Polską, Dziennik Polski, *Krzyż a Miecz*, Wielkopolańską, Wiarusa, *Szkołkę niedzielną*, Tygodnik kościelny, *Ziemiańina*, *Szkołę Polską*, *Gazetę niedzielną*, i *Gazetę w. x. Poznańskiego* (1).

(1) Niewspomnieliśmy wcale o dwóch ostatnich pismach. Pierwsze tak efemeryczne, że trudno było się o niego dopytać i postarać. Drugie, choć do dzisiaj od lat kilkadziesiąt wychodzi, niezmiennie służyło na wziankę. Płód spekulacji bez barwy, wartości, najlichsza w świecie publikacja, stojąca jedynie inseratami i przedrukami,

Wskutek wspomnianej już okoliczności, która ogłoszeniem nowego prawa drukowego, przepisem składania kaucyi, odmówieniem debitu pocztowego, nakazaniem starania się o nowe pozwolenie, zagroziła istnieniu wszystkich pism, zostały tylko: Przegląd Poznański, Szkoła niedzielna, Ziemianin, Szkoła Polska i Gazeta w. x. Pozn., które wchodziły i należały do następnego już okresu.

W ocenieniu plodów piśmiennictwa epoki 1840—1850, mającemu służyć nam niejako za dowód rzuconej naprzód charakterystyki, oparliśmy się głównie i jedynie na dziennikarstwie, niepodjmując innych objawów, które nie w nim lecz w osobnych ziązkach się pomieściły. Uczyniliśmy to raz: aby niepomnażać objętości niniejszej rozprawy, której celem nieocenianie i roztrzaskanie pojedyncze plody i prace, lecz zbiorowych kierunek, wartość i pożytku donośność poglądowo zeszkiełować; powtóre: tych pierwszych liczba tak szczupła w stosunku do rozrzuconych po pismach peryodycznych utworów—nieprzedstawia razem wzięta nic odrębnego, oderwanego w kierunku swoim, nieświeci żadnym potężnym zwrotem. W opisanem albowiem położeniu rzeczy, mało kto mógł pracę i zajęcie swoje zwrócić do przedmiotu odrębnego, z duchem czasu nie wspólnego niemającego, któremu znowuż najdogodniej było wyrażać się w doraźnych artykułach, żwawych odezwach, w ruchliwym i gorączkowym dziennikarstwie ówczesnym. Koło niego też widzimy gromadzące się zdolności pisarskie, jemu składające plody swoje, z niego w znacznej części nawet wychodzące na widok publiczny imiona, w nim wreszcie zaprawiające i kształcące swe pióra.

w których nawet wyboru znaleźć nieumie—nieczem się nieróżni od powiatowych urzędowych kartek, chyba tem, że ostatnie zawierają potrzebne często przepisy i regulamina władz okręgowych.

Prócz Raczyńskiego, który pewien ciąg i łączność jeżeli niechronologiczną to przedmiotową swym wydawnictwom nadał, kilku zaledwie ludzi podejmowało pracę obszerniejszych rozmiarów, ku pożytkowi nietylko chwilowemu, w pewnej analogii i związku. Tak Łukaszewicz głębokiej wartości studjami, pomnikowymi dziełami w dziedzinie historii, opracowaniem nietkniętych z niej dotąd ustępów, zyskał w kraju rozgłośnie imię (1). Podobnie Moraczewski Jędrzej, pierwszy i jedyny, który naukę historii naszej w jeden ciąg usiłował zebrać, w rozleglejszym zakresie i na czysto scyentyficznych zasadach. Od 1843—1855 prowadził on wydawnictwo swoich *Dziejów Rzeczypospolitej*, stanawszy na abdykacyi Jana-Kazimierza—gdy przedwczesna śmierć (20 lutego 1855) niepozwoiliła mu ich ukończyć (2). Filozofiję, etykę, ekonomiję polityczną, pedagogikę, estetykę uprawiają słynni z nauki i talentu: Libelt, Trentowski i Cieszkowski (3). W badaniu starożytności pracuje choć niezawsze na podstawie, w którą wierzyć można,

(1) Najważniejsze jego utwory są: *Obraz miasta Poznania*, 1838. *Wiadomości historyczne o dyssydentach w mieście Poznaniu*, 1834. *O kościołach Braci Czeskich*, 1835. *Historja wyznania Helweckiego w Litwie*, 1846—7. *Zakłady naukowe w Koronie i w. x. Litewsk.* 1851. *Historja szkół w Polsce od najdawniejszych czasów aż do r. 1794*, 4 tomy, 1851. *Dzieje kościołów wyznania Helweckiego w dawniej Małej Polsce*, 1853.

(2) Prócz mnóstwa artykułów rozrzuconych po dziennikach, a mianowicie: *Roku*, *Dzienniku Polskim*, *Dzienniku domowym*, *Tygodniku literackim* i innych, znane nam jego prace są: *Polska w złotym wieku* przedstawiona, z wyimkami z *Dziejów R. polskiej*, 1851. *Wydanie pamiętników Fr. Karpińskiego*. 1844. *Podróż po krajach Skandynawskich*, 1845.

(3) *Karol Libelt*, d-r. filozofii, urodził się w Poznaniu r. 1807. Na uniwersytecie Berlińskim jeszcze napisał rozprawę o Spinozie, uwię-

jednak z pewnym pożytkiem Tadeusz Wolański (1). Poetów, powieściopisarzy w tej epoce było dyletantów wiele, wyszczególniających się prawie nic. Tęgo rodzaju prace nadsyłane były najwięcej do druku tutaj przez autorów do innych stron kraju należących.

Z kolei przejdziemy wreszcie do ostatniego okresu, zaczynającego się około połowy r. 1850, a ostatecznie w dni dzisiejsze wchodzącego.

czoną złotym medalem. Jego następne prace, prócz rozrzuconych po dziennikach są: *Dziwica Orleańska*, 1847. Feljton polityczno-literacki, 1845. System umietywa 1857. Pisma pomniejsze, 6 tomów, 1849—51. Pisma krytyczne, 1851. Filozofia i Krytyka 1845—9. Estetyka czyli umietywo piękne, 1854. Wykład matematyki. *August hr. Cieszkowski* wydał: *Prolegomena zur Historiosophie. Gott und polingenesie*, 1842. *Du credit et de la circulation*, 1839. *De la pairie et de l'aristocratie moderne*, 1844. *O ochronach wiejskich*, 1849. *Ojciec nasz*, 1849. *Mnóztwo artykułów po dziennikach*. *Bronisław Trentowski* pisał. *Myśli o całokształcie logiki narodowej*, 1844. *Chowanna*, 1845. *Demonomania czyli nauka nadziemskiej mądrości*, 1854. *Stosunek filozofii do Cybernatyki*, 1845. *Vorstudien zur Wissenschaft der Natur oder Übergang vom Gott zur Schöpfung*, 1840. *Grundlage der universalen Philosophie*, 1837. *De vita humanis aeterna*, 1846.

(1) Wydał: *Listy o starożytnościach Słowiańskich* 1845. *Toż po-Niemiecku* 1846. *Odkrycie najdawniejszych pomników narodu Polskiego*, 1843. *Schrift Denkmale der Slaven vor Christi Geburt*, 1850. *Die Opfergefäße des Tempels der Taurischen Diana*, 1851.

X. MARCIN POCZOBUT.

OBRAZ ŻYCIA AKADEMICKIEGO.

PRZEZ

NICHAŁA BALIŃSKIEGO.

Któż z obecnych i stałych mieszkańców Wilna nie słyszał o uczonym, a w kraju i za krajem wszędzie słynnym astronomie xiędzu Marcinie Poczobucie? A może znajdą się tacy, którzy pamiętają nawet tego sędziwego starca, pochylonego laty, ale jeszcze rzeźwego umysłem a pełnego powagi i dobroci z oblicza? Znany jest wszystkim, a przynajmniej tym którzy w czytaniu poważnych książek szukają rozrywki i wiadomości o czynach przodków i dziejach kraju naszego, żywot uczony i publiczny tego znakomitego męża, tak wymownie skreślony przez tyle godnego czci i pamięci naszej Jana Śniadeckiego. Możeby to była zachwalość porywać się na pisanie coś więcej jeszcze o zasługach Poczobuta, po tém co już nam wypowiedział sławny jego w urzędzie i astronomii następca, a w pracach dla zabezpieczenia instrukcyi krajowej nieoddzielny towarzysz! Ale znalazły się nowe świadectwa i nowe szczegóły o trudach Poczobuta dla dobra akademii dawniej Wileńskiej, o troskach i pociechach, tego życia akademickiego w połowie naukom, a w połowie niełatwemu sterowi uczącego zgromadzenia poświęconemu. Zdało mi się więc,

że to niebędzie z mojej strony grzechem zbytecznego zaufania we własnych siłach, dodać coś nowego do dawnego obrazu życia Poczobuta, coby niepsując świetnych farb autora, wyjaśniło niektóre jego szczegóły, które on osądził za rzecz właściwą w swoim czasie, pod cieniem zostawić. Bo już niemal pół wieku od zgonu Poczobuta zapadło w niepowrotną przeszłość, bo już tyle jemu współczesnych opuściło ziemię, którzy albo za nim, albo przeciw niemu działali. Niema więc powodu do żadnych względów na osoby i okoliczności; owszem zachować dla potomności i odsłonić jej szereg wypadków ukrytych dotąd przed nią, byle z poszanowaniem prawdy i oparciem się na pewnych dowodach, sądzę że jest powinnością każdego, kto ma do tego sposobność i powołanie! I dla tego, obracam się tu szczególnie do was, dawni uczniowie uniwersytetu Wileńskiego, słuchajcie tego co wam tu powiem o Poczobucie, jeżeliście ciekawi wiedzieć, jaka była fizyonomija przy końcu XVIII wieku tej akademii *Alma mater*, tego ogniska nauk, z któregoście po jej odrodzeniu z Jezuickich popiołów, czerpali światło i brali przestrogi na drogę życia, równie z zalet jak z wad owej starożytniej instytucji!— Ale niesądźcie żeby to wszystko z czego się dowiemy o jej przewodniku i luminarzu starym Poczobucie, służyło zawsze i wszędzie na jej pochwałę, żeby to było jakimś jej panegirikiem. Nie, zaiste: powiemy prawdę, a raczej powiemy to tylko, co z nowych szczegółów o życiu i czynach czcigodnego jej rektora i astronoma, da się o jej bycie i odrodzeniu wyczerpnąć.

I. W chwili kiedy straszliwy cios dla zakonu Jezuitów, ugodził w ich zgromadzenie, w pośród stolicy Litewskiej

na trzy gałęzie rozrosłe,—jeden z nich w samej sile wieku, bo jeszcze lat czterdzieści pięć liczący, gruntownie ukształcony w naukach matematycznych w pierwszych akademiach Europy, oddawał się z zapalem astronomii posunionej naówczas tylu świetnymi pracami genialnych ludzi do wysokiego stopnia doskonałości. We wzniesionem przez niesłychaną gorliwość swą obserwatorium, trawił on dni i noce na uważaniu obrótu ciał niebieskich, i wtenczas już znany wszędzie z pięknych owoców swojej nauki i pracowitości zasłynął w całej Europie, jako jeden z najpierwszych astronomów tej części świata. Tym niepospolitym mężem, tą chlubą wówczas naszej ziemi, był Marcin Poczobut. — Już dziesiątkiem lat wprzód Jezuici Wileńscy naciskani równie duchem czasu, jak potężnym spółzawodnictwem Pijarów, musieli nakoniec sami jakby dobrowolnie przystąpić do zaprowadzenia pewnych odmian na lepsze w uczeniu młodzieży. Właśnie skutkiem tego, w akademii Wileńskiej zaprowadzono porządną lekcję matematyki, pomysłano o kształceniu członków zgromadzenia w zagranicznych szkołach, a nawet jeden z uczonych professorów tejże akademii Jezuita Żebrowski, weale dobry matematyk, zajął się urządzeniem obserwacji astronomicznych, które uczeń jego a bezpośredni naszego Poczobuta poprzednik, x. Jakób Naksianowicz przedłużał czynnie, chociaż bez takiej korzyści dla dobra i postępu nauki, jakiej należało wymagać po nim i po nauczającym zgromadzeniu. Poczobut z funduszu księcia Michała Czartoryskiego kanclerza w. w. x. Lit. wydoskonalony w naukach matematycznych, a szczególniejszy miłośnik astronomii, za powrotem do Wilna w r. 1764, posunął jeszcze dalej usiłowania akademii o podźwignienie tak ważnych umiejętności w publicznej instrukcji. A chociaż niebyło jeszcze dobrych narzędzi do obserwacji,

Poczobut jednak objawszy pesadę astronoma obserwatora, oddał się gorliwie pracy, której także ślad pozostał w małym piśmku zawierającym obserwację zaćmienia księżyca w r. 1766 (1). Wiadomo już jest z kądinąd, jak te wszystkie usiłowania Poczobuta w podniesieniu nauki astronomii do wysokiego stopnia w ówczesnej akademii Wileńskiej, uwiecznione zostały wspaniałym darem Elżbiety z Ogińskich Pużyniny. Wiadomo również jak po sprowadzeniu z Anglii kosztem tejże samej czcigodnej matrony Polskiej, wybranych i zamówionych przez samegoż Poczobuta instrumentów do obserwacji, wzniosła się w ciągu dwóch lat 1770—1772, prawdziwie piękna i dogodna sala w obserwatorium pod dozorem naszego astronoma (2). Lecz obok tego przeczuwali także Jezuici Wileńscy zarówno z innymi, jeżeli niezupełny swój upadek, to przynajmniej bliższe zachwianie swojego znaczenia, swoich bogactw i wpływu. Poczobut świeżo z obcych krajów przybyły, może jaśniej nad innymi spółbraci widział zbliżającą się burzę. Ale, gdy

(1) Martini Poczobut, *Calculus eclipsos lunaris quae accidit die 24 Febr. 1766, pro observatorio Acad. Vilnensi*. In-4, na dwóch arkuszach. Przytęm rycina wyobrażająca zaćmienie.

(2) Niemożemy tu pominąć pięknej wiadomości historycznej o Wileńskim obserwatorium od początku jego aż do naszych czasów, którą również zaenry jak uczony *Maciej Gusiew*, dzisiejszy pomocnik dyrektora tegoż obserwatorium, podał w r. 1853 do Rocznika Wileńskiej gubernii (Памятная книжка Виленской губернии на 1853 год), na pamiątkę stuletniego trwania obserwatorium, pod napisem: Сто-лѣтнее существование Виленской астрономической обсерватории. Przez głównego źródła do tego pisma, jakim jest *Żywot Poczobuta p. Śniadeckiego*, korzystał jeszcze autor umiejętnie z kilku dzieł i rękopismów znajdujących się w bibliotece obserwatorium, a najwięcej z *Inwentarza* instrumentów i mebli przez samegoż Poczobuta spisane.

inni ojcowie przewodnicy klasztorów, uprzedzając nieuchronną katastrofę, oszczędzali to, co można było oszczędzić z dochodów i z zapasów swych, dla utworzenia funduszu tajemnego dla rozbitek, i w przypuszczeniu przyszłego odrodzenia swego: Poczobut ze swojej strony rozmyślał z trwogą o zabezpieczeniu jedynie tego obserwatorium, które tylu trudami wznosił i tak wielkiem poświęceniem zdrowia i nauki swój zrobił użytecznym dla własnego kraju i dla całej Europy. Dawno już więc szukał on znajomości i stosunków z osobami, któreby mu z czasem mogły być radą, pomocą i opieką w zbliżającej się katastrofie. Ulatwiały mu do tego drogę najprzód, pomimo upadającego znaczenia Jezuitów w Litwie, powaga stanu jego jako uczęszającego nad innych kolegów członka starożytnej akademii, a potem osobiste przymioty jego, owa łatwość charakteru, towarzyskość, potulność i uprzejmość dla wszystkich, a przy takich zaletach serca, wielka żywość imaginy, która go pomimo surowości nauk matematycznych w krainy poezji często unosiła. Miał on do tego jeszcze tytuł astronoma królewskiego, którym go w r. 1767 obdarzył Stanisław-August (1). Lecz to wszystko niezdawało mu się dostatecznym w przewidzeniu groźnej przyszłości do uspokojenia w nim trwogi o los ulubionego zakładu. Już od powrotu swego z Włoch i Francji, po skończeniu studiów, kiedy w pierwszych latach panowania Stanisława-Augusta zasiadł w akademii Wileńskiej na katedrze matematyki i astronomii, — zabrał Poczobut ścisłą znajomość z Joachimem Chreptowiczem (*ob. przypisek na końcu artykułu*) naówczas pisarzem wielkim, w. x. Lit., człowiekiem

(1) Przywilej Stanisława-Augusta zaszczycający tytułem królewskiego, obserwatorium Wileńskiej akademii, a obserwatorów mianem astronomów jego królewskiej mości, dany był w Warszawie 25 stycznia 1767 r.

możnym, oświeconym i mającym przez swoje stanowisko między pierwszym obywatelstwem Litewskim wpływ znakomity w stolicy. I naturalny pociąg człowieka uczonego do tych, co sami oświeceni lubili nauki, i tych którzy się im poświęcali, i wreszcie przewidzenie, że w oczekiwaniem rozbiciu, trzeba było koniecznie zabezpieczyć sobie środek ratunku,—skłaniały Poczobutę do utrzymywania ciągłych stosunków i korespondencyi z Chreptowiczem, do czynienia mu rozmaitych przysług i dawania różnych wiadomości o wypadkach Wileńskich, które go obchodzić mogły. Jakże frasobliwie wymawia się on przed swoim mecenasem z niemożności odwiedzenia go w Szczorsach, kiedy jeszcze w marcu r. 1768, skończywszy obserwacye w Nowogródku, niemógł dla naglących interesów zboczyć tam w powrocie swoim do Wilna. „Ale będzie ten czas, kiedy się ja pomszczę nad nieszczęściem mojem, (pisze nasz astronom do Chreptowicza), i upatrzwszy sposobność umyślnie z Wilna do Szczorsów przybiegnę, *idque* z całym astronomicznym ekwipażem i instrumentami do determinowania *latitudinis et longitudinis loci*. Naówczas nie dzionek jeden, ale najmniej niedziel dwie lub trzy poświęcę na jedyne usługi JWMPana Dobrodzieja.” Jakże znowu serdecznie w liście 7 maja 1773 winszuje mu otrzymanej pieczęci podkanclerskiej Lit. i jak „niewymownie cieszy się z tego tak szczęśliwego ewentu!” Chreptowicz też nawzajem zobowiązuje go czasem do spełniania niektórych poleceń i interesów swoich nawet; ale też umie go nieraz zręcznie za przysługi wynagradzać. I tak na przykład prosił Poczobutę w tymże roku o dobre umieszczenie sześciu synów szlacheckich w Wilnie, z funduszu przeznaczonego od zeszłego podkanclerzego Lit. Przeździeckiego. Poczobut skwapliwie tego dopełnił, i z takimi szczegółami doniósł

mu o tém. „Stancyę, wikt i inne drobniejsze wygody, jako to: praczkę, opał i świece zamówilem we dworku jednej dobrej i majątniej gospodyni, za sto sześćdziesiąt złotych od osoby, to jest *in summa* za 960 złotych. Przez co od całej summy 1,200 złt. oszczędziłem 240 zł., to jest 160 na stół a 80 na pensyę dla inspektora (guwenera), który zdał mi się koniecznie potrzebny dla ustawicznego tych dzieci dozoru. Stół będzie przystojny i stancya dosyć wygodna; od których połowa pensyi płacić się ma zaraz na początku, a połowa na końcu roku okrągłego.” Ale po tych słowach wnet dodaje Poczobut: „Więcej mi nie zostaje, jako dalszych JWwpana Dobr. czekać rozkazów, oraz za jeden ze sześciu placów do nominacyi mojej zostawiony, złożyć podziękowanie najgłębszego pełne respektu.” Taki to był wówczas stosunek panów do szlachty, protektorów z protegowanymi. Trafny to był istotnie wybór w osobie Chreptowicza szukać podpory: bo wątpliwości niebyło, że on jeden prawie z panów Litewskich w owym czasie, jako miłośnik nauk, mógł dać jej skuteczną opiekę w razie potrzeby. Byli wprawdzie i inni panowie Litewscy, którzy i sami mieli wyższe ukształcenie i naukę, i lubili przestać z ludźmi poświęcającymi się naukom, mianowicie jak książę Adam Czartoryski generał ziem Podolskich i x. Masalski biskup Wileński. Ale pierwszy rzadko bywał w Litwie, a drugi nad wszystkich uczonych i nad nauki, przekładał więcej grę i zbytłowe rozrywki. Właśnie potrzeba opieki i pomocy wkrótce nadeszła. Wiadomość o bulli Klemensa XIV, wydanej dnia 21 lipca roku 1773, i znoszącej na całym świecie zakon Towarzystwa Jezusowego, spadła na Wileńskich Jezuitów we wrześniu, chociaż ostateczne jej ogłoszenie w Wilnie nastąpiło dopiero dnia 12 listopada tegoż roku. Pomijając wszelkie powody, dla któ-

rych Jezuici zasłużyli na ten wyrok Stolicy apostolskiej, niepodobna było, ażeby ten cios chociaż dawno przewidziany, niewstrząsł wszystkich mieszkańców miasta i prowincyi, i żeby nieobudził pewnego politowania, jakie się obudza w sercu ludzkim nad każdą wielką niedolą, nad karą nawet pospolitego winowajcy! Odrętwieli Jezuici pod tak srogim ciosem, oddali się żałom, i zamięszanie w obawie o los przyszły każdego z członków zgromadzenia powstało w murach klasztorów Wileńskich. Ale serce Poczobuta podwójnym razem ugodzone zostało. Cierpiał on jako zakonnik, i cierpiał niemniej boleśnie, jako należący prócz tego do akademii, jako twórca tak ważnej dla nauk instytucyi jaką było obserwatorium astronomiczne, w którym właśnie w tym samym 1773 roku, razem z nieodłącznym towarzyszem prac swoich księdzem Andrzejem Strzeckim, zaczął nowo-sprowadzonymi narzędziami, odbywać szereg porządných i stałych obserwacyj nieba. Drżał o ich byt, i o los swoich towarzyszy w zawodzie nauuczycielskim, którzy do innego chleba i do innego zatrudnienia przywyknąćby niemogli. Kiedy się już więc wszystko spełniło z Jezuitami, w pierwszej chwili przeobrażenia, obrócił się Poczobut szukając opieki i ratunku do przychylnego sobie Chreptowicza. „Pozwolisz panie! (wołał przywołany smutkiem do swego protektora), w tym okropnym razie, w którym mię fatalny los zakonu naszego postawił, wezwać protekeyi twojej ministeryalnej, do odwrócenia tych klęsk, które tak straszny wypadek na osobę, urząd i obserwatorium moje ściągnąć może. Po nieszczęściu powszechném, w którym znajduję się z całym zakonem, niebyłoby większego dla osoby mojej utrapienia, jako nie tylko porzucić, ale nawet przerwać osnowę robot moich w tém obserwatorium, które mając swe ode-

mnie początki, miało być dla mnie chwalebnym grobem. O to więc obserwatorium, o urząd mój i kolegów a pomocników moich niezmiernie stroskany, rzucam się ze łzami, oraz z najzupełniejszą ufnością na łono ministeryalnej protekeyi twojej Panie, niemogąc od płaczu nic już więcej wyrazić.“ Niedługo czekał na pocieszenie i opiekę mecenas swego Poczobut: bo Chreptowicz, umiając ocenić smutny stan jego i ufność którą, w nim położył, pośpieszył wnet uspokoić troskliwość uczonego męża o dalszy los tak świętego zakładu. Pokrzepiony Poczobut uprzejmością i pełnemi nadziei obietnicami ministra, niesądził odtąd, ażeby król miał zostawić niepewnemu losowi obserwatorium zaszczycone tytułem królewskiego, a instrumentami i obserwacyami w całej Europie już tak słynne. Owszem błagając Chreptowicza o wstawienie się do króla i stanów Rzeczypospolitej, oświadczał mu, że pełen ufności czekać będzie ostatecznego wyroku na tém miejscu, na którym (mówimy jego własnymi słowy) we dnie i w nocy pracując, dotąd w pocie czoła, a teraz gorzkimi łzami oblewając, niejednę żądał nagrody, jedno téj, aby na niem głowę położyć. Nieprzystając na tém, żeby rozszerzyć sferę czynności swoich, ośmielony dobrocią protektora, prosił go o wyjednanie mu przywileju wyłącznego dla osoby jego, na wydawanie kalendarza politycznego na Litwę, i oprócz tego gazet literackich jeśli można i politycznych w Wilnie (1). Niemiał tu na widoku Poczobut żadnych korzy-

(1) Gazety drukowane w Wilnie trwały już za panowania Augusta III, a może i wprzód. Znamy je od r. 1761, były zaś osobliwego składu. Jednego dnia pokazywał się na półarkuszu w ćwiartce *Kuryer Litewski*, mający na czele odcisk drukarski wyobrażający kuryera z trąbką konno galopującego, z jednej strony rok, z drugiej numer na tarczach. Tegoż samego dnia, a najczęściej nazajutrz wy-

ści osobistych z takiego rodzaju publikacji; ale co do kalendarzy, chciał żeby wydawane dotąd corocznie od pewnych lat przez x. Franciszka Paprockiego prokuratora prowincyi Litewskiej Jezuitów, w drukarni Akademickiej, wychodziły i nadal bez przerwy. Ważniejsze w ten czas były, niżby kto dziś rozumiał, owe kalendarzyki dla Poczobuta, i użyteczniejsze dla publiczności: ponieważ w nich oprócz zwykłej politycznej treści, umieszczali Jezuiti to chronologię królów Polskich, to wyciągi z ustaw sejmowych, a Poczobut wyłącznie podawał swoje rozprawy astronomiczne, oswajając czytelników z umiejętnościami dokładnymi sposo-

chodzący *Wiadomości Cudzoziemskie* z herbem obójga narodów, a numer ten sam co i w Kuryerze, ten sam format i objętość. Najczęściej następnego dnia, pokazywał się *Supplement do gazet Wileńskich*, pod tymże samym numerem, bez odcisku i na jednej tylko karcie tegoż samego formatu. Czasem i drugi krótszy suplement wychodził. Niekiedy, ale bardzo rzadko, bo prawie raz na miesiąc, w tymże samym kształcie, ogłaszano przez 4 lata od r. 1760 do 1763 na dwóch kartach *Wiadomości literackie* przez x. Bartłomieja Paprockiego Jezuitę, z odciskiem wyobrażającym wodotrysk z godłem nad nim: *Quo plus sunt potae, plus sitiuntur*. Treść tych pisemek była bardzo szczupła i zwięzła. Kuryer i suplement jego ogłaszał wiadomości zarówno krajowe, o wypadkach w Litwie i Koronie, jak zagraniczne dotyczące polityki. Wiadomości cudzoziemskie odpowiadały ściśle swemu tytułowi; ale Wiadomości literackie okazywały już niejaką dążność naukową, chociaż były bardzo niedołężnie redagowane. Z roku np. 1761 zawierają: niezły artykuł o monecie krajowej, o publicznym wychowaniu młodzieży korzystniejszym od domowego, treść pisma umieszczonego w Dzienniku Paryżkim z r. 1734, sposób na żyźność drzew, warzywa i zboża, o straszylkach, i tym podobnie. Exemplarz takich Wiadomości sprzedawał się osobno od Kuryera po szostaku. W roku 1770 znikła Kuryer, a pokazują się *Gazety Wileńskie*, co ośm dni

hem wcale popularnym (2). W ciągłej obawie o przyszłość Akademii, Poczobut nieprzestawał szukać pociechy i opieki u Chreptowicza. I Chreptowicz niósł mu je skwapliwie, dobrotliwymi wyrazy kojąc troski wątpliwego położenia, i zapewniając, że zakłady naukowe po Jezuitach pozostałe, rząd pod innym kształtem utrzyma i pożytecznie dla kraju urządzi. Ale Poczobut niespokojny jak to się ułoży, a przyzwyczajony oprócz tego w samych tylko Jezuitach widzieć wówczas ognisko nauki i instrukcyi publicznej, szukał w głowie sposobu jakby też samą akademię zatrzymać w ręku członków obalonego zakonu, którzyby w innej postaci i pod innem imieniem, zatrzymali w swoim ręku jeżeli niezupełnie dozór nad wychowaniem mło-

in-4to we dwóch kartach wychodzące, a obok tych tegoż samego dnia suplement równiej objętości. Odcisk na czole wyobraża na tarczy pod mitrą xiążącą wśród armatury, gońca w ubiorze huzarskim cwałującego. Po wstąpieniu na tron Stanisława-Augusta, gazety w Wilnie znowu swoją postać zmieniają około roku 1780 (może nieco pierwej), i zaczynają wychodzić regularnie co 7 dni, z herbem królestwa mającym pośrodku Ciołka Poniatowskich, objętości dwóch kart in-4to przy takimże suplemente. Nad tarczą ale pod koroną, z za hełmu wychodzi w szerz pas czyli wstęga, a na niej napis *Gazety Wileńskie*. I w takim kształcie gazeta polityczna w Wilnie, przetrwała aż za rok 1794; potem się znów odrodził Kuryer Litewski.

(2) Właśnie taka wiadomość o przejściu planety *Wenus* przez płaszczyznę słońca, zbijająca błędy i uprzedzenia dawniejsze astrologiczne, oraz wykładająca zalety i pożytki astronomii, znajduje się w *Kalendarzu Wileńskim* na rok 1769, po której następuje oznaczenie szerokości geograficznej Wilna, przez x. Poczobuta. Kalendarze takie polityczne w Wilnie wydawane najprzód przez Jezuitów, później przez uniwersytet, drukowały się każdorocznie, aż do kas-

dzieży, jak dotąd było, to przynajmniej wpływ na opinię publiczną, i kierunek w rozwijaniu się cywilizacji krajowej. Ułożył więc projekt, ażeby z młodzi zakonnej ex-Jezuickiej uczyniwszy wybór utworzyć, jak nazywał, *corpus literackie*, z któregoby powstać z czasem mogło coś podobnego do akademii nauk. „Chcę (odzywał się on) z niechęcią prywatnego poszukać publicznego pożytku: chcę na mogile matki mojej wystawić tę pamiątkę dla niej chwalebna a ojczyźnie pożyteczna. Nieinaczej Francuzka i Angielska akademie umiejętności powstały i w tak wspałałe korpusy urosły. Poczęły się od prywatnych ludzi, przyjaźń między sobą, a gorliwość o nauki mających. Już cokolwiek mam takich, i więcej zebrać postaram się; a spodziewam się, że Bóg myślom moim pobłogosławi“. Już to naturalnie astronomia i obserwatorium grałyby w tym planie największą rolę. Szło jeszcze o sposoby ogłasza-

saty jego w roku 1832. Z najdawniejszych znany mi jest z r. 1737, pod tytułem: *Kalendarz Polityczny* na rok pański 1737, przybyszowy po przestępnym pierwszy, zawierający w sobie rewolucje roczne i lunacye, zaćmienia słońca i księżyca, concilia powszechne, heresie, zakony, *seriem* królów Polskich, dzień narodzenia panów i inne rzeczy ciekawe do politycznych rozmów służące, zebrane przez J. P. S. J. Theologa, w Wilnie w drukarni Akademickiej Societatis Jesu. Wydawcą jest zapewne x. Poszawski, bo w kalendarzyku następnego 1738 roku nazwisko jego już jest wymienione. Także kalendarz wydany r. 1774, w drukarni J. K. Mei w Wilnie, bardzo porządnie drukowany, zdaje się już być redakcyi Poczubuty. Znajduje się w nim na końcu: „Dysertacya historyko-krytyczna napisana po-Niemiecku przez pana Schloezer historyka profesora w Petersburgu, w której dowodzi, że *Lech* ani przed rokiem 550, ani po nim, ani żadnego innego czasu w Polsce niepostał, i że cała o nim bajka około czternastego urosła wieku.“

nia publicznie prac i dążeń tego nowego zgromadzenia uczonych. Pisma czasowe były najwłaściwszym środkiem dopięcia tego celu. Ale tych prawie nie było wówczas w Wilnie, a jeżeli jakie publiczne papiery ukazywały się od czasu do czasu, wszystko to ograniczało się do samych gazet raz na tydzień wychodzących, i kalendarzyka politycznego raz na rok: bo i wiadomości literackie co miesiąc dawniej pojawiające się ustały od kilku lat, acz blahe i mało czego nauczające! Poczubut jednak w niedostatku innych środków, chwycił się tych jakie były pod ręką, i usilnie nalegał prośbami swemi na Chreptowicza o postaranie się dla niego przywileju na kalendarz polityczny mający służyć na Litwę, i na gazety literackie, a jeśli to być może, i na polityczne. Zaręczał przytém, że dotychczasowe obowiązki jego nieprzeszkadzałyby mu do zajęcia się nowemi przy pomocy wybranych do tego osób. Mniemał zaś, że jakikolwiek dochód z takich publikacji, przyłożyłby się do wsparcia i funduszu dla pracujących w projektowanym zgromadzeniu. O drukarnię nieśmiało prosić, boby się to zdawać mogło zawiele na jeden raz, chociaż drukarnia była koniecznie potrzebną w jego widokach dla takiej instytucyi, i pod jej dozorem byłaby najpożyteczniejszą krajowi. Zamiary te tak dalece zajęły myśl Poczubuty, że wysłany do Warszawy w różnych sprawach zniesionego zakonu, x. Jankowski rektor kolegium Jezuickiego w Poszawsku na Żmujdzi, odebrał polecenie rozwinąć je ustnie tak Chreptowiczowi, jako i innym osobom mogącym je wspierać. Lecz próżne były obawy naszego astronoma o losy obserwatorium Wileńskiego, a nawet i o samych Jezuitów: ponieważ nikt niemyślał o zniesieniu akademii, a z nią jakichkolwiek zakładów naukowych; zdolniejsi zaś Jezuitci musieli znaleźć

w niej miejsce, bo prócz nich i kilku Pijarów, prawie nikogo niebyło, nietylko w Litwie, ale i w całym kraju, sposobnego do nauczania młodzi po szkołach, jeżeli wyłączy my uczniów akademii Krakowskiej. Inna wcale od projektów Poczobuta myśl tkwiła w głowie niepospolitych zdolności ministra, myśl wielka i zbawienne dla narodu pożytki zlać mającą. Chreptowicz powziął zamiar utworzenia osobnego najwyższego dozoru dla szkół narodowych, a znalazłszy wsparcie swojej idei u króla, uzyskał zaraz na sejmie przyjęcie jej, i skutecznie pod imieniem Komissyi edukacyjnej obojga narodów: było to pierwsze ministerstwo oświecenia w Europie. Zajął się ona natychmiast losem upadłych Jezuitów, i docześnie zostawiła im już sekularyzowanym nauczanie młodzi z pewnemi instrukcyami, tak w akademii w Wilnie, jako i w podobnych szkołach. Niepotrzebnemi więc stały się projekta Poczobuta; a tymczasem dla pocieszenia go, przysłał mu Chreptowicz w listopadzie roku 1773, przywilej królewski na drukarnię, po-Jezuicką Świętojańską w Wilnie, na imie jego wydany. Radość Poczobuta i wdzięczność za to, była niezmierna: sądził bowiem, że taki środek rozszerzania nauk i wiadomości z odnowić się mającej akademii, w ręce mu oddany, pomoże mu razem do ogłaszania ważnych prac i obserwacyj astronomicznych i pomnoży fundusz na różne przedmioty naukowe. Lecz i ten dar nieobszedł się bez kłopotu. Wyznaczeni lustratorowie do inwentacyi i objęcia na skarb różnej ruchomości po-Jezuickiej, nieotrzymawszy urzędowej wiadomości o przywileju dla Poczobuta, mogliby swoją czynność i do drukarni rozciągnąć. I nie tu jeszcze koniec ambarasu: bo Jezuici przed samą kassatą swoją, uczynili donacyę tej drukarni na rzecz króla; tymczasem zaś podskarbi nadworny Litewski Tyzen-

hauz, chociaż sprzyjający Poczobutowi, lecz niebędąc formalnie uwiadomiony o przywileju, a świadomy dobrze o donacyi Jezuickiej na osobę królewską, zabierał się także do objęcia drukarni, w celu zapobieżenia lustracyi. Znowu zatem Poczobut musiał kolatać czas niejakiś o stanowiącą rezolucyę w tej rzeczy od Komissyi: bo chociaż ta drukarnia wówczas opuszczona, niemogła więcć przynosić zysku nad 3,000 złt. P., bez niej wszakże ani akademija, ani obserwatorium objąć się niemogły. Zaspokojony wreszcie bezpieczną już posiadłością drukarni, zdaje się, że jeśli nie w tymże samym, to w początku zaraz następnego roku 1774, doczekał się dalszego spełnienia swych życzeń, przez oddanie mu redakcyi Gazety Wileńskiej. Jednakże i tu spotykały go niekiedy trudności i zmartwienia, czego dowodzi jakiś przypadek, którego sobie wytłómaczyć niemożemy, choćbyśmy nawet i posiadali gazety z roku 1774, a którego wiadomość podaje nam następny list Poczobuta pisany do Chreptowicza, do Warszawy. „Nieukontentowanie publiczne, o którym ostrzeżony jestem imieniem Jwm. pana dobr., względem addytamentu do Gazety Wileńskiej pod datą 12 lutego, témbardziej mię martwi, im wcześnięj przejrane a pewnięj spodziewane było. Widziałem niegodność tego projektu, i sądzić inaczej niemożem, je-no iż podle i uszczypliwe wyrazy nietylko narodowi obelgę, ale nawet i *Gazecie pod dyrekcyą moją będącęj*, zniewagę i niesławę czyniły. Mówiono to autorowi Jmć-panu Pękalskiemu, który kwalifikując się sekretarzem JwJmć pana generała Rzewuskiego do expedycyj Polskich należącym, w oczach jednego z xięży kolegów moich własną ręką cały ten artykuł napisał. Ale on odpowiedział: czemu tego niedrukować, co w rzeczy samej było? Tak było, tak JwJmć pan generał chce, tak być musi. Szczęściem to

się jeszcze stało, że *Gazety* będąc już zupełnie ułożone *actu* znajdowały się pod prassą. Bylbym necessitowany splugawić one tym artykułem, który gdy był złożony do addytamentu, posłałem mu jeden exemplarz z przydanym biletem. W tym wyraziwszy, iż dotkliwe terminy wielu urazić mogą, i że sam Jmć pan generał może być z tego niekontent, prosiłem aby się jeszcze dolozył w téj mierze Jmć pana generała, i prezentował mu exemplarz posłany, a dał mi rezolucyę przez bilet. *Alias* niemiałem wydać innych exemplarzów, co też mu posłaniec dopraszający się responsu powiedział. Dał mi tedy przez bilet rezolucyę: iż dobry ten exemplarz, iż dwanaście takich potrzeba, nie nieuwijając ani przydając, z rzeczy w pierwszym wyrażonych. Zachowawszy taki bilet *in omnem eventum*, kazałem dwanaście *prae*cise exemplarzów addytamentu wybić, i żadnego sobie nie zostawiwszy, wszystkie mu odesłać. Żem przestał na tych krokach, a dalszych nie czynił, ma mię wymówić sławny przypadek Jmć panu de Racz sędziemu Trockiemu w tym roku zdarzony. Dobroć serca Jwm pana dobrodzieja ku mnie, ufać mi niezawodnie każe, iż nietylko winnym w tym postępku nieznajdziesz, ale też przed królem Jmcią, panem moim miłościwym, zupełnie usprawiedliwić raczysz, jako tego, który *bono publico* z największą gorliwością służyć chcąc, pragnę też być z największym respektem, *Monseigneur* Jaśnie Wielmożnego wme pana dobr. najniższym sługą, x. Poczobut astronom JK. mci. D. 3 marca 1774, w Wilnie."

Nad wszystko jednak kłopotliwszą rzeczą było, położenie ówczesne Poczobuta w akademii. Nic w niej jeszcze nie urządzono na nowo, a stary porządek razem z zakonem obalony. Nauki też były w dziwnym stanie. Było to raczej, jeżeli wyłączymy astronomiję i wybornie urządo-

ne staraniem Poczobuta obserwatorium, jakieś gimnazjum, to zbyt niedołężne, aby się w niém czegoś gruntownie nauczyć można było. Uczyli sami prawie ex-Jezuici, języków, kanonów, fizyki i nauk innych elementarnych, do czego przypięto niejako katedrę anatomii i chirurgii, których lekcye dawał Mikołaj Ręgnier, Francuz, przedtém chirug nadworny Stanisława-Augusta. Dodać do tego jeszcze wypada, że nietylko rząd, lecz i los samej akademii był w ręku Massalskiego biskupa Wileńskiego, jako dotąd jej kanclerza, a potem prezesa komissyi edukacyjnój. Prałat ten, chociaż mający niemało nauki, a powierzonego poloru jeszcze więcej, ale pełen dumy i próżności, a w domowych wydatkach nieładnik, ufający pochlebiającym mu powiernikom, rządził się bardziej fantazyą pańską, jak zdrową rozwałą rzeczy. I co gorsza! zarządzając wtenczas głównie funduszami edukacyjnemi w kraju całym, odważył się na obracanie ich w pewnej części na swój użytek. Ztąd wynikło, że nietylko pensye lichy pobierali akademicy professorowie, lecz i te w zupełności ich niedochodziły. Poczobut więc znalazł się w bardzo krytyczném położeniu. Sam takiej powagi, takiej nauki i pracy człowiek, za ledwo ze swoim pomocnikiem, a razem professorem fizyki i adjuaktami dwóma, pobierał w ogóle 7,000 złot. Pol. półrocznie. Stawiło to go prawie w niemożności przyzwoitego utrzymania się, martwiło zaś, że ani swoim towarzyszom przy obserwatorium pomódz niemógł, ani mieć nadziei, żeby w takim stanie rzeczy kiedykolwiek akademija przyjsć mogła do porządku. Prócz tego Massalski go nie lubił, oświadczał nawet, że mając pretensye do drukarni akademickiej, zamierza mu ją odebrać, a pomocnikom jego tylko po 500 złot. P. rocznie wyznaczyć. Poczobut ze wszelkich względów miałby wten-

czas prawo przed innymi, tak do urzędu rektora akademii, jako i do otrzymania jakiej prebendy, na które wówczas zasłużeńszych ex-Jezuitów posuwano. Ale Massalski oddalał jak mógł wszelkie sposoby do otrzymania promocyi od Poczobuta. Kiedy naprzykład 24 lipca r. 1774, x. Alexander Horain biskup Hireński, referendarz Litewski a razem archidyakon Wileński, apoplexyą uderzony w kościele katedralnym podczas niesporów, umarł nagle: Massalski z doniesieniem mu o tym wypadku oświadczył natychmiast trzem członkom akademii obecnym wówczas u niego na pokojach, między którymi był rektor x. Skorulski i sam Poczobut, że wysła sztafetę do króla prosząc o kanoniję dla Skorulskiego, a x. Ignacego Żabę profesora teologii posuwa na Rektora. Jakoż sztafety od protektora i protegowanych hurmem poleciały do króla i różnych potentatów w Warszawie. Niewiemy czy Skorulskiemu dostała się kanonija, ale to pewna, że x. Żaba postąpił niezadługo na rektora akademii, a Poczobut mąż głębokiej nauki, rzadkiej cnoty i skromności, został na boku. Taki to los, jeśli nie zawsze, to przynajmniej dość często spotyka podobnych jemu ludzi!—Poczobut zastraszony zaniedbaniem akademii, i wyraźną niechęcią wszechwładnego kniazia biskupa, gotował się w ostatnim razie choćby z torbą o kiju opuścić drogie dla niego obserwatorium i pójść w świat szukać kawałka chleba. Jednakże osobisty szacunek Stanisława-Augusta i opieka Chreptowicza, ochraniały jego osobę i obserwatorium od napaści ostatecznej nieprzyjaźnych mu osób. Król pocieszał go jak mógł to obietnicą lepszej przyszłości, to po zaszczyceniu go dawniej tytułem astronoma królewskiego, wybiciem na cześć jego w r. 1775 pięknego medalu. Chreptowicz ze swojej strony pełen szczerą i nieustanną życzliwości dla na-

szego astronoma, usiłował go opatrzyć w nieco większe dochody, wiedząc, że gotów niemi w każdym razie zasilać potrzeby edukacyjne kraju, prędziej niż obracać na własne wygody. Nielatwo to jednak udawało się i podkanclerzemu: bo kiedy w r. 1776, będąc już pewnym otrzymania dla niego koadjutoryi kanonii Wileńskiej, uwiadomił o tém Poczobuta, wkrótce jednak przez zabiegi spółzawodników, pomimo protekcyi Chreptowicza, nominacyja ta nieprzyszła do skutku. Próżno tylko Poczobut siłił się na podziękowanie swojemu mecenasowi, za to, co go wnet zawiodło, porównyując siebie do losu wielkiego Kopernika. Ale i stan dotąd jeszcze nieurządzonej należycie akademii z przywłaszczanemi ciągle przez Massalskiego jój dochodami, niewzbudzał w Poczobucie stałej ufności w bezpieczeństwo trwałego bytu zakładów naukowych w Litwie, a témbardziej w ich postęp i udoskonalenie. Wszystkie te przeciwności zachwiały wlecie tegoż roku zdrowie Poczobuta, i musiał szukać pomocy lekarskiej doktora Bisio, niegdys Jezuickiego lekarza, a natenczas praktykującego prywatnie w Wilnie, człowieka uczonego i wielką tu wziętość w swojej epoce mającego. Tymczasem Komissya edukacyjna postrzegła się nakoniec w nieobecności prezesa Massalskiego, że w akademii Wileńskiej i w szkołach jój zarządowi podległych, działy się wielkie nadużycia i nieporządki, którym koniecznie zapobiedz wypadało. Wyznaczyła więc dla wejrzenia w to wszystko, co się dzieje na Litwie pod względem szkolnym, Józefa Wybickiego jako nadzwyczajnego wizytatora, który dnia 24 czerwca 1777 roku zawitał do Wilna, a we dwa dni potém uroczystą mową rozpoczął poleconą sobie wizytę najprzód akademii. Niebędziemy już powtarzać tego co się tyczy owej wizyty, co zkadinał wiadomo, i jak zacny Wybicki

znalazłszy, że Massalski 300,000 złot. Pol. zadłużył się kassie edukacyjnój, zmusił go pomimo wszelkich zabiegów do zapłacenia téj summy. Ale to tylko dodamy, że z całej akademii, na której czele stał wówczas xiądz Żaba jako rektor, a może i z całego towarzystwa ówczesnego w Wilnie, najbardziej ujął za serce Wybickiego ze wszystkich, Poczobut, tak głęboką nauką i wyższém oświeceniem, jak powagą i zacnością charakteru. Szacunek i przychylnosc wzajemna ustały się między nimi, jako między ludźmi nie dla siebie tylko, ale i dla dobra publicznego żyjącymi. Ztąd wypada naturalnie, że Poczobut musiał mu pomódz do wykazania wielu błędów i niedostatków w instrukcyi szkolnój naówczas zagnieżdżonych, a razem usposobić wizytatora do wystawienia Komissyi edukacyjnój potrzeby zaopatrzenia obserwatorium jego w nowe środki do utrzymania się na stopie świetnój, na jakiej zdołało stanąć już jego usilnością. Raport Wybickiego uczynił wielkie wrażenie na Komissyi, i sprawił ten skutek, że silniej zaczęto radzić i działać w celu przyspieszenia reformy uczenia publicznego w Koronie i Litwie. Tymczasem Poczobut wsparty protekcyą królewską i Chreptowicza nieprzestawał kołatać do Komissyi edukacyjnój o fundusz na zakupienie nowych narzędzi do obserwatorium Wileńskiego. Massalski zaś ze swojej strony, jako dotąd jeszcze kanclerz akademii, a zatém jój bezpośredni zwierzchnik, myślał także cokolwiek o niej, lecz same prawie nauki lekarskie zajmowały go wyłącznie. Jakoż gdy lekarz jego domowy Regnier Lotaryńczyk, którego on zrobił w r. 1775 professorem w Wilnie anatomii, niemógł się zajmować tą nauką, dla osłabionego wzroku: Massalski wysłał go do Francyi na wyszukanie zastępy. Wiadomo jest, że tym zastępcą został wybrany r. 1777 Jakób Briotet,

tak znany za naszój młodości w Wilnie lekarz, i tak kochany od wszystkich (1). Nakoniec Poczobutowi najpomyślniej udają się jego starania w Komissyi, która tegoż roku przeznacza na zakupienie nowych narzędzi do obserwatorium Wileńskiego 2,000 czerwonych złotych, a pomocnik i przyjaciel jego x. Strzecki wyjeżdża do Londynu dla zamówienia ich i sprowadzenia, z dodanym mu przez podkanclerzego na prośbę Poczobuta towarzyszem podróży, jakimś panem Gabryełem budowniczym Chreptowicza. A Poczobut uszczęśliwiony z téj wyprawy swojego towarzysza, nieprzestaje dziękować gorąco swojemu protektorowi za tyle jego względów i uczynności, polecając ciągle i z ufnością obserwatorium i całe swoje, jak nazywa, kolegium astronomiczne potężnój jego opiece! Wzajemnie cały rok następny 1778 był szeregiem różnych przysług, któremi Poczobut usiłował wywdzięczać się swojemu opiekunowi. To mu summę jakąś 10,000 złot. Pol. w złocie Holenderskiem podług redukcji konstytucyą przepisanej wynoszącą czerw. złot. 597 i grosz jeden srebrny, z Kowna sprowadzoną, odsyła przez umyślnie przysłanego z Żyrmun Tatarzyna. To mu donosi o różnych wypadkach jak np., że Trybunał siedzi na namowie w sprawie p. podskarbiego Tyzenhauza, ale dziś (17 stycznia 1778) ma być dekret; potem o zgonie biskupa Żmudzkie-

(1) Czytelnik, chcący mieć dokładne wiadomości o professorach medycyny uczących jój naprzód w akademii Wileńskiej za rektorstwa Poczobuta, a potem w uniwersytecie, znajdzie je w bardzo zajmującej rozprawie uczonego i szanownego prezesa Towarzystwa lekarskiego w Wilnie, professora Adamowicza, pod tytułem: *Początek i postęp anatomii w Polsce i w Litwie*, umieszczonej w *Historji nauk przyrodzonych* Gustawa Belke i Alexandra Kremera, T. V. a razem osobno wydrukowanej.

go (Jana-Dominika Łopacińskiego, także w styczniu), lub o przybyciu do Wilna księcia Sapięhy generała artylerji Lit., albo o niedójsiu kombinacyi księcia Massalskiego biskupa z wojewodą Nowogródzkim i o przejeździe przez Wilno na Słonim do Warszawy nowego biskupa Żmudzkiego Stefana Giedrojcia, a wszystko to w jednym dniu prawie miesiąca września. To nakoniec usiłuje gorliwie ułożyć z jakimś panem Tadwenem, interes pieniężny między Chreptowiczem, a pewną panią kasztelanową, jeździ nawet sam do Kowna. Ale próżne starania: kasztelanową zastaje niebezpiecznie chorą, córki, zięcia i wnuczkę pilnie nad nią czuwających, a do tego wszystkiego Tadwen szczerze wyznaje, że o zamożności kasztelanowej większa opinija, niż rzeczywistość. Słowem interes pęka z żalem chcącego się odsłużyć Poczobuta, a większym zapewne jeszcze samego Podkanclerzego. Z tém wszystkiém Chreptowicz umie ocenić przychylnosć i wdzięcznosć Poczobuta, i nieprzestaje być jego nieustannym protektorem. Tymczasem Strzecki przebywał w Paryżu już w grudniu r. 1777, obracając najpożyteczniej czas swój dla obserwatorium Wileńskiego, z wielką radością naszego Poczobuta, przepelnionego żywą wdzięcznością dla sprawcy tej ważnej misji. Świadczą o tém własne wyrazy w jednym liście jego do Chreptowicza (z daty 2 lutego roku 1778). „Ja żadnych listów i raportów JX. Strzeckiego czytać niemogę, nietylko bez serdecznego ukontentowania, ale też bez uczucia tej najżywszej rekognicyi, którą winienem jest po Bogu, JW. Panu Dobrodziejowi, tych wszystkich pomysłności i pociech moich autorowi. Przez wykonanie tego to projektu osładzają się mi niewymownie wszystkie prace i kłopoty moje przeszłe; ale ten tam projekt utrzymać by się i stanąć nigdy niemógł, gdyby niebył wspar-

ty tak usilnem interesowaniem się JW. M. Pana Dobrze za nim, i tą partykularną protekcyą, którąś mi Monseigneur, i kompanii mojej zdawna akkordować raczył.”— Strzecki zasługiwał istotnie na ufność Poczobuta, i odpowiedział godnie wyborowi jaki w osobie jego zrobiono do tej astronomicznej wyprawy. Zamówiwszy bowiem w Londynie trafnie i jak na znawcę przystało robotę narządzi dla obserwatorium; udał się do Paryża, dla poznania się z uczonymi swego powołania, będąc im polecony od Poczobuta, i dla zawiązania uadal czynnych związków między témże obserwatorium, a tamtejszą akademiją umiejętności. Jeden z astronomów Paryzkich przyjaźny Poczobutowi, St. Maurice de St-Leu, a jak się zdaje sprawujący obowiązek uczonego niejako agenta Stanisława-Augusta w Paryżu, miał ułatwić te stosunki naukowe. Celem Poczobuta w tym zamiarze było nietylko zawiązanie bardzo pożytecznej dla nauk i zaszczytnej korespondencyi z najpiérwszém i najuczeńszém na świecie zgromadzeniem naukowym; ale jeszcze włożenie raz nazawsze na astronomów Wileńskich obowiązku i niechybnej potrzeby utrzymywania naukowych stosunków. Ale St-Leu i drugi jeszcze Francuz uczony Du-Pont, nieinaczéj chcieli się zająć ułatwieniem tego interesu tak pożądanego przez Poczobuta, aż gdy odbiorą wyraźne w tej mierze polecenia od króla, choćby za pośrednictwem podkanclerzego Chreptowicza, i od Komissyi edukacyjnej przez księcia biskupa Wileńskiego. Zdaje się, że choć w części życzenia naszego astronoma spełnione zostały. Tegoż samego roku jeszcze 1778, Poczobut był wybrany członkiem korespondentem akademii umiejętności w Paryżu, którą to godność w dalszym czasie zatwierdził mu instytut narodowy Francuzki. Ale Poczobut niejedne miał do tego prawo: bo nietylko był znany

od wszystkich astronomów Europejskich jako pierwszy prawie założyciel zupełnego już obserwatorium w Wilnie, pierwszy w niem nauczyciel astronomii i regularny obserwator ciał niebieskich; nie tylko swojemi obserwacyami przesyłanemi i ogłaszanemi po główniejszych obserwatoryach, wielkie dla siebie wyrobił między uczonymi stanowisko:— nad to wszystko przybyła mu jeszcze jedna zasługa podczas bytności Strzeckiego w Paryżu. W akademii umiejętności udowodnionem zostało, że Poczobut odkrył najłatwiejszy sposób sprawdzania mikrometru przedmiotowego. Tak się o tém wyraża w liście do Chreptowicza d. 9 marca 1778 roku z Wilna pisany: „Po odebranych pierwszym liście z Londynu, doszedł mię jeszcze ostatni list z Paryża na samym wyjeździe od JX. Strzeckiego pisany, którego kopiję mam honor prezentować JW. Panu Dobr. Między wiadomościami matematycznymi, ta która jest opisana N. 1, ściąga się do obserwacyj naszych, i obserwatorium naszemu czyni honor. Sposoby weryfikowania *Micrometri Obiectivi* dotychczas były trudne, nienaturalne, i należytej precyzji niemające. *A'force d'observer* mnie się zdarzyło odkryć tak łatwy, tak naturalny i tak doskonały w téj mierze sposób, że się sam zdziwiłem, jak on odemnie pierwszego mógł być postrzeżony. O tém to *inventum* powiada JX. Strzecki, że sławny *l'abbé* Fontana był za pierwszego autora miany; ale się potem pokazało, że on wpadł na to, co już pierwsi było od nas odkryto, jako same obserwacje przez JX. Strzeckiego akademii prezentowane przyświadcza.”

Tak tedy liczne zasługi Poczobuta w tym czasie, nadawały mu niejako prawo podawania czasami rad i przestrogi w przyszłość i gotującej się już reformie obu szkół głównych. Jednakże oddany swojemu dotąd jedynie za-

wodowi obserwatora, z rzadkiem i godnym naśladowania zamiłowaniem, niemyślał, niemarzył ciągle jak tylko o niem, o jego trwałem urządzeniu i dostatecznem uposażeniu. Wkrótce też nadarzyła mu się zręczność nie tylko radzenia w téj materji, ale nawet wołania o to do komisji edukacyjnej. Pokazuje się że jeszcze w tym roku 1778, tkwiła już myśl w światlejszych głowach mężów wpływających do rządu Polski, wymierzenia geometrycznego całej powierzchni kraju i zrobienia dokładnej jego mapy, zaczynając przedewszystkiem od ściślejszego oznaczenia położeń geograficznych każdego znaczniejszego miejsca:— myśl wskrzeszona później przez Tadeusza Czackiego, a rozwinięta w planie już wyrozumowanym roku 1790 przez Jana Śniadeckiego. Wiedział dobrze o tych zamiarach Poczobut tak z korespondencji Chreptowicza, jako i z doniesień x. Strzeckiego bawiącego wówczas w Warszawie: wniósł zatem, że chcąc tak wielkie projekta przyprowadzić do skutku trzeba było wprzód ukształcić do tego ludzi zdolnych, a zatem uorganizować zupełnie niż dotąd szkołę astronomiczną. Mocno się jednak zatrwożył, gdy doszło do jego wiadomości, że komissya przy nowém przekształceniu akademii Wileńskiej, małe bardzo opatrzenie chciała naznaczyć pracownikom w obserwatorium. Żywy z przyrodzenia, żywo też wziął te rzeczy do serca, i taki list w tym przedmiocie napisał do Podkanclerzego. Przytaczamy go i dla tego że ma związek z podobnym zamiarem i planem Jana Śniadeckiego, któryśmy w żywocie jego umieścili (str. 189).—„..... Mam też okazję, (pisze Poczobut), wezwać dobroliwej jego protekcyi i pomocy w interesach astronomicznych, w których pomyslnym sukcesie tę jedynie dla siebie zakładam korzyść, żebym z prac naszych a z kosztów prześwieatnej komissyi, niezawodny

dla kraju pożytek zabezpieczył. Idzie, Monseigneur, o należyta dotację *Collegii Astronomici*. Ta jeśli ma dopilnować, zwyczajnych robot *in observatorio*, i zająć się wykucyą projektu geograficznego, to jest czynieniem różnych po kraju obserwacyj dla determinowania miejsc, oraz dyrekcyą i weryfikacyą wymiarów geometrycznych, niemoże się składać z mniejszej liczby astronomów jak sześciu. Jeden z nich musi być statycznie *in observatorio*, czterech albo trzech najmniej potrzeba będzie do stacyj owych, które między różnemi miastami obierane będą, i na których obserwacye astronomiczne czynione być muszą, gdy tym czasem jeden z zegarkiem *Longitudinum* od stacyi do stacyi jeździć i dyfferencyę merydyanów determinować będzie. Dyrekcyą też i weryfikacyą operacyj geometrycznych najmniej jednego potrzebować będzie. Mniej użyć osób, byłoby to przeciągnąć robotę *in infinitum*, a powiększyć expens bardzo znacznie. Po dwa tysiące kładąc na osobę, już na same pensye sześciu osób, trzeba by najmniej dwunastu tysięcy, prócz pewnej jakiej intraty na ustawiczne *in observatorio* wydatki. Lecz jako żadnego z astronomów mieć niemożna za mniej nad dwa tysiące, bo każdy z nich porzuciwszy obserwatorium obrałby chleb szkolny, tak zdza kolegę mojego i mnie do równej z innemi redukować pensyi, byłoby do ostatniej pędzić nas rozpacz. Zatem krótko mówiąc, a kładąc dla dwu pierwszych astronomów przynajmniej tę pensyę, która się dotychczas nam płaciła, nie *arbitrarily*, ale za wiedzą komisyi: na same dla *Collegium Astronomicum* pensye mniej kłaść niemożna nad szesnaście tysięcy, prócz opatrzenia niechybnych potrzeb *observatorii*, na które wyznaczyćby coś należało, tak jako się wyznacza *pro sartis tectis* szkół i kolegijów. Niewspominam ani łączę tu pensyi dla professo-

ra fizyki i intraty na gabinet fizyczny. Ten artykuł do obserwatorium i *collegium astronomicum* zgola nienależący, osobnych prześwietnej komisyi czeka względów; a sama dotacja *Collegii astronomici et observatorii* żeby była dostateczna, zda się wyciągać najmniej ośmnastu tysięcy. Czuję się być niezmiernie umartwionym, że o tę dotację muszę się przykrzyć i narażać prześwietnej komisyi. Ale byłbym nierozsądnym, zawodnym i złym człowiekiem, a komisyi i krajowi uczyniłbym pewną przez zawód krzywdę, gdybym nie mając *in observatorio* zdolnych i potrzebnych do roboty ludzi, porwał się do wykucyi tak wielkiego i ciężkiego projektu, jaki jest projekt geograficzny. Niech x kolega mój opowie J. W. Panu Dobrodziejowi i prześwietnej komisyi, wielu we Francyi użyto astronomów, geografów, geometrów i inżynierów dla zrobienia należytej mapy królestwa, koło której od ośmdziesiąt lat z górą do dnia dzisiejszego pracują? wiele na to łożono? Może on to dokładnie opowiedzieć, bo zasięgnął o tem dokładnej wiadomości, jako mi sam z Paryża pisał. Ja ani tej gromady ludzi, ani tych summ, ani tak długiego czasu nie zakładam; ale też bez ludzi i kosztów niechybnie potrzebnych robić nie niemożę. Wielka to robota, Monseigneur: trzeba do niej ludzi zdolnych i wcześniej *in observatorio* wyexercytowanych; a tych bez należytej pensyi mieć niemożna. Wielka mówię robota, o której im więcej myślę, tem się bardziej przestraszam, i tak się prawdziwie przestraszam, że bez tej dotacyi *Collegii astronomici*, o którą z x. kolegą moim prześwietnej komisyi najpokorniej i najusilniej suplikuję, natychmiast rzec się tego projektu i od wszystkiego umknąć się jestem postanowiony. Niechęć, Monseigneur, prześwietnej komisyi i ojczyzny zawodzić, niechęć na pewną awanturę i siebie

i kolegów exponować, niechęć oczyma świecić przed całą Europą, której to samo nawet do zadziwienia będzie, że na tak wielką robotę, tak małej rzeczy dopraszam się. Daruj mi, Monseigneur, że w tej rzetelności i prostocie, do której przez wiek mój przywykłem, a w tej poufalości, do której dobroć i łaskawość J. W. Pana Dobr. dała mi prawo, prawdziwy mój otwieram sentyment, i to co myślę szczerze wypisuję.—Takie utyskiwania zatrwożonego nadto wcześniej Poczobuta, o los astronomii i astronomów w akademii Wileńskiej, uspokojone zostały najprzód tém: że projekt rozmiaru i mapy kraju Polskiego odłożony został na później, jako może zbyt wcześnie kiedy jeszcze tak mało było sposobności do tego; powtóre, dostatecznym jak na owe czasy opatrzeniem przy następującej wnet reformie wszystkich professorów tak Krakowskich jak Wileńskich, a w ich liczbie obserwatorów i professorów astronomii. Nie tu jednak był koniec kłopotów i umartwień fraszobliwego Poczobuta. W samym początku następnego 1779 roku, komissya edukacyjna mianowała xiędza Chevalier znanego dobrze w Warszawie ex-Jezuicie, rektorem akademii Wileńskiej po xiędzu Żabie prałacie dziekanie Smoleńskim. Wybór ten był tak niespodzianym, że wszystkich w Wilnie w zadziwienie wprowadził. Spowodowały go zaś różne przyczyny. Bezwątpienia z całego składu akademii, ze wszystkich ówczesnych uczonych w całym Wilnie, Poczobut miał największe prawo do tego urzędu. Obszerna jego nauka, imię i prace znane w Europie, powaga nabyta wszędzie, zasługi położone w kraju przez głośnie za granicą ufundowanie obserwatorium, mówiły za nim zwycięsko. Ale komissya uważając, a może i znając go dotąd jeszcze jako człowieka specjalnego tylko, niesądziła że w nim znajdzie dosyć rąk do wykonania w całej roz-

ciągłości przedsięwziętej reformy, zwłaszcza że wiedziała o jego charakterze niepodległym; a może się i bała niektórych jego uprzedzeń z przeszłego stanu zakonnego pozostałych. Wreszcie i sami prezydujący w komissyi biskup Massalski nienależał wcale do przyjaźnych jemu zwierzchników. Słowem, dla któregośkolwiek z wyliczonych tu powodów, albo i dla wszystkich razem, a może głównie dla niezwykłego wpływu Massalskiego, ominiono na ten raz Poczobuta, a xiądz Chevalier, jako dobrze komissyi, podług wyrażenia się samegoż ję sekretarza x. Piramowicza (1), znajomy z gruntownego rozsądku, z obszernych wiadomości, i z gorliwości o dobro edukacyi, został zrobotoryzowany rektorem. Kiedy wiadomość o tej niespodzianej nominacyi przyszła do Wilna, cała akademija, wszystka publiczność była w zadumieniu. Nikt niepojmował dla czego tak się stało, bo każdy w jednym tylko Poczobucie widział naturalnego i właściwszego rektora. Ale akademija przecież równie w Litwie, jak i w jej stolicy, wszystkich mocno zajmowała, każdy w niej wypadek, każda odmiana, każda nawet o niej pogłoska żywo obchodziły szlachtę, duchownych i obywateli miasta. Znał się do tego nasz Poczobut, i uczył też dotkliwie, kiedy poczta Warszawska przyniosła taką nowinę do Wilna. Napróżno Chreptowicz usiłował go pocieszać najczulszemi listami z Warszawy, że nominacya Chevalier'a wypadła z takiego obrótu rzeczy, którego inaczej skierować niepodobna było, że kolej rektorstwa musi teraz już niezawodnie przypaść na Poczobuta, i że wreszcie dostojność którą zaszczycony został tak wielki przyjaciel jego, jakim jest xiądz Chevalier, po-

(1) W mowie, w dzień rocznicy otwarcia Towarzystwa do xiąg elementarnych, na sessyi dnia 8 marca 1779 mianują.

winna go raczej uradować niż obrazić. Poczubut czuł to wszystko i uważał wcale inaczej: niezazdrościł on powodzeniu przyjaciela, ale wyznawał otwarcie, że niebędąc pozbawionym do stopnia zupełnej abnegacji, właściwej ludziom miłości własnej, niemógł obojętnie patrzeć na to, razem z całą publicznością, jak nauka, praca i zasługi na nie się niezdadzą, gdy intryga nurtując pokryjomu przeważa je oczywiście! Żale te jednak najpierwszego męża z nauk w akademii Wileńskiej i w Litwie, pochodziły raczej z żywości jego uczuć, a niżeli z obrażonej dumy, bardziej z upragnienia do coraz czynniejszego życia, do działania na większą skalę w celu dobra publicznego, nakoniec do coraz większego podniesienia ulubionego sobie przedmiotu, astronomii, jak z chciwości dostojenstw i władzy.

Taki był pierwszy okres życia i publicznego zawodu Marcina Poczubuta, taki szereg trosk i życzeń jego.

PRZYPISEK.

Nim podamy dalszy ciąg i resztę rysów żywota zasłużonego Poczubuta, sądzimy, że pożądaną będzie dla czytelników naszych wiadomość o mężu, z którym los Poczubuta i akademii Wileńskiej tak ściśle był złączony. Joachim Chreptowicz już w późnej starości ułożył był dla wiadomości synów swoich Adama i Irenege: *Pamiętnik rodu Littaworów-Chreptowiczów od początku jak wiadomość zasięga do roku 1795*. W tém piśmie następnie rys własnego swego życia skreślił:

JOACHIM CHREPTOWICZ,

Syn Marcyana, zmarłego 1766 kwietnia 17 i Reginy Wojnianki zmarłej 1763 w sierpniu, urodził się r. 1729 d. 4 stycznia w Jasieńcu, w domu babki Teofili z De-Raessów wprzód Wojniny podczaszyniej Nowogrodzkiej, podówczas

Niesiolowskiej kasztelanowej Smoleńskiej, i w tymże domu babki przez pierwsze dzieciinne lata był wychowany. Początki grammatyki Łacińskiej brał w domu rodziców w Szczorsach, pod dyrektorem (jak podówczas nazywano) xiędzem Adamem Chmielowskim. Z tymże dyrektorem do akademii Wileńskiej wysłany, tam przez lat dwie pod professorami Jezuitickimi Korytyńskim i Wyrwiczem brał nauki tejże grammatyki. Z Wilna posłany do Brunsberga w armii, przez lat trzy niewyjeżdżając kończył nauki poetyki i retoryki w Brunsbergu, miał z sobą tegoż dyrektora xiędza Chmielowskiego. Powróciwszy z Brunsberga, rok jeden słuchał jeszcze retoryki w Nieświeżu, drugi logiki w Wilnie. Po skończonych naukach zaciągnięty do wojska Litewskiego pod znakiem usarskim królewica Xawerego. W roku 1753 był deputatem na trybunał z Bulharynem z powiatu Grodzieńskiego, pod łaską Ignacego Łaniewskiego łowczego Litewskiego. Za postąpieniem w roku 1752 stryja swego Jana Chreptowicza na kasztelaniję Brzeską, wziął po nim urząd stolnika Nowogrodzkiego, i w tym urzędzie prezydował sejmikom Nowogrodzkim: bo ziemstwa wyższego niebyło w Nowogrodku, dla zrywania sejmików per liberum veto. W roku 1754 był posłem z Nowogrodka na sejm ordynaryjny w Warszawie z Karolem xiążęciem Radziwiłłem podówczas miecznikiem Litewskim. W roku 1756 był posłem obrany z Staroduba z Bulharynem regentem skarbowym Litewskim, na sejm ordynaryjny w Warszawie, który się niezaczął dla nieobecności króla Augusta III, zatrzymanego wojną w Saxonii. W roku 1758 był posłem z Nowogrodka na sejm Warszawski z xięciem Michałem Radziwiłłem podówczas krajczycem Litewskim dzisiejszym wojewodą Wileńskim. Został pólkownikiem znaku petyhorskiego buławy wielkiej w wojsku Litewskim.

Po śmierci Augusta III, roku 1764 w konfederacyi Litewskiej był marszałkiem województwa Nowogródzkiego. W tymże roku był posłem z Grodna z Antonim Tyzenhauzem podówczas podstarostą Grodzieńskim na sejm konwokacyjny pod łaską xięcia Adama Czartoryskiego. Podczas elekcji Stanisława-Augusta prezydował jak przytomnemu w Warszawie województwu Nowogródzkiemu; był posłem od wojska do stanów Rzpltej, sprawował to poselstwo w szpie elekto-ralnej; odpowiadał mu xiążę prymas Łubieński. Podczas sejmiku koronacji Stanisława-Augusta został sekretarzem w. x. Lit. W r. 1765 został marszałkiem trybunału głównego Litewskiego. W r. 1766 był na sejm Warszawski z Nowogródka z Kazimierzem Korsakiem pisarzem ziemskim Nowogródzkim posłem i deputatem do konstytucyi. W tym roku dnia 22 decembra ożenił się z Konstancją Przeździecką, Antoniego Przeździeckiego podkanclerzego Litewskiego i Katarzyny Ogińskiej wojewodzianki Trockiej córką.

Po tym sejmie konfederacye Slucka, Toruńska, Radomska, sejm 1768, po nim konfederacya Barska; przez te wszystkie czasy niewchodził w żadne funkcyje publiczne.

Dla poratowania zdrowia, w roku 1770, wyjechał do cudzych krajów, przez Gdańsk, Berlin, Lipsk, Frankfurt, Strasburg do Paryża; ztamtąd do Londynu, do Hollandyi, potem do Spaa, przez Kolonję, Frankfurt, Norymbergę, Ratysbonę do Wiednia; z Wiednia przez Pragę, Drezno, Berlin, Gdańsk, powrócił do Warszawy.

Na zaczynającym się sejmie roku 1773 wziął pieczęć mniejszą Litewską po Antonim Przeździeckim teściu swoim wakującą. Oddawał mu ją król z tronu po złączeniu izby poselskiej z senatem. Został potem starostą grodowym Orszańskim. Przy ustanowieniu na tymże sejmie komisyi edukacyjnej po skasowaniu zakonu Jezuickiego, został

nominowany między komissarzami, i pracował w tém zgromadzeniu do roku 1792, mając sobie poruczony departament akademii i szkół Litewskich.

Od roku 1773 do roku 1793 pracował w obowiązkach urzędowych, już to prezydując sądom asesorskim, już to zasiadając przez lat dwie w radzie nieustającej w departamencie zagranicznym, już to sprawując urząd pieczętar-ski na sejmach. Roku 1791, kiedy przez konstytucyę dnia 3 maja rada titulo Straż do boku królewskiego była ustanowiona, zasiadł w téj straży, sprawując interesa za-graniczne, i miał na to fundusz ze skarbu Rzpltej nazna-czony. Po ustaleń straży, za dyspozycyą konfederacyi Tar-gowickiej zdał i kancelaryę zagraniczną i fundusz Mała-chowskiemu kanclerzowi koronnemu; a rachunek z fundu-szu zagranicznego podany jest w Grodnie na sejmie 1793 w jego nieprzytomności, i kwitancya jemu dana znajduje się w aktach tego sejmiku. Przed tym sejmem Grodzień-skim, złożwszy pieczęć w rękę królewskich, wyjechał dla potrzeby zdrowia do Karlsbatu, dokąd jadąc wziął z sobą z Drezna młodszego syna Irenego; od wód Karlsbaskich, ndał się przez Bawaryę, Tyrol, Weronę, Bononiję, Flo-rencyę, Liwonę do Rzymu, potem do Neapolu. Za po-wrótem do Rzymu, odebrawszy wiadomość o nowych roz-ruchach w Polsce, wyjechał do Wiednia. Po skończe-niu tych rozruchów po rozdzieleniu ojczyzny między trzy sąsiedzkie potencye, powróciwszy do Litwy, zna-lazł dobra Szczorse i Wiszniew przez wojsko Ros-syjskie zrujnowane, zrabowane i w sekwestr Rosyjski wzięte, a na dobra Białoruskie, Chłopienicze, Ziembin, Biesieńkowieze konfiskatę publikowaną. Otrzymawszy uchyle-nie z sekwestru i konfiskaty, też dobra prawem dona-cyjnem oddał do działu między synów swoich Adama i

Irenego i długi do splacenia im przekazawszy, też dobra w posesyę im ustąpił.

Co do dóbr, najprzód objął Joachim Chreptowicz prawem nabycia od ostatniego sukscessora Antoniego Chreptowicza, za ustąpieniem przez Karola Chreptowicza dzisiejszego starostę Grodzieńskiego, majątność Krasnybór w powiecie Grodzieńskim, którą oddał w posagu córce swojej Ewie z Chreptowiczów Brzostowskiej. Po zejściu ojca swego Marcyana objął Szczorse, w tych częściach, które Marcyan ojciec i Jan stryj jego trzymali w Nowogródzkim, Pyszno w Połockim, Poporcie i Kościuszyszki w Trockim, Ziembin w Mińskim województwach; Chołopienicze w trzech częściach dziedziczne w czwartęj zastawne; Wesolów w Orszańskim, Kotwieliszki w Oszmiańskim powiatach; kamienice w Wilnie. Z tych dóbr objętych, Pyszno, Poporcie, Kościuszyszki, Kotwieliszki, kamienice w Wilnie sprzedał. Po zejściu siostry Karolowej Chreptowiczowej, objął dobra które jej były darowane od ojca, Ponedel i Wysoki dwór w powiecie Wileńskim, i te także sprzedał. Za prawem darownem od Zofii z Chreptowiczów Sawaniewskiej, ostatniej z linii Teodora Chreptowicza podskarbiego w. L., objął majątność Wiszniew w powiecie Oszmiańskim. Za prawem także darownem od Michała Ogińskiego hetmana w. x. L. objął dobra Biesienkowicze nad Dźwiną w województwie Połockim, część która była w Polsce dziedzictwem, a część która była w kordonie Rosyjskim pod konfiskatą z innymi dobrami Ogińskiego podpadłą w summie Platerowskiej na nich będącej. Objął w summie zastawnęj, włanej sobie od Karola Chreptowicza starosty Grodzieńskiego, dobra książąt Radziwiłłów Głębokie w powiecie Oszmiańskim. Znosząc szachownice, których było bardzo wiele w grun-

tach i wsiach Szczorsowskich, uwolnił z pod zastawy część Szczors Ostafiejewszczyzna zwaną. Przykupił Koleczyce trzecią część Ostuchowa, Kulów, ludzi Bazylijańskich we wsi Bołotcu z gruntami, i przez te kupna całe Szczorse w jedno zebrał i od szachownic ożyścił. Dał sumę książętom Radziwiłłom na zastaw Niehniewicz przyległych do Szczors. Kupił majątność Słowieńsk z attynencyami przyległą do Wiszniewa w połowie dziedzictwem, a w połowie prawem zastawnem. Po zgaszonym zakonie Jezuitów kupił przyległe do Chołopienicz dobra Poczujewicze w województwie Połockim, Hryckiewicz i Nizyce w powiecie Orszańskim. Kupił domy xięży Teatynów w Warszawie splaceniem z nich summy Genuńczykom i innych długów Teatynskich. Kupił starostwa Zyczyn i Brzeziny w ziemi Stężyckiej, od książąt de Nassau Siegen. W czasie swojej posesyi wymurował w Szczorsach dom obszerny z oficynami i innymi mieszkaniami wygodami; wymurował cerkiew na miejscu zgorzałej w roku 1758 dnia 22 maja. Założył w Wiszniewie kuźnice wielkie żelazne i hamernię miedzianą.

ADAM CHREPTOWICZ.

Kawaler orderu 3-go Stanisława rodził się w Szczorsach, roku 1768 dnia 19 marca.

EWA CHREPTOWICZÓWNA.

Rodziła się w Warszawie roku 1769 maja 9, poszła za Michała Brzostowskiego starostę Mińskiego, Bystrzyckiego, Orszańskiego, kawalera orderów Orła białego i świętego Stanisława.

ALEXANDER CHREPTOWICZ.

Rodził się w Warszawie roku 1772 styczni 8 dnia. Po skończonych naukach w akademii Wileńskiej, umarł w War-

szawie roku 1786 marca 27. Pogrzebiony na cmentarzu kościoła Panny Maryi.

IGNACY CHREPTOWICZ.

Rodził się w Warszawie roku 1773 junii 12. Po skończonych naukach w Akademii Wileńskiej, jeździł z bratem starszym Adamem dla widzenia akademii w Göttingen, do bywania kruszców w Hartzu, ztamtąd do Hamburga, i z Lubeki morzem do Kopenhagi. Umarł w Grodnie roku 1793 maja dnia 11-go; pochowany w Grodnie u Bernardynów.

IRENE CHREPTOWICZ.

Kawaler Maltański, rodził się w Warszawie roku 1775 dnia 19 februaryi.

JAN CHODŹKO.

OBRAZEK ŻYCIORYSOWY,

PRZEZ

DOMINIKA C. CHODZKE.

Od dawnaby należało uczcić wspomnieniem życiorysowém pamięć takiego człowieka, jakim był ś. p. Jan Chodźko, znany pod imieniem autora *Pism Pana Jana ze Świsłoczy*. Nieraz tu i ówdzie słyszeć się mi zdarzyło życzenie powzięcia takich wiadomości, nieraz brałem w tym celu pióro do rąk, lecz zawsze je odkładałem, bom także słyszał, że znane chlubnie w piśmiennictwie naszym osoby tą szacowną zamują się pracą. Ale gdy teraz już kilka lat ubiegło a cichość pod tym względem zupełna, niewielką i nadal ziszczania żądanych chęci rokuje nadzieję, postanowiłem nareszcie, w miarę możności mojej, oddać hold należny zasługom i pracom zacnego obywatela i pisarza. Znałem go z lat moich dziecińczych, byłem z nim potem w częstych blizkich, pokrewnych stosunkach. To więc o nim wiernie opowiem, co mi jest z życia jego znajome.

Pisemko moje niebędzie ani nekrologiem, ani dokładnym, zupełnym życiorysem. Będzie to tylko prost, tymczasowe, lecz rzetelne wspomnienie. Będzie to tylko *obrazek życiorysowy*, jak mi to na początku pisania mego zapowiedział.

Jan Chodźko urodził się w roku 1777 dnia 24 czerwca, z rodziców dostatnich, w dzisiejszej gubernii, dawniejszém województwie Mińskim, powiecie Wilejskim, w majątku Krzywiczach. Pierwiastowe wychowanie odebrał w domu pod dozorem umiejętnych i sumiennych nauczycieli. W samym młodocianym dni swoich rozwoju, niepospolite do nauk okazywał zdolności; dalsze nauki odbył w szkołach publicznych Wileńskich. Ale krótko mu przeznaczono iść torem własnego naukowego kształcenia się: i dwie bowiem dożył lat siedemnastu, już stracił ojca i cały ciężar zarządu domowego na młode jego spadł barki. Sprawy rodzinne wymagały po nim stałego i czynnego kierownika, on zaś według prawa był jeszcze nieletnim. Na sejmie tedy Grodzieńskim r. 1794 król Stanisław-August skutkiem podanej sobie prośby, wchodząc dobrowolnie w potrzeby pozbawionej opiekuna rodziny, uznał go pełnoletnim. Odtąd Jan troskliwie domowym zaradzając potrzebom, służył też razem czynnie obywatelstwu, które na różne wzywało go urzędy, był po kolei sędzią, podkomorzym, nareszcie prezesem sądu głównego izby cywilnej Mińskiej. Zasługi jego publiczne najżywszym jaśniały blaskiem w czasach, kiedy światły i możny obywatel, Kazimierz Sulistowski mianowany został od tronu gubernatorem Mińskim, Dom Chodźki w Mińsku, działo się własność Wankowiczów, przy ulicy Dominikańskiej, stał się wtedy niejakiemś ożywcem dla każdego ogniskiem, do którego zbiegali się tłumnie wszelkiego stanu ooby, potrzebujące rady w zawilszych sprawach lub polubownego stanowczego szukające pośrednictwa; sieroty przytém zawsze w nim łatwą znajdowały pociechę, ubóstwo wsparcie. Dom ten naówczas odznaczał się prócz tego, szczególniejszą, staroświecką, miłą, serdeczną uprzejmością. Starsi wiekiem obywatele, dotąd wdzię-

cznie wspominają zwykle tam przebywane wtorki, wyznaczone na przyjmowanie liczniejszych gości, lubiony i szacowany powszechnie, w młodym wieku zawarł związki małżeńskie z Klarą Korsakówną, córką zamożnych obywateli, dziewczicą niepospolitemi słynącą powabami. Bóg kolejną czasu liczném go ubłogosławił potomstwem, oraz wzrostem ziemnego majątku. Nabył rozległe, niedalekie od Krzywicz dobra *Parafijanów* zwane; lecz swobodne od prac urzędowych chwile, często w dziedzicznych przebywał *Krzywiczach*. Tam pokrzepiał duszę, w pięknym, wśród miasteczka, murowanym kościele, wtedy do oo. Trynitarzy należącym, mającym prócz wielu dobrego pędza obrazów, przy wielkim ołtarzu posąg Zbawiciela, zupełnie taki jak na Antokolu w Wilnie i z nim razem niegdyś z Włoch przywieziony. Tam oświecał umysł i nauką rozpostrzeniał wiedzę, czerpiąc ze znacznego, kilka tysięcy tomów zawierającego księgozbioru, który był zebrał a później przy zejściu na użytek ogólny rodzinie Chodźków ostatnią wolą swą przekazał ś. p. Ignacy Chodźko, Jezuita, rektor kollegijum w *Żodziszkach*, tłumacz wierszem miarowym Fedra na język Polski, a prozą na Francuzki. Tam nareszcie błogie spędzał godziny, obok małżonki i dzieci, okolony zawsze prawie krewnymi i sąsiadami, w obszernej Krzywickiej sali, mającej okna wychodzące na kwiecisty ogród, zdobnej portretami monarchów i cenniejszych bohaterów kraju, rozlegały się nieraz gwary wesole hożej dziatwy, lub toczyły się zajmujące starszych osób rozmowy, których zawsze ś. p. Jan głównym był przywódcą i duszą, a stół ogromny, podłużny, osiadali najczęściej sami tylko mnodzy jego pokrewni! Wszystko zaiste ulega zmianom na tej ziemi; ale któżby wtedy i pomyśleć mógł nawet, że wkrótce ten rozkoszny obraz

rodziny całkowicie do niepoznania zgaśnie, że gwary ucihną, sala opustoszała wraz z majątkiem w obce odpadnie ręce, a dziatwa podrosła, jedna wstąpi wcześniej do grobu, inna jak liść jesienny wichrem, rozmiecioną zostanie po różnych stronach świata! Tak jednakże z czasem się stało.

Ukończywszy służbę obywatelską chwalebnie, nagrodzony od monarchy orderami: ś. Anny 2-go i ś. Włodzimierza 4-go stopnia, z Mińska przeniósł się do Wilna, jako główny prokurator massy dóbr po-Radziwiłłowskich, należących wtedy do nieletniej xiężniczki Stefanii Radziwiłłówny, córki xięcia Dominika, później małżonki xięcia Ludwika Wittgensteina. Tu mu obszerne do rozmaitych działań dla dobra powszechnego otworzyło się pole. Tkliwego i litośnego serca, chętnie przyjął wezwanie jeszcze od samego początku zawiązania się dwóch towarzystw domów dobroczynności w Mińsku i Wilnie: tu osiadłszy najczynniejszym wprędce stał się członkiem i prezesem wydziału. Wielu jeszcze pamięta, wreszcie świadectwa pozostałe w piśmie peryodycznym, przez lat kilka wydawanym pod napisem *Dzieje dobroczynności w Wilnie*, dalszej pamięci to przekażą, ile Jan Chodźko ciągle się trudił i bezustannie przemysliwał, aby skarbona ubogich obficie uposażoną była a przez to dostarczała bezustannych zasobów wspierania nędzy i przynoszenia ulgi cierpiącym niedostatek. Ileż to za jego wpływem odegrano koncertów publicznych przez różnych artystów i amatorów na dochód ubogich! ileż pełnych smaku i wyborowych przedstawiono na teatrze w tymże celu widowisk!... Sam wielki lubownik i niepospolity znawca teatru, występował wraz z innymi ze znamienitszego obywatelstwa złożonymi amatorami na scenę, a zachwycona grą wzorową publiczność,

niezmiernemi z zapalem zbiegała się tłumami (1). Na posiedzeniach publicznych towarzystwa często brzmiał głos jego wymowny w treściwych i pięknych mowach. Z tych niektóre wydrukowano we wspomnionych wyżej *Dziejach*.

- (1) Sławna artystka Warszawska Ledóchowska, oraz słynni z tegoż miasta artyści W. Bogusławski i Werowski (którego Jan Chodźko sam był zawiózł do Warszawy i teatrowi zalecił), przybywający wtedy dosyć często do Wilna, jako pożądanymi gośćmi, nieraz za wpływem jego na korzyść domu dobroczynności grywali. Ale najwięcej rozwijał wrodzone to swoje do teatru upodobanie w miasteczku Zaborzu, w powiecie Dziśnieńskim. Właściciel naówczas tego miasteczka, marszałek Bujnicki, krewny znanego wydawcy *Rubona* i autora pism wielu, lubiący towarzyskie zabawy, w jesień na tygodni kilka, spraszał liczne obywatelstwo, z którego grona najcelniejsze osoby utworzyły towarzystwo amatorskie dramatyczne, a duszą jego i najgorliwszym a najzdolniejszym przewodnikiem zwykle bywał Jan Chodźko. Najczęściej występował w rolach tragicznych; między innymi Kmitę w tragedji *Barbara Radziwiłłówna* A. Felińskiego i Alwaresa w *Alzyrze* Woltera, przekładu L. Osińskiego, tak przedstawiał, że najsurowszy krytyk nicby grze jego przewybornej zarzucić niebył w stanie. Nietylko najświetniejsze dramata i tragedye, oraz wyborowe komedye, przedziwnie odegrywano na teatrze Zaborskim, lecz opery nawet *Saljerego*, *Mocarta*, *Bualdje* (Boildieu), *Mehiula* i wielu innych owocześnie wystawianych mistrzów, dokładnie wykonywano: niebrakło bowiem i dobrych obojg płci śpiewaków i odpowiednej przedmiotowi orkiestry, należącć do znawcy muzyki, pięknym obdarzonego głosem ś. p. marszałka Serafina *Roszkowskiego*. Niektóre wspomnienia o tym teatrze i Zaborzu, były umieszczone w *Wizerunkach naukowych*. Warto, aby którykolwiek z obywateli starszych, bliższy i świadomy zabaw Zaborskich świadek, dokładniejszą spisał o nich wiadomość. W Mińsku, prócz tego, Jan Chodźkoznacznie był zasilł, bo kilku tysiącami rubli srebrem, domateczny dobroczynności, odegrywając tam z amatorami, różne celniejsze utwory sceniczne, za co mu wtedy prezes towarzystwa Mińskiego dobroczynności x. biskup *Dederko* publiczne oświadczył dzięk.

Obok miłosiernego serca, obdarzył go Bóg umysłem pojętnym i wzniosłym, który on w miarę swojej możności, czytaniem, nauką i obcowaniem z uczonymi ludźmi wykształcał. Uniwersytet Wileński, widząc w nim tak światłego i użytecznego obywatela, policzył go w poczet honorowych swych członków, później zaś mianował głównym szkół wizytatorem. Jak ważnego tego dopełnił poruczenia, ztąd łatwo wniesić można, że wizyty jego wraz z wizytami Józefa Twardowskiego, (później rektora uniwersytetu) zdaniem powszechném, za najlepsze i wzorowe uznano.

Usunawszy się od prokuratoryi Radziwiłłowskiej, zatrudniał się jeszcze czas jakiś w Wilnie dla pożytku innych, gdy wtém chmura niedoli widnokrąg życia jego, dotąd stale prawie pogodny, niespodziewanie zasępila, a wypadły z niej piorun, wszystkie dalsze jego pogruchotał nadzieje. Odtąd pasmo bólów i tułactwa kilkoletni mu przeciąg dni zabrało, wynikły ztąd nieporządek domu, zachwiały majątkiem, który i bez tego różnemi ubocznemi okolicznościami i zbytniem własnym, jego do zaślepienia zaufaniem oraz muięj obaczną szczodrocią znacznie był już nadwątłony. Wróciwszy do domu, nieznalazł już wszystkich swoich synów, ówczesnym wirem wypadków w obcą zagnanych stronę. Pozostali mu tylko dwaj synowie starsi i dorodna już córka. Tę wkrótce wydał za mąż; najstarszy syn zgasł wcześniej nagłą śmiercią w Wilejce, gdzie był powiatowym sędzią; drugi z kolei, nie często odwiedzając mógł ojca, zajęty służbą inżynierską, liczącą się w orszaku monarszym, nasłuprzed w Wołoszech, a potem na Kaukazie. Całe potomstwo ś. p. Jana, prócz zgasłych w niemowlęctwie dzieci, było następne: 1) Władysław, o którego niespodzianym, w pełnej sile wieku, wspomnie-

liśmy zgonie. 2) Józef, dzisiejszy generałmajor, inżynier, kawaler orderu ś. Stanisława 1-go stopnia i wielu innych, słynny tryangulacją Kaukazu i wędrowną na górę biblijną Ararat, na której szczyt najwyższy, pierwszy po św. Andrzeju, wstąpił, bo uczony Parrot nie był na samym szczycie, jak niektórzy mylnie mniemają, lecz go tylko widział zdaleka. 3) Alexander, znany nasz poeta romantyczny, tłómacz poezji ludowych Nowogreckich, przez czas długi mieszkawiec Persyi, liczący się obecnie między znamienitszymi orientalistami w Europie. 4) Felix, 5) Michał; oba znajomi za granicą z wynalazków swych mechanicznych. 6) Stanisław, znamienicie uczony chemik, professor tej ważnej nauki we Fryburgu, rozgłosny w tych czasach wynalazkiem nowego sposobu użyźniania roli (engrais atmosphérique). 7) Córka Zofija, po mężu Naborowska, obywatelka powiatu Mińskiego, teraz już i sierota i wdowa, matka czworga dzieci, pozostałych po zejściu licznie wygasłego w niemowlęctwie potomstwa.

Uległszy opacznyemu losu zmianom, nieupadł Jan na duchu, rezygnacją Chrześcijańską wspieranym; ale jako mężny gospodarz, dotknięty pogorzelą, zostawione od płomienia obłamki domu skupia i stara się z nich choć w skromniejszym obrębie, sklecić swój rodzinie uchronę,—tak i on, zbywszy się dóbr Parafijanowa, w samych tylko dziedzicznych osiadł Krzywiczach. Zamieszkały przy nim: żona, córka jeszcze wtedy niezamężna, i dziewięćdziesiąt kilka lat licząca już sobie matka. Trudno się mi tu wstrzymać, by obszerniej niewspomnieć o niej. Była to prawdziwa Staropolska weteranka, poniewolnie uszanowanie wzbudzająca. Wysokiej, ani trochę niezgiętej postawy ciała, szlachetnego, pięknego oblicza, łagodnością i dobrocią, serca wszystkich jednała. Syn dla niej po Bogu był najdroż-

szą istotą. Cierpieniami jego spólnie bolejąc, tyle nieboga łez wylała, iż niestępione wiekiem wypłakała oczy! Odtąd wieczystą otoczona pomroką, w tém tylko całą życia znajdowała osłode, iż syna już miała wróconego. Rzewny to był i szczególny widok, gdy ją wtaczano w wielkiem poręczastém krześle na kółkach do pokoiów bawialnych. Przybyłych krewnych lub znajomych, po kilku nawet leciecech ich niebytności, nieraz po głosie rozpoznawała, a w rozmowie z nimi, pewnym i mocnym głosem, zawsze pogodna, dziwnie uprzejma, nigdy najdrobniejszej skargi, najmniejszego utysku na zmienną dolę nie wyrzekła. Tkliwy, wdzięczny syn, najpięszczotliwszą osłaniał ją miłością swoją i opieką; a gdy naostatek Bóg ją do siebie przyzywał, własną ręką na sen śmiertelny, martwe jęj powieki zasunął.

Po zejściu matki, wezwany urzędownie, jeszcze chciał być pomocny innym; lecz gdy zamiar skutku niedoszedł, wrócił ze Słuczczyzny do domu i zarządem własnego gospodarstwa czynnie się zajął. Wszakże po jakimś czasie, widząc, że pomimo najusilniejszych chęci i starań, majątek ku coraz większemu schyla się upadkowi; oddać go wolał następczającemu się nabywcy, byleby się sumiennie co do grosza, rozpłacić z wierzycielami. Ciężary bowiem jeszcze były wielkie, Jan zaś podeszłym już obarczony wiekiem, bez pomocy, bez znajomości i doświadczenia w rolnictwie, przy ciągłym prawie nieurodzaju, a zawsze ślepo ufny, lubo nieraz zwodzony, — postanowił na małym wcale przestać mieniu, aby tylko nieukrzywdzić nikogo. Po wydaniu przeto córki za męża, wyprzedawszy Krzywice, osiadł nasamprzód jako dzierżawca, razem z żoną w Janowszczyźnie, w gubernii Mińskiej. Jest to mały, ze szczupłym domkiem folwark. Traf zrządził, iż w pokoiku

jego, dwa okna wychodziły, jedno na powiat Miński, drugie na Wilejski, jakby dla przypomnienia staruszkowi, iż we dwóch tych stronach, pożytecznie niegdyś dla dobra bliźnich, młode swe przebył lata! Z czystym sercem, z pogodą sumienia, osłoniiony w koło szumiącemi brzoźowemi gajami, zebrał szczątki swojego xięgozbioru, także podczas jego długiej nieobecności znacznie nadwreżonego, i gorliwie się oddał pracom piśmiennym, o których, równie jak i o poprzednich, przy końcu tego pisemka rozpowie my, żeby tutaj niemi rozpoczętego nieprzerywać wątku.

Po śmierci zięcia, Tytusa Naborowskiego, obywatela gubernii Mińskiej, przeniósł się wraz z żoną do majątku jego Rohowicz o mil kilka od Mińska, żeby być bliżej młodej swjej jeszcze, owdowiałej córki, gdzie prócz zwykłego sobie piśmiennego zajęcia się, nieraz okolony wnuczętami, wpajał w ich młodociane serca, pierwsze pojęcia cnot Chrześcijańskich i z właściwemi wiekowi oswajał i oznajmiał je naukami.

Tak płynął mu czas korzystnie, a lata jego ku coraz głębszej posuwały się sędziwości. Niezważając atoli na to, czerstwem zawsze cieszący się zdrowiem, gdy go w r. 1851 urzędownie mianowano członkiem komissyi budowniczej Mińskiej, — z ochotą młodzianowi odpowiedną, pośpieszył do Mińska, dla objęcia poruczonego sobie urzędu, jakby właśnie chciał koniecznie, na publicznej zastąpić do grobu zasłudze, rozpoczynawszy niegdyś od niej z młodych lat zawód swego pożytecznego życia. Przyjazd jego do miasta nastąpił w listopadzie, miesiącu ustawicznej zmiany chłodnego już powietrza uległym. Podczas odwiedzin celniejszych urzędników, zgrzany, zmienił mniej bacznie cieplejszą zwierzchnią odzież na lżejszą, z kądem nagłego doznawszy przeziębienia, gły wrócił do swojego mieszka-

nia, natychmiast zaniemógł, i silne, coraz okropniejsze, dręczyć go poczęły cierpienia;—aż nareszcie przeczuwając zbliżający się koniec życia, sam wezwał przyjaźnego sobie kapłana x. Michała Terajewicza, dzisiejszego dziekana i proboszcza na **Złotéj Górze** w Mińsku, z nim pokrzepiał ducha rozmową o wieczności i nieograniczonej dobroci Bożej. Ten mu też ostatnich religijnych pociech udzielił. Zalane łzami żonę i córkę słowami z głębi serca płynącemi pokrzepiał i kołł. Wzywał wszystkich do spólnej z sobą modlitwy, znosząc dotkliwe bole z największą cierpliwością. Dnia jednego przyniesiono doń listy z poczty: raz tedy jeszcze zwróciwszy uwagę na świat, prosił córkę, by mu je głośno odczytała; lecz w połowie przerwał czytanie, mówiąc, że myśl jego, gdzieindziej już skierowaną, i utrudza i płacze. Żegnał wszystkich obecnych i nieobecnych, bliższych sobie, każdego prawie wymieniając po imieniu; uroczysto oświadczał, że wszelkie przykrości, wszelkie doznane krzywdy, całą skruczą duszy swojej przebacza, sam prosząc o przebaczenie. Błogosławił z przejęciem żonę, córkę, jej dziatwę, synów, wnuków, zdala będących od śmiertelnego jego łoża, przyjaciół, znajomych, krewnych, i rzewnie płaczącą, a szczerze doń przywiązaną czeladkę domową. Naostatek, podtrzymywany rękami córki, na chwilę nieodstępnej, szepcąc już mniej wyraźnie drogie Imiona Jezusa i Maryi,—skonał.

Stało się to o południu dnia 10 listopada 1851 roku, w Mińsku, przy Wysokim-Rynku, w domu Kisterów, na przeciwko ich większej kamienicy. Zwłoki przewiezione do grobów rodziny Naborowskich, pogrzebiono w Zasławiu, na cmentarzu parafijalnym, o mil trzy od miasta. Uszanował pamięć zmarłego piękną mową x. Jan Drawdzik, tak-

że już teraz zgasły, gorliwy i przykładowy kapłan, dziekan i proboszcz Radoszkowicki.

Żył Jan Chodźko lat siedemdziesiąt sześć. W rok później (dnia 17 listopada 1852 r.) opadająca coraz znaczej na siłach ciała, ale przytomna umysłem, weteranka, żona jego, o pięć lat tylko młodsza, Klara z Korsaków, niespodziewanie tąż drogą za mężem poszła. Wieczorem bowiem, zdrowa, wesola, bawiła się wśród rodziny; a gdy godzina rozejścia się do snu wybiła, wstała z krzesła, uściślała córkę, życząc jej dobrej nocy, pobłogosławiła wnuki i na spoczynek do swojego pokoju odeszła, gdzie ją nazajutrz już śpiącą snem śmierci znaleziono. Pochowana również w Zasławiu, obok zwłók męża.

Był s. p. Jan wzrostu miernego, ciemnawy blondyn, twarzy może mniej pięknej co do rysów, ale znaczącej. Oko jego niebieskie, bujne, miało szczególny wyraz dobroci i szlachetności. Charakteru żywego, łatwego, jednostajnością humoru, uprzejmym obcowaniem, płynną nadzwyczaj wymową, ujmował, rzecby nawet bez przesady można, czarował wszystkich. Jakoż żyje dotąd we wdzięcznej pamięci tych, którzy go zbliżka znali. Z młodych lat do utycia skłonny, w podeszłym wieku spadać nieco zaczął na ciele, czerstwość wszakże i siłę bardzo powoli tracił. Może mu do tego pomagała szczególniejsza pogoda umysłowa, którą aż do zgonu zachował, wszelkie przygody, wszelkie bole, gasząc męztwem i Chrześcijańską uległością. Zachęcani słodyczą obejścia, odwiedzali go ciągle przyjaciele i krewni; przyjeżdżał zawsze, jak tylko mógł, choć na krótko, ulubiony syn jego Józef, z nad brzegów Tereku. Odwiedzałem go także niejednokrotnie z żoną moją; widzieliśmy oboje ze smutkiem ślady stopniowego niszczenia na twarzy, jakie czas nieubłagany nieczem,

na kochanym stareu naszym piętnował, lecz zmiany humoru, a mianowicie stopienia uczuć serca lub pojęć, nigdyśmy niedostrzegli. Zadumał się wprawdzie niekiedy, z tęsknieniem wspominał westchnieniem o daleko mieszkających synach i wnukach, których już oczy jego nigdy na tej ziemi oglądać nie miały; ale skorom tylko zmienił umyślnie tok rozmowy i ze smutnej obecności przewodził go myślą do wspomnień czasów ubiegłych,—natychmiast się rzezko wyprostowywał, wzrok mu zajaśniał, płomień młodzieńczego rumieńca na zwiędle lica wybuchał, z żywością chodząc po pokoju, płynnie doznane lub słyszane wypadki w życiu swém opowiadał. Jak te chwile były dla nas miłemi, jakim rozkosznym przejmowały wrażeniem;—pióro moje dostatecznie opisać niejest zdolne; lecz każdy i bez tego łatwo to odgadnie i pojmie, ktokolwiek tylko według słów wielkiego naszego poety, *ma serce i umie patrzeć w serce!* W opowiadaniach swoich, nietylko był płynny, malowniczy, wesoly, lecz często i bardzo dowcipny, nigdy jednak dowcipu swego z cudzą szkodą nieużył. Też samą zdrowość aż do końca zachował w pismach i listach bez zmiany charakteru ręki. A miał też o czém opowiadać lub pisać, przeżywszy lat wiele wśród ważnych wypadków, z najcięższymi mi swego czasu i miejsca osobami, nauką, wychowaniem lub dostojnością odznaczonymi. Jędrzej Sniadecki i uciony, przezacony nasz filolog G. E. Grodek, który sam nieraz nazywał siebie *Grodek-kim*, byli prócz wielu innych, bliższymi jego przyjaciółmi. Dobroczynność i litość okazował ustawnie, z zupełnym na siebie zapomnieniem. Z tą samą ochotą, z tą samą gorliwością biegł tam wszędzie, gdzie mniemał, iż może stać się pożytecznym dobru ogólnemu. Za to też był pozyskał powszechny szacunek, wziętość i życie liwość. Nie-

odżałowanej nigdy, prawdziwie świętej pamięci, Kazimierz Brodziński, w jednym z listów swoich powiada:— *Nad wszelką sławę i fortunę ten się wyniósł, kto dobrą chęcią na życzliwość ludzi zarobił. Mądrze to przodkowie nasi z jednego źródła wyprowadzali: życie i życzliwość, bo tylko w życzliwości ludzi prawdziwie żyjemy..... Wszystko, co jest wyrachowane na sławę, wrażenie, co z samolubstwa powstało, jest błyskotką, która nic nie zostawi po sobie. Sława edosóbniowa jest nikłym zjawiskiem, za którym gonić niewarto: sława każdego zgorzeć powinna w jednym powszechnym ognisku.* Otoż tak żył, tak przez całe swe życie postępował, s. p. Jan Chodźko. Nieraz tak się zdarzało, iż przy szczupłych, zwłaszcza w ostatnim czasie dochodach własnych, zasłyszawszy o biednej wdowie, niemającej, czém karmić zgłodniałych dzieci, o nędzarzu jakim zdręczonym chorobą lub kalectwem, większą połowę swych zasiłków, niebacząc na tysiączne własne potrzeby, im przesyłał. Bóg też go, może za to, prawdziwie Chrześcijańską ubłogosławił śmiercią, o której jużesmy szczegółowie wyżej wspomnieli.

Takim był rzeczywiście s. p. nasz *Jan*, i nikt mi tej prawdy, ze znających go bliżej, niezaprzeczy. Może tu kto zarzuci, żeśmy nakształt malarzy Chińskich, same tylko skupiwszy w obrazku naszym światła, zapomnieli o cieniach. Zaiste musiał mieć i Jan Chodźko, tak jak każdy człowiek, przywary; lecz te pewnie wynikały z mniej, oględnej uwagi, a nigdy ze skażonej woli, albo siebielubnego serca. Alboż je za życia swego sowiec niewykupił tyloletnią boleścią i niedolą, byśmy tu o nich, nad głuchym grobem jego, koniecznie wygłaszali? I kżoby chciał się bawić wytykaniem, drobnutkich plamek, na czystym, jasnym, pol. równym zwierciadle?...

Przebieżmy naostatek prace piśmienne ś. p. Jana, tak w druku jak rękopismach, pozostałe. Sąd światłych czytelników dawno już je umieścił w rzędzie pism użytecznych, wyższą nacechowanych zdolnością. Niebędziemy tu przeto rozszerzać się z ich krytycznym rozbiorem; wskażemy tylko porządek chronologiczny, w jakim one wychodziły z pod pióra autora, i kiedy niekiedy napomkniemy chyba o wartości utworów celniejszych.

1. *Bolesław Krzywousty*, tragedia w pięciu aktach, wierszem. Z lat młodocianych, jak to często zdolniejszym się trafia, ujęty został ś. p. Jan powabami poezji: układał więc różne najprzód pomniejsze wiersze dla siebie i dla swoich, a później zaprawiony na wzorach tak zwanej *klassyczności*, ułożył wspomnianą tragedję. Została ona w rękopiśmie; lecz musiała mieć swą zaletę, kiedy ją wielokrotnie na publicznych teatrach w Wilnie, Warszawie i wielu innych miastach, z dobrą od widzów przyjęciem przedstawiano. Znamienity natenczas artysta dramatyczny Werowski, jakby przez wdzięczność, iż go ś. p. Jan, pierwszy zalecił seenie Warszawskiej, ilekroć tylko był w Wilnie, zawsze w tej tragedji precudnie odegrywał rolę księcia Pomorza, odziany w prawdziwą rolę zbroję Pomorską, dostarczaną przez ś. p. generała Kossakowskiego, z jego niegdyś słynnego, długo w Wilnie przechowywanego, różnych osobliwości gabinetu.

2. *Krakus* tragedia w pięciu aktach wierszem. Bez porównania później, ułożył tę tragedję; wyjątki umieścił najprzód Kazimierz Kontrym w wydawanym przez siebie *Dzienniku Wileńskim*,—potém zaś, po ubiegich latach, Kazimierz Bujnicki w swoim *Rubonie*, Tragedya ta choć gładkim, poprawnym ułożona wierszem, niższą jest wszakże od utworu pierwszego. Już tu autor, znacznie wiekiem

starszy, zbyt uważny, stąpił ostrożnie jak wielu innych wtedy, naśladowniczym za wzorami klassycznymi torem i przez to ostudziwszy własne natchnienie, wpadł w deklamacyjną monotonię. I ten utwór, prócz wspomnianych wyjątków, pozostał w rękopiśmie. O tragedji pierwszej, wiemy z *dwóch onwersacyj z przeszłości* świeżo wydanych, przez tak sprawiedliwie i powszechnie ulubionego autora *Obrazów Litewskich*, że była pisana w majątku *Dziwiętziach*, wśród ogrodowej pamiątkowej altany. Druga ułożoną została częścią w *Krzywiczach*, częścią w Wilnie.

3. *Litwa* i t. d. Komedyjka w jednym akcie, wierszem gładkim i potoczystym, wydrukowana była w Mińsku. Mało komu jest teraz znana, ułożył ją bowiem autor jedynie dla czasowych okoliczności.

4. *O exdywizjach czyli o podziale majątku dłużnika dla wierzycieli*, rozprawa wydrukowana była w *Dzienniku Wileńskim* (Tom IV. rok 1816, str. 194—227). Obudziła ona wiele piór obywatelskich. Między innymi pisali w dalszych numerach tegoż dziennika, w tymże przedmiocie: Włodzimierz Gadon, marszałek O. A. Wierzejski, generał Niesiołowski, generał Józef Wawrzecki, Michał Rómer, Ignacy Domejko i w. i.

5. *O szkołkach parafijalnych i wiejskich*, rzecz wydrukowana w *Dziejach Dobroczynności*, wydawanych w Wilnie (rok 1820, tom 1, str. 315—326). Ułożył to piśmko w r. 1819, będąc dozorcą honorowym szkół w Powiecie Dziśnieńskim, później nieco, należąc w Wilnie do dwóch pożytecznych towarzystw, *Typograficznego* i *Wspierania niedostatnich uczniów przy uniwersytecie*, czynnie i zasiłkiem potrzebnym i ustną radą i niekiedy uwagami na piśmie dopomagał.

6. W tylko co wyżej wspomnionym peryodycznym

pisimie, wydawanem pod nazwą: *Dziejów Dobroczynności*, wydrukowano niektóre jego mowy; z tych bardziej odznaczającą się była mowa na uczczenie pamięci zmarłych członków towarzystwa.

7. W roku 1816 dnia 21 sierpnia, ukazał się był w Wilnie drukowany półarkuszyk, pod nazwą *Wiadomości brukowych*, sprzedawano go po groszy pięć. Potem niejakaś nastąpiła przerwa; aż uaresze od roku 1817 stale, wychodzić zaczęły co tydzień po półarkusza, numerki tegoż pisemka, sprzedawane po groszy dziesięć. Wkrótce wielkiej nabyły wziętości. Następnie, Jakób Szymkiewicz doktor, Kazimierz Kontrym pomocnik bibliotekarza uniwersytetu i inni, pierwsi przedsiębiorcy tego dowcipnego i wielce nawet w początkach pod względem moralnej poprawy obyczajów korzystnego pisemka, postanowili utworzyć towarzystwo, pod nazwą towarzystwa *Szubrawców*, ułożyli stosowny kodex, i przyjmowanych do grona swego członków, podzielonych na *Urbanów* i *Rustykanów*, mianowali każdego nazwą któregoś z pogańskich Litewskich bożków. Otoż natenczas i Jan Chodźko, do tegoż grona był przyjęty i nazywał się *Wajigantos* (bożek przewodniczący uprawie lnu i konopi). Przypisują mu, między wielu innemi, dowcipny artykuł *o magnetyzowanej kurze i kuchyku*, z powodu zagęszczonego natenczas w Wilnie a źle i szkodliwie skierowanego magnetyzmu.

8. *Pan Jan ze Świsłoczy, kramarz wędrujący*, książeczka we dwóch częściach, poświęcona oświacie ludu, najwięcej rozgłosu sprawiła dla autora, zwłaszcza że ten odtąd, na wszystkich dalszych swych utworach, podpisywał się autorem P. Jana ze Świsłoczy. Zaraz po wyjściu tego pożytecznego, jasnym i płynnym ułożonego stylem, dzieł-

ka, Kazimierz Kontrym najpochlebniej ozwał się o niem w wydawanym przez siebie *Dzienniku Wileńskim*, po czém uniwersytet Wileński zaliczył je do rzędu dzieł elementarnych, szczególnież zalecając dla użytku i oświaty włościan. Książka ta, niewiele wszakże ludowi miejscowemu znajoma, z powodu jego nieumiejętności czytania, przełożona na język Żmudzki przez x. prałata Rupejkę, niesłychanie pomyślną miała i ma u ludu tamecznego wziętość.

9. *Pisma rozmaite autora pana Jana ze Świsłoczy*, 12-o tomikow XII, w Wilnie, drukiem A. Marcinowskiego, 1842 roku. Wszystkie tu pierwiej wymienione pisma ułożone były przez autora w czasie pogodniejszych dni jego doli. Z posuwającym się wiekiem, zaniechał całkiem prawie poezję, a ulubił wspomnienia przeszłości, i te podały jemu myśl utworzenia z nich pamiątkowych, przeszłowiecznych, obrazków powieściowych,—jakowy rodzaj nie był jeszcze naówczas jak teraz szeroko rozwinięty. Wszystkie opisane przezeń osoby, żyły przy schyłku XVIII wieku; znał je w młodości autor, i bez wymienienia nazwisk, wiernie i trafnie przedstawił. Styl potoczysty, naturalny, pociąga czytelnika, który prawdziwą znajdując przyjemność w czytaniu, zapragnąłby chyba czasem, przedstawienia dramatycznie działającej samej osoby, a nie opowiedzenia tylko o niej. Pierwszą powieścią, umieszczoną w pierwszym tomiku, jest *Pan Wojski*, dzieło autora, znany już nam także i z *Dwóch onwersaryj*. Jeszcze w roku 1824 zaczął być pisać tę powieść: będąc albowiem po raz pierwszy na posiedzeniu naukowem, gdy został członkiem uniwersytetu Wileńskiego, miał stosowną przemowę i w niej oświadczył że pracuje nad dziełkiem p. *Wojski*, jak o tém powiada ówczesowy *Dziennik Wileński*. W pierwszym tedy tomiku, pierwszą umieszczoną powiastką jest

Pan Wojski, drugą **Państwo Cześnikowstwo**, wyborne w swoim rodzaju pocziwe małżeństwo, lecz odrębnego sposobu widzenia rzeczy i charakteru. Takich cześników i cześnikowych już teraz pono niema, albo przynajmniej arey rzadko coś podobnego napotkać można. Pan cześnik ze swoim przysłowiem, *tego co chciałem mówić* wstawiony przez autora w dalszych tomikach z inną szlachtą, mającą także swe przysłowia, pocieszny, już teraz niewidziany nigdzie, przedstawia obrazek. Drugi tomik z porządku, zajęty komedyjkami. W wydaniu tém albowiem powiastki przeplatają się aż do tomiku X. utworami teatralnemi, o których później napomniemy, wprzód zaś zajmujemy się przejrzeniem samych tylko powieści. I tak: w tomiku III, są dwie powiastki: 1) **Podróż do pani kasztelanowej**. 2) **Pani kasztelanowa**. W tomiku V: 1) **Imieniny pani kasztelanowej**, 2) **Starościna**. W tomiku VII: 1) **Sejmiki**, 2) **Mój Stryjaszek**. Ten stryjaszek już jest osobą nowożytniejszą. W tomiku IX, jedna powiastka pod nazwą **Interessa**, i na niej kończy się powieść ogólna: bo wszystkie tu wymienione powiastki wiążą się w jedną całość i nożą ogólną nazwę powieści: **Pani kasztelanowa i jej sąsiedztwo**. Jeszcze w tomiku X jest powiastka **Henryczek**, którą sam autor nazwał dokończeniem **Sąsiedztwa pani kasztelanowej**. Dalej w tymże tomiku jest mała ale pełna życia i więcej może obrazowa nad inne powieści powiastka, p. n. **Koronijasz w Wilnie** z prawdziwego ułożona zdarzenia. Dalej: **Święta Bożego Narodzenia w Litwie**, piękny, wierny, miły zwłaszcza dla Litwinów obrazek. Tomiki XI i XII zajmuje przedruk wspomnianego już wyżej od nas dziełka **Pan Jan ze Świsłoczy**. **Koronijasz** w przeciągu jednej godziny, napisał autor, w obecności mojej, w powiecie Słuckim, w majątku Za-

rakowiu. Wszędzie w pomienionych wyżej powieściach, gdzie tylko znalazł stosowne ku temu miejsce, autor zostawił wspomnienia to o Radziwiłłach, to o innych znamienitych wtedy w Litwie osobach. Słowem, cała ta jego praca jest szacownym zbiorem narodowych pamiątek, i Jan Chodźko ze wszech względów należy do rzędu tych pisarzy, którym winniśmy wdzięczność, iż wiernie i skrzętnie zebrali wspomnienia, ubiegłej, a nas jako potomków zajmującej naszej przeszłości.

Tomiki: II, IV, VI, VIII, zawierają pisemka dramatyczne następne: 1) **Pierwsza miłość czyli pamiątka dzieciennego wieku**, komedyo-opera w jednym akcie. 2) **Stary pan młody**, komedyo-opera we dwóch aktach. 3) **Panna na wydaniu**, komedia we trzech aktach. 4) **Kłameca prawdomówny**, komedia w jednym akcie. 5) **Dom zajezdny w górach Pirenejskich**, komedyo-opera w jednym akcie. 6) **Niewiasta panem domu**, komedyo-opera w jednym akcie. 7) **Pan z lokaja, lokaj z pana**, komedyo-opera w jednym akcie. 8) **Bogaty spadek**, komedyo-opera w jednym akcie. Wszystkie te malutkie utworki, przestosowane ze **Scribego** i innych Francuzkich komedyo-pisarzy, możeby zaiste właściwsze sobie w udzielnym druku miały miejsce; lecz i w nich trzeba oddać należną sprawiedliwość zdolności autora, przestosowania albowiem w ogólności są bardzo zręczne. Adam Szemesz, znany w piśmienictwie naszym i wysokich zdolności malarz, w 1-szym tomiku wydanych w Wilnie **Pism rozmaitych** przez F. D. i L. T. (Franciszka Dobkiewicza i Ludwika Trynkowskiego), mówiąc o pierwszych tomikach **Pism rozmaitych** Jana Chodźki, wielce wychwala komedię **Panna na wydaniu**, mieniając ją najtrafniej przestosowaną do obyczajów narodowych. Wreszcie komedyjki te i komedyo-operetki, po

większej części napisane były z chwilowej potrzeby. Autor w czasie pobytu swego w Permie (1831 roku) z kilku rodakami, żeby długie jesienne i zimowe, nie tylko sobie lecz i dla innych uprzyjemnić wieczory, wznosił skromny amatorski teatrzyk i na nim w gronie towarzyszy, grywał z wielkim zadowoleniem wzywanych na te widowiska cenniejszych mieszkańców miasta, łatwiej od innych pobratymczą mowę zrozumieć mogących.

10). *Słownik przysłów, przypowieści, zdań obyczajowych, i szczególniejszych obrótów mowy Polskiej ze skrócenia słownika S.-B. Lindego, oraz z wyjątków późniejszych dzieł ułożony*, 4-o, we trzech częściach część 1—A, (I stron. 136; część 2, K—P, str. 168; część 3, R—Z stron. 106.) Prócz wstępu jest wykaz dzieł źródłowych w tym zbiorze użytych, oraz spisanie udzielne wyrazów Polskich dziś mało albo zupełnie nieużywanych. Słowniczek ten, ułożony w r. 1840, pozostał w rękopiśmie.

Następnie autor, jakby stopniami odrywający się od ponęt marności ziemskiej, z coraz sędziwszym wiekiem zwracając oko ku jedynie trwałej wiekuistej prawdzie,—cały się oddał przedmiotom religijnym, i owocem tego usposobienia ducha jego były:

11. *Roztrząsania religijno-filozoficzne o najcelniejszych przedmiotach wiary s. Katolickiej*, 4-o, tomów 4. Jest to przekład znajomych powszechnie prawie, rozgłoszonych konferencyj, słynnego kaznodziei Paryżkiego x. Lakordera (Lacordaire), przekład ten dokonany w roku 1848, zostaje w rękopiśmie.

12. *Wiadomości historyczno-statystyczne o diecezji Rz. Katolickiej Mińskiej*, we dwóch częściach 4-o; część 1, zawiera opis kościołów parafijalnych, część 2 kościołów i klasztorów zakonnych, z pięcią tablicami. W pierwszym to-

mie str. 364, w drugim 278, prócz przemowy, tablic i spisów. Szacowna ta z wielu względów praca dotąd także zostająca w rękopiśmie, zatwierdzoną już jest przez cenzurę duchowną od roku 1849 dnia 30 grudnia.

13. *Zbiór psalmów i modlitw, używanych w brewiaryzach kapłańskich katolickich*, przekład całkowity we 4ch tomach 8-o. Z tego swojego rękopismu zwykle się autor modlił przy słuchaniu mszy s, mnóstwo sam przytém ułożył tkliwych i stosownych na różne potrzeby duszy modlitewek.

14. Naostatek, zawsze chętnie biegnący na wezwanie z usługą swoją, przysyłał pomniejsze pisemka swoje, do różnych pism zbiorowych. I tak: w *Athenaeum* I.-J. Kraśzewskiego, umieszczone są jego artykuły *o wychowaniu młodzi*; w *Rubonie K. Bujnickiego, rozprawki o piśmiennictwie Polskim i korespondencya z synowicą* (Teofilą z Kurowskich Korsakową); umieściło też niektóre z dzieł jego ulotniejszych wyjątki, niepospolitej wartości pismo, wydawane niegdyś pod nazwą *Przyjaciela ludu*.

Jan Chodźko, jako pisarz, żył w przechodowej epoce piśmiennictwa naszego, kiedy się ruszyło, naśladownictwo Francuzkie a pisarze nasi pod przywodem K. Brodzińskiego i A. Mickiewicza, na rodzinne ze swoim piórem występowali pole: trudno więc było jemu z raz przyjętej i zmlodu nalogiem ukrzepionej wylaamywać się formy; wszakże ile mógł, gorliwie się o to starał, co z pism jego późniejszych, widocznie się wykazuje.

Otoż i wszystkie prace piśmienne naszego prezacnego autora, te przynajmniej, które są mi dotąd znajome Niechże ta cała spominka moja, będzie drobnym, rzuconym kwiatkiem na mogilę, nigdy przez nas odżałować się niemogącego człowieka, niech wywoła pióra świadomsze

i zdolniejsze. A ja wtedy jak najwdzięczniej ze słabą mą spominką ustąpię, tak właśnie, jak pokorny sługa kościelny, uderzywszy w dzwonek wieżowy, dla wezwania do świątyni wiernych, mileząc usuwa się na stronę, skoro poważny kapłan, wdziawszy właściwe stanowi swemu szaty, uroczyste rozpocznie modły.

Dnia 24 czerwca
1855 roku.

Polaknie.

Wdzięczny jestem serdecznie za wezwanie do Teki... Radbym na nie odpowiedzieć czémś lepszym niż to na co dziś zdobyć się mogę; ale człowiek nie jest panem siebie i sił własnych,—są chwile w których, gdy go owionie jakieś znużenie i zwątpiałość, nieczem się im obronić niemoże. Takim się dziś właśnie czuję, a niegodzi się zasnuć drugich spowiedzią wrażeń i uczuć, które choć nie z osobistych płyną dolegliwości, lepiej o nich zamilcząć i przenieść je mężnie samemu w sobie. Wspomniałem dawniej nieco w liście do Gazety Warszawskiej pisanym o przykrych przeczuciach jakich doznałem widząc w koło zubożenie ogólne na to co dla nas najdroższym być powinno; panowie w szczęśliwszej Litwie niemożecie się skarżyć na nie, więc możebyscie mnie niezrozumieli nawet. Dajmy temu pokój i ofiarujmy Bogu chwilę ciężką. Ale o czémże panu donieść z kraju, w którym niema literackich nowości, i tak mało duchonego życia? Mówmy o tém co nas zkądinąd dochodzi, a związek jakiś ma z nami i zajmować nas powinno. Zacznę od tłumaczenia Litewskich *Dainos*, które świeżo się ukazało w ostatnim numerze *Re-*

KORESPONDENCA

TEKI WILEŃSKIEJ,

LIST DO REDAKTORA TEKI

OD J. I. KRASZEWSKIEGO.

Żytomierz, d. 26 marca 1858.

Wdzięczny jestem serdecznie za wezwanie do Teki... Radbym na nie odpowiedzieć czémś lepszym niż to na co dziś zdobyć się mogę; ale człowiek nie jest panem siebie i sił własnych,—są chwile w których, gdy go owionie jakieś znużenie i zwątpiałość, nieczem się im obronić niemoże. Takim się dziś właśnie czuję, a niegodzi się zasnuć drugich spowiedzią wrażeń i uczuć, które choć nie z osobistych płyną dolegliwości, lepiej o nich zamilcząć i przenieść je mężnie samemu w sobie. Wspomniałem dawniej nieco w liście do Gazety Warszawskiej pisanym o przykrych przeczuciach jakich doznałem widząc w koło zubożenie ogólne na to co dla nas najdroższym być powinno; panowie w szczęśliwszej Litwie niemożecie się skarżyć na nie, więc możebyscie mnie niezrozumieli nawet. Dajmy temu pokój i ofiarujmy Bogu chwilę ciężką. Ale o czémże panu donieść z kraju, w którym niema literackich nowości, i tak mało duchonego życia? Mówmy o tém co nas zkądinąd dochodzi, a związek jakiś ma z nami i zajmować nas powinno. Zacznę od tłumaczenia Litewskich *Dainos*, które świeżo się ukazało w ostatnim numerze *Re-*

vue contemporaine (28 fevrier);—jest ono, jeśli się niemyłę, pierwszym w tym języku; tłómaczem pan Hipolit Valmore. Artykuł jego zawierający bardzo nieśmiałe ocenienie Dainos naszych, które autor porównywa z wydaniami przez Gerarda de Nerval pieśniami ludu Walezyjskiego, cały wyczerpnięty ze zbioru i przedmowy Nesselmann'a. Jest w nim XXXIII piosnki, które w tej szacie nowej, dziwnie się, ale miłuchno wydają; choć odzież ta tak im nieprzystawa! choć p. Valmore dowiódł tylko przy najlepszych chęciach, jak dalece przekład z języka obcego i innego charakteru jest niemal niepodobieństwem... Tu się przekonać można o niezmierniej różnicy dwóch mów, staro-Litewskiej, która ma jeszcze całą barwę i świeżość pierwotnych świata języków, ich formy nieskończenie bogate i ruchy swobodne, i Francuzkiej mowy innego świata i pojęć, sztywniej, manierowanej, do wyrażenia prostych uczuć i pojęć nieumiejącej już nagiąć się łatwo i odzyskać straconej na wieki szczeroty. Pomimo wielkich do przezwyciężenia trudności p. Valmore dokonał przekładu sumiennie i sympatycznie dla Litwy, za co mu winniśmy wdzięczność, a kończy artykuł zacytowanym w oryginale Sonetem Krymskim Mickiewicza.

Litwo! piał mi wdzięczniej twe szumiące lasy,
Niż słowiki Bajdaru, Salhiry dziewice,
I weselszy deptałem twoje trzęsawice,
Niż rubinowe morwy, złote ananasy...
Tak daleki. . . .

Jest to w tym roku pierwszy przegląd artykuł odnoszący się do kraju naszego, mamy wszakże obietnicę sprawozdań z literatury i nowo wychodzących dzieł, dotąd niespełnioną, ale dowodzącą poczucia jej potrzeby.

Rzymski korespondent *Kroniki* w jednym z ostatnich

listów swoich wzmiankuje o nowo odkrytym annaliście Rzymskim współczesnym Salluseyuszowi, Grenijuszowi Licynijuszowi, którego rękopism znany Karol Pertz wynalazł w muzeum Brytańskim między Syryjskimi z Egiptu przywiezionymi. Ciekawe to odkrycie na pergaminie dwakroć skrobanym i po Licynijuszu dwa teksty późniejsze noszącym na sobie; przypomina mi podobne, równie ważne z tego samego źródła, o którym, jeśli się niemyłę, nigdzie dotąd u nas niemówiono...

Są to listy pasterskie paschalne ś. Athanazego patriarchy Alexandryjskiego— zabytek tém droższy i ciekawszy, że znakomity ten mąż niewiele po sobie zostawił, a głównie pisma polemiczne przeciw Aryanom spuściznę jego stanowią...

Listy paschalne uważane były dotąd za zatraczone, mieliśmy z nich tylko ułamki, nieco dłuższy wypis z XXXIX, zajęty spisem xiąg i urywki nieznaczące. Bernard de Montfaucon w Benedyktyńskim wydaniu resztek pism ś. Athanazego, jakby proroczym duchem wskazał, że kiedyś może na wschodzie— *ubi bene multa exstant...* znajdują się te nieodżałowane listy patryarchalne.

Z powodu ważności tego odkrycia dla całego Chrześcijańskiego, a szczególnie Katolickiego świata, pozwolimy tu sobie nieco obszerniejszą dziś o niem wiadomość, wziętą ze sprawozdania x. Freppel.—Niedaleko od Alexandryi, na lewym brzegu Nilu, rozciąga się dolina Nitryi, tak nazwana od jezior, które ją przerzynają, w tej pustyni mnóstwo było klasztorów, według ś. Athanazego i Sozomena porządek biorących od błogosławionego Ammona i Makarego Egipskiego; w IV wieku liczono tu do pięciu tysięcy pustelników. Do zdobycia Egiptu przez Arabów klasztory tu w kwitnącym były stanie, później upadać zaczęły

i w 829 przez Koreiszytów ostatecznie zostały zniszczone. Później poodbudowywano je znowu, ale się liczba zmniejszyła i w XV wieku było ich tylko siedm, a z tych cztery dożyły naszych czasów.

Xięgozbiory starożytnych tych monasterów zwróciły uwagę podróżnych. Wiadomo było, że w r. 923 Mojżesz z Nizylu, opat klasztoru P. Maryi, z Bagdadu i okolic zebrał 250 rękopismów do swój biblijoteki, a jedna z tych biblijotek monasterów dostarczyła Sewerowi bisk. Hermopolitańskiemu materiałów do historyi patryarchów Alexandryjskich. W XVI w. Franciszkan Gilles de Loches w jednym z tych monasterów naliczył jeszcze do 8,000, rękopismów. W 1706 Klemens XI posłał Elijasza Asiemani dla zdobycia do biblijoteki Watykańskiej rękopismów z klasztoru doliny Nitryjskiej; ale niewiele ich udało się dostać, a z tych część jeszcze w burzę na Nilu zatonała i tylko trzydzieści cztery przywieziono do Rzymu. W czasie wyprawy Egipskiej Napoleona generał Andreossy żołniersku zajrzał zlekka do xięgozbiorów tych i za małoważne je uznał. W r. 1828 książę Northumberland w swój podróż po Egipcie zwiedził pilniej dolinę Nitryi, a d-r Tattam po nim przybywający dostał ztąd dość znaczną liczbę rękopismów Koptycznych, około pięćdziesięciu Syryjskich, i tłumaczenie Euzebijusza biskupa Cezaryjskiego *Peri Teofanejas*, którego oryginał nie dał się nigdzie wynaleźć.

Ta zdobycz niespodziana skłoniła administratorów Narodowego Muzeum Brytańskiego do wysłania powtórnie d-ra Tattam w r. 1842 w dolinę Nitryi, zkąd przywiózł wszystkie pozostałe w klasztorze P. Maryi rękopisma starożytne. Tak go przynajmniej upewniono.

Przejrzenie tych skarbów polecono x. Wiljanowi Cureton kapelanowi królowej Wiktorji, który znalazł w nich

naprzód text Syryjski listów ś. Ignacego do Polykarpa, do Efezów i Rzymian i dał tłumaczenie jego Angielskie w r. 1845. Oprócz tego znalazły się ułamki listów ś. Athanazego, dotąd pożądaných, ułamek przedmowy, koniec VI, VII, kawalki X i XI, list do Serapijona i XIII, XIV, XVII, XVIII i XIX z początkiem XX.

Zabierano się już do ogłoszenia tego szacownego zabytku, gdy w r. 1847 doszła wiadomość, że mnisi klasztoru P. Maryi, którzy wszystko co mieli sprzedali dr. Tattam, potajemnie jednak zatrzymali część znaczną rękopismów, wymawiając się jak przed Assemanim, że kłątwa wzbraniała im pozbywać się tych zabytków... Po wielu staraniach, dopytano ukrytej reszty, którą Muzeum otrzymało w r. 1847.

Cureton postrzegł zaraz, że nowe nabycie dopełniło dawniejsze, z listów ś. Athanazego przybyły ułamek VI, VII, X, XI, i bardzo znaczna część przemowy. Z tego powstało ogłoszone przezeń w Londynie tłumaczenie Angielskie: *The Festal letters of Athanasius discovered in an ancient Syria version*. W r. 1852, d-r. Lerson z Berlina, wydał przekład Niemiecki z Syryjskiego, Francya dotąd się opóźniła z tłumaczeniem.

Listy paschalne, te są wedle zwyczaju dawnego kościoła, oznajomieniem wiernym o czasie, w którym przypadała Wielkanoc i zawierają homilje pasterskie. Zwyczaj ogłaszania takich listów, o których wspomina Euzebijusz (przy Demisie patryarsze Alexandryjskim), po soborze Nicejskim był postanowiony i zostawiony potryarchom Alexandryjskim, co potwierdził list ś. Leona Papieża.

Listów odkrytych jest dwadzieścia, a chociaż patryarchat Athanazego od 328 do 373 ciągnący się, pozwala się domyślać, że większa ich liczba wyjść musiała, wszakże

i ta zdobycz drogą jest dla Chrześcijańskiego świata. Każdy list składa się z dwóch części, pobudki do czterdziestodniowego postu i komunii Wielkanocnej i uregulowania epoki obchodu Wielkiejnoy. Listy te i do historii kościoła są drogim nabytkiem, wskazując co najpilniejszą było potrzebą kościoła w tych czasach, i jakich środków używał krzając się około nawracania Żydów i przekonania obłąkanych Aryanów. List IV pisał Athanazy z obozu Konstantyna, do którego jeździł tłumaczyć się z uczynionych mu zarzutów, w XIX jest wzmianka o drugim jego wygnaniu i powrocie do Alexandryi, po soborze w Sardyku; list X odznacza się żywą polemiką z Aryanami, z której x. Freppel przywodzi tu śliczne wyrazy, wymierzone przeciw kacerzom w obronie dogmatu kościoła:

„Syn Boży cierpiał, aby natura ludzka w nim cierpiąca, wolną była boleści, i zstąpił z niebios, aby nas za sobą ku nim pociągnąć, i zapragnął przejść przez próby wieloletnia i człowieczeństwa, aby pozyskać serca nasze; wziął na się ciało znikome, aby w niem złożyć ziarnko nieśmiertelności, aby nam dać siłę skazał się na słabość naszą, — jedynym słowem stał się człowiekiem, aby ludzkość odrodzona przezeń mogła odżyć zwycięstwem śmierci.”

Oddawna nie ważniejszego dla dziejów kościoła nie ukazało się. Zdziwi się czytający, postrzegając w IV wieku dogmat, obrzędy i żywot zakonny już na tak stałych zasadach ugruntowane, że do dziś dnia żadnej w nich zmiany nieznajdzie. Dziwnym trafem listy te tak silnie, popierające katolicyzm, winniśmy protestantowi i dotąd nawet nie pomyślano o przekładzie ich w krajach katolickich. Powszechne zajęcie jakie ta publikacja będąca własnością Chrześcijańskiego świata obudza, niech nas tłumaczy z dłuższego nad nią zastanowienia. Przejdziemy teraz do innej, bliżej nas

tylko obchodzącą, którą winniśmy pracowitym Niemcom i Anglikom. Pierwszy Gervinus zabrał i wydał pisma i listy Jerzego Förstera, z których Henryk Koenig zajmujące życie tego człowieka opisał i wydrukował; dzieło to doczekało się już drugiego wydania. Z Koeniga Westminsterki przeglad umieścił obszerny wyciąg i życiorys, a za nim powtórzyła je w skróceniu Revue Britannique, z której my damy tu wiadomość o Jerzym Försterze.

Znany ten w Niemczech więcej niż u nas towarzysz drugiej podróży Cooka, urodził się za czasów Rzeczypospolitej, na ziemi Polskiej, jak sam w liście do Herzberga uznaje, a pochodził niewątpliwie, z rodziny Forsterów Gdańskich, z których imiennik jego, także Jerzy Bibliopola, znakomity w dziejach naszego księgarstwa, ważne zajmuje miejsce — był zaś przez czas niejaki professorem nowoorganizującego się uniwersytetu w Wilnie — i z tych powodów niejako do nas należy. Oprócz tego żywot jego jest zajmującym i nauczającym wielce, bo w nim tak może dobitnie niewyraził się niepokój XVIII w., jego szaleńcze i błędne.

Ojciec naszego Jerzego, Jan Rejnold, minister Kalwiński w Nassenhuben pod Gdańskiem, musiał pewnie pochodzić od sławnego Jerzego Förstera Bibliopoli i wydawcy któremu winniśmy mnóstwo wydań już w Gdańsku, już w Holandryi zrobionych; przepyszna edycja mów Ossolińskiego, obronę Polski (Polonia defensa) Kojalowicza, Solikowskiego, Ethiopiki Warszawskiego i t.d., wreszcie portrety Polskie Faleka przezeń wydawane. Förster ów, który z Ewangelika nawrócić się miał i pochowany był w opactwie Oliwskim, jak pisze Bandtke, co do wydań swych, pierwsze między współczesnymi zajmuje miejsce, niektóre piękną i starannością przypominają Daniela Elzewira.

Od niego lub innego z tego rodu pochodził Jan Rejnold znakomicie uzdatniony, ale niezmiernie gwałtownego charakteru człowiek. Ojciec przeznaczał go na prawnika ale Rejnold cały się oddał naukom przyrodzonym, do których czuł się powołany; a później dopiero na żądanie rodzicielskie zgadził się przywdziać suknię duchowną. Zostawiony sam sobie mimo obowiązków pastora, zwrócił się znowu do ulubionych swych badań.

Przy małym probóstwie Pan Bóg dał mu siedmioro dzieci—tak, że chlebem powszednim trudno się było obdzielić. W tém położeniu zostając, przyjął wezwanie rządu Rosyjskiego obejrzenia i zdania sprawy ze strony nowo utworzonych nad Wołgą kolonij. W r. 1765 wyjechał z synem Jerzym jedenastoletnim do Petersburga, potem na miejsce przeznaczenia, i wrócił z raportem do stolicy, gdzie całą zimę przepędził, starając się o takie wynagrodzenie pracy, jakie sam sobie wymierzył. Za powrotem do Nasenhuben znalazł swe probóstwo w czasie niebytności zajęte.

Rozgniewany, będąc jeszcze przy groszu, zawsze śniąc o tém, że Forsterowie Gdańscy, pochodzą z jakiejś rodziny lordów Szkockich Foresterów, postanowił do stariej powrócić ojczyzny, i udał się niewidząc się nawet z rodziną do Anglii wraz z synem Jerzym. Przez drogę ojciec i syn pilnie uczyli się po-Angielsku.

Rejnoldowi za przybyciem do Londynu udało się otrzymać posadę profesora, w jakiejś szkole w Lancashire, a Jerzego pozbył się, oddając za komissanta kupcowi Ruskemu Lewinowi, mimo że najmniejszej do tego stanu nowego nieokazywał ochoty. To życie i praca niezwykła tak wycieńczyły Jerzego, że matka i siostry przybywszy do Anglii ledwie go poznać mogły.

Stary Rejnold, wkrótce poswojemu zadarł się ze wszystkimi i musiał posadę rzucić, a że nie miał żadnego sposobu do życia, wziął się do pisania dla xięgarzy i Jerzemu ledwie piętnastoletniemu kazał sobie dopomagać. Biedny chłopak pracował ciężko; część dnia spędzał na nauce zoologii pod przewodnictwem ojca, kilka godzin lekcyi języka Niemieckiego i Francuzkiego dawał na pensyi, a do wyżywienia siebie i ojca tłómaczył. W takim stanie byli Forsterowie, gdy opatrność czuwająca nad nimi nastąpiła sposobność dzwignienia się, i Cook w swęj drugiej podróży, ofiarował miejsce naturalisty Rejnoldowi. D. 4 lipca 1772 r. uczyniono mu tę propozycyę a d. 13. siadł już na statek w Plymouth, nietroszcząc się o resztę familii, którą porzucił w Anglii i warując sobie tylko, żeby mu wolno było zabrać Jerzego.

Ta druga podróż Cooka, jak wiadomo, budziła w całym świecie zapal i zajęcie ogromne, geografowie i naturaliści, badacze obojętni nawet wyglądali jęj z ciekawością najżywszą. Spodziewano się od niej rozwiązania zagadki o niezmiernęj rozległości lądzie Australskim, którego jeszcze się spodziewano mimo pierwszej Cooka podróży dowodzącej, że to były marzenia. Dla Jerzego największem szczęściem było nudne życie pracy zamienić na wesołą podróż po świecie. Z ojcem tylko zawsze kłótlwym i niesfornym miano biedę, bo się z nikim zgodzić nie mógł, i musiano go urzędowie przywoływać do porządku—ale Jerzego Cook umiał ocenić i polubił bardzo.

W r. 1774 po powrocie z podróży, przywiązanie jego ku ojcu znowu go w ciężkiem postawiło położeniu. Nie chcąc czy niemogąc pojąć swoich zobowiązań względem rządu Angielskiego, który z nim o towarzyszenie kapitanowi Cook robił umowę, Rejnold Forster postanowił wy-

dać opis podróży i postrzeżeń uczynionych, czego mu kontrakt uczyniony wzbraniał. Admiralicja oparła się temu, Forster uparł się przy swoim; zakazano drukować jego opis podróży, a gdy dr. Rejnold ustąpić niechciał, usuniono go od wszelki go udziału w oficjalnej pracy i został bez chleba. Że zaś Jerzy nie był wymieniony w kontrakcie i nie mu niezdawało się wzbraniać wydać opis podróży, odozono ją pod jego imieniem, za co admiralicja jeszcze bardziej przeciw Forsterowi zażaloną została. Opis Jerzego miał ogromne powodzenie; imię jego stało się znane całej Europie, a mieszkanie ich na Percy-Streecet mnóstwo odwiedzało ciekawych. Tu poznał się Jerzy z dr. Soemmering, jednym ze znakomitych fizjologów Niemieckich (urodzonym w Toruniu r. 1755) i ścisłą z nim zawarł przyjaźń.

Opis podróży Forsterów więcej jednak zjednał mu sławy niż pieniędzy, trochę ich dostarczyła sprzedaż osobliwości przywiezionych, ale i to się wyczerpało, a rząd Angielski głuchy był na wszelkie prośby;—długi rosły i nareszcie stary Rejnold dostał się za nie do więzienia.

Na Jerzym teraz spoczywała cała rodziny nadzieja, on swą pracą mógłby dać chleb, a że w Anglii zdobyć go było trudno, zwrócił się do Niemiec z resztami swych kolekcji madrepórów, roślin, zwierząt i ptaków wypchanych, w nadziei sprzedania ich do jakiegoś gabinetu; z wielką wiarą w opatrność puścił się w tę wędrówkę, a list z Holandii pisany dobrze maluje stan jego duszy:—„Zdrów jestem (powiada) i z rezygnacją patrzę na nieszczęście, które nas dotknęło i ufność pokładam w miłosierdziu Bożem. Częstośmy doświadczali jego dobroci, on nas wyswobodzi (niewątpmy) z tych utrapien, w których od lat kilku żyjemy. Poddaję się w pokorze cierpieniom, ale spuszczać się

na wyroki Opatrzności niezdaje mi się, bym ją obraził modlitwą, prosząc o litość nad nami, o chleb dla nas powszedni... Wszak wo!no żądać trochę ziemskiego dobra, czemużby o nie modlić się niegodziło?” W Holandii Jerzy był dobrze przyjęty, ale środków dźwiguienia ojca nie znalazł żadnych, wszystkie z kolei nadzieje zawiodły; upadając prawie na duchu pojechał do Niemiec i zatrzymał się w Düsseldorfie, gdzie go z zapalem powitał Jacobi. Tu towarzystwo jego i rozmowa wstrzymała go czas jakiś. W Kassel spodziewał się przecie coś wyjednać u Fryderyka II, i wistocie dostał od niego 50 luidorów dla ojca, a dla siebie katedrę profesora w uniwersytecie z pensją 1700 franków, małą wprawdzie, ale stanowiącą jakiś początek, dającą punkt oparcia. Gryzło tylko Jerzego, że los wprzódy jemu nadarzył kawałek chleba, nim się mógł o coś dla ojca postarać, i z sumieniem był w walce, czy przyjąć lub nie ofiarowaną posadę. Dla uspokojenia go dano mu kilka miesięcy czasu na poratowanie ojca. W Göttingie poznał się z Heynem, (wydawcą dzieł klasyków łacińskich), a w Berlinie profesorowie przyjęli go bardzo uprzejmie; ale te oznaki współczucia cóż znaczyły dla uwięzionego? Dopiero x. Dessauski, poruszony widokiem tego przywiązania synowskiego, odprawującego żebraczą pielgrzymkę, by w pomoc przyjść ojcu, dał mu sto luidorów dla starego i obiecał wstawić się za nim do admiralicji.

Jerzy odesłał do Londynu ubieraną sumkę, sam zaś wiosną 1779 powrócił do Kassel dla objęcia katedry. Tu dowiedział się, że staraniem x. Brunświckiego loże Niemieckie przyrzekły zrobić składkę, dla uwolnienia ojca i przyrzekły mu professorstwo historyi i naturalnej w uniwersytecie w Halli. Równie wielkiem dlań pocieszeniem było spotkać w Kassel profesora Soemmeringa... Osiadłszy

począł tłumaczyć Buffona i życie zdawało się uśmiechać. Oprócz wspomnianego przyjaciela, zbliżył się wtój porze do pana Mullera znanego historyka.

Ale po krótkiej chwili odetchnienia, niedostatek znowu dokuczać zaczynał, a pensya była niewystarczająca, bibliotece brakło najpotrzebniejszych książek, na które ledwie 3,000 fr. wyznaczono. Forster dla siebie i nauki potrzebne dzieła musiał swoim kosztem sprowadzać, a mimo największej oszczędności, na pierwsze potrzeby niestarczyło i musiał się zapożyczać u Jacobiego, z którym już prowadził korespondencję. Starano się dlań o korzystniejsze miejsce w księstwie Bergu ale się to zaraz rozczyliło. Forster pocieszał się iluminizmem i mistycznymi zachwyty, które wówczas epidemicznie panowały, i z Lichtenbergiem uwierzył w przemianę kruszców na złoto. Rzucił się z zamiłowaniem do Alchemii resztę grosza tracąc na nią, ale prędko jakoś opamiętał się i wyszedł z obłąkania, w które chwilowo był popadł.

Pobyt w Kassel późniejszy z powodu nieprzyjemnych stosunków z illuminatami i innych okoliczności niedogodnych, stał się dlań nieznosnym; pragnął i wzdychał do podróży. Szczęściem jakimś właśnie w tej chwili książę Poniatowski prymas, potrzebujący nauczycieli do organizującego się uniwersytetu w Wilnie, ofiarował mu katedrę z pensją dość znaczną i rocznem subsydyum na koszt korespondencji i nabycie pomocniczych przedmiotów.

Z radością opuścił Jerzy Kassel,—przyjaciele złożyli mu się na opłacenie długów, a wyobrażenia przyszłości malowała się już w najświetniejszych kolorach.

Odwiedzając kilkakrotnie w Goetyndze Hejnego, Jerzy poznał tam córkę jego Teresę i pokochał ją; ona choć bez wielkiego może przywiązania, na oświadczenie Forstera o jej

rękę, zgodziła się w dalekiej towarzyszyć mu podróży. Ojciec wszakże sprzeciwiał się temu impronizowanemu małżeństwu i odłożył je do czasu, póki by Jerzy na miejscu o swój posadzie się nieprzekonał. Wyjechał tedy Förster już tak jak zaręczony i szczęśliwy, po drodze wstępując do Wiednia. Tu znanego z nazwiska wędrowca, świat arystokratyczny przyjął uprzejmie, Józef II. cesarz przypuścił go do siebie. Kaunitz i Hrabina de Thum zapraszali. Z listów Forstera widać, że Wiedeń uczynił na nim najmielsze wrażenie, nazywał go elizeum i całe życie tęsknie wspominał o nim. W październiku opuścił tę stolicę, a dżdżystą jesienią rozpoczynając podróż, krajem płaskim i nieurozmaiconym, doznał z razu zawodów, których wrażenie powiększało może jeszcze wspomnienie Wiedeńskiego pobytu. Kraj nasz pusty na oko, smętny niemógł się podobać cudzoziemcowi, zwłaszcza w porze, w której się najniekorzystniej przedstawia.

Dwór i króla znalazł w Grodnie, gdzie się właśnie sejm odbywał, a widok ten nowy i oryginalny musiał na nim uczynić wrażenie, które się w listach jego maluje. Poniatowski i magnaci R-ptej z tłumami dwory swojemi zajmowali główne ulice, po przedmieściach pełno było butnej i strojnej szlachty, w butach czerwonych, z szabłami brzęczącemi, otoczonej pajukami, masztallarzami, hajdukami, niezawsze równie wspaniale wyglądającemi, jak Forster wzmiankuje o łapeciach i wiechciach słomy wyglądających z obowią. Wśród tego różnobarwnego tłumu spotkał jak sam wyznaje, ludzi znakomitych, którzy go mile przyjęli: między innemi pani Krakowska, siostra królewska. Ta sama go przedstawiła królowi, który na wieczor, do zamku zaprosił Forstera i tchnął wien jakąś lepszą otuchę.

W listopadzie tedy mężnie objął swą katedrę w Wil-

nie, ale tu rzeczy zastał, gorzej niż się spodziewał; gabinetu historij naturalnej ledwie zarodek, bibliotekę ubogą w dzieła treści dlań zajmującej, a wszakże obiecywano mu pomnożyć ją i nieżałować na to wydatku.

Uniwersytet wedle listów Forstera, założony przez Jezuitów, (tak się wyraża) właśnie miał być zreorganizowany, wedle nowego planu. Jezuitów już niebyło, ale kilku jeszcze pozostałych professorów uczyli świecką przywdziawszy suknię. Jerzy silnie przeciwko nim jako protestant miał uprzedzenia, ale w krótkce zbliżywszy się do tych tak czarno mu odmalowanych ludzi, złagodził dla nich i w czasach późniejszych oddaje sprawiedliwość godnemu ich postępowaniu i zupełnej bezinteresowności. Umieszczono go przy gmachu uniwersyteckim w klasztorze dawnym, w pokojach ciemnych i smutnych, ale najlepszych jakie się znalazły. Z trudnością przyszło oswoić się z łaciną, gdyż do wykładu w tym języku był obowiązany, a pisał dobrze po francuzku i angielsku, ale po łacinie przychodziło mu mierzalnie i niełatwo. Ale że ożenienie zależało od professorstwa, musiał się do wykładu nałamać.

Tak upłynęła zima, z początkiem lata, Jerzy miał już jechać po narzeczoną i przygotowywał dla niej mieszkanie, a choć exaltowana Teresa ofiarowała mu się w swych listach żyć z nim bodaj w najlichszej chacie i cieszyła prywatycjami jakie miała ponosić, Jerzy chciał koniecznie urządzić jej mieszkanie ładne i mile. Że zaś Wileńskie sklepy niebardzo były opatrzone, a rzemieślnicy zdali mu się niezręczni, posprowadzał meble i rzemieślników z Niemiec. Ta fantazyja nie mogła przyjść tanio, a w dodatku kupował jeszcze książki, mappy, narzędzia fizyczne i znowu wpasć musiał w długi.

Dla pomnożenia dochodów przyszło mu na myśl zo-

stać doktorem, bo w Polsce i Litwie brakło naówczas lekarzów, a mała ich liczba sowicie była opłacana. Tymczasem z pracy zapewne, nim drugich leczyć począł, sam śmiertelnie zapadł. Dopiero w sierpniu dźwignął się i mógł jechać do Getyngi, we wrześniu się ożenił, i nazad z żoną do Wilna powrócił.

Od tego czasu (1785) dwa lata jeszcze spędził Jerzy w Litwie i czas ten poświęcił całkiem nauce. Obejście jego z żoną było nadzwyczaj delikatne i pełne ostrożności. Obawiał się ją czemkolwiek zmartwić i przestraszyć, i o spotykających go nieprzyjemnościach nawet wieści do niej nie dopuszczał. Biografowie Forstera w tym braku ufności dla niej, widzą zaród przyszłych nieporozumień i zupełnego nakoniec z exaltowaną kobietą rozbratu.

Wilno, jak je Forster opisuje w swojej korespondencji, dla cudzoziemca i zapamiętałego szperacza, oddanego nauce tylko, a niemającego udziału w życiu jego powszedniem, było naówczas miastem dość nudnem. Xiążę Prynas mimo obietnic swych, wcale się nie zajmował uniwersytetem. Jerzemu co chwila brakło xiąg nowych, w których było jego życie, materyjału do podsycenia badań, które wyłącznie go zajmowały; zaklinał przyjaciół zagranicą aby mu choć okrucy ze swych stołów przysyłali. Stosunków miłych nieznalazł wcale, a nasze zabawy i uczty szumne pociągnąć go niemogły. Jezuiti, którzy z początku zbliżyli się doń, jak pisze, w nadziei nawrócenia jego i żony, widząc ich niedostępni, usunęli się; żył więc samotnie spełniając swój obowiązek, pisząc i pracując po cichu.

Czas który tu spędziłem, pisze do jednego z przyjaciół, niebędzie dla mnie stracony. Niejedno gorzkie zdobyłem tu doświadczenie, ale na przyszłość ono mi posłuży do

rozwinienia umysłu... Trzeba żebym się z mych błędów starał poprawić, a w Wilnie muszę trwać w tym stanie podobnym do gąsiennicy; póki nareszeie skrzydła mi nie-wyrasną i niebędę mógł ku lepszym ulecieć losom.

Dla polepszenia materyjalnego bytu Jerzy pracował ogromnie, wyniszczał się i silnie nadwarył swe zdrowie. Od rana zasiadał do roboty, w tej epoce oprócz tłumaczeń ułożył kilka dzieł zasługujących na uwagę: naprzód rozprawę, o rodzie ludzkim, która myśl podała mu rozprawa Kanta o tym przedmiocie. Ton dogmatyczny filozofa królewieckiego gniewał Forstera, który do spekulacyjnych zaciekań nie miał najmniejszej zdolności. W jednym ze swych listów zowie on Kanta archischolastykiem i archisofistą wieku. Myślą Forstera było, że cały ród ludzki z jednego pnia pochodzi, co się w kilka oddzielnych rozrosnął gałęzi, co dzisiejsze studia potwierdzają codziennie.

Drugim to przedsięwzięciem dziełem, było życie Cooka przypisane Józefowi II, co tém dziwniejszem się zdało, że wiele w nim było myśli śmiało rzuconych o przyszłości. Forster już w r. 1782—1787 zdawał się przewidywać straszliwe przewrót, jaki miał nastąpić we Francyi i wstrząsnąć światem starym. Kilkakrotnie w pismach i listach swoich przepowiadał katastrofę.

W czerwcu 1787 r. najniespodzianie jednego ranku wszedł doń oficer Rossyjski z listem od hr. Staëlberga, wzywającym go w imieniu rządu do nowej podróży odkryć na Oceanie spokojnym. Cesarzowa kazała mu ofiarować dosyć znaczną nagrodę, dla niego i pensyją dożywotnią dla żony, jeśliby w drodze spotkało ich jakie nieszczęście. Ddawano dla zachęcenia, że przyjaciel Förstera, Soemmering, miał uczestniczyć w podróży. Było to pełne najświetniejszych nadziei wezwanie dla człowieka, którego

Wilno nasze śmiertelnie już nudziło, który wzdychał tylko jak najprędzej uciec z kraju, z którym się żyć nie umiał; cieszył go powrót w zaczarowane owe strony dziwów i cudów, gdzie dzieckiem prawie tyle sławy pozyskał. Przyjawszy więc ohotnie propozycję, udał się natychmiast do Getyngi, ale wtém wybuchła wojna Rossyi z Turcyą świetne to nadzieje zburzyła. Podróż osnuta przez cesarzową musiała być odłożoną, Förster więc pozostał w Niemczech bez miejsca znowu, rok tylko płacy otrzymawszy zgóry; szczęściem rząd Rossyjski opłacił długi Wileńskie i z przykrego wybawił go położenia.

Napróżno starając się znowu o jakąś posadę, Jerzy udał się do Moguncyi, gdzie znajomy mu Jan Müller pełnił przy elektorze obowiązki sekretarza, a Soemmering wykładał kurs anatomii. Müller przedstawił go xięciu elektorowi, który tymczasowo dał mu miejsce bibliotekarza. Pensya była szczupła, ale za to żył Förster wśródku Niemiec, nad uśmiechającym się Renem, w ognisku umysłowego ruchu.

Prałat elektor Canon Erthal, był, wedle współczesnych, człowiekiem wielkiej bystrości umysłu, doskonale odegrywał rolę przyjętą, ale w gruncie lubił tylko dobre życie, zabawy i wygody. Zrazu udawał wielce bogobojnego, ale gdy jakiś czas w tym charakterze wytrwał dla oka, wrócił potem do upodobanego używania żywota po myśli. Na wygodnej spoczywając sofie, Erthal bawił się słuchając, jak piękne panie czytywały mu powieści Voltaira, listy Perskie i romanse Crebillona.

Wieczorem u stołu jego zgromadzało się towarzystwo dobrane, a tłustemi prebendami obdzielano pochlebników i nadskakujących Ańciu. Dziwna rzecz, że mimo płochości tego dworu, w którym czas upływał na zabawkach,

mogli zeń wyjść tacy ludzie, jak Studion, który w Moguncyi był kanonikiem, nim został Austriackim ministrem, i Dalberg co wprzód tu otrzymawszy kanoniją, wzniósł się później na biskupstwo Erfurtskie, koadjutorstwo Moguncie i archi-kancelerstwo państwa.

Towarzystwo tutaj nie mogło przypaść do smaku Försterowi; nie bardzo go też doń przypuszczano, gdyż zwykle elektor otaczał się młodemi paniczkami i arystokracją pogardzającą wszelkiem mieszczaństwem, choćby najuczciwszém. Ale pod boki miał Jerzy Soemmeringa, a w sąsiedztwie w Diisseldorfie Jacobiego, który z nim korespondował i Hejnego, któremu pisał artykuły do roczników Getyngskich.

Mimo usilnej pracy znowu zagrozało ubóstwo. X. elektor nie myślał o swej bibliotece, która składała się z jakich pięćdziesięciu tysięcy tomów rozrzuconych po strychach—i radzono Försterowi rozpocząć kurs nauk przyrodzonych, ale słuchacza nie miał ani jednego.

Niedostatek dobrych czasów doradca, poddał mu myśl przedsięwzięcia historyi odkryć na morzach południowych i flory ich archipelagów. Ale, że w Niemczech na to ogromne dzieło nakładcy nie było, postanowił go szukać w Anglii; otrzymawszy trzymiesięczny urlop wyjechał z Alex. Humboldtem w końcu marca 1790.

Projekt wszakże dzieła nie przyszedł do skutku, ale podróż z innych względów nie była bezowocową. W Londynie był świadkiem sławnego procesu Hastiagii, w Paryżu pierwszych poruszeń i przygotowań do pola-Marsowego. Podróż tę opisał w bardzo zajmujący sposób w dziele: widoki Renu niższego, Brabantu i Flandryi.

Ale z powrotem w domu czekały go zmiany niespodziane i nieszczęśliwe, dotąd spokój i szczęście familijne

placili mu za doznawane zawody, teraz miał i to stracić w niepojęty sposób.— Teresa przywiązała się do innego i całkiem dlań stała się obojętną. Współzawodnikiem energicznego Forstera był człowiek wcale nie na Lovelacea stworzony, istota mała, drobna, fiziognomii nieznaczącej i głupawej, cherlak cielesnie i umysłowie, którego porównywa biograf do węża weiskającego się potajemnie w gniazdo orle.

Któż zna serce kobięce? Teresa sądziła się zapomnianą, opuszczoną, nie tak kochaną jak chciała, i uwierzyła podszeptom Hubera. Huber wytrwale starał się ją uwieść, Forster nieumiał być zazdrośnym i nieposądzał nikogo. Soemmering zwracał już kilkakrotnie uwagę jego na to, że Teresa w stosunkach swych z mężczyznami zbyt była śmiała i wolna, ale Jerzy mu odpowiadał, że nienawidzi udawania, że pęć niechce narzucać nikomu, że ceni szczęście wyżej wszystkiego.

Powoli ten pan Huber, sekretarz jakiegoś ministerium Saskiego, zainstallował się w domu podwójną sprawując funkcyą; wzdychając do sentymentalnej Teresy, a mężowi jej pomagając w tłumaczeniach i służąc za pośrednika w interesach z xięgarzami i dziennikami. W czasie podróży Forstera do Anglii miał czas zbliżyć się więcej do Teresy, i w progu domu spotkała wracającego z nowemi długami wędrowca wieść, o niepowetowanym nieszczęściu, o straconym na wieki spokoju domowym.

Forster zniósł to i zmilczał, nie śmiejąc nawet poskarżyć się przed starym Hejnem, raz tylko zabolął w liście do Jacobiego na swą dolę, ale że zwykle korespondencyą z Jacobim czytawali razem z żoną dla której nie on nie odmieniał, prosił go aby odpisując mu na osobnym świstku wspominał o tem, by jej przykrości nie zrobić. Tak je-

szcze pełen delikatności był dla kobiety co go zdradziła, udając ślepotę.

Tymczasem we Francyi wrzała rewolucya, a elektor Moguncki bankietował, do Worms przybył x. Kondeusz, do Moguncyi hr. d'Artois, któremu elektor na utrzymanie wyznaczył po 5,000 fr. pensyi dziennie. Massa emigrantów otaczała tych wodzów, a choć z lekka sobie poczynano z elektorem, którego xiędzem opatem Mogunckim nazywano, Erthal miał przyjemność czynnego udziału w spi-skach politycznych jakie się tu knuły i odegrywanie pewnej roli, którą sobie zapewne za ważną wystawiał. Sławny manifest x. Brunświckiego wyszedł z pod prass Mogunckich.

Forster, łatwo to zgadnąć—marzyciel, filozof, dziecię XVIII w., w duchu był za reformami, ale sądził, że one go za pewną metę utopij wyjść niepowinny i cieszył się niemi, stary Hejne podzielał jego zdanie, oba jednak chwilami unosząc się, cofali potem postrzegając, że za daleko zająć mogą.

Forster już był wziął do tłómaczenia jednego z pism Bris-sot'a, ale się cofnął postrzegłszy, jak się wyraża w liście do Hejnego, że Francya idzie za daleko, i niechęć należeć do wściekłych żadnego stronnictwa.

Porzuciwszy ów pamflet dla odetchnienia świeższą poezją, począł przekładać Sacoantale z Angielskiej wersyi W. Jones. Sława jego jako pisarza, podróżą wydaną do Flandryi nieco odżyła, był w pełni sił i energii, ale niedostatek ciągly i troski powszednie wycieńczały go. W r. 1791 skarżył się w listach, że wsz lkie nadzieje go zawodzą, że nie mu nieidzie, że do niczego dojść niemożę, i znówu w myśli miał Florę oceanu Spokojnego, którą, niewidząc w niej ani korzyści, ani przyszłości, porzucił.

W r. 1791 los niby mu się zdał uśmiechać, aby później dotknąć tém srożej. Elektor Moguncki wyznaczył biblijotece lokal w starym kościele po-Jezuickim; i dodał Forsterowi do pensyi, emolumentu po zmarłym profesorze historyi naturalnej. Do tego, Herzberg stary minister Fryderyka W. wszedł z nim w stosunki, oświadczając z pomocą chętną do przedsięwziętej przez Forstera publikacyi. Dowiedział się bowiem, że Forster na żądanie Vossa xięgarza w Berlinie, przedsięwziął pisać historyą negocyacyi dyplomatycznych r. 1790, do których wpływał głównie. Dzieło to nazbyt go obchodziło, by w niém niechciał brać udziału, z akt oryginalnych niemógł udzielić, ale czynną pomoc ofiarował autorowi, którą on z razu przyjął z wdzięcznością.— Ale w kilka tygodni potem armija Francuzka wchodziła do Moguncyi.

Herzberg posłał zaraz Jerzemu przez Vossa, srebrny medal akademii Berlińskiej, pakę xiąg i sumę dosyć znaczną, ale pisząc doń wyraził się w przekonaniu, że pisze do poddanego Pruskiego, iż się spodziewa po nim uczuć prawdziwego Prusaka.

Forster ujrzał w tych darach i liście chęć przekupienia go i oburzył się; odpisał więc ostro, ale urywek mały z tego listu, nadto charakteryzuje pojęcia XVIII w., byśmy go tu przywieść nie mieli.

»Jeżelim dobrze zrozumiał, niewiem czy życzenie pańskie potrafi się zgodzić z zasadami mojemu i pojęciami jakie natchnęły wszystkie pisma moje. Urodziłem się w jednej z prowincyi Polskich o milę od Gdańska, a gdy ziemia moja rodzima dostała się Prussom, jam ją opuścił, nie jestem więc Prusakiem. Żyłem zajmując się nauką w Anglii, odbyłem podróż około świata, spełniałem różne obo-

wiązki w Cassel, w Wilnie, w Moguncyi. Całe życie starając się być dobrym obywatelem, pracowałem w pocie czoła na utrzymanie— *Ubi bene ibi patria* (!!!) musi być godłem ludzi poświęconych nauce i tych co usilują zawarować osobistą niezależność w krajach, gdzie panuje arbitralność. Jeżeli wyrażenie „dobry Prusak,” ma znaczyć, że w Moguncyi pod panowaniem legij Francuzkich, powinienem pragnąć końca klęsk wojennych, jestem pewnie dobrym Prusakiem, jak równie dobrym Turkiem i Chińczykiem; ale jeśli dla imienia Prusaka mam się zrzec moich opinij politycznych, smucić się ze swobód nowych, i wstrzymać od wszelkiego, wydobywania ich, udziału, zostać neutralnym lub niedecydowanym w chwili przesilenia—niezasługuję wcale na imie dobrego Prusaka.»

Gdy się armija Custin'a zbliżyła, elektor Moguncki zwołał swych urzędników, oficerów załogi, deputatów miejskich i kazał im poprzysiądz, że będą miasta bronić do ostalka, namiestnikiem naznaczył kanclerza Albin, sam zaś wieczorem wyjechał w jednym powozie ze swoją metresą eskortując pilnie furgony zawierające łupy odartego zamku i skarbcu. Mówiono nawet, że dla bezpieczeństwa zabrano summy należące do zakładów dobroczynnych... Zabierało się na jakąś obronę, wojsko ruszało się, ale 19 października Custine podstąpił pod miasto i zażądał by się poddało, a generał Gynnich uznał bezpieczniej—szem zdać je bez wystrzału, sam pośpieszając za elektorem.

Forster pozostał w miejscu, bo musiał. Uniwersytet wybrał go za tłumacza i obrońcę, potem Custine także użył Forstera jako dobrze mówiącego po Francuzku, i ustanawiając rząd tymczasowy zrobił go członkiem. Przyjęcie tej posady, które Forster uważał za konieczność dla dobra kraju, odstręczyło od niego wszystkich dawnych

przyjaciół. Soemmering uważając go odtąd za zdrajcę, zerwał z nim wszelkie stosunki.

Takim sposobem wpadł Jerzy w nową sferę czynności, stając się tłumaczem przy generale, przy zarządzie miejskim, i komissarzach Francuzkich, oprócz tego redagował dziennik i zasiadał w klubie Jakobinów. A że obawiał się o Teresę i dzieci niewiedząc jaki los miasto spotkać może, wyprawił ją do swych przyjaciół do Strasburga—Zarwało to ostatni z nią węzeł, który od powrotu z Anglii dla obojga był tylko ciężarem.

Huber, który wprzód jeszcze opuścił Moguncyję, okazał dosyć szlachetności i nieporzucił Teresy, połączyli się z nim na granicy Francyi i razem udali się do Szwajcaryi, od tej chwili, dziwnym fenomenem, Forster, który ostygł był dla żony, stał się najczulszym dla niej i Hubera przyjacielem.

W Moguncyi przybycie komissarzy Merlin de Thionvilles, Hausmanna i Rewbell'a nową za sobą pociągnęło pracę, Forster zachorował ze znużenia, a ledwie przychodzącemu do zdrowia, kazano jechać na prowincyę dla przygotowania wyborów, potem zaś wysłano z dwoma innemi do Paryża, dla przedstawienia konwencyi narodowej aktu unii. Myśląc powrócić za trzy tygodnie; Forster zostawił nawet książki i papiery niezabezpieczone. D. 30 marca przypuszczeni zostali przed zgromadzenie wśród oklasków i uścisków braterskich, a Forster pierwszy raz ujrział Sankiulotów i ponczosznicę. Tym czasem armija Reńska zabierała się blokować Moguncyę, powracać już nie było można, i musiał pozostać w Paryżu z pensją 18 liwrów asygnacyjnych, to jest groszem ledwie na kawałek chleba i suchy kartofel wystarczającym, mając tyle, ile trzeba było ściśle by nie umrzeć głodu. Rewolucya której teraz przypatrywał się z bliska rozczerowało go zupełnie, nazywał ją

poczwarą, żalując, że pocziwie chciał służyć sprawie nie-pocziwój, i w liście jednym pisze, że to było: „kloaką naj-wścieklejszych namiętności.”

Ale cóż? mimo to został Góralem, Jakobinem i po szyję zatonał w tym zamęcie—gdy w Mogouneyi bombardowano jego bibliotekę i papiery, a za głowę jego naznaczono cenę.. tu zaś z 18 liwrami ciężko było, gdy dwieście kosztowało para butów. Tak przeszła cała zima, Forster starał się urządzić o polepszenie bytu, ale go karmiono grzechocznosciami, gołego zostawując na bruku. W lecie już myślał porzucić Europę, i udać się na wschód do Indyi, ale to były marzenia i grosza brakło aby przywieść do skutku. Całą jego pociechą była częsta z żoną korespondencya, do której pisał teraz jako do najlepszej przyjaciółki i pragnąc ją i dzieci zobaczyć oszczędzając i odejmując od gęby sobie aby im coś posłać. Tym czasem zamiast do Indyi wyprawiono go do Cambrai, dla układów o zamianę jeńców, a w sam dzień wyjazdu towarzysz jego Lux został powołany przed trybunał rewolucyjny, za pochwałę Karoliny Kordaj i skazany na śmierć. Forster który był z nim w przyjaźni, ocalenie winien temu poselstwu. Trzy miesiące spędził w północnej Francyi, cierpiąc straszliwie bez grosza, bez przyjaciół, bez książek i zajęcia.

Powróciwszy nareszcie stęskniony zapragnął gwałtownie zobaczyć dzieci i żonę, choć trudno było jemu dostać się do Neucha pod panowanie Prusskie, a Teressie z Huberem przyjechać do Francyi. Postanowili zjechać się na granicy w Travers o kilka mil od Pontarlier. Forster na tę podróż musiał pożyczyć u przyjaciela tysiąc franków, i wyjechał w listopadzie rachując na to że jako urzędnik Rzptej, nie narazi się na żadne niebezpieczeń-

stwo. Trzy dni zabawili razem z żoną i dziećmi, i widok ich wzmógł jeszcze przywiązanie i pragnął się z niemi połączyć i żyć w Paryżu. Dwa tygodnie jeszcze zatrzymawszy się w Pontarlier, w chłodną porę wyjechał i przybył do Paryża ze szkorbutem, który się zmienił w srogi atak reumatyzmu. A że siedzieć w domu nieumiał, zażybił się powtórnie, i musiał w łóżko położyć. Położenie biednego męczennika bez grosza i przyjaciół było okropne—miał jednak siłę sam łudzić się nadzieją i w listach do Teresy pocieszać ją. W ostatnim prosił ją, aby doń często pisała, kazał dzieci uściśkać,... 12 stycznia już nie żył. U łóża jego jeden tylko wierny pozostał nieszczęściu przyjaciel; inni od tygodnia znikli widząc niebezpieczeństwo. Opisuując śmierć Forstera pocziwy ów człowiek cytował ów wiersz Łaciński.

Donec eris felix—multos numerabis amicos
Tempora si fuerint nubila—solus aris..

Tak nieszczęśliwy ten człowiek miotany tylu wypadkami skończył zapomniany, opuszczony, własny ojciec jego od czasu jak osiadł w Halli znienawidział i mówił, że radby go widzieć na szubienicy.. Soemmering nie chciał słyszeć o nim. Lichtenberg potępiał, Jacobi milczał, jeden stary Hejne płakał po nim. — Nierychło potem Gervinus pisma wydarł zapomnieniu w których spoczywały; zajął się ich wydaniem i dźwignął pamięć tego dziecięcia XVIII wieku, które tak w swęj sferze dobitnie przedstawia jego charakter, popędy i ułomności.—

Z dzieł i korespondencyi Forstera to co się odnosi do pobytu jego w Wilnie powinien by ktoś z biografii Koeniga przełożyć.

Niedawne to jeszcze czasy, kiedy Wilno było ogniskiem oświaty, kiedy wszechnica Wileńska rozsiewała na wszystkie dokoła prowincyje promienie istotnej bo rodzimój oświaty. Kwitły nauki wszystkie, kwitnął język Polski najbardziej. Zbyt świeże to dzieje, a przynajmniej, zbyt żywo się rysują w pamięci i sercach Litwinów, bym miał tu potrzebę mówić o tém jak o dalekiej przeszłości: w piśmiennictwie, w życiu naszym umysłowym, w ogóle odczuwa się co chwila ta świetna epoka Wilna i Litwy—imiona Grodków, Śniadeckich współ z plejadą wieszczów splatają nieśmiertelny wieniec chwały, którą późniejsze pokolenia umieją oceniać i niełatwo przepomną, bo żyją i karmią się myślą jednych, uczuciem i wieszczem natchnieniem drugich.

Nie rozwodząc się więc szeroko, powiem tylko, że za czasów wszechnicy Wileńskiej, gałąź nauk z najlepszym uprawianą powodzeniem, była filologija starożytna i Polska. Stała ona może na równi z ówczesnym stanowiskiem filologii na Zachodzie. Dziś zaś, kiedyśmy tu odlogiem zostawili niwę językową, nauka ta na Zachodzie, a najbardziej w Niemczech, wielkie zrobiła postępy;— w ostatniej ćwierci tego wieku filologija, można powiedzieć, całkiem się przeobraziła: z suchej, rutynicznie, po średniowiekowemu traktowanej nauki, stała się żywą, zasobną w myśli; olbrzymią, a co ważniejsza—konieczną podstawą badań starożytnych i dziejowych. Zapewne, była ona i pierwiej zastosowywana,—ale naówczas filologija, niemająca wielu wyrobionych dziś pewników, nie mająca swój filozofii, (1)

(1) Mógłby tu kto zrobić uwagę, że Adelung, Monbodo, autor dzieł „le monde primitif“ i „histoire naturelle de la parole“ i tylu innych pisali swoje teoryje daleko wcześniej, niż w drugiej ćwierci tego wieku. Nato-bym odpowiedział, że w tych filozoficznych pomysłach

bląkała się w chaotycznym labiryncie hipotez bezowocnych i zastosowana do dziejów, albo archeologii, nie tylko nie rozjaśniała rzeczy, ale gmatwała jeszcze bardziej i zostawiała obszerne pole dla dowolnych twierdzeń.

Ale dziś, kiedy dzięki Beckerowi, wiemy, że język, to żywy *organism*, którego dowolnie przetwarzać i plątać nikomu niewolno; kiedy dzięki tylu innym badaczom słowa ludzkiego, wiemy, że wszystkie mowy, języki, narzecza splatają się w jeden nierozzerwany łańcuch wszechludzkiej mowy, kiedy mamy już niejaki skazówki, wyjaśniające tę cudowną wiazaninę wszechjęzyków, po których już ze świadomością chodzić możemy, dziś więc, powiadam, już nie hipotezując dowolnie, opierać się możemy na filologii w dociekaniach dziejowych, albo kosmologicznych *np.*, jak to robił autor Kosmosu, biorąc za podstawę badania filologiczne brata swego Wilhelma.

Filologija dzisiejsza doszła już do tych rezultatów, że każdy język, każde narzecze języka, każde nawet podrzeczce (używając termin Szafarzyka) narzecza, jest-to żywy *organism*, a jako taki zawiera w sobie wszystkie warunki (do oddania) we właściwy sposób każdej myśli, i w składzie swoim jest niepodzielny, niezawisły od pokrewnych języków albo narzeczy, czyli że jest w sobie samym całością. Z postępem czasu, z biegiem historycznym narodu i język może się kształtować, doskonalić się nawet, ale jak w pierwszym

przedstawiały się tylko dwie ostateczności, dwie rozłogi myśli o języku; materialnej i idealnej, czyli jak je zowią w tej nauce, psychologicznej i naturalnej teoryi słowa; a gdzie są ostateczności, gdzie bieguny myśli pojedynczo tylko się objawiają, gdzie niema tych biegunów zetknięcia się, niemasz tam jeszcze iskry elektrycznej, niemasz prawdy istotnej, jaka się za dni naszych odstania w pomysłach filologicznych W. Humbolota, a nawet Boppa, Grymma i t. d.

zaczątku swoim, tak na ostatnim szczeblu organizm języka, będzie zawsze także sam. Jak w organizmie ludzkim już w embryonie leży możebność istnienia istoty, z czasu postępowem krzepnie tylko i rozwija się organizm człowieka, każda cząstka jego przetwarza się, przekształca, ale nigdy nie ginie i nigdy to nieustanne przeobrażanie się, niezmienna istoty organizmu ludzkiego. Toż samo zupełnie i w mowie: organizm języka każdego, z wielolicznych przyczyn kształtuje się ciągle, wykluwają się nowe słowa, doskonalią się formy językowe; ale przez to bynajmniej się nie zmienia organizm; istota jego pozostanie zawsze niezmienną. I istotne bogactwo języka zawsze jest w gruncie niezmiennie: ani przyswajanie wyrazów z obcej mowy, ani naciągane tworzenie nowych wyrazów nie wzmoże bogactwa językowego. Złudne takie pojęcie i chyba dla bardzo nieprawego oka wydałoby się rozszerzeniem leksykologii. Bo bogactwa każdej mowy niestanowią pochodniki, ale wielka ilość pierwotników; giętkość końcówek (względnych) łatwo może wywiązać w duchu języka wiele pochodników, ale nie powiększy się przez to bogactwo mowy. Mieliśmy np. w języku wyrazy „amiot” „promień” czy przez to wzrosło bogactwo słowa Polskiego, że któryś tam z poetów szczęśliwie użył, a tłumy naśladowców powtórzyły za nim— „rozanielony”, „rozpromieniony”. Były już pierwotniki tych ostatnich wyrazów, była już możebność podobnych zmian przymiotnikowych na *ony* (bo było ich 42 według Muczkowskiego),— jasno więc, że obręb języka nie rozszerzył się przeto.

Wiadoma to wszystkim prawda i jeżeli wspominam o niej, to dla tego jedynie, że w piśmiennictwie naszym dziwne objawiają się zdania w tym względzie: zarzucono już wprawdzie przyswajanie obczyzny, ale mamy za to dru-

gą, może gorszą ostateczność— tworzenie, albo raczej kucie nowych swojskich wyrazów, jak gdyby język był kuźnią, w której lada kowal coś wedle swego widzieli się ukuć potrafi. O ile postrzegalem, uprzedzenie to od lat kilkunastu stało się zupełną maniją. I jak nieogłędni ci panowie twórcy? niech policzą ile narobiono nowych wyrazów, wszak na seciny rachować je możemy, a ile przyswoił duch języka? dwa, trzy wyrazy jakie. Mowa tu o wydobytych z ducha języka pierwotnikach jak jażn *np.*, bo co do pochodników, to tych mamy aż nadto, jak o tém wspominałem już.

Nie tylko w słownictwie, ale i w gramatykach naszych widoczna ta platanina zdań, ta niemoc zasad językowych: opisano tuziny większej albo mniejszej objętości grammatyk, a któż się zgodzi by na jedną z nich? Czyż wyobraża dostatecznie choć jedna z nich ducha tej „strojnej i ogranej” (wyrażając się słowy poety) mowy Polskiej?

Czyż więc daremne te tak zmudne krzątaniiny grammatykarzy naszych? i zkąd mianowicie pochodzi bezskuteczność tak mozolnych poszukiwań?

Nic nie ginie w przyrodzie, co tylko z ducha prawdy i miłości początek swój bierze, a więc nie zaginą i prace wielu grammatyków naszych, każda z nich maluczką cegiełką dorzuconą do przyszłego budynku mowy Polskiej. Nie zaślepiajmy się tylko miłością własną, a dostrzeżemy prawdy: myli *np.* Muczkowski, jeżeli sądzi że napisał grammatykę języka Polskiego. On opracował tylko lepiej przymiotniki, rzeczowniki i rzucił nowe światło na łączenie spółgłoskowych i samogłoskowych brzmień; mylą się Żochowski i Morzycki, jeżeli myślą, że ostatecznie odgadli „mownię języka Polskiego”. Rzucili oni tylko kilka nowych myśli na części mowy odmienne (Żochowski), albo staran-

nięj zajrzeli, do niewyczerpanego bogactwa czasowników naszych (Morzycki), ale i tu niewypowiedzieli ostatniego słowa. Cegielski i ksiądz Malinowski jawnym są tego dowodem. Tak samo Łazowski np. niestworzył ostatecznej teorii języka, ale wypowiedział wiele myśli o naszej składni tak też i inni: każdy z nich coś dodał do przyszłej wiedzy słowa Polskiego.

Trudnięj daleko odpowiedzieć na drugie pytanie, dla czego stosunkowo, do tak wielkiej pracy filologów naszych, tak małą osiągnęliśmy korzyść. By odpowiedzieć na to, trzeba byłoby porównać prace badaczy naszego języka z filologami Zachodu; pokazać jaką drogą rozwijało się badanie języków na Zachodzie, na czem się obecnie zatrzymało i o ile od tego pozostali, nasi pracownicy. To wszystko przechodziłoby zakres listu mego; poprzestanę więc na wskazaniu kilku ogólnych uwag.

Powiedzieliśmy już, że język nie jest mechanicznym spletem wyrazów, ale organiczną ich spójnią, w której filozofowie słowa ludzkiego dostrzegali rozumnej wyższej doskonałości. Jako utwor ludzki, język byłby na wieki nierozwiklaną zagadką dla człowieka, jako dzieło Boże, objawia jak w najdrobniejszych cząstkach, tak i w całości swojej nieskończenie mądrą doskonałość, którą ludzie tylko po wielkich myśli wysileniach zaledwo w części zrozumieć i ocenić zdołają.

Jako organiczny utwor, język, w każdym okresie swojego żywota, jest całością, jest harmonijnie zczłonkowaną jednolitością; nie masz w niej nic sztucznie przyklejonego, nic martwego, bo żywy organizm odtrąca martwy członek, dla tego właśnie, że ma siłę wyrabiania wszystkiego ze siebie samego. Dla tego języki te słusznie zowią się żyjącymi, dla odróżnienia od języków martwych, które skoń-

czyły istnienie swoje (Sanskrycki, Koptyjski...) Te ostatnie, jako jedynie sztucznie przechowana pamiątka przeszłości dowodzą tylko wielkiej niegdyś siły żywotnej, kiedy i po śmierci w niejaki sposób bytować mogą. Jak każdy żywy organizm daje się pochwycić w chwili obecnej, bo jego przeszłość jakkolwiek w ogóle mówiąc taż sama, w szczegółach jednak bardzo się różni od terażniejszości; tak też i językowy organizm może być postrzegany tylko w terażniejszości.

Krom tego normalnego życia języka w terażniejszości, w wiegach zostały zapisane ślady jego z ubiegłego żywota. Te piśmienne zabytki zachowane w literaturze bez wątpienia są tylko martwym daguerrotypem przeszłości języka w danej epoce. Może się tam odbić ogólna mądrość ustroju mowy, ale i téj zupełnie, zapewne, że nieodgadniemy. A tém mniej domyślić się możemy bogactwa leksykologicznego; bo i teraz nawet, kiedy filologija od tak dawna wyrobiła pomysł słownictwa, przy tych nawet podręcznikach nie możemy mieć zupełnej całości wyrazów językowych i nieskończonej różnorodności ich użycia, właśnie dla tego że żywy organizm ma to do siebie, że niełatwo go podciągnąć pod teoryjne formułki. Z ksiąg wszakże tych widzimy, że niektóre cząstki organizmu niezmieniły się i są obecnie też same co pierwiej,—inne zaś skutkiem téj *vitalis* przetworzyły się na nowe cząstki z zachowaniem wszakże tożsamości, ogólnego ustroju mowy. To zarówno się stosuje do form języka, jak i do leksykologii jego.

Cheąc więc filozoficznie zbadać organizm językowy, trzeba obecnego jego żywota z ubiegłym porównać, bo tą tylko drogą można dojść do zupełnej świadomości języka. Wydobyte taką koleją zasady mowy, wzięte jeszcze porównawczo z innemi pokrewnemi językami, stanowić będą

grammatykę filologiczną, albo filozoficzną. Zwyczajna zaś, podręczna, grammatyka nie sięga tak daleko: niezagłębia się ona w przeszłość, nieporównywa z pokrewnymi narzeczaniami, ale pokazać powinna czém jest język w obecnej chwili. Podaje ona przytém prawidła części tylko organizmu językowego, języka wykształconego, poprawnego, książkowego na koniec. Filozoficzna zaś grammatyka rozpatruje język w całej jego obszerności—tu i prowincjonalizmy, potępiane w zwyczajnej grammatyce mają miejsce i wchodzą do całości organizmu: są to tylko odcienia, ale bynajmniej nie spaczenia ducha języka. Bogaty a mało co tknięty język ludu ma tu także prawo obywatelstwa, bo w nim filolog dostrzedz może klucz do rozwiązania wielu zagadek językowych. Ale jakkolwiek wyższy, naukowy cel jest tylko w tej ostatniej grammatyce, wszakże ważniejsza czasem bywa rola zwyczajnej grammatyki; ona to właśnie jest strażnicą czystości języka i integralności jego; ona jedna opiera się wpływowi obczyzny, które z wielolicznych przyczyn niepostrzeżenie weni wsiakają.

Tutaj w Wilnie za czasów byłego uniwersytetu Wileńskiego przestrzegano poprawności, zwracano przede wszystkim uwagę na ogładę i czystość językową, na język piśmienny. Kopczyński ówczesny teoretyk i nieodwołalny sędzia języka, chociaż w swych badaniach zagłębiał się w przeszłość języka, jednakże wszystkie swe zasady kierował ku temu, by oczyścić język nie tylko z obczyzny, ale i z ludowych jakichś wyrażen i zwrotów mowy. Myślał więc on przedewszystkiem o poprawności mowy, o ogładzie językowej. Kierunek ten filologiczny przynosił niezaprzeczoną korzyść; oczyścił język, uwolnił od wielu wpływów cudzoziemskich i doprowadził do stopnia doskonałości pod względem giętkości i łatwości oddania myśli.

Ale to wyszlifowanie, ta ogłada językowa, będąca także skutkiem oddziaływania na nas Francuskiej literatury, wyrobiła jakąś monotonię i brak siły w języku. Zjawienie się w literaturze szkoły romantycznej, stanowiącej epokę w poezyi, jest zarazem epoką i dla języka. Genijalni poeci nasi, czerpiąc natchnienie w ludowych podaniach, musieli dla oddania swych obrazów i wyrażen od ludu pożyczać. Z początku szczęśliwie wybierane i przyswajane językowi wyrażenia i zwroty całe, powiększały zasoby językowe, ale w nieprzeliczonych tłumach naśladowców szkoły romantycznej, myśl ta pierwotna zkoszlawioną i wypaczoną została.

To co objawiło się w praktyce weszło z czasem do teorii: i oto grammatycy nasi zaczęli wciągać do swych formulek ludowe zwroty, wyrażenia dawne. Muczkowski, Łazowski, Żochowski, Morzycki, Sztochel nawet (choć się on odwołuje do Kopczyńskiego), i inni, w grammatykach swoich wyrażają ten nowy zwrot do ludowego pierwiastku, albo zwrot do przeszłości.

Nieumieją oni, czy niechęć, odróżnić zasad, tej jakieśmy nazwali, filologicznej grammatyki od grammatyki zwyczajnej. Ztąd też może pochodzi ten nieprzebyty labirynt hipotez i brak jasnego na istotę mowy poglądu. Muczkowski wprowadza wiele wyszłych z używania wyrazów i na tej podstawie buduje teoryje; Morzycki, powołując się na mistrza swego Żochowskiego, naiwnie się raduje, że odkrył już ten nowy kamień filozoficzny.—podział czasowników i wzory normalności i anomalji słów, choć, jakieśmy powiedzieli, iluzyja ta zniknąć może, kiedy np. x. Malinowski ze stanowiska porównawczej metody językowej rozpatrzyć zechce tę sztuczną budowę; cieszy on także, że wprowadził ludowe czasowanie t. j. liczbę podwojną, choć już świę-

tęj pamięci opat Dobrowski wspominał był o niej, nie mówiąc już o tem, że grammatyce nasi rozwijali tę myśl. Słowem, grammatyce nasi niepilnują się poprawności współczesnego języka, ale chcą niby filozoficznie objaśnić zasady mowy naszej. Niedorównali wszakże wymaganiom tej ostatniej, a zamąci i czystość i poprawność współczesnej mowy. Te więc plątaniny i chybkosc zasad filologicznych może są przyczyną tak małych owoców żmudnej i mozolnej pracy grammatyków naszych.

Obecnie więc, kiedy wprowadzony został język Polski do szkół Wileń. nauk. okręgu, przewodnicy języka tego mają, zapewne, wielkie przeszkody w braku dobrego podręcznika językowego, któryby, niebłąkając się po bezowocnych hipotezach, dał jasne pojęcie poprawności mowy naszej. I dla tego zwracam uwagę twoją, p. Redaktorze, na ten niedostatek, który bez wątpienia zbyt dotkliwie się czuje; wszak widzę na liście współpracowników twego pisma mioną osobę, którzyby łatwo temu zaradzić mogli, łatwo mogliby napisać taki podręcznik językowy, któryby nieprzypuszczając do się mętów filologicznych, jasno i treściwie objaśnił ducha mowy naszej. Tém konieczniejszy jest taki podręcznik, że prócz braku dobrej gramatyki, inną jeszcze widzę trudność w korzystnym wykładzie języka Polskiego: język ten ma się wykladać porównawczo z Rosyjskim, a najbardziej ze sławiańskim.

Wiecie zapewne dobrze na jakim dziś stopniu stoi porównawcza nauka języków Słowiańskich—niech mi wolno będzie tutaj najogólniej dotknąć się tej kwestji.

Od lat już wielu po całej Słowiańszczyźnie, w Rosyi, w Prażo-Czeskiej, w Berlinie, w Belgradzie Serbskim i t. d. p. zaprowadzano porównawczy wykład języków Słowiańskich. Przewodniczyła w tém uczonym filologom, ta mię-

dzy innemi myśl, że był niegdys jedyny język Słowiański, który po przejściu jakiegoś długiego peryodu czasu, rozpadł się na różne narzecza, tak, że z jedyniej ogólnej mowy pozostały dziś szczątki tylko wspólnego organizmu mowy Słowiańskiej. W głowach tedy filologów zrodziła się myśl odtworzenia, choćby sztucznie tego źródłowego języka. Ale myśl ta z fałszywej wypływając zasady, nie doprowadziła do pożądaných rezultatów; gorączkowo wzięwszy się do pracy, filologowie Słowiańscy ani się spostrzegli, że zabrnęli nietam dokąd zdążali.

Objaśnię myśl moją bliżej.

Hypoteza, że rozmaite narzecza stopniowo się rozwijają z jednego języka, powszechnie kiedyś przez filologów przyjęta i przewodnicząca, jak mówiłem, filologom Słowiańskim, dziś już jest zachwiana, jeśli nieobalona. Żeby poprzeć myśl, że dzisiejsze Słowiańskie narzecza, pochodzą od jednego wspólnego wszystkim języka, że ten ostatni z postępowaniem czasu, rozpadł się na widome dziś części, trzeba było z pomiędzy współczesnych narzeczy wskazać jedno starożytniejsze i przytém takie, do którego, jako do ogólnego ogniska, byłoby można sprowadzić wszelkie leksykologiczne i etymologiczne różnice innych narzeczy. Oddawna filologowie zwracali uwagę na narzecze Cerkiewno-Słowiańskie, które jak się im zdawało, zawiera w sobie wszelkie resztki tego pierwotnego, pan-Słowiańskiego języka, jeszcze nierozpadłego na narzecza. Potrzeba było zatem faktycznie wykazać ten pierwowzór cerkiewnego narzecza, jak w etymologicznych formach, tak też i w leksykologicznym składzie. Rezultaty wszakże dowiodły całą chybkosc tej hipotezy. Na dowód wspomnę o stopniowém rozwijaniu się rozmaitych przypuszczeń, z którego dojrzeć możemy, że idea o pierwszeństwie jednego Słowiańskiego na-

rzecza przeszła wszystkie fazy możliwych twierdzeń, i w końcu stanęła w najzupełniejszej ze sobą sprzeczności.

Skoro się tylko dotknęło tego pytania, z powodu tłumaczenia Biblii na język Słowiański, mniemano: że w IX wieku język ten jeszcze się nierozpadł na narzecza i był jednaki, t. j. wspólny u wszystkich plemion. Ale zdanie to, mające za sobą głos jednego tylko **Rakowieckiego**, zamieniono wkrótce inném: że język Słowiański w tym wieku rozpadł już był na narzecza. Pytanie zatem, jakie z nich było najdawniejsze i źródłowe?

I. Dobrowski pierwszy wskazał na **skrócenie**, albo raczej na **bezsamogłoskowość** (безгласіе) Cerkiewno-Słowiańskiego narzecza (np. тѣрѣ, крѣвь, плѣкъ), jako na pierwotne źródło, z którego stopniowo się wywijały **pełne samogłoskowe** formy innych, późniejszych narzeczy Słowiańskich (targ, топѣ, полк, крѣвъ' крѣвь).

Maxymowicz obalił to twierdzenie i z większą może dokładnością wskazał na pełność samogłoskowych brzmień (полногласіе) jako na jedyne pierwotne źródło, z którego z czasem przez stopniowe skrócenia, wypłynęła krótkość samogłoskowych brzmień i nawet całkowity brak tych brzmień (безгласіе), w innych narzeczach Słowiańskich (np. шепѣтъ ross., sierść nasze, srst Czeskie...). **Katków** stanął wśródku tych dwojga ostateczności, i starał się zbliżyć je ze sobą, przyjąwszy za pierwotną zasadę **dwoistą-samogłoskowość** (двогласіе), z którego rozwinęła się z jednej strony pełność samogłoskowa w jednych, a krótkość samogłoskowa w drugich narzeczach. Tę dwoistość samogłoskową **Katków** chciał widzieć w Cerkiewno-Słowiańskim narzeczu, że zatem ono było najdawniejszém. Ale hipoteza niedała się praktycznie sprawdzić i uczony filolog zmuszony był w końcu zgodzić się z Grimmem, że **różnice** narze-

czy w najdawniejszych czasach, (t. j. o ile sięgać mogą w przeszłość piśmienne zabytki Słowiańskie) były wyrazistsze, że własności pojedynczych narzeczy daleko widoczniej niżli dziś były oznaczone.

Taką kolejną stopniowy rozwój twierdzenia, że była kiedyś jedyna, wspólna wszystkim Słowianom mowa, doprowadził do rezultatu, że w żadnym z dzisiejszych narzeczy Słowiańskich niemożna znaleźć tego ogólnego pierwowzoru, tego źródłowego pierwiastku, z którego można byłoby filologicznie objaśnić różnice innych narzeczy; czyli, co zatem idzie, że żadnego dotąd narzecza niema my prawa nazwać pierwotnem, że każde pojedyncze narzecze od wieków było oddzielném, niezawisłém. Pierwszeństwo Cerkiewno-Słowiańskiego narzecza, zdaje się, że ostatecznie dziś już zachwiane; ale wiara w istnienie ogólnej niegdyś mowy Słowian dotąd jeszcze się trzyma, przynajmniej tak wnioskować można z twierdzeń **Srezniewskiego**, który w **Staro-Słowiańskim** (jak je nazywa) narzeczu zawsze jeszcze chce widzieć źródło wspólnej mowy Słowian.

Nietylko **Srezniewski**; wielu innych filologów pracuje jeszcze w imię téj staréj idei, ale wcale już nie z tym zapalem, nie z tą wytrwałością co dawniej; bo znikła już pierwotna, illuzya marzycieli Słowiańskich, że może kiedyś zabrznieć ogólna wszechsłowiańska mowa: dziś już wprawniejszém trochę okiem doświadczenia poglądając na przeszłość téj mowy, z smutném odczarowaniem dochodzą do téj prawdy, że co Bóg i czas rozdzieliły i wywołały na widownię dziejów, napróżnoby człowiek starał się połączyć albo raczej zgmatwać ze sobą. Coraz bardziej mgliste, coraz słabsze filologów Słowiańskich dowodzenia, pozwalają nam mniemać, że z czasem zupełnie zniknie to ich marzenie;

a zresztą i badanie innych filologów: Niemieckich— Grimca, Boppa; z Ruskich Busłajewa, w teorii stwierdzają to, do czego Słowiańscy badacze przyszedli drogą analizy filologicznej.

Wskazałem tu tylko na tło główne badań filologicznych, na kierunek ich. Niewdawałem się w szczegóły, niemówiłem nie o *jorach* i *jusach*, tych mitycznych sfinxach, które nie miały dotąd swego Szampoljona; bo mnie się zdaje, że i w tych ogólnych zarysach widzieć już można, że porównawcza filologija Słowiańska, niemając należytego punktu opory, musiała z natury rzeczy wylać się, w zaczarowanym kółku bezowocnych przypuszczeń. Mozolne poszukiwania Czechów i kilku pierwszorzędnych filologów Niemieckich położyły tu tylko początek;— do pożądanego rezultatu jeszcze daleko. Dziś przez mglisty obłok różnorodnych opinij filologicznych i przejrzyć nawet niemożemy, jaką drogą pójdzie dalej nauka i na czém się ostoja ostatecznie.

Jeżeli tedy taki zamęt zdań, objawia się w świecznikach nauki, jakże trudno dadzą się zastosować myśli te, dla dzieci w gimnazyach! bo tam to tylko korzystnie przyswoić się da, co już nauka po wielkiej doświadczenia próbie, zamieniła na niezbite axjomata.

Na twoich więc współpracownikach, p. Redaktorze, leży obowiązek zaradzenia temu drugiemu niedostatkowi. Ten zdaje mi się, choć w części dałby się usunąć, jeśli by zrobione były takie wypisy, gdzieby się najwyraźniej oznaczały różnice mowy Cerkiewno Słowiańskiej i Polskiej, jak np. Ewangelija Ostromira, Ewan. Reimska, Prawda Ruska, Słowo o półku Igora, objaśniane albo tłómaczone przez naszych uczonych Rakowieckiego, Bielowskiego, Krasinśkiego, i kilka innych co dawniejszych zabytków.

Rozpisałem się zanadto w pierwszej części listu mego, ograniczę się za to kilką słowy w drugiej.

Najprzód Gazeta Warszawska, potem Biblijoteka ogłosiły premijum P. Rastawieckiego za napisanie synonimów Polskich. O ile premijum takie jest ważne, a dzieło podobnej treści poządane w obecnym czasie, wie dobrze każdy, komu nieobcy kierunek a najbardziej stanowisko badaczy naszego języka. Za dni naszych nietylko w mowie, ale i w piśmienictwie panuje taka dowolność, że każdy z nas mówiących albo i piszących, pozwala sobie używać wyrażen częstokroć sprzecznych z duchem mowy naszej, i ustalonych zasad leksykologicznych; stało się to tak endemiczną chorobą, że nieledwo każdy popełnia grzech ten. Słownik więc synonimów, jeśli by mógł być należycie opracowany, wykazałby nietylko, jak mówi Biblioteka, bogactwo naszych wyrazów blizkoznacznych, ale zarazem wprowadziłby może jakiś ład w dzisiejszej leksykologii i dla kształcących się w języku byłby niejako skazówką, do której w razie potrzeby odwołaćby się można.

Ale właśnie dla tego, by praca podobnego rodzaju mogła służyć wyrocznią, potrzeba, by w zupełności odpowiadała wymaganiom nauki i głębiej zajrzała w ducha mowy naszej, niżli dotychczasowe nasze prace językowe. Nieważna jak mnie się zdaje, uwaga Pamiętnika religijno-moralnego, że w języku żyjącym, wyrabiającym nieustannie nowe wyrazy, niepodobna wymienić *wszystkich* synonimów; światli sędziowie Biblioteki Warszawskiej, bez wątpienia na tę niepełność uwagi zwracać niebędą bo tu chodzi o głębokie w ducha mowy wtajemniczenie się i dobre zestawienie wyrobionych już synonimów; ale najzupełniej zgodzić się można z drugą Pamiętnika uwagą, że słownik

synonimów niemoże być dziełem jednego człowieka i nie trzech lat pracy owocem.

Na poparcie tego zdania Pamiętnika, te byśmy zrobili uwagi: język nasz tak bogaty w źródłowe wyrazy i tak fantastycznie swobodny w odcieniach wyrazów pochodnych, że niepodobieństwem zda mi się w tym czasie (do 1861 r.) pochwycić tę subtelność organizmu mowy naszej. Potrzebaby do tego wiele, bardzo wiele studyów krytyczno-językowych, potrzeba oddzielnych monografij, (jeśli tak się wyrazić wolno) w przedmiocie leksykologii naszej, zanimbyśmy zdołali stworzyć jakąś pożądaną całość.

Wyrazy języka naszego nietylko w potocznej mowie, ale i w piśmiennictwie, jak to wspomniałem, tak są częstso dowolne, że przetwarzają czasem istotne wyrazu znaczenie. Niema tu mowy o manierze, jaką ma wielu z piszących, ta niezspsuje języka, bo każdy łatwo dostrzeże ten niewinny grzech *in gratiam predylekcyi* do jakiegoś ulubionego słówka; mówimy tu tylko o naciąganiu przetwarzaniu znaczenia wyrazu, o niewłaściwem jego użyciu. To używanie wyrazów jednych zamiast drugich, synonimowych za właściwe, wyrobiło wprawdzie lekkość, złudną powabność mowy, ale jakżeśmy wiele za to stracili na sile, na mocy wyrażenia! Doszliśmy już do tego, że dla określenia tej energii słowa używamy dziś Francuzkiego wyrazu — „*verve*”. A przecie każdemu wiadomo, że język ten wyrobiwszy najsubtelniejszą frazeologiję, postradał już właściwą moc, widać więc, że i nam brakuje tej mocy, kiedy dla określenia jej pożyczamy z języka, który właśnie jej niema?

To rozmyślnie, czy fantazyjne branie synonimów, albo czasem i całkiem niewłaściwych wyrazów spotykamy naj-

częściej u poetów współczesnych. Zatraciwszy wiele tradycyjnych pojęć klasycyzmu, niezapomnieli oni wszakże o *licencji poetyckiej* i tą jedynie tarczą zbrojni, uchylają się od wszelkich praw językowych.

Powie kto może, że to maluczka cząstka organizmu mowy naszej, że to drobiazgi, na które zwracać uwagi nie-trzeba! Zapewnie że *drobiazgi*; ale weźmijcie wszystkie dzieła nasze prozą i wierszem pisane od lat kilkudziesięciu, od początków szkoły romantycznej *np.*, porównajcie ze Słownikiem Lindego, i porachujcie wszystkie te drobiazgi; a zobaczycie ile tam tego się uzbiera! Cóż więc poradzić ma przyszły autor Słownika synonimów? Czy do-prawdy trzymać się owego Hegłowskiego zdania, „alles was ist, ist dernünftig”? i wszystkie, skutkiem fantazyi albo rozmysłu ukute wyrazy wciągać do Słownika? Czy może rozgatunkować je jakoś na dobre i złe, na mające wejść do słownika i poza obrębem jego zostać mające? Gdzież więc zasada po temu, gdzie punkt oparcia? Kto, albo co wy-rocznią tu służyć może? Wszak niemamy akademii, jak Francuzi niegdyś, żebyśmy do powagi jój odwołać się mogli?

Bagatelna więc rzecz, czy mogą wejść *wszystkie* wyrazy do słownika, ale *jakie* mają wejść? to pytanie daleko trudniejsze, i szczerzebyśmy się cieszyli, jeźliby Biblijoteka Warszawska w zadawalniający sposób rozwiązać to mogła.

Dla tych to uwag sądziłbym, wespół z Pamiętnikiem, że pomnę inne rzeczy, np. zbyt małe wynagrodzenie za tak wielką pracę, że szlachetna gorliwość p. Rastawieckiego, jeśli niezostanie całkiem bezowocną, to przynajmniej, niewyda tych błogich owoców, dla których zapewne p. Rastawiecki ogłosił premijum.

Nieubliżając zasłudze tylu pracowników na niwie słowa Polskiego, nieledwo z pewnością powiedzieć możemy, że słownik synonimów, jeśli i zjawi się w 1861 roku, będzie tylko próbką tego rodzaju pracy, i bez wątpienia, niezadowolni współczesnych wymagań językoznawstwa.

Dnia 15 marca
1858 roku.

LIST ANDRZEJA JASTRZEMBSKIEGO

O KOŚCIELE W POZELWIE.

W Gubernii Kowieńskiej, powiecie i dekanacie Wilkomierskim, parafii Żmujdeckiej, w miasteczku Pozelwie, położony jest kościół drewniany pod tytułem ś. Ignacego.

Jerzy Xiążę Radziwiłł, syn Mikołaja Czarnego: Anny Szydłowieckiej (ur. roku 1556) zapisał oo. Jezuitom, majątność swoją Żmujdki z kilku folwarkami i z miasteczkiem Pozelwą. Jezuici mając kościół parafialny w Żmujdach, założyli jeszcze filialny w Pozelwie; ale w którym czasie to założenie nastąpiło, kto go i kiedy konsekrował? — ubogie zupełnie miejscowe archiwum, żadnej o tém wiadomości nieprzynosi. Akta nawet metrykalne zaledwo sięgają roku 1778.

Klemens XIV (Ganganeli) Bullą swą Papięzką, poczynającą się od słowa: »Deus ac redemptor« skasował Zakon Jezuitów zamożny w naukę, talenta, i bogactwa. To wydało ich z licznych i pięknych majątków; a w téj liczbie ze Żmujdek i Pozelwy. Sejm zaś 1775 roku, usłuchawszy głosu mądrości i obywatelstwa Joachima Chreptowicza, ogromną fortunę zgazzonego zakonu, oddał na potrzebę edukacji publicznej. Taką koleją, w skutek postanowienia kommissyi rozdawniczej, i za przywilejem króla Stanisława-Augusta, dobra Żmujdki z folwarkami Woliń, Perkale, Daugudzie, Pozelwa, i z miastecz-

kiem tegoż nazwania, oddane zostały na wieczność, z obowiązkiem wnoszenia tak nazwanej kwarty, dla funduszu edukacyjnego, jenerałowi Morykoniemu dziedzicowi majątku Nidok, przyległego do dóbr po-Jezuickich.

Żmujdki z pomienionymi folwarkami i z miasteczkiem Pozelwą, przynosiły na rok kilkadziesiąt tysięcy złotych dochodu. Z tego jednak co do dziś dnia pozostało po-jezuitach w kościołach Żmujdeckim i Pozelwiańskim; z tego mówię wyraźnie widać, że się niełożyło nic, albo mało co więcej jak nic, na ozdobę i utrwalenie tych kościołów. Jezuita rostaczali swoje wielkie bogactwa, po wielkich miastach; tam występowali w całym blasku ze swymi dostatkami; wiejskie zaś kościoły były bardzo skromnie, ledwo niepowiem ubogo utrzymywane; chociaż przodkowie nasi, z nieogłędną nawet hojnością, nadawali Jezuitom majątki; chociaż w tych nadaniach żaden kraj, żaden naród niewyrównał Litwie, i nigdzie gorliwiej jak u nas, niwa religijna uprawiana nie była.

Kościół tedy Pozelwiański, z epoki rządu oo. Jezuitów, niema swojej zajmującej przeszłości, i swego wspomnienia. Po kassacie Jezuitów objęło go duchowieństwo świeckie, a filija Pozelwiańska bardzo ubogo została uposażoną: cztery bowiem morgi piaszczystego ogrodu, sześćdziesiąt rubli rocznej pensyi, i szczupła ordynarya dawała z majątku Żmujdek, stanowiły całe i jedyne uposażenie miejscowego kapłana. Ale tam gdzie chęć ludzka jest niemą, tam pomoc i łaska Boża jest jeszcze większą; dowiódł tego zmarły przed kilkunastu laty x. Maciej Ptaszyński. Czcigodny ten kapłan osadzony w Pozelwie na tak szczupłym funduszu, zafundował do kościoła dzwon wielki (za czasów oo. Jezuitów była tylko mała sygnaturka) zwołujący do dziś dnia lud do chwały Bożej, wznosił

kilka budowli gospodarskich, wystawił szpital dla ubogich kalek; żywił, leczył, i opatrywał tych nieszczęśliwych. Dom jego był oblegany przez ubóstwo, i ubodzy znajdowali u niego pocieszenie, pomoc, wsparcie: a xiądz Ptaszyński dożył swojego wieku z maxymą: *im bliżej ubogich, tém bliżej Nieba.*

Po śmierci xiędza Ptaszyńskiego, następcy jego, mniej więcej zajmowali się podtrzymaniem kościelnej budowy, ale ta znękana wiekiem potrzebowała ciągłego ratunku i pomocy. Nieżałowały kosztu na erekcję kościoła pobożne dziedziczki Pozelwy, hrabini Łopacińska i Platerowa, ale same pilnować fabryki nie mogły. Były tedy koszta wielkie, a korzyści małe.

X. Adam Matuszewicz zabierał się do nowej, fundamentalnej restauracyi, do przerobienia ołtarzy i dalszych atrybucyi kościelnych; ale w tym czasie z rozkazu swojej zwierzchności, przeszedł na inne miejsce, a jego posadę zajął x. Alexander Turezyński.

X. Turezyński, ledwo nie cały na nowo przebudował kościół. W miejscu nadgniłych powstawił zdrowe ściany, dał nowe gotyckie okna, okrył dach podwójną gontą, dobudował do zakrystyi skład na aparaty kościelne, wyrestaurował organy; oparkanił i osadził drzewami kościół i cmentarz, a teraz gotuje się do zrobienia ozdobnego sufitu. Obywatele i włościanie, bogaci i ubodzy, chętnie przybiegli na pomoc x. Turezyńskiemu. Hrabina Plater wyłożyła powtórnie znaczną ilość pieniędzy, i dostarczyła drzewa; Mieczysław Pomarnacki, Czyżowie z Łownian, Bańkowscy z Rafaliszek, Stalewscy z Bastun, Szwejnicy z Jodak dostarczali robotnika, i innych potrzebnych artykułów. Kosztem s. p. Henryety z Jastrzembskich Rodziewiczowej stanął wielkiego rozmiaru, w bogatych ramach, w wielkim

oltarzu obraz s. Ignacego; Johanna Jastrzebska zafundowała takiegoż rozmiaru do dwóch bocznych oltarzy dwa obrazy: jeden s. Trójcy, drugi Najświętszej Panny Maryi. Wszystkie te trzy olejne obrazy, są pędzla p. Antoniego Rodziewicza, i stanowią najmocniejszy, bo widoczny dowód znakomitego jego talentu. Obywatele Józef i Teofila Baczańscy, zafundowali kształtną ambonę wraz z konfessionalem. Panna Helena Narkiewicz wyposażyła piękne antypedia; włościanin folwarku Szukiszek Stanisław Krauczun, i zeszła s. p. Kiewliczowa zafundowali ozdobne chorągwie. Trzeba tylko było do tych obrazów, do przybyłych ozdób i atrybutów zastosować i zupełnie przerobić wszystkie trzy oltarze, a gdy te po bliższym ich rozpatrzeniu, okazały się przez wpływ wszystko niszczącego czasu, spsute, i do przerobienia niezdatne, wypadło tedy myśleć o nowych; ale nowe wymagały znacznych kosztów.

X. Turczyński udał się do parafian, i parafianie chętnie przybiegli z ofiarą, *Temu, który przewyższa ludzi i aniołów.*

Wszystkie tedy wydatki wyłożone, zostały natychmiast pokryte, a trzy nowe oltarze roboty p. Szejmana, zdobią dziś Świątynię Bożą. Dodać jeszcze musimy, że w spisie wnoszonych składek, znalazł się nie jeden *grosz wdowi*, niejedna złotówka *ubogiego rolnika*. Poczciwy bowiem kmiołek Litewski, tą samą ręką, którą zarabia, tą samą mówię ręką, i tę samą złotówkę rad niesie na ofiarę kościelowi; i zna dobrze, że ta ofiara, jest to całe jego bogactwo, którego *ani rdza nietrawi, ani mół nietoczy*.

Kościół Pozelwiański, obchodzi każdorocznie dwie uroczystości, s. Trójcy, i s. Ignacego; w czasie tych festów, owszem każdego święta, każdej niedzieli, nie stoi on próżny; niestałby próżny i wtenczas, żeby o 4 razy był wię-

kszy niż jest teraz. Lud tu zbiera się nańder gromadnie na nabożeństwo: to dowodzi głęboko zaszezepionej religii; do tego licznego zbierania się wpływają jeszcze każdoniedzielne znaczne targi; pięć przytykających parafij, które się w tym punkcie schodzą, i wielka liczba posad obywatelskich okalających Pozelwę. W skutku takiego nagromadzania się, część ludu stać musi pod otwartym niebem udźwignąć kościelnych: ztąd wznosi on modlitwę i spracowane ręce do Boga. Kazań i nauk trudno mu dosłyszeć, trudno z nich korzystać. Niedogodności tej zaradzi zapewne terazniejszy nowy dziedzic Pozelwy Karol Bystram, wielce poważany obywatel.

Cmentarz Pozelwiański, tak jak prawie wszystkie cmentarze wiejskie niedźwiga na sobie pysznych grobowców z brązu i marmuru; tu się pospolicie grzebie ubogi kmiołek, na którego mogile tém piękniej i swobodniej zielona wyrasta murawa; im częściej i obficie jest polewana, łzami osieroconej rodziny; a Litwin, prędzej zapomni o sobie samym, niżeli o umarłych: często bowiem widzimy, że kiedy sam jeden nie jest w stanie pokryć kosztów ekwialnych, to wzywa do składki drugiego wieśniaka, i za wspólną opłatą, wspólne zamawia żałobne nabożeństwo, wspólnie się modli, i wspólną modlitwą prosi Boga o wieczne odpocznienie, i światłość wiekuistą, dla osób drogich jego sercu.

Takim tedy sposobem przy łasce i pomocy Bożej, bez której wszystkie nasze prace, i starania są daremne; x. Alexander Turczyński, i ludzie dobrej woli postavili w krótkim czasie kościół Pozelwiański na tym stopniu, że wielu świątyniom może on ustąpić w bogactwie; ale niewiele ustąpi w ozdobie, a żadnemu w porządku.

Zakończymy ten artykuł, jeszcze jedną uwagą: szkol-

ki parafijalne, są pierwszym ogniwem i walną podstawą publicznego wychowania; w nich zakładają się fundamenta nauki, moralności i religii. Wszystkie gorszące w społeczeństwie ludzkiej sprawy nieprzystają do człowieka, który oświecił głowę, i wziął za sternika religiję; tę religiję która cała zajęta jest dobrem człowieka, która daje mu byt pomyślny za życia, a po zgonie prowadzi go do przybytków pokoju i wiecznego szczęścia.

W Pozelwie nie było szkółki dla ubogich dzieci, założył ją x. Turczyński; a do dnia dzisiejszego wyszło z niej przeszło sto osób z początkową instrukcją w głowie; z ugruntowaną religiją w sercu.

Powiedzieliśmy wyżej, jaki jest fundusz i opatrzenie kapłana, zajmującego po adę w Pozelwie; ale **człowiek szczepi i polewa, a Bóg pomnożenie daje.**

LISTY O GOSPODARSTWIE.

I.

Panie Redaktorze!

W trzecim tomie Teki Wileńskiej czytałem list pana Jastrzębskiego, w treści gospodarskiej napisany. Z prawdziwem ukontentowaniem patrzałem na to, iż pan w książce swojej otworzył karty dla tego przedmiotu. Gospodarstwo w krajach wszystkich jest podstawą bogactwa krajowego, środkiem jedynym przeżywania ludzi i pożytecznych żywiołów, dostarczającym codziennego chleba i odzieży, a zatem przedmiotem tak dalece żywotnym, obchodzącym ludzkość całą. Cóż dopiero w Litwie, a mianowicie w epoce teraźniejszej, gdzie się spełnia wielka socyjalna reforma emancypacji włościan, gdzie z systematu pańszczyźnianego, na wolnonajemnego robotnika przejść mamy. Po spełnieniu tej reformy, gdy odjęte będą nam ręce do roli i utrudnione nabycie pracy człowieka, którą dotąd, wyznajmy z pokorą, bez rachunku i nieogłędnie dla siebie, prawie zawsze szafowaliśmy, jedyną przyszłością naszą stać się musi ulepszona gospodarka. Dzisiaj ostateczna potrzeba jedynie nas doprowadzić potrafi do tego czegoś sami w sobie, w stanie naszej patryarchalnej swobody, wyrobić nie potrafili; zmusi ona nas do myślenia, do pracowitszego krzątania się i do baczego zapatrywania się na

gospodarstwa sąsiednich krajów, które już dawniej od nas tę kryzę socyjalną przebywszy, mieli dosyć czasu do uporządkowania się i do wyrabiania dla swego gospodarstwa tak świetnego stanowiska, na jakim stoją. Popchnięci obecną ostatecznością, goniąc za ich przykładem, mimo wolnie da Bóg, postąpiemy pod tym względem w cywilizacyi i kształceniu. W innych krajach Europy gospodarstwo należy do rzędu nauk ścisłych, głęboko i uczenie opracowanych, którą akademije i szkoły agronomiczne, gęsto po kraju przez rządy otworzone, praktycznie tę naukę mieszkańcom jego udzielają. Na Litwie, gdzie zakładów publicznych dla agronomii niema, stanowiła ona i stanowi dotąd jeszcze po większej części rutyniczne i praktyczne zatrudnienia ziemianina, nałogowo i machinalnie niejako w pokoleniach po sobie idących, ciągle powtarzane. W bratniej nam Koronie gospodarstwo podobnie już naukę stanowi. Zakład w Marymoncie od lat wielu istniejący, rzucił już nie jedno z arno pożytku na dobrze przysposobioną rolę; szkoły tego rodzaju nowootwierające się po kraju, pod mądrym kierunkiem miłośników postępu krajowego, niezawodny pożytek przynieść muszą. Korona ma już swoje pisma publiczne, wyłącznie temu przedmiotowi poświęcone, za pomocą których myśli i potrzebienia z sobą po kraju zamienia, a pożyteczne doświadczenia, lub sprawdzone nowe wynalazki drugim głośno udziela, Litwa ani jednego pisma tej gałęzi wyłącznie nie poświęciła dotąd, ani jednego niema organu publicznego, przez któreby tego rodzaju idei i myśli wymieniać wzajemnie po kraju mogła. Dowiadujemy się ochoczo z pism obcych, co się u drugich dzieje, skwapliwie i chętnie radzilibyśmy uczyć się od nich postępu i naśladować rzeczy pożyteczne, lecz na nieszczęście nawzajem nie o

sobie im donieść nie możemy; nie mamy gdzie się publicznie pochwalić przed światem, choćby nie raz i było może z czém.

W Koronie Andrzej hr. Zamojski, pan oddawna znany ze swoich czysto obywatelskich dążeń, jak prawdziwy Mecenas stanął na czele rolnictwa i przemysłu krajowego; wyrobił u rządu przywilej na zawiązanie towarzystwa rolniczego. Jako prezes tego towarzystwa, powagą swoją, światłem i długoletniem doświadczeniem, skupił około siebie licznie szlachtę, gorliwą o postęp rolnictwa w kraju. Szlachta koronna pojmuje i ocenia doskonale wielkość tego zagadnienia, kiedy na pierwsze wezwanie tak się ochoczo zbiegła do Warszawy, dla współdziałania w tej wielkiej myśli. Pisma publiczne ogłosiły nam szczegółowe zatrudnienia tych posiedzeń; ze cziłą i poszanowaniem przyglądaliśmy się ich tendencyi. Ileż tam głębokich myśli i prawd wielkich wyszło na jaw, ile toczyło się rozpraw praktycznych i żywotnych! Podziwialiśmy z ukontentowaniem i z serdeczną pociechą stanowisko, z jakiego się zapatrywano na stronę gospodarstwa krajowego i te tak dobrze obmyślane środki dla jego ulepszenia. Nic dziwnego zatem, iż z podobnych zjazdów, samych tylko korzyści oczekiwać należy.

Na Litwie głucho i cicho jakby w grobie jakim pod tym względem! nigdzie zejścia się z sobą, nigdzie wzajemnej publicznej narady, ani zamiany myśli, w rzeczach dotyczących gospodarstwa niesłychać. W 1852 roku, w jesieni przy wyborach szlacheckich w Mińsku, na wniosek obywatela tejże gubernii, p. Julijana Łapickiego zawiazaliśmy byli podobne rolniczo-gospodarskie towarzystwo. Wypracowana przez niego ustawa dla tegoż towarzystwa,

której artykuł warował pismo peryodyczne treści gospodarskiej, redagowane przez członków tegoż towarzystwa i drukować się mające w Mińsku, dotąd nieprzyszło do skutku.

Na Litwie wielu z właścicieli ziemskich, o ile wiadomo pojedynczo pracuje i mozoli się nad postępem i ulepszeniami; są nawet gospodarstwa prawdziwie wzorowe pod wszystkimi względami, gdzie i urodzaje ziemskie do wysokiego stopnia są podniesionemi, i część mechaniczna w gospodarstwie na wysokim stopniu postawiona, a wzorowy porządek po wioskach, po lasach i po dalszych nieużywalnych odlogach panuje; przynoszą one niezaprzeczoną korzyść ich właścicielowi, lecz jakież z nich pożytek wypływa dla ogółu? Zaprawdę, wszelkie usiłowania pojedynczego człowieka, nie podtrzymane powagą rządu, ani wyrobione przez starcie się opinii publicznej, rozumnych i doświadczonych gospodarzy, żadnej ofiary korzystnej na ołtarzu dobra publicznego złożyć nie potrafią. Będzie to zawsze jakby ziarno, rzucane na twardą opokę, jakby pożyteczne ziółko, wyrosłe pośrodku kolących chwastów i badylów, które je zagłuszają.

Jestem właścicielem ziemskim na Litwie; zatem gospodarstwo jest specyjalnym i wyłącznym moich zatrudnień przedmiotem; dwadzieścia lat z górą pracuję około roli i około tak zwanego gospodarstwa postępowego; w latach młodszych, w tych, gdzie zapal jeszcze nie stygnie, imaginacja podnosi się do urojenia, a miłość dobra powszechnego przewodniczy pracy, w tych właśnie latach dążyłem całą siłą do tego, aby moje gospodarstwo było wzorowem, i dopiąłem, zdaje się w części mego celu. Dziśaj ludzie uważni i sprawiedliwi, oddają mnie zasłużoną

pochwałę; lecz nim do tego doszedłem, w ciągu lat wielu, przez ileż to żartów, szykan i śmiechów publicznych ludzi mniej rozważnych, a tych jest tak przemagająca liczba, przechodzić mnie przyszło. Każde nowe zaprowadzenie, które wywalczyć trzeba było u rządcy ciemnego, nie pojmującego żadnych innowacyi, ślepo do starłej rutyny przywiązanego, pracującego tylko dla zadosyć uczynienia moim rozkazom, bez żadnej wiary, ani pojęcia o rzeczy; co wymodz przychodziło uporem na ludziach pracujących, co dziko i niechętnie do podobnej pracy przystępowali; każdą szkodę ztąd poniesioną, jako konieczną przy nowej reformie palcem wytykano, szyderstwem i żartami okrywano; bo zeznać winienem i to, że oprócz urządzenia gospodarstwa mego w płodozmian, oprócz ulepszeń widzialnych, jakie mnie się zaprowadzić na korzyść rolnictwa udało; część znaczną czasu, pola i dochodów poświęcałem na same tylko próby. Cokolwiek, nie powiem nauka, bo ta nadto ma powagi, lecz cokolwiek najdziwaczniejszego pisali w książkach, lub po pismach publicznych autorowie, dogadujący usposobieniu chwilowemu ogółu, a przez to szukający rozgłosu; cokolwiek radzili mnie drudzy gospodarze, cokolwiek zasłyszeć się zdarzyło z sekretów, lub tajemnic pospolitego ludu wszystko to wypróbowałem na mojem gospodarstwie. Ja cielęta doilem, bydło Turnypsami karmiłem, morgi gipsowałem, koście na nawoz tłukłem, uluku, co miała zastąpić kartoflę podczas jej psucia się, sadziłem; kapustę olbrzymią z zagranicy sprowadzałem, madiję satywę uprawiałem i z niej olej ciskałem, buraki sadziłem, eukier z nich warzyłem i t. d.; jakby o probierczy kamień, o który się metale ocierają. Wszystkie te próby ocierały się o kieszeń moją i o moje doświadczenie. Wszystkie wydatki, ponoszone na nie, jak nie mniej wynikały z tych prób rezulta-

ta skrupulatnie, wiernie, szczerze w ciągu czynności spisywałem. Zebrało się ztąd nie mało materyałów, które w jedną całość uszykować i ogłosić publicznie dla pożytku moich współbraci zamierzałem, lecz jakoś dotąd nie przyszło jeszcze do tego.

Ubogi może w korzyści, lecz bogaty za to w doświadczenia, dzisiaj, kiedy proszę o kartkę w pańskiej Tece dla moich gospodarskich postrzeżeń, czynię to nie dla tego, iżbym zgrzeszył myślą zuchwałą, żebym pyszny z mego doświadczenia; chciał drugich nauczać, broń mnie Boże od téj zarozumiałości, chcę tylko, aby szkody przezemnie poniesione na czasie i na dochodach, cyframi obliczone i najszczerzej przedstawione, powstrzymać mogły w zapędzie nie jednego młodego ziemialina, gorliwego zwolennika innowacjiów. Wiele i bardzo wiele strat sobie oszczędzi każdy, kto mojemu doświadczeniu z wiarą zaufać zechce.

OFICYALIŚCI.

Jedną, z wielkich podstaw i najdzielniejszą pomocą w gospodarstwie, są dobrzy słudzy, poczciwi i pracowici oficyaliści, na których leży całe wykonanie woli i rozporządzeń właściciela, bo niekażdy z nich chce; drugi zajęty służbą publiczną nie może, inny nareszcie nieumie, niema potrzebnej woli, ochoty, ani znajomości do administrowania; nakoniec jest to obyczajem, upowszechnionym u nas, iż właściciel ziemski nie lubi poświęcać swego czasu, wyłącznie szczegółowo i drobnostkowo swojemu gospodarstwu; nawykły do swobody osobistej, mając tradycyjnie sobie przekazane uczucie życia publicznego, czas swój obracając na wymianę przyjemnych stosunków z sąsiadami i przyjaciółmi, musi zawierzyć sługom i polegać na nich.

Lecz gdzie są ci poczciwi słudzy?

Minęły już te czasy, kiedy sługa ze swym panem przywiązaniem i przyjaźnią złączony, interes pana za swój własny uważał, i tak idąc przez wiele pokoleń po sobie, dziad dziadowi, ojciec ojcu, syn synowi służyli nie przerywając. Był to jeden z pięknych zwyczajów naszego kraju, uświęcony powagą wieków, ugruntowany na pobożności, i na tém uczuciu wzajemnego braterstwa, jakim się Litwa zawsze odznaczała.

Dawny sługa niepatrzył wysoko dla swych dzieci, niewyciągał ich ze swego stanu, niewyprowadzał z szarej kaptoty, w jakiej sam chodził; synów układał do ciężkiej pracy około roli, aby jego kiedyś u pana zastąpić mogli; córki kształcił na wiejskie gospodynie, na poczciwe sługi, lub na pracowite i oszczędne szlacheckie żony. Gdy mu z kolei świat ten porzucić przychodziło, zostawując na nim żonę i małe dziatki, umierał całkiem spokojny, bo bezpieczny o ich przyszłość, albowiem widział, że nie na igraszkę losów ich puszczał, lecz że oddawał w ręce pana, co się niemi zajmie, ich usługi wierne przyjmie i ich przyszłość ustali. Tym sposobem ze sług i panów, tworzyła się jedna rodzina, spojona, zrośnięta z sobą długoletniem zażyciem się, odwiecznem przywyknieniem do siebie i ciągłym odnawianiem wzajemnych między sobą stosunków. W tamtęj dacie niekradł, nieoszukiwał, ani zdradzał sługa pana; niepotrzebował on tego czynić. Zbytkowych potrzeb dzisiejszego świata wówczas nieznano całkiem; a tego co pobierał za swe usługi, aż nadto mu na własne i jego rodziny skromne utrzymanie wystarczało; wiedział on, iż niepo dziennie swemu panu służył, wiedział dobrze, że za łada fantazją, lub za najmniejszym gniewem pana wypędzonym, ani pokrzywdzonym nie zostanie; kochał go też sercem, szanował go całą duszą, w jego wzajemnem przywiązaniu

widział rękojmię swojej przyszłości, swego losu i tej bezpiecznej pozycyi na świecie, o którą się niejeden człowiek nieraz daremnie dobija.

Wzory tego tradycyjnego współnictwa sług z panami, jeszcze zachwyciło nasze pokolenie; jeszcze pamiętamy wszyscy dożywające egzemplarze owych dawnych sług, z których życiem zakończył się i ów typ staroświeckiej prostoty, pobożności i poczciwości. Smiesznymi one i nieznośnymi się wydawały dla młodego pokolenia, bo się nigdy pogodzić z nowymi wyobrażeniami nie mogli. Gdérząc i zrządzając na ulomności i przywary sług nowego pokroju, swój wiek, swoich panów i poczciwość swoją wychwalali. Brakło zaprawdę dawniej starym sługom tej oglady, którą nasza tegoczesna cywilizacya się ehlubi; sługa dawny w prostej, grubej, bachmato uszytej kapocie, lub w wytartej lisiurze, kupionej gdzieś na tandecie, z czupryną niewystrzyżoną, ani nawet uczesaną, w grubych, ówiekami podkutyh butach, stawiał się bez zarumienienia wszędzie, za ledwo na Wielkanoc i na Boże Ciało przywdziewał jakąś lepszą świąteczną kapotę; kiedy dzisiejsi słudzy bez cienkiego surduta, modnie uszytego, lub węgierki, suto naszywanej sznurkami, bez myśli ubliżenia sobie nie odważyliby się przedstawić nikomu.

Dawny sługa, gdy z poszanowaniem niezgrabnie uchylił się, aby uścisnąć stopy swego pana, czynił to z taką prawdą, z tak wielką serdecznością, z takim wylaniem się czei dla swego pana, o jakiej dzisiejsi słudzy pojęcia nawet niemają.

Mówiąc prawdę, i tego zataić niemożna, że się z końcem owej epoki w życiu naszym, przemieniły obyczaje i wymagania socyalne; najstraszniejsza wada tego wieku zbytek, rozszerzając swoje panowanie, dotknął i zaraził tą cho-

robą wszystkie stany. Kiedy panowie, goniący za zbytkownymi potrzebami, wymagać zaczęli od swych sług większej pracy i zbytnich rezultatów, nowy tegoczesny sługa poprzestać już nie mógł na opłacie i wygodach, pobieranych dawniej; każdy z nich, ślubując podobnie duchowi czasu, występował za granicę swojej możliwości, piał się wyżej nad sferę stanowiska, w którym go los postawił, ztąd i dzieciom niegotował on miejsca po sobie, sądząc ich godnymi świetniejszej od jego doli.

Rozporządzenia Rządowe zażądały od każdego szlachcica rangi, którą daje służba publiczna. W to im tylko i graj! cała młodzież, a w jej liczbie wszystkie ekonomskie dzieci rzucili się do służby publicznej. Środek ten trafił wszystkim do smaku—raz, iż przedstawił niejednemu nadzieję świetnej przyszłości, potem, iż służba publiczna jest lżejszym zatrudnieniem, że koło niej piękniej i czystiej się niżli koło roli chodzi, nareszcie, iż często gęsto świeży groszyk przybywał daremnie, drogami, jakie u nas służba publiczna nastrocza.

Córki ich podobnaż idą drogą, miasto wrzeczona i kądziółki, tego skromnego zatrudnienia, któremu się z upodobaniem oddawały staroświeckie dziewczęta, zamiast kształcenia się na dobre ochmistrzynie, na skromne i porządne sługi, na których nam tyle w kraju zbywa, kierowane niby na guwernantki, wychodzą na istne Lafiryndy; przez rodziców oddawane do pensyonu, uczyły się szczególnie po Francuzku i grać na fortepianie. Taka, gdy wróci do domu rodzicielskiego, prężnuje i nudzi; na jakimś rozklepaném brząkadółku, co się klawikordem nazywa, bo na lepszy ojcowi funduszu niestarczy, wygrywa jakieś szyk polki; często, próbując głosu:

— „Siedzę ja sobie pewnego ranka“, lub, „Te brzóz kilka“

Przy owem klepadle piskliwie śpiewa, które papa i mama admirują, ciesząc się, iż edukacya do dziewczyny przystała. To znowu jak istota niepojęta i niezrozumiana z przesadą ubrana z xiążką najczęściej Francuzką i z rozkwitłą gałązką lilaku w rękę, błąka się samotnie po wirydarzach ogrodu, lub siedząc pod cieniem drzewa, wygląda, czyli który z dworskiej młodzieży nieprzybywa ją zabawiać swoją rozmową, jednem słowem, niewprawiona do pożytecznej pracy, wiecznie próżnuje.

Na wszystkie wydatki podobne starczyć powinna biedna głowa ekonoma; niedziw zatem, iż gdy mu pensyi na wszystko za mało; gdzie może, tam skubnie; czego niedoskubie, to jakąś jedną, drugą beczkę zboża u pana wypłacie, wymodli na swych dzieci, których jakby djabeł mu pomagał, u każdego z nich półtuzina, najmniejszą liczbę stanowi.

Na starém sług pokoleniu, przerwał się na Litwie ciąg oficjantów, albowiem, jak przed chwilą rzekłem, w późniejszym czasie, dzieci ich, pogardziwszy powołaniem rodziców, inną już całkiem poszły drogą; niedostatek ich zapelniać u nas poczęli ludzie niefachowi, nieprofesjniści, lecz jacyś amatorowie, bez konduity i charakteru, najczęściej ludzie, których legitymacya szlachecka w obliczu prawa uznana nie została, lub właściciele drobnego kawałka ziemi, należącego do licznej rodziny, co ich wszystkich wykarmić, ani utrzymać niemogła; którym gdy już trudno w nieczynności przeżyć było, rzucali się na służbę prywatną; i tak się zaprowadziła i wyrobiła u nas klasa nowych oficjantów.

Nauka w podobnym oficjancie niejest zbyt obszerna, niedaleko ona sięga; umie on zwykle lada jako czytać, pisać dosyć słabo, tyle tylko, ile mu potrzeba na zapisanie

rejestrów i pańszczyzny, umie zaledwo i to niebezpieczny lek cztery proste działania arytmetyczne. Wiadomości agronomiczne podobnież niesą obszerne u tych ludzi; wiedzą oni iż najpierwsze ziarno, jakie się sieje po zimie, gdy ziemia przeschnie, jest groch i pszenica letnia; że groch, aby go robactwo niejadło, siać trzeba w poniedziałek, piątek i sobotę, dla tego, iż nazwisko tych trzech dni nie zawiera w sobie litery **R**. Pszenicy niesieją w pełni, bo w pełni gdy posiana będzie, kłos w niej nigdy jakoby całkiem niewypłynie; że jęczmień sieje się dwoma nawrotami: pierwszy zaraz z wiosny; drugi na sześć tygodni przed św. Eljaszem, kiedy już żyto wypływa, że i przy siewbie jęczmienia pełni wystrzegać się należy, albowiem i ten, siany w pełnię, kłosów niewyda; że siewbę owsa zaczynać potrzeba na jedenastym tygodniu przed św. Eljaszem, a kończyć ją na siódmym; że się len sieje na św. Helenę; że się pole pod żyto uprawuje pod samą pełnię; nareszcie, że siewba żytnia rozpoczyna się od Przemienienia Pańskiego t. j. od dnia 6-o Sierpnia, a przeciąga się dotąd, aż żyd koł na kuczkę zabije i t. d.

Wielu z nich starszych wiekiem i doświadczeniem, posiada jakieś pewne, a dziwne sekreta i tajemnice gospodarskie, któremi się niebez zazdrości, skąpo, w dowód wielkiej łaski podziela z młodszymi i mniej doświadczonymi od siebie gospodarzami, jak na przykład: przy siewbie konopi uważać zaleca, aby wszystko, co potrzebne do siania, przygotowanem było zawczasie, ażeby siewca niebrał się dnia tego za żadną inną robotę, albowiem, gdy tego warunku niezachowa, konopie, zasiane tą ręką, która inną robotę po siewbie spełniać będzie, nieobejdą nad powierzchnią ziemi, lecz wszystkie w korzenie obrócone, świrdem w ziemię pójdą. Po zasianiu konopi i po ich za-

oraniu, przed wieczorem wyjmuję się żerdź z płotu i kładzie się na nim co najwyżej, co stanowi sekret, iż konopie tak wysoko wyrosną, jak wysoko żerdź została położoną.

To znowu, przy siewbie jęczmienia, pilnie baczyć należy, ażeby pod czas siania nigdzie się w piecach nie paliło; gdy się bowiem to prawidło niezachowa, jęczmień w ziarnie będzie miał czarne główne, znane w zbożu pod nazwą rożków.

Przy siewbie bobu pamiętać każe, ażeby siewca miał żelazo przy sobie; ono bowiem zachować powinno przyszłe ziarno od spalenizny, której ślady zwykle błyskawica na bobie zostawuje.

Po każdym posiewie radzi, aby oracz, skończywszy ostatni zagon, prosto z pola prowadził sochę do rzeki i ją obmył na biejącej wodzie; lub w niedostatku rzeki, w jakiegokolwiek wodzie ją opłukał; czem zabezpieczy niezawodnie obsiane pole od dzikiego owsiucha, gluszącego jarzynne ziarno.

Przy pierwszym wyjściu wiosną z sochą, pilnie baczy tego, ażeby oracz miał przy sobie gromnicę, jako i bochenek okrągły chleba, pozostały od wielkanocnego święconego; po takim rozpoczęciu orki, tak na polu, jako i w dalszym gospodarstwie, wszystko ma pójść w ciąg tego roku okrągło i gładko.

Koście od święconego zakopane do ziemi po czterech końcach pola, strzedz mają urodzaje od gradów.

Gdy się żywioł po raz pierwszy wiosną wyprawuje z obory na paszę, uczy on, aby czuły o całość żywiołu gospodarz obchodził do koła oborę z czterema zamkami w rękę; przed każdą ze czterech ścian obory po jednym zamku na klucz zamykał; poczem te cztery klucze od zamkniętych kłodek, aby na czterech ścianach swojej izby za-

wieszał; po dopełnieniu tej ceremonii, jest wszelka pewność, iż wilk żywiołu z tej obory nigdy nie dotknie.

Gdy się robactwo w żywiole zaprowadzi, i tak się w której sztuce zagnieździ, że żadne leki znane oczyścić ją z niego niemogą; w takim razie szuka on dziko rosnącej na polu dziewanny; tę nachyla ku ziemi, koniec jej przyciska żarstwowanym kamieniem, przyczem wyrzeka jakiegoś tajemniczego zaklęcia, i w chwili, gdy to czyni robaki z chorej sztuki żywiołu, sympatyczną siłą wypędzane mają uciekać, po czem sztuka do zupełnego zdrowia przychodzi.

Gdy trzoda chlewna dziedziniec przed domem poryje, ostrzega aby takowego dla zrównowania bronami, broń Boże, niebronowano, albowiem po tej manipulacji wszystka trzoda wydechnie. Jedynym sposobem ratowania trzody od wyginięcia i to na prędko, po tak nieobaczonym postępku, przez niedoświadczonych gospodarzy spełnionym; jest przeprowadzenie dziedzińca znowu bronami, lecz już obróconemi do góry, t. j. tępym końcem ku ziemi. Tym jedynym sposobem poprawić tylko można szkody, popełnione przez zabronowanie porytego miejsca.

Któż nareszcie wyliczyć potrafi wszystkie gospodarskie sekreta, posiadane przez tych ludzi; oprócz tajemnic z gospodarstwem złączonych. Są jeszcze między podobnemi oficjantami i tacy, którzy się znają na znachorstwie; taki niechętnie i prawie nigdy za życia swoich sekretów innym nieobjawia, albowiem mocno jest przekonany, iż gdy tej nauki drugim udzieli, sam straci własność jej używania; przeto przy śmierci tylko wybranemu i przysposobionemu do tego człowiekowi tę tajemnicę powierza i przekazuje podobnie z warunkiem oprzysiężonym niewyjawiania jej nikomu.

Taki znachor umie słowami jakimiś tajemniczymi za-

trzymać krwotoki różnego rodzaju u ludzi; leczy febrę przez puszczenie na rzekę kilku kawałków drzewa brzoźowego ze stosownem do tego zaklęciem. Leczy przez zamawianie ukończonych od gadziny. Umie on sprawić przykrość myśliwym przez zaczarowanie fuzyj, za pomocą osinowego kolka, zabitego do ziemi. Umie zatrzymać słowami w największym pędzie kamień młyński. Umie obronić krowy od wiedźmy, co przemieniona w rapuchę, jakoby krowę wysysa i mleczność w oborze niszczy. Zna rozryw-trawę, za dotknięciem się której wszelkie żelazo pęka. Posiada tajemnicę dowiedzenia się o skarbach ukrytych; z tą jednak szacowną nauką zawsze goły żyje, a umiera najczęściej w nędzy.

Na tém się zatrzymali ci ludzie, według wyrażenia p. Kraszewskiego użytego w którymś z pism jego, jak owe zegary popsute, które się na pewnej godzinie zatrzymały i dalej pójść niemogą. Żadna myśl postępu do ich przekonania nie trafi; niewierzą oni w żadne ulepszenia gospodarskie, nierozumują, niemyslą ani czytają, ani drugich słuchają, lecz za to wojują oni wszyscy jakimś jednostajnymi axyomatami, w ogólnikach zawartemi, których się jeden od drugiego z upodobaniem uczy; tak na przykład: po ciężkiej i przedłużonej zimie, gdy karmu dla żywiołów w gospodarstwach już niestaje, zaledwo na wiosnę śnieg schodzić zaczyna, a ziemia zmarzła żadnej zielonej trawy wypuścić z siebie nie miała jeszcze czasu, ekonom podobny zamiast zaopatrzenia się wcześniej w karm potrzebny, bydlę wypędza w pole, lub do lasu na wrzosa.

— Cóż ono tam za pokarm znajdzie?

„*At wytrze się i poweseleje*“—ekonom odpowiada, jak gdyby wytarciem się głód zaspokoić i poweseleć można było.

W połowie maja, kiedy przyrodzenie w całej swojej krasie i zieloności, a wegetacja w całej swojej sile, siadł pan na konia, aby objechać poletki; ekonom mu towarzyszy. Żyto było w pęku, gdzie niegdzie kłosy już wyzierać zaczęły; zdało mu się, że ono jest rzadkie, źle obsiane w jesieni.

— „Kiepskie mospanie mamy żyto“—pan rzecze.

— *Nabierze się*—z pewnością odpowiada ekonom.

Szlacheć na dobrą wiarę czeka całe lato, aż się ono niewiedzieć z czego nabierze.

Żyto wypłynęło, odkrasowało, kłosy nalane ciężarem ziarna pochyliły się ku ziemi i słoma już żółknąć zaczyna; znowu pan jedzie około pola, znowu ekonom mu towarzyszy. Żyto rzadkie jak przedtém; wyraźnie, że się nie nabrało jeszcze.

— „Kiepskież, mospanie nasze żyto“—znowu do ekonomu pan rzecze.

— *Co bez czego*—ekonom mu na to pocieszającym tonem mówi.

Nabierze się i co bez czego są to dwa najświetniejsze wyrażenia w mowie oficjantów naszych; w nich oni zamykają całą nadzieję przyszłości gospodarza i całą pociechę, gdy się urodzaj nieudał w jesieni. Jest to najszczytniejszy pomnik lakonicznej wymowy ekonomskiej; jest to jakby owe starożytne Juljusza Cezara: *veni, vidi, vici*!

Przyznać jednak trzeba, że z takimi przywarami słudzy bywają często roztropni, przebiegli i rządni ludzie; choć niezapomina o sobie, przysporzy coś jednak i dla pana, aby miał się czém z nim podzielić, lecz jest klasa oficjantów, tak nazwanych pocziwych, dobroduszných, ludzi, bez najmniejszych nałogów; taki wódki niepije, fajki niepali, tabaki nawet niezażywa, nigdzie się nie zahula, po-

bożny; ciągle Skarb dla duszy, Żywoty śś. lub kantyczkę czyta. W niedołężnym zarządzie takiego czas się marnuje robotnik trze się, robota niepostępuje, opuszczenia w gospodarstwie z każdym dniem się mnożą; gdy ztąd złe następstwa i szkody wynikną, on rzewnie płacze i przysięga, że pocziwie służy, że zawsze ubogi, że nie u pana nie ukradł, gdy tymczasem większe on daleko od tych, co z umiarkowaniem kradną, szkody swemu panu wyrządza, bo większą bez porównania jest krzywdą marnować i tracić dni robocze, które raz stracone, niewrócą więcej; gdy ocenienie ich wartości na gotówkę w ciągu roku jedne do drugich przyliczone, złożą kapitał marnie starty, z którego ani pan, jako właściciel, ani sługa tym funduszem administrujący, ani wyrobnicy, od których się dni robocze należą nie na tém nieskorzystali.

Od takich sług zachowaj Boże każdego!—

Administracya właściciela ziemskiego na Litwie, gdy niekażdemu na utrzymanie porządnego rządcy wystarcza, składa się zwykle z pisarza prowentowego, ekonomów i rachmistrza. Pisarz prowentowy zwykle chłopiec młody, co wiatry goni, niemając wiele doczynienia, bo mu się do szafunku niewiele zwykle od razu powierza, wiecznie roztrzepany, bo jednocześnie zwykle to jakąś miłosną intrygę prowadzi, to bryczkę, ukradkiem sporządza, to fuzję próbuje, czy ona mu dobrze kulami bije do celu, zakreślonego na ścianie najnowszój i najzdrowszój zawsze budowy folwarku, którą psuje potem dłótem, dobywając z niej kulę wpędzoną. Wiezorami przez galanterię przepisuje wiersze dla garderoby pani, lub się zgrywa w karty, gdy okoliczność posłuży po temu. Zagadnięty przez pana o czynność, do służby jego przywiązaną, zawsze się łgarstwem jakoś wykieruje. Oto jest jedyna u nas po mniejszych

administracyach szkoła dla młodych sług. Na próżnowaniu, na kłamstwie i na przypatrywaniu się zblizka nadużyciom ekonoma, kształci się on zwykle w przyszłości na ważniejszego oficjanta; bo gdy się ożeni, postępuje najczęściej z téj posady na ekonomiję, jako zyskowniejsze miejsce, na którym kawał chleba pewny.

Ekonom jest to jakby ten wół zaprzężny, co ciągnie całą machinę; pracuje on od rana do wieczora; ma on na swoim rękę wszystko, co prawdziwe jądro gospodarki stanowi; on się robotnikiem rozporządza, on pola obsiewa, plony zdejmuję, siano kosi i nim przez całą zimę szafuje; nabiał, ptastwo, przedziwo, ogrodowinę, wszystko ma w swoim rękę, z każdego artykułu gdy mu się potrochę okroi, ot i jest czém żonkę przystroić na fest do kościoła, jest czém dzieci schludnie przyodziać i jest co zachować na czarną, jak oni nazywają, godzinę.

Kończy się rok gospodarski. Rachmistrz przez okulary, bo zwykle człowiek nie młody i poważny, co ślepiąc całe życie nad rachunkami oczy stracił, oblicza decessa i szkody; przedstawia je panu. Pan się złości, gniewa, ekonom zabiera się wypędzić. To się dzieje w kwietniu, bo na ś. Jerzy rok się gospodarski zaczyna. Piękne wiosenne słońce osuszyło już ziemię, już się siewba zaczyna; gdzież teraz szukać nowego oficjanta, gdy się robota w polu rozpoczęła. Pan, zagniewany za nadużycia, ekonoma zfuka, połaje, wypędzeniem na przyszłość pogrozi i rok się gospodarski po staremu na nowo zaczyna.

Wypędzić dawnego sługę nie jest rzeczą bezpieczną, bo smutne niestety! doświadczenie tylokrotnie już powtarzane, przekonało nas o téj prawdzie, iż oficjanta z wielkimi nawet przywarami znosić i cierpieć trzeba, albowiem na miejsce tego, co się odprawuje, niezawodnie nastąpi

nowy gorszy z większemi bez porównania wadami; tak dalece strona moralna téj klasy ludzi jest zaniedbaną i zepsutą tutaj od lat wielu. Lecz że niema prawidła bez wyjątku, przeto i u nas znajdują się niekiedy oficjanci dobrzy i poczciwi. Sługa dobry i poczciwy stanowi wprawdzie bardzo wielką wyjątkową rzadkość; ten nie jest do wzięcia; zwykle on miejsca nie odmienia, bo go całą siłą pan któremu służy utrzymywać usiłuje, on zaś do miejsca i pana przytyka.

I to jeszcze należy do błędów i słabości naszych, któremi powiększamy to zło i tak już ażnadtó z siebie wielkie, że oficjanci niezdolnemu, którego wypędzamy po prostu z naszej administracyi, przez litość jakąś nad jego dziećmi, dajemy dobre świadectwo o służbie jego, którem on zaopatrzony, na wiarę podpisu, łatwo miejsce dostaje i drugich kolejno zawodzi.

Cały ten porządek służby gospodarskiej zwiechnięty, wykoszlawiony, idzie u nas krzywo i niepraktycznie; ztąd też i wypadki ogólnie nie odpowiadają oczekiwaniom i nie prowadzą porządku do wielkiego celu ekonomii politycznej, którego zagadnieniem jest bogactwo krajowe. Jeżeli skarżemy się na ten stan moralnego odrętwienia w kraju naszym, który przebywaliśmy tak długo w oczekiwaniu szczęśliwszej przyszłości, na to rozprężenie się ducha i na ten upadek moralności, którego przykłady tak przemożnie szerszące się po kraju widzimy codziennie, a którego objawy towarzyszą zawsze każdej narodowości, upadłej politycznie, i temu przyczynę zła przypisać usiłujemy; jeżeli obwiniamy ustawy krajowe o to, iż one się do tego zła tak przemożnie przyczyniły: uderzmy się także w piersi i przyjmijmy znaczną część winy na siebie. Wszelkie przykłady złego i dobrego idą zawsze z góry. Gdyby nie ta indo-

lencya i ta abnegacya nasza, co nam odejmując ochotę do osobistej pracy, doprowadza do ślepego spuszczenia się na sługi, oficjanci, czujący nad sobą ciągle oko pana, inaczej by się sprawowali; żeby nie to przywyknienie, nie to niewolnicze poddanie się nasze wygodom zbyt kownym, co ciało rozpieszcza, których zaopatrzenie przechodzi nie raz możność człowieka, a ich nabywanie z ostatków, rzucając jadowite ziarno złego przykładu zaraża niemi i służebną klasę, wyradza u nich pierwszy zarodek niemoralności, który przy złém usposobieniu religijném i moralném w téj klasie tak szybko się rozwija; gdyby na ostatku nie ta pobłażliwość zbyt, równająca się słabości, na wady sług naszych, nakoniec, żeby nie ta litość niepotrzebna nad winnym: klasa sług naszych, tak przez nas związana i obwarowana, jeżeli nie przez zasady, tedy początkowie z potrzeby musiała, by się stać pracowitą, usługową i dobrą, które to przymioty, z razu przez potrzebę poczęte i powtarzane, mogłyby się z czasem zamienić w zwyczaj i przechodząc z pokolenia na pokolenie, przez przywyknienie stać się cnotą, dającą prawdziwą wartość téj klasie ludzi, której im dzisiaj nie dostaje.

Każda rzecz w przyrodzeniu ma sobie wskazane pewne drogi i zakresloną porę, do której wzrasta i wypełnia zakres swojej działalności; dla czegożby gospodarstwo Litewskie nie miało ulegać temu ogólnemu prawidłu? Owoż gdy stan podobnego nieporządku w gospodarstwach naszych na Litwie, coraz się wypełniał i dochodził do swej dojrzałości. Poczucie potrzeby ulepszeń przez zaprowadzenie rozumowanych gospodarstw, stało się uczuciem powszechniejszém, a tak wydatną i konieczną już potrzebą; lecz brakło nam zawsze na środkach uskutecznienia téj dążności; bo brakło nam ciągle dobrych sług i oficjantów,

na których jedynie spoczywa wykonanie tego dzieła. Kiedyśmy nad tą smutną alternatą rozmyślali, nowa całkiem klęska dla gospodarstwa naszego znać przeznaczoną była; Bogu dzięki, iż nie długo ona trwała; przechodnie tylko mając istnienie, nie zostawiła po sobie zbyt wielkich śladów zniszczenia w gospodarstwie krajowem.

Oto znalazła się w Warszawie jakaś klasa ludzi, próżniaków, ludzi straconych, żyjących bez jutra, przemysłowców szkodliwych, jakaś tężyzna nowego rodzaju, co gdy po jarmarkach hulając, grając w karty, potraciła resztki swojego funduszu i znalazła się bez sposobu do życia na brukach Warszawy, musiała się chwycić jakichś środków utrzymania siebie i rodziny swojej; to znowu jakichś ekonomków niedouczonej i całkiem niezdolnej, którzy w gospodarstwach koronnych pod bystrym okiem i żelazną ręką tamecznych prawdziwych i dzielnych administratorów, gdy wytrzymać ciężkich prób pracy i umiejętności nie mogli, a bez téj chleba darmo niedostali, postanowili zostać agromami i jechać na dziką i ciemną, jak ją nazywali Litwę aby ją oświecać i urządzić. Owa ciemna i dzika Litwa dobrodusznie, z pełną wiarą i z właściwą sobie gościnnością przyjęła tę zgraję dobrodziejów swoich. Oprócz pojedynczo tam i ówdzie przybywających, znalazła się jedna z administracyj możnego bardzo pana, gdzie do zarządu obszernych dóbr jego, po gubernii Mińskiej położonych, gdy miejscowi oficyaliści niedogodnemi być mu się wydali, w zamianę przywożono kilką nawrótami z Warszawy sług podobnych furami, lecz co do słowa furami; żaden się z nich nie nazywał po naszemu rachmistrzem, ekonomem, ani pisarzem; lecz były to transporta samych administratorów, agronomów, lustratorów, kontrolerów, którzy się ztąd, bo ich prędko jednego po drugim wyprawia-

no, po okolicy rozeszli się, roznosząc naukę i światło, z jakim przyjechali, po mniejszych gospodarstwach naszych.

Mój Boże! co też to za dziwny i drapieżny jakiś gatunek był ludzi; wyobrazić sobie nie podobna z jaką zarozumiała furfanteryą wpadali oni pośród nas cichych i skromnych mieszkańców, skromnej spokojnej prowineyi naszej; z jaką odwagą bezprzykładną, której gdyby użyli w dziełach wojennych, każdyby z nich mógł być bohaterem. Rzucali się i decydowali o gospodarstwach i kraju, który pierwszy raz widzą; bez najmniejszego zapoznania się z miejscowością, bez potrzebnego zgłębienia naszej gleby, naszej Aury, bez poznania wszelkich okoliczności, wynikłych z tego wielkiego węzła, jakim jest społeczność nasza. A tak potężny i tak wybitny związek mających z naszą obyczajnością; niewiedząc prawdziwie od czego tu począć wypada, dzieło reformy rozpoczynali od hałaśliwego ganienia wszystkiego, co nasze. Najprzód z góry znajdowali, iż gleba Litewska jest zimną, że ma grunta sępowate, nieurodzajne, bez próchnicy. Ten nie wiedzieć dla czego znajdował, że tylko na ziemi Litewskiej nic innego, jak buraki sadzić wypada, a cukrowarstwo jedno, co tylko Litwę podnieść może i na głowę radził, aby cukiernię zakładać; drugi mówił, że drenowanie dla Litwy jest jedynym środkiem, i co prędzej gliniane rury do tego obstałował.

Inny widząc lasy obszerne, radził zakładać huty szklanne; z największą effronterią uczył i podawał sposoby, jak korzystnie wyrabiać drzewo na makszty i szpyry o nazwisku których, pierwszy raz tutaj zaledwo zasłyszał; zuchwale poprawiał i dyrygował paleniem smoły, operacją tak zwyczajną u nas, którą on po raz pierwszy w życiu swoim widział, którą każdy prosty człowiek tutaj

praktycznie najwyborniej prowadzi, a której nieumiejętne dozorowanie co chwila właściciela o szkodę przyprawić może. Radził zaprowadzić żeglugę parową po naszych rzekach, albowiem utrzymywał, że na Litwie tylko mechaniczną gospodarkę z forszą prowadzić można, co nie obiecuje właścicielom wielkich korzyści, kiedy handel na rzekach jedynie tylko wzbogacić może.

Inny, widząc rudawkę, powszechną tu po sianożęciach, powierzchownie, wyliczał na krocie korzyści, jakieby żelazo dać tutaj powinno i fabryki żelaza co najprędzej zakładać radzi.

Ten fornalki sprząga i wazy od Lilpopa sprowadza; tamten plugi od Szejnklera wypisuje i przez taką orkę, przewracając warstwę wierzchnią ziemi, na polach naszych urodzajność niszczy; wszyscy nam imponować usiłują przez wyrazy, nazwiska, które sami machinalnie cytują jak np. plodozmian, rotacja, kapilarność, sochy systematu p. Dambala i t. p.; imponować nam usiłują, przez podwójną buchalteryę, o której zaledwo sami slyszeli, znając ją tylko z nazwiska, a której cała wartość leżała u nich jakiesmy się przekonali jedynie na czerwonym atramencie; zaprowadzają xięgi rygowane czerwonym atramentem; czerwone w nich cyfry stawiają, lecz bilansu żaden, śmiało to rzecz można, do końca nie sprowadził, bo gdy się nieumiejętny rachunku pojedynczego, a gdzież tam podwójnego, w cyfrach splątał; ani sam wiedział, co robi, ani właściciel doszedł gdzie się co podziało. Każdy z tych ichmościów widział zapewne, że się tak w porządnym gospodarstwach w królestwie dzieje, lecz niezgo nie umiał gruntownie; wszystko u nich było powierzchowne, okraszone tylko słowami; wszystko leżało na pozorach, nie miało najmniejszej wartości, choć wszyscy wołali jednogłośnie:

— »Proszę Pana! jaki też to kraj jest dziki i ciemny; tu żadnego gospodarstwa nie znachodzimy; gdybyśmy jeszcze o lat kilka później tutaj przyjechali, to, proszę Pana! jużby dobra tutejsze żadnej wartości nie miały.»

Mylą się i grubo mylą się wszyscy ci, którym się zdaje, iż na Litwie gospodarstwo nie było rozumowaniem nigdy. Musiało ono być w swojej dacie i mądrze obmyślane i trafnie, a praktycznie zastosowane do miejscowości, do słońca i gleby tutejszej, kiedy po dostatniem wyżywieniu mieszkańców tego kraju, po okarmieniu nieraz nieproszonych w kraju gości, po utrzymaniu dostatniem, oporządzeniu i sutem zaopatrzeniu rozmaitych jakichś przybłędów, którzy Litwę bez końca w znacznej liczbie nawiedzają, było czém jeszcze karmić głodnych za granicą. Niemen i Dźwina po grzbiecie swoim niosąc corocznie zbywające od potrzeby płody kraju naszego przez Królewiec i Rygę, rozdzielają takowe pomiędzy obce kraje. Prawda, że bławatów i wina kraj nasz nie wydaje; daktyle, pomarańcze, ani banany w nim nie rosną; lecz ileż w zamian za to skromnych wprawdzie, a tak zdrowiu ludzkiemu pożytecznych, tak nieocenionych dla konieczności i dla wygod życia naszego płodów, ta pocziwa i kochana nasza Litewska ziemia rodzi? Oprócz chleba, którym się człek codziennie żywi, oprócz dostatku wybornego mięsa, jakie nam pastwiska nasze wykarmiają; mamy własne płótna, sukna na odzienie, skury na obuwie, żelazo na rolnicze sprzęty; dziki zwierz, którego Litewskie lasy są jeszcze pełne, dostarcza nam futra na zimę, dostatek drzewa ciepło w domach utrzymuje. Z żyta robimy gorzałkę, którą długie lata do wysokiej wartości podnoszą, jeźmieni daje piwko, a pracowita pszczołka miodek składa,

z którego warzemy sobie świąteczny napój, zdrowszy i smaczniejszy od wszystkich win na świecie.

Czyliż mając tyle darów przyrodzenia, tyle owoców pracy naszej, znajdziemy jeszcze cośkolwiek do zazdrośczenia obcym? czyż widząc taki szereg wygod dla życia wynikły z gospodarstwa, a bezprzestannie się powtarzający i spokojnie, swobodnie, bez najmniejszego wysiłku i wyczerpania porządnie wiążący się z sobą; ktokolwiek z rozważnych i myślących ludzi odważy się powiedzieć, że to jest kraj dziki i ciemny, że w nim śladów nie ma żadnej gospodarki. O nie! przywilej ten zaprawdę zostawionym został jednym tylko owym nowoczesnym agronomom, o których jest mowa, którzy bez najmniejszego zapasu nauki i usposobienia na ową ciemną i dziką Litwę się rzucili w nadziei, że jako ciemna, na nich się nie pozna, a wśród niej będą mogli oni pędzić życie wygodne i opłacać grubo Litewskimi pieniędzmi niby swoją naukę.

Rozpoczęło się więc marzone przez nich żniwo; wszyscy dostali u nas w mniejszych czy większych administracyjach bądź miejsca, bądź zarząd. Każdy z tych młodych ekonomków, który maximum za 200 złotych rocznie i kawałek skromnej strawy musiał u siebie pod dyktando ciężącego nad sobą rzadcy pracować, jak wyrobnik jaki od wschodu do zachodu słońca, gdy brał się do zarządu dóbr na Litwie, kazał sobie płacić po rubli kilkaset rocznie, rozkazy do ekonomii wydawał z gabinetu z cygarem w ustach; do południa ze szlafroka nie wylazł, bo mu ranek cały zabierała herbata; o południu jadł śniadanie, potem, ubrany w eleganckie długie lakierowane buty, w które wszyscy jakby na jeden model jednostajnie przybrani, przybywali nam z Warszawy; przechodził się, lub przejechał się trochę i wracał o drugiej na

obiad do domu; poczem znówu cygarko, znówu odpoczynek; dzień się kończył najczęściej na partyjce preferansa, do którego miewał sobie zaproszonych bądź sąsiadów, bądź kolegów swoich. Zagadnięty o to, z zuchwałością odpowiadał:

— A jużcić, proszę Pana, po pracy odpocząć potrzeba, myśmy, proszę Pana, w Królestwie do tego przywykli.

Po preferansie i wieczerzy rozpoczynały się zwykle orgije różnego rodzaju, które im dawała władza nad niewolniczym ludem; co dni kilka sługa taki na fornalkach Pańskich, sprzężonych dla folwarku do pracy w gospodarstwie wyjeżdżał w odwiedzinach do sąsiadów, bo też tyłoby wcale niegrzecznie nie odwiedzać ich nawzajem, bez czego stosunki sąsiedzkie ostygnać i ustać by mogły. Kilka razy do roku też fornalka woziła pana Administratora do pobliskiego miasteczka na publiczne zabawy, gdzie się on uprzejmością i szczerem traktowaniem swoich przyjaciół, swoich znajomych i nieznajomych nawet odznaczał, a zręcznością w tańcu nad innych popisywał. W mazurze dzielny, w obertacie nieporównany, zmęczony kilkadniowym tańcem, zgrany w karty z zaciągniętym długiem w kramach, gdzie na konto swego pryneypała brał rzeczy, niezbędne do życia jego potrzebne, jak wino, rom, cukier, herbatę, cygarę, kawior, śledzie holenderskie, sér szwajcarski i t. d., wracał odpoczywać do domu.

Starsi od tamtych doświadczeniem, uzbieranem na bruku Warszawy, to jest owa tężyzna, wymowniejsi od pierwszych, lepiej od tamtych umiejący władać językiem, o wiele od nich zuchwalsi i niebezpieczniejsi, nie jednego z nas, chciwych postępu w gospodarstwie swoją mową zdurzyli i pozorami prawdy do kosztownych doświadczeń po-

ciągnęli; przyjeżdżali oni do nas z żonami i liczną rodziną zwykle na wyższe posady; ich pensye na tysiące się obliczały; utrzymanie, wymagania i kaprysy kosztowały rocznie drugie tyle; żaden z tych panów nie zeznał pokornie, iż przyjeżdża na Litwę szukać i pracować na kawałek chleba, którego w Królestwie nie znalazł, lecz każdy z nich, jakby nam łaskę swoim przybyciem czyniąc, lekko i pogardliwie mawiał: iż wyjechał z Królestwa jedynie dla poznania Litwy, dla spraktykowania umiejętności swoich, a każdy z nich zostawił bądź dom w Busku, pod zarządem działka, bądź niedzielone dobra w Sandomierskiem, administrowane przez ojca, lub brata, bądź kapitał w Warszawie, którym brat obraca, czyniąc bankierskie operacye. Każdy z tych rządców na wszelką, aby najdrobniejszą przejażdżkę w interesie swego pryneypała, czy potrzebnie, czyli niepotrzebnie się ruszał, likwidował sobie dyety, jakieś koszta podróży, komunikował się ze wszystkimi przez sztafety; inaczej się nie ruszał, jak dużym pojazdem i to pocztą rozrzucając hojnie pieniądze po drodze. Słowem: każdy bez rachunku, najczęściej dla własnej fantazyi przy czyniał się bez miłosierdzia do wydatku Pańskiego.

Wszyscy oni bez wyjątku w powierzonych sobie administracyi prawdziwie mówiąc, nie wiedzieli, od czego mieli rozpocząć czynność swoją; żaden z nich nie rozumiał, i aby zrozumieć nie zadał sobie pracy, co mianowicie było główną podstawą gospodarstwa, i w jaki sposób skutecznie miał się tém rozporządzić. Każdy, nie znający miejscowości, ani zwyczajów gospodarskich, uświęconych doświadczeniem nabytém przez długie lata, bez poradenia się z ludźmi miejscowemi, z mieszkańcami tego kraju, zarozumiale i z uporem wydawał rozkazy jakieś dziwaczne i wsteczne potrzebie miejscowej, niechający pomyśleć i za-

stanowić się nad tém iż co jest dobrém w Poznańskiem, w Sandomierskiem, lub Krakowskiem, niestosowne i złe a nawet i zgubne być może u nas.

Każden z nich wszystko umiał; nie mu obcém nie było; na wszelki zarzut właściciela, lub na zapytanie ciekawego, każdy z tych panów miał zawsze odpowiedź gotową, i to w tak szumnych wyrazach, z jakąś nieznajomą nam cytacyą, a z tak pewnym siebie tonem wyrzeczoną, że choć pytającego nieraz może nieprzekonał, ani zadowolnił, repliki jednak na nią mu zabrakło. Przyjmując zarząd dóbr, taki administrator z góry zwykle krocie dochodów panu swemu obiecywał, co wszystkim nam bardzo do smaku przypadło. Na jawne bezsensa w rozporządzeniach gospodarskich, zawsze się znalazła u niego przyczyna, i gdy po zamknięciu prac rocznych, majątek w zarząd takiemu panu powierzony, pozornie administrowany, nietylko że intrat zwyczajnych nie dał, lecz się w gospodarskiej swój sile nadwątlony i zwichnięty o wiele nazad cofnął a przez to i rządcę posadę stracić musiał,—ex-rządcę, wyliczając patetycznie przysługi, jakie wyswiadczał dla gospodarstwa dobra te w szacunkowej ich wartości znacznie podniósł, kończył zawsze tą skargą, iż w tym dzikim i ciemnym kraju naukę i pracę jego ocenić dostatecznie niepotrafiono.

Nieładną satyrę ja tutaj pisać przedsięwzię, ani też zamierzam przez wymyślone jakieś złośliwe nieprawdy uwłaczać ludziom, do nas przybyłym: bo ani satyra, a mniej jeszcze paszkwil, ani złośliwe ukąszenie nie jest mojem upodobaniem. Przejszcia wszakże tego przemilczeć nie powinien żaden, ktokolwiek pisze o gospodarstwie na Litwie i ja go tutaj zapisuję, jako ciekawy okres historyczny, jako charakterystyczną fazę w dziejach gospodarstwa na

Litwie. Zacytuje tutaj szczegółowo niektóre gospodarskie rozporządzenia tych panów, abym dotykałniej przekonał każdego, kto moje gospodarskie sprawozdanie przeczytać raczy, o ile one były nietrafne, szkodliwymi dla właściciela i jak małych zdolności i niskiego usposobienia byli ci ludzie, którzy z taką zuchwałością, na nasz kraj i na oświecanie nas samych się odważyli. Niepodobnym do prawdy zda się niemal wszystko, co tu wypiszę; lecz przyjmuję na siebie odpowiedzialność za każde wyrzeczone słowo, i jeśli tego kiedy potrzeba wypadła, potrafię zacytować miejsce i nazwiska osób.

I tak na przykład:

Rządca niemałych dóbr, położonych w mojem sąsiedztwie wśród lasów tak dalece, że z dworu najbliższej wioski za lasem niewiadać, że na każde przyrobienie morga do poletku, zwać jodły, sosny i wydzierać pasieki przychodziło,—w takich dobrach sprowadzony z Poznańskiego rządca lasy corocznie zasiewał, pańszczyznę szyszek sosnowe zbierał, te suszył w suszarniach, umyślnie na ten cel pobudowanych i z nich na intratę swemu panu sosnowe nasienie wytrząsał. Że zawsze szanowałem naukę w każdym człowieku, zawsze wierzyłem w potrzebę postępu gospodarki i od każdego rad byłem czegoś pożytecznego nauczyć się, po upływie roku odwiedziłem nowego gospodarza w celu obejrzenia gospodarki nowo-organizowanej przez niego; oprócz pól, urządzonych w płodozmian i podzielonych na liczne zmiany, które były pożyteczną czynnością, oprócz podziału lasów na sekcy, które znamionując porządek w gospodarstwie leśnem zabezpieczać miało jego ciągle odradzanie się, szczególnie mi się chwalił suszarnią, którą wystawił dla suszenia szyszek sosnowych.

— „Oto pochwałę się panu, że w tym roku na intratę dla mojego *chrabi* będę miał ze *siedem* beczek sosnowego nasienia“—

— I któż u pana to nasienie kupi w okolicy tak leśnej, gdzie się sosna sama co roku zasiewa?—

— „Cho! proszę pana!—wykrzyknie z nieukontentowaniem rządca,—jeżeli w tym kraju dzikim i ciemnym kupca nieznajdę, toć przecie powiozę mój towar do Królewca, gdzie mnie go zapłacą“—

Tenże sam agronom nauczał mnie doić roczne cielęta, o czém powiem szczegółowie, gdy będzie mowa o chowie bydła.

W innych znowu dobrach, zawsze w mojem sąsiedztwie położonych, podobny rządca sprzęgał fornalki i koniczyne zasiewał. Wozy gospodarskie, sprowadzone od Lilpopa z Warszawy kosztowały po 110 rubli każdy; do tego cztery konie z zaprzęgiem—rubli sr. 240; tak złożona każda fornalka kosztowała właściciela 350 rubli sr.; przez oszczędność w robocie i przez jej pośpiech stosunkowo do roboty naszych włościan, miała właścicielowi dóbr przynieść niezwykajne podług obliczenia rządcy korzyści. Pożniwie, przy zwożeniu krestencyj z pola, nakładając on na taką fornalkę cztery kopy snopow—

— „No proszę pana!—wołał—,tak u nas w Królestwie wozą; kiedy tym czasem obok włościański wozek, ciągnięty przez włościańskiego Litewskiego konia, wartości rubli dwudziestu cicho, wiozł do tejże stodoły kopę snopow.“

Każden łatwo obliczy, iż skromny kapitał nakładowy rubli 80 na cztery włościańskie konie wydany, dawał właścicielowi też samą korzyść, co cztery razy z górą więcej szumnie przez administratora postępowego użytych. Jeden

tylko rządca znajdował zawsze jakieś argumenta na pochwałę wyższości swego zaprowadzenia.

To znowu, gdy zasiał w zmianie parę morgów koniczy, przed wszystkimi się chwalił, iż tak u nich w Królestwie gospodarzą. Na zdjęcie téj koniczy, której zbierać praktycznie nieumiał, marnował i tracił powierzonego do swego szafunku robotnika; w rezultacie zaś wypadła jedynie ta korzyść dla właściciela, iż za wozów dwadzieścia suchéj koniczy trzydzieści z górą morgów sianozęci nieskoszonych zostało. Rządca, popisując się z tém nowém ulepszeniem w powierzonym sobie gospodarstwie, przez uprawę koniczy liczył już przed drugimi podniesioną dóbr tych szacunkową wartość, choć dziedzie od pół zimy siano kupował.

Inny znowu rozpoczął zawód prac administracyjnych od zrzucania w folwarkach przepłotów. „Przepłoty, mówił on, to barbarzyństwo; tego u nas w Królestwie już nigdzie niema”—i dalej, bez uwagi, iż słońce tutaj jesienne przy zbiorach niezawsze ma tyle ciepła aby dostatecznie wysuszyć snopy na polu, krestencyę składał do gumna, która gdy się sparzyła, ani z ziarna, ani ze słomy właściciel nie miał korzyści.

Każden się z tych panów z góry popisywał zwykle przed nami z jakąś erudycją gospodarską, lub z jakąś nowością, nam, jak się jemu zdawało, nieznaną, którą jako nader pożyteczną wnet zaprowadzić obiecywał. Tak pamiętam, iż jeden z tych przybyszów, wychwalając sposób karmienia bydła w Królestwie miał podobny tamtemu, a całkiem, jak mniemał tutaj nieznany zaprowadzić w powierzonej sobie administracji.

— „U nas, w Królestwie,—mówił on z powagą, która jak mu się zdawało, że na nas słuchających wielkie spra-

wia wrażenie;—jest sposób bardzo przyjęty dobrego opasu inwentarza, którego tutaj nieznają; oto—robi się trojanka: bierze się, proszę pana, pewna część słomy żytniej, także jarzynnej i siana, i za pomocą maszyny, choć prawdę mówiąc niejest to machina, lecz narzędzie, upowszechnione u nas w Królestwie; nazywa się ono widły, i (rozdwijając przed nami słuchającymi palcy, przedstawiając figurę tego nieznanego na Litwie narzędzia) tém narzędziem, mówił dalej—trojanka się z sobą miesza; jest to bardzo dobry i pewny sposób utrzymania inwentarza.

Drugi, którego wyłącznym fachem, jak sam o sobie powiadał, była znajomość utrzymania żywiołu w dobrém zdrowiu, nauczał, iż aby owce zabezpieczyć od chorób często dotykających ten żywioł, trzeba im świdrować dziury z góry w nosie i zapuszczać pewne lekarstwo, którego tutaj zrobić niemożna, albowiem w tym dzikim kraju, niepodobna dostać potrzebnych do tego ingrediencyj, które tylko w Warszawie znajdują się.

Nareszcie—jako fakt biegłości w rachunkach, niemożę niezapisać tutaj zdarzenia następnego, na które patrzałem zblizka. W téjże administracji możnego pana, o której wspomnieliśmy z góry, do której to furami zwożono administratorów, przy przejrzeniu miesięcznych rachunków domowego expensu, ponoszonego na utrzymanie oficjantów, główny pełnomocnik zarządu, człowiek miejscowy, gdy postrzegł, iż na mięso wyexpensowano 80 rubli w ciągu miesiąca, pozycyła ta w rachunku niezwykajna, uderzyła go wielkością cyfry; rozkazał przedstawić sobie szczegółową o tém wiadomość. Przedstawiono ją. Zagadnienie to było, jak zaraz zobaczymy, zawikłane i formuła rachunkowa arcy-trudna. Oto znalazł główny rządca, iż wyszło na kuchnię mięsa cztery pudy, którego funt pla-

cono po kopiejek 4, co uczyniło podług podwójnej buhalteri o w y c h biegłych w rachunku kontrolerów rubli sr. 80. Z rozkazu głównego pełnomocnika nad sprostowaniem tego tak zawiłego rachunku, dwaj kontrolerowie trzy dni pracowali; kilka wyprowadzili rozmaitych rezultatów, których liczby znacznie różniły się między sobą; naostatek gdy niemogli sami trafić do końca, miejscowy, ciemny, dzikiego kraju pisarz, nieznający wyższego rachunku—wezwany, poprostu to trudne dla nich zagadnienie w jednej chwili rozwiązał.

Takiego poglądu na rzeczy w gospodarstwie i tak niskich zdolności z małym bardzo wyjątkiem byli ci ludzie, którzy tak zuchwale z taką śmiałością przybywali na Litwę dla jej oświecania i dla wprowadzenia w niej ulepszonego gospodarstwa. Szczęściem, iż niedługo trwał u nas stan taki rzeczy; nadto widzialną była ich nieudolność i ignorancja, ażeby się na niej niepoznać można było do razu; nadto zuchwale i otwarcie rozpoczęli bałamuctwo, gdyby się na niem prędko obejrzyć niemożna było. Każdy z nich w zarządzie sobie powierzonym, rutynę starą naszego gospodarstwa od wieków istniejącą, co nam przyzwyczajony dochód od ziemi naszej wyręczała, od razu popsuł, szkód właścicielowi przyczynił, i byliby całkiem zrujnowali nasze fortuny, gdyby im czas na to potrzebny dano.

Wyzwoliło się nareszcie Litewskie gospodarstwo od tej opieki nad sobą; porządek przez tych rządców zwieczniony i przewrócony, powoli poprawiać się zaczął; trzeba było znowu wrócić do sług miejscowych i nimi się kontentować; lecz po tej strasznnej próbie, jakże przyszłość nasza pod tym względem zachwiana i rozezarowana została! Spękały się od razu te piękne nadzieje ulepszeń w gospodarstwie naszym przez przybyszów szumnie obiecywa-

ne i pięknymi słowy opowiadane, do których, gdy nam brakło na własnych naszych zasobach, chętnie przyłgnęliśmy z tak wielką wiarą. Przyszła pomyślność w gospodarstwach naszych leży dzisiaj jedynie na opiece rządu, na tej nadziei, iż rząd nasz dzisiejszy, zwracając swoją uwagę na wszystko, co jest pożytecznem, tę gałąź bogactwa narodowego poprawi, i zapełni ten niedostatek dobrych oficyantów przez zakładanie po kraju, najmnieję po jednej w każdej gubernii, szkół agronomicznych, w którychby ludzie fachowi i praktyczni wykładali naukę gospodarstwa wiejskiego, nie teoretycznie tylko, jako spełnienie formy dla zadosyć uczynienia najczęściej rozkazowi, jak się u nas dotąd działo, lecz wykładali ją szczerze, serdecznie, z gruntowną znajomością przedmiotu, z zastosowaniem tej nauki do potrzeby kraju i jego mieszkańców. Oto nam prosić u Rządu przy dzisiejszej reformie społecznej koniecznie potrzeba: w tenczasby się mogła zmienić postać rzeczy na Litwie; każda szkoła podobnie kierowana, dostarczałaby ludzi pożytecznych, którymi obsadzone gospodarstwa nasze, wprędce zapowiadać by mogły ową pomyślność ogólną krajową, do spełnienia której każdy rząd ojcowski i mądry, wspierany zaufaniem, dobrą wiarą i współdziałaniem narodu, dążyć powinien.

W pomoc Rządowi w imię dobra publicznego, w imię tej wielkiej idei, jaką jest we wszystkich narodowościach miłość własnego kraju, możniejsi panowie na Litwie, ci, których obszerniejsze dobra lepiej i dzielniej od innych są administrowanemi, powinni by rozciągnąć swoją opiekę nad dziećmi ubogiej zagonowej szlachty, po kilku, kilkunastu, lub kilkudziesięciu takich stosownie do możliwości nad komplet w administracyach swoich utrzymywać i tych w prawidłach moralności i poczciwości kształcić na przy-

szłych rządów i oficyantów dla mniejszych gospodarstw po kraju. Byłby to najpiękniej użyty i wydatkowany kapitał; byłby to dług Chrześcijański świetnie wypłacony krajowi i braciom, najszczytniejszy pomnik, wzniesiony tej wielkiej myśli i tym świętym uczuciom miłości dla rodzinnej ziemi, która we wszystkich krajach jednostajnem mianem patriotyzmu się nazywa.

DO REDAKCYI „TEKI WILEŃSKIEJ”.

W numerze 2 Teki Wileńskiej z roku 1857, na karcie 250, w artykule p. t. „Wiadomość o Rzymsko-Katolickich kościołach w diecezji Wileńskiej”, przywiedziono nagrobek w kościele xięży Misyonarzy Wileńskich Wincetemu Gosiewskiemu hetmanowi pol. Lit. przez jego małżonkę Magdalенę, jakoby, z *Kondrackich* wystawiony. Podanie familijne stwierdza Atlas historyczno-genealogiczny Reginy Korzeniowskiej, że małżonką hetmana Gosiewskiego była Magdalena *Konopacka*, która owdowiawszy po nim, weszła w powtórny związek małżenski z Karolem xięciem Czartoryskim z linii Koreckiej: wnoszą przeto, że zatarty napis nagrobkowy mylnie wyczytano.

Jeżeli prawda wyjaśni się dosłedzeniem owego zatarcia napisu, prosilibym, jeśli to być może, aby w jednym z następnych numerów „Teki Wileńskiej”, sprostowanie tej omyłki mogło znaleźć miejsce (1).

Szymon Konopacki.

Dnia 14 czerwca 1858 r.
Ławrynowce.

(1) Małżonką Gosiewskiego rzeczywiście była Magdalena Konopacka.

OGŁOSZENIE

KONKURSU DO NAPISANIA HISTORII WŁOŚCIAN I STOSUNKÓW EKONOMICZNYCH W DAWNEJ POLSCE.

(Od Poznańskiego towarzystwa Przyjaciół nauk.)

Historia stosunków włościańskich, zawsze i wszędzie tyle ważna dla dziejopisów i statystów, szczególnie jest dziś pożądaną w piśmiennictwie naszym dla ogromnej wagi, jakiej nabrał rozwój tych stosunków w krajach Polskich: nikt bowiem w obecnym położeniu jasno i gruntownie rozpatrzeć się niezdolny, kto się dokładnie z przeszłością niezapozna; a z dziejowej przeszłości naszej znana nam była dotąd, niemal wyłącznie, historia jednego tylko, panującego niegdyś stanu w narodzie. Bez tej wszechstronnej znajomości minionych czasów nikt też o przyszłych kolejach dziejowych dojrzałego sądu utworzyć sobie niejest w stanie, bo wszelki rozwój organiczny od przeszłości nieodłączny, i wśród największych nawet przeobrażeń, na niej się opiera. Temi powodowany względami wyznaczył w roku zeszłym pierwotny prezes Poznańskiego towarzystwa przyjaciół nauk, pan hrabia August Cieszkowski, nagrodę 1000 talarów za najlepszą *Historię włościan i stosunków ekonomicznych w dawnej Polsce*, naszemu zlecając towarzystwu napisanie odpowiedniego konkursu i przysądzenie naznaczonej nagrody.

Wywiązując się z włożonego na siebie zaszczytnego obowiązku, Poznańskie towarzystwo przyjaciół nauk ogła-

sza niniejszym konkurs do napisania *Historii włościan i stosunków ekonomicznych w dawnej Polsce*, podejmując się razem przysądzenia nagrody 1000 talarów w Pruskiej monecie, najlepszej z prac, które w ciągu dwóch lat następnych nadesłane zostaną.

Aczkolwiek niemożna być myślą naszą chcieć krępować wolny ruch pisarzy ściśle wytkniętą najprzód drogą, ani też w jakibądź sposób wypadkowi bezstronnych przeszkadzać badań, uważało przecież towarzystwo za swoją powinność bliższe podać skazówki co do granic i warunków, które dla przyszłej pracy w części za niezbędne, w części za pożądane uważa.

Samo już brzmienie zadania wskazuje, że praca obejmować winna dwa, w blizkiej wprowadzie z sobą styczności zostające, ale przecież wielorako odrębne działy, to jest: 1) historię samegoż stanu włościańskiego, politycznych, społecznych i prawnych onegoż stosunków; 2) dzieje gospodarstwa, szczególnie o ile stan i rozwój jego wpływały na położenie włościan.

Co do historii stanu włościańskiego, należy ją doprowadzić aż do ostatniego podziału Polski, poczynając od zwięzłego i na źródłach opartego zarysu stosunków przedchrześcijańskich: bez takiego bowiem wstępu całemu obrazowi dziejowemu na umiejętniej zbywałoby podstawie. Natura przedmiotu wymagać się zdaje, ażeby pisarz, przechodząc w kolei czasów różne epoki, jakie mu się w dziejach włościańskich przedstawia, szczególnie troskliwemu poddał zbadaniu: wpływ Chrześcijaństwa na gminy i los włościan, wpływ panowania i prawodawstwa Kazimierza Wielkiego, przeobrażenia zaszłe w następstwie rządów Ludwika Węgierskiego i w skutek wzrostu możnowładztwa szlacheckiego, wpływ nareszcie reformacji religijnej, jak

niemniej nowszych, od XVIII mianowicie wieku datujących wyobrażeń. Pisarzowi dzieje włościan w powyższych wytkniętych granicach czasu kreślącemu, wypadnie szczegółowo rozebrać odmienne pod niejednym względem stosunki stanu tego w dobrach szlacheckich, w królewskich, w dobrach duchownych, w sołectwach i innych mniejszych lub większych niezależnych osadach wiejskich, jak niemniej wykazać wpływ odrębnych praw i przywilejów na stosunki włościańskie.

Nauka z obrazu takiego płynąca o wieleby się zmniejszyć musiała, gdyby autor zaniedbał wykazać wpływ włościan i historycznych kolei stanu tego na politykę i dzieje Rzeczypospolitej.

Życzyć wypada, ażeby pisarz uzupełnił pracę swoją zwięzłym a charakterystycznym porównaniem stosunków włościańskich w Polsce, z położeniem rolniczej klasy w innych krajach, ile możności w każdej ważniejszej epoce swego obrazu.

Co do historii stosunków ekonomicznych, nadmieniam się tylko, że przez to wyrażenie mają być stosunki gospodarstwa wiejskiego rozumiane, i że towarzystwo pragnęłoby znaleźć w tym dziele obraz gospodarstwa i przemysłu wiejskiego w różnych czasach dawnej Polski, z uwzględnieniem ich wpływu na handel i odwrotnie.

Najmocniej pożądaną jest rzeczą, ażeby piszący dzieje włościan, oparł badania swoje nie na samych tylko historycznych źródłach drukiem ogłoszonych, ale i na źródłach archiwalnych, o ile być może w jak najszerszej mierze.

Prace konkursowe, które w Polskim winny być pisane języku, przesłać należy, najdalej do dnia 1-go lipca 1860 r., na ręce sekretarza zarządu Poznańskiego towa-

rzystwa przyjaciół nauk. Obok prac rękopiśmiennych przypuszczają się do konkursu i dzieła po ogłoszeniu niniejszego konkursu w druku wyszłe, o ile ich autorowie nadeszłą je w tym celu na ręce sekretarza towarzystwa. Każdą nadsyłaną pracę należy opatrzyć w dewizę i dołączyć list zapieczętowany, też samą dewizę na okryciu noszący, a który imię, nazwisko i miejsce zamieszkania autora wewnątrz zawierać powinien.

Poznań, dnia 1 lipca 1858.

Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

Prezes

Sekretarz

Tytus Działyński.

Leon Wegner.

OD REDAKCYI „TEKI WILEŃSKIEJ“.

Wilno, słynące niegdyś tak żywym naukowym ruchem, którego odbicie dla prowincyi dopełniało kilka pism peryodycznych, następnie przez ćwierć wieku pozbawione swojego literackiego organu, czuło wspólnie z całą prowincją potrzebę pisma, któreby skupiając w jedno ognisko prace nasze i ruch umysłowy, przeprowadzało potem do wszystkich warstw społecznych—światło, poradę, wspomnienie. „Wizerunki i roztrząsania naukowe“, a później „Athenaeum“ odpowiadały temu celowi, o ile zakres pism zbiorowych to dozwalał. Z ustaniem zaś ich, potrzeba ta stała się jeszcze widoczniejszą.

Najmocniej przeświadczeni o tej prawdzie, z gorliwą chęcią służenia rodakom, ufnie stanęliśmy przed nimi,—przedsiębiorząc wydawanie pisma zbiorowego *Teka Wileńska*, wierząc najszczerzej, że pisarze i czytelnicy od których jedynie byt każdego pisma zależy, los jego wezmą do serca i upaść mu nie dadzą.... I niezawodły nas nadzieje... Wsparci światłą radą i pomocą najzasłużeńszych w kraju pisarzy, jak również dostateczną liczbą prenumeratorów, na pokrycie nieodbitych kosztów, kończymy już zapowiedziane 6 numerów *Teki*, stanowiące pierwszą seryę.

Czy odpowiedziała *Teka* wymaganiom ogółu?—to inne pytanie.

Aby rozwiązać to pytanie, należałoby najprzód ściśle określić znaczenie pisma zbiorowego i istotną jego różnicę od pism czasowych, czyli peryodycznych. Te ostatnie mogą być albo specjalne, wyłącznie jednej nauce poświęcone, albo encyklopedyczne; dotąd największa liczba pism

czasowych Polskich należała do ostatniej kategorii. Zadaniem redakcyi być powinno uwiadamiać czytelników o stopniowym rozwoju umiejętności i o ruchu literatury tak ogólnej Europejskiej, jak szczególnie ojezystej. Lecz ponieważ sama literatura przekroczyła dawniej zakres dla niej obręb i poglądem swoim objęła życie społeczne, dla tego i wszelkie kwestye żywotne, obecne, roztrząsać w rozmaitej formie poczynając, przyjęła niejako obowiązek uwiadamiać czytelników swoich o ich przejawach. Ztąd wyniknęła dla niej powinność szczegółowie roztrząsać wszelkie wychodzące nowe dzieła, mówić o zakładach naukowych, o ruchu życia umysłowego, i biorąc nauki na tém stanowisku, na jakim je pismo czasowe zastało, postępować krok w krok za ich rozwojem, i jeśli można kierować ich dążeniem ku największemu dobru tak samej nauki, jak i społeczności. Skromniejsze jest nierównie zadanie pisma zbiorowego. Głównym jego celem być powinno: ułatwić piszącym możność podzielenia się z ogółem owocem dojrzałych prac w każdym rodzaju wiedzy ludzkiej; niekrępowane ściśle czasem, nieobowiązane śpieszyć za obecnymi i ulatującymi z chwilą objawami życia umysłowego, może otworzyć kolumny swoje równie dla prac obchodzących przeszłość jak i obecność. *Teka* zwłaszcza *Wileńska* odpowiednio swojemu nazwaniu przedewszystkiem pragnie mieć głównie na celu rzeczy *Wileńskie i Litewskie* w najrozleglejszym tego wyrazu znaczeniu; lecz tak jak przeszłość puściznę umysłową Litwie przekazała, jak ją stan obecny uwarunkował, niemoże wyłączać z obrębu prac swoich tych żywiołów, które tak silnie wprędkły się w jej życie. Dla tego ogólny ruch i znaczenie piśmiennictwa Polskiego, prace braci wspól-Słowian, pytania nawet najbliższej przyszłości obchodzące,—treść

jój stanowić powinny; a jój godłem jest miłość rzeczy domowych Litewskich, w dawnym, obecnym i przyszłym ich rozwoju, uwzględnienie tego co się obok Litwy dzieje, i zaszczepienie zdrowych pojęć o tém, czego rozumnie żądać i ku czemu wytrwale dążyć należy.—Już w krótkim ciągu swego istnienia Teki była tak szczęśliwą, iż obudzając współczucie wyższych i zasłużeńszych pracowników, podzieliła się z czytelnikami owocem dojrzalszej ich pracy, poruszyła pytania dotąd nietknięte, tak społeczne jak naukowe, zjednała spółdziałanie pobratymczych mężów nauki, i obudziła niektóre młode umysły do spółubiegania się na témże polu pracy i zasługi. Wszystkie bez wyjątku poważniejsze pisma czasowe powitały ją współczuciem i zachętą, a dochodzące Redakcyę pełne dobrej woli rady i przestrogi są dla niej skazówką i życzeń ogółu i dalszego jój kierunku w zakreslonym dla siebie zawodzie.

Uznając całą użyteczność pism peryodycznych, rozumiemy jednak, że i pisma zbiorowe, z jakiegokolwiek powodów miejsce pierwszych zastępować zniewolone, odpowiedzieć mogą wymaganiom i potrzebom społecznym. Wychodząc zwykle w przestankach nieokreślonych, nieprzywiązane do pewnego dnia, dają redakcyi więcej swobody i piszącym więcej czasu do przyłożenia ostatniej ręki. Pozbawione przywileju ogłaszania recenzyj, tudzież wiadomości pobieżnych o ruchu dziejowym i umysłowym, niesą jednak skazane na milczenie w tych tak zajmujących przedmiotach. Jedynym tylko warunkiem przez samą naturę swoją na pismach zbiorowych ciążącym, jest to, że poglądy swoje o tych przedmiotach, w szerszym rozmiarze i w połączeniu z rozleglejszymi widokami wypowiadać muszą. Nadto według właściwego pojmowania natury pism zbiorowych, tu właściwie miejsce mieć powinny ob-

szerniejsze prace wychodzące za obręb obecności. Ztąd też Teki Wileńska starała się o zebranie materyałów do dziejów uniwersytetu Wileńskiego i to nie w martwych dokumentach, ale w żywym społeczeństwie, obrazowym, może nawet niekiedy namiętnym, przez naocznych świadków opowiedzeniu kolei téj głównej szkoły Litewskiej. Spodziewa się także podobnemi wspomnieniami o początku, wzroście i dalszych kolejach liceum Krzemienieckiego ocalić zacierające się ślady prac i zasług na naukowej niwie gorliwych o kwitnienie téj szkoły obywateli. Nakoniec matka oświaty w Polsce, *alma mater* Krakowska otrzyma, podobnież uznanie zasług niektórych jój członków, skreślone doświadczoną i umiejętną ręką. Niewchodząc w szczegółowe wyliczanie piśmiennych zasobów Teki, to tylko powiedzieć możemy, że w téj chwili zebrane już rękopisma, lub których nadesłanie jój przyrzeczone,—wystarczą na 6 numerów drugiej seryi takiejże co i pierwsza objętości. Wszakże, mimo rzeczywiscie bogatych zasobów, wzywa jednak, zwłaszcza młodszych zwolenników nauki, aby niewahali się nadsyłać swoje prace, które w poszytach tego pisma zbiorowego znajdą gościnne przyjęcie.

Przedmioty w zakres Teki Wileńskiej wchodzące, są następujące:

I. Najpierwsza z nauk, bo nie na ziemi biorąca swój początek, bo zabezpieczająca doczesne podstawy towarzystwa i wiekuiste szczęście człowieka, *religijia*, z głównym baczeniem na jój stronę moralną, zająć by powinna ważne miejsce w naszym piśmie. Wzywamy przeto świątłych i gorliwych kapłanów, jakich kościół nasz na łonie swoim posiada, równie zasłużonych na niwie Chrystusowej, jako i na polu literatury, aby ochocze serce i szczerą rękę przyłożyli do naszych usiłowań, udzielając własnych

prac w rzeczach religijnej moralności, oznajamiając ogół z ważniejszymi tego rodzaju pracami za granicą, ze wzorami świętej wymowy kaznodziejów obcych, dziejami kościoła, słowem z tém wszystkiém co służąc ku zbawieniu ogółu, podać może plebanom i nauczycielom wiejskim, dobre pomocnicze skazówki do wykładu ich świętego przedmiotu.

II. Pod względem *literatury nadobnej* zamieszczone będą *prawdziwe* poezye, nowelle, powieści, podróże po kraju i za granicą, malujące obyczajową stronę zwiedzonej miejscowości,—jedném słowem w zakres téj rubryki wchodzić będzie to wszystko, co w sposób lekki, a przyjemny rozszerza granice wiedzy, co wykształca serce, rozwija poczucie piękna w sztuce, naturze i duszy ludzkiej. Pomoce już nadesłane i obiecane od najpiérwszych w kraju pisarzy jak Kraszewskiego, Ig. Chodźki, Odyńca, Syrokomli, Kaczkowskiego, Siemieńskiego—pozwalają nam mieć nadzieję, że oddział ten uczynimy zajmującym.

III. Historia, ze wszystkiemi gałęziami stanowiącemi jej całość, *archeologiją*, *etnografiją*, *statystyką*—będzie przedmiotem jak najtroskliwszych studyów. Wolno nam dzisiaj pochwilić się, że Tekla Wileńska, wsparta współdziałaniem najzasłużeńszych naszych badaczów, jak T. Narbutta, M. Malinowskiego, I. J. Kraszewskiego, M. Balińskiego, J. Jaroszewicza, prof. Muchlińskiego, Szajnochy, K. Wł. Wojcieckiego, J. Bartoszewicza, J. Łepkowskiego i w. i., posiada już dziś nader bogate zasoby, które niejedną ciekawą kartką wzbogacą wiedzę naszych dziejów. Dla młodziej zaś braci, życzącej poświęcić się téj ważnej gałęzi, pozwalamy sobie wskazać tu główne przedmioty, na które szczególną uwagę zwracać powinna, a opisy których nader są pożądane dla Teki.

IV. Pod względem *archeologii*: pomniki sypane z ziemi, horodyszcza, okopiska, kurhany, góry zamkowe, z do-

kładném wyjaśnieniem ich położenia, pomiaru, z wiadomością czy były poszukiwane, kiedy i przez kogo; pomniki z muru i drzewa, ruiny lub tylko fundamenta z drzewa, lub muru, pałace, domy, do których jest przywiązana tradycja ludowa; jeziora, rzeki, góry, lasy, kamienie, nawet drzewa pojedyncze, o których lud zachował jakie odwieczne podania, lub które nazwą swoją czegoś historycznego, lub mytycznego domyslać się każą,—słowem to wszystko, co może wyświecić naszą przeszłość. Przedewszystkiém prosimy naszych młodych współpracowników nie o kompilacje z drukowanych książek, nie o popisywanie się z własną historyczną erudycją, ale o wierne spisanie tego co jest w ustach i pamięci ludu, choćby to się podawcy wydawało wirutną banialuką. Zbiory prywatne zabytków starożytnych, wykopalisk z ziemi, osobliwości, rzeczy pamiątkowych, bibliotek, obrazów, sztychów, rzeźby, słowem tego wszystkiego co w daném miejscu troskliwość, lub ciekawość prywatnych osób nagromadziła z rzeczy godnych uwagi,—może posłużyć za pożyteczny przedmiot opisu. Zaonych zaś i światłych kapłanów *wszystkich wyznań* najmocniej upraszamy o szczegółowe opisy kościołów, cerkwi, kaplic, cmentarzów, pod względem historycznym, lub archeologicznym; o wypisanie dat ich założenia i konsekracyi, imion fundatorów, lub dobrodziejów, znaczniejszych pomników, dzwonów i na nich napisów, relikwii, obrazów cudownych, portretów fundatorów, znakomitszych aparatów i sprzętów kościelnych, jako to: kielichów, monstrancyj, relikwiarzy,—nadto innych pamiątek historycznych, np. chorągwi wojennych lub zdobytych na nieprzyjaciela, moździerzy, kotłów i innych rzeczy, do których jest przywiązana archeologiczna, historyczna lub pamiątkowa wartość, archiwów i bibliotek klasztornych, wyszcze-

gólnienie ważniejszych przywilejów i nadań, z treścią wiadomością kiedy i od kogo pochodzi ten lub ów nabytek na chwałę Bożą ofiarowany. Wiadomości odnoszące się do uroczystości kościelnych, kiedy te zostały wprowadzone, kiedy się obchodzą, o plebanach wsławionych nauką, wymową, świątobliwem życiem lub dobroczynnymi pamiątkami jakie po sobie zostawili.

V. *Wiadomości etnograficzne*, tak ważne, a w ta-kiem niemowlęctwie jeszcze u nas zostające i tak mało rozwinięte, zwracać powinny szczególną uwagę. W zakres tej wiedzy wchodzi: 1) oznaczenie plemienia; powierchowność ludu osiadłego w danej prowincyi: wzrost, kolor włosów, płci, oczu, siły fizyczne, stan zdrowia. 2) Język—szczególne znamiona, sposób wymawiania, wyrazy i całe okresy właściwe pewnej klasie ludności, naprz: język flisów, używane przez nich nazwy przedmiotów w użyciu będących, jak rap i t. d. (bożek wodny). 3) Życie domowe: opis dworów i wsi, zabudowania obywatelskie, klasy rolniczej, wewnętrzne urządzenie domów, odzież mężczyzn i kobiet w rozmaitych porach roku, pokarmy i napoje. 4) Zwyczaje i obrzędy: urodziny i chrzciny, wesela, pogrzeby, rozmaite wspominki po umarłych, jak przykładziny, radownice, dziady i t. d. 5) Prace rolne: obsiewki, dożynki i t. d. 6) Roczne uroczystości: kupało, rosa, kucya, Boże narodzenie (kolady), wigilija Nowego roku, Nowy rok, Trzy króle, wieczorynki czyli święte wieczory, Wierzbna niedziela, Wielkanoc, Zielone święta, Zielna i t. d. 7) Domowe sposoby leczenia, gusła, zabobony. 8) Zabawy, piosnki, tańce, instrumenta muzyczne, muzyka i jej charakter, igrzyska i t. d. 9) Stosunek włościanina do obywatela, czynszowe lub pańszczyznowe służebności za posiadaną ziemię, natura i ilość dodatkowych robocizn lub

danin, służby lub opłaty allodyalne uświęcone tradycyjnym zwyczajem, jak np. połowiczne miody, obowiązek dostarczania ludzi na polowanie, hurtowe tłoki i t. p. 10) Przy-czyny miejscowe stale lub chwilowo *wpływające na rozwój władz umysłowych, moralności, dobrego bytu lub nędzy klasy rolniczej*; wymienienie miejsc odznaczających się pod tym względem dodatnio lub ujemnie, wskazanie najbliższych miejscowych środków zaradzenia złemu. Nakoniec: 11), podania miejscowe, szczególne przysłowia, pieśni, skazki i pomówiska.

VI. Pod względem wiadomości *gospodarskich i statystycznych*: sposoby gospodarowania, najbardziej odznaczające się w tym względzie dobra ziemskie, szczegóły o znaczniejszych zakładach fabrycznych i handlowych w prowincyi, tak np. o papierniach, hutach, młynach, znaczniejszych gorzelniach, browarach; szczegółowe opisy pszczelnictwa, jedwabnictwa, cukrownictwa, polowania, ogrodów, cieplarni, sztucznych łąk i t. d. Ilość mieszkańców podług pochodzenia, wyznania i plemienności, liczba rodzących się i umierających, śmiertelność podług lat od urodzenia, podział jej na miesiące. Miejscowe metryki i źródła policyjne, oraz wiadomości zbierane przez izby skarbowe i komitety statystyczne—szczegółów tych dostarczyć mogą. Nieraz się zdarza, że pod względem ludności cyfry podane przez komiteta statystyczne i przez miejscowych proboszczów niezawsze z sobą są zgodne, a liczba podług wyznań, najczęściej bywa przewyższająca; różnicę tę wypada wskazać, tłómacząc jeśli można jej powody. Ilość dorocznych ślubów podług wyznań. Ilość kościołów i innych świątyń, ementarzy, ilość domów murowanych i drewnianych, ulic brukowanych i niebrukowanych, placów, rynków, zakładów dobroczynnych; szkoły, liczba uczących

się i nauczycieli; kramy, handle, traktyery, szynki, łaźnie, ilość kupców, handlujących mieszczan i t. d.—jednym słowem to wszystko co pod względem statystycznym może dać wyobrażenie o stanie miasta. Niemniej pożądane są statystyczne wiadomości z prowincyi: tu główną uwagę zwracać należy na przestrzeń ziemi, ilość rąk roboczych, lasy, ich produkcye, handel leśnym materiałem, jeziora z uwagą na gatunek ryb; miejscowe rybolówstwo, rzeki spławne, ilość statków, szczególne gatunki zwierząt; stada koz i bydła; drogi komunikacyjne, pocztowe, prywatne, znaczniejsze góry, ze zwróceniem uwagi na ich skład geologiczny, np. gdzie są pokłady żwiru, wapna, kredy, glinki barwianej i t. d.; rośliny lekarskie i farbiarskie z ich miejscowym użyciem, rudnie żelazne i innych kruszców. Postrzeżenia meteorologiczne z wykazem ważniejszych faz klimatycznych, większych mrozów, upałów, burz, notowanie dat stawiania lodów, puszczenia rzek, powodzi i ważniejszych fenomenów, np. trąby powietrznej, niezwyklego gradu, piorunów, zorzy północnej, meteorów, przelotu ptaków i t. d. Wiadomości o jarmarkach i targach na konie, bydło, wełnę i t. d.

VII. Dwie przeważne podstawy ekonomii politycznej, **rolnictwo i przemysł**, dwa stanowiące warunki bytu naszego kraju, powinny powołać usilność naszą do szczególnych studyów. Niewalcząc z uświęconemi od wieków gospodarczymi tradycjami, które mają zasługę miejscowości i praktyki, nieusilując na pola nasze wprowadzać rzeczy obcych, z ziemią i klimatem naszym niezgodnych, za ważną bierzemy powinność oswajania naszych rolników z ulepszeniami i wynalazkami, które wprowadzone w praktykę i zastosowane do naszej miejscowości, mogłyby przynieść rzeczywistą korzyść wiejskim obywatelom. Gdy te rolnicze ko-

rzyści w nierozdzielny są związek z bytem klasy włościańskiej, postaramy się rozwijać kwestye dążące do ulepszenia bytu na warunkach zobopólnej dogodności, wzajemnego współczucia i ufania, bez których dwory i wioski nasze pod względem tak finansowym jako i moralnym dźwignąć się niemogą.

VIII. **Rozmaitości**—zawierać będą przeglądy piśmienictwa Polskiego i pobratymczych Słowian z lat ubiegłych, poglądy na sztuki piękne, życiorysy zasłużonych rodaków, nie tylko osób historycznych, ale i takich które lubo nie miały głośniejszego nad obręb swojej okolicy rozgłosu, na miejscu jednak zasłużyły na wdzięczne lub pamiątkowe wspomnienie. Tu i wieśniak odznaczający się wysokimi swojego stanu cnotami, i rzemieślnik znany i zasłużony okolicy biegłością w kunszcie i rzetelną poczciwością, należeć powinien szanowną o sobie wzmiankę. Wreszcie korespondencye rozmaitej treści.

Czyjemu sercu nie jest obca miłość kraju w którym mieszka, kto życzy dobra macierzystej swjej ziemi, ten wraz z nami nabędzie przekonania, że tego dobra niemożna dla niej osiągnąć bez gruntownego i różnostronnego jej zbadania. Skarbnicę tych ważnych badań chcemy otworzyć w naszym piśmie, któremu jeśli Bóg, przyjaźne okoliczności i prawdziwie obywatelska gorliwość współpracowników przyjdzie do pomocy, karty jego stać się mogą cennym składem jedynych materiałów dla ekonomisty, historyka lub pod każdym względem badacza kraju. To szczegółowe poznanie swjej ziemi, krom naukowych, realne i natychmiastowe przyniesie z czasem korzyści; a byleśmy teraz ochoczo wzięli się do bogatego żniwa, które nas otacza, skromne pismo nasze stać się może zasobnym śpiechlerzem, którego chleb duchowy zasili i pokrzepi

zdrowie przyszłych pokoleń. Praca godna pilnej ręki i serdecznego zamięłowania wszystkich dobrze myślących ludzi.

Z takim wyznaniem wiary, w tym miejscu niech się nam godzi jeszcze wypowiedzieć zasadniczą myśl naszą. Holdując prawdzie i pięknu powitamy je radośnie wszędzie, gdzie się dadzą napotkać. Obcy duchowi stronnictwa, nie chcemy mieć w literaturze przyjaciół i nieprzyjaciół; a jeżeli śmiało i sumiennie wypowiadając prawdę zadrażniemy czyjeś osobistą miłość, własne lub koteryjne przekonanie uroczyście oświadczamy, że niepodrzedne względy, ale mocna wiara w to co wyznajemy—kieruje naszym zdaniem.

Kończymy szczerem słówkiem do młodzi pracującej w rozmaitych gałęziach nauk i literatury;—śmiało i ufnie niech składają w nasze ręce owoce swej pracy. Każdy objaw talentu powitamy radośnie, każdym dobrym nabytkiem podzielimy się z publicznością, poszanujemy zwykłą, a chwalebną skromność autorów, niezrazimy lekceważeniem, lub szyderstwem niczyich dobrych chęci, a wprowadzenie w publiczne szranki każdego młodego zapasnika, poczytamy dla się za zasługę.

Stałe uczestnictwo w Tece Wileńskiej przyjmują następujący pisarze:

Adamowicz Adam F., Andrzejowski Antoni, Baliński Michał, Bartoszewicz Julijan, Bądzkiewicz Antoni, Bialecki Antoni, Biliński Jan, Buszczyński Stefan, Deotyma, Chłop z ptu Maryampolskiego, Chodźko Ignacy, Chodźko Dominik, Fryczyński Michał, Godlewski x. Lucyan, Jaroszewicz Józef, Jocher Adam, Kaczkowski Zygmunt, Korotyński Wincenty, Krasinski x. Stanisław - Adam, Kraszewski Ignacy-

Józef, Kulakowski Ignacy, Kremer Józef, Laskarys Jerzy, Libelt Karol, Lepkowski Józef, dr Majer Józef, Malinowski Mikołaj, Mikulski Jan, Muchliński Antoni prof., Narbutt Teodor, Nowosielski Antoni, Odyniec Antoni-Edward, Padalica Tadeusz, Pług Adam, Proniewska Karolina, Prusinowski., Przyborowski Józef, Przybylski Wacław, Przyłgowski x. W., Puzynina xiężna Gabryella (ur. hr. Günther), Rogalski Józef, Rogawski Karol, Siemieński Lucyan, Syrokomla Władysław, Szajnocha Karol, Szlagier Kazimierz, Tomaszewicz Waleryan, Trentowski Bron.-Ferd., Tyszkiewicz hr. Eustachy, Tyszkiewicz hr. Konstanty, Tyszyński Alexander, Walicki Alfons prof., Ważyński x. Alexander, Wojcieki Kazimierz-Władysław, Zaleski Bronisław, Zap Karol-Władysław prof., Ziemięcka Eleonora, Zienkiewicz Romuald.

Jan ze Śliwina.

Od Redakcyi »Teki«.

Nieprzewidywaliśmy, aby tak prędko ziszczone były życzenia mieszkańców tego kraju pod względem pomnożenia liczby gimnazyów i stosowniejszego do potrzeb kraju urządzenia szkół powiatowych; tymczasem z Najmilszościwięj potwierdzonego przez NAJJASNIEJSZEGO PANA urządzenia zakładów naukowych w okręgu naukowym Wileńskim, z wdzięcznością widzimy, że uchwalono i otworzono 7 nowych gimnazyów; dzięki zaś troskliwości zarządu naukowego okręgu, jak niemniej gorliwości obywateli, którzy chętną ofiarą przyczynili się do urzeczywistnienia tego projektu, od 1 sierpnia b. r. w Poniewieżu, Kiejdanach, Nowogródku, Pińsku szkoły powiatowe zastąpione zostały gimnazyami. Gdy rodziców i całą powszechność żywo obchodzić powinno czego młodzież szkolna, tak w dawniej istniejących, jak obecnie otworzonych zakładach uczyć się będzie, znajdujemy rzeczą właściwą umieścić niżej, rozkład nauk na gimnazya i szkoły niższe na rok szkolny bieżący przepisane.

Rozkład lekcji w klassach gimnazyów, zatwierdzony przez p. ministra narodowego oświecenia na dniu 26 kwietnia 1858 r.

PRZEDMIOTY.	WYKŁAD WSPÓLNY.			WYKŁAD SPECYALNY.							
				Dla gotujących się do służby.				Dla gotujących się do uniwersytetu.			
	I.	II.	III.	IV.	V.	VI.	VII.	IV.	V.	VI.	VII.
Religija	2	2	2	2	1	1	2	2	1	1	2
Język Rosyjski	4	4	4	5	3	3	3	3	3	3	3
Geografija	2	2	2	2	2	—	1	2	2	—	1
Historia	—	—	2	2	2	4	3	2	2	4	3

Matematyka	3	3	3	5	3	3	3	3	3	3	3
Fizyka	—	—	—	—	—	2	2	—	2	2	2
Mat. i fizycz.	—	—	—	—	—	—	2	—	—	—	2
Geografija	—	—	—	—	—	—	2	—	—	—	2
Nauki przyrodzone	2	2	2	2	1	1	1	2	1	1	1
Język Niemiec.	3	3	3	2	2	2	2	2	2	2	2
— Francuz.	3	3	2	2	2	3	3	2	2	3	3
— Polski	2	2	2	2	2	1	1	2	2	1	1
Kaligrafija	2	2	1	—	—	—	—	—	—	—	—
Rysunki	1	1	1	1	1	1	1	1	1	1	1
Prawo Ros.	—	—	—	—	—	4	4	4	—	—	—
Język Łaciński	—	—	—	—	—	—	—	4	4	4	4

Wogóle lekcji na tydzień 186.

Rozkład lekcji w szkołach powiatowych dworzaniskich.

	K L A S S Y.		
	I.	II.	III.
Religija	2	2	2
Język Rosyjski	4	4	4
— Polski	2	2	2
Arytmetyka i pierwsze			
początki geometryi	4	4	4
Geografija	2	2	2
Historia	2	2	2
Kaligrafija	4	4	4

Wogóle lekcji na tydzień 60.

LISTA PRENUMERATORÓW

NA

TEKĘ WILEŃSKĄ.

Wilno i powiat Wileński.

Adamowicz Adam F. prof.
 Anisimow Jan kol. ass.
 Ass—xięgarz 10 exempl.
 Baliński Michał wice-prezes kom. arch. Wil.
 Baliński Józef ass. izb. krym. i kaw.
 Bądzkiewicz Antoni nauczyciel.
 Beresiewicz Alexander xiądz.
 Bohatyrowicz Jan x. prob. Ławaryski.
 Bohdanowicz Alexander koll. sekr.
 Borowska Helena.
 Bowkiewicz Józef x. prałat.
 Buczyńska Matylda z hr. Günterów.
 Bujko x. dziakan.
 Bujnowski Tadeusz nacz. stolu izb. krym.
 Chlewińska J. W.
 Chodakowski Jguacy koll. ass.
 Chodźko Ignacy, czł. kom. włościan, podkomorzy.
 Chudzinski Aloizy.
 Ćwirko Tomasz protok. izb. krym.
 Czerwińska Zuzanna.
 Dmóchowski Aurelijan marszałek.
 Dombrowski śledstw. przystaw.
 Dzwonkowski Wincenty sekr. szlachty.
 Florkowski Piotr Konstanty koll. ass.
 Frejend Leonard koll. ass.
 Gawroński Wiktor buhal. izb. skar.

TEKA N. V.

Giedmin Leon naczel. stołu izb. skar. r. h.
Giedroję xiążę Mikołaj.
Giedroję xiążę Witold.
Giedroję Konstanty nacz. stołu izb. skar.
Glücksberg Teofil xięgarz, 21 exm.
Górnicki Felix pleban kość. ś. Jakóba.
Gusiew Mateusz, astronom.
Holyńska z hr. Platerów.
Hundius xiądz wice-proboszcz ś. Jana.
Hurezyn Ildefons.
Hurynowicz Władysław.
Jachimowicz Leon koll. ass.
Jasiński Ignacy.
Jastrzembski Jędrzej.
Jeżewski Józef kapel. pp. Wizytek, 2 ex.
Jocher Adam.
Jotejko Jan.
Kalusz Franciszek.
Karabanowicz Ignacy rad. st. i kaw.
Karłowicz Alexander.
Kolesiński Baltazar.
Kondratowicz Ludwik.
Korewo Adolf.
Korewo sztabs kapit. general. sztabu.
Korotyński Wincenty.
Kostrowicki Alexander.
Kotwicz Xawery.
Kotwicz Xawery.
Kozłowski Szymon kanon. rekt. sem.
Krupowicz Maurycy, naukowy sekr. arch. kom.
Krzyszkowski Innocenty dr. s. teolog. ex minister xx. Try-
nitarzy.
Kucyński Andrzej generał major.
Kuczuk Kajetan nacz. stołu izb. krym.
Kukolnik Paweł, rzecz. rad. st.
Kulwiński Michał.
Kulakowski Sarmat.
Kwiatkowski Teofil.
Lampe Teofil x. kustosz xx. Bernard.
Laskarys Jerzy.
Laudański Karol.
Laudański Bolesław.
Lewiński Józef.

Łazarowicz Romuald.
Łazarowicz Antoni.
Łopaciński Bolesław, członek zarządu zakładów przytuł-
ku dzieci.
Łopaciński Alexander.
Majewski Jan kapel. szlachec. instyt.
Makarow Alexander.
Malinowski Mikołaj.
Molochowiec Jan.
Michniewicz Leonard.
Mikucki Józef prob. Rukojński.
Mikulski Jan.
Milkiewicz Jan.
Mirynowicz Michał prob. Tyrgielski.
Missiewicz Leon prob. Gierwiacki.
Moniuszko Stanisław.
Muzeum starożytności w Wilnie.
Noiszewski Józef, buch. izby skar.
Nowicki Bogusław pleb. Bohusławski.
Odyniec Antoni-Edward.
Orgelbrand Maurycy xięgarz, 65 exemp.
Ostapowicz Wawrzyniec prob. Cudzieniski mag. św. teol.
Paszkowski Kazimiérz.
Piasecki Kazimiérz.
Prościewicz Wincenty, buch. izby skar.
Puzynina xięż. Gabryela ur. hr. Günter.
Przybylski Wacław, naucz. instytutu.
Ratowtowa.
De-Roberti Emil, radzca stanu i kaw.
Romankiewicz Józef.
Römer Seweryn.
Rossochacki Antoni.
Rymkiewicz Felicyan.
Rzewuski Romuald.
Siekłucki Zefiryn.
Siekłucki.
Siemaszko Donat dziek. pttu Wileńsk.
Słowaczyński Jan.
Sosonko.
Stefanowicz Mikołaj.
Syrkin xięgarz, 15 exemp.
Syrunowicz Julijan pleb. kość. xx. Bernard.
Szarski Antoni nacz. stołu izby skar.

Szkulcecki Romuald rad. st. i kaw.
 Szlazier Kazimiérz nauczyciel.
 Szlapiowicz Adam x.
 Szyszko Józef.
 Talatowa.
 Tamulewicz Kajetan nauczyciel.
 Tarnowski Edward.
 Titius Gustawa.
 Tomaszewicz Waleryan.
 Trachtenberg Róza.
 Tyszkiewicz Eustachy hr. prezes kom. arch.
 Tur.
 Urbanowicz Hipolit.
 Wagner Olgierd.
 Walicki Michał rad. honor.
 Wasilewski Ferdynand koll. ass.
 Wiesiołowski Włodzimierz.
 Wilezyński Jan-Kazimierz.
 Wojciechowski Franciszek kapel. odz. gim.
 Wojniński gub. lustr.
 Wojtkiewicz Hermenegild.
 Wojewódzki Jan koll. ass. konsyst. sek.
 Wolkowa Izabella.
 Wróblewski Alexander x. kan. i kaw.
 Wyszomirski Kazimiérz sekr. izb. krym.
 Zagórski Józef x. prob. Taboryski.
 Zajączkowski Edward koll. registr.
 Zawadzki xięgarz, 30 exem.
 Zdanowicz Alexander nauczyciel instytutu.
 Zienkiewicz Romuald.
 Zimodro Jan, żurnalista izby skarb.
 Żylewiczowa Karolina.
 Żylińska Barbara marszał.
 Żyliński Konstanty.

Powiat Oszmiański.

Bohdanowicz Otton.
 Bojarzyński x.
 Cywińska Marya.
 Downarowicz x. dziekan.
 Jabłoński Lucyan.
 Jagmin Alfons.
 Januszewicz Konstanty.

Jurjewicz x. dziek. Wiszniewski.
 Kolankowski Antoni.
 Kryczyński Samu-l major.
 Niekraszewicz Jan.
 Oleszkiewicz Onufry.
 Stelnicki Tadeusz ob.
 Sulistrowski Józef.
 Sulistrowski Edmund.
 Świętorzecki Fortunat.
 Szaniawski Benedykt prob. Derewneński.
 Tukallo Konstanty.
 Turobojski koll. ass.
 Walicki Adolf.
 Walicki Henryk.
 Wasilewski Kazimiérz.
 Wojtkiewicz Maciej.
 Wolezacki Michał gub. sekr.
 Żyliński Hippolit.

Powiat Wilejski.

Augustynowicz dziek. Nadwilejski prob. Wolkołat.
 Bohdanowicz Tadeusz.
 Bohdanowicz Ignacy.
 Giczewicz Konstanty.
 Giedrojé kaznaczej.
 Kowerski Stefan.
 Koziell Jan kurator.
 Lubański Jan marszałek i kaw.
 Mackiewicz Bronisław dr. med.
 Pawłowicz Karol sek. okr. dóbr państ.
 Plewako.
 Puzyna Adam x. pleban.
 Rzewuski Walens b. prez. graniczny.
 Słotwiński Gwido.
 Soitko Konstanty.
 Świda Sydalija.
 Świdziński Bronisław koll. ass.
 Świętorzecki Cezary.
 Szyszko Józef.
 Tyszyński Alexander.
 Tukallo Mieczysław marszałek i kaw.
 Węclawowicz Walery.
 Wołodkowicz Ludwik.
 Żyliński x. Piotr dziekan.

Powiat Lidzki.

Andrzejkowiec Alexander.
Brochecki Antoni.
Chlewiński x. dziekan, 3 ex.
Krahelski Józef koll. ass. skarbn. ptt.
Narbutt Teodor.
Niezabytowski Konstanty.
Potrykowski Anzelm.
Szalewicz Adolf.
Szukiewicz Tomasz.
Żebrowski Adam.

Powiat Święciański.

Abramowski Kazimierz.
Chalecki Kajetan.
Dąbrowski Wiktor.
Kubicki Adolf.
Kurkowski Witalis prezes sąd. ptt.
Masłowski Konstanty.
Szymkowiec Jan.
Szyszło Norbert skarbn.

Powiat Trocki.

Alchimowicz Julijan.
Chęłstowski Kazimierz.
Morawski Apolinary.
Olechmowicz x.
Świderski Wawrzyniec.
Wenckowicz Franc. dziek. Trocki.

Powiat Dziśnieński.

Brydycki Bartłomiej prz. or. Karmel. bos. Głębockich.
Drobniszewicz Dominik pleb. Łużecki.
Drucki-Lubecki książę marszał. 2 ex.
Józefowicz Bartłomiej pleb. Miorski.
Iwaszkiewicz Waleryan ass. sądu ziem.
Kaczyński Napoleon x. prob. Mosarski.
Kario Maciej kaznaczej.
Kozakiewicz Leopold x. prob. Prozorocki.
Kredyt Wincenty naucz. powiat szkół.
Kruszyński Pankracy prob. Głębocki.
Kurowski Stanisław.
Łódź Konstanty x. prob. Hermanowicki.
Łopacińska Anna.

Mieszkowski Kazimierz x. pleb. Zadorożski.
Mokrzeński Filip dominikan. kaznodzieja.
Obrąpalski Franciszek x. pleb. Drujski.
Piotrowicz Michał x. pleb. Udziński.
Rajuniec Józef x. dziek. i prob. Dziśń.
Sulistrowski Leon.
Szyryn Jan x. prob. Pohostski.
Wińcza Paulin.
Zieniewicz Wawrzyniec x. prob. Ikaźnieński.

Grodno i powiat Grodzieński.

Bruszewski Ignacy.
Chomicz sekr. bud. kom.
Ciechanowski dr.
Cytowicz Józef.
Czetwertyński książę Konstanty.
Danilowicz Jan koll. ass.
Downarowicz Adam.
Ejsymont Bolesław koll. reg.
Falski Antoni.
Falski Józef. rad. honor.
Gienijusz Ignacy rad. honor.
Grudziński Alexander koll. sekr.
Jacewicz Kazimierz koll. ass.
Jacuński Karol gub. sekr.
Janowski Teofil.
Idzikowski Jan leśniczy.
Jezierski Jakób.
Kiersnowski Nikodem.
Kiersnowski Józef inżynier.
Kimbar Jan gub. sekr.
Klimaszewski Mikołaj.
Kłopotowski Michał.
Kosmowski Konstanty rad. honor.
Kossobucki x. prob. Rożanostocki.
Kowalewski Floryan.
Krupowicz Antoni.
Lachuński Roman marszałek.
Ljoody Leon koll. ass.
Lubowicki Adam rad. honor.
Majewski Józef x. dziekan.
Malewicz Felicyan koll. sekr.
Marcinkiewicz Józef.

Marciszewski Franciszek koll. ass.
 Moutowicz ass. Izob. Cyw.
 Mudrowicz Ludwik.
 Orzeszko Kalixt gub. marszałek.
 Perocki Józef koll. ass.
 Pilecki Jan dr med.
 Podhajski koll. ass.
 Pogorzelski Alexander rad. honor.
 Pruszyński rad. dwor.
 Radzi-zewski kol. ass.
 Rahoza koll. sekr.
 Rudzki koll r. g.
 Sasulicz Edward.
 Sagin Józef ass. koll.
 Siezieniewski Michał rad. hon.
 Spirydowicz Władysław gub. sekr.
 Steckiewicz Tomasz ass. koll.
 Strutyński Franciszek rad. hon.
 Styczyński Benedykt rad. hon.
 Sztark Jan rad. hon.
 Wierzbicki Konstanty.
 Wiryon Jan.
 Zach Paweł rad. hon.
 Zagajewski, xięgarz. 2 ex.
 Zapolski Leonard.
 Żółkowski Ludwik sekr. szlachty.

Powiat Brzeski.

Buchowiecki Wojciech.
 Dziekoński marszałek.
 Dziemianowicz Wincenty x. dziek.
 Hofmester Apolin.
 Jaskłowski Antoni kap.
 Matusiewicz Wincenty.
 Mogilnicki Michał.
 Podgórski Karol porucz.
 Ponikwicki Felix.
 Rudzewicz Stefan ass. koll.
 Tołoczko Antoni.
 Zalewski Leon.

Powiat Białostocki.

Andrzejewski rad. dwor.
 Bąkowski x. dziek.

Biblioteka gimnazyum.
 Boufał Stanisław.
 Gąsecki Adolf prowiz.
 Janowski pólkownik.
 Kalinowski August. kap.
 Karpowicz Michał kurator szkół.
 Kulakowski Ignacy rad. st. kamerjunkier i kaw., 3 ex.
 Kurkowski naucz. gimnaz.
 Małyszewicz Józef x. prob. Niewodnicki.
 Płotnicki Marcelli ass. koll.
 Sakowicz marszałek.
 Skirmunt sędz. sąd. ptt.
 Snarski Alexander x.
 Szepietowski marszałek.
 Zawadzki Marcin marszałek.

Powiat Bielski.

Jaroszewicz Józef prof.
 Lipnicki Felix.
 Lipnicki Stanisław.
 Pieńkowski Ludwik.
 Sagin Stanisław ass. koll.
 Zaleski Teofil, 2 ex.

Powiat Sokolski.

Bachra Otton marszałek i kaw.
 Kryszczun prob. Sokolski.
 Kossobudzki x. prob. w Rożanym Stoku.
 Lipiszko x. prob. Odelski.
 Wysocki x. dziek.
 Zawistowski Ignacy marszałek.

Powiat Kobryński.

Babińska Julija z Żelwertów.
 Niepokojezycki Michał.
 Onichimowski Ignacy.
 Wysłouch Ludwik.
 Wysłouch Felix.

Powiat Prużański.

Moraczewski Jan ass. koll.
 Osuchowski Michał.
 Szwykowski Walenty marszałek.

Powiat Słonimski.

Bergiel Albert ob.
Chodźko Dominik.
Horkowicz Konstanty ass. koll.
Karpowiczowa Marya.
Kazigrodzki Cezary, 2 ex.
Korsak Edmund ob.
Mikulski Florenty b. prezes.

Powiat Wołkowyski.

Butkiewicz Kazimierz.
Ciechanowiecki Konstanty.
Gajewski Jan.
Glazer Antoni.
Jazwiński Gustaw.
Jelski Tadeusz.
Zwirowicz Adolf.

Mińsk i powiat Miński.

Bokymowski nauczyciel.
Czepliński 3 exem.
Chmara Adam.
Dobkiewicz Franciszek.
Hejbowicz naucz. gimnazyum.
Hilferding Jan, prezes izb. skar. rad. stan. i kaw.
Kostrowicki Karol marszałek.
Malewicz x. prob. 4 ex.
Niemorszańska Amelija.
Paszkiwicz Antoni.
Pawlikowska Stefanowa.
Plewako Piotr.
Pruszyński Eustachy b. prez. izb. cyw.
Pułjanowska Helena.
Rzewuski hr. Floryan jenerał major.
Słotwiński Ludwik gub. marszałek.
Straszyński insp. gim.
Świętorzecki Bolesław.
Torczyński Artur.
Truskowski urzędnik.
Wańkowiec Edward.
Wierzbowski Wilhelm.
Wiśniowski x.
Zabiellowa Stefaniya.

Zawisza Jan.
Żbikowski nauczyciel.

Powiat Słucki.

Bochwiec Otton.
Buchowiecki Stefan.
Czapska hr. Zofija.
Jeleński Kazimierz.
Juchnowicz Ignacy rad. honor.
Krupski Bonifacy.
Miładowski Tomasz naucz. gim.
Narkiewicz Jodko kurat. szkół, 6 ex.
Niesłuchowski Lucyan ass. koll.
Okolow Leonard prez. sąd. ptt. 6 ex.
Rdułowski Eustachy.
Reczyński Marcin insp. gim.
Rewieński Konstanty.
Rzepecki Adam naucz. gim.
Uzłowski Marcin ob.
Wojniłowicz Tadeusz marszałek.
Zaleski Bronisław.

Powiat Borysowski.

Bartels Artur.
Bielieński Ignacy.
Piotnicki Wincenty sekr. koll.
Tyszkiewicz hr. Konstanty.
Tyszkiewicz hr. Michał.
Wollowicz Henryk.

Powiat Ihumeński.

Janiszewski August b. marszałek.
Janiszewski Ludwik marszałek.
Kamieński Józef.
Korzeniewski Edward ob.
Narkiewicz Jodko Otton ob.
Nowicki Franciszek dr. powiat.
Obrompalski Ludwik ob.

Powiat Bobrujski.

Krupacki Ferdynand rad. dworu, 10 ex.
Łappo Dominik.
Kiełczewski Jan.
Miedwiedziow koll. sow., 2 ex.
Pruszanowski Eugenijusz.

Powiat Rzeczycki.

Allinger Karol.
Popowski Józef sekr. sądu ziem.
Sokołowski Onufry.

Powiat Piński.

Braumann xięgarz.
Hanowa z Łaskich inspektorowa.
Manuzzi hr. Konstancya.
Plater hr. Włodzimierz.
Rulikowska Anna marszałkowa.
Skirmuntt Henryk.

Powiat Nowogródzki.

Abłamowicz Piotr prez.
Abramowski.
Brochocka Helena.
Dmóchowska.
Domejko Kazimiérz poracz.
Ejsymontowa Regina jenerałowa.
Gnoiński Piotr dr. powiat.
Kamińska Anna ob.
Karpowicz Kazimiérz sęd. granicz.
Kozmyn Eliasz sęd. granicz.
Mierzejewski Leon 3 ex.
Mierzejewska.
Mikulski Adolf.
Olędzka Franciszka podk. Wołn.
Olędzki Alexander sędz. granicz.
O'Rurk hr. Michał.
Piotrowicz Ludwik.
Protassewicz Wilhelm.
Sadź Mikołaj.
Szalewicz Tomasz.
Tuhanowski Konstanty.
Wolski Mikołaj marszałek.

Powiat Mozyrski.

Horwatt Artur.
Jeleński Napoleon, 3 ex.
Maszewski Artur.

Kowno i powiat Kowieński

Bujnicki Zygfryd.
Butkiewicz Alexander ass. koll.

Chmielewski prez izb. cyw.
Chomiński Stanisław gubernator cywilny Kowień.
Doboszyński Jan.
Giejsztor Jakób
Gobiatto Ignacy ass. koll.
Hryncewicz Józef.
Jacewicz Zygmunt rad. hon.
Jasiński Konstanty koll. reg.
Jasiukowicz rad. st.
Krupowicz Adam ass. koll.
Krzywobłocki Edward.
Łabanowski Alexander.
Milanowski Józef rad. dw.
Missiewicz Antoni sekr. gub.
Ongirski Stanisław rad. hon.
Owsiany Władysław.
Prozor Adam.
Siemaszko Romuald sek. gub.
Stankiewicz Maciej rad. hon.
Stulgiński Leon rad. dw.
Szylański Julijan rad. hon.
Tokarzewicz Alexander ass. koll.
Wroński Józef.
Wróblewski Teodor.
Zarzecki Stanisław urząd. izb. cyw. i kaw.
Żyliński Ludwik.

Rossienie i powiat.

Chrzastowski Wilhelm.
Chrzastowski Jan.
Feliński Włodzimierz.
Giedgowd Tadeusz komornik.
Janczewski Waleryan.
Miksiewicz Stanisław.
Miller Jan skarb. ptt.
Piłsudski Julijusz, 3 ex.
Przeciszewski Hieronim.
Pusłowski Stanisław.
Putwiński Władysław.
Rakowski Anastazy.
Rejchardt kapit. nacz. inw. kom.
Szemiót Józef.
Wierzbowski Jan.

Wilkomierz

Dobrowolski Kazimiérz.
Hryniewiczówna Zofija.
Ingielewicz.
Korewo Hieronim.
Kosko marszałek.
Lachnicki Hippolit.
Łukaszewicz Leopold.
Moszyński Justyn.
Pacewicz Jan x.
Sawicki Ferdynand.
Siesicki Felix.
Strawiński Józef skarb. ptt.
Syrewicz Ildefons ass. sąd. ptt.

Poniewież i powiat.

Bławdziewicz Adam.
Czerniewski Bolesław.
Kognowski Jan.
Kordzikowski Józef.
Maliński Gustaw.
Śmigieński.
Tyszkiewicz hr. Jan.
Wojtkiewicz Maurycy.

Nowoalexandrowsk i powiat.

Dąbrowski Felix ass. koll.
Klimaszewski Alexander skarb. ptt.
Strawińska Rachela.

Szawle i powiat.

Biblioteka obywatelska.
Hoffman Bogusław rad. dw. dr. ptt.
Kurnatowski Henryk.
Mackiewicz Barnaba sekr. gub. buch. podskarb.
Moro Alexander.
Rodowiczówna Kazimira.
Rymkiewicz Onufry.
Rymkiewicz Felix gwardyan klaszt. Ber. w Kretyndze.
Staszewski Alexander skarb. ptt.

Telsze i powiat.

Bortkiewicz x. pleban.
Daszkiewicz gabryel.

Dowgiałło x. dziekan.
Fryka rad. hon.
Medeksza Onufry skarb. ptt.
Pancerzyński Antoni.
Pawłowicz Józef.
Proniewska Karolina.
Studziński rad. dw.
Wollowski Antoni ass. koll.

Péterzburg.

Babiński Eugenijusz.
Bańkowski Józef.
Baraniecki Mieczysław.
Batogowski Alexander podpor. lejbgwar. Siemion. pól.
Bolesławski Nikodem.
Bułharyn Tadeusz.
Doliński Artur.
Fijałkowski biskup koad. Kamieniecki.
Iwanowski Antoni.
Każyński Wiktor.
Klewszczyński Antoni.
Kąski Apolinary.
Korbut Józef.
Korf Modest baron rz. rad. tajny, dyrekt. Cesars. pub.
biblioteki statssekr. człon. rady państwa.
Koziello Augustyn.
Krański Stanisław-Zygmunt prał. Wil. czł. koll.
Krasowski Władysław stud. uniw.
Kuczyński Antoni rad. st.
Kukolnik Nestor.
Muchliński Antoni prof.
Niedzielski Władysław. adwokat.
Plater hr.
Pogorzelski Wiktor.
Poloński Alexander.
Przeclawski Józef rzecz. rad. stan.
Radziwiłłowicz J. dr. med.
Redakcyja Отечественныхъ записокъ.
— — Экономическаго указателя.
Trejdosiewicz Jan stud. uniw.
Ważyński Alexander prałat Wileń. inspek. i prof. akad.
duchów.
Wolański Antoni adwokat.
Wicherski Felix.

Żyliński x. Wacław metropolita wszech R. kat. kość. w ce-
sarstwie, arcybiskup Mohylewski, prezes R. K. kolle-
gijum, kaw. ord.

M o s k w a.

Bartoszewicz Ad.-Dom. stud. uniw.
Ejsymont Leon dr.
Gudwilowicz Julijan dr.
Hannusowski Jan x.
Jasiukowicz Wilhelm stud. uniw.
Kirkor Alexander.
Kopeć Józef stud. uniw.
Młodziejowski dr. adjuunkt prof.
Niewodniczański Wincenty.
Ostrowski Robert stud. uniw.
Piechowski Józef prof. uniw.
Redakcyja **Московскихъ вѣдомостей.**
— — **Русскаго вѣстника.**

Sobaciński.
Swiesznikow Teodor kommiss. Cesar. uniw.
Walicki Alexander kapit. inżyn.
Zaleski Michał.

Kijów i powiat.

Berezowski Felix.
Bierzyński Adam.
Grabowski Michał.
Jaroszyński Oktawijan gub. marsz.
Idzikowski Leon.
Kaczyński Piotr 7 ex.
Kozakowski Wincenty.
Kozłowski sekr. szlachty.
Lewandowski Julijan.
Michałowski Ludwik.
Malerb naucz. gim.
Pinkowski stud. uniwer.
Podhorski Zygmunt.
Potocki hr. Włodzimierz.
Sienkiewicz x. dziek. Braclawski.
Soroczyński Michał.
Syroczyński Seweryn.
Syroczyński Antoni.
Truszkowski Platon.

Wileczyński.
Wiszatycki Wiktor 2 exem.
Wiszniewski.

Powiat Kaniowski.

Bielecki Franciszek.
Chamiec Ludwik.
Działyńska hr. Teofila.
Jaczewski Teodor.
Jankowska Antonina.
Jankowski Ludwik.
Komarowicz Maurycy.
Madzalewski Leon.
Monasterski Wiktor.
Parczewski Nikodem.
Pawłowski Franciszek.
Piotrowska Helena.
Podhorski Alexander.
Poniatowski Cezary.
Turcewicz Bonawentura prezes.

Powiat Berdyczowski.

Cieszkowski Franciszek.
Gromnicki Piotr marszałek, 2 ex.
Korsuń Bogusław.
Lubecki Grzegorz ob.
Roślaków Alexander sęd. pow.

Powiat Zwienigrodzki.

Barszczewski Jan.
Butkiewicz Adelaida.
Frankowski Ignacy.

Powiat Skwirski.

Madejski Leonard 2 exem.
Potocki Antoni.
Świderska Wiktorya.
Złotnicki Antoni.

Powiat Radomyski.

Kownacki Władysław.
Kownacki Faustyn.
Jaroszewicz Tytus.
Wierzbicki Bolesław

Powiat Lipowiecki.

Dachowska Genewofa.
Kopczyński Ignacy.
Kuczalski Alexander marsz.
Mazewski Alexander.
Rulikowski Antoni.
Tyszkiewiczowa hr. Helena.
Zdziechowski A.

Powiat Humański.

Czarkowska Paulina.
Iałowicki Teodor.
Jełowicki Teodor.
Rakowski Dyonizy marsz.

Powiat Taraszczański.

Lipkowski Piotr.
Mikulski Mikołaj.
Rohoziński Antoni.
Szostakowski Felix marszałek.

Powiat Machnówski.

Kaczanowski Alexander.
Kornelowski Antoni.
Mazarakówny Matylda i Henryeta.
Morgulec Michał.
Olizar hr. Adolf.
Popowski Julijan.
Sobieszczański Wilhelm.

Ś m i ł a.

Fisz Zenon.

Wasilkow.

Marcinkowski Jaksa Antoni.

Kamieniec Podolski i powiat Kamieniecki.

Abramowicz Deodot x.
Chmielowski Narcyz.
Chmielowski Julijan.
Dobrowolski Józef.
Dobrzański Seweryn.
Giżycki Wacław.
Gorochowski ass. koll. sekr. izb. krym.

Kłodnicki Antoni.
Krzczkowski Konstanty.
Kostecki Michał rad. hon.
Lewicki Alexander.
Lipski Mikołaj ob.
Łoziński Michał ptwy komornik.
Mysłowski Jan.
Ostrowski Józef rad. hon.
Popławski Raman.
Sadowski Jan marsz.
Sadowski Alexander.
Sienicki Józef.
Starorypiński Felix.
Studziński Jan.
Świrski Karolina.
Świrski Wincenty.
Szule Alexander.
Zborowski Felix.
Zwinogrodzki Władysław deputat.

Powiat Uszycki.

Grudziński Justyn.
Kumanowski Adam.
Mysłowski Kajetan.
Stadnicki hr. Xawery.

Powiat Hajsyński.

Czepielewski Leon.
Hulanicki Cezary.
Jabłoński Stanisław.
Jeleński Julijusz.
Kulesza Eustachy.
Leszczyn-Grabianka Jędrzej.
Lipkowski Henryk.
Lisowski Karol.
Potocki hr. Wacław.

Powiat Proskurowski.

Jodko Jerzy b. sędzia.
Krukowski Alexander b. prezes.
Marcinkiewicz Józef marszałek.
Ostrowski Felix.
Popiel Alexander.
Raciborowski Zygmunt.

Starzyński Edward rotmistrz.
Zaleski Wilhelm b. deputat.

Chmielnik.

Bernatowicz Konstanty.
Iwanowski Dyonizy.
Popiel Pius.
Zaleski Xawery, 2 ex.

Powiat Bractawski.

Baranowicz Major.
Gaduszczyński.
Gogolewski.
Gruszczyński Józef deputat.
Kamieński Ludwik prowizor.
Łomnicki Julijan kurator.
Łomnicki x. kanon.
Miładowski Jan dr. fil. rad. st. i kaw.
Musiałowicz ofic. wojsk Polskich.
Rakowski Józef.
Zoliński półkow.

Powiat Ulanowski.

Domaniewski Wiktor.
Kędrzycki Julijan.
Piotrowski Józef.

Powiat Winnicki.

Męciński Tytus półkow.
Mossakowski Wincenty sekr. dworz. opieki.
Mysłowski January rotmistrz.
Pieńkowski Ludwik.
Pietkiewicz Antoni.
Russanowski Artur.
Skowroński Konstanty.

Powiat Mohylewski.

Rollet Józef.

Latyczów.

Bernatowicz Ludwik.
Dobrzycki Teofil.
Kościelski Ludwik.
Lewicki Julijan.
Mysłowski Michał.
Witosławski Eugenijusz.

Lityn.

Stankiewicz Alexander dr.

Olgopol.

Brzostowski Zenon.
Kościelski Bonawentura.
Lipiński Bolesław.
Sobański Felix.
Szembek hr. Józef.
Zakrzewski Ludwik marszałek.

Witebsk i powiat Witebski.

Bobaszyński Kazimiérz rad. kol. izby skarb.
Czerniowski Jan ass. rząd. gub.
Franio Michał ass. izb. dóbr. państ. rad. hon.
Kłodnicki August. sekr. izb. skarb. rad. hon.
Konstantynowicz Konstanty stoł. izb. skarb. sekr. gub.
Obiedziński Teodozy buhalter.
Piasecka Elżbieta.
Połonski Józef pomoc gub. kaznac. sek. gub.
Ramel Julijan sekr. koll.
Rodziewicz Bazyli sekr. koll.
Stosza Paweł registr. koll.
Szymanowski Wiktor rad. hon.
Targoński Kazimiérz exekut. izb. skarb.
Wąsowicz Alexander sekr. gub.
Weryho Mikołaj sekr. gub.
Wieliczko Józef stoł. izb. skarb.
Wiszniewski Kasper sekr. gub.
Zubowicz Antoni sekr. koll.

Czeczersk.

Łowieniecki Wincenty sekr. koll.

Lepele.

Ciechanowiecki Paweł marszałek.
Juraho dr.
Korsak Erazm b. marsz.
Stefanowski Jan prezes.
Szauman August.
Wołodkowiczowa Józefa ze Szczytów.

Powiat Dynaburski.

Dydalewicz Mieczysław x. pleb. w Jasmoży.
Kopeć Tomasz x. dziekan.

Plater-Zyberk hr. Michał.
Plater-Zyberk hr. Stanisław.
Surwillo Kajetan x. pleb.
Szadurski hr. Jan.
Szyłejko Adolf, 6 exem

Powiat Newelski.

Bogucki Adolf sekr. gub.
Bujnicki Ludwik.

M. P o ł o c k.

Szlacheckie zebranie.

Powiat Surazki.

Bychowska Zofija marszał.
Hromyko Antoni x. prob.
Nitosiński Jan prezyd. sąd. pow. i kaw.

Powiat Reżycki.

Bohomolec Ignacy.
Reutt Michał marszałek, 4 ex.
Wyrzycki Józef Gerard.

Powiat Lucyński.

Karpiński Franciszek.
Szadurski Stanisław marsz.
Szadurski Mikołaj.

Powiat Dryski.

Korsakowa marszałkowa.
Sworacki Leonard.

Powiat Wielizki.

Pietkiewicz Benedykt x. prob.
Wieczorkowski Franciszek x. dziek.

Mohylów i powiat Mohylewski.

Brzostowski Ignacy prez. izb. krym.
Godlewski Lucyan x.
Kielkiewicz prałat.
Kowalewski Józefat.
Łaszcz pólkow. inż.
Chmyzowski, b. prez. izb. cyw.
Mancewicz Franciszek.
Morawski sow. koll., 12 ex.

Nestorowicz Konstanty rad. hon.
Pławiński Hieronim.
Sikorski aptekarz.
Sołtan Jan b. marszałek.
Rostkowski Wiktor rad. hon.
Rynwid Mickiewicz Władysław, porucz.
Ungern baron Konstanty b. marsz.
Żacki Józef, nacz. artylleryi.
Żurawski Edward.

Powiat Mściławski.

Godlewski x.
Kaszo-Zgierski Józef.
Tur Stefan.
Wykowski Stanisław.

Powiat Rohaczewski.

Kossakowski Janusz.
Oskiersko Jan ob.
Wojnicz-Sianożęcki Michał.
Żukowski Alexander marszałek.

C z a u s y.

Rahoza—Suszczewski Alexander.

S i e n n a.

Parfianowicz Bonifacy x. dziek.

B y c h ó w.

Onoszko sędzia ptt.

O r s z a.

Lubomirski xiążę Władysław marszał, 2 ex.

C z e r y k ó w.

Czerniewski Ignacy x.
Dobrzyniecki Franciszek.
Hołyński Michał marszałek.

Czernihowska gub., w Czernihowie.

Gorzkowski Maryan naucz. gimn.

K o n o t o p.

Mężynski Konstanty.

W o ł y ń.

Żytomierz i powiat Żytomierski.

Bilski Józef rad. st. czł. kom. żyw.

Dobrzyński Ludwik sekr. gub.
Drohomirecki Adam ass. koll.
Milkowski Seweryn rad. dw.
Kraszewski Józef, Ignacy.
Podhorodeński Władysław prezes.
Potocki hr. Alfred.
Ziemiański Stanisław ass. koll.

Powiat Włodzimierski.

Kuczyński Tadeusz kapit. wojsk. Pol.
Orzészko Julijusz marszałek.
Sierakowski hr.
Stecki Franciszek.

Powiat Zastawski.

Grocholski Mieczysław deputat.
Humiecki Teofil marszałek.
Konopacki Szymon podkomorzy.
Krajewski Józef.
Nartow Alexander kurator.

Powiat Kowelski.

Orzeszkowa Ferdynanda z Chrzanowskich.

R ó w n o.

Podhorodeński Władysław.
Stypulkowski Teofil.

K r z e m i e n i e c.

Pruszyński Gustaw.

Nowogród Woł.

Radański Kasper rad. dw. i kaw.

O s t r ó g.

Rachmiłowicz xięgarz, 4 exem.

K a z a ń.

Rossołowski Achilles.

P s k ó w.

Janicki dr.

P o ł t a w a.

Golicki x. Bonif. kur. R. Kat. koś.

L u b n o.

Buľhak Lucyń lekarz.

Smoleńska gub.

Holyńska Ludwika marszałkowa Mścislawska.

S y c z e w k a.

Szczuka Leonard strapeczy.

Chersonska gub.

Będziński szt. kap. półku dragońsk. Kazańsk.

T w e r.

Krzywiec Józef porucz. inżyn.
Michałowski Bolesław architekt.
Wierzbowski Artur kapit. inżyn.

K a z a ń.

Gross Ludwik dr medyc.

O r e n b u r g.

Arcimowicz Emilijan rad. koll.
Baranowski Jerzy rad. st.
Ceżzik Michał.
Zielonko x. kapel.
Zienkowiec Onufry dr.

T r o i c k.

Witkiewicz Wacław lekarz.

Wierzchni Uralsk.

Osmolski sztab kap. zarząd wojsk, zlot zakł.

U f a.

Rudzki Felicyan leśniczy izb. dóbr. pań.

B i r s k.

Kuncewicz lekarz pttwy.

Wołogodzka gub.

Wielki Ustug.

Lubieński Marcelli.

W i e l s k.

Michał Dłuski nacz. okr. rad. dw

Niżni Nowgorod.

Rejkowski Donat dr.
Wejtko Antoni.
Wróbel Antoni.

Kałuska gub.

Medyn.

Ptaszycki Leon.

Kozielsk.

Włodzimirski Alexander.

Ekaterynostaw.

Buczyński Alexander.

Woroneżska guber.

Ziemiańsk.

Dombrowski Rudolf.

Wiszniewski Felix, porucz. Michałow. kad. korp.

Razańska gub.

m. Zorajsk.

Rechniewski Szymon.

Kurskiej gub. m. Korocza.

Nielubowicz Franciszek.

Omsk.

Gumnicki Kazimiérz inż. porucz.

Irkuć.

Szwermicki kurat. Rzym. Kat. kość. 3 ex.

Tambow.

Lipski prof.

Kirsanow.

Ryniejski Danijel.

Perma.

Szadurski Józef rad. dw.

Wołogodzka gub. ptt. Wielsk.

Dłuski Michał rad. dw. naczel. okręg. izb. dóbr. pań.

m. Rostroma.

Skidell Maciej.

Kurlandya.

Mitawa.

Biblijoteka Polsk. książ. przy gimnaz.
Kościałkowski Melchijor uczeń gimn.
Lewaniewski podpułkow.

Rupejko x. kapelan.

Zabielski Adam.

Liflandya.

Ryg a.

Chodorowski Kazimiérz, 2 ex.

Oranowski Kazimiérz.

Orłowski Franciszek.

Tabęcki Jakób.

Dorpat.

Mussa akademicka.

Kaukaz.

Mikiewicz nac. chirurg arm. Kaukaz.

Królestwo Polskie.

Warszawa.

Bartoszewicz Julijan.

Łuszczewska Jadwiga.

Naimski Józef.

Platerowa de Broel hr. Idalijska z Sobańskich.

Redakcyje: Biblijoteki Warszawskiej.

Gazety Warszawskiej.

Kroniki.

Gazety Codzienniej.

Rogalski Leon.

Sennewald księgarz, 19 ex.

Skimborowicz Hippolit.

Wojciecki Kazimiérz - Władysław.

Nowoaleksandrya.

Lipski Ludwik.

Wolski Tadeusz.

Zawichost.

Ciechanowska Kazimira.

Mszczanów.

Wiśniewski Franciszek.

Augustowska gub. Sereje.

Tukallo Antoni.

Sejny.

Ablamowicz Józef Edward.

Łomża.

Józefowicz.

Suwałki.

Lewiński xięgarz, 2 ex.

Lublin.

Szczepunowska Emilija

Ostrog.

Bachmiłowicz xięgarz.

Lubelska gub. Hrubierzow.

Bormann Liberat sęd. pokoju.

Hempel Alexander dyrek. fabr. cukru.

Madan Seweryn.

Milowicz Leon.

Kalisz.

Hurtig xięgarz 16, ex.

Łęczyca.

Fürst xięgarz, 5 ex.

Galicja.**Lwów.**

Jabłoński xięgarz 25 ex.

Kaczkowski Zygmunt.

Szajnocha Karol.

Kraków.

Cesarsko Królewskie towarzyst. naukowe.

Jakubowski Adam x.

Kr. mer Józef.

Łepkowski Józef.

Majer Józef dr.

Rękowski Karol.

Siemieński Lucyan.

m. Toruń.

Miecznikowski Julijan pisarz sądowy

Poznań.

Bialecki Antoni.

Przyborowski Józef.

Żupański xięgarz, 20 ex.

Praga Czeska.

Hanka Wacław.

Rittersberg Ludwik.

Zapp Karol Władysław.

Frejburg w Bryzgowii.

Trentowski Bronisław, 2 ex.

Bruxella w Belgii.

Lelewel Joachim.

Paryż.

Chodźko Alexander.

nad sobą. — Ale ja! to rzecz inna! szturchańce i różgi — po-
łajanki i przekleństwa.... panu zawdzięczam. Stokroć mu wypła-
ciłem koszta — mojego utrzymania; a dłużej już wytrzymać
niemogę... nie, nie chcę! — zawołał Dżordż marszcząc brwi i za-
ciskając pięści.

Eliza cała drżąca, nierzekła ani słowa. Niewidziała bie-
dna swego męża jeszcze nigdy w takim stanie. Rozigrane
namiętności Dżordża wywierały na słabą kobietę wpływ podob-
ny do huraganu co w przelocie hulaszczym chyli do ziemi
trzcinę wiotką.

— Pamiętasz, — mówił dalej — małego Karlo, któregoś mi daro-
wała; on był moją pociechą, jedyną rozrywką. W nocy i we dnie
ciagle był przy mnie i patrzył mi w oczy z takim wyrazem czu-
łości, jakby rozumiał ile cierpię. I to mi zabrali. Wczora kar-
miłem go u drzwi kuchni okruchami, którem pozbierał na zie-
mi. Pan to zobaczył, i dowodząc że karmię psa chlebem kra-
dzionym, kazał mu przywiązać kamień do szyi i rzucić biedne-
go Karlo do stawu.

— Ach Dżordż! czyżes to zrobił?

— Ja? nie! ale on.... on to zrobił! pan i godny syn jego
ciskali jeszcze z brzegu kamieniami w tonącego Karlo. Biedna
psina, patrzyła na mnie tak smutnie, jakby mi wyrzucała, dla
czego jej nie chcę ratować. A mnie jeszcze za to obito, że
go nie chciałem sam utopić. Biciem ze mną niewskórasz: przeko-
nasz się tyranie, że mnie różgi zmieknąć nie potrafią.... Przyj-
dzie i na mnie kolej — pierwszy niż się ty obejrzeć zdołasz;
a wtenczas się policzymy.

— Co chcesz począć? Dżordż, powstrzymaj się! Pokładaj
w Bogu nadzieję, żyj wedle prawdy, a On cię wybawi z niedoli.

— Nie, Elizo, ja nie mam Chrześcijańskiej pokory, serce moje
przepełnione goryczą, niemogę pokładać w Bogu nadziei.... Dla
czegoż Bóg pozwala, by się podobne rzeczy dziać mogły?

— Miejmy ciepłą wiarę, Dżordż: pani mi mówiła, że wszyst-
ko co z woli Bożej, nawet smutki i niedole, są dla naszego
dobra.

— Zapewnie, łatwo to mówić siedząc na miękkiej sofie, albo
jadąc w wygodnej karecie; ale na mojem miejscu każdyby co
innego powiedział, jestem tego pewny. Ja chciałbym zdobyć
się na zgodzenie się z wolą Bożą; ale krew mi wre, zgroza i gniew
rozrywają piersi.... nie, to próżna, ja się ze swą dołą pogodzić
niemogę. I tybyś była nielepsza. Ale poczekaj, jeszcze nie-
wszystko ci powiedział; posłuchaj, a bodaj i w twoich żyłach
krew zagra inaczej.

— Cóżby jeszcze gorszego być mogło?

— Posłuchaj. Pan mi powiedział niedawno, że źle zrobił, pozwalając mi ożenić się z dziewczyną, która do niego nienależy. Powiadał, że niemoże ścierpieć mistra Szelby i całego jego domu, dla tego, że są hardzi i nos przed nim zadzierają. Mówił, że ty mnie nauczyłaś być dumnym, że niepozwoili mi więcej tu uczęszczać, że ja powinienem ożenić się z drugą i żyć z nią na jego gruncie. Z początku były to tylko postrachy; ale wczora powiedział stanowczo, że rozkazuje mi zaślubić Minę i żyć z nią w jednej chacie; a! jeśli się niezgodzę, grozi że mię sprzeda handlarzom południowym.

— Ależ my połączeni jesteśmy przez pastora, tak samo jak biali! — wyrzekła z prostotą Eliza.

— Alboż ty nie wiesz, że niewolnik niemoże się żenić? Prawa, zabezpieczającego trwałość naszego związku, niema w tym kraju. Ty musisz przestać być moją żoną, jeśli mu się tego zechce. Oto dla czego tak mi smutno, że ciebie poznałem!... Oto dla czego złorzeczę dniowi mojego urodzenia!... Lepiejby nam było, gdybyśmy siebie nieznali; lepiejby było, gdyby ten chłopiec nieprzyszedł na świat. Z nim może się to samo stanie co z nami!

— O! nasz pan taki dobry!

— Tak! lecz kto wie? On może umrzeć, a dziecię kupi ktoś drugi, Bóg wie kto taki! Jaka nam radość, że to chłopię jest piękne, rozumne i miłe? Powiadam ci, Elizo, że każdy dobry przymiot, jaki się znajdzie w twym chłopcu, będzie dla ciebie pociskiem noża... Będą go cenić drogo, bardzo drogo, — i niemiec tobie z niego pociechy, zostanie sprzedany.

Słowa te mocno zasmuciły Elizę. Stała w jej myśli postać handlarza; zbladła z przerażenia, nie miała sił odetchnąć, jak gdyby po otrzymaniu śmiertelnego ciosu. Spójrzała ze strachem na galeryę, dokąd wyszedł chłopczyną w czasie smutnej i ważnej rozmowy rodziców; tam dziecię hasało żwawie po wszystkich kątach, jeżdżąc na kiju mistra Szelby. Chciała zrazu mężowi opowiedzieć swoje obawę; lecz się zatrzymała i nie nierzekła.

„Nie, — pomyślała — nieszczęśliwy, i bez tego ma on tyle do zniesienia! Nie ja mu nic a nie niepowiem. A zresztą, wszak to nieprawda: miss nigdy nas nieoszukuje.“

— No, moja droga Elizo! — odezwał się mąż z boleścią — cierpliwości, wytrwania! bywaj zdrowa! muszę odejść!

— Idziesz, Dżordż? ... ale dokąd?

— Do Kanady! — odpowiedział tłumiąc wzruszenie. — A kie-

dy tam zostanę, wykupię cię ztąd... To ostatnia nadzieja. Ty masz dobrego pana, który zapewne zgodzi się sprzedać cię dla mnie. Wykupię ciebie... ciebie i nasze dziecko... Mam nadzieję w Bogu, że mi się uda tego dokazać.

— Ach! ja drzę cała!... A jeśli cię pochwycą?

— Nie, Elizo, niepochwycą... chyba trupa... Albo zostanę wolny, albo żyć przestanę.

— Czyż ty sam na siebie podniesiesz rękę?

— Samemu się zabijać niema potrzeby: zabijają mię bez mojej pomocy... Ale żywcem niesprzedadzą mię do stanów południowych.

— Dżordż, Dżordż! dla Boga, strzeż się, mój drogi! Nie-rób nic złego... niepodnoś ręki na siebie, niepodnoś na nikogo! Wielka pokusa tobą miota... bardzo wielka; ale walcz z pokusami. Potrzeba żebyś uciekł, ale bądźże ostry! Módl się do Boga, proś niechaj cię wspomóż!

— Dobrze, dobrze, Elizo; będę ci posłusznym. Ale teraz wykryję ci moje zamiary. Pan mój umyślił posłać mię drogą idącą tędy, koło was, do mistra Simzy, który mieszka ztąd może o milę. Mnie się zdaje, że mu wiadomo, iż ja tu zajdę i będę się na niego skarżył przed tobą. On się zapewne już raduje, że to, co powiedziałem, zasmuci wyrodną Szelbę jak ich zawsze tytułuje... Ja zaś powrócę do domu najzupełniej spokojny, jak gdybym nie miał żadnej nadziei... rozumiesz? Niektóre przygotowania już są urządzone: są ludzie, którzy mi pomogą; za tydzień mniej lub więcej policzonym zostanę do tych, „którzy zginęli bez wieści“... Módl się za mną, Elizo! może miłosierny Stwórca wysłucha twojej modlitwy!

— O Dżordż! módl się sam do Niego, módl się i pokładaj w Nim nadzieję, a wtenczas nie złego niezrobisz!

— No bądź już zdrowa! — zawołał Dżordż, i ujawszy ręce Elizy, nieruchomie spoglądał jej w oczy.

Kilka minut tak stali w milczeniu. Ostatnie słowa, ostatnie westchnienia, łyż gorzkie i gorące... jednym słowem było to pożegnanie ludzi, których nadzieja powtórnego spotkania się tyle ma mocy co nitka pajęczna... Mąż i żona rozstali się z sobą....

R O Z D Z I A Ł IV.

Wieczorynka w chatce ojca Toma.

Niedaleko od dworu, stała chatka ojca Toma, z rozmaitej wielkości bierwion sklecona; przed chatką był ogródek, w którym, dzięki troskliwej staranności, dojrzewały rozkosznie maliny, wraz z innymi owocami i warzywem.

Cały front chatki, zakrywały gęste sploty begonii ponsowej i miejscowej róży wielokwiatowej, i niedozwalały prawie dostrzedz nieogładzonych i koszlawych ścian chaty. Każdego lata, matka Chloe oddzielała część ogródka, i zasadzała go jaskrawymi kwiatami, jak złocien, petunija i inne, do których miała słabość wyłączną.

Ale wejdźmy do chatki. We dworze już po kolacyi, i matka Chloe, jako naczelną kucharkę, mogła ze spokojnem sumieniem, zostawiwszy pomycie naczyń i uprzątnię kuchni kuchcikom, udać się do swjej chatki i zająć się przygotowaniem posiłku dla swego starego, jak zwykła nazywać męża. Teraz właśnie widzimy ją przy piecu, z zajęciem przypatrującą się różnym różnościom smażącym się na patelni; z pewnym rodzajem wewnętrznego zadowolenia podejmowała nakrywkę od kocielka, z którego wylatujący zapach, jasno dowodził, że tam coś się wybrednego gotuje.

Twarz jej okrągła, pełna, czarna, błyszcząca, jakby ją lakierem pociągnął, jaśnieje wewnętrznym zadowoleniem i pewnym rodzajem poczucia własnej godności; i nie dziwnego: matka Chloe to najlepsza kucharka na całą okolicę, niema ona w tym względzie rywalki, rozumie to dobrze, i słusznie się pyszni z pochwał ogólnych.

Matka Chloe urodziła się na kucharkę, kunszt miała już we krwi i w kościach: — to też ptastwo domowe czytało w jej spójrzeniu swą dolę nieszczęśliwą, i gdy spostrzegało ją zbliżającą się krokiem poważnym, kury, gęsie, kaczkę wszystko to drżało z przestachu — a ha! nawet odważny indyk ponuro spuszczał głowę i pograżał się w głęboką zadumę, widocznie na śmierć się gotował. W myśli jej nieustannie się przesuwwały rozmaite fazy jej zajęcia; i wciąż nowe zdobywała tajemnice kuchenne, których, rozumie się, nieudzielała żadnej innej kobiecie, bo na tém zależała jej sława. Matka Chloe była jedyną w swoim rodzaju, chociaż niewolną była od pewnej próżności, i nieraz aż polegała ze śmiechu, opowiadając o nieszczęśliwych próbach

swoich rywalek w przyrządzaniu, mianowicie wszelkiego rodzaju pierogów, ciasta i zapiekank.

Zjazd wielki gości, który pociągał za sobą wystawne obiady i kolacje, podniecał zwykle siły moralne matki Chloe, i dla tego zazwyczaj z pewnym rodzajem wewnętrznój rozkoszy patrzyła na zwalone nieraz na ganku walizy, kufry, pudła i t. p. — zwiastowały one bowiem cały szereg kulinarnych zabiegów, cały szereg popisów.

W obecnej chwili, jakśmy to powiedzieli, stała przed piecem i uważnie pilnowała gotujących się przysmaków: — nieprzeszkadzajmy jej przeto, a skończmy tymczasem przegląd wnętrza chatki.

W jednym kącie stało łóżko, starannie białą kapą przykryte; przed łóżkiem był dywan, i miejsce to widać było honorowem, zostawało pod bezpośredniem rozporządzeniem matki Chloe, jako kobiety, mającej niejakię zostosunkowanie chociaż pośrednie z wyższem towarzystwem; to też o ile mogła broniła ona swój *pokój bawialny*, jak go nazywała, od najścia dziatwy rozsawolonej.

W drugim kącie było drugie łóżko, mniej starannie zastlane, przeznaczone jak widać do codziennego użycia. Ścianę po nad kominem zdobiły jaskrawo koloryzowane obrazki z Pisma świętego i portret Waszyngtona.... Biedny wybawca Ameryki! tożby się zadziwił, skoroby mógł zobaczyć jak go sztuka narodowa przybrała!

W tym właśnie kącie izdebki, dwa czarne jak węgiel chłopaki, z kręcącemi się włosami z błyszczącemi policzkami, układali pierwsze zasady chodzenia swjej malutkiej siostrzyczce; lecz telekeye widać niesły na pożytek, bo lada chwila dziecię się przewracało, a nauczyciele ogłaszali ten wypadek śmiechem donośnym.

Przed kominem był stół zastany, widocznie do kolacyi, za stołem siedział ojciec Tom, najlepszy robotnik mistra Szelby: a ponieważ on ma być bohaterem naszego opowiadania winniśmy skreślić o ile można podobny doń portret. Był to mężczyzna barczysty, wysokiej postawy; na jego twarzy czarnej i błyszczącej, pełnej charakteru cechującego dzieci gorących stref Afryki, odbijało się połączenie łagodności i prostoty ze zdrowym rozsądkiem; cała postawa zdradzała poczucie swjej godności wraz z pewnym rodzajem pokornej i łatwowiejności prostoduszności. W obecnej chwili z komieczną powagą, przerysowywał na marmurowej tabliczce, jakieś litery, pod przewodnictwem trzynastoletniego Dżordża, chłopaka bystrego z otwartą fizyonomiją, któ-

ry jak się zdaje, doskonale pojął obecne swe stanowisko jako nauczyciela.

— Ale nietak, nie w tę stronę, ojcze Tom! — zawołał chłopak spostrzegłszy że jego uczeń z wysileniem zawrócił ogonek od *g* w niewłaściwą stronę, — patrz, napisałeś *q* zamiast *g*.

— O dla Boga! czyż doprawdy? — przerwał ojciec Tom, popatrzał z poszanowaniem na swego młodego nauczyciela, który chcąc go przekonać kreślił swobodnie mnóstwo *g* i *q*, i znowu się wziął do gryfelka, który się niemógł utrzymać w jego grubych spracowanych palcach.

— Jak to tym białym wszystkie sztuki łatwo przychodzą! — zawołała matka Chloe, przerwawszy na chwilę operację smarowania patelni, kawałkiem słoniny i patrząc z pewnym rodzajem pychy na Dżordża. — A w domu jak to on pisze, tylko patrzaj! a jak czyta! co to i mówić? a jeszcze taki dobry, że wieczorkiem zabieży do nas i mego starego uczy. Oj paniezu!...

— Ej, co tam, matko Chloe! jestem głodny, — przerwał Dżordż — zobaczno tam do kocielka, może już się zgotowało.

— Prawie gotowe, mister Dżordż, — odpowie matka Chloe, podejmując nakrywkę kocielka i patrząc wewnątrz — a skórka jak się rumieni!.... ślicznota będzie; dajcie mi tylko chwilkę czasu. Cierpliwości paniezu kochany. Onegdaj pani chciała żeby Sally spróbowała upiec kilka pierożków, ale gdzie jój, — ja powiadam paniczowi — że to się serce kraje, patrząc jak się dobro pańskie marnuje; i cóż bo to było za pieczywo, żal się Boże! skrzywione, koszlawe, właśnie nieprzymierzające, jak mój bóciak; — nie, to próżno, gdzieżby tam ona potrafiła? nietak to łatwo.

Po tej wzgardliwej tyradzie wymierzonej przeciw Sally, matka Chloe zrzuciła nakrywkę z kocielka, i odkryła mistrzowsko przyrządzony pasztet, któregoby żaden się niepowstydził pasztetnik z miasta; a że ten pasztet miał stanowić ośnowę uczyty, zaczęła się krzątać nieżartem koło stołu i przyrządzać do kolacyi.

— Wynoscie się swoim kosztem, wy urwisy! a i ty ruszaj dalej, moja Polli. Mameczka niezapomni o swój córeczce, da ci coś i smacznego, moją pieczętówkę. A wy mister Dżordż rzucajcie xiązki i zasiadajcie z moim starym. Zaraz będą kielbaski smażone i bliny.

— Wiesz, matko Chloe, — odpowie Dżordż, — mnie tam w domu czekają na kolację; ale niech sobie czekają, ja wiem gdzie z czem mi lepiej — to też i zostaję u was.

— Już to pewno, że wiesz, mój serdeczny, — powiedziała mat-

ka Chloe, kładąc mu na talerz gorące bliny, — bo i dla kogożby stara Chloe miała chować przysmaki, jeżeli nie dla swego pieśczocho!

Mówiąc to matka Chloe była bardzo zadowolona, popatrzała na Dżordża i odwróciła się do ogniska.

— No, teraz dawaj pasztet! — zawołał Dżordż, i podjął wielki nóż, jakby się gotując do sekeyi.

— O dla Boga! co panu jest, mister Dżordż? czy niemyślisz może tym wielkim nożem krajać? o! co na to, to nigdy niepozwole, w jednej chwili zmarnować moje pracę. Chwilkę, mister Dżordż, cierpliwości: ja mam malutki, ostry nożyk, jakby umyślnie do tego zrobiony; patrzaj pan jak kraje — płatki się oddzielają lekkie jak piórka. — Jedz pan na zdrowie — a i pójdzie na zdrowie, bo też nie już lepszego nieznajdziesz.

— Tom Linkoln powiada, — mruczał Dżordż pakując się pasztetem — że jego Dżinni lepsza kucharka od ciebie.

— Oho, jaki mi zuch Linkoln! — zawołała Chloe z pogardą; — Linkolny wielkie mi osoby, ważne figury. Dobrzy to ludzie na codzień; ale co się tyczy czegoś ważniejszego, to darmo, oni i pojęcia o tém niemają; nasze państwo, to rzecz inna. Proszę tylko postawić Linkolna obok mistra Szelby! a może miss Linkoln potrafi tak wejść do salonu, jak nasza dobra pani, co to zdaje się płynię — a taka lekka a taka poważna, że choć padaj na kolana! Ale to darmo; gdzie się im równać! już ja co wiem, to wiem; proszę mi lepiej niewspominać o tych Linkolnach.

Matka Chloe powiedziawszy to podniosła z dumą głowę, jakby chciała tém pokazać, że sprawy świata tego niesą dla niej tajemnicą.

— Co prawda, to prawda, — przerwał Dżordż; — aleś ty mi sama chwaliła Dżinni, mówiłaś mi że Dżinni dobra kucharka.

— Mówiłam — odpowiedziała Chloe, — i teraz powtórzę: ich Dżinni dobra, zwyczajna prosta kucharka; umie upiec pieczyste, zrobić jaką taką potrawkę, ale co do pasztetów, to kłaniam uniżenie, — a niechno trzeba zrobić coś wymyślnego, Boże łaskawy! śmiech tylko i basta. O, Dżinni robi pasztety, ale cóż to za pasztety? jak wyglądają? a niechno potrafi zrobić ciasto, coby się rozpychało w ustach, lekkie jak puszek! Kiedy miss Mery wychodziła za męża, ja widziałam jakie ciasto ona upieka!.... Dżinni moja przyjaciółka, — i dla tego nie jój wtedy niepowiedziałam... ale cóż to? powiem paniczowi szczerze, jabym przez tydzień spać nie mogła, żeby coś podobnego zrobiła.

— Ja myślę — powiedział Dżordż, — że Dżinni się zdawało, iż jój ciasto wyborne.

— Wyborne! to mi się podoba! jużci jój mogło się zdawać, bo jeszcze miała odwagę wszystkim pokazywać i chwalić się. — Ale widzisz panie, to właśnie dowodzi, że Dżinni nie nierozumie.... Ach co to mówić? tam cały dom niema sensu; czego się ona tam może napatrzeć. O, mister Dżordż, pan niewiesz wszystkich zalet swój familii i niepojmujesz jak w waszym domu wiele można skorzystać.

Tu matka Chloe westchnęła, i z uczuciem podniosła oczy w górę.

— Bądź przekonana, matko Chloe, że ja doskonale pojmuję com winien pasztetom, — powiedział Dżordż. — Zapytaj u Toma Linkolna, jak go tém drażnię gdy się spotkamy.

Chloe brała się za boki od śmiechu, narreszcie padła na krzesło i śmiała się tak szczerze, aż łzy się puściły strumieniem po jój czarnych błyszczących policzkach, i wciąż prosiła Dżordża żeby jój darował życie, dowodząc, że on ją kiedykolwiek zabije swoim dowcipem, że będzie musiała pęknąć od śmiechu — i dalejże znowu zalewać się śmiechem, i to tak zawzięcie, iż Dżordżowi naprawdę się wydało, że on może być niebezpieczny ze swym dowcipem, i że dla dobra ludzkości winien się trochę trzymać na wodzy.

— To pan tak prosto i powiedziałeś Tomowi? Ale czyż powiedziałeś? — pytała matka Chloe. — Mój Boże, to mizuch! Żartuje sobie z Toma! O dla Boga, mister Dżordż, pan umarłego potrafisz rozśmieszyć... Co? i doprawdy tak powiedziałeś?

— Jużci też mówiłem, odpowiedział Dżordż. — „Posłuchaj Tom, powiadam mu, trzeba ci zobaczyć kiedy pasztety matki Chloe, to dowiesz się przynajmniej co to jest pasztet.“

— A szkoda, że ich niewidział! — dorzuciła Chloe, której dobre serce przedstawiło sobie zaraz smutne położenie Toma Linkolna. Powinieneś, mister Dżordż, zaprosić go kiedy na obiad, będzie to bardzo pięknie z pańskiej strony. Pan to wiesz, mister Dżordż, iż niepowinniśmy nigdy się chępić z tego co nam Pan Bóg dać raczył.

Mówiąc to matka Chloe przystroiła swą twarz w bardzo poważny wyraz.

— Dobrze: w przyszłym tygodniu zapraszam Toma, a ty matko Chloe, niepożaluj pracy, — toż się będzie wytrzeszczał! Tak go nakarmimy, by pamiętał ze dwa tygodnie o naszym obiedzie.

— Koniecznie, koniecznie, przerwała Chloe w zachwyceniu. Zobaczysz pan jak go nakarmim! O dla Boga, jak to się przy-

pomni niektóre obiady — pamiętasz, mister Dżordż, ten pasztet z kurecząt, na obiedzie, któryśmy dawali dla jenerała Noksa? O, wtenczas, to o mało cośmy się niepokłócili z panią o skórkę pasztetu. Bo też ja nierozumiem, co tym paniom przychodzi niktędy do głowy: czasami właśnie wtedy gdy lękasz się i drżysz żeby się udało, wsuną swoje trzy grosze. Pani się chciało żebym to ja robiła, jedno tak, drugie inaczej — aż mi cierpliwości zabrakło.... „Pani, — powiadam ja — chciēj tylko pani spojrzeć na swoje białe rączki i na moje czarne łapy; to już wiadać Bóg tak chciał, żebym ja się krzątała koło kuchni, a pani siedziała sobie w pokoju.“ Ot co jest, mister Dżordż! o mało nierozgniewałam się.

— A co mama na to powiedziała? — spytał Dżordż.

— Co powiedziała? ona popatrzała na mnie swemi pięknymi oczami i powiedziała: „Zgoda, matko Chloe; widzę ty masz rację — i poszła sobie do pokojów. Już to, co prawda to prawda: pani wypadło palnąć czēm się nawinie po mojej głupiej głowie, co jeszcze w obec swój pani puszcza się w dowodzenia... ale cóż poradzić? już to moja natura, ja nic nieumiem zrobić, kiedy pani w kuchni.“

— O! ja pamiętam ten obiad, udał ci się doskonale, wszyscy chwalili, — dodał Dżordż.

— Oj co tak to tak! Ja stojąc za drzwiami, na własne oczy widziałam, jak jenerał trzy razy podsuwał swój talerz do pani prosząc o pierogi z jagodami, i wciąż mówił: „Mistris Szelby, pani masz nieocenioną kucharkę.“ — O mój Boże, mój Boże! o mało mi radość głowy nierozsadziła! Jenerał zna się na dobrej kuchni! — dorzuciła matka Chloe z godnością — to bardzo porządny człowiek! Pochodzi on z najstarszożytniejszej familii w starej Wirginii, to też tak jak i mój pan zna się na tém co smaczne, — to zacny człowiek ten jenerał. Widzisz panie, w każdej potrawie jest coś osobliwego, ale niekaždy umie to dostrzedz — a ot jenerał od razu zrozumiał o co chodzi, — już to ja widziałam ze słów jego. Tak, tak, on się zna na osobliwościach.

Dżordż tak się już naładował, że mógł zwrócić uwagę od pasztetu na działwę Toma, przypatrującą się mu z zazdrością z kąta chaty.

— Chodźcie tu, Piotrek, Monio, cheecie jeść? — zawołał, łamiąc spore kawałki ciasta i rzucając je dzieciom. — Matko Chloe, trzeba teraz ich nakarmić.

Dżordż i Tom przeszli od stołu do komina, a Chloe przygotowała spory zapas blinów, wzięła na kolana małą Polli i ob-

dzielała dwóch urwisów, którzy widać największą znajdowali przyjemność posilać się pod stołem, przewracając się, swawoląc i tarmosząc za nóżki swą małą siostrzyczkę.

— Ciszéj! a przestaniecie wy tam? — wołała matka, szturchając pod stołem nogą na chybił-trafił, gdy już jéj zanadto dokuczyli. — Widzicie że są goście, bądźcie cicho urwisy! No, zobaczycie niechno tylko mister Dżordż wyjdzie, a już ja wam zrobię niespodziankę.

Jaka to miała być niespodzianka, trudno zgadnąć; to tylko pewna, że obietnica niewywarła najmniejszego wpływu na rozswawoloną działwę.

— Rozpuszczone chłopey! — powiedział ojciec Tom, — za nimi niemożna mieć chwili spokojności.

Chłopey tymczasem wyleźli z pod stołu, z zatłuszczonei twarzami i rękami, i dawajże naprzemian całować i ścisnąć siostrzyczkę.

— A dajcie jéj pokój! — wołała matka, odpychając ich kędzierzawe główki. Ruszajcie mi zaraz do ruczaju umyćcie się czysto i pięknie; — i potwierdziła ten rozkaz kiku szturchańcami, które widać niebyły nazbyt straszne, bo działwa śmiejąc się wyłeciała za drzwi.

— No powiedzcie mi przez litość, czy widział kto takich urwisów niegodziwych! — powiedziała dobrodusznie matka Chloe. Wziawszy umyślnie przygotowany ręcznik, umoczyła go w letniej wodzie, obmyła twarz i ręce swojej Polli, posadziła ją na kolana ojca Toma i zaczęła uprzątać ze stołu. Dzieciak tymczasem szarpał ojca za nos, drapał mu twarz i zapuszczał swoje drobne rączki w kędzierzawą czuprynę Toma, — ostatni rodzaj zajęcia widocznie najbardziej się podobał małej Polli.

— To mi pieszczotka! — zawołał ojciec Tom, podniósł ją w górę, jakby się chcąc nacieszyć, później usadowiwszy dziecinę na ramieniu, dalejże w płasy po pokoju — a Dżordż skacząc przed nią machał chustką, i bawił i bawił się razem. Monia i Piotrek za powrotem do izby, przyłączyli się także do kompanii i to z takimi okrzykami wesela, że matka Chloe stanowczo objawiła, iż te wrzaski głowy ją pozbawiają. Ale ponieważ, wedle jéj słów własnych, przyprowadzano ją bez nieszczęśliwych skutków do podobnej ostateczności kilka razy na dzień — admonicya więc ta nie na wiele się przydała; wrzask trwał do pory, aż Tom i działwa mając już dosyć śmiechu i swawoli, musieli w końcu spocząć.

— Na dziś sądę będzie dosyć, — powiedziała matka, wy-

muając z kufra łóżko składane. — Dalej Monio, Piotrek, kłaść się spać, i cicho! wkrótce się zbiorą nasi przyjaciele na modlitwę.

— My niechcemy spać, matuniu, my będziemy modlić się; to takie zajmujące — nam się to podoba.

— Pozwól im, matko Chloe, i sprzątnij łóżko, niech sobie posiedzą, — powiedział Dżordż.

Chloe widocznie była z tego zadowolniona, bo pędzała spać działwę tylko wedle porządku.

— To niechże sobie zostają, może to im pójdzie na pożytek.

I wszyscy się wzięli do sprzątania.

— Zkąd dostać krzesel? — powiedziała matka Chloe; — ja doprawdy niewiem jak temu zaradzić? Ależ te zebrania co tydzień bywają w chacie Toma i zawsze obchodziliśmy się tém co jest, może i teraz jakoś damy rady. Siadaj jak będzie można, miejsca jest dosyć.

— W przeszłym tygodniu, stary dziadek Piotr złamał dwie nóżki u tego krzesła, — przerwał Monio.

— Jeszcze mi będziesz zmyślać! Bodaj, że to twoja robota, ty niegodziwy urwisie! — zawołała matka Chloe.

— To nie, matuniu, będzie stać, jak je przyprę do ściany, — wołał Monio.

— Tylko patrzaj, — podchwycił Piotrek, — żeby tam nieusiadł dziadek Piotr, bo on zwykle jak poczenie śpiewać, to jeździ po całym pokoju ze swoim krzesłem.

— Tém lepij, niech siada, — przerwał Monio; — zobaczysz, jak tylko zaczniesz: „I przyjdziecie sprawiedliwi i grzesznicy wystuchać głosu mego“ — stary wywróci kozielek i rozciągnie się jak długi! — Mówiąc to urwis przedrzeźniał śpiew, i chcąc bardziej uobrazować swe opowiadanie, dał kulka i leżał już na ziemi.

— A no, przestań! — zawołała matka Chloe; — czyż wam niewstyd? niemożecie się na chwilę uspokoić.

Ale mister Dżordż trzymał za urwisem, dowodząc że Monio zuch; i dla tego uwagi matki niewiele przyniosły pożytku.

— No, mój przyjacielu, trzeba teraz przynieść beczulki, — powiedziała Chloe do męża.

— Beczulki matuni, to tak jak u tamtej wdowy, o której nam mister Dżordż czytał z téj grubéj książki, nigdy ich niebrak, — zakomunikował Monio Piotrkowi.

— Pamiętasz przeszłego tygodnia, jak się dno zawaliło, i zaczęli padać śpiwając, pamiętasz?

Podezas téj rozmowy przytoczono do izby dwie puste becz-

ki i podparli je kamieniami, na beczkach położyli deski i uwieńczyli w ten sposób przygotowanie do przyjęcia gości.

— Mister Dżordż, pan co tak pięknie czytasz, pewnie nam nieodmówisz, zostać tu na chwilę, i przeczytać cokolwiek, — powiedziała Matka Chloe, — zrobiłbyś nam wielką łaskę.

Dżordż zgodził się z radością, jak każdy dzieciak, który chce uchodzić za poważniejszego niż jest w istocie.

Izba wkrótce się napełniła różnobarwną gromadą, począwszy od ośmdziesięcioletniego starca, aż do dziewczynki lat piętnastu. Z początku jak zwykle udzielili sobie wzajem kilka niewinnych ploteczek: „Zkąd ma Salli nową chustkę?“ „Pani darowała Elizie nową suknię...“ „Pan kupi niedługo pięknego konia“ i t. p.

Niektórzy z gości należeli do sąsiednich plantacyj i zbierali się do chaty ojca Toma za wyłącznym pozwoleniem swoich panów. Każdy z nich przyniósł w swoją koleją przyzwoitą ilość nowostek, które i tu równie żwawo i swobodnie krążyły, jak w świetnych salonach wyższego towarzystwa.

Po chwili, z widocznym zadowoleniem obecnych zaczęły się śpiewy. Kilka mniej świeżych i fałszywych głosów niemogły zepsuć całości, pieśń się lała potężnie z silnie czujących piersi — a jej dzikie i namiętne tony dowodnie świadczyły, że w piersiach tych ludzi pracy serce bić silnie nieprzestało.

Śpiewano tu albo zwyczajne hymny kościelne, albo śpiewy religijne, których się od misjonarzy nauczyć mogli.

Jeden z tych śpiewów wylał się z ust zebranych Murzynów namaszczonego męzkim rozrzuwającym uczuciem: — oto są jego słowa:

Umieram w boju!

Umieram w boju!

Lecz jasność Boża w duszy mi świeci!

Druga pieśń brzmiała następnie:

Ona mię woła — ja zdążam za sławą!

Pospieszcie za mną, i z ducha obawą

Patrzajcie w niebo: tam święci anieli

Jasnemi skrzydły w górę ulecieli,

Drogę wskazując do grodu jasnego,

Kędy przybytek pokoju wiecznego.

Były jeszcze i inne śpiewy, w których się często wspominały brzegi *Jordanu*, ziemia *Chanaan*, nowe *Jeruzalem*; bo umysł Murzyna wrażliwy i niespokojny miłuje hymny przepętnio-

ne plastyczną obrazowością.... Podczas śpiewu jedni się śmieli, drudzy płakali, inni się ściskali za ręce, jakby się wzajem pozdrawiając, że szczęśliwie dobili do drugiego brzegu rzeki, co życie od wieczności dzieli.

Pieśni się przeplatały uwagami, i naukami moralnemi. Staruszka biała jak gołąb, oddawna już wolna od wszelkiej pracy, ale poważana i szanowana jako żyjąca kronika, powstała, i opierając się na kij, tak mówiła:

— Moje dzieci, jam bardzo szczęśliwa! Bóg mi dozwolił widzieć i słuchać was jeszcze dzisiaj! Niewiem kiedy mię Bóg powoła do siebie. Jestem w pogotowiu, moje dobre dzieci; już zabrałam i upakowałam co mi potrzebne do tej podróży, i czekam tylko wozka, by wyruszyć w drogę. Każdej nocy słyszę skrzyp kół, wozek już blisko, a ja czekam i doczekać niemogę.... Gotujcie się, dzieci, bo niewiecie ani dnia ani godziny.... słuchajcie słów moich i pamiętajcie o nich!

Stuknęła kijem i tak dalej mówiła: — Chwała przedwiecznemu! Dzieci nieście cześć Panu! Ale wy niemacie tego na względzie.... Dzieci ja was nierozumiem.

Staruszka usiadła, lzy strumieniem potoczyły się po jej wybladłych policzkach; a obecni jakby jedną myślą ożywieni zaśpiewali.

O Chanaan! o ziemio błogosławiona!

Ja idę do ziemi Chanaan!

Mister Dżordż na ogólne prośby, zaczął czytać ostatnie rozdziały Apokalipsy; a wykrzykniki ogólne przerywały mu po kilkakroć: „O mój Boże! posłuchajcie! zważcie! i wszystko to będzie!“

Dżordż, chłopak z natury uważny, a wychowany starannie przez matkę w zasadach religijnych, widząc, że jest celem uwagi powszechnej, dodawał od siebie niektóre tłumaczenia, z powagą godną pochwały. Młodzież go podziwiała, starzy go błogosławili. Ze wszech stron dowodzono, że nawet xiądz nielepiby sobie dał rady, jak ich dobry, kochany panicz.

We wszystkich kwestjach religijnych, Toma słuchano w całej okolicy, jakby patryarchy. Moralna strona w nim górowała; jego umysł rozwinięty, pogląd rozległy, stawiały go wyżej po nad cały ogół Murzynów: i dla tego wszyscy go szanowali, szukali u niego porady i pociechy w strapieniach.

Jego nauki proste, ale pełne ciepłej wiary i miłości, poruszyłyby najbardziej ucywilizowanych słuchaczy; a jego modlitwa wzniosła i płynąca z serca, przeplatana cytatami z Pisma

Świętego, które chociaż czytał z trudnością, ale zawsze umiał przytoczyć w porę, do łez wszystkich rozczulała.

Wedle słów Murzynów, modlitwa jego zawsze trafiała do Boga; to też nieraz obecni wtórowali mu głośnym płaczem i serdecznymi westchnieniami.

Gdy się to dzieje w chacie niewolnika, zupełnie inna się scena odegrywała w domu właściciela.

Handlarz Murzynów i mister Szelby siedzieli za stołem zarzuconym papierami. Mister Szelby podał Hellemu cały pak dokumentów do przejrzenia.

— Wszystko w porządku, — powiedział handlarz, — zostaje tylko podpisać.

Szelby porwał za pióro z gwałtownością i podpisał gorączkowo, jakby chcąc prędzej uwolnić się od wyrzutów sumienia, i oddał handlarzowi dokumenta sprzedaży. Helli wyjął z pugilareshu pergamin i podał go mistrowi Szelby, a ten go pochwycił z niepokojnością, której ukryć nie był w stanie.

— Teraz interes skończony, — powiedział Helli wstając.

— *Skończony!* — podchwycił Szelby w głębokiej zadumie, i jeszcze raz powtórzył: *skończony!*

— Pan niebardzo jesteś zadowolony z tego jak mi się zdaje, — dorzucił handlarz.

— Helli, — odpowiedział Szelby, — pamiętasz, jak sądzę, żeś mi dał słowo sprzedać Toma nieinaczéj jak do zanego domu.

— Bądź pan przekonany, że w tym względzie pójdę za pańskim przykładem, — powiedział handlarz.

— Pan wiesz, że mię zmusiła konieczność!

— Przecież i mnie może to spotkać, — dorzucił Helli. — Zresztą użyję wszelkich starań, by dobrze ulokować Toma; co się zaś tyczy mego z nim ojejścia, pan możesz być zupełnie spokojny. Godziennie dziękuję Bogu, że mi dał serce tklive.

Handlarz od pierwszego słowa dał się poznać we właściwym świetle, i dla tego jego filantropija ogłędnie kupiecka wcale nieuspokoila mistra Szelby, co do losu nieszczęśliwego Toma; ale w obecnej chwili, wszystko już było skończone, i wszelkie wymagania ze strony dawnego właściciela byłyby śmiesznością.

ROZDZIAŁ V.

Uczucia, z jakimi własność żyjąca przechodzi od jednego właściciela do drugiego.

Jesteśmy w sypialni państwa Szelby. Mister Szelby siedzi w wygodnym fotelu i przeziera listy otrzymane po obiedzie. Mistris Szelby stoi przed lustrem i rozpuszcza loki i loczki, w które Eliza jęj warkocz ubrała. Mistris Szelby wyprawiła Elizę, spostrzegłszy bladosc na jęj twarzy i złamanie w całej postaci, i dla tego sama się rozbierając, zwróciła się do męża z obojętném zapytaniem:

— Ale, Arturze, kto to jest ten nieokrzesany jegomość, co go dziś przyciągnął na obiad?

— To jest Helli, — odpowiedział Szelby poprawiając się z pewnym zakłopotaniem na fotelu i nieodrywając wzroku od listów.

— Helli? powiedz mi zmiluj się co to za człowiek? i co jest przyczyną jego obecności w naszym domu?

— Robiłem z nim ostatnimi czasy rozmaite interesy, podczas mojej bytności w Naczez.

— Czyż to go mogło upoważniać, przyjechać do nas na obiad, być przyjętym jako przyjaciel domu?

— Jam go zaprosił; mamy z sobą rachunki.

— On handluje Murzynami? — zapytała mistris Szelby, spostrzegłszy za twarzy męża pewien rodzaj niespokojności.

— I cóż to cię obchodzi, moja droga? — powiedział mister Szelby, podniosłszy swe oczy na żonę.

— Tak.... wyobraź, co za dziwactwo: po obiedzie Eliza wpadła do mnie pomieszana, dowodząc że sama słyszała, jak Helli proponował ci kupić jęj syna; nieprawdaż, że to dziwaczne urojenie?

— Ona słyszała? — przemówił mister Szelby biorąc się znowu do przeglądania papierów, z całą uwagą jak się zdawało, chociaż je trzymał do góry nogami. „Po co tu tać? pomyślał, pierwiej czy później musi się przecież dowiedzieć.“

— Ja powiedziałam Elizie, — dodała Mistris Szelby, — że ona dziwaczy, że ci ani w głowie mogło postać, przedawać któregośkolwiek bądź z naszych ludzi, a témbardziej, takiemu jak ten człowiekowi.

— Rzeczywiście Emilijo, ja zawsze tak sądziłem, było to moje przekonanie; ale teraz okoliczności się zmieniły, i jestem zmuszony odprzedać kilku ludzi.

—Przedać takiemu człowiekowi? To być niemożne, mister Szelby; zartujesz sobie ze mnie.

—Bardzo mi przykro się przyznać, że mi wcale nie do żartów. Jestem zdecydowany przedać Toma.

—Jakto? naszego Toma? naszego zacnego, pocziwego Toma? który od dzieciństwa wiernie ci służył? Ach, mister Szelby!.. A jednak obiecałeś mu dać wolność — powtarzaliśmy mu nieraz tę obietnicę... O! teraz mogę uwierzyć nawet i temu, żeś sprzedał małego Harry, jedyne dziecko biednej Elizy! — powiedziała mistris głosem nabrzmiałym boleścią i oburzeniem.

—Tak jest, i to prawda. Jeżeli tak ci pilno wszystko wiedzieć, to muszę ci wyznać, że się zdecydowałem przedać Toma i Harry; ale jeszcze niepojmuję powodu. By za to, co jest rzeczą zwyczajną, co wszyscy robią niemal codziennie, uważać mnie za potwora?

—Dla czegoż ich właśnie wybrałeś? Skoro koniecznym było sprzedać kogo, to można było inny zrobić wybór.

—Dla tego, że za nich dają drożej niż za innych. Zresztą dla mnie to wszystko jedno, możemy sprzedać kogo innego. Ten człowiek proponuje mi za Elizę grube pieniądze. Jak uważasz? możeby to było lepiej?

—A co za podłość! — zawołała mister Szelby w gwałtownym uniesieniu.

—Ja przecież tego nie zrobiłem, szanując twoje uczucia; za nie w świecie na to się nie zgodzę: słuszną przeto, żebyś miała jakkolwiek bądź wzgląd na moje położenie i ufała mi choć trochę.

—Przebac mi, mój drogi, ja się uniosła, — powiedziała mistris Szelby; — wiadomość ta przeraziła mnie niesłychanie; ale, mam nadzieję, pozwolisz mi wstawić się za tymi nieszczęśliwymi. Tom, chociaż Murzyn, jest człowiekiem prawym, z zaciętym szlachetnym sercem. Ja jestem pewna, że w przypadku potrzeby chętnieby życie swoje poświęcił dla ciebie.

—Ja wiem o tym; ale cóż to pomoże? ja niemogę inaczej postąpić.

—Czyż nielepiej narazić się na stratę? ja z chęcią połowę biorę na siebie.... O, mister Szelby! ty wiesz, że z całą sumiennością dobrej Chrześcijanki, ja się starałam wywiązać z mych obowiązków względem tych biednych, mocą prawa do nas przykutych istot. Wiele to już lat ja się nimi opiekuję, staram się zbadać wszystkie ich potrzeby i dobrocią naprowadzić ich na drogę prawdy. Jakieżże czołem będziemy mogli im spojrzeć w oczy teraz, kiedy dla lichego zysku zgadzamy się sprzedać

najlepszego najwierniejszego Toma? rozdzielić go w jednej chwili z tem wszystkim do czego mu serce przyrosło na głucho? Ja starałam się zaszcześcić w ich proste serca uczucia rodzinne, uznanie obowiązków dzieci dla rodziców, rodziców dla dzieci, męża dla żony — a teraz uczynkiem dowodzimy, że to były słowa bez myśli, że zasady, któreśmy im chcieli przelać, dopóty nam tylko służą, dopóki ich niezagłuszy interes pieniężny. Ja często rozmawiałam z Elizą o jej dziecięciu — mówiłam wiele o obowiązkach jej dla Harry, jak go powinna kształcić i wychować, jak wszcześcić w jego młodociane serce pierwsze zasady nauki Chrystusa, — a teraz co ja powiem, gdy ty oderwiesz jej jedyne dziecko od zboliałej piersi matczynej i przedasz je niegodziwemu handlarzowi, przedasz z duszą i ciałem? bo ten człowiek bez zasad, ciało zdręczy a duszę splugawi, i to wszystko dla zysku. Jam jej mówiła, że zbawienie duszy winno być droższe nad wszystkie ziemskie skarby; jakże mi teraz ma zaufać, gdy sprzedamy jej dziecko jedyne, sprzedamy na pewną zagubę ciała i duszy?

—Bardzo mi przykro, że tak bierzesz tę sprawę do serca. Szanuję twoje przekonania, chociaż muszę się przyznać, niezawsze je podzielam, a przynajmniej nieposuwam ich do przesady; lecz wszystko to do niczego nieprowadzi: konieczność nas zmusza — musimy albo przedać Toma i Harry, albo się wyzuć z całej posiadłości. Helli, niewiem jakim sposobem, przyszedł do posiadania dokumentu zastawnego na moję plantacyę: skoro więc nietrafie z nim do końca, mogą mi zabrać wszystko, czém władałem przed wydaniem tego dokumentu. Używałem wszelkich środków możliwych, chciałem się zapożyczyć, narażałem się na poniżenie; ale to próżno, niema innego ratunku — musimy sprzedać Toma i Harry, i przecie załatwić tę nieszczęśliwą sprawę. Przecież nie z dobrej woli takem się rozrządził: — Hellemu podobał się ten chłopak, niechciał inaczej skończyć interesu — on miał prawo za sobą — musiałem się zgodzić. Jeżeli ci tak szkoda Toma i Harry, to czyż lepiej sprzedać wszystko i pójść w świat o kiju?

Mistris Szelby stała przez chwilę, jakby piorunem rażona; później zwracając się do toalety i zakrywając twarz rękami, zawołała w najwyższym wzruszeniu:

—O, to przekleństwo Boże! Okropne prawo niewoli! jest to przekleństwo na głowę pana i na głowę niewolnika... Ja byłam szalona gdyś sądziła, iż można zrobić coś dobrego w obec takiej zasady prawa. Mieć niewolników jest grzechem, — zawszem to czuła i tak myślała gdyś jeszcze była małą dziewczynką;

a teraz okoliczności boleśnie potwierdziły moje przekonanie. Mnie się zdawało, że łagodnością, sprawiedliwością, dobrem obyczajem potrafię tak przywiązać do siebie niewolników, iż niebędą tęsknić do swobody.... Dziwne szaleństwo!

— Ej żoneczko! jak widzę należysz do partyi tych, którzy pragną zniesienia niewoli. Zawzięta z ciebie abolicjonistka.

— Abolicjonisci wtenczasby mieli prawo mówić, skoroby tak zbadali jak ja stanowisko społeczne niewolników. I cóż oni nam nowego powiedzą? Wiesz przecie, że nigdy nieprzykladałam wiary do słuszności niewoli i nigdy niepragnęła władać niewolnikami.

— Rozmijasz się przeto ze zdaniem wielu zaenych, pobożnych i rozumnych ludzi. Czy przypominasz sobie kazanie mistra B*, które miał przeszłej niedzieli?

— Niepotrzeba mi takich kazań, i wołałabym nie podobnego więcej niesłyszeć w kościele. Zapewnie, może kapłani, owi pastarze ducha, niemogą wyleczyć i wykorzenie z ustaw towarzystwa tej szkaradnej zasady; ale dla tego, by stawać w obronie niewoli, być jej apostołem, trzeba być pozbawionym albo sumienia albo zdrowego rozsądku. Przecież sam nieprzywiązywałeś nigdy zbyt wielkiej wagi do kazań podobnych.

— Rzeczywiście, trudno zaprzeczać, nasi kaznodzieje dalej się posuwają niż my proszą grzesznicy, których świat i okoliczności często zmuszają do potakiwania złemu, i przyzwyczajają powoli do tego co być nie powinno. Ale nam niemoże przecie się podobać, gdy mówcy i kobiety zbyt doraźnie wypowiadają swoje przekonania zabaczając o skromności. Tak jest, moja droga. Spodziewam się, że przekonałaś się teraz, iż mnie do tego kroku zmusiła konieczność, że z dwójga złego wybrałem mniejsze.

— O, tak, tak! — zawołała mistress Szelby roztargniona bawiąc się ze swoim zegarkiem. — Na nieszczęście niema żadnych kosztowności — dodała ona zamyślona: — ileby można dostać za ten zegarek? zapłaciliśmy zań bardzo drogo. Jaby z chęcią poświęciła wszystko, żeby przynajmniej wyratować dziecko Elizy.

— Bardzo mi przykro, że to cię tak martwi.... napróżno tylko się dręczysz, rzeczy już skończone, moja droga Emiljo, dokument sprzedaży podpisany i w ręku Helli; dziękujmy Bogu, że to się tak skończyło a niegorzej. Uwolniliśmy się od człowieka, który nas trzymał w ręku i mógł nas puścić z torbami. Ty go nieznasz i wiedzieć nie możesz, jak mnie było trudno trafić do końca.

— Czyż on taki okrutny?

— Okrutny... nie, niepowiem; ale jest to człowiek kamień, człowiek, którego nie niezatrzyma gdy chodzi o zyski i korzyści; zimny jak mogiła, nieniągany jak śmierć. On opuszcza rodzoną matkę, byleby mu dobrze zapłacono, i robi to zupełnie spokojnie, jakby to go nie niekosztowało, i jeszcze żegnając się pobłogosławi na drogę.

— I ten człowiek nieczemny panuje teraz nad Tomem i synem Elizy?

— Tak, moja droga. Mnie samemu ta sprawa kamieniem młyńskim cięży na piersiach... Hellemu pilno, i on od jutra chce wstąpić we władanie. Ja niemogę patrzeć na to: równo ze światem każę sobie osiodłać konia i pojedę gdziekolwiek; radzę i tobie zrobić to samo. Postaraj się także oddalić Elizę: lepiej gdyby jej nie było przy tém.

— Nie, nigdy! — powiedziała mistress Szelby, — ja nieprzyłożę ręki do tego okrucieństwa. Pójdę ze słowem pociechy do starego Toma, niech mu Bóg przyjdzie z pomocą, i niech odejdzie od nas z tém przekonaniem, że ja współczułam jego niedoli. O Elizie ja lękam się pomyśleć. To okropnie... mój Boże! mój Boże! za cożś nas tak ciężko pokarał? czyż tak wielkie są nasze winy?

Rozmowę tę podsłuchiwała trzecia osoba, osoba, którą to najbliżej dotyczyło: do sypialni państwa Szelby przytykał skład, od którego drzwi wychodziły na ganek. Eliza niespokojna, rozgorączkowana, dręczona ciągle podejrzeniem, niespokojnością o dołę dziecięcia, postanowiła skorzystać z tego sąsiedztwa. Skoro mistress Szelby pozwoliła jej odejść, z uchem przyłożonem do szpary we drzwiach, zatrzymując oddech, biedna wysłuchiwała całą rozmowę, której każdy wyraz wypalał się ognistemi zgłoskami na sercu zranionem.

Rozmowa już ustała, a ona jeszcze lękała się wierzyć uszom własnym... cios był za-silny. Błada, drżąca cała, z konwulsyjnie zaciśniętymi ustami, wcale niebyła podobną do owęj ślicznej, łagodnej istoty, którąśmy w pierwszym rozdziale widzieli. Ostrożnie przeszła przez pokój — zatrzymała się na chwilę przed drzwiami swęj pani, wzniosła ręce ku niebu, jakby błagając sprawiedliwości i opieki w przedsięwziętym zamiarze, i wróciła do swojego pokoiku, w którym tak się wiele wspomnień związało, tyle szczęśliwych chwil przeżyło. Oto okno, przy którym siedząc z piosnką na ustach oczekiwała swego ukochanego, tu szafka z książkami, a dalej komoda z jej skromną garderobą — to cały jej światek. W kącie w kółeczku spało dziecię; jego długie włosy rozrzucone bezładnie przykryły twarzyczkę pełną spoko-

ju, nawpół otwarte usteczka czekały zda się pocałunku, na twarzy jego był uśmiech dziecięcia, co się nieleka jutra.

— Dziecię moje, moje biedne dziecko! ciebie przedali! — powiedziała Eliza, — ale matka potrafić jeszcze uratować.

I na poduszczykę dziecięcia niestoczyła się ani jedna łza matczyna. Są chwile w życiu, gdy serce kamienieje z boleści i na łzę się zdobyć nie może.

Eliza pochwyciła kawałek papieru i zaczęła pisać co następuje: „O pani moja, dobra pani! nieposadzaj mnie o niewdzięczność: ja nie mogłam inaczej postąpić. Wczoraj słyszałam waszą rozmowę: ja muszę ratować moje dziecko — ty mi to przebaczysz. Niech błogosławieństwo Boże będzie nad wami i nagrodi cię pani za twoją dobroć.“

Z gorączkowym pośpiechem złożyła ten list, zaadresowała; później wyjęła z komody odzienie dziecinne, upakowała do zawiniątka, które chustką przywiązała sobie na plecach.

Dziwne, niezbadane są tajnie macierzyńskiego serca! że też w tak okropnej chwili mogła biedna Eliza, niezapomnieć zabrać wszystkich zabawek dziecinnych małego Harry, zostawiając tylko jaskrawą pomalowaną papugę, by zająć dziecinę gdy go rozbudzi.

Trudno było go rozbudzić, ale gdy się to jakoś zrobiło i chłopak rozbudzony siedział w łóżeczku i obracał na wszystkie strony swoją papugę, matka zaczęła się ubierać do drogi, okryła się chustką, włożyła kapelusz.

— A gdzie mama idzie? — zapytał on gdy matka zbliżyła się do łóżeczka z jego odzieniem w ręku. Harry spójrział na matkę, i z jej wzroku i wyrazu fizjonomii, domyślił się, że musiało coś zająć nadzwyczajnego.

— Ciesz się Harry, — powiedziała ona, — niemów tak głośno, mogą nas posłyszeć. Zły człowiek, chce zabrać twoją mamie ciebie, mój Harry, i zawieść daleko do ciemnicy; ale mama nie odda ciebie, mój ty skarbie jedyny, mama ubierze ciebie i uciecze z tobą, a zły człowiek nas niedogoni.

Mówiąc to, skończyła niewymyślną toaletę swego dzieciaka, i wzięwszy go na ręce sze pnęła mu, by się nie odzywał, i otworzywszy drzwi prowadzące na galerię, cichutko wymknęła się z domu.

Noc była mroźna — gwiazdy iskrzyły i migotały na ciemnym niebios sklepieniu. Matka otuliła chustką dziecko. Strach pozbawił go zwykłej żywości; przerażony przytulił się do piersi matczyniej, obwinął drobnymi rączkami jej szyję i na nią zawisnął.

Stary Bruno, pies Njufaundlandzki, wartujący zwykle na galerii, skoro posłyszał szelest i stapanie, powstał, nasrożył się i zaczął warczeć; — ale gdy Eliza pocichu zawołała nań po imieniu, poznał głos dobrze znajomy, zaczął się łasić, kręcić ogonem i zamierzał już towarzyszyć swą opiekunce, która go przez tyle lat pieściła, chociaż jego przemadra głowa nie mogła pojąć celu tak opóźnionej nocnej przechadzki. Jakieś niejasne przeeczucie o niewłaściwości takiego kroku, widocznie go musiało kłopotać, bo się często zastanawiał, oglądał, to na dom to na Elizę, aż w końcu jakby się zgadzając z koniecznością, poszedł w ślad za uciekającą kobietą. W kilka minut Eliza zatrzymała się przed Chatką Toma i zeicha zapukała do okna.

Zebranie pobożne w chatce Toma przeciągnęło się tego wieczora dłużej jak zwykle. Później gdy się wszyscy rozeszli, Tom długo jeszcze śpiewał pieśni pobożne i hymny, i dla tego chociaż już było po północy, on i jego dostojna małżonka jeszcze czuwali.

— O dla Boga! cóż to jest? — powiedziała matka Chloe, wstając z pośpiechem i uchylając firanki, — Wszak to Eliza? No mój stary, ubieraj się żwawo.... A ot i stary Bruno przywłókł się razem... Cóżby to takiego być mogło? Trzeba widać drzwi otworzyć.

Za słowem czyn nastąpił, drzwi się otworzyły, i światło od małej świeczki, którą Tom zapalił, padło na wybladłą i przestraszoną twarz Elizy.

— Pan Bóg z tobą, Elizo! toż na ciebie strach spójrz! Czyś ty chora? a może się co stało?

— Ja muszę uciekać, ojcze Tom! uciekać wraz z moim Harry, matko Chloe! Pan go sprzedał.

— Sprzedał go! — powtórzyli oboje wznosząc ręce z przerażeniem.

— Tak, sprzedał go, — powtórzyła Eliza pewnym głosem. — Dzisiaj podśluchałam pode drzwiami, jak pan mówił pani, że sprzedał mego Harry i ciebie sprzedał, ojcze Tom, że sam jutro wyjedzie konno na spacer, a handlarz tymczasem pójdzie was zabrać.

Gdy to mówiła Eliza, Tom stał w osłupieniu z podniesionymi rękami, słuchał jakby przez sen; ale gdy skończyła, siły go opuściły, osunął się na krzesło, ręce opadły bezwładnie, a głowa się pochyliła aż do kolan.

— Panie, zlituj się nad nami! — zawoła Chloe, — czyż to być może? cóż on zawinił, że mister go sprzedaje?

— On nie niezawinił, i to wcale nie dla tego! Pan nie chciał ich

sprzedawać; a pani nasza jak zwykle dobra wstawiała się za was, prosiła — ja to słyszałam. Ale pan odpowiedział, że niemożę inaczej postąpić, że winien sam handlarzowi, i że gdy was nie sprzeda, to będzie musiał stracić plantację i wszystkich ludzi i zostać bez przytulku z całą rodziną. — O ja to słyszałam jak dowodził, że musi sprzedać albo ciebie, ojcze Tom, i mojego syna, albo wszystkich. Tak go opłatał ten człowiek! Pan mówił, że bardzo tego żałuje... a żebyście słyszeli jak dobra pani was żałowała! Już kiedy ona nie święta, jeżeli to nie anioł z nieba, to chyba już widać ich niema i niebyło na świecie. Ja źle robię, że ich opuszczam i uciekam, ale cóż począć? Ona sama mówiła, że dusza ludzka droższa nad wszystkie skarby na świecie. Mój syn ma także duszę, a gdy go ode mnie odbiorą, to cóż się stanie z jego biedną duszeczka? Zdaje mi się, że ja mam słusność; a kiedy źle robię, to niech mi Bóg przebaczy: bo już nie wiem, doprawdy jak sobie inaczej doradzić.

— A ty cóż siedzisz, stary? — powiedziała matka Chloe, — cóż to, niemyślisz uciekać? Czekasz może póki cię związanego spławia na południe, gdzie naszych braci głodem i pracą niweczają! O lepsza śmierć niż takie życie!... Jeszcze czas; ruszaj z Elizą. Ty masz kartę, możesz odchodzić i wracać kiedy ci się spodoba: no zwań się wybieraj się w drogę! ja ci tymczasem złożę zawiniątko.

Tom powoli podniósł głowę i spójrzawszy wzrokiem smutnym ale spokojnym.

— Nie, ja niepójdę, — powiedział. — Eliza niech ucieka, ona ma słusność za sobą; a ja jej pewno niebędę zdradzać lub przeszkadzać. Ona niemożę i niepowinna zostać, to przeciw natury. Aleś ty słyszała, że trzeba albo mnie sprzedać albo całą osadę i wszystko stracić — niechże lepiej mnie jednego spotka zła dola. Dla czegożbym nie miał znosić tego, coby inni znosić musieli? — dodał on, a tymczasem pierś jego szeroka wznosiła się tajonem westchnieniem, i boleśnym kurezem. — Pan zwykle mnie znajdował na miejscu, zawsze przy pracy na swoim stanowisku, i teraz tak będzie. Zawsze byłem pościwy, i nigdy nienadużył daną mi karty, na słowo, bo słowo człowieka święte — Tom i dziś słowa niezłamie. Toć lepiej niech mnie jednego sprzedają, niżby wszystkich miał los ten spotkać. Pan temu niewinien... Chloe, on będzie miał wzgląd na ciebie — i na tych biednych.....

Mówiąc to zwrócił się do łóżeczka, z którego wyglądały dwie główki kędziarzawę; spójrzawszy i głos mu przymarzył do krtani, pochylił się do ściany, zakrył twarz rękami, piersi rozrywał je

głośny, a łzy przedzierając się przez palce potoczyły się strumieniem.

I były te łzy zupełnie *takie same*, jakimi, łaskawy czytelniku, skrapiasz trumienkę swego jedynaka; *takie same*, jakimi się zalewasz, łaskawa czytelniczko, słysząc krzyk umierającego dziecięcia: — a to dla tego, łaskawi panowie, że Tom był człowiekiem, zupełnie *takim samym* jak my wszyscy. A ty, jasna pani, chociaż cię atlas, koruny i drogie zdobia kamienie, przecież jesteś tylko kobietą — i w obec wielkiej boleści lub nieszczęścia, piersią twą szamocę właściwe wszystkim ludziom cierpienie.

— Męża swego, — powiedziała Eliza, zatrzymując się w progu — widziałam wczora w wieczór; o! wtedy ja niewiedziałam, że nas dotknie takie nieszczęście. Jego tak zdręczyli, że już sił braknie do znoszenia, mówił mi, że chce uciekać.... Postarajcie się, jeżeli to podobna, z nim się zobaczyć i opowiedzieć mu, jak ja uciekłam i dla czego tak postąpiłam — i powiedzcie mu, że będę się starała dostać do Kanady; zapewnijcie go, że ja go kocham — i powiedzcie, że jeżeli Bóg nam niepozwoli się zobaczyć.... Mówiąc to odwróciła się i po chwili dodała głosem przez łkanie tłumionym: — Powiedzcie żeby się starał żyć wedle Boga, by się choć po śmierci spotkać ze sobą — tam... w niebie.... Przywołajcie Bruno — pocóż ma iść za mną?...

I jeszcze kilka słów na pożegnanie, kilka błogosławieństw na drogę, kilka uściśnień łzami zroszonych, — a później biedna kobieta z dzieckiem na ręku poszła w świat, drżąc i niepewna przyszłości, jaka ją czeka.

ROZDZIAŁ VI.

O d k r y c i e.

Państwo Szelby po swęj rozmowie nieprędko mogli zasnąć, i na drugi dzień wstali później niż zwykle.

— Niepojmuję co się stało z Elizą? — powiedziała pani Szelby, — dzwoniłam już kilka razy, a ona nieprzychodzi.

Szelby stał przed lustrem ostrząc brzytwę na pasku; wtém drzwi się otworzyły, do pokoju wszedł młody Mulat przynosząc wodę do golenia.

— Andrzej, — powiedziała pani Szelby, — postukaj do Elizy i powiedz jej, że już trzy razy na nią dzwoniłam.... Biedna kobieta!... dodała wdychając.

Andrzej wrócił po chwili z przestraciem na twarzy: — Ach pani! w Elizy pokoju komody otwarte, rzeczy porozrzucane, ona zdaje się uciekła!

Wyrazy te jak błyskawica odbiły się na twarzach męża i żony. Szelby zawołał: — Domyśliła się i uciekła!

— Chwała Bogu! — powiedziała mistress Szelby — niech ją biedną Bóg prowadzi.

— Żono! ty bredzisz jak dziecko: ucieczka ta nabawi mnie najokropniejszego kłopotu. Helli przecież wiedział, że niechciałem mu sprzedać tego chłopca; gotów jeszcze sobie pomyśleć, że ja przyłożyłem się do tej ucieczki. Sprawa ta leży na moim honorze.

Mister Szelby wyszedł z pokoju z pośpiechem. W całym domu powstał ruch wielki, biegania, stukanie drzwiami; rozmaite figury snuły się tu i ówdzie zakłopotane. Jedna matka Chloe mogłaby wiele wyjaśnić pod względem tej kwestyi, ale ona milczała; twarz jej zwykle promieniejąca radością, dziś była chmurna, nadąsana. Mileząc przygotowywała sucharki do herbaty, niezwracając na to uwagi, co się koło niej działo, jakby nie widzieć i słyszeć niemogła.

Wkrótce z tuzin chłopaczków czarnych jak kruki zalokowało się na wschodach od ganku; a każdemu z nich się chciało uprzedzić innych zawiadomieniem handlarza, że mu się spekulacja nieudała.

— On pęknie ze złości, zobaczycie! — powiedział Andrzej.

— Tożto będzie łajał! — dodał mały Dżak.

— Tak, tak, on ciągle łaje; — dodała z kolei Mendi, — ja wczoraj wszystko słyszałam co mówili podczas obiadu, siedziałam w spiżarni co obok jadalni. Ja wszystko słyszałam.

Mendi, która od urodzenia nigdy nierozumiała co jej mówiono, pragnęła uchodzić za sprytną dziewczynkę, i z pewną powagą przechadzała się po ganku. Zapomniała tylko dodać, że wczoraj zamiast podsłuchiwać w spiżarni, przespala tam czas cały.

W końcu przyjechał Helli w bótach z ostrogami, i na samym wstępie spotkała go ta nieprzyjemna nowina.

Urwisy niezawiedli się w swoim oczekiwaniu połajanek: jak grad posypały się z ust Helli ku wielkiemu zadowoleniu swawolnej diatwy, która jednak trzymała się w przyzwolonej odległości, by biec Helli niemógł którego osiągnąć. Wkrótce jeden przez drugiego kulając i przeskakując rozsypali się i poczęli tarzać się po murawie na dziedzińcu, krzycząc, piszcząc i śmiejąc się.

— O djabłęta! — mruczał pod nosem Helli — poczekajcie, niechao którego złapię!

— Zaraz! my tego tylko i czekamy, — przerwał Andrzej robiąc z powagą najpociesniejsze miny, gdy się kupiec tyłem do niego obrócił i niemógł go słyszeć.

— Cuda się dzieją, Szelby! — powiedział Helli, wchodząc zniechęta do pokoju; — dziewczka ta zdaje mi się uciekła ze swoim dzieciakiem??

— Mister Helli, to jest moja żona! — powiedział Szelby z godnością.

— Przepraszam panię, — odezwał się Helli marszcząc brwi i kłaniając się niedbale; — ale ja wracam do rzeczy: dziwne tu spotkam wieści, czy to prawda, mój panie?

— Jeżeli się pan chcesz ze mną rozmówić, proszę się zachować jak przystoi na dżentelmena. Andrzej, przyjmij biec i kapelusze od mistra Helli. Proszę siadać. Tak, mój panie, ze smutkiem muszę panu wyznać, że młoda kobieta musiała nas podsłuchać albo się domysleć, i uciekła tej nocy z synem.

— Ja się spodziewałem, że w tej sprawie postąpią ze mną honorowie.

— Jakto, mój panie? — powiedział mister Szelby podchodząc prędko do niego, — co pan chcesz przez to rozumieć? Dla ludzi, co by się wazyli wątpić o moim honorze, jedną mam tylko odpowiedź.

Te słowa widocznie zrobiły na handlarzu wrażenie, poskromniał bowiem wielce i dodał cichym głosem:

— W każdym razie zgodzi się pan, że przykro jest spotkać się z takim zawodem, gdy człowiek myślał, że zrobił dobry interes.

— Mój panie, — powiedział mister Szelby, — jeżelibym mógł pana podejrzewać, że powątpiewasz o sumiennosci naszej umowy, niepozwolilibym panu wejść do pokoju, témbardziej tak nieprzyzwoicie jak pan to zrobiłeś. Czuję się obowiązany dodać panu, że żadnej w tym względzie nieprzyjmuje uwagi; honor mój wolen od podejrzenia — proszę to pamiętać, mój panie. Czuję się jednak obowiązany okazać panu pomoc: ludzie moi i konie są na pańskie zawołanie, staraj się pan znaleźć swą własność.... Jednym słowem, wiesz co, Helli, — dodał, zmieniając ton zimnej godności, z jaką przedtém rozmawiał, na bardziej poufale, — najlepiej wcale się tęp niemartwić, ale zjeść z nami śniadanie, a o interesie pomówimy później.

Pani Szelby powstała, wymawiając się, że ma wiele zajęć i dla tego niemoże asystować przy śniadaniu, i poruczywszy przygotowanie kawy młodej Mulatee — wyszła z pokoju.

— Imość niebardzo łaskawa na waszego pokornego sługę, — powiedział Helli, starając się zmienić ton rozmowy i przejść na stopę przyjaźnej poufaleści.

— Niezwykłem słyść, by się kto o mojej żonie śmiał tak poufale odzywać, — powiedział sucho Szelby.

— Przepraszam, ale to był prosty żart, pan to rozumiesz?

— Żarty niezawsze są przyjemne.

— Djabelnie zhardział od czasu jak skończył interes! — przemruzał kupiec przez zęby — patrz go, jak spaniał od wczora!

Nigdy obalenie pierwszego ministra przez intrygi dworaków, nie zrobiło takiego wrażenia, jak wiadomość o doli ojca Toma we dworze; w chatkach o tém tylko rozprawiano i domyślano się, co to z tego wszystkiego będzie. Ucieczka Elizy, wypadek niesłychany na osadzie mistra Szelby, jeszcze się przyczyniła do powiększenia ogólnego zamieszania i niespokojności. Czarny Samuel (nazywano go czarnym dla tego, że skóra jego była o trzykroć ciemniejszą, jeżeli to możliwe, niż u innych Murzynów) rozważał w myśli tę sprawę ze wszystkich stron; starał się odgadnąć jej skutki, i obliczał jaki to może wyrzucić wpływ na jego stanowisko osobiste, z taką przenikliwością i pewnością poglądu, iżby mu niejeden głęboki polityk biały z Waszyngtonu mógł tego pozazdrościć.

— Zły wiatr, niewiedzieć zkąd wieje, — mówił Samuel sam do siebie, — zły wiatr, już to tak! — i pociągał spodnie, w których niezbędny guzik zastąpił ćwieczek; ten pomysł mechaniki bardzo cieszył jak się zdawało wynalazcę.

— Tak, zły wiatr kiedy niewiadomo zkąd wieje! — powtórzył. — Tom przekulił się, na jego miejsce naznaczą innego Murzyna. Dla czegożby nie mnie naprzykład? Dla czegożby Sam niemógł być tym Murzynem? Dobra myśl! konno jak Tom, jeździć konno! objeżdżać pola — glansowane bóty — czarne błyszczące... karta wolnego przejścia w kieszeni.... Będę sobie jak wielki pan jeździł. I dla czegożby kto inny nie ja? czyż Tom lepszy ode mnie? Dla czego? chciałbym ja wiedzieć.

— Ej Sam! pan kazał osiodłać Bella i Dżerry, — zawołał Andrzej przerywając monolog Samuela.

— A to na co, mój mały?

— Czyż nie wiesz, że Eliza czmychnęła ze swoim malcem?

— Cóż to tobie się zachciało i starszych uczyć! — odpowiedział Samuel z lekceważeniem, — dawno już ja o tém wiedziałem, bratku.

— No, mniejsza! pan kazał żeby konie były w ten moment gotowe, ja i ty pojedziemy z p. Helli łapać Elizę.

— Jest rzecz i okoliczność! — powiedział Samuel, — widać mnie ufają: a ja Murzyn. Zobaczysz jak ją pochwyćmy; ja wam pokażę co umiem.

— Posłuchaj, Sam, tu trzeba postępować ostrożnie; pani nie chce żebyśmy złowili Elizę; otóż trzymaj się ostro!

— Czyż tak? — zapytał Samuel wytrzeszczając oczy, — a ty zkąd wiesz o tém?

— Słyszałem to na własne uszy dziś zrana, gdy przynosił panu wodę do golenia; pani posłała mię zawołać Elizę, i kiedy się dowiedziała, że uciekła, powiedziała: „Chwała Bogu!“ pan o mało niezwarjował, i powiedział pani, że sama niewie co mówi; ale ona jego przekona, już ja to wiem jak się to dzieje. Lepiej nam trzymać z panią; zawierzaj mi, że lepiej.

Czarny Samuel poskrobał się w głowę, w której chociaż może głęboka mądrość niegościła, ale było wiele instynktowego przeczucia, tak niezbędnego politykom wszystkich narodów i wszystkich rządów, przeczucia, które pokazuje czyja strona silniejsza. Samuel się zamyslił skrobiąc się w głowę, zajęcie to pobudzało widać działalność jego mózgowego przyrządu.

— Nigdy nie trzeba się wygadywać, nigdy.... mrucał sobie pod nosem, — na tém świat stoi! i ten wyraz *na tém* powiedział z takim przyciśnięciem i poszanowaniem dla swęj głębokiej filozofii, jakby on w istocie wiedział, na czém ten świat stoi i wniosek swój na długich postrzeżeniach opierał.

— A ja myślałem, że pani wszystkich nas wyprawi w pogon za Elizą, — powiedział z zamysleniem.

— Rozumie się i ona chciałaby wrócić Elizę, — powiedział chłopczyk; — czyż ty tego zrozumieć nie możesz, głupi Murzynie, że pani nie chce żeby mister Helli zabrał z sobą małego Harry?... ot co jest.

— Hój! hój! — krzyknął Samuel z intonacją, której charakter ci tylko pojąć mogą, co słyszeli ten okrzyk w ustach Murzyna.

— A ja ci jeszcze powiem, — dodał Andi, — żebyś pośpieszał z końmi; pani już pytała się o ciebie, a ty sobie stoisz i wygrzewasz się na słońcu.

Samuel pobiegł z pośpiechem i wkrótce wrócił prowadząc Bella i Dżerry galopem, zeskoczył z siodła i postawił konie głowami do ściany. Wierzchowiec mistra Helli był młody i lękliwy, począł więc rzeć, skakać, wierzgać i słupić się.

— Oto, — powiedział Samuel, — patrzcie jaki dziki! — po czarnej jego twarzy przebiegł uśmiech szyderstwa, — poczekaj, ja cię zaraz złagodzę!

Pośrodku dziedzińca roztaczał swoje konary buk rozłożysty; cała darnina popod drzewem była zasłana trojgraniastymi orzechami. Samuel podjął jeden z nich, zbliżył się do konia, za-

czął go głaskać i poprawiając siodło wsunął pod nie orzech. Najmniejszy ciężar, wciskając ostre krawędzie orzecha w skórę drażliwego zwierzęcia, mógł je doprowadzić do szaleństwa, niezoświadczając żadnych śladów zdraśnięcia.

— Teraz — powiedział on oglądając się dokoła i dziwnie twarz wykrzywiając, — może się uspokoisz. Właśnie w tej chwili mistress Szelby wyszła na balkon i kiwnęła na Samuela. Samuel podszedł ze stałym zamiarem zastosowania się do myśli pani zupełnie, jak to się zdarza starającym się o posadę w pałacach Waszyngtonu, albo St-Dżems.

— Cóż tak zamarudziłeś, Samuelu? musiałam posyłać dla pospiechu Andrzeja.

— Ach, dla Boga, dobra pani! czyż to konie tak łatwo połapać? Bóg wie gdzie zabiegły na sam koniec łąki.

— Samuelu, ja tyle ci razy mówiłam, żebyś niewzywał imienia Pana Boga twego nadaremnie; to grzech!

— Ach, jak Boga kocham, już więcej nigdy tego niebędzie, będę pamiętać.

— Masz tobie, poprawił się.

— Czyż doprawdy? O dla Boga! już ja nie wiem jak się to stało.

— Trzeba się wystrzegać, mój Samuelu.

— Niech mi pani pozwoli tylko odehycić się, jak ja raz przyjdę do ochwatu, to już później będę się wystrzegać.

— To dobrze. Samuelu, ty pojedziesz z p. Helli, będziesz mu służył za przewodnika, będziesz mu pomagał; ale pamiętaj o koniach, mój Samuelu, wszak wiesz, że w przeszłym tygodniu Belli skaleczyła nogę.... *Niepędź ich.*

Ostatnie wyrazy mistress Szelby powiedziała pół głosem i z widoczną intencją.

— Niech się pani na nas spuści, — powiedział Samuel dopowiadając reszty wyrazem twarzy. — Bóg widzi... Ach! proszę mi darować, ja niechciałem tak powiedzieć!... zawołał on zatrzymując oddech z takim komizmem, iż nawet mistress Szelby rozśmiać się musiała. — Niech pani będzie spokojną, ja będę miał wzgląd na konie.

— No, Andrzeju, — powiedział Samuel wracając na swe stanowisko pod bukiem, — a co byś ty powiedział, gdyby koniowi mistra Helli przyszła chętka poskakać, jak poczuje jeźdźca na sobie? Ty wiesz, Andrzeju, że na konie czasami jakies licha napada; — zawyrokował Samuel, i nader znaczącym sposobem szturchnął kolegę w bok kufakiem.

— Héj! — zakrzyczał Andrzej: widocznie musiał się wszystkiego domysleć.

— Bo widzisz, Andrzeju, pani chce wygrać na czasie, to widoczna, trzeba tylko umieć postrzegać; ja chcę jej trochę pomódz. Konie możnaby odwiązać niechby sobie trochę się popasły tam pod lasem. Wiesz co ja sądzę? że ten pan nietak prędko ztąd wyruszy.

Andrzej skrzywił się.

— Uważaj, uważaj, Andrzeju! — powiedział Samuel — jeżeli z mistrem Helli co się stanie, to my rozumie się, rzucimy swoje konie i udamy się jemu na pomoc.

— Tak, tak, już my jemu pomożem, pysnie pomożem!

Samuel i Andrzej zarzucili swe kędzierzawe głowy na plecy i zalewali się śmiechem napróżno tłumionym, płasali w polu, stukali piętami z nadzwyczajnym zadowoleniem.

Helli wyszedł na ganek, kilka szklanek smacznej kawy złagodziły go trochę. Śmiejąc się więc i gawędząc wyszedł z pokoju w najlepszym humorze.

Andi i Sam pochwycili kawałki liści palmowych, które zwykli nazywać swojemi kapeluszami, podskoczyli do koni, żeby być w pogotowiu na rozkazy swego nowego pana.

Liście pokrywające głowę Sama spadały rozprószone na twarz jego i plecy wolne od wszelkiej pretensyi do wyglądanja jak kapelusz; i to dziecie natury w swym dziwacznym stroju na głowie, wyglądało jak jaki wódz dzikiego plemienia. Widocznie był ze swego stroju bardzo zadowolony i zdaje się zapytywał wzrokiem: „któż mi zarzuci, że ja bez kapelusza?“

— Dobrze chłopcy. Teraz żwawiej do roboty: niema co tracić czasu.

— Ani chwili mister! — powiedział Samuel podając mu cugle, przytrzymując strzemie, gdy tymczasem Andrzej odwiązywał inne konie.

Zaledwie Helli dotknął się do siodła, koń jak oparzony skoczył w górę, i zrzucił swego jeźdźcę na miękką murawę, która trochę złagodziła upadek.

Samuel gwałtownie rzucił się do cugli, stawiając przed oczy zestrachanego konia swą pocieszoną głowę strojną w liście palmowe, co wcale nieprzyczyniło się do uspokojenia szalonego rumaka, który przewracając Sama dał kilka susów i puścił się jak strzała po łące, a tuż za nim Bell i Dżerry, których Andrzej niezapomniał puścić zachęconych do biegu wrzaskiem niepomiarowanym.

Rozruch powstał okropny, Andrzej i Sam biegali krzycząc, psy szczekały, Maik, Mojżesz, Amander, Fanny i inne drobne exemplarze czarnego plemienia, rozbiegły się we wszystkie strony z przerażającym pniem, klaszcząc w ręce i powiększając zamieszanie. Koń mistra Helli dziarski i ognisty zdawało się że z chęcią przyczyniał się do spełnienia zamiaru sprawców tej sceny: przed nim na ćwierć mili rozciągała się we wszystkie strony łąka, przytykająca do niewielkiego gaju; koń zatrzymywał się chwilę, pozwalał się do siebie zbliżyć, ale skoro postrzegł rękę sięgającą cugli, kilku susami odsadzał się daleko i znów się zatrzymywał. Samuel niechęciał go złapać pierwsi niż była potrzeba, i rzeczywiście po-bohatersku umiał sobie radzić; wszędzie gdzie tylko było podobieństwo chociażby najmniejsze złapania rozhukanego rumaka, jak miecz Ryszarda Lwie-serce wśród boju, błyskał jego liść palmowy, a koń daleko zostawiał po za sobą goniących. Przypłót zwykłe krzyczał na całe gardło: Tu! pilnuj, łów, trzymaj! ale to tak, że krzyki wzmacniały tylko zamieszanie. Helli także biegał wraz z innymi, łajac, przeklinając i szturchając, gdy który bliżej się nawinał. Szelby wydawał z ganku rozkazy, które się niewypełniały; a mistris Szelby patrząc z okna swojego pokoju na całą tę scenę, śmiała się w duchu: widocznie się musiała czegoś domyslać.

Nareszcie koło godziny drugiej powrócił Samuel prowadząc konia mistra Helli pokrytego pianą, z ogniem w oczach, z rozdętymi nozdrzami; widocznie szał i rozhukanie jeszcze nieprzeszło.

— Złapałem! — wołał w tryumfie — Beze mnie aniby sobie rady niedali; próżna robota! ktoby tam go złapał beze mnie?

— Bez ciebie! — mruczał Helli — żeby nie ty, możeby się ta awantura niestała.

— Pan Bóg z panem! — powiedział Samuel ze zmartwionym wyrazem twarzy, — ja się nadrywam żeby panu służyć!

— Tak, tak... z twojej łaski straciłem trzy godziny czasu; ale teraz dosyć tych głupstw, dalej na konie!

— Co panu? — zawołał Sam błagającym głosem, — czy pan chcesz pozabijać i konie i ludzi? My do siebie przyjsć niemożem, a konie ledwo nogi włóczą. Możeby się pan zatrzymał na obiad... pańskiego konia trzebaby wytrzeć słomą, niech pan spójrzy do czego on podobny... Dżerry kuleje; a oprócz tego czyż to nasza pani tak pana wypuści? Pan Bóg z wami, dobry panisko, my nie na tém niestracim. Liza nigdy niebyła mocną na nogi.

Mistris Szelby którą zajmowała ta rozmowa, zeszła na dół, by wziąć w nią udział. Podchodząc do Helli, bardzo grzecznie powiedziała, jak boleje nad tém, co się stało, i usilnie go prosiła na obiad, twierdząc, że już dają do stołu.

Helli zważywszy wszystkie okoliczności, zdecydował się zostać, i jakby niechęć poszedł do pokoju, a Samuel oglądając się dokoła, z wyrazem twarzy, którego niebierzemy na się opisywać, z powagą i godnością poprowadził konie do stajni.

— A co? widziałeś Andi? ale czy dobrze widziałeś? — i gdy się oddalił od domu na tyle że słów słyszeć niemożna było, — no powiedz — zawołał — czyżto nierozkosznie było patrzeć, jak on podskakiwał, jak się dąsał, łajał, rzełbys na mitingu... Przecież słyszałeś! „Łaj sobie! stary błaznie! myślałem w duchu, łaj, ale raczysz chwilę poczekać nim ci złapię konia!“

Sam i Andrzej od śmiechu aż się brali za boki.

— Kiedym mu przyprowadził konia, to był jak opętany; tak zdaje się wziąłby i zabił mnie; szkoda tylko, że niemożna... a ja sobie stoję spokojnie jakby nie...

— Widziałem widziałem... Sam, ty jesteś bystry.

— Ja i sam to myślę, — odpowiedział Sam, — a widziałeś i ty jak się pani śmiała przy oknie.

— Z pośpiechu to i niepostrzegłem.

— Widzisz! — powiedział, Samuel zaczynając z godnością myć konia Helli, — już to u mnie we zwyczaju *rozważać*. To dobre przyzwyczajenie, Andrzej. Ja ci radzę więcej *rozważać*, póki jeszcze lata niemięły. A podejm-no tylną nogę koniowi, Andrzej. Bo widzisz, mój chłopce, z dwóch rozumnych zawsze ten lepszy co umie *rozważać*. Ot dziś zrana, czyż niezwąchałem zkad wiatr wieje? czyż niepostrzegłem czego chce pani, chociaż nie o tém niemówiła; a to wszystko znaczy *rozważać*, mój Andrzej. Ja sędzę że to właśnie i nazywa się zdolnością — zdolności bywają rozmaite u różnych narodów, rzecz leży tylko jak je wyrobić.

— A mnie się zdaje, że gdybym ja pierwsi niemiął tej twojej rozwagi, tybyś może tak prędko niedomyślił się co i jak robić potrzeba.

— Andi, tyś sprytny chłopak, ja dobrze trzymam o tobie, i dla tego wcale się niewstydzę posłuchać twojej rady. Zdarza się, że najrozumniejsi ludzie wpadają w matnię. No, pójdźmy do dworu; ja ci ręczę, że pani nas każe co się nazywa nakarmić.

R O Z D Z I A Ł VII.

Przestrach matki.

Nie można sobie wyobrazić kobiety nieszczęśliwszej i bardziej opuszczonej, jak Eliza w chwili gdy opuszczała chatkę ojca Toma. Cierpienie męża, niebezpieczeństwo wiszące nad głową dziecka, połączone ze smutnym zeznaniem oczekujących ją zdarzeń, odurzyły jej biedną głowę. Miała porzucić miejsce rodzinne i udać się w kraj daleki, nieznany, opuścić swą dobrodziejkę, którą kochała i szanowała, — tu każdy kącik dobrze jej był znany; ale konieczność zmuszała ją opuścić ten dom gdzie wzrastała, te łąki, po których biegała małym dziecięciem, te gaje, po których w dni promienne swojego życia przebiegała się wraz ze swoim mężem. Każdy przedmiot co się przedstawiał jej oczom przy niepewnym świetle nocy zdawał się patrzeć na nią z wyrzutem: „Opuszczasz swoją rodzinę, a gdzie ci będzie lepiej?” Ale głośniejszą nad wszystko przemawiała miłość macierzyńska, która w miarę zbliżania się niebezpieczeństwa wzrastała do szaleństwa. Syn jej był już w takim wieku, że mógł sam chodzić, i żeby nie przestraszyć, onaby go prowadziła za rękę; ale teraz sama myśl wypuszczenia go ze swych objęć, krew jej ścinała lodem. Konwulsyjnie przyciskała dziecię i przyspieszała krok.

Zamarzła ziemia chrupała pod jej nogami, a każdy szelest drzeniem ją przejmował; czy liść zaszeleści, czy jaki cień się przesunie, cała masa krwi przypiływała jej do serca, zabijała oddech, ale zda się strach powiększał siły i przyspieszał ucieczkę. Dziecię zdawało się jej lekkim jak pióro; trwoga jej służyła za przewodnika, a jedyną obroną była modlitwa. Boże, zlituj się nade mną! Boże, poratuj mnie!

Matki, co będziecie te karty przecierać, wyobraźcie sobie, że wasze jedyne dziecię mają jutro oddać nieokrzesanemu handlarzowi, że warunki sprzedaży już ukończone i podpisane... wyobraźcie sobie, że ze świtem wszystko się skończy, i że tylko noc może was ratować, a pojmiecie wtedy, co to jest uciekać z drogim skarbem... pojmiecie ile to mil można zrobić w kilka godzin z tym słodkim ciężarem na ręku, gdy tymczasem mała jego główka drzemie na waszym ramieniu, a drobne rączki z całym zaufaniem obwinęły waszą szyję...

Dziecię spało. Strach i nowość położenia niepokoiły go z początku. Oględna matka zatrzymując oddech trwożyła się, by naj-

mniej szept niezbudził pogoni, zapewniała małego Harry, że go poratuje, byle tylko się spokojnie znajdował; dziecię przytuliło się do piersi matczynej i już ukołysane zapytało:

— Mamo, czy ja mogę zasnąć?

— Śpij, mój aniołku.

— Ale matuniu, ty mię jemu nieoddasz jak ja zasnę?

— Nie! nie! — odpowiedziała matka; twarz jej jeszcze bardziej pobladła, oczy dziwnym blaskiem świeciły.

— Ale czy tylko pewno mnie nieoddasz, matulu?

— Pewno! — przemówiła matka głosem, którego się sama przelekła; jej się zdawało, że ten wyraz wyrwał się z jej ust mimo jej woli, za jakimś wyższym natchnieniem. Chłopak, pochylił swą zmęczoną główkę na ramie matki i wkrótce zasnął. Ona czuła przy swych piersiach dziecię, dziecię jedyne, jego czysty oddech twarz jej ogrzewał i dodawał jej ognia i odwagi. Za każdym poruszeniem dziecięcia jakiś dziwny prąd elektryczny przebiegał po całym ciele matki. Niepojęty jest wpływ usposobienia wewnętrznego na organizm człowieka! Siły wzrastają, a słaby dzieciak w bohatera się zmienia. Granica, fermy, gaje i lasy przesunęły się przed jej oczami jak widma; ona szła wciąż dalej i dalej, tracąc z oczu jeden za drugim wszystkie przedmioty znajome. Niezatrzymywała się ani na chwilę, nie odpoczywała; i pierwsze promienie jutrzeńki wschód rumieniające spotkały ją już na wielkiej drodze... a wszystko, do czego się przyzwyczaiła od dzieciństwa, było daleko — daleko.

Jeżdżąc z panią do sąsiadów, poznała drogę do wybrzeży Ohio. W myśli jej powstało przepłynąć się za rzekę do krainy zupełnie jej nieznanej; ale Eliza mocno ufała w Boga. Gdy się już ruch zaczął na drodze, Eliza zrozumiała, że chód jej przyspieszony i niepokój mogą zwrócić uwagę i obudzić podejrzenie przechodniów, postawiła dzieciaka na nogi, a poprawiwszy odzież i włosy postępowała dalej, ale daleko wolniejszym krokiem. W małym woreczku chowała zapas jabłek i pierniczków, których używała do zachęcenia i podniesienia sił zmęczonego chłopca; od czasu do czasu toczyła jabłko po drodze, a Harry zapominając o zmęczeniu gonił za nim, — przy pomocy tego wybiegu jeszcze kilka mil posunęła się naprzód — wkrótce zbliżyli się do strumienia, który w tym miejscu drogę przerzynał przecierając się wśród zarośli. Chłopak się skarżył na głód i pragnienie. Zwróciła z wielkiej drogi w zarośle, usiadła na urwistym brzegu strumienia poza kamieniem, i wyjęła z woreczka śniadanie dla swego chłopaka, który się bardzo dziwił i smucił, że

matka nie jeść nie chciała. Objawszy ją jedną ręką za szyję, drugą gwałtem chciał wpakować kawał bułki do ust matki.

— Nie, mój drogi Harry, twoja mama jeść nie będzie pókiś ty w niebezpieczeństwie. Nam trzeba iść ciągle, dalej i dalej, aż do wybrzeży rzeki. — Powiedziawszy to wybiegła z pośpiechem na drogę gdzie już zwołniła kroku, dla tego, by niezwrócić na siebie uwagi przechodzących.

Wszystkie miejsca znajomsze daleko już zostawiła poza sobą; a jeżeliby kto ze znajomych ją spotkał, liczyła na to, że względy jakich doznawała w domu swoich panów, ochronią ją od wszelkich podejrzeń.

Oprócz tego krzepiła ją nadzieja, że przejdzie niepostrzeżona i niepoznana, jeszcze jedna okoliczność, a mianowicie, że tylko po długim wpatrywaniu się można było dostrzedz na twarzach jej i syna, ślady ich pochodzenia. Ufna w to zatrzymała się na chwilę w jednej z ferm niedaleko od drogi położonych, w celu kupienia czegoś do zjedzenia dla syna i dla siebie. W miarę powiększania się odległości, zmniejszało się niebezpieczeństwo, a po tak gwałtownym wysileniu, nastąpiło ogólne sił rozprężenie, zmęczenie, a w końcu i głód już zaczął dokuczać.

Gospodyni dobra i gadatliwa kobiecina, bardzo się ciesząc z nadejścia Elizy (dało to jej bowiem możność uczynić zadość wewnętrznej potrzebie, wygadania się), zawnioskowała patrząc na biedną kobietę, iż zapewne się wybrała na jaki tydzień w gościnę do znajomych lub krewnych.

Na godzinę przed zachodem słońca, przysła Eliza do wioski, nad brzegiem Ohio położonej, a chociaż odwaga i siły moralne jej nie opuściły, wątłe ciało niemogło sprostać duchowi; nogi jej popuchły, ledwo się biedna wlekła, a na jej twarzy widocznymi były cierpienie i znużenie.

Był to początek wiosny, rzeka hulaszco toczyła swe fale piętrząc je z łoskotem. Ogromne odłamy kry lodowej zaczęły około wysokiego brzegu Kentekki, który w tym miejscu daleko w głąb koryta rzeki się zasunął, pokryły całą niemal wod powierzchnię, i zagradały drogę innym krom z biegiem rzeki napływającym. Nagromadzone tak lodowiny, tworzyły w tym miejscu na pierwszy rzut oka pewien rodzaj grobli olbrzymiej, dwa przeciwne brzegi Ohio łącząc z sobą.

Eliza zatrzymała się przez chwilę na brzegu i przypatrywała się z przestachem miejscowości, która niewiele otuchy wlała w serce zbolale: przepłynąć bowiem na drugą stronę było niepodobieństwem. Przekonana smutną koniecznością poszła do

najbliższej gospody, by tam rady zasięgnąć, lub też powziąć języka.

Gospodyni zajęta przygotowaniem wieczerzy, z zadziwieniem się odwróciła posłyszawszy łagodny a razem rzewny głos Elizy.

— Czy pani czego potrzebuje? — zapytała ona.

— Chciałabym się dowiedzieć, gdzie tu można dostać łodzi, coby mię na tamtą stronę przewiozła.

— To darmo, teraz nikt nie pojedzie.

Zboliała i skłopotana postać Elizy, zrobiła pewne wrażenie, obudzając jednocześnie jej ciekawość.

— A czy to pani tak pilno na tamtą stronę? pewno tam kto chory? pani tak jesteście przestraszona?

— Dziecię niebezpiecznie mi zachorowało, dowiedziałam się o tym wczora w nocy, śpieszyłam przez cały dzień i chciałabym dziś jeszcze przepłynąć na tamtą stronę.

— Ach, to bardzo przykro! — powiedziała gospodyni, w której piersi odezwało się uczucie macierzyńskie.

— Jak mi Bóg miły, bardzo mi pani żal... Salomon! — zawołała wyglądając przez okno wychodzące na dziedziniec.

We drzwiach pokazała się postać w skórzanym fartuchu.

— Powiedz mi, Sel, nie wiesz czasami, czy ten człowiek z beczkami będzie się dziś przeprawiał?

— Mówił, że poprobuje.

— Na dole jest tu kupiec, co chce wieczorem, jeżeli będzie można, przejechać na tamtą stronę ze swoim towarem; to się z nim zabierzecie, a tymczasem usiądź i odpocznij sobie... A jaki ładny chłopak! — dodała gospodyni, traktując małego ciasteczkciem.

Ale mały Harry osłabiony i znużony płakał ze zmęczenia.

— Biedny chłopiec! — powiedziała Eliza, — on nieprzyzwyczajony do takich wędrówek, a mnie tak było pilno.

— W takim razie zaprowadź go do tego pokoju, niech spocznie, — powiedziała gospodyni, otwierając drzwi od małej sypialni. Eliza ułożyła dzieciaka i trzymała go za rączki póki nie zasnął. Odpocząć samą nawet jej do głowy nieprzychodziło: myśl o tym, że ją gonia, jak gorąca lawa mózg jej paliła.

Z tęsknotą, żalawioną okiem patrzyła na szumiące fale rzeki, co ją od swobody oddzielała.

Tu winniśmy pożegnać ją na chwilę i wrócić do jej przesładowców.

Bez względu na to że mistris Szelby zapowiedziała, że już podają do stołu, i że rozkaz został wydany w obec mistra Helli, matka Chloe zamiast odpowiedzi, mruczała tylko pod nosem, weale się nieśpiesząc, a nawet zdaje się daleko powolniej niż

zwykle i z pewną niewłaściwą jej obojętnością krzątając się około kuchni.

Niewiedzieć jakim sposobem cała służba się domyśliła, że pani wcale o pośpiech niechodź, i że niebardzo się gniewa za marudzenie: to też przeszkody i przypadki nieszczęśliwe zjawiały się jak grzyby po deszczu. Chłopak rozlał sos, i trzeba go było na nowo z przyzwolitą formalnością zrobić. A gdy posel za posłem przychodził napędzać, matka Chloe odpowiadała stanowczo, że niemyśli dać niedogotowanych potraw, dla tego tylko, że tam komuś pilno polować na ludzi. Jeden kucharz biorąc wodę zawadził o coś nogą, upadł i zalał całą kuchnię, trzeba było sprzątać i zacierać; drugi upuścił masło, inny znowu rozbił garnek odsuwając go od ognia! Od czasu do czasu do kuchni zalatywały wieści, że mister Helli do tego stopnia niekontent, że niemoże usiedzieć na miejscu, że chodzi po pokoju, zaglądając wciąż to za drzwi, to przez okna.

— A dobrze mu tak! — z oburzeniem mówiła matka Chloe. — Będzie jeszcze gorzej, kiedy się niepoprawi. I nad nim przecie jest pan, tam wysoko w niebie.... Oto zobaczymy, jak on zaśpiewa gdy *Tamten* przysze po niego.

— On pójdzie do piekła, to pewno! — zauważał mały Dzek.

— I słusznie! — z gniewem powiedziała matka Chloe. — Wieleż to on dusz ludzkich zagubił! Ja to mówię do was wszystkich, słuchajcie! — dodała ona, podnosząc rękę z widelcem do góry. — A zgubione dusze, wołają przed tronem Przedwiecznego o pomstę. Nam czytał o tym mister Dżordż.... A Bóg wysłucha ich! to pewno, że wysłucha!

Matkę Chloe wszyscy poważali, i dla tego wszyscy jej słuchali z uwagą. Ponieważ już stół był nakryty, całe więc towarzystwo kuchenne miało dosyć czasu pogwarzyć sobie trochę, i skorzystać z uwag matki Chloe.

— Tacy ludzie na tamtym świecie skazani są na ogień wieczny; — wszak prawda? — zapytał Andi.

— Oho! żeby to mieć przyjemność ich tam zobaczyć, — zauważał Dzek.

— Dzieci! — odezwał się głos, który wszystkich przestraszył. Był to ojciec Tom, który przed chwilą wszedł do kuchni i słyszał całą rozmowę. — Dzieci! mnie się zdaje, że wy niewiecie sami co mówicie. *Wieczność*, wielkie słowo. Strach o tym pomyśleć. Mak wiecznych nie trzeba nikomu życzyć.

— To też my nikomu i nie życzym, oprócz tym co dusze ludzkie sprzedają; — powiedział Andi, — a cóż ich lepszego czeka, tych djabłów wcielonych?

— Łotry! — zawołała matka Chloe. — Dla nich to najmniejsza, oderwać dziecię od piersi matczyną i sprzedać... i co to ich obchodzi, że matka płacze, że dziecko chwytą się jej odzienia? oni je odbiorą i sprzedadzą. Oni i męża z żoną rozłączą! — dowodziła Chloe krzyżąc coraz głośniejsze, — to dla nich bagatela! Człowiek umiera, a oni jakby to nie, siedząc sobie, popijają wino i palą fajeczki! O na Boga! kiedy już takich djabli niewezmą, to na cóż djabli potrzebni?

Matka Chloe zakryła twarz rękami i rozpłakała się na dobre.

— Modlić się za nich! — zawołała Chloe. — O mój Boże, mój dobry Boże! jakże to za nich się modlić? Nie, ja tego niepotrafię.

— Wedle natury to tak: głos natury silnie w nas przemawia, — powiedział Tom; — ale łaska Boża silniejszą jest od natury. Zważcie tylko w jak opłakanym stanie zostaje dusza tych nieszczęśliwych, co się takich dopuszczają występków. Chloe!

dziękuj Bogu, żeś ty niepodobna do takich ludzi. O, niech mnie lepij sprzedają po tysiąc kroć razy, niżbym miał ich grzechy przyjąć na swoje sumienie!

— Niech nas Bóg od tego zachowa! — powiedział Dzek, — czyż nieprawda Andi?

Andi twierdząco kiwnął głową.

— Ja się bardzo cieszę, — powiedział Tom, — że nasz pan się namyślił i niewyjechał dziś zrana: toby mnie gorzej bolało, niż wiadomość, że mnie sprzedali. Jemu to może nie nieznaczy odjechać i niepożegnać się ze mną; a mnie toby bardzo było smutno, — ja go znałem jeszcze małym dzieciakiem. Dzięki niech będą Bogu, widziałem już swojego pana i bez szemrania zgadzam się ze swoim losem. On musiał tak postąpić, bo inaczej trudno było doradzić; lękam się tylko, że beze mnie majątek jeszcze się gorzej zrujnuje. — Gdzież mu tam samemu dojrzeć wszystkiego? a młodzi, choć to i walne chłopcy, ale to roztrzepane, lekkomyślne. To mnie tylko smuci i niepokoi.

Właśnie w tej chwili dał się słyszeć dzwonek. Toma zawołano do pokoju.

— Tom! — powiedział doń pan łagodnym głosem, — muszę ci powiedzieć, że się zobowiązałem zapłacić temu panu tysiąc dolarów sztrafu, skoro ty nie stawisz się tam gdzie on cię przeczeka. On się oddał za interesami; dzień dzisiejszy do ciebie należy — możesz sobie iść, gdzie ci się podoba.

— Dziękuję panu, — powiedział Tom.

— Tylko mi tego nie zapomnij, — dorzucił handlarz, — że ja twemu dawnemu panu niedaruję ani feniga, skoro cię nieznajdę na

miejsu. Wedle mojego zdania żadnemu z was ufać niemożna. Każdy Murzyn zwinny jak wąż.

— Panie! — powiedział Tom prostując się, — miałem wtenczas lat ośm, gdy stara pani mnie przywołała i pozwoliła mi wziąć was na ręce, pan miałeś zaledwie rok jeszcze. Wreszcie powiedziała mi: „to twój młody pan; pilnuj go i służ.“ A teraz pozwól mi pan siebie zapytać, czy ja kiedy skłamałem? czym nieposłuchałem kiedy, mianowicie od czasu jakem Chrześcijaninem?

Mister Szelby do łez był poruszony.

— Mój zaćny Tom! Bóg widzi, że to święta prawda... Gdyby smutna konieczność mnie niezmuszała, jabym cię za żadne skarby nie sprzedawał.

— Bądź przekonany, Tom, że my cię wykupimy, — dodała mistris Szelby. — To tak pewno, jak to, że ja Chrześcijanka... byleśmy tylko zebrali cokolwiek pieniędzy... Panie Helli, nieodmów mi pan, i chciej zawiadomić komu go sprzedasz.

— Z największą chęcią, — powiedział handlarz, — ja go wam za rok przyprowadzę; kiedy on dla was taki drogi, będziecie go mogli odkupić.

— Załatwimy interes tak, że pan na tym niestracisz, — dorzucił mister Szelby.

— Bardzo dobrze! — odpowiedział handlarz. — A mnie to wszystko jedno. Przedać, kupić, odprzedać... to moje rzemiosło, — byle tylko przy tej zamianie, pan to rozumie, była jakakolwiek bądź korzyść... oto jest jedyny cel, do którego człek dąży.

Mister i mistris Szelby rozumieli, że poufały i chępliwy ton mowy handlarza ujmował ich godności; ale widzieli konieczność przytłumienia na jakiś czas słusznego oburzenia — tego wymagały ich położenie i okoliczności. W miarę jak się wykazywał we właściwym świetle nieludzki bydlęcy charakter tego człowieka, mistris Szelby coraz więcej drżała o los Elizy, i używała całej strategii zręczności swojej, by go dłużej zatrzymać. Uśmiechała się doń, potakiwała mu, gawędziła, słowem robiła co mogła, byle tylko jakoś czas zabić.

O godzinie drugiej Sem i Andi przyprowadzili konie, na pozór wypoczęte i silne.

Sem był niesłychanie usługny i nadskakujący; oczekując mistrza Helli, on pompatycznie się chwalił przed Andrzejem, że się przedsięwzięcie musi uwieńczyć skutkiem pomyślnym.

— Wasz pan, jak sędzę, nietrzyma psów? — zapytał Helli siadając na koń zamyślony.

— U nas, panie, całe stado psów, — odpowiedział Sem z wy-

razem zadowolenia na twarzy. — Ot Bruno, doskonale szczeka. U nas każdy Murzyn psa hoduje.

— Przestań bredzić! ja nie o takich psów pytam, ale o tych co to się używają do polowania na ludzi? Ale gdzie tam! co to i pytać? u was pewnie takich psów niema, — powiedział Helli.

Sem od razu zrozumiał; o jakich psach mowa, ale udając głupca tak dalej ciągnął:

— Nasze psy mają węch doskonały. To pewnie tego samego gatunku, jak to pan mówił; ale niemają tylko wprawy, nikt ich do tego nieuczył. Walne psiska! niech się pan tylko przypatrzy. Bruno, pójdz tu! — zawołał Sem, i ogromny pies niufaundlandzki podbiegł i zaczął się doń łasić.

— Ruszaj do diabła ze swoim psiskiem! — burknął Helli, poprawiając się na siodło. — No, dalej na koń i w drogę!

Siadając na koń, Sem wybrał chwilę odpowiednią, szturchnął Andi, Andi głośno się zaśmiał, i mister Helli w oburzeniu zamierzył się nań biczem.

— Niemogę się dosyć nadziwić, napatrzeć na ciebie, Andi, — powiedział Sem z komiczną powagą. — Teraz wcale nie do śmiechu. Teraz niema co żartować. Wszakże Panu niepotrzebne nasze żarty i śmiechy.

— Pojadę wprost do rzeki, — powiedział Helli stanowczo, gdy się zbliżali do granicy posiadłości Szelby: — pewno w tę stronę musiała uciekać.

— Najświętsza prawda! — powiedział Sem, — zgadłeś pan. Mister Helli trafił w sedno — ho, ho!.. Teraz mamy przed sobą dwie drogi: jedna stara zawałona, druga równa jak po stole — którą pan wybierze?

Andi naiwnie poglądał na Sema, dziwiąc się, z kądem mu przyszedł do głowy taki nowy pomysł jeograficzny; ale bez względu na to, że niepojmował celu, potwierdził energicznie słowa kolegi.

— Wedle mego zdania, — powiedział Sem — Eliza poszła po starą drogę, po której mało kto chodzi.

Mister Helli, chociaż szczwany lis i z natury podejrzliwy, niemógł zaprzeczyć słuszności tej uwagi.

— Szkoda tylko, żeście obaj łgarze bezczelni! — powiedział wstrzymując konia w zamyśleniu.

Zamyślenie mistrza Helli widocznie bardzo cieszyło Andi; odwalił się na siodło z wyrazem zadowolenia na twarzy, i zakrywszy twarz liśćmi palmowemi, które mu służyły za czap-

kę, śmiał się serdecznie. Twarz Sema była chmurna i zachowała wyraz poważny i zamysłony.

— Cóż u licha, mnie co do tego! — zawołał Sem, niech sobie mister postępuje jak można lepiej, niech sobie jedzie wielką drogą, nam wszystko jedno, i mnie się samemu zdaje, że wielka droga zawsze lepsza.

— Bez wątpienia, musiała wybrać opuszczoną przez wszystkich drogę! — krzyknął w głos Helli, niezwracając uwagi na wnioskowanie Sema.

— Któż to wie? — powiedział Sem. — Kobiety przecie to nie ludzie: one zawsze muszą coś nietak jak wszyscy zrobić. Już to leży w ich naturze: — choć źle, byle na przekór. Skoro się panu zdaje, że musiała wybrać tę drogę, jedź pan po drugiej, a pewno ją spotkasz.... Mnie się zdaje, że ona powinna była pójść starą drogą, i dla tego trzeba pędzić się za nią nowym gościńcem.

Głęboki ten pogląd na naturę kobiecą widocznie nienazbyt usposobił mistra Helli do wybrania prostej drogi, i dla tego powiedział stanowczo, że pojedzie starą drogą, i zapytał czy daleko jeszcze do tej drogi?

— Niedaleko, — powiedział Sem, mrugając jednym okiem znacząco na Andi; — ale ja radzę jechać tędy, już to ja wiem z doświadczenia. A wreszcie ja nigdy niejeździłem tą drogą, która już może lasem porosła, i jeszcze, (czego niedopusć Boże) zaślądzić można i niewiedzieć gdzie zajechać.

— No mniejsza z tem, w każdym razie pojedziemy starą drogą.

— Ja słyszałem, że ją zagrodzili, w kilku miejscach są płoty i parkany ferm przyległych; nieprawdaż Andi?

Andi niebył przekonany, on znał tę drogę tylko z opowiadania, a sam nigdy tam niebył, niechęciał się przeto kompromitować.

Helli, przyzwyczajony do odszukiwania wątku prawdy w najfałszywszych opowiadaniach, przychylił się na stronę stariej drogi. Jemu się zdawało, że Sem wspominał o niej z początku niechęć, a później niezgrabnie starał się go odprowadzić od zamiaru powziętego. Zawsze bowiem podejrzewał, iż nienazbyt ma szczerych popleczników swęj sprawy w dodanych sobie towarzyszach: zwrócił więc konia na starą drogę, — Sem i Andi jechali w ślad za nim.

Rzeczywiście droga była od wielu lat opuszczona, to jest od czasu, jak wyprowadzono nowy gościńiec do rzeki.... Po godzinie drogi, nasi podróżni musieli się koniecznie spotkać z za-

styanki inne mają czarny habit podpasany i takąż zastonę na głowie.

Świętych tego zakonu, 39 lub 40 figur, sztychował J. A. Pfeffel. (C. C. M. invenit. J. A. Pfeffel sc.).

Autencourt (d'). Portret generała sztychowany fol. z podpisem: *Le general baron d'Autencourt major des Chevaux-Legers Polonais de la garde imperiale, surnommé le Papa du Regiment*, (w owalu, z herbem u spodu).

Axamitowski. Generał Axamitowski, wizerunek maleńki aqua tinta, r. 1818, bezimienny.

B. in Hall. Tak podpisany, znajduje się w zbiorze Bałowskiego (1715 N.) portret Stanisława Leszczyńskiego, z Niemieckim podpisem: *Stanislaus König in Pohlen Herzog zu Lothringen und Bar. in 8-vo* na miedzi.

Jest inny roboty J. F. Bause, zob. to imię.

C. B. sc. Sztycharz który podpisał rycinę Kopernika portretu, w ćwiartce: *A. C. pinx. G. B. sculpsit*, nieznany nam.

V. B. sc. Wizerunek z podpisem: *G. Wenzky S. Theolog. Dr. Gymnasii Praemisl. Rector etc.*, w ósemce na miedzi — v. B. sc.

H. B. I-B. Podpisy te znajdują się na drzeworytach XVI wieku, w kronikach Miechowity 1521, Gwagnina Krakowskiego 1578 i 1611.

Bentkowski znalazł i wskazał ten monogram przy drzeworycie Wandy u Gwagnina 1578. W Biblii Scharffenbergerowskiej 1561, jest św. Piotr (sign TT.) z podpisem HB, i św. Jan Ewangelista. Na innym drzeworycie u Bielskiego, przy podpisie jest i rok. (Zobacz *Drzeworyty*).

Zdaje się, że cyfra ta oznacza dwóch odmiennych artystów, z których jeden robił w Polsce, drugiego zaś roboty z dzieł i drukarni obcych u nas użyte zostały. Nazwiska artystów tych nieznane. *Bruliot, Dictionnaire des monogrammes* przywodzi dwa podobne znaki, i jeden z nich przyznaje sławnemu Janowi (Hans) Burgkmair, który niezdaje się, żeby dla Polski co robił, drugi zaś nieznanemu xylografiowi.

Zobacz *Odbicia drzeworytów Krakowskich*.

I. B. Drzeworytnik w Krakowie, zobacz G. Brückner.

M. B. **** *Carte du Royaume de Pologne et ses frontieres, par M. B. **** Ingenieur de la Marine et du Depot des Cartes et plans, 1770.*

T. B. *Widok Wilna* wzięty z góry Boufałowskiej, w litografii Banku (Warszawa) rysował z natury T. B. (ark. poprzeczny).

Zobacz T. Byczkowski.

Baan (de) Jan. Niejakiego *de Baan*, czy *Debana*, obrazy dwa historyczne znajdujące się na zamku w Podhorcach, wzmiankuje Stanisław Przyłęcki, w opisie Podhoreckiego zamku. (*Dniestrzanka, Lwów 1841*). Wystawiają one *Oddanie Smoleńska Władystawowi IV i Szwedów pod Włocą o pokój proszących*.

Z tego powodu Rastawiecki w Słowniku swoim napomyka o známym malarzu Janie de Baan, portreciście urodzonym w Harlem 1633, zmarłym w Hadze 1702 roku. (Nagler, T. I, 214); ale śladu niema pobytu jego w Polsce, ani de Baan historycznym był malarzem. Przyjdzie więc innego szukać artysty, któremu by te obrazy przyznane być mogły: gdyż i czas w jakim żył de Baan, przedmiotowi obrazów nie dobrze odpowiada. Wzmiankę tę o nim czynim tylko dla tego, by przeciw przypuszczeniu autora Słownika się rozpisnąć.

O obrazach tych w Podhorcach, pisze nam S. Morawski: „Co do układu i wykonania, należą do najlepszych z historii Polskiej, jakie nam przeszłość zostawiła; przedstawiając zaś wojsko, owych skrzydlatych hussarzy z ośmiołokciowymi włóczniami, z natury zdjętych, należą do feniksów archeologicznych“

Babel. W katalogu zbioru Batowskiego N. 1739, znajdujemy sztych: *Marie Princesse de Pologne, Reine de France et de Navarre*, (ćwiartka na miedzi). *Babel sc. Paris*. Jeśli to nie jest omyłką spisu, sztych to być może nieznanego artysty z rodziny architektów *Babel*, o których wspomina Nagler, T. I, 214. Jednakże żadnego z nich portretów nieznamy.

P. E. Babel, sztycharz pracujący w Paryżu w XVIII w. około 1770, który podpisywał się *B. inv. et fec.*, robił, wedle katalogu Paignon-Dijonval (N. 1507) z rysunku Justa-Aurel. Meissonier, sztych trzy stopy szeroki, dziś wielce rzadki, podpisany: *Salon de la Princesse Czartorinska en Pologne*.

Baccelli Maciej. Włoch, urodzony w Luccie 1769 r.; w ośmnastym roku życia udał się na naukę do Rzymu, gdzie przez lat sześćnaście zostawał; mianowany członkiem Akademii św. Łukasza. W r. 1807 sprowadzony był przez Tad. Czackiego na nauczyciela do dzieci; przez lat dziesięć w Krzemieńcu zajmował się prywatnymi lekcjami rysunku i malarstwa. Ciampi (Notizie 87) wspomina o nim już jako o profesorze szkoły Kamieniec-Podolskiej, gdzie jak widać ze Statystyki x. Marczyńskiego, nauczał w latach 1817—1820.

Malował portrety i obrazy religijne, których wiele na Wołyniu i Podolu się znajduje, na starość zamieszkał u hr. Przeździeckich w Czarnym-Ostrowie. Kompozycjom jego, pisze Rastawiecki, nie brak dokładności rysunku i akademickiej nauki, ale mało oryginalności i życia w kolorystyce.

Z robót jego są dwa oryginalne obrazy w kościele w Czarnym-Ostrowie: *Wskrzeszenie Piotrowina* i *Chrzest Cesarza Konstantyna*; portrety rodzinne Przeździeckich tamże.

Portret *Tadeusza Czackiego* przez niego robiony sztychował w Wilnie professor *Saunders*.

Rysunek oryginalny z obrazu Czarnoostrowskiej Komunii św. Hieronima, jest w zbiorze piszącego.

Umarł w ostatnich latach.

Bacciarelli Marcelli. Marcelli Bacciarelli urodził się w Rzymie d. 16 lutego 1731, z ojca kuchmistrza przy jakimś dworze. Okazując zdolności zamodu do rysunku i malarstwa, wcześniej oddany został na naukę kawalerowi Benefiale. Marek Benefiale pierwszy i ostatni podobno nauczyciel jego, nie był bez talentu, cenił on naturę jako przewodniczkę sztuki, lecz w czasach gdy młody Bacciarelli oddany mu został, imie sobie dopiero robić poczynął. Tu, przy nim do 20 czy 22 roku życia pozostał Bacciarelli na nauce malarstwa, i takie w niej uczynił postępy, że gdy w roku 1753 (inni piszą w 1750) król August III zapotrzebował kogoś coby rysunki z obrazów Galeryi Drezdeńskiej do sztychu przygotował, wezwano go w tym celu do Dreżna. Tu potrafił sobie rychło zaskarbić łaski króla i zjednać imię artysty, a talent i charakter zarówno się do tego przykładać musiały.

Zawód swój rozpoczął od portretów i rysunków do sztychu z Galeryi Drezdeńskiej. Wkrótce ożenił się tu ze sławną naówczas miniaturystką i malarką portretów Joanną-Julianną-Fryderyką Richter (urodzoną w Dreźnie 1733 r.), która w r. 1759 otrzymała patent nadwornej malarki j. k. mości i zdejmowała także rysunki obrazów Galeryi Drezdeńskiej do zamierzonego jej wydania.

Zdaje się, że z żoną razem (około r. 1756) z dworem króla Augusta III, udał się Bacciarelli do Warszawy, gdzie poznał wielu panów Polskich, a między innymi Stanisława Poniatowskiego, naówczas stolnika Litewskiego, którego przyjaźń tak świetny los mu obiecywała w przyszłości.

W r. 1761 Marya-Teresa wyjednała u Augusta III pozwolenie przybycia Bacciarellemu do Wiednia; wzywała go tu szczególnie dla robienia portretów rodziny cesarskiej, gdyż dotąd wstąpił się najwięcej w tym rodzaju. Tu malował on portrety całej rodziny cesarskiej i jak piszą biografowie jego, inne także obrazy (Apollo z Muzami); syn jednak w pośmiertnej o ojcu wiadomości upewnia, że do historycznych kompozycji wziął się dopiero za zachętą i naleganiem króla Stanisława-Augusta. Niemniej tu już siłą swoich spróbował w większym rozmiarze. „Pierwszy wielki obraz (pisze syn jego), który wyszedł z pod jego ręki z figurami naturalnej wielkości, był ten który malował w Wiedniu z polecenia cesarzowej Maryi-Teressy, wystawiający cztery arcyksiężniczki Austriackie w postaci Apollina i trzech muz na górze Parnassu.“ Właściwie były to tylko historykowane portrety.

Po śmierci Augusta III, która go w Wiedniu jeszcze zachwycić miała, książę Kaunitz namawiał Bacciarellego, aby tu pozostał, dość korzystne podając mu warunki; lecz malarz pamiętny wiele obiecującej przyjaźni Stanisława Poniatowskiego, wezwaniu jego najochotniej odpowiedział, powracając do Polski w r. 1765.

Niezawiodły go oczekiwania: talent a więc i jeszcze charakter królowi miły, uniżoność, gotowość do wszelkich posług, takich nawet któ-

re czyniąc człowieka słuźalcem nieszlachetnych namiętności, poniżają w oczach wszystkich,— wyniosły szybko Bacciarellego i uczyniły więcej niż nadwornym malarzem króla, bo przyjacielem jego i zaufanym ulubieńcem. Łaski też posypały się obficie. W r. 1767 (Sejm 1767—68) w październiku nadano mu indygenat, a z nim szlachectwo Polskie (Vol. Legum T. VII, 801); nieco później mianowany został dyrektorem budowli i fabryk królestwa.

Malarnia Bacciarellego otwartą została dla uczniów, których wprowadzić usposobił niewielu, ale syn uniewinniając go, winę przypisuje tym co z nauk jego korzystać nieumieli. W 1787 roku pozwolił mu król zwiedzić ziemię rodzinną; a podróż malarza była dla niego żniwem honorów i pielgrzymką zwyciężką, wśród której zbierał plony swojej sławy. W przejeździe swoim przez Wiedeń mile naprzód przyjęty przez cesarza Józefa II i Leopolda księcia Toskanii (brata jego). Obrany potem członkiem akademii sztuk pięknych w Wiedniu, Dreźnie, Berlinie, św. Łukasza w Rzymie, w Wenecyi, Bolonii, przez papieża Piusa VII uczyniony kawalerem złotęj ostrogi, a tém samem hrabią pałacu Rzymskiego, zaszczycał się jeszcze uprzejmém bardzo przyjęciem króla Sardyńskiego i Neapolitańskiego i królowej Neapolitańskiej, którą znał dawniej w Wiedniu przy matce Maryi-Teresie (była to jedna z muz owego Parnassu). Podróż ta Bacciarellego korzystną także była dla zbiorów Stanisława-Augusta, któremu zakupił odlew gipsowe, obrazy i inne przedmioty sztuki. Zwiedził w niej Toskanię, Neapol, Rzym, Turyn i południową Francję.

Po powrocie do kraju wziął się znowu do pracy,— i z jego malarni, jeśli nie całkiem z pod jego ręki, wyszła niezmierna ilość obrazów. Sam Stanisław-August co roku się malować mu kazał, a portretów tych mnóstwo po kraju się rozchodziło. W czasie najniebezpieczniejszym dla Polski, Bacciarelli przywykły do niej, pozostał niemięszając się do niczego w Warszawie, pracując ciągle, gdyż mu wzrok i siły do ostatku służyły szczęśliwie.

W r. 1807 d. 11 grudnia, obrany członkiem towarzystwa Przyjaciół nauk, odmalował jeszcze portret Fryderyka-Augusta księcia Saskiego i w. x. Warszawskiego, któremu towarzystwo w darze go złożyło.

W r. 1817—1818 był pierwszym dziekanem i professorem wydziału sztuk pięknych przy uniwersytecie Warszawskim. W tymże roku 1818 d. 5 stycznia, pracując do śmierci samej, życie zakończył w Warszawie.

Pochowany wraz z żoną w kościele katedralnym Warszawskim św. Jana, z nagrobkiem postawionym podług rysunku architekta Szpilkowskiego, w którym dwa portrety jego i żony są pędzla Gładysza. Napis na nim następujący:

A + Ω

Memoriae Sempiternae.

Marcelli. Bacciarelli. Domo. Roma.

Nobilis. Poloni. Pictoris. Eximii.

Et.

Fridericae. Richter. Uxori. Ejus. Et.

In. Arte. Pingendi. Discipulae.

Fuit. Ille.

In. Pictorum. Collegia. Roman. Venet. Boloniense.

Berlin. In. Sodalitium. Literat. Varsaviensium.

Cooptatus.

Protopictor. Et. A. Cura. Aedium. Regis. Poloniae.

Picturam. Apud. Polonos.

Vel. ab. alijs. apertum. et. demenstratum.

Ipsa. crudiit. atque. provexit.

Vixit. Annos LXXXVI (86) mens VI. dies XI

Ne. Quos. inuxit. Sine. querela. conjugium.

Dissociaret. Memoria. Posteritatis.

Parentibus. bene. merentibus. filij.

Avo et Aviae. desideratiss. Nepotes.

Commune. momentum.

Cum. lacrymis.

Posuerunt.

Pozostawił jak widzimy Bacciarelli, synów i wnuki; jedna córka jego była za Wilczewskim. Syn stając w obronie ojca, któremu zarzucano, że zbyt wiele w miarę zasług łask odbierał, że nieusposobił ludzi zdatnych na artystów dla kraju, że owszem sławy Polakom jako Czechowiczowi, Smuglewiczowi i innym zazdroszcząc, drogę im do króla zagradzał i t. p.,— umieścił w r. 1819 w Rozmaitościach Warszawskich obszerny artykuł o ojcu, starając się go uniewinnić z zarzutów, co jednak trudno przychodzi. Artykuł ten jest zajmującym materiałem do biografii malarza.

Jako człowiek prywatny, być może, iż Bacciarelli zasłużył na pochwały, które go obsypał x. Szaniawski, w mowie na posiedzeniu towarzystwa Przyjaciół nauk: „Dobry mąż, pisze on, czuły ojciec, przyjaciel stały, grzeczny, przystępny, uprzejmy dla każdego, unikający pochlebstwa względem wyższych (?), nie pogardzający niższymi, powszechny zyskał szacunek u wszystkich, którzy go znali. Skromny w każdej okoliczności życia, często sam wykazywał wady i uchybienia w obrazach przez siebie malowanych. Unikał okazałości światowych, niezajęty sobą, względny dla drugich, pamiętał i o ubogich, wspierał hojnie a skrycie ich potrzeby. Dochował do samej śmierci czerstwość, żywość, uczciwość, przystojność, i miłym był w każdym towarzystwie osób, choć z różnego wieku i stanu złożonem, miłym ciągle nawet w znacznie posuniętej starości.“

Wszystko to być może, powiemy słowy Krasickiego; ale to tylko jedna dopiero strona medalu. Z drugiej widać, że aż do zbytku akomodującym się był dla wyższych, że talentom obok powstającym (jak świadczą notaty J. Peszki) zazdrościł, że Czechowiczowi całkiem, Smuglewiczowi w części do zaskarżenia łaski królewskiej przeszkodził, sam chcąc zawsze być koniecznym i jedynym przy królu.

Mamy to za bajeczkę, przecież chodziła pogłoska, że roboty Smuglewicza nadsyłane z Rzymu, Bacciarelli pod pozorem popsucia w drodze, umyślnie kaleczył, aby się mniej królowi podobały.

Nadzwyczaj czynny, sam i pod swém przewodnictwem niezmierną ilość prac wykonał. Spis tych które dla króla samego malował, już jest ogromny, a ileż po domach prywatnych się rozpieczętowało? Umiął pogodzić obowiązki królewskiego malarza, dworaka, pośrednika, faworyta, dyrektora budowli, fabryk, nadzórce ogrodów królewskich, z zarządkiem ekonomii Kozienskiej, korespondencyą z artystami, zajęciem nabywcy dzieł sztuki za granicą, z tysiącem innych zatrudnień. Zawiadował także kopalniami marmurów Krakowskich, do których będąc we Włoszech, wezwał zdalnych rzemieślników.

Jako o artyście spotykamy o nim sądy wielce sprzeczne: jedni go zbyt wynoszą, drudzy nadto poniżają. Najstuszniej zacząćby można od słów Szaniawskiego, który powiada, że malarz sądzony być powinien w obec czasu w którym malował i osób dla których pracował. Bacciarelli nie był też wcale jednym z tych silnych geniuszów, co więzy czasu i względy osobiste krusząc, szli drogą jaką im własne wytykało natchnienie. Owszem, aż nazbyt posłuszny upodobaniom wieku — stylem, sposobem pojęcia przedmiotów, wykonaniem szkole Francuzkiej współczesnej hołdował, i odbił w sobie charakter epoki najdoskonalej. „Uznana jest, dodaje x. Szaniawski, powiększłej części, zręczność Bacciarellego we władaniu pędzlem, w układaniu czyli grupowaniu figur, w okazałości ubiorów czyli draperyach, w wydawaniu świetności, świeżości i harmonii kolorytu.

Baron Rastawiecki powtarza sąd Szaniawskiego prawie co do słowa, i wnosi w ostatku, że potomność umieścić powinna Bacciarellego w rzędzie znakomitych malarzy.

Niezależnie jednak za potomność, żeby posłuchać miała rady autora. Bacciarelli jest rysownikiem zręcznym tylko, kolorystą słabym, kompozytorem bez wzniosłości i ognia, a malarzem w ogólności więcej odznaczającym się wdziękiem niż prawdziwą pięknoscią i siłą. Wszystko u niego zamglone, zastąble, wydelikaczone się przedstawia; barwy harmonijne, ale harmonija ta otrzymana kosztem potęgi, kompozycja więcej wyuczona niż natchniona. Jest to słowem jednem, artysta z rzędu tych, u których ogromna łatwość pracy, wprawa i wdzięk płacą za wszystko. Bacciarelli nie zostawił nic zupełnie złego, nic nadzwyczaj uderzającego — wszystko co utworzył piętnuje łatwość wdzięczna i staranie szczególne o wdzięk, gracyę, o smak raczej niż o surowe, wielkie i prawdziwie piękno. Że wiele bardzo wad jego wiekowi i ludziom, dla których pracował, przypisać potrzeba — to niezawodna; — ale potężniejszy artysta nie byłby się dał zamknąć w szrankach tak ciasnych, i starałby się podnieść raczej to, co go otaczało, do wysokości na jakiej sam zostawał.

Wiele zarzutów słusznych umieszczono w Rysie malarstwa drukowanym w jednym z pism peryodycznych Warszawskich, zaraz po śmierci Bacciarellego. Syn wówczas stanął w obronie pamięci ojca usiłując naprzód dowieść: że Bacciarelli nie był, jak mu zarzucano, obojętnym dla

kraju, który go przyjął tak gościnnie a tak wspaniale za prace podjętą nagroził; że uczniów kształcił jak mógł, niebędąc winien, że usposobić ich niezdolał; że pracą jego i staraniem zebrany był gabinet odlewów gipsowych i t. p. i t. p.

Co się tyczy uczniów, wymawia syn ojca po części zatrudnieniami rozlicznymi, po części dowodzi, że wpływ jego na młodzież większy był wistocie niż usiłowali dowieść nieprzyjaźni mu pisarze: „Marcelli Bacciarelli, pisze syn, był zawsze aż nadto zatrudnionym przez króla, by mógł się oddać całkiem jedynie ukształceniu uczniów w sztuce rysunku i malarstwa; bo chociaż ciągle zajęty malowaniem obrazów historycznych, któremi są zapełnione pokoje zamku Warszawskiego i rezydencji letniej królewskiej w Łazienkach, nie licząc w to przeszło 250 portretów oryginalnych także malowanych dla króla, ani wielu innych większych obrazów, które robił dla innych osób, — mianował go król jenerałnym dyrektorem swoich budowli, dołączając do obowiązków tej pracowitej funkcji dozór nad wszystkimi ogrodami, prywatnymi posesjami jego i nawet ekonomiją Kozienską. Niebyło przytém festynu lub obchodu publicznego, niebyło widowiska, iluminacji, fejerwerku, balu, zabawy, lub koncertu u dworu, którychby urządzeniem nie musiał się trudnić mój ojciec. Polecał mu niemniej król bezpośrednią korespondencyę z najsławniejszymi artystami zagranicznymi, od których odbierał doniesienia o wychodzących nowych dziełach co do sztuk pięknych i sprzedaży obrazów, posągów, rycin, rysunków i t. p. W skutek których to doniesień przedstawiał królowi, coby nabyć wypadało dla uzupełnienia lub powiększenia exystujących już zbiorów królewskich. Prowadził także korespondencyę z przełożonymi różnych manufaktur zagranicznych, z kąd sprowadzał król meble, zwierciadła, brzozy lub materye jedwabne dla ozdoby swych pałaców, — miał oprócz tego zwierzchni nadzór nad kopalniami kamieni i marmurów Krakowskich, do urządzenia których i wydobywania materjałów będąc w r. 1786 we Włoszech ugodził i sprowadził do Polski z Carrary zdalnych rzemieślników i kamieniarzy, którym najwięcej jesteśmy winni, iż teraz kraj nasz może się obejść bez marmurów kolorowych zagranicznych. Pomimo tych zatrudnień, dodaje syn, były godziny uczniom poświęcone; a jeśli nie ukształcił uczniów, winę im nie nauczycielowi przypisujemy.“

Do tych uczniów jego liczy syn: Petranowicza, Ścisłę, Tokarskiego, Kucharskiego, Wahla, Padarowskiego i innych którym jak Smuglewiczowi i Wojniakowskiemu rad swych miał udzielać. Oprócz tego podaje jako uczniów jego w rysunku: Marszałkiewicza, Paszkiewicza, Janiszewskiego, Misiewicz, John'a (?), Sienickiego, Pańczyńskiego i Stachowicza (?).

Dodaje także, iż sam króla zachęcał do wyprawiania zdalniejszej młodzieży za granicę, i że jego opiece winni byli wysłanie do Włoch Wahl, Ferd. Pinck, Kucharski i t. d. On miał też wyjednać pensje Kubickiemu, Greysmejerowi architektom, Smuglewiczowi, Lormenowi; on miał skłonić króla do sprowadzenia z zagranicy, do Polski dzieł sztuki za wzory służyć mogących; — słowem syn przypisuje to ojcu swemu, cośmy zwykli Stanisławowi-Augustowi przyznawać.

Dodaje wszakże, iż do obrazów historycznych wziął się dopiero artysta za usilnem naleganiem króla i od niego był pobudzony do przejścia z portretów na pole wyższej kompozycji. Nareszcie myśl założenia akademii sztuk pięknych w Warszawie, do której projekt na sejm 1791 był przygotowany, należeć ma także Bacciarellemu. Później podał jeszcze o tém notę za rządu Pruskiego i starał się o doprowadzenia do skutku projektu tego za księstwa Warszawskiego; ale doczekał aż za cesarza Alexandra spełnienia swęj myśli, która ustanowieniem wydziału sztuk pięknych przy akademii urzeczywistnioną została. Naznaczony dziekanem, sam Bacciarelli mianował professorów.

Zarzuty wielkiego w miarę zasług obdarowania odpięra obrońca, przywołując wyrazy listu króla piszącego z podziękowaniem do Bacciarellego za oszczędzenie wydatków przy nabyciu różnych dzieł sztuki i wznoszeniu budowli. List ten kończą słowa: „że nazwał by się prawdziwie szczęśliwym, gdyby był miał wielu tak wiernych i życzliwych sług.“ Samo też wyliczenie robót dla króla, które pięć wielkich stropów, dziesięć obrazów historycznych z osobami naturalnej wielkości i więcej dwóchset pięciudziesiąt obrazów mniejszych i portretów wynoszą, cenionych pisze syn na 20,000 czerwonych złotych, zbija zarzut zbytznego uposażenia Bacciarellego. Nareszcie dodaje syn, że w miarę zasług niebył wcale wynagrodzony zbytecznie, gdyż oderwano go od usług dworu cesarskiego i Saskiego, gdzie mógł świetniejszych spodziewać się losów, o czém my bardzo wątpimy. Syn dopełnił obowiązku broniąc pamięci ojca; lecz zarzuty choć nieco osłabione, pozostały niezbite.

Trudno dziś wyliczyć prace wszystkie Bacciarellego, a opisywać je byłoby zbytceznem. Zamek Warszawski, Łazienki, Pomarańczarnia, Teatr, niezliczonemi obrazami przez niego ozdobione były, a niemało ich i po kraju, w domach prywatnych i po kościołach się rozsypało.

Do celniejszych należą roboty jego w zamku Warszawskim, a szczególnie portrety: bo Bacciarelli do końca głównie był portrecistą. To było powołanie jego, w tém talent prawdziwy okazał. Tu mu idealności, szlachetności, smaku i wdzięku odmówić niepodobna. Lecz królówie Polscy i bohaterowie w zamku Warszawskim, były to po większej części, co zowią *têtes de fantaisie* raczej niż portrety. Porównanie ich ze znanymi pomnikami dowodzi, że o autentyczność niewiele się troskano. Byli tu: Bolesław Chrobry, Wacław król Czeski i Polski, Władysław Łokietek, Kazimierz Wielki ulubieniec, XVIII w., Ludwik Węgierski, Jadwiga, Władysław Jagiełło, Warneńczyk, Kazimierz, Jan Olbracht, Alexander, Zygmunt I, Zygmunt-August i wszyscy po nim następujący aż do Stanisława Poniatowskiego w świetnym stroju Hiszpańskim, w jakim chciał być malowanym na pamiątkę koronacyjnego ubioru.

Malowania *al-fresco* w sali tronowej i pokoju sypialnym króla, nie są wcale chwalone nawet przez największych Bacciarellego wielbicieli. W rycerskiej sali zamku pomieszczone były obrazy historyczne i portrety sławnych ludzi, które poniżej wyliczamy. W wielkiej sali koncertowej za przedniejsze dzieło uważany był strop wyobrażający

Jowisza świat z chaosu wyprowadzającego (wysok. 288, dług. 720 cali). W Łazienkach w sali gościnnej sąd Salomona, poświęcenie świątyni Salomona, Salomon czyniący ofiary fałszywym bogom, królowa Saba, Salomon i Hiram. Sprawiedliwość, Mądrość, Łaskawość i Siła.

Któż niewidzi jak wybór téj historii Salomona, znakiem był pochlebstwa dla króla. Królowę Sabę można było malować dwojako, ale najprędzej dając jęj rysy pięknej księżnej Kurlandzkiej. Główne figury w tych obrazach, były portretami osób żyjących.

Postuchanie młynarza, jeden z najciekawszych jeśli nie najlepszych obrazów Bacciarellego, wystawia króla leżącego na łożu, młynarz kłęcząc całuje rękę królewską, żona jego nachylona przed królem wyraża mu swą wdzięczność, stoi ona w głowach łoża. Dalej Ryx pierwszy kamerdyner i Reyman pierwszy lekarz, za tymi dwaj chirurgowie króla Lagenie i Ritsch, hr. Moszyński stolnik koronny i prałat Ghigiotti, szambelanowie służbowi Zabiełło i Walewski, naprost Beckler zwyczajny lekarz królewski, generał Coccej dowódzca gwardyi koronnej i Suszen szatny królewski. Artysta przedstawił scenę nazajutrz po zamachu na życie króla d. 4 listopada 1771. W obrazie tym są jeszcze portrety i figury: szambelana Karasin, marszałka dworu i wice-marszałka Alexandrowicza, kapitan Przyłuski koniuszy królewski. Jako *pendant* do tego służyć miał drugi obraz, którego szkic tylko był zrobiony, wystawiający śmierć króla w Petersburgu dnia 8 lutego 1798 r. Król także na łożu ale konający, przy nim cesarz Paweł z synami w. x. Alexandrem i Konstantym, książę Repnin stojący w nogach łoża, za nim szambelanowie Trembecki i Wolski, pokojowiec Jabłoński i podkoniuszy Kawecki. Po lewej stronie łoża, lekarz Bekler trzymający króla za puls, obok niego wielki marszałek koronny hr. Mniszech, By-szewski i Kirkor adjutanci polowi, i wice-marszałek dworu Witski. Naprost łoża kapelan Jurewicz, za nim Cichocki adjutant polowy, i pokojowiec głuchoniemy Wilczewski (szkicu i obrazu wysok. 25, długości 24 cale).

Po powrocie z podróży Włoskiej do kraju, malował Bacciarelli dla kanclerza Joachima Chreptowicza do Szczors obrazy kościelne; jeden z nich wystawiał Chrystusa błogostawiającego dziatki, drugi św. Izidora orzącego rolę, na którego powrót w dali oczekują żona i dzieci pod rozłożystymi drzewy. W obłokach ukazuje się Bóg Ojciec.

Św. Izidor był portretem kanclerza.

W ostatnich czasach, na miejsce obrazu Palmy, któren Denon w r. 1806 wraz z kilką robotami Bacciarellego i wielą innemi zdobyczami do Paryża z kościoła św. Jana zabrać kazał; zrobił jeszcze obraz ołtarzowy wystawiający w górze N. Pannę z dziećciem Jezus otoczoną aniołami, a w dole św. Jana Chrzciela i Stanisława bisk. Krak. Figury te wedle Szaniawskiego rysami twarzy przypominają miały książąt Janusza i Stanisława Mazowieckich, w kwiecie wieku zgasłych.

Ostatnią pracą jego były portrety senatora Tomasza Ostrowskiego i kasztelana Walentego Sobolewskiego, robione z pamięci po ich zgonie, z polecenia towarzystwa Przyjaciół nauk. Portret cesarza Alexandra także dla towarzystwa rozpoczęty, śmierć mu przerwała. Oprócz ro-

bot wspomnianych w spisach, jest ich wiele po różnych domach Polskich, jego ręki lub z jego pracowni wyszłych i przezeń wykonanych. Malował także portrety Maryi-Antoniny królowej Francuzkiej, Maryi-Amalii Saskiej, alegoryczny portret Stanisława-Augusta z klepsydrą i godłem: *Lucebit lumen de coelo*; Chreptowicza, półkownika Thomatis, kardynała Archetti, Stanisława-Augusta z popiersiem Piusa VII, xcia Józefa w całym ubiorze jeneralskim, w burce, hr. Gutakowskiego, prezesa senatu Ostrowskiego, prymasa xcia Michała Poniatowskiego, dwa obrazy przedstawujące niewiasty w postaci naturalnej wielkości, jedną z płaczącym amorkiem, drugą z pieskiem (dwie faworyty króla).

Rodzina Bacciarellego posiada dotąd większą część szkiców stropów jego i wielkich obrazów historycznych, które robił w Wiedniu i Warszawie. Są także obrazy jego w Dreźnie.

Bacciarelli zamieszkiwał ciągle i pracownię miał w zamku, do którego król często wchodził, a jakie o niej krążyły wieści najlepiej przekonywa wzmianka w pamiętnikach x. Kitowicza: „Trzeci, takież saryny człowiek, Bacciarelli, Włoch, malarz; ten pod pozorem wydoskonalenia sztuki malarskiej założył muzeum malarskie, do którego schodzili się malarze przedniejsi Warszawscy, a między nich na stół wchodziła płatna niewiasta, rozbierała się do naga i układała się w różne figury, jak jej kazano, w których ją malarze malowali. Król zaś im siedząc włoży między malarzami, przypatrywał się temu.“

Wzmiankuje p. Rastawiecki, że w r. 1772 Bacciarelli otrzymał od króla nadanie dziedzictwem gruntu przy ulicy Okopowej (N. 1761), gdzie nie miałym kosztem pobudował domki i założył ogród owocowy i do przechadzki. Posiadał tę własność do śmierci, sprzedali ją dzieci, nazwana później *Bagatela*.

DZIEŁA BACCIARELLEGO (*).

Mitologiczne obrazy:

- Apollo i muzy na Parnasie, cztery postacie portretowane z arcyksiężniczek Austriackich, malowane w Wiedniu, 1761—1764.
- *— Apollo-Słońce (numer katal. Stanisł.-Aug. 918, cali 20—29, ocenione 20 duk.), w zamku Warszawskim.
- *— Dyana-Luna (n. 917, cali 20—29, ocenione dukatów 20), w zamku Warszawskim.
- *— Dyana zraniona przez ulatującego amorka, przy niej nimfa i dwa psy (n. 186, cali 61 i 58, dukatów 150), w zamku Warszawskim.
- *— Jowisz wyprowadzający świat z chaosu, ogromny strop w wielkiej sali koncertowej na zamku, (cali 720 i 288, dukatów 3,000)
- *— Narcyz. (cali 25 i 47, dukatów 25, numer 916), w zamku Warszawskim.

(*) Roboty dla króla przedsiębrane, oznaczone są gwiazdką.

- *— Nereidy z amorkiem na wodzie, obrazek cali 27 i 22½, u p. Karola Hoppen w Radomiu.
- *— Tryumf Amfitryty, strop, owal podłużny; główna myśl, według katalogu królewskiego wzięta z Natoire, ale przerobiona i dodatkowymi figurami ozdobiona, (cali 90 i 205, dukatów 250, n. katalogu 2005); w zamku Warszawskim.

Allegorye.

- *— Religija, owal, (n. 190, cali 40 i 56, dukatów 100), w zamku Warszawskim.
- *— Sprawiedliwość, owal, (n. 191, cali 40 i 56, dukatów 100), w zamku Warszawskim.
- *— Sprawiedliwość (w Łazienkach, oceniona 100 dukatów, miary katalog niepodaje).
- *— Mądrość. (tamże, też cena).
- *— Łagodność (Clementia), jak poprzednie.
- *— Siła (tamże, jak trzy poprzedzające).
- *— Mądrość miarkująca zapęd młodości (Arystoteles i Alexander), owal, cali 40 i 56, dukatów 100; w zamku Warszawskim.
- *— Siła (Samson), owal, 40 i 56 cali, dukatów 100, w zamku Warszawskim (n. 193).
- *— Nauki, sztuki i handel, kwitjące w czasie pokoju, strop w dawnej sali tronowej, na zamku Warszawskim, oceniony w katalogu króla 1,500 dukatów.
- *— Sława głosząca pamiętne czyny królów Polskich, strop w sali marmurowej (Królewskiej), oceniony 800 dukatów.

Historja i obrazy święte.

Stary Testament:

- *— Agar trzymająca syna na kolanach, (na puszczy), owal. (n. 198, cali 43 i 23, dukatów 80); w zamku Warszawskim.
- *— Agar na puszczy, anioł wskazujący jej źródło, owal, (n. 199, cali 43 i 23, dukatów 80); w zamku Warszawskim.
- Betsabe w kąpieli, cali 18 i 22½; obrazek pięknie wykonany; własność dawniej p. Karola Hoppen w Radomiu, dziś p. T. Zielińskiego w Kielcach.
- *— Esther i Ahasverus—Esther omdlewająca, za królem dwóch ludzi, z których jeden trzyma dekret przeciwko Żydom—owal, (46 i 53 cali, dukatów 100, numer kat. 196); w zamku Warszawskim.
- *— Rebeka, której Eleazar oddaje dary w imieniu Izaaka, owal, (cali 46 i 53, dukatów 100, n. katal. 197; w zamku Warszawskim).
- *— Sen Salomona, strop w Łazienkach, oceniony 300 dukatów.
- *— Salomon poświęca kościół Jerozolimski, (dukatów 600), w Łazienkach.
- *— Salomon czyniący ofiary fałszywym bogom, (dukatów 600), w Łazienkach.
- *— Sąd Salomona, (dukatów 300), tamże.

- *— Królowa Saba, (dukatów 300), tamże.
- *— Salomon i Hiram, (dukatów 200), tamże.

Nowy Testament:

- Najświętsza Panna z dzieciątkiem w obłokach; cali 21—29, u p. Karola Hoppen w Radomiu.
- Zwiastowanie N. Panny, z dwoma dodatkowymi figurami (?), cali 19½ i 25), u p. Kar. Hoppen, w Radomiu.
- Zdjęcie z krzyża, szkic do obrazu, w zbiorze p. Tom. Zielińskiego.
- Zmartwychwstanie Pańskie, szkic do obrazu, u tegoż.
- Chrystus błogosławiący dzieci; w kościele w Szczorsach, obraz ołtarzowy.
- N. Panna z dzieciątkiem Jezus, otoczona aniołami, w obłokach, u spodu św. Jan Chrzciciel i Stanisław bisk. Krak. Obraz ten, jakśmy wyżej wspomnieli, malowany był po zabraniu dzieła Palmy z katedry św. Jana w Warszawie, Bacciarelli nie zaś niechciał przyjąć od kapituły, która mu na piśmie oświadczyła wdzięczność swoją, a później zwłokom jego i żony grób dała bezpłatnie.
- *— Św. Magdalena z Corregia, kopija, cali 36 i 56, oceniona dukatów 50, w zamku Warszawskim, numer katal. 1714.
- *— Św. Magdalena (oryginalna), cali 33 i 58; oceniona dukatów 80, w zamku Warszawskim, n. 1991.
- Św. Izidor orzący rolę, obraz ołtarzowy do kościoła w Szczorsach Chreptowiczów, (Obacz w życiu Bacciarellego).

Historja krajowa.

Obrazy w sali rycerskiej na zamku Warszawskim:

- *— I. Kazimierz W. nadający prawa i zakładający miasta (na ramie: *Leges Casimiri*); 144 i 132 cale, dukatów 500.
- *— II. Władysław Jagiełło wznawiający akademję Krakowską (napis: *Acad. Cracov. instituta*); tejsze wielkości i ceny.
- *— III. Nadanie Pruss prawem lennem księciu Albertowi I przez Zygmunta starego (inwestytura), (*Prussia in fidem data Poloniae*). Obraz ten w r. 1807 zabrano do Paryża, i zwrócono dopiero po roku 1815. Bacciarelli malował go powtórnie z polecenia króla Saskiego. Też same rozmiary i cena.
- *— IV. Unia Litwy z koroną za Zygmunta-Augusta (*Lithvanii juncta Poloniae*); tenże rozmiar i cena.
- *— V. Pokój Chociński (*Pax Chotimensis*); jak poprzednie.
- *— Oswobodzenie Wiednia przez Jana III (*Vienna Liberata*); jak poprzedzające.
- *— Szkic do tego obrazu robiony, wystawujący Jana III w chwili, gdy mu przynoszą zdobyte na Turkach buńczuki, wysok. cali 24 i 19, znajduje się u hr. A. Platerra w Krasławiu na Białej-Rusi.
- Wjazd Ossolińskiego do Rzymu, obraz znajdujący się w zakładzie Ossolińskich we Lwowie, w którym architekturę malował sławny

Canaletto, a figury Bacciarelli; wysokość 62 cale, długości 102. Następujący napis na obrazie pochodzenie jego objaśnia: „Afin de représenter le plus fidelement que possible l'entrée solennelle de George Ossoliński ambassadeur de Vladislas IV Roi de Pologne faite à Rome l'an 1633. Bernardo Bellotto da Canaletto qui l'a peint dans ce tableau en 1779, s'est servi pour le composer des descriptions authentiques que la famille conserve, de l'estampe de Stephano della Bella du portrait de George Ossoliński, et de diverses autres estampes de ce tems-là, tant pour l'ordre de la marche, que pour costumes et couleurs. Joseph Ossoliński palatin de Podlachie, descendant d'icet de l'ambassadeur ici représenté, a obtenu aisement la permission que ce tableau fut exécuté dans les appartemens et sous les yeux du roi Stanislas-Auguste, protecteur constant des beaux arts et surtout quand ils servent à perpetuer la memoire des hommes illustres de la nation.“ Chociaż w nocie tej wzmianki niema o Bacciarellim, figury obrazu jemu są powszechnie przypisywane.

- Sen Stanisława-Augusta, a raczej widzenie Moiny, szkic allegoryczny małego rozmiaru, z galeryi Józefa hr. Ossolińskiego u hr. Leona Łubieńskiego w Warszawie.
- *— Posłuchanie młynarza (patrz wyżej) katalog króla, 141; (cali 25 i 24, dukatów 200).
- Śmierć króla Stanisława-Augusta; tenże rozmiar.
- Nadanie ustawy księztwa Warszawskiego, przez cesarza Napoleona w Dreźnie d. 22 lipca 1807 roku. Cesarz siedzący w krześle, oddaje ustawę Stanisł. Małachowskiemu prezesowi komisyy rządzącej; za cesarzem stoją Talleyrand i Maret, na przedzie członkowie komisyy rządzącej Ludw. Gutakowski, Stanisł. hr. Potocki, Józef Wybicki, Xawery Działyński, Piotr Bieliński, Walenty Sobolewski i sekretarz jeneralny Jan-Paweł Łuszczewski. Obraz ten, nad którym artysta około lat trzech pracował, malowany z polecenia księcia Warszawskiego, ukończony w r. 1811.

Portrety.

- Portret Marcel. Bacciarelli przezeń malowany, nabyty przez komisyy wyznań relig. i oświecenia.
- Inny, (cali 22½ i 28), u p. Karola Hoppen w Radomiu.
- W pomniku jego u św. Jana w Warszawie portret z oryginału malarza, kopijowany przez J. Gładysza.
- *— August II król Polski, suknia axamitna ponsowa, haft na niej złoty, (cali 46 i 38, dukatów 50, katalog n. 94).
- Austriacka familija cesarska, portrety w Wiedniu robione 1761—1764 r.
- Alexander I, cesarz Ross. król Polski, portret zamówiony przez towarzystwo Przyjaciół nauk, którego ukończenie śmierć przetrwała.

- Andrzej Archelti, kardynał, arcybiskup Kalcedoński, nuncyusz papieżki w Polsce.
- Brühl, hr. pierwszy minister Augusta III, portret u p. barona Rastawieckiego.
- Burakowski sędzia, u p. K.-W. Wojcieckiego.
- * — Branicka z Poniatowskich hetmanowa w. kor., siostra królewska, cali 57—42, dukatów 60. n. katalogu 712. Siedząca, ubiór strojny błękitny, do kolan, prawa ręka sparta na otwartej książce, na której sztych portretu ojca jej. Portret ten jest w Jabłonie.
- Inny portret tejże, owal, cali 23—18½, dukatów 25.
- Inny jeszcze tejże, w sukni jedwabnej białej złotem haftowanej, i futerku sobolowém, głowa w fryzurze tylko, owal, cali 26½—20, u bar. Rastawieckiego.
- Taż, ubiór biały z zielonym, do kolan, w zbiorze Ossolińskich we Lwowie.
- Branicki Jan-Klemens, hetman w. kor. kaszt. Krak., zm. 1771, do kolan; tamże.
- Bielińska, marszałk. nadworna, ubiór błękitny z draperią karmazynową, trzymająca pieska, (cali 17½ i 14).
- * — Czartoryski xżę Adam, generał ziem Podolskich, (generał-feldm. Austriacki, zm. w Sieniawie 1823 r.), w mundurze generała gwardyj Litewskich z kapeluszem pod pachą. (Cali 28 i 22, dukatów 30, n. katalogu 89).
- Czartoryska x. Izabella z Flemingów, generałowa ziem Podolskich, (zm. 1835 r.). Portret ten powtarzał malarz razy kilka.
- * — Czartoryski Floryan biskup, portret na miedzi. Drugi tegoż cytuje p. Rastawiecki.
- Chreptowicz Joachim, kanclerz w. Lit., (zm. 1812 r.).
- * — Chodkiewicz Jan-Karol, (w sali Rycerskiej w zamku Warszawskim, na miedzi, cali 39 i 28, dukatów 60).
- * — Denhoff (który?), portret po kolana, w ubiorze dawnym z krężą koronkową, włosy białe, sparte na lasce, kopija, (cali 41—32, dukatów 15, n. katal. 533). Musiał to być wojewoda Pomorski, którego są i sztychowane podobne portrety, (żył w XVII w.).
- Działyński Xawery, członek komis. rządzącej 1807 r., senator wojewoda, (zm. 1819).
- Fryderyk-August, król Saski, książę Warszawski.
- Gąsiorowska (pani), głowa w zawoju.
- Gagatkievicz Walenty, doktor nadworny, 1805.
- Gutakowski Ludw., hr. wojewoda, prezes senatu x. Warsz., (zm. 1814), w mundurze kom. rządzącej x. Warsz., u hr. Gutakowskiej w Warszawie.
- Gutakowska Maryanna z Sobolewskich, żona jego, tamże.
- * — Hozyusz Stanisław, na miedzi, (do sali Rycerskiej zamku Warszaw., cali 39 i 28, dukatów 60).
- C.-H. de Heineken, portret robiony w Dreźnie.
- * — Katarzyna II cesarzowa, w postaci Minerwy, (w zamku Warszawskim, cali 24—19, dukatów 36, n. katal. 29).

- * — Taż, w postaci Dyany, tamże, cali 24 i 19, dukatów 36, katal. n. 28.
- * — Taż, popiersie z profilu we włosach i sukni błękitnej, kopija z Rotari, w zamku Warsz., cali 21 i 16, dukatów 25, kat. n. 282.
- * — Kurlandzka xżna z domu hr. Medem, (w zamku Warszawskim, cali 40 i 31, dukatów 80, n. katal. 1985).
- * — Królowie Polscy, w sali Marmurów na zamku, dwadzieścia i dwa następujące portrety, każdy był ceniony po czterech złotych 50.
 - I. Bolesław Chrobry.
 - II. Wacław kr. Pol. i Czeski.
 - III. Władysław Łokietek.
 - IV. Kazimierz W.
 - V. Ludwik Węgierski.
 - VI. Jadwiga.
 - VII. Władysław Jagiełło.
 - VIII. Władysław Warneńczyk.
 - IX. Kazimierz Jagiellończyk.
 - X. Jan Albert.
 - XI. Alexander.
 - XII. Zygmunt I.
 - XIII. Zygmunt-August.
 - XIV. Henryk Walezyusz.
 - XV. Stefan Batory.
 - XVI. Zygmunt III.
 - XVII. Władysław IV.
 - XVIII. Jan-Kazimierz.
 - XIX. Michał Wiśniowiecki.
 - XX. Jan III.
 - XXI. August II.
 - XXII. August III.
- * — Kremer Marcin, (w sali Rycerskiej na zamku Warszawskim, cali 39—28, dukatów 60).
- * — Kopernik Mikołaj, tamże, tegoż rozmiaru i ceny.
- * — Kątski Marcin—jak poprzednie.
- * — Krasicka Alex. hr. z Grabowskich, portret niewykończony, (w zamku Warsz. n. katal. 1884, cali 26 i 22, dukatów 15).
- Lubomirski Stanisł. książę marszał. w. koron., owal, w Willanowie (katal. 44).
- Tegoż inny portret, owal, tamże, kat. n. 482.
- Lubomirska xżna Izabella z książąt Czartoryskich, marszałk. w. koron. siedząca, w ubiorze strojnym, przed nią kosz z kwiatami na stole, z którego jedną ręką wyjmuję kwiatek, drugą głaszcze pieska; do kolan. W Willanowie, n. 483.
- * — Łubiński prymas. Portretu tego była tylko kopija w galeryi Stan.-Aug., pod N. 2156, cali 34 i 29, oryginał musiał być u rodziny.
- Łuszczewski Jan-Paweł, minister spraw wewnętrznych za xiwa Warsz., (zm. 1812).

- Łukaszewicz Józef, prezydent m. Warszawy, w końcu XVIII wieku.
- Łukaszewiczowa, jego żona.
- Marya-Antonina, królowa Francuzka, (z Davida).
- Marya-Amelija, królowa Saska.
- Mniszchowa Urszula, hr. z Zamojskich, marszałk. w. koron., portret cali 108 i 60, w Wiśniowcu.
- Taż, w całej postawie, szkic, cali 18 i 12; tamże.
- Taż, w sukni materyalnej pelijowej z białymi ozdobami i kutasami, na głowie fryzura, u wierzchu przepaska biała i liście zielone, owal, cali 27½ i 20, u bar. Rastawieckiego.
- * — Taż, owal, (w zamku), cali 23 i 18½, dukatów 25, kat. 73.
- * — Taż, portret okrągły, tamże, cali 10½, dukatów 15.
- * — Taż, w stroju dworskim z Roslina, (nabyty przez hr. Mniszcha, cali 28 i 22, dukatów 45).
- * — Taż, z córkami, (cali 23 i 18½, dukatów 25, w zamku. n. katal. 68).
- Mniszech Jan, podkom. w. Lit. w Wiśniowcu.
- Mniszech Michał-Wandalin, hr. marszałek w. koron., cała postać, cali 18 i 12. W Wiśniowcu.
- Mokronowski Andrzej, wojewoda Mazowiecki, w sukni ponsowej z kołnierzem futrzanym, z orderem Orła białego, owal, 27 i 20 cali, u barona Rastawieckiego.
- Massalski, hetm. Lit., w Wilnie, wspomina Dziennik Wileński 1820 roku.
- Małachowski Stanisław Natęcz, hrabia referendarz w. kor. marszałek czteroletniego sejmu, senator wjwda i prezes senatu x. Warszawsk., w mundurze komis. rządzącej x. War.; dwa razy malowany dla komisyi i dla Winc. hr. Krasińskiego.
- * — Neuman-Bey, poseł Turecki w Warszawie w r. 1777, (w zamku, cali 36 i 34, dukatów 50. n. katal. 561).
- Nakwaska Anna z Krajewskich, kasztelanowa.
- Napoleon, z profilu, cali 20 i 25½, u p. Kar. Hoppen w Radomiu.
- Olszowski Andrzej prymas, w zamku, (na miedzi, 39 i 28 cali, dukatów 60).
- Inny, podobny cytuje p. Rastawiecki.
- Ostrowski hr. Tomasz, kasztelan Czerski, podskarbi nadw. kor. (zm. 1817).
- * — **Poniatowscy.** Król Stanisław-August. Bacciarelli malował go tyle razy, sam lub z pomocą uczniów, a z malarni jego wyszła taka mnogość portretów króla z imieniem Bacciarellego, że główne ledwie i znajomsze wyliczyć tu można. Na czele ich stoi, portret wielkości naturalnej, postać cała, w ubiorze bogatym Hiszpańskim, jaki miał w czasie koronacyi. Portret ten znajdował się w zamku w sali Marmurowej, zakończył szereg królów Polskich, dziś jest w Jabłonie. Miary jego niepodaje katalog, cenę dukatów 300.
- Inny, z popiersiem marmurowym Piusa VII, kilkakrotnie malowany, (jeden jest u bar. Rastawieckiego); cali 48—39.
- Inny, wystawiający króla w ubiorze cywilnym do kolan, w zbiorze

- p. Tom. Zielińskiego w Kielcach, wspomina p. Sobieszczański, (ze zbioru p. K. Hoppen, cali 35 i 47).
- Inny, cała postać, (rysunek zmniejszony na tytule 2-go tomu Wiadomości p. Sobieszczańskiego), własność p. Wincentego Kozłowskiego, adjunkta głównego archiwum w Warszawie.
- Portret króla siedzącego, z klepsydrą, na niebie przez chmury promyk słońca się przedziera, z napisem na karcie *Lucebit lumen de coelo* lub *Quaesivit coelo lucem*. Piękny ten portret powtarzany był wielokrotnie. Jeden cytuje p. Rastawiecki u hrab. z Tyszkiewiczów Wąsowiczowej w Krakowie, inny u hr. Gutakowskiej, inny w Wiśniowcu (cali 60 i 48). Jeden taki był u jener. Grabowskiej, dla której początkowo miał być zrobiony.
- Stanisław August, w Willanowie, n. 424.
- Tenże, malowany w r. 1775, w zbroi (?) i narzuconym płaszczu, w orderach Orła białego i św. Stanisława, owal, cali 27 i 21, u bar. Rastawieckiego.
- Tenże, w mundurze jeneralskim błękitnym, w Jabłonie.
- Tenże, w ubiorze koronacyjnym, cała postać, małego rozmiaru, cali 20½ i 14, u p. Jahołkowskiego w Warszawie.
- Tenże, w stroju koronacyjnym, w Wiśniowcu, cali 34 i 60.
- Portret króla w Herodnie na Litwie.
- Tenże, w Działoszynie u Myszkowskich.
- * — Poniatowski Stanisław ojciec króla, kasztelan Krakowski, w Kiryce, kopija z Pesne (w zamku War. 24 i 19 cali, dukatów 15, n. katal. 25).
- * — Tenże, owal, kopija, cali 53 i 41, dukatów 25, n. katal. 195, (w zamku War.).
- * — Tenże, w 83 roku życia, do pół, suknia z futrem i zbroja, malowany w r. 1758; dawniej w zamku dziś w Jabłonie, cali 51 i 37, dukatów 70, numer kat. 350.
- Tenże, portret owalny, w Jabłonie.
- * — Poniatowscy, ojciec i matka króla, portret natur. wielkości, w zamku, cali 78 i 54, oceniony 100 dukatów, katalog n. 1632.
- * — Poniatowska kasztel. Krakowska, matka króla, w sukni dworskiej, kopija, (w zamku, cali 24 i 19, dukat. 15, n. kat. 27).
- * — Taż, kopija, owal, tamże 53 i 41, dukatów 25, n. 194.
- Taż, portret owalny w Jabłonie.
- * — Poniatowski Kazimierz, książę ex-podkomorzy koronny (zm. 1800 r.), brat króla, owal, w zamku Warsz., cali 23, 18½, dukatów 25, n. katal. 69.
- Tenże, później z zamku w Jabłonie, cali 61 i 43, dukatów 60, n. kat. 713.
- Tenże, cała postać, w ubiorze Francuzkim, siedzący w krześle, u hr. Anny z Tyszkiewiczów Wąsowiczowej w Krakowie.
- Tenże, w sukni ponsowej z kołnierzem futrzanym, z orderami Orła białego i św. Stanisława, owal, cali 27½, 21, u bar. Rastawieckiego.

- Poniatowska Apolonija z Ustrzyckich, żona xcia ex-podkomorzego, owal, w zamku, cali 23 i 18½, dukatów 25, n. katal. 70.
- Taż, inny portret, ubrana białą, synek przy niej w postaci amorka, w zamku, 58 i 42 cale, ceny niedaje katalog, numer 631.
- Poniatowski Stanisław, szef gwardyi pieszej, podskarbi w Lit. jener. lejtn. w. kor. (1754—1833), portret w mundurze ponsowym ze złotymi szlifami, i orderami Orła białego i św. Stanisława, owal, 27 i 20 cali, u p. Rastawieckiego.
- *— Tenże, owal, w zamku, 23 i 18½ cali, dukatów 25, n. katal. 71.
- *— Poniatowski Andrzej, jenerał w służbie Austriackiej, brat króla, owal, w zamku, cali 23 i 18½, dukatów 25, n. kat. 63.
- *— Poniatowski xżę Józef syn xcia Andrzeja, naczelny wódz w. Pol. marsz. Francyi, portret owalny; trzymający dwa gwoźdźniki w ręku, w zamku, cali 16 i 13, dukatów 12, n. katal. 536.
- *— Tenże w mundurze gwardyi konnej, (nabyty przez hr. Mniszcha), cali 28 i 22, dukatów 30, w zamku, (2217).
- *— Tenże, już jako wódz naczelny, w burce, bardzo wiele razy powtarzany i kopijowany, jeden w Jabłonie.
- *— Poniatowski Michał, arcyb. prymas (1736—1794), brat króla, owal, w zamku, cali 23 i 18½, dukatów 25, n. katal. 74.
- Tenże, w stroju duchownym czarnym, z orderami Polskimi, owal, cali 27 i 24, u bar. Rastawieckiego.
- Tenże, w purpurze, cali 30 i 25.
- Tenże, w Wiśniowcu, cali 108 i 72.
- *— Potocki Revera, portret na miedzi, w zamku, w sali Rycerskiej, cali 39 i 28, dukatów 60.
- Potocki Adam hr., półkown. jazdy za xięstwa Warsz., malowany jako adjutant Kościuszki w 15 roku życia, w Plancie w Sandomierskiem, u p. Łempickiego.
- Potocki Stanisław Kostka hr., jenerał artylerji, członek kom. rządzącej, prezes rady stanu i ministrów xtwa Warsz., minister ośw. i rel. i t. d., (zm. 1821), portret cytuje Rastawiecki.
- Inny może u p. Tom. Zielińskiego w Kielcach.
- Potocki Franciszek Salezy, wojewoda Kijowski, (około 1782 roku malowany).
- *— Potocka Sewerynowa z xx. Sapiechów, w zamku, cali 36 i 28, dukatów 50, n. katalogu 1875.
- *— Popielowa kasztel. Sierpska, tamże, cali 23 i 19, dukatów 25, n. katal. 515.
- *— Radziwiłł Krzysztof, tamże, w sali rycerskiej, na miedzi, cali 39 i 28, dukatów 60.
- Radziwiłł Karol xiążę, portret ten znajduje się w Litwie w Połoneczce, u xcia Radziwiłła.
- *— Sanguszek Roman, w zamku, w sali rycerskiej, cali 39 i 28, dukatów 60.
- *— Sapieżyna xżna z domu Branicka, owal, w zamku, nabyty przez hr. Mniszcha, cali 23 i 19, dukatów 25, n. kat. 514.

- *— Sapieżyna z Lubomirskich, kancelarzyna Lit., głowa sparta na ręce, w zamku, cali 38 i 29, dukatów 25, n. katal. 516.
- *— Szaniawska Anna z Scypionów, starościna Małogolska, zm. 1795; nabyty z zamku przez hr. Mniszcha, cali 34 i 26, dukatów 15, n. kat. 1948.
- Sołtyk x. Kajetan-Ignacy, biskup Krakowski, siedzący, malowany około roku 1766. Pięknie wykonane akcesorya, draperye i ubranie. U p. Fr. Sołtyka w Piastowie w Radomskim, i u p. K. Hoppen w Radomiu.
- Inny podobny, w Kurozwękach w Krakowskim, u p. Pawła Popiela.
- Sołtykowa Karolina z xxat Sapiechów, (pierwój Potocka), w piórach na głowie, i orderze Złocistego krzyża, u p. Łempickiego.
- Sapieha Alexander xiążę, kanclerz Lit., u p. Łempickiego w Plancie.
- Sobolewski Maciej, kasztel. Warszawski, u hr. Gutakowskiej w Warszawie.
- Sobolewski Walenty hr., w mundurze członka komissji rządzącej xtwa Warsz.
- Pani Szymanowska, owal, cali 33 i 46, u p. K. Hoppen w Radomiu.
- Stackelberg hr., ambasador Rosyjski.
- *— Tarnowski Jan, w zamku, w sali rycerskiej, na miedzi, cali 39 i 28, dukatów 60.
- Drugi portret tegoż cytuje p. Rastawiecki.
- *— Tyszkiewiczowa Wincentowa (córka x. Andrzeja Poniatowskiego), owal, w zamku, cali 23 i 18½, dukatów 25, katal. n. 66.
- *— Taż, tamże, trzymająca ręką zaslonę, która ją okrywa, cali 16 i 13, dukatów 12, n. katalogu 537.
- *— Tyszkiewiczowa z Poniatowskich (córka x. Kazimierza), w zamku, owal, 23 i 18½ cali, dukatów 25, katalog n. 72.
- *— Pani Tyszkiewicz z Poniatowskich, okrągły, w zamku, cali 10½, dukatów 15, n. katal. 30.
- Tyszkiewiczowa z Poniatowskich Konstancja, hetman. polna Lit., w sukni fioletowej z białymi krezami, na głowie fryzura wysoka, wianek z białych kwiatów i dwa pióra, białe i niebieskie, owal, cali 26½ i 24, u bar. Rastawieckiego.
- Tyszkiewicz (?), cali 26 i 27, u p. K. Hoppen w Radomiu.
- Inne portrety Tyszkiewiczów mają się znajdować w Horodnie w Litwie i w Działoszynie w Wieluńskim, u p. Ign. Myszkowskiego.
- Thomatis Karol, dworzanin króla, później hrabia, dyrektor teatrów.
- *— Thomatis pani, w zamku, owal (z profilu), 27 i 21 cali, dukatów 25.
- *— Taż w postaci Muzy, tamże, cali 27 i 21.
- *— Wilczewski, głuchoniemy, kamerjunker dworu j. k. m., kasztel. Wiski, w zamku, cali 16 i 13, dukatów 20, n. katal. 238.
- Wiśniowiecki, hetman, na miedzi.

- Węgierska pani, owal, cali 33 i 46, u p. Kar. Hoppen, w Radomiu.
- *— Zamojska z Poniatowskich, wdżina Podolska, siostra króla, w zamku, 23 i 18½ cali, dukatów 25, n. katal. 67.
- Taż, w sukni karmazynowej z sobolami, w czepku białym z owinięciem czarnym, włosy upudrowane, owal, cali 26½ i 20, u bar. Rastawieckiego.
- Zamojski Jan, kanclerz i hetman, cali 59 i 41, w Królikarni.
- Żółkiewski Stanisław, hetman, na miedzi.
- Oprócz tych portretów, rodziny Poniatowskich i pokrewnych jej wizerunki przez Bacciarellego malowane, mają się znajdować w Horodnie w Litwie, majątku niegdyś Ludwika Tyszkiewicza, marsz. w. i hetm. pol. Lit. i w Działoszynie w Wieluńskim u Myszkowskich, gdzie ich liczą dwadzieścia.

Głowy fantazyjne :

- *— Popiersie starca w sukni brunatnej, włosy i broda siwe, w zamku, cali 20 i 15, dukatów 25, n. katal. 152.
- *— Portret dziewczki (ma być wnuczka malarza), u bar. Rastawieckiego.
- *— Niewiasta z amorkiem płaczącym, wielkości naturalnej (jedna z faworyt króla).
- *— Niewiasta z pieskiem, pendant, podobnie.

Rysunki oryginalne.

Niewiele zbiorów naszych rysunkami Bacciarellego pochlubić się może, gdyż mało ich w obieg poszło, a główne pozostały w posiadaniu rodziny, która zachowuje szkice wszystkich większych jego kompozycji i historycznych obrazów.

Inny obfity zbiór rysunków Bacciarellego posiadał p. Karol Hoppen w Radomiu.

W zbiorze p. Gwałb. Pawlikowskiego w Medyce, teraz we Lwowie, jest także zbiór rysunków malarza, zwłaszcza szkice do portretów historycznych hetmanów i t. p.

Sztuchy i litografije z rysunków Bacciarellego.

- Portret malarza : Marcel Bacciarelli, pierwszy malarz Stanisława Augusta, folio, litog. J. Sonntag, u L. Letronna.
- Portret w czapce z futrem i futerku, w 8-ce, litografija J. F. Piwarskiego, do dzieła p. Rastawieckiego.
- W galeryi Dreźnieńskiej z rysunków jego kilka obrazów sztychowali P. E. Moitte, (obraz Fr. Vanni z Sienny). . . .
- Nadanie ustawy xtwu Warszawskiemu 1807 r., litogr. folio Fr. Hanfstaengl, w Dreźnie.
- Stanisław-August, wielokrotnie sztychowany z portretów jego. Portret z klepsydrą 1798 r. sztychował A. Fogg.
- Inny *Küstner*.

- Poniatowskiego x. Michała, prymasa *Jean Math. Royes*, 1782 r.
- Poniatowskiego ojca króla *B. Follino*.
- Poniatowskiego x. Józefa, jako wodza naczelnego, *Bollinger i F. John*.
- *J. Ligber*, sztychował z jego portretów Jana Pawła Łuszczyńskiego.
- Tenże Walentego Gagatkiewicza.
- Hr. Stackelberga, sztychował *Koszin*.
- X. Kajet. Sołtyka, *Cunego i Perini* w Rzymie w. arkusze.
- Fr. Salenego Potockiego, *Dom. Cunego*.
- Portret C. H. de Heineken, sławnego ikonografa w Dreźnie, z portretu Bacciarellego sztychował *Rasp*; ale z tej blachy, dla złego jej wykonania, malarz stał swoje nazwisko (*Heincken II. 9.*).

D o d a t k i.

W katalogu galeryi Stanisława-Augusta, łaskawie nam udzielonym przez p. Tom. Zielińskiego, wszystkie roboty Bacciarellego jak i innych malarzy, ocenione są,—według niego podaliśmy tu ceny ich, które wistocie znacznyby sumę wyniosły. Król Stanisław-August, gdy po upadku kraju z Grodna wyjeżdżał, nieczując jeszcze, by dostatecznie wynagrodził Bacciarellego, przesłał mu rewers do pozostałych majątności swych na 25,000 czerw. złotych.

Musimy tu przytoczyć jeszcze anegdotę, może zmyśloną, ale odnoszącą się do Bacciarellego, którą z podania spisał autor opisu Podhoreckiego zamku w *Rozmaitościach Lwowskich r. 1819, 5 paźd.*

„Zmarły niedawno Bacciarelli, malując ten obraz (Salomon czyniący ofiary fałszywym bogom?), miał zawsze wszystkie draperye i piękna kobietę przed oczyma; potrzeba było tylko mężczyzny, któryby do wzrostu wysokiego łączył powagę dostojności z całą siłą wieku pełnego i był z brodą. Mury klasztorne wydały takiego męża. Ubranego Kapucyna w togę i purpurę przywiedziono do warsztatu malarza i kazano mu klęczeć u nóg prawdziwej z ubioru i urody Gracyi, dla wydobywania tego wzruszenia na twarzy, jakie w podobnej okoliczności król rozkochany mieć był powinien. Nietrzeba było na to długo czekać: biedny Kapucyn pod przybraną króla postacią został rzetelnie Salomonem. Tym sposobem męczono Kapucyna kilka razy; na dopełnienie zaś udręczenia stali zawsze za drzwiami dwaj inni zakapturzeni dla towarzyszenia rozkochanemu za kratę.“

Powiastrka ta jakkolwiek zmyśloną być może, maluje wiek co ją stworzył, lekceważenie kapłaństwa i wyuzdaną jego swawolę.

Zródła do życia Bacciarellego u nas są dosyć liczne. Pisał o nim x. Szaniawski pochwałę czytana na posiedzeniu Towarz. Przyj. nauk 1822; bezimienny w nekrologu w *Gaz. Warsz.* 1818 r., syn, tamże w r. 1819; Ciampi, Stanisł. Przyłęcki (1833 r.) i t. d. *Nagler* w swoim słowniku malarzy, niezajrzawszy do Ciampi, bardzo mylną i krótką podał wiadomość, dzieląc Bacciarellego na dwóch, zowiąc go *Bacciarelli* i *Bacciararchi*, a sztych *de Marcenay* z portretu przez żonę jego malowanego, przyznając jemu i t. d.

Bacciarelli Joanna-Julijanna-Fryderyka z domu *Richter*. Miniaturzystka, urodzona w Dreźnie, gdzie ją poznał i zaślubił Marcelli Bacciarelli w r. 1755. W r. 1756 towarzyszyła mężowi do Warszawy; w 1759 otrzymała patent nadwornej malarki króla Augusta III.

Dzieliła później losy męża któremu towarzyszyła w r. 1761 do Wiednia, a później osiadła z nim od 1765 w Warszawie, gdzie w roku 1812 zmarła. Ciało jej złożone początkowo w grobach kościoła Belwederskiego, przeniesione później do grobów kościoła św. Jana, i pochowane obok męża z pomnikiem, w którym umieszczono portret artystki.

Robiła miniatURY, które dość zjednały sobie wziętości. a biegła w rysunku użyta była z mężem do zdejmowania kopii ołówkiem z galeryi Drezdeńskiej do zamierzonego jej sztychu.

Miedzy innemi z jej rysunku sztychował Beauvarlet: *La mort d'Adonis pleuré par Venus*. *Fred. Bacciarelli d'après Aless. Turchi* (wysok. 342 millim. i 265).

De Marcenay 1765 roku sztychował z jej miniatURY medalijon z portretem Stanisława-Augusta, uniesiony przez orła w obłokach (*Heincken. Nachrichten I. Th. 179—216*).

Portret artystki przez Ant. Graff malowany ze zbioru p. Karola Hoppen w Radomiu, przeszedł do p. T. Zielińskiego. Służył on za wzór Gładyszowi do portretu w grobowcu.

Inny ma być u p. Rastawieckiego.

Córkę Bacciarellich, która była za Wilczewskim, malował *Marteau*.

Bach C. D. F. Karol-Danijel-Fryderyk Bach, urodzony w Potsdamie w r. 1756, mieści się tu z powodu, iż wykształcenie swe wniён był hr. Ossolińskiemu, który go też do różnych prac używał. Ossoliński spotkał go kopijującego obraz w galeryi x. Henryka Pruskiego, podobał go sobie i losem się jego zajął. Naznaczył mu Ossoliński pensję, wziął go najprzód z sobą do Polski, potem dla dalszego kształcenia się wysłał do Włoch.

Z hrabią razem przebywał czas jakiś w Warszawie, i Nagler wzmiankuje, że niektóre jego dzieła pozostały w Polsce. Kopijował wiele olejno z Rafaela, Rubensa i innych. Był później professorem i dyrektorem Szląskiej szkoły sztuk pięknych we Wrocławiu. Sztychował także sam allegorye i portrety.

Jego są zapewnie rylca następujące:

— *Josephus Comes de Tenczyn Ossoliński generalis Terrarum Volh. Palatinus*, w 8-ce, na miedzi. *Bach sc.*

— *Theresse Comtesse Ossolińska née Comtesse de Zmigród Stadnicka Palatine de Volhinie*, w 8-ce. *Bach sc.*

Bachmatowicz Kazimiérz. Uczeń Rustema, najbliższy może swego mistrza rodzajem talentu; malarz sztambuchowy, którego drobne kompozycje, krajobrazki, kobiety, dzieci, wiele mają wdzięku. Wdzięk ten jednak przechodzi czasem w manijerę, a talent cały, z żalem, rozsypał się na drobnostki same. Słusznie mu zarzuca W. Smo-

kowski, że choć krajowe rzeczy na kamieniu rysował, przebija się w stylu naśladowanie V. Adama. Pozostało po nim kilka zeszytów litografij, kopije z rysunków Orłowskiego i Rustema, trochę małych kompozycyj i portrety olejno robione. Umarł niedoszedłszy lat trzydziestu wieku swego, w r. 1837, w Dobrowlanach, u hr. Güntherów, miejscu znanem w Litwie z wykształconego smaku jego mieszkańców, zamiatowania ich w sztuce i zbiorów dzieł sztuki i pamiątek. (*Szemesz. Athenaeum Od. VI. T. VI. 218*).

Z litografij jego znamy:

1. *Orłosiady*, małe folio, zbiór rysunków Orłowskiego, z okładką, na której Chińczyk siedzący z fajką, trzyma książkę z napisem: *Zbiór rysunków A. Orłowskiego, litografowany przez K. Bachmatowicza 1836 r.* Zawiera, oprócz okładki: 1) Czerkiesa na koniu, 2) Żebraka, 3) Ubiór Czerkieski, 4) Wiwandijerkę. (Robione w Dobrowlanach).

2. *Souvenir de Dobrowlany*, 1835, arkusz, na którym dziesięć małych litografowanych widoczków. Odbito w Wilnie u Oziębłowskiego.

3. *Souvenir pittoresque des petits ouvrages de J. Rustem, recueillis et lithographiés par son élève reconnaissant C. Bachmatowicz à Vilna*, takiż format jak Orłosiady, portret Rustema i kart siedm drobnych szkiców.

4. *Przypomnienie Wilna*, litografowane przez K. Bachmatowicza 1837. Tenże format, z okładką litografowaną, kart cztery drobnych rysunków w sposobie V. Adama.

5. Drugi ciąg przypomnień, okładka i kart cztery, litografowane w Dobrowlanach.

Rysunczki są zręcznie rzucone, szczególnie Żydki i żebracy; ale smak Francuzki i widoczne kształcenie się na wzorach Adama, zwłaszcza w koniach, powozach i elegantach. Smakowi i wdziękowi wszystko tu poświęcone, ale też smaku pełno.

Baczkowicz Jan. Jeden z budowniczych kościoła w Ołyce na Wołyniu, około r. 1635—1640.

Baczkowska Dorota. Wspominają o niej akta Radzieckie miasta Krakowa pod rokiem 1538 (X. IV. 3. 14. str. 2), *Dorothea Baczkowski*, a za niemi i bar. Rastawiecki w swoim słowniku; ale najprędzej być może, że to tylko żona malarza, (może *Math. Baczkowskiego*).

Baczkowski Mathias. Malarz Krakowski, wspomniany w aktach Radzieckich pod rokiem 1544 (*Boczowski—Batzkowski alias Wotka Mathias* (X. IV. 5. 16, str. 542 i 639)).

Baczyński Józef. Urodzony w Hruszkach na Wołyniu, około r. 17... , nauki pobierał w Wilnie. Tadeusz Czacki mianował go kuratorem szkół naukowego okręgu Wołyńskiego, a następnie był marszałkiem z wyboru szlachty i prezesem. Cały niemal czas swobodniejszego poświęcał on malarstwu, któremu oddawał się z zapętem. Największe upodobanie miał w karykaturach, w których celował. Z więk-

szych jego robót jest obraz znacznego rozmiaru scenę z r. 1791 wystawiający, — inny rynek Krakowski w czasie powstania Kościuszkowskiego, — inny, celebę archijereja w Kijowo-Pieczerskiej Ławrze. Ostatni ma być pełen życia i charakteru. Zostawił także kilka rękopismów drukiem dotąd nieogłoszonych. Umarł w późnym wieku, w Dawidówce (pow. Żytomirskim, d. 28 stycznia 1833 r.). Rękopisma znajdują się u p. Stanisł. Nowowiejskiego, któremu i tę wiadomość winniśmy.

Baczyńska Józefa z Bohuszów, żona jego, wychowanka domu Czackich star. Nowogr. uczyła się malarstwa u Bacellego i Lariusu w Krzemieńcu. Malowała akwarellą zwłaszcza kwiaty i minijatury. (Nota p. A. Słowikowskiego).

Baczyński Stefan. Sprowadzony ze Lwowa przez hr. Worcellów malarz portretów olejno i dekoracyjny.

Umarł przeżywszy lat kilkadziesiąt w Stepaniu na Wołyniu u hr. Worcellów, po r. 1815. Nosił się po-Polsku, miał być dowcipnym i miłego charakteru człowiekiem.

Malował w Stepaniu w r. 1805 wewnątrz kościoła parafialnego *al secco*. Tamże pokoje w domu hr. Worcellowej podstoliny w. x. Lit. nad Horyniem, i wewnątrz altany w ogrodzie Stanisł. hr. Worcella podstolego w. x. Lit.

Olejno malował: — obraz Chrystusa klęczącego i modlącego się w Ogroju, przy nim anioł, w dali trzej apostołowie, — Chrystus na krzyżu, pod krzyżem św. Maryja Magdalena klęcząca, — P. Jezusa Milatyńskiego (na krzyżu), — Tadeusza Jude apostoła, — św. Floryana, — P. Jezusa Milatyńskiego, drugi mniejszy obrazek, — obraz Niepokalanego poczęcia.

Malował także dwanaście obrazów bitw z czasów Fryderyka w. i Stanisława-Augusta. Obrazy te znajdują się pod Stepaniem w Dworcu, majątności p. Kajetana Piastrzeckiego, chorążycza kaw. nar. Lit.

Baczyński umierając zostawił żonę, dwóch synów i dwie córki.

Malarz był mierny, o ile z pozostałych robót sądzić można, ale wykształcenie swe sobie był winien.

(Z notaty p. A. Słowikowskiego).

Baden. Szttycharz w Krakowie, może amator tylko, którego rycina ćwiartkowa, jest w zbiorze A. Grabowskiego, wyobraża rodzaj dekoracji z owalnym w środku otworem i podpisem: *Baden sc. et excud. Cracoviae*.

Badoureaux J. F. Szttycharz w Paryżu, robił rylcem i kroiłkami. Pracował od r. 1819 do 1834. Znamy jego x. Józefa Potockiego, z rysunku *Edme Gratien Parizeau*.

Baeck-Beck Elias. Malarz i szttycharz, zwany Heldenmuth, osiadły w Augsburgu, gdzie w r. 1747 umarł. Szttychował bitwy, plany, portrety, krajobrazy it. p.

W zbiorze hr. Konst. Świdzińskiego, jest przez niego robiony widok Warszawy, (dług. cali 44,5, wysok. 14,7). U góry na wstędze wielkimi głoskami napis: *Warsovia*, pod ryciną objaśnienia numerów (29)

i podpis: *Elias Bäck, A. C. fecit. Haered. Jerem. Wolfij excudit. Aug. Vind.*

Widok wzięty z za Wisły. Na pierwszym planie wązki brzeg przeciwny, na którym kilka źle narysowanych drzew i rozsypane figurki konne i piesze w czapkach z futrem śpiczastych i kitach, suknie długie z potrzebami od góry do dołu, dwóch ma kopije. Przez Wisłę przeprawia się prom z powozem i wojskowemi. Za Wisłą widać miasto, ostatnia budowa od lewej strony pałac Kazimirowski, kaplicę Moskiewską zwaną, widać przez dachy gmachu połączonego galerią z pałacem Kazimirowskim, napis objaśniający głosi: „4. *Das Adel Frauen Zimmer Stift*,” przy nim klasztor z kościołem. N. 5. *Das Franzesishe Nonnen Kloster*. Są tu Wizytki zaprowadzone w r. 1667. Widać dalej pałac Koniecpolskich, Ossolińskiego z wieżą, Radziejowskich, najwspanialszy z całego miasta, za którym ku zamkowi widać spalone przedmieście. Widok ten po r. 1667 robiony około 1670, jak postrzega K. Świdziński, kopijował później Beck.

Tegoż zapewne, jest mapa Polski do dzieła: *Allgemeine Zeitungs Handbuch* w r. 1748 wydanego, podpisana: C. P. P. S. V. E. Bäck, a H. sculpet exc. A. V. Cwiartka.

Baerend C. (Baerendts, Baerents). Baerend Karol, rzeźbiarz medalów, płaskorzeźb i szttycharz, urodzony w Dukli, ale wychował się w Dreźnie. Uczył się u Matthaei, Mattensperger'a, Casanov'y i Höcknera. Są jego roboty medale, medaliony, płaskorzeźby z wosku, portrety z natury, kopije z antyków. Niektóre prace chwali Nagler.

Obrazy Baerendt'a ucznia Casanovy na wystawie w Dreźnie 1794, wzmiankuje S. Morawski.

Innego zapewne *Baerendt'a Karola* także były w r. 1824 na wystawie Warszawskiej modelowane popiersia.

Baeseler (Büeseler). Litograf w Poznaniu; znamy jego: *Rynek i ratusz w Poznaniu w dzień targowy* w litografii W. Kurnatowskiego w Poznaniu wydany. Ładna litografija w arkuszu (*à deux teintes*).

Baftalowski J. Litografował w Berlinie w r. 1838 wizerunek Kładzi z Działyńskich Potockiej.

Bagiewicz (?). Litografował w r. 1840: *Jan Sandmann* wirtuoz muzyczny (arkusz).

Bagni C. W katalogu rycin, zbioru A. Batowskiego pod N. 1411, jest: *Joannes Rex Poloniae* w 24, na miedzi, z podpisem szttycharza C. Bagni. O żadnym nazwisku tego artysty wiadomości znaleźć nie mogliśmy.

Bahmann. Szttychował na stali, portret Władysł. hr. Ostrowskiego z laską marszałkowską w rękę: *Ladislaus Graf von Ostrowski etc 4-to*.

Bakalowiec A. Uczeń szkoły sztuk pięknych w Warsza-

wie. Na wystawie 1850 r. (Gaz. War. 180), były roboty jego wnętrze tuszem i pejzaże. Zabawa w karczmie z talentem obmyślana. Zobacz *Piotr Wroński*.

Bąkowski Teofil. W r. 1852 czytaliśmy w gazetach ogłoszenie, że Teofil Bąkowski artysta-malarz (sic) przybył z zagranicy, stoi na Podwalu w hotelu Słowiańskim i maluje portrety olejne po 10 r. sr., z zaręczeniem podobieństwa (!!!). Dla osobliwości wspomnijmy to, chociaż niezaręczamy za artystę, jak artysta za podobieństwa.

Bąkowski Jan-Wincenty Jaxa (hrabia). Szttycharz amator. Urodził się z ojca Mateusza a matki Anieli z Komorowskich Bąkowskich (rodziny dawniej Pomorskiej) w Wiśniowczyku w r. 1760, umarł we Lwowie r. 1826. Mąż ten oprócz talentu z charakteru swego wysoce był ceniony, żył w ścisłych stosunkach z Ossolińskim i przyłożył się do ustanowienia Zakładu imienia Ossolińskich we Lwowie. W wolnych godzinach trudnił się rytowaniem i rysunkiem, a liczne próby prac jego ma zbiór Medycei Pawlikowskiego.

Rytował. 1. *Jędrzeja Morsztyna* podskarbiego, z ryciny *Ede-link'a*.

2. *Gerard hrabia Dönhoff*, wojewoda Pomorski, oraz podskarbi w. kor. Rytował *J. Bąkowski*, in 4-to (ze stariej ryciny).

3. Ryciny monet i medalów Polskich.

Rysunek oryginalny Jana Jędrzeja z Radzymina Morsztyna z *Ede-link'a*, fol. przez niego robiony w r. 1792 ma zbiór Ossolińskich.

Portret jego był litografowany.

Balciewicz Franciszek-Wacław. Szttycharz, który pracował w Wilnie około 1759 r., ale o życiu jego żadnych szczegółów nie mamy. Robił rylcem, po większej części obrazki świętych, niekiedy mierne, w ogóle nieodznaczające się, ani kompozycją ani wykonaniem. Większe są jeszcze gorsze od małych.

Największą znajomą jego ryciną, której blachę posiada Eust. hr. Tyszkiewicz, jest wizerunek św. Kazimierza królewicza. Oprócz tej pięć innych blach są w zbiorze Tyszkiewiczów Łohojskim. Podpisywał się najczęściej przez skrócenie: *Franc. Balc.*, *Fr. Balc.*, *Franc. Węcesl. Balc.*; rzadko całém nazwiskiem.

1. *Effigies S. Casimiri Regij Poloniae et M. D. L. Principis cujus corpus indesinentibus gratiis et beneficiis claret in Capella Regia Arcis Vilnens. ad excitandam et consovendam Sarmaticae gentis devotionem ergo hunc suum principalem patronum zelo, cura et sumptu Illustrissimi Excellentissimi Reverendissimi Domini Antonii Comitiss Tyszkiewicz Episc. Samogitiae praepositi et Capellae, sculpta et excussa. Anno Domini 1749. Poniżej Franc. Węcesl. Balc. sculp. Vilnae.*

Półarkusz, wysoki cali 16, szer. 11. W ozdobach nakształt portyku, wyobraża świętego stojącego z liliją w ręce jedną, z krzyżem w drugiej, gniotącego nogami berło, koronę, tarczę i ślepego geniusza z łukiem w dłoni, mającego wyobrażać miłość ziemską. Świętemu po-

daje koronę i berło nieziemskie anioł po-xiążącemu ubrany, w koronie, na obłoku niesiony. Po za świętym widok, katedry, miasto, góra Zamkowa i Trzykrzyska. Herb Tyszkiewiczów dzieli podpis. Są odbicia stare i nowe. Kompozycja i rysunek nadzwyczaj liche, wykonanie także nieszczególne. Ryciny tej kopię zmniejszoną litografowano w Paryżu.

2. *Matka Bozka Niepokalanego poczęcia, na pół-xiążycu i kuli ziemskiej węzłem okręconej*; podpis: *Mater pulchrae dilectionis, Eccl. 24.* Niżej: *Franc. Balc. sc. Vilnae.* Blacha w Łohojsku.

3. *Mater admirabilis Eysymontoviensis in Districtu Grodnensi.* U dołu: *Franc. Balc. sc. Vilnae.* W ozdobach łamanych z palm i liści złożonych, wśród których w górze draperya i korona, M. Boża trzymająca na ręku Chrystusa dziecię, którym jedną ręką błogosławi, w drugiej trzyma więź. Na pokryciu głowy Matki Bożej wyszyty krzyż Grecki. Głowy promieniste. Szttych nieszczególne.

4. *Błogosławiony Józef Kalasanty od Matki Bozkiej, fundator szkół pobożnych, umarł r. 1648, beatyfikowany r. 1784, cudami w Rzymie i w innych państwach sławny patron w utrap. 8-vo.* Szttych mierny, ale rysunek w ozdobach niezły. *Franc. Balc. sc. Vilnae.* W ramie łamanej i liściowej, owal, w nim figura śwgo w birecie

i sukni Pijarskiej, na piersi monogramm  w promieniach, w ręku trzyma paciorki, przed nim krzyż. Podpis na podstawie.

5. *Św. Jan Nepomucen*, w obłokach z krzyżem i pięcią gwiazdami do koła głowy, anioł przy nim palmę trzyma, sześć główek aniołków w górze, u dołu inny anioł z ustami palcem przyciśniętymi kartą, na której: *S. Joannes Nepomucenus. Fr. Balc. sc. Vilnae.*

6. Inny zapewne św. Jan, którego blacha w Łohojsku, nosi całe nazwisko w podpisie *F. Balciewicz sc. Vilnae.*

7. *S. Antonius Paduanus. F. B. sc. Vilnae.* 8-a.

8—10. Trzy nieopisane blachy są jeszcze w Łohojsku.

Balcowski E. Malarz nam nieznany w Wilnie, w drugiej połowie XVIII w. pracujący; wie o nim *Heincken* (II. 51), i pisze, że malował portret Maryi-Józefy królowej Polskiej, sztychowany bez imienia rytownika.

Balczer. *Balczer Schnitzer*, rzeźbiarz w Krakowie w r. 1533 wspomniany w aktach Radzieckich, wedle noty p. Am. Grabowskiego.

Baldi (Baldo) *Antoni*. Malarz i sztycharz z Cava, uczeń Solimeny, sztychował igłą i rylcem, portrety, allegorye i t. p. Pracował (ur. 1688) ok. 1740 r.

Z jego rysunku sztychowano kilka rycin allegorycznych z powodu małżeństwa króla Obojga Sycylii z księżniczką Sasko-Polską. Na jednej z nich w górze dwa portrety w medalijonach, niżej dwie muzy—4-a, *Heincken*.

Tenże cytuje inne ryciny z powodu tej uroczystości zrobione, wedle rysunków Anton. Baldi. Kilka portretów na rodzaju ołtarza—*Nos copulat Venus* (in 4-o). Król i królowa odbierający cześć od ludu Neapolitańskiego (in 4-o). Wjazd królestwa do Neapolu i t. d.

Baldi Lazzaro. Malarz w Pistoja, ur. 1624, zm. 1703. Uczeń i jeden z najlepszych uczniów Piotra z Cortony. Rysował do sztychu rycinę na cześć Władysława IV, którą rył *C. Bloemaert*, fol. Na rycinie tej cała postać króla konno wystawionego. (Heincken, II. 53).

Zob. *Szymonowicz*.

Balechou J. J. Wyborny sztycharz Francuzki (*Jan Jakub*) urodzony w Arles 1715, zmarły w Avignon 1764. On to z obrazu Hijacynta Rigaud sztychował sławny i tak przez znawców ceniony wysoko portret Augusta III, wystawiający go w całej postaci, jako xiążęcia jeszcze, w zbroi, płaszczu, za nim w pejzażu murzynek. Portret ten znajduje się na początku pierwszego tomu Galeryi Drezdeńskiej (1753—57). Ma to być wedle Heinckena arcydzieło artysty, wielce się też szacuje i za drogą rzadkość uważa za granicą, byleby odbicie było dobre i nienowe, bo później blacha była poprawiana przez niejakiego *Zingg* (*Hiencken* II. 66). Huber do pięciu sztuk kapitalnych Balechou liczy ten śliczny portret (*Huber*. 288). Gorsze i późniejsze odbicia jak widać z katalogu Lissnera, płacą się ledwie po dwa talary, gdy pierwsze tysiącami franków opłacane bywają; a *Brunet* (*Manuel du libraire*) pisze, że egzemplarze Galeryi w których się ten portret znajduje, wyższą od innych mają wartość.

Najpierwsze odbicia portretu tego są bez roku 1750 i bez wyrazów: *Chev. de l'ord. de St. Michel*. Odciski całkiem bez podpisu trafiają się także, ale są niesłychaniej rzadkości. Autor *Notice sur les Estampes de la Bibl. Royale* i *Voyage d'un iconophile* (*Duchesne*), myli się utrzymując, że portretu Augusta III jeden jest tylko egzemplarz całkiem *avant la lettre* w gabinecie Bibl. królewsk. w Paryżu, nabyty w r. 1805, który od sztycharza Daudet przeszedł był do jakiegoś amatora w Bordeaux, a z niego do Bibl. Paryzkiej. Joubert dowodzi, że tak nie jest. Znamy cztery podobne odbicia: 1) w zbiorze Paryzkim kupiony w r. 1807 za 1,200 franków; 2) w zbiorze Drezdeńskim; 3) w zbiorze arcy-xięcia Karola w Wiedniu; ostatni sprzedany na licytacji Franka w Wiedniu 1836 r. za 130 fl. 45 kr.

Drugie odbicia są bez roku 1750 nad nazwiskiem sztycharza.

Trzecie numerowane (jedno takie posiada zbiór Batowskiego we Lwowie, 21 *Epreuve*, N. 1857).

Bez numerów.

Nakoniec, poprawiane przez *Zingg'a*.

Oto są ceny różne portretu tego, jakie znajdujemy u Heller'a, w katalogu Weigla i t. p.

Mariette, 260 fr.; Servat, 100 fr.; Basan, 180 fr.; Valois, 121 fr.; Saint-Yves, 125 fr.; Alibert, 164 fr.; Durand, 900 fr. (bez wszelkiego podpisu), z podpisem bez roku 1750, 300 fr.; Debois, drugie odbicie, 122 fr.; Frauenholz V., 22 fl.; Becker, 4 $\frac{1}{2}$ thlr.; Schneider, 5 $\frac{1}{2}$ thlr.; Frank, drugie odbicie, 33 fl.; Weigel, 7 thlr.; Schwarzenberg, 1 $\frac{1}{2}$ $\frac{1}{4}$ thlr.; Sternberg, 5 $\frac{2}{3}$ thlr.

Dwa tomy Galeryi, w której się znajdują portret króla i królowej, sprzedawały się po 520 fr., nieprzechodząc nigdy 560 fr.

(Portret ten wysok. 695 millim. i 501).

Tegoż Balechou jest portret Henryka Brühl z obrazu L. Silvestre, równie prawie szacowany jak królewski, (wysok. 438 millim. i 363, to jest cali 19 linii 9, i 14 cali 5 linii).

Portrety Brühla znane są także w rozmaitych stanach.

1. Odbicia, bez żadnego podpisu, rzadkie.
2. Odbicia, w herbie u spodu po za lampartami bez chorągwi.
3. W herbie za lampartami chorągwie, głowa nieco poprawiona odmiennie.

Podpis: *Henry Comte de Bruhl premier Ministre de Sax. Majesté le Roy de Pologne Electeur de Saxe*. fol. (1750 r.).

Różne ceny sztychu tego na licytacyach bywały: Brandes, 2 $\frac{1}{2}$ thlr.; Winkler, pierwsze odbicie, 3 thlr.; Frank, 3 fl. 15 kr.; Weigel, 1 thlr.

Balzer Jan. Sztycharz w Pradze 1738—1799, rytował wielką ilość portretów różnych, bitwy, pejzaże, wizerunki świętych i t. p. Roboty jego niektóre tylko staranniejsze są i lepsze, ogół pospolity.

Kilka robót jego ubocznie nas obchodzi.

1. *Paulus Zidek*, wizerunek na miedzi (ur. 1413, + 1499), w 8-ce, Balzer sc. (w zb. Batowskiego, N. 545).
2. *Paulus Strański*, prof. gymn. Thorun., 8-ka. J. Balzer sc. Pragae.

3. *Fridericus-Augustus*, *Electeur Saxoniae*, etc. 8-ka. *Pechwell delin. Johannes Balzer* sc. Popiersie w medalijonie.

Niewiem czy tego Balzera, jest jeszcze.

— *Wenceslaus de Budow Budowicz Consiliarius S. R. M.* w 4-ce. Balzer sc. Popiersie. (Żył za Zygmunta III). Jest w zbiorze Ossolińskich, kat. 104.

4. *Jan Amos Komenijusz*.

5. *Albertus-Augustus-Mauritius*, *Dux Saxoniae et Teschoniae*, *Caes. Reg. Supremus Campi Mareschalcus*, w 4-ce. Johann Balzer sc. et exc. Pragae. Cała postać na koniu.

6. N. Panna Berdyczowska, w 8-ce. Balzer sc. Pragae.

Balzer Jan. Malarz portretów w Rydze, gdzie się urodził w r. 1775. Kształcił się w Dreźnie u Casanov'y, i ku końcowi XVIII w. powrócił do Rygi. Tu później pracował. Wspomina o nim Nagler.

Balestra Antoni. Malarz i sztycharz, urodzony w Weronie w r. 1666, zm. około 1734—1740 r.

Z obrazu jego, a rysunku *Ant. Cavaggioni*, sztychował *Carl. Orsolini*, (arkusze) św. Alojzego i Stanisława Kostkę w niebiesiech. (*Heincken*. II. 73).

Balicki Karol. Krakowianin, uczeń Głowackiego, malarz i dobry litograf, szczególniej pejzażysta. Korespondent Bibl. Warszawskiej 1851 roku pisze o nim: „Jest to jeden z najwięcej obiecujących uczniów dawnych Głowackiego, a dziś A. Płonczyńskiego.“ W pracowni jego widział sprawozdawca kopije obrazów Steinfelda, Gauermana, Ku-

mer'a, A. Gorczyńskiego, Głowackiego i Płonczyńskiego, tak starannie i sumiennie, że ich od oryginałów niepodobna było odróżnić.

Oprócz tych kopii, studijów rysunkowych i litografij wzmiankuje korespondent niewykończonych kilka widoków Krakowa, olejno z natury robionych. Koloryt w nich piękny, żywy, naturalny, dokładność w przedstawieniu wielka i wykonanie umiejętne. W r. 1851 oderwawszy się nieco od robót olejnych, oddawał się p. Balicki sztycharstwu i znakomite w niem uczynił postępy. Wykonywał piękne obrazki religijne rylcem na kamieniu, które wydawnictwo dzieł katolickich ogłosiło.

W r. 1852 robił rysunki do dzieła przez Przeździeckiego i Rastawieckiego wydawać się mającego (*Wzory sztuki średnio-wiecznej*), między innymi rysunek grobowca kardynała Fryderyka.

Znane są jego:

1. *Zygmunt I*, z płaskorzeźby w domu Bonerów w Krakowie, in 4-to, do *Spomin. Ojcz.* Ambr. Grabowskiego.
2. Płaskorzeźba Wita Stossa w kościele św. Floryana w Krakowie, przesławnie zrobiona, choć mniej dobrze odbita.
3. Kilka jeszcze litografij z rysunków *M. Cerchy* do starożytności *J. Łepkowskiego*.
4. *Kościół w Krzeszowicach*, na papierze do listów.
5. Grobowiec Pakostawa z r. 1319 do *Rocznika nauk. Krak. 1852*, (*au trait* na kamieniu).
6. *Ratusz Krakowski*, do tegoż, kilka litografij.

Znane nam roboty p. Balickiego tak są ładne i wykonane, że je mamy ledwie nie za najlepsze u nas w tym rodzaju.

Baliński S(tanisław). Brat Michała Balińskiego, znanego pisarza historycznego, urodzony w Wilnie w r. 1783, zmarły w Krakowie w r. 1813. Tłómacz La Rochefoucauld, Regnard'a i autor pism innych kilku. W r. 1805 powrócił on z podróży do Pruss, Saxonii, Austrii, Czech i Węgier. (Nekrolog, *Dzien. Wil.* 1817 T. VI).

Z jego rysunków są dwa sztychowane portrety:

1. *Jerzego Mnischa* (z Killiana?) do dzieła J. U. Niemcewicza, *Pa-nowanie Zygmunta III. D. Weiss sc.*
2. Portret T. Czackiego, sztychowany przez tegoż *D. Weiss* w Wiedniu.

Baliński Stefan. Budowniczy, professor szkoły sztuk pięknych w Warszawie. W r. 1850 restaurował kościół xx. Karmelitów i pałac Rządowy przy ulicy Miodowej.

Ballard. Sztycharz mało znany, sztychował z rysunku Z. Vo-gla, *Karpaty*, arkusz podłużny.

Balzani Józef, zobacz *Jan Fabri*.

Baniewicz x. Józef. Zakonu xx. Kanoników regularnych, w r. 1820 był nauczycielem rysunków w szkole przez nich utrzymywanej w Litwie, w m. Słonimie.

Bar J.-C. (Jacques-Charles) rysownik i sztycharz aqua forti i lawowanym sposobem; pracował w Paryżu, 1777—1800 r.

Jest jego sztych: *Epithulam* na małżeństwo Ludwika XV z Leszczyńską, arkusz.

Baranowski, x. Bonawent. Zakonu xx. Bernardynów, nauczyciel rysunków w szkole powiatowej Traskuńskiej, utrzymywanej przez Bernardynów (18 . .).

Baratti Antoni. Malarz i sztycharz, ur. we Florencji około r. 1726, pracował około 1759—64.

Jest jego portret Stanisława-Augusta (w zbiorze A. Batowskiego, N. 2241): *Stanislaus - Augustus Rex*, w 8-ce, na miedzi. *Ant. Baratti sc.*

Barbej A. zob. *Bened. Farjat*.

Barbaryusz Wilhelm (Guill. Barbier). Francuz, szlachcic, budowniczy wojenny, służył głównie przy Janie-Karolu Chodkiewiczu w jego wyprawach wojennych, i jego staraniem w r. 1607 nobilitację otrzymał „ze względu dzielnych rycerskich zasług jego przez wspomnionego hetmana zaleconych.“

Bardou Paweł-Józef. Malarz Berliński, zmarły w r. 1814. Jego jest obraz z podania o napadzie Litwinów na klasztor zakonnic, w którym mniszka uchodząc sromoty, Litwinowi pod pozorem, że może miecz zamówić, by nieszkodził, ściąć się dała—jakby próbę z siebie czyniąc. Wykonanie i kompozycja piękne.

Bardoux (Bardou, Bardow) Jan. Malarz pastellowy z Berlina, uczeń Lesner'a, w swoim rodzaju wyborny i bardzo wzięty artysta. Wedle Nagler'a w r. 1775 przybył do Warszawy, i tu pracował lat kilka; ale mu się w Polsce niepowodziło. Roboty jego bardzo wypetły. Dwie kompozycje są sztychowane.

W galerji Stanisława-Augusta, były:

1. Portret Hr. . . w suknie myśliwskiej (pastel), cali 12 i 9, dukatów 4, n. kat. 601.
2. Xcia Adama Czartoryskiego, owalny, cali 10 i 8, (N. 602).
3. Xieźnej Jabłonowskiej, wojewodziny Poznańskiej z domu Czaplic, cali 10 i 8. (N. 603).
4. Potockiej z domu hr. Zamojskiej, w podkomorzynęj, cali 10 i 8. (N. 604).

Baretti Jan. Stukator, z Mikołajem Piano odnawiał stuki w kościele św. Piotra na Antokolu w Wilnie w r. 1801. Piano umarł w r. 1802.

Bari Piotr. Piotr Bari lub Piotr z Baru, malarz który pracował nad ozdobieniem kościoła xx. Kapucynów w Krakowie około roku 1605, tu zmarł i pochowany z nagrobkiem. Wspomina o nim Ciampi w swęj biblijografi krytycznej. U xx. Kapucynów ma być nagrobek

na tablicy marmurowej po prawej stronie wielkich drzwi umieszczony, z napisem:

Sta. Vlator. en.

PetrVs. Barl.

InsIgnIs. Pictor.

In. arte. nuLLI. SecVnDVs.

PenIclLLo. LibItInae.

DecoLoratVs est.

Die 18 Augusti.

Co znaczy rok 1605 d. 18 sierpnia z chronogrammu. Dzieła jego nieszczęśliwie.

Bardelli. Nieznany z kądinąd rzeźbiarz, bo go i Nagler nie wspomina, robił w Rzymie popiersie marmurowe Stanisława-Augusta bardzo piękne, dziś znajdujące się w Łazienkach.

Berchhoff J. G. Jan Gothard, około r. 1676—1697 w Wilnie pracował; niewiadomo z kąd rodem i przez kogo do Litwy sprowadzony.

W kaplicy katedralnej św. Maryi-Magdaleny znajduje się ogromny obraz *Wszystkich świętych*, malowany przez niego w r. 1690 i podpisany. Śmiałości w nim wiele, ale maniery, przesady i nienaturalności więcej jeszcze. Po bokach tego obrazu były dwa mniejsze wystawujące św. Stanisława i Kazimierza. Akta kapituły (1697 *Acta Vener. Capit. 2 octob. f. 594*) dowodzą, że za tę pracę odebrał złotych sześćset nagrody.

W zbiorze piszącego, jest szkic mały tego malarza, dowodzący, że w r. 1676 był już w Wilnie (nabyty w Berlinie). Jest to w ósemce mały rysunek na papierze sinym tuszem robiony, wyobrażający Merkurego z Kaduceuszem w jednej, z paletą i peźłami w drugiej ręce, suknią zbroją pokrytą, fałdzista, przepasana, draperia zarzucona na ramie. Stoi na półkuli ziemskiej. U góry napis trochę ocięty: *Joannes Gothardus Berchhoff, M. P.* Z drugiej strony: *Vilnae in Lithuania, A. 1676.* Dokoła: *Nil ego contulerim incundo sanus amico.*

Rysunek łatwy, wprawny, ale niesmaczny, takiego właśnie manierowanego charakteru jak obrazy w katedrze, w których więcej umiejętności i odwagi niż talentu, a w ogóle przesada i zły smak panują.

Baron Marcin. Na wydanym przez siebie niesłychaniej rzadkości dziele, mającym się zaraz opisać, podpisał się *Saroslaviensis Polonus* (może, domyśla się P. S. Morawski *Jaroslaviensis*, to jest rodem z Jarosławia).

Dzieło, o którym wspomnieliśmy, z bardzo pięknymi i przez znawców cenionymi sztychami, chociaż jest jedyną ikonografią świętych Polskich, u nas prawie nieznaną. Jeden tylko osobliwszej tej rzadkości egzemplarz był w bibliotece Załuskich, (obacz *Janocki Nachricht I Theil, N. XVII*), dziś w publicznej Bibliotece cesarskiej w Petersburgu; drugi miał posiadać p. Gw. Pawlikowski.

SPIS RZECZY.

Notatki Dziwaka, ogłosił Wacław P.	1.
Myśli z L. Schefera, przez chłopca z ptu Maryampolskiego.	31.
Tukaj, przez A. E. Odyńca	33.
Kwestarz Starozakonny, przez W. Korotyńskiego	44.
Stary Zamek, przez J. I. Kraszewskiego	47.
Od Merecza do Kowna, przez St. Morawskiego	81.
Zdanie sprawy o Tatarach Litewskich, przez A. Muchlińskiego	122.
Wiadomość historyczna o zamkach, horodyszczach i okopiskach starożytnych na Litwie i Rusi Litewskiej, przez Konst. hr. Tyszkiewicza	181.
Piśmiennictwo w W. X. Poznaniu od r. 1850 i charakter tegoż w poprzedzających latach przez Ant. Białeckiego	197.
X. Marcin Poczuć, przez Michała Balińskiego	235.
Jan Chodźko, przez Dominika C. Chodźkę	271.
Korespondencya Teki:	
Listy: 1., J. I. Kraszewskiego	293.
2., A. B.	319.
3., Andrzeja Jastrzebskiego	335.
4., O gospodarstwie	343.
5., Szymona Konopackiego	377.
Ogłoszenie Konkursu do napisania historii włościan i stosunków Ekonomicznych w dawniej Polsce	378.
Od Redakcyi Teki Wileńskiej	382.
Dodatki: Chatka ojca Toma (ciąg dalszy)—od 25—65.	
Ikonothea (ciąg dalszy) od 49—81.	



06295